Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/dziurdziowiecham0004wyda

DZIURDZIOWIE — CHAM

ELIZA ORZESZKOWA

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE ZE WSTĘPEM
AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO

TOM IV

DZIURDZIOWIE — CHAM

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

ELIZA ORZESZKOWA

DZIURDZIOWIE
CHAM

WYDANIE DRUGIE

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Printed in Poland

SKŁADY GŁÓWNE:
«THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC». NEW YORK
«KSIĘGARNIA POLSKA NA SLĄSKU, SP AKC». KATOWICE

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1925

DZIURDZIOWIE

WSTĘP.

W ogromnej, wysokiej sali aparat sądowy roztoczył całą wspaniałość swą i grozę. Był to zimowy wieczór. Zwisające od sufitu żyrandole i lampy, gorejące u ścian białych i gładkich, potoki światła lały na szkarłatne opony okien i stołów, na pstrociznę twarzy i ubrań tłumnie zgromadzonej dziś publiczności. W głębi zasiadali członkowie sądu, zboku, pod jedną ze ścian, na dwóch wysokich i ozdobnych ławach, miejsca swe już zajęli przysięgli. U jednego z okien oskarżyciel publiczny, schylony nad obficie oświetlonym stołem, wczytywał się pilnie w rozwartą księgę spraw, przy drugim sekretarz sądu przerzucał stosy papierów. Urzędnik, przeznaczony do strzeżenia porządku, w ubraniu zdobnem w złote hafty, szybkim i cichym krokiem przebiegłszy salę, z piórem w ręku usiadł na stronie.

Wśród wielkiej ciszy, niezmąconej nawet powstrzymanemi na chwilę oddechami kilkuset piersi, przewodniczący sądowi głośno i wyraźnie obwieścił zbrodnię, o którą podsądni oskarżeni zostali. Nie było to przestępstwo, była to zbrodnia, straszna zbrodnia, jedna z tych, które niekiedy, jak sny złośliwe i ponure, przesuwają się przed udręczonemi oczyma ludzkości. Kim byli, do jakiej warstwy społecznej należeli, jak wyglądali ci nieszczęśni i okropni ludzie, którzy ją popełnili? Kilkaset oczu jednomyślnie zwróciło się ku ławie obwinionych.

Naprzeciw wysokich i ozdobnych siedzeń sędziów przysięgłych, obrońca z urzędu, zamyślony, niespokojny, nerwowym ruchem ręki kreślił na kawałku papieru jakieś luźne notatki. Tuż za nim, nad wysoką poręczą ławy, podniosły się i w pełnem świetle stanęły cztery męskie postacie w więziennych, długich, szarych ubraniach. Przed chwilą weszli tu oni przez niskie drzwi.

z za których ukazało się całkiem prawie ciemne wnętrze bocznej jakiejś sieni.

Zdawać się mogło, że wychodzili z otchłani. Niskie drzwi zamknęły się wnet za czterema uzbrojonymi żołnierzami, którzy, stanąwszy z obu stron ławy, zanurzyli sterczące nad ich głowami bagnety w olśniewającem świetle lamp. Pomiędzy błyszczącemi ostrzami bagnetów, z twarzą w twarz z sędziami swoimi, w potokach światła, uwydatniających każdy rys i każdą niemal zmarszczkę ich twarzy, czterej podsądni, stojąc w nieruchomych i oczekujących postawach, odpowiadali na zwracane ku nim zapytania przewodniczącego.

Nazwiska ich?

Cztery męskie głosy dość wyraźnie, głośno odpowiedziały zkolei:

— Piotr Dziurdzia.

— Stefan Dziurdzia.

— Szymon Dziurdzia.

— Klemens Dziurdzia.

Stan ich?

Chłopi, rolnicy i posiadacze ziemi. Ostatni tylko ziemi własnej jeszcze nie miał, ale był synem i dziedzicem pierwszego, Piotra Dziurdzi, który nietylko że ją posiadał, ale przed laty kilku piastował w swej wiosce ważny w społecznem życiu chłopów urząd starosty.

Teraz pytanie najciekawsze.

Czy przyznają się do popełnienia zbrodni, o którą obwinieni zostali?

Znowu cztery głosy zkolei ciszej lub donośniej, lecz zawsze wyraźnie odpowiedziały:

— Przyznaję się.

Przyznają się. Niema więc już wątpliwości, że popełnili tę zbrodnię. Nie nędzarze, nie włóczęgi, nie członkowie proletarjatu, żyjącego w trującej atmosferze palących zawiści i podstępnych łupów, ale rolnicy, którym wiatry Boże niosą rzeźwość i zdrowie... posiadacze, którym ziemia własna rodzi bujne kłosy... pracownicy, których uznojone czoła równać się mogą w powadze i czystości czołom uwieńczonym wawrzynem... Co to znaczy? Czy urodzili się już potworami? Czy, kiedy jeszcze w kolebkach byli, genjusz zbrodni napełnił ich swym oddechem? Czy nie mieli serca, ani sumienia, ani w piersiach swych żadnej z tych strun dobroci, litości, prawości, które z wiekowym mozołem ludzkość

wypracowała w swem łonie? Byliż to może szaleńcy, idjoci, głupcy, którzy dobrego od złego odróżnić nie mogli?

Rzecz dziwna! Daremnie kilkaset par ludzkich oczu zatapiało się w ich twarzach: zgodności pomiędzy nimi a tem, co popełnili, dostrzec nie było podobna. Nie wyglądali na tych, którzy już na świat ze sobą przynieśli zadatki zbrodniczych przeznaczeń, ani na szaleńców, ani na idjotów.

Pierwszy z nich, ten, który nazywał się Piotrem Dziurdzią, był wysokim, dość szczupłym i już niemłodym, ale jeszcze krzepkim i silnym człowiekiem. Włosy miał bardzo gęste, ciemnopłowe, siwizną przysypane i tak długie, że spadały mu aż na kołnierz więziennej opończy. W oprawie tych długich, siwiejących włosów i krótko ostrzyżonego zarostu, twarz jego, bladawa nieco, łagodnością i powagą wyrazu swego pociągające sprawiała wrażenie. Policzki jego, w więzieniu może wychudłe, zakreślały prawidłowy i łagodny owal, usta pod płowym wąsem drżały trochę, na wąskiem czole ciemniało kilka głębokich zmarszczek, a siwe, zamyślone oczy z pod brwi wypukłych i gęstych wodziły dokoła powolnem, poważnem i bardzo smutnem wejrzeniem. W chwili, gdy stanął w ławie obwinionych, można było dostrzec zaledwie widzialny ruch ręki, którym na piersiach swych skreślił znak krzyża, a gdy już odpowiedział na wszystkie zadane mu pytania, splecione ręce złożył na poręczy ławy i oczy wzniósł w górę. Wówczas w twarzy jego zjawiło się coś marzycielskiego, coś, co zdradzało wewnętrzną, pokorną, w głębinach duszy szeptaną modlitwę. Wkrótce jednak powieki przykryły mu rozmodlone źrenice, grzbiet przygiął się, głowa na pierś opadła — i tak już ze splecionemi rękoma, poważny, łagodny, a bardzo smutny pozostał.

Zupełnie niepodobnym do Piotra był stryjeczny brat jego, Stefan. Wysoki także, ale barczysty, brunet z czarnemi jak noc włosami i czarnym, bujnym wąsem, w wyprężonej postawie byłby on pysznym okazem silnego, kształtnego i pięknego chłopa, gdyby nie szczególne i uderzające, przedwczesne zestarzenie twarzy. Nie miał jeszcze lat czterdziestu, a ściągłe i prawidłowe rysy jego były tak zorane, zmięte, pomarszczone, że niepodobnaby na nich znaleźć najmniejszego gładkiego miejsca. Przytem, mogło się zdawać, że wielki jakiś ogień opalał twarz tę tak długo, aż powlókł ją ciemną, prawie bronzową cerą. Widocznem też było, że nie nędza fizyczna uczyniła ją taką, lecz że ją zorały i spaliły w ten sposób gwałtowne namiętności i srogie zgryzoty. Była to twarz ponura i zrozpaczona, śmiała i roztropna. Czarne oczy Stefana po-

sępnie, lecz roztropnie i nawet bystro spoglądały wprost przed siebie; w postawie i ruchach jego malowała się energja, której zbytek musiał znajdować sobie ujście w nieposkromionej, gwałtownej popędliwości.

Trzecim i zupełnie różnym od tamtych typem chłopskim był Szymon Dziurdzia. Niski, chudy, z wełnistym, splątanym włosem, który mu czoło całkiem prawie zakrywał, z otwartemi nieco usty i nosem małym, bombiastym, u czoła wklęsłym, był to człowieczek niemłody, brzydki, gapiowaty, wskutek bardzo widocznego nadużywania alkoholu ogłupiały i prawie zezwierzęcony. Pijackie oczy jego z bladobłękitną źrenicą pływały w chorobliwej wilgoci; czasem grubym i ciemnym palcem ocierał sobie łzę z powiek i bezmyślnym ruchem rozmazywał ją po chudym i żółtym policzku. W ruchach, postawie i spojrzeniach jego malowało się przerażenie, z rozżaleniem połączone. Strwożony, rozżalony, ogłupiały, nie wiedział, co począć z rękoma, które splatał, to wzdłuż ciała opuszczał, ust przytem ani na chwilę zupełnie nie zamykając.

Najmłodszym ze wszystkich, bardzo jeszcze młodym, bo dwadzieścia dwa lata zaledwie mającym, był Klemens, syn byłego starosty, Piotra Dziurdzi. Urodziwy, jasnowłosy ten parobek, z okrągłą, rumianą twarzą i błękitnemi jak niebo oczyma. wydawał się makiem polnym, bujnie wśród pola wyrosłym i tu, w tę ciżbę ludzką, w tę atmosferę przeniknięta światłem sztucznem i grozą ważących się przeznaczeń, gwałtownie przesadzonym. Panującem uczuciem, które malowało się na młodzieńczej i jak zorza świeżej jego twarzy — był wstyd. Kiedy po raz pierwszy zwróciły się ku niemu spojrzenia tłumu, ognisty rumieniec buchnął mu do policzków i czoła. Zarumienił się znowu, wymawiając wyraz: — Przyznaję się! — i rumienił się potem za każdym razem, gdy w ciągu rozpraw sądowych imię jego wymawiano. Czasem zamyślał się i daleko, daleko kędyś patrzał. Wtedy do oczu jego nabiegały łzy. Czasem znowu młoda ciekawość przezwyciężała w nim wszelkie inne uczucia. Wtedy, z pod powiek, nieśmiało, ale chciwie, przypatrywał się wszystkiemu, co go otaczało, a o czem, pod strzechą swoją, ani nawet śnił kiedy. Boże mój! tak tu jasno, jak gdyby niebiosa otworzyły się i wszystkie swe blaski na ziemię wylały; tak tu ludno, jak gdyby zbiegło się pół świata; takie tu piękne ubiory, jak gdyby odbyć się miał wielki jakiś i wesoły festyn. A on tu co? zbrodniarz, którego sądzić mają. Jak osądzą? Bóg ci to jeden wie. Za temi ścianami wiatry Boże wieją, ku jego wiosce rodzinnej lecą, ku

tej chacie lecą, gdzie stara matka z załamanemi rękoma została, ku temu polu lecą, które on orał już od lat paru, kiedy słonko świeciło jasno, zioła pachniały, serce biło równo, cicho, wesoło, nie tak, jak teraz, gdy kołacze w piersi ze wstydu i trwogi, niby na pogrzebie bijący dzwon.

Więc to ci czterej ludzie popełnili tę zbrodnię przerażającą i ponurą, jak sen zimowej, burzliwej nocy? Była to też wtedy zimowa, burzliwa noc... Ależ dlaczego? jakim sposobem? pod wpływem jakich pokus i podszeptów?

Z zeznań świadczących, z rozpraw sądowych, ze starannie wywoływanych później, a pilnie słuchanych gawęd ludzkich, ze zwierzeń, które podsądni czynili przed swym obrońcą, od początku do końca swego odsłoniła się przed tymi, którzy ją poznać zapragnęli, historja następująca.

I.

W Suchej dolinie zapanował ruch umysłów widoczny i stopnia wzburzenia dosięgający. O co tak bardzo szło mieszkańcom tej wioski, długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów dość malowniczo rozciągniętej, pośród pól zlekka falujących i zdobiących je osinowych i brzozowych gajów? Większość chat miała pozór dostatni; były wprawdzie pomiędzy niemi niziuchne, ubożuchne i nadpróchniałe, ale nie brakło i takich, które świeciły białemi kominami, sporemi oknami i porządnemi ganeczkami, opartemi na słupkach i zaopatrzonemi w wąskie ławeczki do siedzenia.

Te pola, falujące i gajami zwieńczone, miały pozór żyzności i niezłej uprawy; za niemi zieleniło się trochę łąk i dobrych pastwisk; w ogrodach gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe kartofle wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzewały, gęsto sadzone drzewa wiśniowe dawać musiały obfite plony owoców. Nędza więc zaglądała tu chyba tylko niekiedy i jedynie do najuboższych chat; najdostatniejsze wyglądały tak, jak gdyby w nich nietylko chleba, ale nawet mleka i miodu, a może i groszy nie brakło.

Jakiż więc niepokój wstrząsał w ten piękny wieczór letni mieszkańcami tej wioski? O czem gromada bab, przed jednem z najdostatniej wyglądających domostw zebrana, gwarzyła tak żywo, że aż dokoła niej zebrała się gromada dzieci starszych i młodszych? Dziewczynki od lat siedmiu do czternastu, w sinych

spodniczkach i szarych koszulach, bose, z głowami ukrytemi w czerwonych chusteczkach, z pod których wymykały się kosmyki jasnopłowych włosów, stanęły pod płotem długim szeregiem i, splótszy na spodniczkach małe, ciemne jak ziemia ręce, szeroko pootwierały oczy, napełnione wyrazem ciekawości, a w których błękitnych lub piwnych źrenicach zachodzące słońce rozżarzało ruchome iskry. Przypatrywały się i przysłuchiwały babom, a baby gadały, gestykulowały, krzyczały. Chłopcy lat różnych stali za babami, nie tak przecież nieruchomo jak dziewczęta, które umieściły się pod płotem. Bosi także, jasnowłosi, w szare płótno odziani, wciskali się oni pomiędzy matki i ciotki, podnosili ku twarzom kobiet twarze swe opalone, śmiałe i wesołe, które wykrzywiali w sposób najrozmaitszy, swawolnie przedrzeźniając gadatliwość i zażartość babską. Starsi targali kobiety za fartuchy i natarczywie wtrącali się do rozmowy; jeden z młodszych, pięcioletni może, w długiej do stóp koszuli, z wydętym brzuchem i opuchłemi żółtemi policzkami, trzymał wciąż palce w oślinionych ustach i bezmyślnemi błękitnemi źrenicami patrzał nieruchomo w twarz swojej matki, a płaczliwym, przeciągłym głosem od chwili do chwili wołał:

— Ta... ta!

Na wąskim dziedzińcu chaty, pod którą tłoczyły się baby i dzieci, panował także gwar pewien, ale znacznie mniejszy, bo podnosiła go gromadka mężczyzn mniej i ciszej od niewiast mówiących. Jeden z nich, u wrót stajenki przyklęknąwszy, siekierą rozszczepiał kłoc drzewa na drobne drewienka, a tak bardzo pogrążony był w tej robocie, jak gdyby spełniał jakąś uroczystą i arcyważną czynność. Z pochyloną głową i zgiętemi plecami chłop ten, niemłody już i szczupły, ale jeszcze silny i czerstwy, był jednym z najzamożniejszych i najroztropniejszych gospodarzy Suchej Doliny, właścicielem tej chaty, a zwał się Piotr Dziurdzia. Tuż za nim stali dwaj synowie jego, młodzi, lecz już dorośli parobcy, dalej stryjeczny brat Piotra, ale wcale do niego niepodobny. Stefan, w wymowie chłopów Stepan Dziurdzia, przypatrywał się jego robocie z ponurym wyrazem na przedwcześnie zestarzałej i jakby spalonej twarzy; dalej jeszcze stał także Dziurdzia imieniem Szymon, mizernie i smutnie wyglądający, a za każdem odetchnięciem wydający z siebie mocny zapach wódki. Wódka ta zapewnie zaprawiła mu białka oczu krwistą barwą, wysuszyła i zażółciła policzki; ona też może była przyczyną, że miał podartą koszulę i stopy bose, gdy inni przyodziani byli w porządne samodziałowe kapoty i grube, ale dostat-

nie, aż do kolan sięgające obuwie. Oprócz tych pięciu Dziurdziów, było tam jeszcze kilkunastu chłopów starszych i młodszych, więcej i mniej ożywionych, którzy jednak wszyscy zdawali się być mocno zajętymi tem, co czynił Piotr Dziurdzia, spoglądali na siebie z uśmiechem na ustach i wyrazem żywej ciekawości w oczach wzruszali czasem ramionami i rzucali pojedyńcze słowa lub wykrzyki. A przed wrotami dziedzińca baby gadały wciąż, krzyczały, gestykulowały; ta i owa z ferworu wielkiego aż przysiadała czasem ku ziemi, albo rękoma uderzała o policzki i plecy sąsiadek, które, odwracając się, śpiesznie ją odpychały i dalej swoje prawić zaczynały, aż do utraty tchu, aż do podniesienia głosów ku najwyższym i najprzeraźliwszym dźwiękom ludzkiej krtani. Takim to właśnie głosem jedna z nich, ku dziedzińcowi chaty zwracając się, zawołała:

— Pietrek! hej, Pietrek! skończysz ty kiedy, czy nie? A to słońce zajdzie i psy, nie ludzie, po polach chodzić będą!

— Pora idźci (iść), dalibóg pora! — chórem powtórzyło kilka piskliwych kobiecych głosów.

Inne dodały:

— Czy wam nie wstyd, Pietruk, tak marudzić? Oj! muszczyna (mężczyzna) niby to silny! A baba prędzejby tych trzasek naszczepiła, niż on... gospodarz wielki!

Piotr Dziurdzia wykrzykników tych, ku niemu zwróconych, jakby nie słyszał, ani głowy podniósł, ani ustami poruszył. Rozszczepiał wciąż i odszczepiał polana na cienkie drewienka z taką powagą i uroczystością, iż zdawać się mogło, że lada chwila i sam się przeżegna i przeżegna swą robotę, tak była ona dlań ważną i niemal świętą. Dwaj wpobliżu niego stojący chłopi jednocześnie stryjecznego brata jego, Stepana Dziurdzię, zapytali:

— Niema! no i ani troszeczkę niema?

Zmarszczony, zgryziony Stepan odpowiedział:

— Tak jak niema! Kropelkę z siebie puści, i żeby ją zabić, więcej już nie da! Dziecku, jak rozkrzyczy się, niema czego w gębę wlać...

— A-a-a-a-a! — głośno i przeciągle dziwili się pytający.

— A wprzódy jak było? — zapytał ktoś zboku.

— Wprzódy — odpowiedział chłop — bywało i z górą garniec dadzą...

— Dwie?

— A dwie.

— To tak, jak i u mnie! — zauważył mizerny Szymon — jedna tylko, a bywało, z garniec da...

Chłopi trącili się łokciami i wejrzeniami ukazali sobie wzajem ponurą twarz Stepana.

Przytem ozwał się żartobliwy głos jakiś:

— Oj! biedaż tobie, Stepanie! Toż to tam teraz u ciebie piekło gorące...

Inny z grubym śmiechem dodał:

— Jaż wczoraj słyszał, jak taja (ta) wrzeszczała w swojej chacie jak oczyniona (opętana)...

— Kto? — zapytał ktoś zboku.

— A Rozałka, Stepanowa żonka.

— Oj, zła baba, to zła... jak ogień — dodał jeden z rozmawiających.

Stepan niżej jeszcze pochylił głowę i milczał.

Z za wrót doleciał jeszcze znowu ten sam co wprzódy głos niewieści, tylko jeszcze piskliwszy i więcej rozgniewany, niż wprzódy:

— Pietruk! oj, Pietruk! skończysz ty kiedy, czy nie?

Kilku z pomiędzy mężczyzn zaśmiało się chórem.

— Ot jak Stepanowa żonka hołosić, pilno jej wiedźmę łapać! Hej, Pietruk, chutko (prędko) idzi! bo baba po swojemu rozgniewa się, to bieda będzie! już ty jej nie poradzisz... wybije!...

Piotr Dziurdzia siekierę oddał jednemu z synów, aby ją do chaty zaniósł, a sam z klęczek powstał nie dlatego zapewne, aby przeląkł się gniewu Stepanowej żonki, ale dlatego, że już robotę swoją ukończył. Pod ścianą stajenki leżał duży stos cienkich, suchych, do zapalenia wybornych drewienek. Pochylił się, ujął ten stos w ramiona i wyszedł z nim za bramę chaty. Tu powitał go chóralny okrzyk bab i otoczył rój dzieci. Dziewczynki poodrywały się od płota i podchodziły do niego zwolna, chłopcy jak źrebięta skakali dokoła niego, wierzgając i wrzeszcząc.

— Won poszli! — krzyknął Dziurdzia na dzieci, które też rozbiegły się na wszystkie strony, ale, wpobliżu stanąwszy, przypatrywały się wciąż niesionemu przezeń drzewu, jakby to był przedmiot po raz pierwszy w życiu przez nie widziany. Jedna z bab, ta, która właśnie rej pomiędzy wszystkiemi innemi wiodła, wysoka, chuda, śniada, z czarnem palącem okiem Rozalka, Stepanowa żona, wyskakując naprzód i rękoma za biodra swe chwytając, z niezmiernym zapałem do Piotra zawołała:

— A osinowe drzewo?

— Nu, a jakież? — pogardliwie odrzucił poważny chłop.

— Czy pewno osinowe?

I zaczęła dalej prędko i z zawziętością trzepać językiem:

— Bo jeżeli nie osinowe, to nic z tego nie będzie... wiedźma nie przyjdzie na inne drzewo, tylko na osinowe!... Prysiahnij, Pietruk, że osinowego drzewa rąbał, prysiahnij, tut że zaraz palce na krzyż złóż i prysiahnij, że osinowe...

Tracąc dech od szybkiego mówienia, targała rękaw i poły samodziałowej kapoty Piotra, a obu łokciami odtrącała od siebie towarzyszki, które, chwytając ją za ramiona i koszulę, zapalczywość jej powściągać próbowały. Spróbował to uczynić i Stepan. Ciemne oczy jego zaiskrzyły się; ściśniętą pięścią uderzył żonę w plecy tak silnie, że zatoczyła się o kroków kilka i byłaby upadła, gdyby nie płat, o który oparła się ręką. Wnet przecież, szybka jak błyskawica, zwinna jak wiewiórka przyskoczyła do męża, wycięła mu głośny policzek i, wcale nie zajmując się nim już dalej, biegła znowu za Piotrem, drogę mu zabiegając i wciąż na różne tony powtarzając:

— A osinowe drzewo? Pewno osinowe?... Prysiahnij, Pietruk, że osinowe...

W gromadzie, postępującej za Piotrem, wybuchnęły grube i piskliwe śmiechy. Stepan szedł ze zwieszoną głową, milcząc jak grób. Policzka, który od otrzymanego uderzenia nabiegł krwistą czerwonością, ani się dotknął, ale ciemna i gruba skóra jego twarzy sfałdowała się w takie już mnóstwo zmarszczek, że niepodobnaby wynaleźć na niej najmniejszego gładkiego miejsca. Roziskrzone oczy wlepiał w ziemię i przez zaciśnięte zęby wyrzucił krótkie, niewyraźne przekleństwo. Wstydził się może i wrzał cały.

— Wstydno! — rzekła głośno niemłoda i widocznie schorzała, ale jeszcze urodziwa żona Piotra Dziurdzi, najdostatniej ze wszystkich kobiet ubrana i najmniej krzycząca. — Ja z moim wiek przeżyłam, synów pohodowałam, że wyrośli jak te dęby, a nigdy pomiędzy nami swarów i bitwy nie było, dalibóg nie było.

— Wstydno! — powtórzyło kilka głosów, a jeden z chłopów, na Stepana wskazując, z uśmiechem dodał:

— Takij z niego mużyk? Babie przewodzić pozwala! jaby ją...

Nad tym gwarem słów i śmiechów wzbił się znowu głos Rozalki, ale tak już tym razem ostry i rozpaczliwy, jakby jej nóż do gardła przykładano:

— A osinowe drzewo? pewno osinowe? prysiahnij, Pietruk, że osinowe...

Stary, niski, chudy chłop, którego zwano Jakóbem Szyszką, wystąpił z gromady, zbliżył się do kobiety, którą wątpliwość co do gatunku narąbanego drzewa w rodzaj wściekłości wprawiała, i z powagą przemówił:

— Nie duryś, Rozalka! Jaż tam był i widział, że drzewo jest osinowe... Toż i u mnie nieszczęście... i ja chcę tej wiedźmie przeklętej w oczy zajrzeć... czy jaby zgodził się, żeby drzewo insze było, niż osinowe?...

Rozalkę słowa te jakby zimną wodą oblały, umilkła i, cofnąwszy się nieco od Piotra, śpiesznym i nierównym krokiem, jakim chodzą zwykle istoty gwałtowne i niespokojne, na czele innych niewiast postępowała. Zresztą, w miarę trwania pochodu, gromada malała.

Na dziedzińcach chat, które mijano, porykiwały krowy, tylko co z pastwiska przygnane, drżącym, jękliwym głosem odzywały się owce, niewyprzężone pługi i brony stały tak, jak je właściciele ich, pośpiechem i ciekawością snadź pobudzani, opuścili. Tu i owdzie, ktoś pozostały w chacie rozniecił ognisko, a wijące się za małemi oknami złote jego blaski, na wieczerzę zapraszając, głód przypominały. Mężczyźni tedy i kobiety odłączali się od gromady i za opłotkami dziedzińców, albo we wnętrzach domostw znikali.

Przedtem jednak, zbijając się na krótką chwilę w małe gromadki, zamieniali się urywanemi, a całą myśl ich mającemi streścić, wyrażeniami.

— Komedja! — wzruszając ramionami, mówili jedni.

— Niech tuju komedju licho porwie! — sierdziście odpowiadały kobiety. — Ileto bieda jest, zhryzota, utrata wielka, a nie komedja...

— Ciekawość! nu ciekawość! kto heta wiedźma!

— Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie?

Ostatnie to pytanie zawisło na ustach wszystkich; głosy różne, męskie, kobiece i dziecięce, stare i młode, powtarzały je w chatach, oborach, stajenkach, na dziedzińcach i u studzien, u których dziewczęta przy skrzypie żórawi wodę czerpały.

— Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie?

Najstarsi odpowiadali:

— Czemu przyjść nie ma! Za dzidów, pra-dzidów naszych przychodziła, to i teraz przyjść musi...

Tymczasem Piotr Dziurdzia szedł wciąż naprzód krokiem

powolnym i miarowym. Wychodząc z dziedzińca swojej chaty, włożył był na swe gęste, siwiejące, długie włosy starą czapkę, zniszczonem futrem baraniem oszytą. W długiej kapocie z płótna na czerwony kolor zafarbowanego, w wysokich butach, w tej czapce, której strzępy zwisały mu nad gęstemi brwiami, z grubą wiązką drzewa w ramionach, miał pozór kapłana niby, gotującego się do spełnienia uroczystego i publiczne sprawy na celu mającego obrzędu. Wyraz twarzy jego ściągłej, krótkim zarostem otoczonej, nie był wcale ponurym, ani rozgniewanym, tylko głęboko zamyślonym, prawie uroczystym. Milczał jak grób, patrzał wprost przed siebie oczyma, w których malowała się pokora, jakby prośba wewnętrznie do kogoś zanoszona. Możnaby przypuścić, że w głębi duszy swej odmawiał on w tej chwili żarliwe pacierze.

Tuż za nim szli dwaj jego synowie rośli, jasnowłosi, z otwartemi i wesołemi twarzami parobcy; dalej, nisko chyląc głowę, ciężkim krokiem postępował Stefan, obok którego wlókł się w obdartem odzieniu swem i z pijacką twarzą Szymon Dziurdzia, i bardzo poważnie stąpał stary, niski, siwy Jakób Szyszko. Z kobiet pozostały tylko żony trzech Dziurdziów i jakaś hoża dziewczyna z wesołą miną, wciąż na młodego Klemensa Dziurdzię zerkająca, i na niej kończył się już ten pochód.

Dzieci wszystkie, tak dziewczynki jak chłopcy, chciały bardzo przyłączyć się do orszaku, ale je odpędzono, i jeden ów tylko czteroletni chłopczyna w koszuli, z wydętym brzuchem i nabrzmiałemi policzkami, odpędzić się nie dał. O kilka kroków za idącymi, prędko, swemi małemi, bosemi stopkami dreptał on po czarnych nierównościach i brózdach wiejskiej ulicy i co pewien czas płaczliwie, przeciągle wołał:

— Ta... to!

Ludzie jednak, składający pochód, na to dziecięce wołanie żadnej nie zwracali uwagi.

Tu i owdzie gołębie zrywały się z dachów i ze słodkiem gruchaniem ulatywały w powietrze na srebrzystych, albo różowych skrzydłach; pyszne, jaskrawo opierzone koguty, spłoszone tętentem licznych kroków, ciężko podlatywały z ziemi i siadały na płotach; przez wrota pootwierane wybiegały żółte, czarne i pstre kundle, a poznawszy swoich, ciekawie tylko lub obojętnie na przechodzących spoglądały. Tam, het, za wioską, polami i gajami, słońce już wnet zajść miało, bo ostatnie jego światła rzucały na ściany chat i twarze ludzkie nietrwałe, różowe łuny. Rubinowo zaognione przed chwilą szyby okien bladły i gasły,

natomiast coraz gęściej złocił je blask roznieconych ognisk. Dymy nad kominami, wprzódy rumiane i srebrne, szarzały; ryk bydła, beczenie owiec, stuki otwieranych i zamykanych wrót cichły i milkły.

Za wioską, polami i gajami ciemne gęste chmury półkolem objęły zachodni skraj nieba; słońce przejmowało jeszcze ich głębie fioletem i purpurą, ale było już niewidzialnem. Wpobliżu ostatnich lecz jaskrawych blasków jego blade i prawie liljowe, ciemniejsze potem i w środku swym aż prawie szafirowe sklepienie wznosiło się nad ziemią, bardzo powoli okrywało mrokiem tak przezroczystym, że odbijały się w nim wyraźnie żółte barwy ściernisk i więdnących łąk, szara zieloność gajów i piaszczysta białość dróg przerzynających pola. O niecałą wiorstę od ostatnich domostw wioski, cztery drogi rozbiegały się z jednego punktu w kierunki różne. Jedna z nich prowadziła do wioski, druga, falując wraz z falującym gruntem, przepadała kędyś w niedoścignionej dla oka oddali; trzecia, prosta i gładka, końcem długiej swej taśmy znikała w głębiach najbliższego gaju; czwarta, najkrótsza, tu i owdzie wierzbami i dzikiemi bzami osadzona, kończyła się u płotu, otaczającego chatę, w pewnej odległości od wioski zbudowaną, samotną, ocienioną kilku staremi drzewami. Wpobliżu tej chaty widać było budowę niewielką, niską, bez okien, w której odrazu każdy świadomy spraw wiejskich rozpoznałby kuźnię. Były to więc drogi rozstajne. W miejscu, z którego rozchodziły się w różne strony świata, z gęstego szlaku zieloności otaczającego pole, wystrzeliwał stary, wysoki krzyż.

Naprzeciw krzyża, rozdzielony z nim wąskim szlakiem drogi, leżał ogromny, siwym mchem obrosły kamień. O parę kroków od kamienia Piotr Dziurdzia stanął i ciężar swój z ramion na ziemię zrzucił, poczem wyprostował się, głośno odetchnął, w niebo spojrzał i, z kieszeni kapoty hubkę wydobywszy, w milczeniu ogień krzesać zaczął. Głębokie milczenie zapanowało tuż pomiędzy towarzyszącymi mu ludźmi. Zbili się wszyscy w ściśniętą gromadkę, wzrok w ręce jego wlepili i zdawali się oddech w piersi wstrzymywać. Widocznie zapominali o wszystkiem, co nie było tą szczególną czynnością, dla której tu przybyli. Stefanowa silnie zacisnęła swe wąskie usta; żona Piotra i jeden z jego synów, przeciwnie, rozwarli je tak szeroko, że małe jakie ptaszę wygodnie wleciećby w nie mogło; Jakób Szyszko wyprostował się i tak uroczystą przybrał postawę, że wydawał się daleko wyższym, niż zazwyczaj; wnuczka

jego, hoża ta dziewczyna, która w czasie pochodu wciąż na Klemensa Dziurdzię zerkała, teraz ze zmieszaną ciekawością i przerażeniem na twarzy ukryła się za plecy ładnego parobka, przygarnęła się cała do niego i brodę swą na ramieniu mu położyła.

Ladny parobek, najmniej z pomiędzy wszystkich obecnych zajęty odbywającym się aktem, wybornie spostrzegł to zbliżenie się doń dziewczyny, uśmiechnął się nieznacznie, wpół z przyjemnością, wpół z urąganiem. Zdawało się, że i hożej France i temu, co się przed oczyma jego działo i dziać miało, trochę urągał.

Wtem Piotr Dziurdzia pochylił się ku ziemi, i część przyniesionych przezeń suchych drewienek buchnęła ogniem. Cztery kobiety jednogłośnie i na całe gardło wrzasnęły:

— O, Jezu!

Dlaczego ogień tak bardzo przeląkł je, czy wzruszył? Wszak z blaskiem i gorącem jego oswajały się one od pierwszego dnia istnień swoich i od rana do wieczora każdego dnia! Tym razem przecież wyglądały tak, jak gdyby były nigdy w życiu swem ognia nie widziały. Wszystkie cztery wrzasnęły zrazu: — O, Jezu! — A potem Stefanowa zawiodła dalej jeszcze:

— O, Jezu mój, Jezu najmiłosierniejszy!

Piotrowa wzdychała głośno i raz po raz, Szymonowa głowę w obie strony kołysała i także wzdychała. Franka, w obie garście pochwyciwszy ramię Klemensa, tak mocno je ścisnęła, że parobek łokciami rzucił i wzgardliwie ją oburknął:

— Otczepiś! Czego do mnie przykleiła się... jak ten kleszcz!

Kleszczem nazwana dziewka nie odczepiła się jednak i, przyklejając się do pleców parobka jeszcze mocniej, w samo ucho półgłosem mu jęczała:

— Oj, Klemens, Klemens! oj, oj, Klemens!

Mężczyźni milczeli, wkrótce też umilkły i kobiety, znowu usta pozaciskały, lub szeroko pootwierały i, oddechy w piersi powstrzymując, czekały. Czekali wszyscy.. na co? Na skutek ognia, który, żółtą strugą obejmując osinowe drzewo, palił się zrazu nisko przy ziemi, potem płomienistemi języki strzelać zaczął coraz wyżej.

Na polach pusto było i cicho. Stojąca na zachodzie chmura zagasła całkiem, i tylko jeszcze wypływająca z za niej blada złota łuna rozświecała widnokrąg. Kędyś za wzgórzem zaturkotały koła wozu i wdali umilkły; od wioski dochodziły poszczekiwania psów i głuchy szmer ludzkiego mrowia; na żadnej

z dróg, w cztery strony rozchodzących się od krzyża, żywego ducha widać nie było, tylko u końca jednej z nich drzwi kuźni rozpaliły się czerwono, i ozwało się kilka uderzeń młota, które w najbliższym gaju echo powtórzyło głośno i przeciągle. Ale potem, przez długie kilka minut, nie odezwał się już i młot kowalski; w niskich wierzbach zato, rosnących przy drodze, która do kuźni wiodła, parę razy płaczliwie zaskomlił lelek. W gromadce ludzkiej, tłoczącej się u ognia, przy omszałym kamieniu i naprzeciw krzyża roznieconego, męski, świeży głos głośno i wyraźnie wymówił:

— Albo to prawda?

Wszyscy, nawet poważny i skupiony w sobie Piotr Dziurdzia, obejrzeli się na mówiącego. Był nim wysoki, ładny Klemens.

— Co takiego? co takiego? co ty gadasz? — zaterkotała Stefanowa.

— Albo to prawda, że wiedźma na ogień przyjdzie — z nogi na nogę przestępując, powtórzył parobek.

Tym razem wszystkie kobiety pootwierały szeroko usta, a Franka półgłosem znowu zaczęła:

— Oj, Klemens, Klemens!

Ale siwy, chudy, niski Jakób Szyszko uroczystym głosem rzekł:

— Za dziadów, pradziadów naszych przychodziła, to czemużby i teraz nie miała przyjść?

— Ale! — powtórzył chór głosów.

Klemens znowu z nogi na nogę przestąpił i mniej trochę śmiało, niż przedtem, zauważył:

— Może jej ze wszystkiem na świecie niema?

— Kogo? — wrzasnęła Stefanowa.

— A wiedźmy... — wahającym się już głosem odpowiedział parobek.

O! tym razem przeciw tak zupełnie już krańcowym wątpliwościom wybuchnęła burza. Stefanowa porwała się obu rękoma za biodra i do Klemensa przyskoczyła.

— Wiedźmy niema? — krzyknęła — a dlaczego mleko u krów przepadło? ha? dlaczego przepadło? Czy to ja łgę, że przepadło? Jeżeli ja łgę, to spytajcie się rodzonej matki, czy nie przepadło?... I u Szymona spytajcie się, i u Jakóba, i u wszystkich... Oj! biednaż główeczka moja! Mleka u krów kropeleczki niema... dziecku w gębę wlać czego niema... a on mówi, że wiedźmy

niema... Oj, dolo moja nieszczęśliwa! oj, paskudniku ty, niedowiarku, haratyku taki, że niech Pan Bóg broni...

W ten potok słów i krzyków niewieścich Klemens wlać zdołał jeszcze słów kilka, więcej, zda się, dla drwiny i na przekór babie niż z przekonania wymówionych.

— Wiadomo! susza taka, że niech Pan Bóg broni, pasza kiepska, to i mleko przepadło...

Ale tym razem zwrócił się ku synowi sam celebrujący w tym uroczystym akcie Piotr Dziurdzia i łagodnie, ale z wielką powagą mówić zaczął:

— Hodzi, Klemens, kiedy nasze dzidy, pradzidy w heto wierzyli, musić heto prauda. Nie breszy (szczekaj) darmo i czekaj. Może cud boski okaże się, okaże się nam niegodnym, a taja, co nam takuju kryudu zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego drzewa, na którem powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Przemówieniu temu odpowiedziało kilka głośnych westchnień, nad któremi wzbił się jękliwy, donośny, zapalczywy głos Stefanowej:

— A osinowe drzewo? pewno osinowe?

Ale Jakób Szyszko uciszył niespokojną kobietę porywczym gestem, i znowu w gromadce i dokoła niej zapanowała cisza. W niskich wierzbach przy drodze załkał lelek, o kilka kroków za stojącymi nad ogniem ludźmi dziecięcy, słaby, zmącony głos zapłakał:

— Ta... to!

Nikt na ten biedny, mały głos nie zwrócił uwagi, oprócz ponurego Stefana, który obejrzał się, kilka kroków postąpił i z głuchem, swarliwem sarkaniem podniósł z ziemi malca w koszuli, z wydętym brzuchem, nabrzmiałemi policzkami, palcem pogrążonym w ustach i błękitnemi oczyma, pełnemi łez. Był to syn jego i Rozalki jedyny. Ze swarliwem sarkaniem Stefan podniósł go z ziemi, ale wnet ściśle ramionami otoczył, do piersi przycisnął i bose stopy jego, mokre od wieczornej rosy, połą kapoty swojej osłonił. Dziecko blade i obrzękłe głowę na ramiona ojcu pochyliło i wnet oczy przymknęło. O! widocznie potrzebowało ono, niezmiernie potrzebowało tego dobrego, słodkiego mleka, które krowom jego rodziców odebrała złośliwa wiedźma!

Cicho i cicho! Na polu i drogach wciąż ani ducha żywego. W kuźni znowu odzywa się stuk młota; echo powtarza go w naj-

bliższym gaju, w ciszy powietrza ogień pali się zwolna, lecz coraz wyżej. Piotr rzucił weń jeszcze sporą więź drzewa. Stefanowa ma okropną ochotę zawołać znowu: — Czy osinowe drzewo? czy pewno osinowe? — lecz lęka się trochę Piotra i starego Szyszki, więc milczy i tylko niecierpliwie obu rękoma fartuch swój targa. Płomień buchnął wysoko, a blaski jego padły na stojący naprzeciw krzyż i mnóstwem złotych węży wiły się po nim coraz wyżej, aż ku rozpiętym jego ramionom... Ujrzawszy krzyż nagle w złocie stojący, wszyscy obecni, bez wyjątku, pochylili głowy i przeżegnali się powoli, nabożnie...

W tej chwili za wzgórzami, na drodze, która, falując po wzgórzach, przepadała w dalekich przestworach, dało się słyszeć dalekie jeszcze, ale rozgłośne śpiewanie. Po uciszonych przestworach, po pustych polach, po drzemiącym świecie, śpiewanie to płynęło melodyjnie i szeroko, na nutę łagodną i tęskną. Śpiewający głos kobiecy był silnym, czystym, rozległym, wyraźnie rzucającym w przestrzeń miłosne słowa pieśni:

— Czerez reczeńku, czerez bystruju
Podaj ruczeńku, podaj miłuju;
Czerez bałoto, czerez źródeńko,
Chadzi do mienie, moje serdeńko.

Na twarzach gromadki, stojącej przed ogniem i naprzeciw złoconego krzyża, odmalowały się zmieszane uczucia zadowolenia, przerażenia, nadewszystko zaś ciekawości. Sam nawet niedowiarek Klemens szeroko oczy roztworzył i rękę podnosił, aby przeżegnać się po raz wtóry, ale ze wzruszenia zawisła mu ona w powietrzu.

— Idzie! uże idzie! — szepnęły kobiety.

Franka ze strachu przed wiedźmą na ziemi przysiadła, z całej siły przytem trzymając się obu rękoma kapoty Klemensa.

Niewidzialna śpiewaczka, zbliżając się coraz, śpiewała dalej:

— Hdzie ty, dzieuczyno, myślami błudzisz?
Skaży ty praudu, kaho ty lubisz?
Oj, znaju, znaju, kaho kachaju,
Tolko nie znaju, z kim sia zwieńczaju!

Tym razem trzy Dziurdziowe jednomyślnie na siebie spojrzały.

— Kowalicha, czy co? — szepnęła żona Piotra.

— Ale! — odszepnęła żona Szymona — nikt hetak nie śpiewaje, tylko ona!

Stefanową od głowy do stóp wstrząsnęło namiętne drgnienie; przeciw zwyczajowi swemu nie rzekła nic, tylko prędko, z urągliwym wyrazem w oczach, które jak żużle zapłonęły, obejrzała się na męża. Dziwna rzecz! Stefan tak szyję wyprężył i tak całkiem podał się naprzód, jakby chciał poprzez wzgórze przejrzeć i zobaczyć tę, której głos tylko uszu jego dolatywał. Przyczem od wyprężenia muskułów wygładziła się całkiem ciemna skóra jego twarzy, i tylko czoło zmarszczone rzucało na nią wyraz cierpienia.

Na szczycie małego wzgórza ukazała się i szybko zstępować zeń zaczęła postać kobieca, której rysów jeszcze rozpoznać nie było można. Szybko idąc, dalej pieśń swą śpiewała:

— Oj, pojdu, pojdu w las i lasoczki,
Hdzie rozćwietajuć drobne listoczki,
Tam ja chadziła i hawaryła,
Sudzi mnie, Boże...

Nagle głos śpiewającej urwał się i zamilkł. Znalazła się ona o kilka kroków od roznieconego ognia i, jak w ziemię wryta, stanęła.

Teraz, przy ostatnich światłach dnia i mieszających się z niemi blaskach płomienia, postać i twarz jej uwypukliły się z wyrazistością rzeźby. Młodą jeszcze była, wysoką, silną i kształtną. Z pod wysoko podniesionej sinej spódnicy widać było silne i nagie jej nogi, bosemi stopami tonące w gęstej trawie. Oprócz sinej spódnicy miała na sobie tylko grubą koszulę, wielki pasiasty fartuch, dwoma rogami mocno do pasa przytwierdzony i napełniony takiem mnóstwem kwitnących ziół, że wylewały się na jej spódnicę i, czepiając się wzajem, aż ku ziemi spływały. Były to liljowe czombry i brunelki, koniczyny różowe i białe, gwiaździste rumianki, błękitne cykorje polne. Oprócz tego, w obu ramionach niosła ona ogromny snop roślin o długich, twardych łodygach, żółtej dziewanny i śnieżnego tysiącznika, a był to snop tak wielki, że całą pierś i część twarzy jej okrywał, i że nad nim widać było tylko głowę jej, wpół osłonioną czerwoną chustką, z pod której, ze stron wszystkich, na grubą koszulę, ogorzałą szyję i wąskie gładkie czoło wymykały się gęste, krótkie pasma włosów ciemnych, splątanych i bez

połysku. Wpółosłonięta kwiatami i włosami twarz jej wydawała się grubą i pospolitą; ogorzała, rumiana, z wiśniowemi usty, wypukłemi policzkami i wesoło zadartym nosem, jaśniała ona tylko dwojgiem oczu wielkich i podłużnych, które szarą, błyszczącą, wymowną źrenicą zdawały się mówić, śmiać się, pieścić i śpiewać...

Tak z nagiemi nogami, zaróżowionemi odblaskiem ognia, z mnóstwem kwiatów, wylewających się z fartucha i osłaniających piersi, z rozrzuconemi włosy i błyszczącem, śmiałem śmiejącem się spojrzeniem, stanęła ona tuż przed krzyżem, który teraz stał cały w płomiennym blasku. Pierwszy dźwięk, który z ust jej wyszedł, brzmiał gapiowatem trochę zadziwieniem:

— Aaaa! — rzekła — co wy tu takiego robicie, ludzie?

Ale wnet, jakby przypomniawszy sobie rzecz dobrze znaną, tonem zapytania dodała:

— Wiedźmę na ogień łapiecie? czy co?

A potem skinęła głową i z zupełną już świadomością dokończyła:

— Aha! mleko u krów przepadło!

I, kołysząc głową w obie strony, przeciągle zadziwiła się znowu:

— Aaaa! umum! dziwy to, dziwy!

W gromadce panowało milczenie grobowe. Zdawać się mogło, że dusze wszystkich tych ludzi zlały się w tej chwili w jedną duszę, która całą siłę swego myślenia, czucia, wzroku i słuchu, niby ostre żądło, w tę kobietę utopiła. Wszyscy powyciągali ku niej szyje i oczy w nią wlepili. W kilku parach tych oczu nic jeszcze innego nie było, tylko zdziwienie i trochę obrzydzenia. Lecz wzrok S'efanowej rozpalony i pełny zjadliwych uśmiechów szybko przenosił się z twarzy kobiety, stojącej pod rozpłomienionym krzyżem, na twarz męża, która szczególny przybrała wyraz: mętny uśmiech, wewnętrznego niby lubowania się, rozlał się po niej całej i starł z niej całkiem zwykłą ponurość, zastępując ją głupowato wyglądającem, lecz nawskróś przenikającem go zachwyceniem. Patrzał tak, jak gdyby na coś czy na kogoś dosyć napatrzeć się nie mógł. Kobieta z ziołami tymczasem zapytała znowu:

— Cóż? czy już przechodziła?

Nikt nie odpowiedział. W błyszczących i śmiejących się jej źrenicach mignął niepokój.

— Cóż? — powtórzyła — widzieli już wiedźmę? przechodziła?

Tym razem z gromadki ozwał się łagodnie brzmiący, ale bardzo poważny głos Piotra Dziurdzi:

— Abo nie wiedajecie, że która pierwsza przejdzie koło ognia, to jest wiedźmą.

— No — tonem głębokiego przekonania odparła kobieta — żeby ja tego nie wiedziała, wiem! To i któraż pierwsza przeszła?

Dwa poważne głosy męskie, z których jeden należał do Piotra Dziurdzi, a drugi do Jakóba Szyszki, odpowiedziały:

— Ty.

A w mgnieniu oka potem, niby raca, z trzaskiem wybuchając w powietrze, wybuchnął jeden niewieści głos, wszystkiemi tonami namiętności, doprowadzonej do furji i żalu jakiegoś, graniczącego z rozpaczą, powtarzający w nieskończoność ten jeden wyraz:

— Ty, ty, ty, ty!

Nic nad ten jeden wyraz Stefanowa wymówić nie mogła, bo trzęsła się od stóp do głowy, a z pałających jej oczu toczyły się na śniade i chude policzki strumienie łez. Śmiała się, drżała, płakała i, tupiąc nogami, wygrażając pięściami, krzyczała:

— Ty, ty, ty, ty!

— Ja? — wymówiła kobieta, stojąca pod rozpłomienionym krzyżem, i opuściła ramiona tak, że żółte dziewanny i białe krwawniki rozsypały się po trawie i okryły jej bose stopy. — Ja! — powtórzyła i załamała na spódnicy ciemne, spracowane ręce. Wiśniowe jej wargi rozwarły się szeroko, w oczach mignęło uczucie zgrozy. Trwało to jednak króciuchną chwilę, i wnet po rumianych, pulchnych jej policzkach, po czole wąskiem i ustach rozwartych, drgać poczęło mnóstwo figlarnych, wesołych uśmiechów. Zwyciężyły one wreszcie zdumienie i przerażenie: śmiech dźwięczny i zanoszący się wybuchnął z jej piersi. Jak przedtem pieśń, tak teraz śmiech jej rozlegał się po drodze i polu szeroko, dźwięcznie, rozgłośnie. Czuć w nim było duszę żywą i świeżą, coś nakształt naiwności dziecka i niezmąconej wesołości ptaka. — Ja, ja! — wołała wśród śmiechu — ja pierwsza na ogień przyszła! Ja mleko krowom odebrała! ja wiedźma! oj, ludzie, ludzie! co wy wymyślili! czy wy zdureli (zgłupieli), czy wam pomieszało się w głowach?

I śmiała się wciąż tak, że aż dłońmi boki sobie przyci-

snęła i przeginała na wszystkie strony swą silną i kształtną kibić. A gdy już tak wyśmiała się, że aż obu pięściami oczy z łez ocierać musiała, z drgającą jeszcze resztą śmiechu piersią, głośno splunęła.

— Pfu! — zawołała — taką brzydką rzecz na chrześcijańską duszę powiedzieć! Czy wam nie wstyd?

Schylona, zbierała przez chwilę z ziemi upuszczone z rąk zioła i kwiaty. Potem wyprostowała się i. tuż koło gromadki przechodząc, rzekła jeszcze:

— Stójcie tu i czekajcie wiedźmy, bo jak Bóg jest w niebie, ona nie ukazała się jeszcze. Mnie pilno do mego i do dzieci. Bywajcie zdrowi!

Skinęła głową ku obecnym tak wesoło i uprzejmie, jakby o tem, co ją od nich spotkało, całkiem już zapomniała, żwawym krokiem poszła drogą, wiodącą ku samotnej chacie i czerwono błyszczącej obok niej kuźni. Idąc, zaraz w początku drogi, na skoczną, hulaszczą nutę śpiewać zaczęła najweselszą z pieśni wiejskich:

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na reku.
O, jak związuć białe ruczki,
Nie rozwiążuć do wieku!

Ludzie, pozostali u ognia, stali z pochylonemi głowami w milczeniu, które pierwszy przerwał Piotr Dziurdzia:

— Ot, i okazał nam Pan Bóg wszechmogący krzywdzicielkę naszą.

Żony Piotra i Szymona głośno westchnęły, a Stefanowa podskoczyła i przed mężem, trzymającym w objęciu dziecko, stanęła. Obu rękoma trzymając się za biodra, naprzód pochylona, z wlepionemi w niego oczyma, przez zaciśnięte zęby wymówiła:

— Wiedźma, kowalicha! wiedźma miła twoja! Wiedźma, twoje serdeńko najmilsze!

Zdawało się, że trzy te wykrzykniki, niby trzy policzki, w twarz mu rzucała. On głowę swą ku głowie uśpionego dziecka pochylił i wyglądał zgryzionym, ponurym, lecz ani mniej, ani więcej, niż zwykle. Żony jakby nie widział i popędliwych gwiżdżących słów jej jakby nie słyszał. Sam do siebie zcicha mruknął:

— To ja już dawno wiedział, że ona jest wiedźmą!

Hoża Franka opuściła plecy i ramię ładnego parobka i, zwrócona w stronę, w którą poszła kowalowa, z palcem do ust przyłożonym, głęboko nad czemś rozmyślała. Ogień niepodsycany przygasał, i blaski jego spełzły już z krzyża, który wznosił się teraz na tle zmroku wysoki, czarny, niemy. Ludzie, którzy niby motyla na świecę, złapali wiedźmę na ogień rozniecony z osinowego drzewa, mogli już i do domów swych odejść, nie odchodzili jednak: dumali i słuchali, jak przy drodze, wiodącej do kuźni, w wierzbach i dzikich bzach, coraz częściej jęczały i łkały lelki. Para goniących się nietoperzy krętym lotem przemknęła nad drogą i na ściernisko upadła. Na drodze wiodącej do kuźni rozległ się jeszcze rozgłośny i czysty głos kobiety, wyśpiewujący drugą strofę skocznej pieśni:

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na piesok.
Pacierała lata młode,
I swój tonki hałasok.

Śpiewowi temu zdawały się wtórować coraz częstsze uderzenia kowalskiego młotu, a przez drzwi kuźni ulatywać zaczęły w mroczną przestrzeń gęste już roje czerwonych iskier. Śpiewająca kobieta przyśpieszyła kroku, a gdy niewielka przestrzeń dzieliła ją od samotnej chaty, z napełnionego jaskrawem światłem wnętrza kuźni ozwał się męski, basowy głos, który, przy nieustającem stukaniu młota, połączył się z głosem niewieścim i donośnie, wesoło zawtórował trzeciej strofie pieśni:

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na Dunaj.
Nie chacieła idźci za muż,
Cieper siedzi i dumaj!

II.

Oj, dawno już, dawno, mieszkańcy Suchej Doliny podejrzewali Pietrusię, wnuczkę ślepej Akseny, że posiadała ona wiadomości i moce takie, jakich posiadać nie można bez stosunków z nieczystą siłą. Były to wprawdzie podejrzenia i przez nikogo głośno nie wyrażane, ale pochodziło to tylko stąd, że, wśród niezliczonych trudów i trosk powszedniego żywota, nie zajmowano

się niemi bardzo, i stąd jeszcze, że nikt nie posiadał jasnych dowodów, aby Pietrusia uczyniła komukolwiek cokolwiek złego. Niemniej podejrzenia te, w stanie zawiązkowym wprawdzie i głuchym, istniały.

A jakżeby mogły nie istnieć, skoro pewne okoliczności życia Pietrusi, jako też pewne jej postępki i cechy charakteru wyjątkowemi były, to jest, niezupełnie takiemi, jak wszystkich innych mieszkanek Suchej Doliny. Te wszystkie inne, naprzykład, rodziły się w tej wiosce, przed oczyma ludzi, tak, że ludzie pamiętali ich chrzciny i dziecięce lata; następnie, po wyjściu zamąż, żyły one w chatach, nie samotnie śród pola stojących, ale rzędem przy sobie zbudowanych tak, że w jednej wybornie widać i słychać było wszystkie sprawy i sprawki drugiej, a życie ich upływało różnie, swarliwie lub zgodnie, pracowicie lub leniwo, dostatnio lub ubogo, jak tam już której natura była, i Pan Bóg dał, ale tak, jak Pietrusia, żonka Michała kowala, nie wychodziła zamąż i nie żyła żadna. Żadna też nie wiedziała tyle dziwnych rzeczy, co ona. Skąd ona je wiedzieć mogła? Chyba od ślepej babki swojej, Akseny, która przed wielu laty przywędrowała tu skądciś z malutką wnuczką i, wtedy jeszcze ślepą nie będąc, prosiła ludzi o pracę, jak o łaskę, a otrzymawszy ją, czyli pełniąc różne służby, to u najdostatniejszych gospodarzy Suchej Doliny, to w pobliskich dworach, Pietrusię swoją na dorosłą dziewkę wyhodowała. Zdawało się, że na to tylko czekała, aby oślepnąć, a gdy to się już stało, nie krzyczała, nie lamentowała, tylko, wgramoliwszy się omackiem na piec, kądziel i wrzeciono w ręce wzięła i do wnuczki rzekła:

— Teraz ty duża i, chwalić Boga, silna. Możesz pracować i mnie żywić do końca życia mego, tak jak ja ciebie żywiła od maleńkości, kiedy ci ojciec i matka jednego roku zmarli. Na przyodziewek sama sobie zarobię. Prząść i na pamięć potrafię.

Sucha to już wtedy i bardzo stara była babina, z twarzą, która wyglądała tak, jakby ją kto z żółtawej kości wyrzeźbił, i oczyma zaszlemi jakąś białą plewą. Nos miała długi i śpiczasty, wargi tak wyschłe i żółte, że ich prawie widać nie było, czoło w tysiąc drobnych zmarszczek sfałdowane. Przyodziewek jej był tak skromny, że można było uwierzyć, iż zarobi nań sobie, na pamięć przędąc. Samodziałowa sina spódnica, fartuch, koszula gruba i czepek z czarnej bawełnicy tak ściśle i gładko oblepiający głowę, że trochę tylko białych jak mleko włosów, wydobywając się z pod niego, otaczało jej czoło. Jakby na dowód, że to, co mówiła, prawdą było, na piecu siedząc, jedną

rękę do kądzieli podniosła, a drugą z wrzecionem przed siebie wyciągnęła i prząść zaczęła. Nie widziała nic a nic, ani nawet dnia od nocy rozróżnić nie mogła, jednak z pod palców jej wywijała się nitka długa, a tak równa i cienka, że i z najlepszemi oczyma wyprząśćby tak nie było łatwo. Od chwili do chwili palce śliniła i nić długą, równą, cienką snuła; w żółtej i jakby z kości wyrzeźbionej jej ręce wrzeciono kręciło się, furczało; wyschłe jej wargi zarysowały zaledwie widzialny uśmiech, a białkiem powleczone oczy zdawały się patrzeć w twarz wnuczki i mówić:

— A co? widzisz? ja, choć ślepa, do niczego jeszcze nie jestem. Tylko strawę mi daj, a na przeodziewek sama zarobię.

Pietrusia, siedmnastoletnia podówczas dziewka, zdrowa i rumiana, choć jeszcze jak młoda topola cienka i wysmukła, siedziała na brzeżku pieca i, oczy mając pełne łez, już, już wybuchnąć miała wielkim nad kalectwem babki płaczem i lamentem; jednak, widząc, że babka nie płacze, lecz owszem uśmiecha się trochę i wrzecionem furka, pochyliła się, kolana i stopy jej ucałowała i rzekła tylko:

— Dobre, babulo, żywić ja ciebie będę i pilnować jak oka w głowie, tak jak ty mnie żywiła i pilnowała od maleńkości, kiedy mi ojciec i matka jednego roku pomarli. Tak mi Boże dopomóż, że będę.

Przy ostatnich wyrazach uderzyła się pięścią w piersi i zapłakała trochę, ale niedługo, bo i sama płaksiwą nie była i babka, po głowie ją pogłaskawszy zaraz, rzekła:

— Nu, ciepier (teraz) do roboty idzi. Niema czasu bzdurzyć. Piotrowa dziś nieduża (słaba), krów sama nie podoi i świń nie nakarmi. Idź krowy doić i świnie karmić.

Poszła i, niby żwawy duch skrzętności, uwijała się po zagrodzie. Była to zagroda Piotra Dziurdzi, którego żonka chorowała wtedy, albo nie domagała przez lat kilka, a że córki w domu nie było, i synowie, pacholętami zaledwie będący, żenić się jeszcze nie mogli, więc gospodarstwem kobiecem za strawę i przyodziewek trudniła się Aksena wprzódy, teraz trudnić się zaczęła Pietrusia.

Piotr był gospodarzem dostatnim i mogącym pozwolić sobie na ten zbytek, aby chorą żonę jego sługa zastępowała. Było to zresztą koniecznością, na której wychodził nie najgorzej. Jak wprzódy Aksena, tak teraz Pietrusia robiły wszystko, co należało, z gorliwością kobiet, które, nic a nic na całej ziemi Bożej nie posiadając, ludziom, którzy coś posiadają, z całych sił zasłu-

giwać się muszą; zasługiwały się też one, jak tylko mogły. Chata Piotra pełną była nietylko pracy niewieściej, oszczędzającej i przysparzającej dobra wszelkiego, ale i czegoś innego jeszcze, co, nie będąc do życia niezbędnem, uprzyjemnia je przecież i rozwesela.

Dwie te kobiety, z których jedna była bardzo starą i ślepą, druga młodziutką, żwawą i wysmukłą, napełniały mu chatę bajkami i pieśniami. Aksena umiała mnóstwo bajek, a Pietrusia mnóstwo pieśni. Były tam bajki i pieśni tutejszej okolicy właściwe i te, które Aksena przyniosła z sobą z tych stron dość dalekich, z których przed kilkunastu laty tu przywędrowała. Wędrowała, wędrowała, przytułku i pracy szukając, aż tu przywędrowała, przytuliła się wraz z dzieckiem i wszystko, co miała, mieszkańcom Suchej Doliny oddała. Bajki z różnych stron pozbierane w wieczory zimowe opowiadała, a pieśni, choć już sama nie śpiewała nigdy, to nauczyła ich wnuczkę swoją, której żywiołami rodzinnemi zdawały się być: ruch, śmiech i śpiewanie.

Skąd u tej sieroty i tułaczki ubogiej wzięła się żywość i wesołość taka, że porównaćby ją można do ustawicznie tryskającej przejrzystej wody źródlanej? Trudno powiedzieć. Zapewne w sposób taki utworzyła ją sama natura, a wiele także znaczyło i to, że, choć biedy i głodu zaznała czasem, złego obejścia się nie zaznała nigdy. Osłaniała ją przed niem babka, ludziom zasługując się na to, aby jej nie krzywdzili, a sama za dzieckiem przepadając, jak podróżujący w noc ciemną przepadałby za jedyną gwiazdą, którąby przyświecała jego samotnej i kamienistej drodze. Wszystkich swoich na kamienistej swej drodze Aksena potraciła: córkę, która, urodziwszy Pietrusię, wkrótce potem umarła; zięcia, którego z tej ziemi zdmuchnęło tchnienie zarazy; męża, który z ręką zdruzgotaną w kole młocarni umarł w szpitalu; syna, który poszedł do wojska, kędyś na skraj świata i nigdy już nie powrócił: rozłajdaczył się może i w turmie zgnił, albo go na wojnie zabili... Oprócz tych wszystkich swoich ludzi straciła ona jeszcze jedną rzecz swoją: mianowicie wioskę rodzinną, która, piaszczyste grunta mając, a łąk i pastwisk nie mając, tak ubogą była, że kawałka chleba, gdy go zapotrzebowała, dać jej nie mogła. Nie z własnej woli, ale z konieczności poszła w świat cudzy.

I któż, o tem wszystkiem wiedząc, zaprzeczyćby mógł, albo chociaż dziwić się temu, że wnuczka była dla niej tą jedyną gwiazdą, która przyświeca ciemnej i kamienistej drodze

podróżnika. To też nie biła jej ona i nie łajała nigdy. Wprawdzie pocałunkami i pieszczotami obdarzała ją bardzo rzadko; poprostu nie miała na nie czasu i, zawsze zmęczona fizycznie, z twardemi muskułami i silnemi nerwami swemi, potrzeby ich nie czuła. Ale nie zjadła nigdy łyżki strawy, zanim wprzód wnuczki nie nakarmiła, nie kupiła sobie przyodziewku żadnego, zanim jej czysto i cało nie przyodziała; na noc brała ją z sobą na piec i sukienną derką starannie okrywała; w niedziele i święta śpiewać ją uczyła i opowiadała jej różne dzieje o dawnych czasach i ludziach, o dalekiej stronie rodzinnej, o czartach i upiorach, zbójach i — aniołach, które sierot strzegą i nad niemi srebrzyste skrzydła swe roztaczają.

Pietrusia czuła się otoczona skrzydłem anielskiem i czasem do rówieśnic swych mówić zaczynała:

— Ona, jak ten anioł nade mną...

Lecz nigdy rozpoczętej mowy nie kończyła. Wyrazów jej brakło, czy też wstyd ją ogarniał, że tak śmiało tajemne myśli swe wypowiadać zamierza. Milkła, powieki z długiemi rzęsami na szare źrenice spuszczała i róg fartucha w palcach kręciła. Ale zmieszanie to, jak wszelkie uczucie smutne albo przykre, przemijało w niej bardzo prędko. Ani w smutku, ani w milczeniu, ani w nieruchomości długo wytrzymać nie mogła. Idąc, podskakiwała zwykle, jakby ją do tańca brała ochota; pracując, przyśpiewywała sobie, jedząc nawet, gadała i gadanie śmiechem przeplatała. Taką już była jej natura. Po zupełnem oślepnięciu babki na dni kilka spowolniała trochę i umilkła, ale i to jej prędko przeszło.

Aksena nie skarżyła się wcale, owszem, po całych dniach i wieczorach, na piecu siedząc, spokojnie sobie przędła i, gdy potrzeba jej wypadła, z ludźmi rozmawiała, doradzała im i rozpowiadała rzeczy różne, jak gdyby nie wydarzyło się jej nic osobliwego.

Pietrusia nosiła jej na piec strawę, dmuchając na nią, gdy była gorącą, kartofle w krupniku łyżką drobiąc, skwarki z zacierki lub kaszy wyławiając. W ręce ślepej, które wyciągały się po żywność i w powietrzu błądziły, łyżkę i chleb wkładała, tonem namowy mówiąc:

— Jesz (jedz), babula, jesz sobie: ja miskę potrzymam.

Każdej niedzieli zrana, gdy wszystko zrobiła, co tylko w chacie do zrobienia było, z kubłem wody i grzebieniem w ręku na piec właziła i przez całe pół godziny trudniła się myciem i czesaniem babki. Szmatą umoczoną w wodzie myła

i szorowała twarz jej tak gorliwie, że przez parę dni potem błyszczała ona zupełnie tak, jakby wyrzeźbioną była z żółtawej i wypolerowanej kości. Potem na białe jej włosy wkładała czepiec z bawełnicy czerwonej lub czarnej, a jeśli kiedy, w sobotę więcej niż zwykle czasu mając, suto go bawełnianą taśmą wygarnirowała lub wąziutkim i błyszczącym galonikiem oszyła, to już bardzo zadowolona, z lubością przed ustrojoną tak babulą kołysała głową, językiem o podniebienie uderzając, i powtarzając:

— Ot, jak ślicznie! oj! jak ślicznie!

Czerwonem garnirowaniem, albo błyszczącym galonikiem otoczona, kościana twarz starej ślepemi oczyma swemi zdawała się surowo wpatrywać w okrągłą, rumianą, roześmianą twarz wnuczki. Żółtym palcem dotykając czepca swego, stara pytała:

— A skąd wzięłaś galonik?

— Piotr jeździł do miasta, to go prosiłam, żeby kupił.

— A skąd hrosze miałaś?

— Z lata jeszcze schowałam, kiedy to żąć chodziłam do dworu.

Stara umilkła.

W głosie wnuczki słyszała szczerość. Ale po chwili zapytywała znowu:

— A nie udaje się kto do ciebie?

Oczy spuszczając, dziewczyna odpowiadała:

— A udają się. To już ja tobie, babulo, przeszłej niedzieli mówiła.

— Stefan Dziurdzia? — tonem zapytania szeptała stara.

— Ale!

— A więcej kto?

— Toż ja mówiła! Michałko Kowalczuk.

— Aha! to nic... Na to ty dziewka, żeby do ciebie kawaliry udawali się. Ale galonu od nich nie brałaś, ani paciorek, ani hroszy, ani nic? Nie brałaś?

— Nie brałam.

— Pewno?

— Dalibóg!

— Pamiętaj. Sierotą jesteś i tylko na boskiej opiece, nie daj się skrzywdzić, bo zginiesz, tak jak ta kropla wody w wielkiej rzece... Ja już teraz na ciebie nie patrzę, ale Pan Bóg patrzy, i ludzie także patrzą. Pamiętaj, żeby na tobie grzechu przed Bogiem, a wstydu przed ludźmi nie było. Kiedy który lubi, niech żeni się, a kiedy żenić się nie chce, to ty jego przy zbliżeniu się

wszelkiem, raz, dwa, trzy — w pysk! taj hodzi! Dziewczyna powinna być jak ta szklanka, kiedy ją w wodzie krynicznej wymyją, ot co?

I długo jeszcze staruszka w sposób taki do wnuczki przemawiała, a powtarzało się to każdej niedzieli. Jednej zaś niedzieli tak do niej rzekła:

— Jeżeli kogo polubisz i zechcesz koniecznie, żeby on z tobą ożenił się, to powiedz mnie. Ja na to sposób znajdę... Na to już ja twoją babką i jedyną na tym świecie opiekunką jestem, żeby ciebie w każdej godzinie ratować...

Bardzo zawstydzona, ale zarazem i zaciekawiona, Pietrusia szepnęła:

— A jakiż to sposób, babulo?

Stara pocichutku prawić poczęła:

— Wszelakie są na to sposoby. Można nietoperza w mrowisku zakopać i, jak go mrówki ze wszystkiem zjedzą, z kosteczek jego jedną taką wybrać; można i ziela takiego poszukać, co nazywa się zaharduszka, a korzonki ma takie, jak niby to dwie rączki połączone... Można i innego ziela...

Wszystko to stara prawiła z powagą wielką i tajemniczością niejaką, a prawiłaby była daleko dłużej, gdyby ją była Pietrusia mocno za fartuch nie pociągnęła. Przytem wstydliwie, lecz zarazem radośnie zachichotała.

— Hodzi, babulo — szepnęła —hodzi! Niczego mi tego nie trzeba. Ani nietoperza, ani zaharduszki, ani innego ziela nie trzeba. On i tak ożeni się ze mną!

Stara widocznie z natężeniem wielkiem uszy nastawiła:

— Który? — zapytała.

— A Michałko.

— Kowalczuk?

— Ale!

Babka przyzwalająco pokiwała głową.

— Dobrze — rzekła — dobrze, czemu nie? chatynkę swoją i kawałek swojej ziemi po ojcach ma. Przytem rzemieślnik... Ajaj... Jakby było dobrze! Kab tolko żeniłsia!

— Oj, oj! — triumfująco zadzwoniła Pietrusia — dalibóg ożeni się! mówił mi nie raz, ale sto razy...

To mówiąc, rozpromieniła się cała. Z młodziutkich wesołych oczu jej trysnął snop promieni, zęby jak perły błysnęły z za czerwonych warg. I wielka, niezmącona radość tak ją całą napełniała, że, nie mogąc na miejscu wysiedzieć, zesko-

czyła z pieca i zaczęła, po izbie kręcąc się, na całe gardło wyśpiewywać:

— Jeść u menie, mój mileńki,
Wsia moja rodzina,
Jak przyjedzie on do menie,
Szczaśliwa hadzina!

Izba była pustą, bo w niedzielny ranek Piotr z Piotrową jechali do kościoła, a chłopcy na ulicy wiejskiej z rówieśnikami hulali.

Piosenka, przez Pietrusię rozpoczęta, miała drugą, trzecią i czwartą strofę, i dziewczyna prześpiewała je wszystkie, jak fryga zwijając się po izbie, stół mokrą szmatą wycierając, do pieca na gotującą się strawę zaglądając, kury nakoniec, które na środek izby powyłaziły, do ciemnych spędzając podpiecków. Kiedy nakoniec śpiewanie dziewczyny i gdakanie kur, i chrząkanie wypędzonego do sieni wieprzka umilkły, ze szczytu pieca ozwała się Aksena:

— Pietrusia!

— A co?

— Chodzi tu!

Wskoczyła na tapczan, u pieca stojący, i zapytała:

— Co, babulo?

— Ot co. Michałku teraz dwudziesty pierwszy roczek idzie?

— Ale — potwierdziła dziewczyna.

— To to i bieda. Jakże on z tobą ożeni się, kiedy jemu trzeba do wojska iść?

Dziewczynę uwaga ta babki przestraszyła zrazu bardzo.

— Nie może być! — krzyknęła.

Stara głową pokiwała.

— Oj, dziecko z ciebie gorzkie! albo ty o tem nie wiedziała?

Co ona tam miała o jakiemś wojsku wiedzieć? Ani pomyślała nigdy, że jakie wojska są na świecie! I miły nie mówił jej ani razu, że w sołdaty pójdzie, choć o tem dobrze wiedzieć musiał, ale, zwyczajnie młody: kiedy lubił dziewczynę, szeptał z nią u opłotka, albo i kibić jej obejmował, wtedy o tem, co będzie kiedyś, nie myślał.

Stara Aksena wiele wiadomości o świecie i doświadczenia posiadała. Czy raz już, czy raz w swem życiu widziała chłopców w sołdaty branych, którzy wracali nieprędko, nieprędko,

a czasem tak, jak i jej syn rodzony, nie wracali nigdy? Jeżeli która dziewczyna czekała na nich, rutkę przez życie całe siać była zmuszoną, bo choć powrócił który, to z innem sercem, z innemi myślami. A jeżeli ślub z nim wzięła, zanim w świat poszedł, jeszcze gorzej było, bo życie sołdatki, to już takie życie, że niech od niego Pan Bóg święty obroni! Wszystkie te i wiele innych rzeczy długo Aksena do ucha dziewczynie szeptała, aż Pietrusia, splótłszy na twarzy ręce, rozpłakała się rzewnemi łzami.

— Nu — tonem perswazji zaczęła babka — to idź za Stepana Dziurdzię. I on do ciebie chętny, a gospodarz z niego dostatni. Słodkie ci życie z nim będzie.

Dziewczyna zatupała po tapczanie bosemi stopy.

— Za niszto! (za nic) — krzyknęła — żeby tam nie wiem co, Stepanową żonką nie będę.

— Czemu? gospodarz taki i młody, i wyrośnięty jak ten dąb, i bratów ma bogatych.

Pietrusia oczu nie odsłaniała i, z ruchami gwałtownej niechęci i niecierpliwości, wciąż tylko powtarzała:

— Za niszto nie pójdę za niego! nie pójdę! nie pójdę!

I dopiero na gwałtowne dopytywanie się babki niechęci swej przyczynę wyznała. Było tam raczej przyczyn dwie.

— Hadkij (wstrętny) mnie on i wielmi zapalczywyj. Bić budzie!

Ani słowa przeciw Aksena powiedzieć nie mogła. Znała Stepana Dziurdzię oddawna i wiedziała, że istotnie był on gniewliwy, porywczy, łatwy od swarów i bójek. Oczy jego niewały od młodu błyski silnych i srogich namiętności, gesty były prędkie i zapalczywe, głos szorstki i gruby. Pracowitym był, roztropnym w radzie i rozmowie, upijał się bardzo rzadko, gospodarstwo miał dostatnie, długu ani grosza; jednak we wsi miru i powagi nie posiadał, bo opryskliwością swą, grubem łajaniem i skorą do bójki pięścią naraził się wszystkim, a dziewczęta to już wprost uciekały od niego, tak się go bały. Kilka razy już do chat różnych swaty posyłał, i nigdzie go nie przyjęto.

Dziewczęta, zanosząc się od płaczu, krzyczały w niebogłosy:

— Bić budzie! jeszcze kiedy zabije!

Rzucały się do nóg rodzicom, błagając, aby nie wydawali za tego Heroda.

Stepan wykrzykiwać począł, że nie dba o te durne i pośle swatów do drugiej wioski, ale wtem w chacie stryjecznego brata

jego, Piotra, Pietrusia dorosła, i odtąd Stepan na żadną inną dziewkę ani spojrzał. W nią oczy wlepił i do chaty braterskiej chodził a chodził. Przyjdzie, bywało, i bez potrzeby żadnej zasiedzi się na ławie godzinę i dwie. Czasem orać trzeba, albo kosić, albo młócić: a on siedzi i za dziewczyną oczyma wodzi, na krzątanie się jej i skoki patrzy, śpiewania jej słucha, i gniewliwa twarz jego łagodnieje tak, że możnaby ją, zda się, niby masło na chleb posmarować. Piotrowi już raz powiedział:

— Biedna ona, czy nie biedna, ja do niej swatów poślę...

— Przybłęda — zauważył Piotr.

— Przybłęda, czy nie przybłęda, swatów przyślę, żebym tylko u niej przychylność jaką zobaczył.

Ale przychylności dla niego w Pietrusi nie było ani śladu. Jak Stepan w nią, tak ona w Michała Kowalczuka oczy wlepiła i tak samo jak inne dziewczęta z płaczem teraz babce mówiła:

— Nie chaczu! Za niszto nie chaczu! bić będzie! jeszcze kiedy zabije!

Po tem, co powiedziała jej babka o przyszłym i niezawodnym losie Michałka, wypłakała się i znowu krzątać się po chacie i śpiewać zaczęła:

— Ni tam szczaście, ni tam dola,
Hdzie bohaty ludzie;
Kto z miłości sia zaruczyć,
Tomu miłość budzie!

Przerywając sobie śpiewanie, rzekła:

— Ot, może nie pójdzie... co tam! Może Michałek w sołdaty nie pójdzie...

Potem dodała:

— Żeby tylko dziś przyszedł...

Aksena, której może żal było, że wnuczkę do płaczu gadaniem swem doprowadziła, ozwała się z pieca:

— Rzuć wienik do ognia!

— A na co? — zdziwiła się Pietrusia.

— Rzuć wienik do ognia — powtórzyła stara. — Jak spalisz wienik, goście będą.

Pietrusia wrzuciła w ogień starą miotłę, a gdy dnia tego Kowalczuk przyszedł istotnie do chaty Piotra, uwierzyła święcie w cudowną skuteczność tego środka i doradzała go potem wszyst-

kim rówieśnicom swoim. I czy jedną również dziwną i jeszcze dziwniejszą rzecz Pietrusia ludziom mówiła i doradzała? O tych wszystkich rzeczach dowiedziała się od babki, a ponieważ ustawicznie trzepała językiem, niczego w tajemnicy nie zachowała i nie pomyślała nawet nigdy o tajeniu się z czemkolwiek. Jednak, pomimo wczesnej mądrości swej, nie odgadła raz wróżby, która tyczyła się własnej jej doli.

Dnia pewnego chleb z pieca łopatą dostawała. Zazwyczaj pieczenie chleba udawało się wybornie. Doświadczone nawet gospodynie dziwowały się zawsze doskonałości jej pieczywa, szepcząc pomiędzy sobą, że chyba jej jakaś siła dopomaga, kiedy tak nigdy w niczem nie chybi. Siłą tą była istotnie pilność i zręczność dziewczyny, która cokolwiek robiła, to już duszą całą i z dziwną zgrabnością. To też teraz bochny chleba jeden po drugim ukazywały się na łopacie i z łopaty zsuwały się na stół, rumiane, pulchne, w miarę wypieczone, pachnące tak, że aż izba cała zapachniała. Dobry kęs chleba — wesele chłopa. Piotr, siedząc na ławie, z łokciami o stół opartemi, uśmiechał się w zwykły sobie sposób łagodny i poważny; wciąż jeszcze niedomagająca Piotrowa, piorąc jednak u pieca grube szmaty, z uśmiechem też o czemś prawiła; dwaj dorastający chłopcy, hałasując, palcami pulchności chleba próbowali, i jedna tylko doskonała piekarka nie śmiała się i nie uśmiechała nawet. Tak ważną czynność, jak wydobywanie z pieca chleba, spełniała ona zawsze z policzkami rozognionemi od gorąca, z rękawami koszuli zawiniętemi po łokieć, z wydętemi wargami i trochę nawet zmarszczonem czołem.

Nagle krzyknęła:

— Aj! aj!

I ostatni bochen chleba na stół zsunąwszy, łopatę na ziemię upuściła i ręce załamała.

— Oj, Boże, mój Boże! — z płaczem prawie zawiodła.

Piotr i Piotrowa jednocześnie szyje powyciągali, na chleb spojrzeli i jednogłośnie rzekli:

— Pęknięty, czy co?

Nie mylili się. Ostatni bochen chleba wyszedł z pieca nawskróś prawie pęknięty, jakby nożem na dwoje rozkrojony.

— Pęknięty! — powtórzyła Pietrusia.

Kilka sekund trwało milczenie, aż z pieca ozwał się stary głos Akseny:

— Ktościś odłączy się!

Piotrowa rękę do czoła i piersi poniosła.

— W imię Ojca i Syna... Niech Pan Bóg miłosierny... nas od wszelkiego nieszczęścia broni!

— Ktościś odłączy się! — powtórzyła stara.

— Z chaty czy ze wsi? — zapytał Piotr.

Aksena po chwili namysłu odpowiedziała:

— Może z chaty, a może i ze wsi, ale ktościś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodzi.

Istotnie, odłączył się od Suchej Doliny ktoś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodził: Michał Kowalczuk los wyciągnął i ze wsi wywędrował — do wojska. Przedtem jednak wi dziano o zmroku dwoje ludzi, długo siedzących na wielkim, omszałym kamieniu za wsią, tam, gdzie drogi rozchodziły się w cztery strony świata, i wznosił się stary, wysoki krzyż. Dwaj parobcy przechodzili tamtędy ze dworu, w którym najmowali się do młocarni, i rozpowiedzieli w wiosce, że Pietrusia na kamieniu pod krzyżem żegna się ze swoim Kowalczukiem.

Mówili o tem, śmiejąc się na całe gardło. Zaśmiały się kobiety.

— Niechaj żegna się — mówiły — bo to już będzie na wieki wieków, amen!

Wszyscy we wsi jednogłośnie utrzymywali, że Pietrusia pożegnała się ze swoim miłym na wieki wieków, amen. Powrócić — to powróci on tutaj pewno, bo swoją ziemię i chatę w Suchej Dolinie ma, ale aż za sześć lat, to dla dziewczyny wiek. Albo za kogo innego tymczasem pójdzie, albo i zestarzeje, a Kowalczuk jej nie zechce. Gdzieby on tam za sześć lat jeszcze zechciał! Z innem sercem i z innemi myślami z dalekiego świata powróci.

Nawet stara Aksena toż samo mówiła wnuczce, która jednak przecząco głową wstrząsnęła i wciąż powtarzała:

— Powiedział, że, jak powróci, ożeni się ze mną. Powiedział: — Czekaj ty na mnie, Pietrusia...

— I ty, durna, będziesz czekać?

— Będę.

Stara zaniepokoiła się bardzo; zeschłe wargi jej i kościane policzki często odtąd poruszały się w sposób taki, jakby coś z trudnością wielką w bezzębnych dziąsłach swych przeżuwała. Kilka razy jeszcze do wnuczki rzekła:

— Idź za Stepana: może nie będzie bić, a jeżeli kiedy i wybije, to co? Lepiej zawsze w mężowskiej chacie siedzieć, niż przez całe życie na cudzem harować.

Ale na te wszystkie perswazje i namowy Pietrusia jedną tylko miała odpowiedź:

— Nie chaczu, nie pajdu!

Piotrowa także namawiała ją, żeby za Stepana szła.

— Bogaty — mówiła — i pracowity, gospodarny, niepijący. Będziesz u niego w kupnych perkalach chodzić i sadło łyżką jeść.

Dziewczyna odpowiadała:

— Niechaj Stepanowe sadło świnie jedzą!

Te namowy, które spotykała ze stron wszystkich, obudziły w niej gniew, pierwszy zapewne w życiu. Zaciskała potem usta i nie odpowiadała nic. Żeby tam nie wiadomo co mówili przed nią o Michałku i o Stepanie — milczała. Baby swoje, a ona swoje. One gadają, namawiają, użalają się nad jej głupotą, łają nawet — ona milczy; krowy, bywało, doi, czy szmaty pierze, czy świnie karmi, czy chleb miesi — milczy; uparła się. Mniemała też zapewne, że ludzie pogadają, pogadają i w pokoju ją zostawią, pozwalając, aby sobie żyła wedle woli. I byłoby to najpewniej nastąpiła, gdyby tylko Stepan odczepił się od niej. Ale on o tem ani myślał. Kilka razy chciał już objąć ją i pocałować, to na dziedzińcu, to w ogrodzie, to w oborze; zawsze jednak zdołała ona uciec od niego tak, że ani do uścisków, ani do kłótni nie przyszło.

Raz przecież przyszedł w niedzielę, kiedy w chacie, prócz niej i starej Akseny, nie było nikogo. Ujrzawszy go we drzwiach, Pietrusia skoczyła do komory, gdzie zaczęła niby to groch z worka na wieczerzę do garnka sypać, ale Stepan wnet znalazł się przy niej i, obejmując ją jedną ręką, drugą próbował zasunąć z wewnątrz drzwi komory. Przyczem wyglądał tak strasznie i tak przeraźliwie klął dziewczynę, którą już teraz napewno, jak mówił, w pułapkę pochwycił, że zrazu krzyknęła wniebogłosy i ciemno zrobiło się jej przed oczyma. W mgnieniu oka przecież odzyskała przytomność, i może na pamięć przyszły jej słowa i rady babki, bo z twarzą czerwoną jak piwonja, z iskrzącemi się oczyma, zaciśniętemi usty, wyrwała się z objęć chłopa i obie ręce w górę podniosła. Raz, dwa, trzy w pysk! taj hodzi! Stepan jak oparzony z komory wyskoczył, a potem i z chaty. Uczynił to głównie dlatego, że usłyszał w sieni kroki Piotra, a świadka wstydu swego mieć nie chciał. Pietrusia, w ogniu i łzach cała, upadła do kolan babki, która na krzyk jej zsunęła się z pieca i, na kiju wsparta, stała przed drzwiami komory, kościanemi szczękami gwałtownie poruszając i bielmem zaciągniętemi oczyma

zdając się z natężeniem wpatrywać w przestrzeń. I teraz jednak nie wybuchnęła ona gniewem, ani lamentem, tylko żółte jej ręce po chwilowem błądzeniu w powietrzu znalazły głowę wnuczki i ogarnęły tak, jak gdyby drogi jakiś przedmiot utracony na nowo chwytały. Po chwili rzekła:

— Nu, Pietrusia, już nam tu niema czego popasywać... Już tobie tutaj dobrej doli nie będzie. Pokłońmy się Piotrowi i Piotrowej żonie za chleb i za sól, i gdzie indziej mandrujmy.

Chleb i sól Pietrusia z łatwością znalazła, bo słynęła już w okolicy całej jako pracownica wyborna.

W małym, sąsiednim dworku szlacheckim wzięto ją za folwarczną dziewkę i pozwolono babkę trzymać przy sobie, z warunkiem, aby za strawę stara przędła dla dworu len i wełnę. W dwa dni po owej ostatecznej rekuzie, którą w postaci trzech rozgłośnych policzków Stepan Dziurdzia od ubogiej sieroty otrzymał, o samym świcie otworzyły się drzwi Piotrowej chaty i wyszła z nich Pietrusia, w krótkiej siermiędze i sinej spódnicy, w płytkich trzewikach i czerwonej chustce na głowie. Cały przyodziewek swój i babki w płóciennym worku na plecach niosła, a u piersi trzymała owiniętą w płótno prześlicę. Za nią szła ślepa Aksena, w siermiędze także, płytkich trzewikach i czarnym czepcu. Jedną ręką kijem wciąż dotykała ziemi, drugą trzymała mocno rękaw siermięgi wnuczki. Były obie jednostajnie prawie wysokie i szczupłe; wyszły z chaty Piotra i szły przez wieś wyprostowane i milczące. Nad niemi, pod wiosennem niebem, tułały się jeszcze białe mgły nocne, z obu stron stały domostwa pozamykane i nieruchome drzewa ogrodów. Krowy nie ryczały, kury nie gdakały i psy nawet nie szczekały jeszcze. Tu i owdzie tylko, około wrót otwartych, albo za niskim płotem ukazywała się wcześniej od innych zbudzona jakaś postać ludzka i, ujrzawszy te dwie kobiety w szarem świtaniu przez wieś idące, obojętnie albo z litością w głosie je pozdrawiała:

— Z Bogiem idźcie!

One jednogłośnie odpowiadały:

— Z Bogiem zostawajcie!

I szły dalej. Rumiana dziewczyna z wesołemi oczyma prostowała się i przyśpieszała kroku, a do rękawa siermięgi jej przyczepiona stara babka dreptała za nią pośpiesznie, lecz spokojnie, w świat, którego nie widziała, wlepiając swe ślepe źrenice i dotknięcie jego czując w powiewie rannego wiatru, który dokoła jej czarnego czepca i żółtej kościanej twarzy podnosił i strzępił białe jak mleko włosy.

Co tam działo się z Pietrusią w folwarku szlacheckim, o trzy wiorsty od Suchej Doliny, mieszkańcy wsi niewiele o tem wiedzieli.

Służyła, i koniec. Za mąż nie wyszła. W rok po wyjściu jej ze wsi Stepan Dziurdzia formalnie i według zwyczajów wszelkich swaty do niej posyłał. Odprawiła swatów z niczem, a Stepan potem przez cały tydzień wódkę pił w karczmie i bił się, z kim się zdarzyło. Ludzie na dobre mówić już zaczęli, że dziewka cośćiś mu zrobiła, kiedy tak zapomnieć jej nie może i desperuje po niej; napić mu się czegoś dała, aby nigdy już od niej nie odstał. I na co jej to, kiedy go nie lubi i nie chce? Będąca wówczas przy życiu matka Stepana, za syna na Pietrusię rozgniewana srodze, raz rzekła:

— Wiadomo! Babkę ma wiedźmę, co tylko to i wymyśla, żeby ludziom biedę jaką zrobić.

Niebawem przecież Stepan ożenił się z dziewką z sąsiedniej wioski, i gadaniny ludzkie o Pietrusi ustały. Widywano ją rzadko; czasem tylko dziewki z Suchej Doliny, idąc od żniwa lub grabienia, spotkały się z nią, gdy także szła do domu z sierpem lub grabiami, i, mijając dziewczynę, której lata za dwudziestkę już przeszły, niby tak sobie, ale w rzeczy samej do niej, śpiewać zaczynały:

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na Dunaj;
Nie chaciela idźci za muż,
Ciepier siedzi i dumaj!

Czasem też ktoś dawno znajomy, spostrzegłszy ją, z politowaniem głową pokiwał, albo i zażartował:

— A cóż, twój Kowalczuk prędko powróci?

Nie prędko, ale powrócił, i było to dla niego rzeczą konieczną, bo miał pode wsią po ojcach odziedziczoną ziemię i chatę, w której tymczasem cudzy jakiś człowiek, dzierżawca podobno, gospodarował.

Dnia pewnego, w niedzielę, gruchnęła po wsi wieść o tem, że Kowalczuk powrócił już z wojska i w swojej chacie porządek z dzierżawcą robi, a wieczorem, kiedy mnóstwo ludzi rozmawiało, piło i tańczyło w karczmie, on sam ukazał się tam, ale w postaci tak zmienionej, że zaledwie poznać go zdołano. Gdy wieś opuszczał, suchy był jakiś, chuderlawy, na dorastające pachołę więcej niż na urodziwego mężczyznę wyglądający i tak,

jak wszyscy chłopi w Suchej Dolinie, ubierający się w sukienną siermięgę, albo kapotę z sinego lub czerwonego płótna. Teraz gdzie! Lata wojskowych ćwiczeń i marszów rozszerzyły mu ramiona i piersi, a twarz, wprzódy bladą, oblały zdrową, głęboką śniadością. Zmężniał i wyprostował się; czarny wąs urósł mu nad wargami, oczy patrzyły śmiało i roztropnie, a miał na sobie nie siermięgę i nie kapotę, ale surdut z ciemnego sukna, porządne buty na nogach, a na szyi jaskrawą chustkę. W tem ubraniu, z papierosem w ręku, zjawił się w karczmie, a ze stron wszystkich witany i podziwiany, wszystkich nawzajem poznawać i witać zaczął. Odrazu poznać można było po nim, że dużo świata widział, porozumniał, wygrzeczniał, ale do wioski swojej z radością powracał. Dawnym znajomym garniec wódki zafundował i sam parę kruczków wypił, ale więcej to już za nic nie chciał. Papierosy palił, rozprawiał, o szerokim świecie rozpowiadał i, pomiędzy tańczących wmieszawszy się, z dziewczętami miecielicę i kruciela tak zawzięcie i zgrabnie wywijał, jak gdyby był nigdy ze wsi nie wyjeżdżał.

Na środku karczemnej izby wznosiły się takie chmury pyłu, że mętnie tylko rozróżniać w nich można było ciężkie postacie tańczących parobków i pstrą odzież dziewcząt. Ale Kowalczuka każdy mógłby zaraz wyróżnić w tej gromadzie, wirującej śród gęstej kurzawy, nietylko po ciemnym surducie i jaskrawej chustce na szyi, ale najbardziej po zręczności i gibkości ruchów. On to z największą fantazją wykrzykiwał w tańcu: hu, ha! i po kilkudziesięciu obrotach miecielicy z najbardziej zamaszystą gracją zdyszaną swą tancerkę dokoła izby oprowadzał.

Ze wszystkiemi dziewczętami żartobliwe kłótnie porozpoczynał, ze wszystkiemi choć raz przetańczył, w oczy każdej zajrzał, jedną nawet, wstydliwie od niego uciekającą, pomiędzy piecem a drzwiami schwycił i wycałował — a o Pietrusi ani wspomniał, ani się o nią kogokolwiek zapytał. Przypomniały mu ją starsze kobiety, które wprost z pomiędzy tańczących go porwawszy, ścisłem kołem obstąpiły i języki porozpuszczały. Tak i tak z Pietrusią było, mówiły, tak i tak. To i to działo się pomiędzy nią a Stepanem, to i to doradzili jej ludzie, tam i tam poszła, tak i tak dogryzają jej czasem i śmieszne pieśni do niej śpiewają.

Kowalczuk słuchał babskiego gadania i śmiał się tak, że aż mu z pod czarnego wąsa białe zęby błyskały, że aż gruby śmiech jego przygłuszał babskie gadanie, ale nie mówił nic. Ani o Pietrusi,

ani o swoich zamiarach nie powiedział jednego słowa i, poczęstowawszy baby wódką i serem, znowu tańczyć i hulać zaczął jeszcze sierdziściej, niż wprzódy. Wtedy jasno zrobiło się wszystkim, że on już o Pietrusi ani myśli.

— Z innem sercem i z innemi myślami powrócił — powiadano.

Inni dodawali:

— Gdzie jemu teraz o niej myśleć. Przybłęda ona i tyle tylko, że koszulinę jaką na grzbiecie ma, a już i stara z niej dziewka, ot, chyba już jej dwudziesty czwarty roczek idzie. Onby mógł teraz ożenić się i z panienką jaką...

Może ci, którzy tak utrzymywali, nie mylili się wcale, może istotnie Kowalczuk nie myślał już o Pietrusi, i upłynione lata, zaznane wrażenia, zatarły w nim pamięć o dziewczynie i przyrzeczeniach, które po sobie jej pozostawił.

Przez dwa tygodnie ani widział jej, ani starał się zobaczyć. Powiadano, że ze swoim dzierżawcą wciąż porządek robił, co właściwie znaczyło, że wyprawiał go z chaty, nie bez głośnych kłótni i pretensyj o zrujnowanie gospodarstwa, z któremi nawet do sądów poszedł. Widać było odrazu, że zamierzał porządnie rękawy zawinąć do pracy, nietylko rolnej, ale i kowalskiej; oświadczył bowiem gromadzie, że tak, jak dziad i ojciec kowalstwem się tu trudnili, tak i on trudnić się niem będzie; czyja więc łaska, niechaj do kuźni jego przybywa.

W parę tygodni dopiero po swym powrocie, w gorący dzień letni poszedł sobie drogą, het, daleko, pomiędzy szerokie pola. W białym, płóciennym surducie i wojskowej czapce na głowie szedł widać bez celu, zwolna, papierosa palił i z fantazją przeginał się trochę w obie strony, zwyczajnie jak kawaler dostatni, rozumu swego świadom, i którego o nic głowa nie boli... Tak zaszedł aż za brzozowy lasek, jedno z okolicznych wzgórzy obrastający, a za którym leżał łan pola, dojrzałem zbożem ozłocony.

Dziś właśnie zboże to żąć zaczęto; kilkanaście żniwiarek pochylało się nad złocistą falą, która, w miarę poruszania się ich rąk, zdawała się do stóp im się kłaniać.

Kowalczuk stanął u skraju lasku i patrzał na jedną ze żniwiarek, która, wyprostowawszy się, podniosła w ramionach wielki snop żyta i, kilka kroków uszedłszy, rzuciła go tam, gdzie wiele już innych snopów leżało. Potem sierpem w powietrzu błysnęła, pochyliła się znowu i żąć zaczęła. Zbliżała się coraz ku temu miejscu, na którem stał Kowalczuk, ale głowy nie podnosiła

wcale, i tylko ręce jej poruszały się prędko, coraz prędzej, krzesząc sierpem tuż nad ziemią stalowe błyskawice.

Kowalczuk usta trochę otworzył i w tę żniwiarkę wpatrywał się jak w tęczę, papierosa niedopalonego za siebie rzucił i ręce na piersi skrzyżował. U skraju lasku, pomiędzy brzozami stał jak słup i pod czarnym wąsem uśmiechać się zaczął. Dostrzegł wyraźnie, że zbliżająca się ku niemu żniwiarka, jakkolwiek schylona, doskonale wiedziała, że on tam stoi; zerkała czasem na niego z pod powiek, ale nie odezwała się ani słówkiem i głowy nie podnosiła, owszem, coraz prędzej i zapalczywiej żęła.

Kiedy nakoniec o kilka kroków tylko znalazła się od niego, Kowalczuk odezwał się sam:

— Dobry wieczór, Pietrusia!

Wtedy i ona wyprostowała się, ręce z sierpem na spódnicę opuściła i odpowiedziała:

— Dobry wieczór!

Ale nie patrzała na niego; powieki z długiemi rzęsami okrywały jej źrenice; profilem ku niemu zwrócona, zdawało się jakby oczekiwała czegoś, albo, poprostu, śród pracy przez chwilę odpoczywała.

Kowalczuk z gracją oparł się łokciem o wystający sęk drzewa i, mrużąc oczy, przemówił znowu:

— Czy to pięknie taką obojętność dawnemu znajomemu okazywać?

Żniwiarka wzruszyła ramionami i, nie podnosząc powiek, gniewnym jakby tonem odburknęła:

— Jaka tam obojętność!

— A jakże! czy to tak Pietrusia przywitać się ze mną powinna?

— Kiedy kto ze mną nie wita się, to i mnie witać się potrzeby niema.

Kowalczuk opuścił drzewo, o które wspierał się, i parę kroków ku niej postąpił. Oczy jej były ciągle spuszczone, a ręce z sierpem na spódnicę opadały. Od kilku już godzin żęła, dzień był skwarny, i gęste, bujne krople znoju świeciły na ogorzałem jej czole i policzkach tak prawie czerwonych, jak polny mak który z ciemnych włosów opadał jej za ucho.

Kowalczuk patrzał w nią jak w tęczę. Zdawało się, że przypatrywał się tak tym kroplom potu, któremi twarz jej gęsto skropiona była.

— Cóż ty? — zaczął znowu — pracujesz a harujesz...

— Haruję — odpowiedziała.
— Jak ten wół w jarzmie?
— Jak ten wół...
— U cudzych ludzi?
— U cudzych.
— I starą babulę przy sobie żywisz?
— Żywię.
Znowu krok bliżej ku niej postąpił.
— A czemu za Stepana Dziurdzię nie poszła? — zapytał.
— Bo nie chciałam — odpowiedziała.
— A namawiali ludzie?
— Namawiali.
— I babula kazała?
— Kazała.
— To i czemuż nie szła? Było iść; we własnejbyś chacie pracowała, w kupne perkale ubierała się i codzień jajecznicę ze słoniną jadła...
Tym razem dziewczyna żywo z nogi na nogę przestąpiła i odburknęła:
— Niechaj Stepanową jajecznicę świnie jedzą...
— A teraz dziewczęta śmieszne pieśni do ciebie śpiewają, że niby już stara dziewka z ciebie.
Wzruszyła ramionami.
— Niechaj sobie śpiewają.
Kowalczukowe oczy roziskrzyły się, i ręce zatrzęsły trochę.
— Co ty tak do mnie niby gadasz, niby nie gadasz... jak do psa jakiego?... Rzuci słóweczko i znów milczy, i w oczy nawet nie spojrzy... co ja tobie złego zrobił?
Tym razem Pietrusia z rąk sierp upuściła i, dłonie do głowy podnosząc, zajęczała:
— Oj, zrobił ty mnie, zrobił niedolę dla życia całego i pośmiewisko dla ludzi... Dwie niedziele już temu powrócił, a o mnie ani wspomniał, ani nawet przyszedł dobre słowo powiedzieć, ani w tę stronę, gdzie ja była, spojrzał...
Wstrzymała łzy, które niemal wytryskały jej z oczu, schyliła się po sierp i, czyniąc ruch taki, jakby odejść miała, wpół z płaczem, wpół z gniewem zawołała:
— Nie chcesz ty mnie, nie chcę ciebie i ja... Idzi z Łabudową córką żenisia... najbogatsza w całom siele, i oczy ma takie, że jedno na prawo patrzy, a drugie na lewo... Idzi do Łabudowej córki z Bohom od menie!
Otóż te oczy, te oczy, które u Łabudowej córki zezowate

były i przebrzydłe, stanowiły u Pietrusi czar taki, że silniejszego nadeń żadna wiedźma wymyślićby nie mogła. Zresztą, nic tak bardzo osobliwego w niej nie było. Równie zgrabnych i świeżych jak ona znaleźćby można na świecie mnóstwo. Ale oczy jej przez to były osobliwemi, że wprost mówiły i wymową swą przyciągały jak złotym sznurkiem. Opowiadały one całą jej duszę, o której usta wiele mówić ani umiały, ani śmiały. I teraz także w szarych jej źrenicach, któremi ogarniała twarz Kowalczuka, było takie mnóstwo wyrazów namiętnej skargi i żałośliwej prośby, wrodzonej wesołości i długiej tęsknicy, że Kowalczuk schwycił ją za rękę i trochę ku sobie pociągnął.

— Na mnie czekając, za Stepana nie szła? — przyśpieszonym szeptem zapytał.

— A na kogóż? — odszepnęła.

— A ciężko było żyć?

Palcem, na którym od sierpa czy noża pozostała czerwona kresa, łzę z policzka ocierając, odpowiedziała:

— Ciężko.

— Na mnie czekając, w takiem harowaniu i ludzkiem pośmiewisku żyła? — pytał jeszcze.

— A na kogoż?

— Pobóż się!

Palce na krzyż złożyła i oczy ku roziskrzonym błękitom nieba podniosła.

— Tak mnie Boże i Najświętsza Panno dopomóż, że za tobą własnej duszy nie czułam i tak na ciebie czekałam, jak na tego ptaka, co kiedy przyleci, to już słońce zaświeci, i miła wiosna będzie...

Schwycił ją teraz wpół i do gaju pomiędzy brzozy pociągnął.

— Toż i doczekałaś się, bo, jak Bóg jest na niebie, tak cię za żonę wezmę i na gospodynię do swojej chaty wprowadzę. Zapomniał ja troszkę o tobie, to jest prawda, ale jak tylko twoje harowanie i ten twój ciężki pot zobaczył, to zaraz serce cośćś ścisnęło mi jak w kleszczach, a jak twoje oczy popatrzyły na mnie, to cośćś we mnie rozpłynęło się jak ten miód...

Pośród brzóz, pośród zielonych, w powiewach wietrzyka i świergocie ptactwa, przyciskał ją mocno do piersi, ręką, jakby stworzoną do kowadła i młota, z twarzy jej ocierał pot i łzy, i usta, z których wydobywały się śmiech i łkania, pocałunkami zamykał.

Długo potem w Suchej Dolinie ludzie gadali, że Pietrusia

i temu także cośćiś zrobić musiała. Bo któż kiedy słyszał, aby chłopiec, szczególniej jeżeli w szeroki świat pójdzie, sześć lat o dziewczynie pamiętał, a jeszcze taki, któremuby najbogatsze dziewczęta wieszały się na szyję; aby ożenił się z dziewką nie tak to już młodą, ze wszystkiem ubogą, przybłędą!... Stepanowi zrobiła i temu zrobiła, tylko tamtemu odrobiła potem, a tego już sobie zabrała. Jakieś takie ziele zna, czy co? a może i coś gorszego jeszcze...

III.

Znała Pietrusia istotnie mnóstwo sposobów zaradzania różnym przypadłościom życia, o których skuteczności ani na chwilę nie zwątpiła sama i któremi przysługiwała się innym. Doświadczyli tego na sobie jednocześnie, ale w sposób różny, Piotr Dziurdzia i Jakób Szyszko. Pierwszy był jednym z najbogatszych gospodarzy w Suchej Dolinie. Czy grunt jakiś lepszy od innych przypadł mu w udziale, czy trzeźwiejszy i pracowitszy był, niż inni, dość, że dziad jego, ojciec i on sam uchodzili we wsi za bogaczów.

Wkrótce po nastaniu wolności Piotr zbudował chatę, mającą pozór porządnego domku. Miała ona komin, dwa spore okna, mały ganek i ściany z zewnątrz pobielane. Wewnątrz nic tam osobliwego na pierwszy rzut oka spostrzec się nie dawało. Sień, duża izba i obszerna komora; w dużej izbie ogromny piec do gotowania strawy i pieczenia chleba, ławy, stoły, krośna tkackie, gospodarskie statki drewniane — nic więcej; wszystko tak, jak u innych. Ale zajrzeć tylko do komory, obory, stajni, śpichlerza! Tam już działo się zawsze niepospolicie. W największy choćby nieurodzaj zboża nie brakło, bo z roku na rok zostawał zawsze jaki taki zapas, i zbytek lat jednych łatał braki drugich. Cztery krowy, dwa konie, z których jedna klaczka, co roku wydająca źrebię, sześć owiec, wieprze, kury, gołębie, gnieżdżące się na dachu, w ogrodzie gęsty gaik drzew wiśniowych, zmieszanych z dzikiemi gruszami, których owoc dostarczał na zimę wybornych gniłek, wszystkiego tam było pełno. W komorze, na półkach i na ziemi piętrzyły się worki i garnki z wszelkiem dobrem, jedna ściana czerniała cała od pozawieszanych na niej motków nici, stojące pod ścianą skrzynie napełniały po brzegi przyodziewki męskie i niewieście, jako też nie pokrojone jeszcze ściany szarych płócien i sztywnych samodziałów, w sine i czerwone pasy, na domowych krośnach wytkanych. Ale nie-

tylko niezwykły dostatek napełniał chatę Piotra; pełną była ona także i niezwykłego spokoju. Piotr był człowiekiem charakteru flegmatycznego, ruchów ociężałych, mowy rozważnej; żona jego kobieta wysoka, urodziwa i łagodna. W młodości swej jeszcze zaniemogła na reumatyzm i inne jakieś choroby, które uczyniły ją także powolniejszą i mniej od innych niewiastą do kłótni skorą. Stękała często, szeroko i długo użalała się na cierpienia swoje, u kogo tylko mogła, rady na nie zasięgała, gdy bóle srodze dokuczać jej zaczynały, popłakiwała sobie albo i na całą chatę głośne lamenty zawodziła, ale do kłótni z mężem nigdy nie stawała. Gdzieby jej tam, z osłablemi nogami i powykrzywianemi palcami rąk, jej, niezdarze, która jak jaka pani wyręczycielek potrzebowała, do kłótni jeszcze stawać! Szczęściem już dla niej wielkiem było i to, że mąż z chaty jej nie wyganiał, za niedołęstwo nie łajał, a nawet często ulitował się, żałośliwie nad nią głową pokiwał i po ludzku z nią pogadał. Dość była rozumną, aby szczęście to ocenić i każdą wolę męża tak szanować, jakby to była wola boska. Rozumowanie jej pod tym względem było proste.

W chwilach wylania do sąsiadek mawiała:

— Dlaczego ożenił się on ze mną? Nie dla posagu ożenił się, bo nijakiego nie miałam, ale dlatego, żeby w chacie dobrą gospodynię mieć. Jakaż ze mnie gospodyni? Do pracy rwę się, jak ten koń do studni, co zdążam, zrobię, ale mało zdążam. Jak chwaroba schwyci, to i ręce od wszystkiego odpadną. A on mnie za to nigdy nic, żeby choć jedno złe słowo powiedział! Cierpi i milczy. Jeszcze czasem zapyta się: — Może tobie, Agatka, trzeba czego? Może ciebie znów do znachora zawieźć? — Dobry człowiek! Toż ja jemu nie sprzeciwiam się w niczem. Niech jemu i Pan Bóg przenajświętszy nie sprzeciwia się...

Zresztą, sprzeciwić się Piotrowi nie było rzeczą łatwą. Miewał i on przystępy gniewu rzadkie, ale straszne. Możnaby rzec, że w naturze tej cichej i poważnej burze wybuchały tem gwałtowniej, im powolniej i dłużej wzbierały. Niegdyś, zamłodu, był on dla rodziców swych synem uległym i o stare lata ich dbającym, jednak, gdy matka, ze starości zdziwaczała już nieco, dokuczyła mu ciągłemi kłótniami z synową i raz komorę przed nią zamknęła tak, że, wróciwszy z pola, strawy zgotowanej nie znalazł i głodnym być musiał, uderzył ją tak silnie, że stara zaniemogła, przeleżała na piecu czas jakiś i umarła, bo wprzódy już nic prawie sił w niej nie było. Ale Piotr zgryzł się tem tak bardzo, że długo jak nieprzytomny po świecie chodził.

Żonie i kumowi, którego bardzo lubił, powiedział wtedy, że sam siebie tak bać się zaczął, jakby już djabłu duszę był zaprzedał. Odtąd też stał się bardzo nabożnym. Do kościoła jeździł i spowiadał się częściej od innych, za pługiem idąc, pacierze czasem odmawiał, w każde uroczyste święto wielkie bochny chleba i grube zwoje płótna u kościelnego ołtarza na ofiarę składał. Możnaby rzec, że myśl, iż krzywda zrządzona matce duszę jego w posiadanie djabelskie oddała, napełniała go trwogą i żądzą oczyszczenia się przed Bogiem. Zczasem wznieciło to w nim niejaką skłonność mistyczną, której ustawiczna a ciężka praca fizyczna wybujać nie pozwalała, lecz która malowała się w marzycielskim trochę wyrazie, z jakim niekiedy siwe jego oczy patrzały na świat z pod gęstych brwi, jako też w szczególnem zaciekawieniu do cudów, czarów i wszelkich nawet opowiadań o nadprzyrodzoności.

Skłonność ta zwiększyła się jeszcze wypadkiem, który wydarzył się w dzieciństwie młodszemu z synów jego, Jasiukowi. Chłopak przyszedł na świat wtedy właśnie, gdy Piotrowa chorzeć zaczynała i, około pięciu lat życia swego mając, wysechł i wyżółkł tak, że podobniejszym stał się do figurki z wosku, niż do dziecka. Nogi miał nazewnątrz powykrzywiane, gębę wiecznie otwartą, gdy biec chciał, padał.

Klemens hodował się zdrowo i jak wzdłuż, tak wszerz rósł niby na drożdżach; nad Jasiukiem płakała matka, sąsiadki żałośliwie kiwały głowami, a ojciec, według zwyczaju swego, zcicha i powoli coś pomrukując, ponuro czasem głowę zwieszał. Doszło do tego, że Agata, której obrzydły i kwękania chłopca, i ciągłe pilnowanie go, jakby przez tyle lat niemowlęciem być nie przestał, w gniewie i żalu rzekła raz do sąsiadek:

— Ot, niechajby go już lepiej Pan Bóg sobie zabrał...

Wtedy Piotr rozgniewał się znowu. Od śmierci matki przez długie lat kilka nie gniewał się nigdy; teraz znowu w gniew wpadł i byłby wybił żonę, gdyby mu ona z płaczem do ręki nie przypadła, prosząc o zlitowanie nad jej chorobą i niedolą. Krzyczał więc tylko okrutnie, sąsiadki, które macierzyńską żałość Agaty gadaniną swą drażniły, z wielkim dla nich wstydem z chaty wypędził, a wkrótce potem z chorem dzieckiem na wóz wsiadł i do cudownego miejsca na odpust pojechał. Jeżeli tam innym Pan Bóg cuda swe okazywał, czemużby i jemu okazać nie miał?

Powiedział mu ktoś, że dla uproszenia tej łaski trzeba kupić jedną z woskowych figurek, jakie w niektórych kruchtach

kościelnych sprzedają, i złożyć ją na ołtarzu. Piotr kupił taką figurkę i jeszcze mszę na intencję dziecka zakupił, a przesłuchał ją, klęcząc i głośno, żarliwie, z ciężkiemi westchnieniami i uderzeniem się pięścią w pierś odmiawając pacierze.

Gdy u stóp ołtarza chłopcy dzwonili na podniesienie, on w obu ramionach, okrytych rękawami brunatnego kożucha, podniósł chłopca swego w górę, jakby go zmiłowaniu Bożemu ukazywał, a sam, twarz brunatną i gęsto zarosłą wysoko także podnosząc, marzycielskiem spojrzeniem swem ścigał błękitne dymy które nad głowami ludzkiemi, blaskiem świec i rzeźbami ołtarza wzbijały się pod mrocznem sklepieniem świątyni.

Dziecko wróciło z odpustu do chaty tak, jak odjeżdżało: wyschłe, żółte, słabe z wykrzywionemi nogami i otwartą gębą, lecz wkrótce, może w parę miesięcy potem, widocznie poprawiać się zaczęło: bielało, tyło, prostowało się, wprost odżywało. Wprawdzie była to wiosna ciepła i słoneczna, w której odżywało wszystko, co na świecie było: drzewa, trawy, kwiaty, a także i dzieci. Wprawdzie Aksena, która podówczas świeżo w Piotrowej chacie była osiadła, doradziła Piotrowej, aby codziennie wyprawiać Jasiuka na ten suchy piasek, który białą ławicą słał się u końca wioski.

— Niechaj biedulek grzebie się sobie w tym piasku — mówiła — to jak go słoneczko mocno rozgrzeje, dziecko zdrowe będzie. Taka już święta siła jest w gorącym piasku, że on dzieci uzdrawia — kończyła Aksena i Pietrusi, która wtedy jeszcze niedorosłą była dziewczynką, rozkazywała, aby Jasiuka na piasek prowadziła i tam pilnowała go i zabawiała.

Jasiuk nigdy wprawdzie nie stał się silnym, ani tak pięknym i roztropnym, jakim był niewiele odeń starszy Klemens. Wyzdrowiał przecież, nie kwękał już tak, jak pierwej, nie padał co krok, więcej mówić zaczął, wybielał. W chacie Piotra mówiono często o tem wyzdrowieniu i przyczyny jego rozważano. Jedne z bab, nabożnie składając ręce na brzuchu, mówiły:

— Taki to Piotrowa ofiara na odpuście!

— Piasek ten, co go Aksena doradziła — twierdziły inne. Piotr zaś przemawiał:

— I ofiara na odpuście i piasek, a wszystko Pan Bóg przenajświętszy zrządził; bo — z powagą mówił dalej — jeżeli piasek ma taką świętą siłę, to mu ją Pan Bóg dał. Ot co!

— Jest na świecie i czartouskaja siła — zauważyła jedna z bab.

— A jest — z przekonaniem potwierdził Piotr i po namyśle

dodał: — ale w piasku jest siła boska, bo ot, dobrze zrobił; a gdyby w nim była siła czartowska, toby źle zrobił...

Zastanowił się jeszcze trochę, wskazujący palec w górę wzniósł i dokończył:

— Czartouska siła zawsze źle człowiekowi zrobi, a boska dobrze. Ot co!

Boską tedy moc zjednywał sobie Piotr Dziurdzia coniedzielnem jeżdżeniem do kościoła, odmawianiem pacierzy, ofiarami, składanemi kościołowi w postaci chlebów, serów i płócien, djabelskiej zaś lękał się okrutnie, choć nigdy jej na sobie, w widoczny przynajmniej sposób, nie doświadczył i miał ją w obrzydzeniu i nienawiści wielkiej.

Jeżeli ktokolwiek opowiadał przed nim o ludziach, którzy, jak naprzykład wiedźmy i czarownicy różni, przez nią złe figle innym ludziom płatali, spluwał z obrzydzeniem i ze złością przez zęby i wymawiał:

— Kab im ręce połamało! Kab im skonanie ciężkiem było! Kab oni królestwa niebieskiego nie oglądali!

O królestwie niebieskiem Piotr wspominał często; zdaje się, że było ono tym przedmiotem, który kędyś, wysoko w zarysach mętnych i nieokreślonych unosił się nad nim wtedy, gdy oczy jego pod gęstemi, wypukłemi brwiami przybierały wyraz zamyślony i trochę marzycielski.

Jednakże, rojąc sobie dziwne może obrazy królestwa niebieskiego, dbałym był i o ziemskie. Gospodarstwo swe pracowicie i zabiegliwie prowadził, a wielce ucieszył się, gdy go mieszkańcy Suchej Doliny na urząd starosty swego wynieśli. Wtedy okazało się widocznie, że od ambicji wszelkiej wolnym nie był, i że zaszczyt, który go spotkał, przyjemnie pogłaskał jego dumę. Wprzódy trzymał się był trochę pochylo; zostawszy starostą, grzbiet wyprostował, uśmiechnął się tak szeroko i swobodnie jak nigdy przedtem, lecz zato z większą jeszcze niż przedtem powagą stąpać zaczął i z widoczną lubością, niemal uroczyście, na zewnętrznej ścianie swojej chaty przybijał tablicę, na której wielkiemi białemi literami wypisane było: «Piotr Dziurdzia starosta». Sprawami publicznemi, które sąsiedzi w ręce jego złożyli, zajął się gorliwie i cierpliwie. Gdy oblegały go różne, z urzędem jego związane trudy i przeciwności, ze skruchą w głosie mawiał:

— Pan Jezus więcej cierpiał!

Albo:

— Pan Jezus mnie to w królestwie niebieskiem wynagrodzi.

I swoje robił, ani na dokuczanie ludzkie, ani na fatygi różne nie zważając. Często także unosiła go ludzka duma. Podnosił palce do góry, uśmiechał się szeroko i w zwykły sobie, powolny sposób mówił:

— Ciepier, jak toj kazau, ja tut pierwszy jezdem i ze wszystkich najwyższejszy...

Starszemu synowi także czasem perory prawił:

— Patrzaj, Klemens, bądź taki, jak ja, a Pan Bóg przenajświętszy da tobie panowanie ziemskie i królestwo niebieskie. Nie pij, cudzego nie żądaj, co do ciebie należy, rób, a w moc czartowską nie oddawaj się. W moc boską oddaj się, a w moc czartowską nie oddawaj się, bo, jak toj kazau, gospodarstwo zginie, i duszę zgubisz. Ot co!

Ważny wypadek zostania starostą wiejskim zaszedł w życiu Piotra w parę lat po weselu Michała Kowalczuka z Pietrusią, a wkrótce potem roztrząsaniu mieszkańców wsi nastręczyła się sprawa wielkiej dla nich wagi. Magazyn wiejski, w którym mieściły się zapasy zboża, przeznaczone dla wspomagania lat nieurodzajnych, tak już był stary, że całkowitym upadkiem groził. Stanowy (urzędnik policyjny) kilka razy zapowiadał konieczność zbudowania innego, i mieszkańcy Suchej Doliny konieczność tę czuli sami, ale z przystąpieniem do roboty z roku na rok zwlekali. Wiadomo, kosztów lękali się, a i nowego kłopotu nie bardzo żądali. Teraz jednak przyszedł już kres ostateczny zwlekania. Magazyn trzeba było budować, chcąc nie chcąc, bo tak stanowczo i nieodwołalnie przykazano z góry. W chacie starosty aż ciemno zrobiło się od ludzi, którzy zeszli się tam dla narady o tej kosztownej i dość skomplikowanej sprawie.

Piotr Dziurdzia przewodniczył naradzie ze zwykłą sobie powagą i roztropnością, doradzając, jak i kiedy pieniądze na ową budowę zebrane być mają, gdzie jakie drzewo kupić na nią należy, kogo i za jaką cenę wezwać do wymierzenia ziemi, którą budynek, na inne miejsce przenoszony, zająć musiał. We wszystkich tych rozważaniach i wyliczaniach skutecznie pomagał mu stryjeczny jego brat, Stepan, mający jedną z najlepszych głów we wsi, ilekroć nie był pijanym, albo nie wpadał w pasję. Miał on nawet tę nad drugimi wyższość, że biegle liczyć umiał. Nikt go tego nigdy nie uczył, ale z natury już tę zdolność posiadał i nauczył się sam. Że zaś tym razem trzeźwym był i nie gniewał się na nikogo, a przytem kroił sobie koniecz-

nie na najbliższych wyborach sędzią wiejskim zostać, siedząc tedy obok Piotra, szeroko i roztropnie prawił, biegle różne liczby dodawał i mnożył, słowem, zapominając o tem, co gryzło go i dręczyło w życiu prywatnem, sprawom publicznym oddał się całkiem. Przy tej czynności rozjaśniła mu się nieco i wypogodziła twarz, przedwcześnie pomarszczona i najczęściej ponura a gniewna.

Pomimo jednak roztropności i powagi dwóch Dziurdziów, w izbie wybuchała często wrzawa taka, że ludzie jedni drugich zrozumieć nie mogli. Wszyscy tam jednocześnie mówić zaczynali, łokciami, ramionami odpychali się wzajem od stołu, za którym siedział starosta, o każdy grosz wszczynali kłótnie, na każdą propozycję odpowiadali zaprzeczeniami. Piotr cierpliwie to znosił, kilku uważniejszym słuchaczom swoje prawił, a czasem, kiedy sąsiedzi łajać go już i przeklinać zaczynali, pomrukiwał:

— Pan Jezus więcej cierpiał!

— Bydło! proklatoje bydło! Kab na was chalera! — wykrzykiwał popędliwy Stepan i, najnatarczywszych pięścią od stołu odpychając, zaczynał już w paroksyzm złości wpadać, gdy nagle kłótliwą wrzawę męskich głosów, niby ostrzem noża, przerznął piskliwy a rozpaczliwy krzyk niewieści.

Była to Piotrowa, która, z komory wypadłszy, ręce łamała i, z boku na bok przechylając się, wniebogłosy krzyczała i zawodziła:

— Jazu mój, Jazu!... O, Jazuż mój, Jazu najmiłosierniejszy!

Tu i dziewka, która w zastępstwie Pietrusi w gospodarstwie jej dopomagała, tuż za nią także z komory wypadła, włosy sobie z głowy wyrywając, a po chacie też biegając, jeszcze donośniej i piskliwiej wtórzyła:

— A Matko Boska przenajświętsza! zmiłuj sia, zmiłuj sia, zmiłuj sia nad nami nieszczęśliwemi!

Mężczyźni rozprawiać i kłócić się przestali i z gębami pootwieranemi, jak słupy stojąc, błędnemi wzrokami wodzili za niewiastami, które, jakby w konwulsjach rzucały się po izbie. Sporo czasu upłynęło, zanim gospodarz chaty zrazu perswazją, a potem groźbą spuszczenia im pięści swych na plecy, dopytać się u niewiast zdołał, co się stało. Stała się istotnie rzecz zasmucająca: z komory zginęły dwa sadła, dwanaście par kiełbas i dziesięć ścian świeżo utkanego płótna. Wszystko to ukradzione zostało nie wiedzieć kiedy, przez kogoś, kto odpowiedniem narzędziem wewnętrzną okiennicę przepiłował, zamykającą ją zasuwę usunął, przez okno do komory wlazł i tyle dobra z niej

wyciągnął. Okno komory wychodziło na ogród, w tej późnej jesiennej porze pusty i tylko błotem pokryty: noce jesienne długie są i ciemne...

Piotrowa rozpaczała; Piotr, stratę poniesioną mniej żywo do serca biorąc, zmartwił się jednak i nadewszystko oburzył się przeciw nieznanemu złoczyńcy. Ludzie, którzy tu obradowali i obrady swej nietylko nie skończyli, ale po razy kilka jeszcze kończyć nie mieli, rozeszli się zwolna; w izbie pozostał Piotr, w zamyśleniu na ławie siedzący i łokciami na stole rozparty, i trzy kobiety, które przed ogniem, żywo płonącym w piecu, głośno o zaszłym wypadku rozprawiały. Były to trzy Dziurdziowe: żony Piotra, Stepana i Szymona Dziurdziów. Były to także trzy zupełnie różne z sobą typy chłopek, i trzy wyraźnie różne dole kobiece. Niemłoda już i schorzała, ale spokojna i jeszcze dość urodziwa Piotrowa, żona męża dobrego, gospodyni chaty dostatniej i matka dwóch dorastających synów, skrzyżowała na piersi ramiona i smutnie już tylko nad stratą swoją głową kiwała, zcicha powtarzając:

— Jakije złe ludzie! aj, jakije niegodziwe!

Zwinna jak żmijka, czarnooka, śniada i ognista Stepanowa, sławna na całą okolicę złośnica i plotkarka, o której zresztą wszyscy wiedzieli, że mąż jej cierpieć nie mógł, i że wiecznie biła go lub przez niego bitą była, na pierwszą wieść o tem, co się w chacie Piotra przytrafiło, porzuciła niedawno urodzone, a przez cztery lata małżeńskiego pożycia jedyne dziecko i, przyleciawszy tu, krzyczała, złodziejów przeklinała i miotała się tak srodze i hałaśliwie, jakby ją samą i stokroć od tej większa strata spotkała. Szymonowa, przeciwnie, przywlokła się zwolna i z dzieckiem na ręku, które już było szóstem czy siódmem. Niestarą była jeszcze i niebrzydką, ale strasznie wymizerowaną, z czołem zmarszczonem i wiecznie skrzywionemi usty. Piotrowa, choć starsza i schorzała, daleko lepiej od niej wyglądała. Wiadomo, żona pijaka, siedzącego po uszy w długach, u Żyda arendarza zaciągniętych, mając chatę kurną jeszcze i drobnych dzieci pełną, a komorę prawie pustą, tyć i wesoło sobie bajdurzyć nie mogła.

Na Agacie wyraźnie odbijały się spokój i dobrobyt, na Rozalji Stepanowej charakter zapalczywy, a złem pożyciem małżeńskiem do stopnia prawie wściekłości rozjątrzony; na Parasce, żonce pijaka Szymona — skłopotanie i nędza. Tuląc i kołysząc dziecko, które w piersi matczynej mało znajdowało pokarmu i rozkrzyczało się wniebogłosy, z podziwem, pełnem świątobliwego jakby poszanowania, wciąż powtarzała:

— Dwa sadła i dziesięć ścian płótna, oj, Boże mój, Boże! dwa sadła, dziesięć ścian płótna i dwanaście par kiełbas... oj, Boże, mój Boże!...

Bogactwu takiemu, które aż tyle rzeczy bez ostatecznego ogłodzenia poszkodowanych z komory ukraść pozwalało, dosyć nadziwić się i nalubować nie mogła. Nie zazdrościła, owszem żałowała krewniaków, że im się taka szkoda stała, ale oczy jej zachodziły łzami. Dawało jej to miare i żywe uczucie biedy własnej. Czarne oczy Rozalki rozpalały się coraz bardziej, błyskały i latały jak u oszalałej, a język szybciej jeszcze latał, niż źrenice. Przekleństwa najstraszliwsze na nieznanego złodzieja miotała, lecz wiadomem to już było, że zawsze coś lub kogoś przeklinać musiała; podobno sprawiało to ulgę nieustannej zgryzocie, która u innych roztopiłaby się w łzy, a ją napełniała warem i płomieniem.

Zasmucony, lecz już ułagodzony głos Piotrowej przebił się przez wrzaskliwe zawodzenia Rozalki.

– Żeby tam nie wiem co — rzekła — ja taki będę wiedzieć, kto ten złodziej.

Zwróciła się do Piotra.

— Pietruk — rzekła głosem, który objawił zgodny i przyjacielski stosunek jej z mężem — idzi do Akseny... popytaj sia, może ona zna co takiego, żeby tego złodzieja odkryć...

Nad wszelkie spodziewanie niewiast Piotr ani jednem słowem nie sprzeciwił się temu żądaniu, wstał, na głowę czapkę baranią włożył i z chaty wyszedł.

Wieczór to był jesienny, ciemny; wiatr szumiał w ogrodach i miotał drzewami; pod niebem szmaty chmur, lecąc jak ciężkie ptaki, przysłaniały to znowu odsłaniały gwiazdy. Błotnistą ścieżką, wijącą się pomiędzy ścianami obór i gumien, a opłotkami ogrodów, wysoki, barczysty chłop, w kożuchu i baraniej czapce, z grzbietem nieco przygarbionym, szedł szerokim i ciężkim krokiem w kierunku zagrody kowala. Zdala już widać było kuźnię, buchającą czerwonem światłem, i słychać turkot odjeżdżających wozów.

Przed tą kuźnią zawsze jak na odpuście albo jarmarku. Z całej okolicy ludzie do Michała Kowalczuka przyjeżdżają, bo takiego kowala jak on nigdzie niema. Ale teraz już wieczór i ci, co tu dziś konie podkuwali, obręcze na koła i siekiery robić, a pługi i wozy naprawiać kazali, jadą do domów drogą pomiędzy wierzbami i bzami, w których puszczyki i lelki gnieżdżą się i skomlą.

Przed otwartemi drzwiami kuźni niema już nikogo, tylko leży szeroko błoto straszne, kołami wozów i kopytami końskiemi rozbite i pogłębione.

Piotr Dziurdzia w błocie tem stanął i przez chwilę we wnętrze kuźni wpatrywał się z przyjemnością niejaką. Czerwonem światłem napełnione, jaskrawo odbijało ono od ciemności, panujących nazewnątrz. W tem świetle pięknie przedstawiała się postać młodego kowala, który pracować jeszcze nie przestał. W majtkach i koszuli z wysoko odwiniętemi rękawami, silny i zgrabny chłop żwawo podnosił żylaste ramię, co siły bił młotem po rozpalonem żelastwie, skry z pod młota sypały się wdół deszczem, a słupem tryskały wgórę, śniada twarz z czarnym wąsem i czarna jego czupryna stały w czerwonym blasku. Żwawo pracował i wesoło; nadewszystko wesoło.

Co chwila zagadywał coś do pomagającego mu chłopaka, czasem przyśpiewywał sobie, albo, gdy uderzenie silniejszem czy zręczniejszem być musiało, podnosząc i opuszczając ramię, niby do tańca wykrzykiwał sobie:

— Hu, ha!

Piotr, z zadowoleniem niejakiem na tę raźną i wesołą pracę popatrzywszy, uszedł jeszcze ze dwadzieścia kroków i wszedł do chaty kowala.

Izba tam była takaż prawie jak u Piotra, obszerna, z drewnianą podłogą i wolna od dymu, który przez komin uchodził, tylko spostrzegać się w niej dawały pewne wymysły, jakich u dziadów i pradziadów nie bywało.

Oprócz stołów i ław stały tam trzy drewniane krzesła, u sporych okien zieleniało w wazonach kilka niskich roślin, na małej szafce z dwiema szybkami połyskiwał blaszany samowar. Wymysły te przywiózł z sobą Kowalczuk z szerokiego świata, a może też zapoznała się z niemi i Pietrusia w tym szlacheckim dworku, w którym za dziewkę folwarczną służyła. Wymyślność ta jednak nie doszła do tego stopnia, aby gdzie indziej umieścić ogromny piec z okopconem wnętrzem, w którym, jak o tej porze w każdej z chat chłopskich, palił się ogień wielki. Nie dosięgła też ta wymyślność ani świec, ani lampy; pomiędzy cegły pieca wetknięte łuczywo, paląc się czerwonawym i dymnym płomieniem, oświetlało postać starej Akseny w ten sposób, że komuś wchodzącemu do izby musiała ona naprzód rzucać się w oczy. Według starego zwyczaju kościana babka siedziała na piecu i w dostatniej siermiężce, w czarnym czepcu, wyprostowana, jedną ręką wyciągała z kądzieli nić lnianą, w drugiej kręciła

wrzeciono. Pietrusia nosiła po izbie roczne dziecko, kołysaniem i półgłośnem śpiewaniem uśpić je usiłując. W drzwiach izby, poważnym i uprzejmym głosem wymówione, zabrzmiało pozdrowienie Piotra:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... — z uradowaniem widocznem odpowiedziała Pietrusia i, z dzieckiem na ręku, z rozbłysłemi od zadowolenia oczyma, ku gościowi podbiegłszy, w rękę go pocałowała. Aksena, która od czasu oślepnięcia swego słuch miała ostry, poznała też Piotra po głosie i, na chwilą prząść przestając, na znak powitania głową tak kiwać zaczęła, aż się jej dokoła czarnego czepca białe, siwe włosy rozwiały. Przytem chrapowatym i z powodu braku zębów sepleniącym głosem dziękowała mu za to, że sobie o nich przypomniał i chatę ich nawiedził. Pietrusia tymczasem uśpione już dziecko położyła w kołyskę, jedno z tych krzeseł fartuchem otarła i, w radosnym uśmiechu pokazując białe zęby, zapraszała byłego gospodarza swego, aby na niem usiadł.

Piotr popatrzał na krzesło, tak jakby przekonać się chciał, że nie złamie się ono pod jego ciężarem, i z ostrożnością niejaką na niem usiadł.

— Nu — zaczął, oglądając się po izbie — po pańsku tu u was, pięknie... Kresła sobie wymyślili i samowar... oho!

— Po pańsku, nie po pańsku — podchwyciła Aksena, której zaledwie widzialne wargi z wielkiego ukontentowania rozciągnęły się od ucha do ucha — ale chwała Bogu niczego nie braknie... wszystko jest... i chleb jest, i zgoda święta jest... jak Pan Bóg przykazał...

— I syn jest ... — dodał Piotr, z żartobliwą dobrotliwością na Pietrusię patrząc.

Ona zawstydziła się trochę i spuściła oczy, ale, wesoło wciąż uśmiechając się, odpowiedziała:

— A jest, dziadźku...

— I drugi zaraz będzie... — zażartował dalej starosta.

Tym razem młoda mężatka zaczerwieniła się jak burak, odwróciła trochę twarz i zcicha zachichotała. Aksena ze swej strony śmiała się na piecu swoim starym śmiechem, który suchy klekot drewnianej grzechotki przypominał.

— Czy jeden jeszcze... oj, oj, czy jeden jeszcze będzie? — mówiła.

— Daj Boże szczęśliwie — z życzliwością zakończył Piotr, a tu i kowal wszedł do izby.

Przed opuszczeniem kuźni włożył był na siebie szary spencer sukienny, zieloną taśmą oszyty, i wyglądał w nim bardzo zgrabnie. Twarz miał zaognioną i spoconą od pracy; na widok Piotra ucieszył się bardzo i w obadwa ramiona go ucałował. Ani on, ani Pietrusia nie zapominali o tem nigdy, że stara Aksena i jej wnuczka przez lat wiele w Piotrowej chacie chleb jadły.

Nie darmo wprawdzie go jadły, ale był on dobrym i omastą życzliwości obojga gospodarstwa przyprawionym. Że tam potem stało się inaczej, i na tułaczkę znowu iść musiały, w tem już winy Piotra nie było.

— Pietrusia! — zawołał do żony kowal — zróbno dla dziadźka herbaty...

Piotr poprawił się na krześle. Lubił bardzo herbatę, choć pijał ją tyle tylko, co czasem w miasteczku, kiedy na odpust albo na targ przyjechał; we własnej chacie samowara mieć nie chciał, bo go dzidy i pradzidy nie miewali.

— Oho! — zauważył — wy jak pany... herbatę sobie pijecie...

— Codzień nie pijem, ale czasem pijem — odpowiedział kowal — a co robić? wódki do gęby nie bierzem, to czasem trzeba czem innem żywot rozegrzać... I starej babuli ziele to życie przedłuża, i jak gość trafi się, potraktować dobrze...

— Dobrze, czemu nie dobrze? — potwierdził Piotr i zaczął kowala wypytywać się o różne różności, których on mnóstwo wiedział, bo i kawał szerokiego świata schodził i teraz ciągle z mnóstwem ludzi, zwyczajnie jak rzemieślnik, do czynienia miał.

Michałka nie trzeba było długo do rozmowy zachęcać, bo z natury był on wielomównym i wesołym; więc też szeroko i długo opowiadać zaczął gościowi o jakiemś wielkiem mieście, w którem jako żołnierz lat parę przebywał, a tymczasem Pietrusia z pośpiechem zagotowała wodę w samowarze i po kilku minutach z glinianego czajnika nalała herbatę do trzech szklanek z grubego zielonawego szkła i, do każdej z nich włożywszy cynową łyżeczkę, na białym spodku kilka kawałków cukru położyła. Naczynia i cukier z szafki wyjmowała, zwijała się po izbie bosemi nogami żywo i zgrabnie, szklanki i łyżeczki jak wesołe dzwonki w ręku jej dzwoniły. Dwie szkanki z herbatą postawiła na stole przed gościem i mężem, trzecią, na ławę wskoczywszy, na piecu umieściła i gdy dwaj mężczyźni bezprzestannie gawędzili z sobą, ona gorącą herbatę na spodek wylewała

i, wydymając policzki, z całej siły głośno na nią dmuchała. Potem końcem palca dotykała płynu, a przekonawszy się, że już był ostudzony, brzeg spodka do ust babki przykładała, mówiąc:

— Piej, babulo, piej!

Siedziała na brzegu pieca i ślepą babkę herbatą poiła. Chustki na głowie w domu nie nosiła. Ciemne włosy rozrzuciły się trochę dokoła jej twarzy, a czoło miała takie gładkie i pogodne, a oczy tak od wesołości błyszczące, że choć tam w kołysce usypiał roczny już chłopak, na dziewczynę wyglądała.

Michałek, z Piotrem rozmawiając, spojrzał na żonę raz, drugi, a potem opowiadanie jakieś przerwał i zapytał:

— Pietrusia! a ty znou herbaty nie pijesz?

Wydęła trochę wargi i, bosemi stopami po ścianie pieca bębniąc, odpowiedziała:

— Nie chaczu! nie lublu! paskudnoje ziele. Mnie lepsza zaciarka z sadłem.

To wspomnienie o sadle przypomniało Piotrowi cel dzisiejszych jego odwiedzin. Wsparł tedy łokieć na stole, twarz na ręku i wypadek, który chatę jego nawiedził, opowiadać zaczął.

Obecni dziwili się i bardzo ubolewali. Zajęło ich nadewszystko pytanie: kto to taki — ten złodziej?

Kowal przypomniał sobie, że wczorajszej nocy wracał właśnie z sąsiedniej wsi, do której za interesem był chodził, i widział jakiegoś człowieka, który z workiem na plecach prędko szedł pod płotami.

— A jakże on wyglądał, ten człowiek? — ciekawie zapytał Piotr.

Kowal odpowiedział, że był to człowiek chudy, małego wzrostu i zdaje się, że siwy zarost miał dokoła twarzy. Tego ostatniego na pewno nie utrzymywał, bo noc była; ale, że widział go dość zbliska, i gwiazdy świeciły, więc zdaje mu się, iż miał siwy zarost dokoła twarzy. Piotr zadumał się, a potem rzekł:

— To zupełnie tak, jakby Jakób Szyszko...

W podejrzeniu wyrażonem względem Jakóba Szyszki nic nieprawdopodobnego nie było. Nieraz już on w życiu swojem na złodziejstwie był złapany, a ot, dwa lata temu za wdarcie się przez dach do stodoły dworskiej pół roku w turmie przesiedział. Jednak było to tylko podejrzenie. Piotr wlepił oczy w ślepą twarz Akseny.

— Ja do was z prośbą, ciotko — rzekł. — Może wy znacie jaki sposób, żeby tego złodzieja odkryć...

Baba milczała chwilę, potem chrapowatym swym i bezzębnym głosem, ale powoli i z namysłem, mówić zaczęła:

— Czemu mam nie znać? znam. Weźcie sito, wbijcie w nie nożyce i niech dwoje ludzi podłoży palce pod ucho nożyc, a drugie ludzie niech mówią różne nazwiska, różne, jakie sobie tylko wspomną... Na czyje nazwisko sito zakręci się, ten złodziej... I to jest taka pewna prawda, że ja, nie raz, ale sto razy, na własne oczy widziała...

Umilkła, wyciągnęła ramię i parę razy w żółtych palcach wrzeciono zakręciła.

Kowal zaśmiał się głośno.

— Głupstwo! — rzekł.

— Michałek! — z przerażeniem prawie zawołała Pietrusia — ty zawsze taki! tobie wszystko głupstwo! ej, niedowiarku paskudny!

Aż zaczerwieniła się cała, tak ją niedowiarstwo męża oburzyło. On pobłażliwie wymówkę jej przyjął i tylko zcicha jeszcze zamruczał:

— Oj, baby, baby durnyje!

Ale Piotr z nadzwyczajną uwagą i powagą słuchał słów Akseny, która, rękę z wrzecionem opuściwszy, dodała jeszcze:

— Można na sito złodzieja wywróżyć, można i na Ewanelję. To już jak gdzie... w jednych stronach na sito wróży się, a w drugich na Ewanelję wróży się... To już wszystko jedno, jak kto woli...

Piotr rękę do włosów podniósł.

— To już ja na Ewanelję wolę — rzekł, a po chwili dodał: — Zawsze to boska rzecz jest i boska siła...

— No, to tak samo w Ewanelję nożyce wbić... — nauczała baba.

— Głupstwo! — zaśmiał się znowu kowal, a Pietrusia skoczyła i ręką mu usta zamknęła. On ją wpół pochwycił, dwa razy się z nią w kółko okręcił, a potem tak załaskotał, że, zachodząc się głośnym śmiechem, na ławę upadła.

Piotr na tę swawolę młodych żadnej uwagi nie zwracał. Jemu ważniejsza sprawa na sercu leżała, i przytem wszelkie rozmowy o wróżbach, cudach i czarach przejmowały go nawskróś tajemną i trwożliwą uroczystością. Wstał z krzesła i z niejakiem zakłopotaniem zaczął:

— Dziakuju wam, Aksena, za waszą radę... Tylko jak to zrobić... trzeba, żeby to kto znający robił...

— Ja wam to, dziadźku, zrobię... — zrywając się z ławy zawołała Pietrusia — czemu nie! Tyle lat chleb wasz jadłam a terazbym tej przysługi wam nie zrobila?... Ot, już idę...

I już na nogi trzewiki wkładała. Nigdy do wioski bez trzewików nie chodziła. Mąż, który miał w tem przyjemność i ambicję swoją, wszelakie stroje dla niej kupował, a i jej podobało się to bardzo, że szczęściem swem popisać się mogła przed ludźmi, pośród których kiedyś najuboższą i najpośledniejszą była. W trzewikach tedy, w kupnej perkalowej spódnicy, w zgrabnej, nowiutkiej siermiężce i kwiecistej chustce na głowie w kilka minut potem weszła do chaty starosty i, przed dawną gospodynią swą pokłoniwszy się nisko, w rękę pocałowała. Dwom innym kobietom zato ledwie głową kiwnęła. Wiedziała dobrze, że dla obydwóch jest tem samem, co sól w oku. Jedna jej swą małżeńską niedolę przypisywała, druga zazdrościła dostatku.

Teraz przecie na chwilę o urazach swych zapomniały; ciekawość przemogła nad nienawiścią. Skupiły się dokoła przybyłej i zarzuciły ją pytaniami; ale ona z dwoma niedorosłymi jeszcze chłopcami gospodarstwa zaraz gwarzyć i chichotać zaczęła. Znała ich niemal od niemowlęctwa; Klemensa w czerwony policzek uszczypnęła, a Jasiukowi palec włożyła w usta, które najczęściej gapiowato otwierał. Oni ją zato za nogi pochwycili, że jak długa na środku izby upadła. Baby i dzieci aż za boki brały się od śmiechu, i wiadomem to już było, że gdzie Pietrusia wpadła, tam pełno być musiało gadania, śpiewania i śmiechu. Jedna tylko Rozalka ani myślała śmiać się. Na klocku drzewa pod piecem usiadła, ręką brodę podparła i zadumała się ponuro.

Nagle, jakby makiem posiał, zrobiło się w izbie cicho. Piotr wyszedł z komory, niosąc w ręku niewielką książęczkę w podartej oprawie i ze zżółkłemi kartami. Była to Ewangelja, którą z poszanowaniem chował na dnie skrzyni od lat wielu, odkąd mu ją po sobie w sukcesji zostawił dziad bardzo stary, który z nią od dworu do dworu i od wsi do wsi chodził, aż nakoniec w Suchej Dolinie w Piotrowej chacie umarł. Piotr dziadowi trumnę własnemi rękoma z czterech desek zbił, uczciwie go pogrzebał, a książkę starego żebraka za rzecz świętą uważając, w chacie ją swej pozostawił. Nie otwierał jej nigdy, bo czytać nie umiał, ale obecność jej na dnie skrzyni za niejakie ubez-

pieczenie chaty od nieczystej siły uważał. Teraz oto, z poszanowaniem z komory ją wyniósłszy, w milczeniu Pietrusi podał.

Ona z kieszeni siermiężki wyjęła nożyce, które z sobą przyniosła i w tem mgnieniu oka tak spoważniała, że aniby w niej poznać wesołą mołodycę, która tylko co po izbie z nie dorosłymi chłopcami uganiała się i koziołki wywracała. Spoważniała, czoło trochę zmarszczyła, a wzniesione w górę jej oczy wyraz modlitewny przybrały. Westchnęła głośno, westchnęły za nią i inne kobiety, nawet Rozalka.

Piotr przeżegnał się; naśladowali go synowie obaj: rosły i czerstwy Klemens z rozbłysłemi od ciekawości oczyma i blady, chuderlawy Jasiuk z gębą szerzej niż kiedykolwiek otwartą. Nagle, jednym zamachem, Pietrusia rozwarte nożyce w grzbiet książki wbiła i pod jedno ucho nożyc palec wskazujący podkładając, drugie Piotrowej wskazała.

— Trzymajcież, ciotko!

Piotrowa uczyniła, co jej rozkazano. Książka, na ostrzu nożyc wisząca, szeroko ku dołowi rozwierała swe stare, pożółkłe karty.

— Gadajcież teraz — zadysponowała Pietrusia — różne a różne nazwiska, gadajcie. Na czyje nazwisko Ewanelja pokręci się, ten złodziej...

Rozalka pierwsza wyskoczyła z pytaniem:

— Anton Budrak? — pytającym tonem wymówiła, a pragnęła, aby książka uczyniła owe zapowiedziane poruszenie, bo wczoraj właśnie, nad stawem, przy płókaniu bielizny pobiła się z Budrakową. Ale książka ani drgnęła.

— Lewon Kuziauka? — cienkim dyszkantem zapytała Szymonowa, był to albowiem jeden z najdokuczliwszych wierzycieli jej męża. Ale książka pozostała nieruchomą.

Nazwiska za nazwiskami wypadały z ust kobiet i chłopców, uszczęśliwionych tem, że w tak ważnym akcie niejaką rolę grać mogą. Książka jednak wciąż nie odpowiadała nic. Nakoniec Piotr, który dotąd żadnego nazwiska nie wymienił, basowym i przytłumionym swym głosem rzekł:

— Jakób Szyszko.

Nie darmo przed półgodziną u kowala wyrażono podejrzenie na człowieka, który się tak nazywał. Palec Pietrusi drgnął tak lekko, że drgnięcia tego nietylko nikt nie spostrzegł, ale ona sama nie uczuła, a książka powolnem i zaledwie też dostrzegalnem poruszeniem dokonała małego półobrotu.

— Aha! — zawołało chórem głosów siedm.

Pietrusia ostrożnie i z uszanowaniem z grzbietu książki ostrze nożyc wyciągnęła i, pochyliwszy się, nabożnie starą okładkę ucałowała. Za jej przykładem poszli inni. Całowały książkę wszystkie zkolei kobiety, całowali tak, że aż prawie cmoktać ją zdawali się dwaj chłopcy; długim i skruszonym pocałunkiem usta swe do niej przyłożył Piotr i natychmiast, łuczywem sobie świecąc, do komory ją znowu poniósł. Potem kobiety i chłopcy wymówili znowu chóralnie: «Aha!», w którem mieściły się uczucia różne: oburzenia, uradowania i wdzięczności dla tego czegoś, co im złodzieja odkryć pozwoliło. Czem było to coś, nie zapytywali o to i ani dorozumieć się mogli. Czuli tylko i myśleli, że była to jakaś siła, która usługę im oddała za pośrednictwem Pietrusi.

Tego wieczora jeszcze ognista Rozalka latała po wsi, a zgnębiona Paraska ze skwierczącem dzieckiem swem na ręku od chaty do chaty łaziła, obie zaś na wyścigi, jedna prędko i zapalczywie, druga powoli i mazgajowato, rozpowiadały o wszystkiem, co działo się i stało się w chacie starosty.

Potem głuche już tylko dochodziły wieści o tem, co pomiędzy Piotrem i Jakóbem zaszło. Podobno pierwszy, w rzadko u niego zdarzającym się, ale gwałtownym przystępie gniewu, zbił Jakóba we własnej jego chacie i pociągnięciem go przed sąd zagroził, jeżeli nie przyzna się do winy i skradzionych rzeczy nie odda. Jakób wiedział już z doświadczenia, że od sądu niezawsze bezpiecznie wykręcić się można, a na stare lata nie chciało mu się po raz trzeci turmy nawiedzać. Przytem, gdy synowie i córki z małemi dziećmi na rękach rzuciły się do nóg staroście, prosząc, aby gospodarstwa ich nie rujnował, winowajca rozpłakał się, wszystko przed Piotrem wyznał i zwrócił mu dwa sadła i pięć ścian płótna. O reszcie płótna utrzymywał, że gdzieściś je zgubił, a o kiełbasach, że je jakimściś przypadkiem psy zjadły. Płakał, bił się pięścią w piersi i na zbawienie wieczne zaklinał się, że tak było. Synowie i córki, wiedząc dobrze, że tak nie było, skupiły się w kącie izby i milczały. A nuż Piotr uwierzy, pięć ścian płótna i kiełbasy w chacie pozostaną! Piotr nie uwierzył, ale gniew odszedł mu nieco, i widział zresztą, jak ubogą była ta Jakóbowa chata, i jaka ją napełniała gromada. Było tam dusz ze trzynaście, starych, młodych i małych. Tyle ludzi za winę jednego gubić i samemu nie małych kłopotów się nabawić. Ręką tedy machnął, to, co oddano mu, zabrał, a o tem czego nie oddano, przez zęby mruknął:

— Pan Bóg przenajświętszy tę moję krzywdę w królestwie niebieskiem wynagrodzi...

I sprawy zaniechał, ale inni mieszkańcy wsi długo zapomnieć o niej nie mogli. Nie zapomniał o niej przedewszystkiem Jakób, który odtąd, ilekroć Pietrusię spotykał, spluwał na stronę i z gniewem mruczał:

— Zgiń, przepadnij, nieczystaja siła!

Nic w świecie nie zdołałoby zachwiać w nim przekonania, że tej kobiecie moc jakaś tajemnicza i jej samej tylko znana, postępek jego wyjawiła. Nienawidził jej i zarazem lękać się zaczął. Lękać się jej też zaczęły niektóre z niewiast, a przecież były i takie, co przepadały za nią.

Młodej Łabudowej, naprzykład, gdy sroga febra nią trzęsła, doradziła ona na pierwszą wiosną wylęgłe kurczę, albo kaczę spojrzeć i w tejże chwili, co prędzej, węzeł na fartuchu lub chuście zawiązać.

— Jak ręką odejmie — upewniała.

Istotnie ujęło jak ręką. Łabudowa, która już schnąć, szpetnieć i siły tracić zaczęła, febry się pozbyła; że zaś miała męża młodego, świekrę gderliwą i roboty wymagającą, wdzięczność jej dla Pietrusi była wielką.

Inną znowu kobietę, w ciężkim połogu będącą, napoiła płynem, z dziesięciu gatunków ziół przyprządzonym, a zwanym dziesięcioranką, który także okazał się wielce skutecznym. Miała zawsze w chacie pełno suszonych ziół, z których każde służyło na chorobę inną.

Od gardła dawała brunelkę, od kaszlu ślaz i dziewannę, od bólów krzyża krwawnik, od ściskania w żywocie czomber i miętę. Przeciw chorobom jednym doradzała koniczynę białą i wiśniową korę wdół z drzewa zeskrobywaną, przeciw chorobom innym koniczynę różową i takąż korę tylko wgórę z drzewa zeskrobywaną. Dzieci, które dostawały konwulsyj, kładła na desce pośród koła, zarysowanego kredą, a te, które koklusz męczył, poiła sokiem rzepowym, nie w czem innem podawanym, tylko w samejże rzepie, w formie kielicha wydrążonej. Słowem, nieprzebraną była w środkach, zaradzających cierpieniom, najpospoliciej dolegającym mieszkańcom wsi. I nietylko znała je, ale ich udzielała zawsze z uprzejmością i chęcią wielką. Inna brałaby za to jaja, len, płótno, kury, miarki zboża i Bóg wie, co jeszcze. Ona nie. Nigdy niczego wzamian rad swoich nie żądała, a gdy która z niewiast przyniosła jej kiedy cokolwiek w far-

tuchu lub pod chustką, nie przyjmowała. Rękę, wyciągającą się z datkiem, odpychała, mówiąc:

— Nie chcę, nie trzeba, na co mnie to? ja z życzliwości...

I była ludziom życzliwą istotnie. Bywało, gdy przez wieś idzie, a jaką biedną kobiecinę, albo znędzniałe dziecko zobaczy, staje i zapytuje się:

— A co to? A gdzie boli? A może to ze zgryzoty jakiej? A jaka to zgryzota?

Wypytawszy się, czasem jakie ziółko albo inny sposób na ludzką biedę doradzi, a jeżeli rady nie wymyśli, to z dorosłym o biedzie jego pogada i głową pokiwa, dziecko w ramionach pokołysze, w chude ciałko pocałuje i potem już w swoją drogę idzie. Stara Aksena, słysząc ciągle, że ludzie do niej po radę przychodzą, z rok czy dwa milczała, ale potem zaniepokoiła się czegoś i na wnuczkę gderać zaczęła. Z wysokości pieca swego mówiła do niej:

— A czego ty, jak ta suka, ciągle przed ludźmi język wywieszasz? To i to pij, tak i tak zrób! Będziesz ty za to podziękowanie miała, jeszcze cię wiedźmą zrobią...

Pietrusia na miotle łokieć wsparła i zamyśliła się. Po chwili z namysłem zaczęła:

— Ot, widzicie, babulo, mnie zdaje się, że kiedy mnie Pan Bóg szczęście dał, to ja ten świat bardzo polubiłam... I wprzódy ja jego lubiłam, ale kiedy Michałek ze mną ożenił się, polubiłam jeszcze więcej... A teraz co? Michałek coraz lepszy... i dostatku wszelkiego przybywa, i ciągle mnie na świecie lepiej i lepiej, a ja ten świat lubię więcej i więcej, i wszystko, co jest na świecie, lubię... i słoneczko to Boże ciepłe, i gwiazdy te Boże jaśnieńkie, i drzewa te szumiące, i kwiaty pachnące, i ludzi wszelakich, i każde żywe stworzenie... Wszystko lubię... i Kusego lubię... Kusy! Kusy! na masz!

Brzydkiemu kundlowi, w czarne i białe plamy, kromkę czerstwego chleba rzuciła, po twardej sierści go pogłaskała i, dalej izbę zamiatając, na całą chatę zaśpiewała:

— Tam na dole, na pryhore,
Posiejali proso.
Oj, tam chodził Jasiuleńko,
Do dzieuczyny boso!

Aksena chciała jeszcze gderać.

— Oj, maładaja, durnaja! — szeptała, lecz promień słońca,

przez okno padający, łagodnie ogrzewał starą jej głowę, a izbę napełniał zapach skwarzącej się w piecu słoniny i wesoły rozgłośny śpiew wnuczki. Co tam było szczęśliwej tej roztrzepanicy napomnienia jakie prawić, albo złe wróżby gadać? Sama więc w uszczęśliwionym uśmiechu rozciągnęła wąskie swe wargi od ucha do ucha i, na bok nieco przechyliwszy głowę, pilnie nasłuchiwała, czy nie zbudzi się czasem i w kołysce swej nie zaskwierczy malutka Krysieńka? A to już ręce od przędzenia zabolały, i błogo byłoby na kolanach potrzymać prawnuczkę!...

IV.

Po Stasiuku i Krysieńce urodziła się Helenka, a po Helence przyszedł na świat Jadamek, i czworo już dzieci, z których najstarsze miało lat sześć, zdrowo i wesoło hodowało się w chacie kowala, w porze owej, gdy mieszkańcy Suchej Doliny rozniecili wśród dróg rozstajnych ogień z osinowego drzewa. Na ogień ten, niby motyl nocny, ku zgubie swej blaskiem płomienia zwabiony, pierwsza nadeszła Pietrusia. Ona więc była tą duszą złośliwą i nieczystą, która w chatach kilkunastu mleko krowom odebrała. Gdyby zamiast niej przyszła tam była kobieta inna, opinja publiczna wioski byłaby także żywo zaniepokojona i silnemi przeciw niej podejrzeniami nurtowana; jednak podejrzeniom tym towarzyszyćby mogły wątpliwości niejakie. Dla ustanowienia zupełnej pewności faktu tego trzeba było szeregu faktów poprzedzających.

Tu nikt zaprzeczyć nie mógł, że przeszłość potężnie wspierała chwilę obecną. To dziecko nieznane przywędrowało tu przed laty, ze starą babą, którą nie wiedzieć jaka siła, dobra czy zła, po świecie gnała. Baba widocznie kawał świata obeszła i znała tyle, ile wszystkie mieszkanki wsi, razem wzięte, nie znały. Skąd jej przyszły te wiadomości wszystkie? A potem oślepła. Czy to nie była czasem kara Boża za jakie brzydkie postępki, których dopuszczała się kiedyś za oczyma ludzkiemi, albo za jakie stosunki z nieczystym? A toż srogie lubienie, jakie uboga dziewczyna, przybłęda, rozbudziła w jednym z najbogatszych gospodarzy, w Stepanie Dziurdzi? A toż wyjście zamąż za chłopca, który sześć lat jej nie widział, a nie zapomniał? A to odgadnięcie złodzieja? a wszystkie jej leki i inne porady? Za jej to przykładem teraz wszystkie dziewki paliły wieniki, gdy chciały gości do domu sprowadzić; wskutek jej ostrzeżenia nikt nigdy nie pod-

jął z ziemi tasiemki, związanej w szereg węzełków, bo zarazby dostał brodawek.

Wprawdzie spory była zapas podobnej mądrości życiowej w Suchej Dolinie i wogóle w całej okolicy, niezależnie od Pietrusi i przed przybyciem jej w te miejsca. Wprawdzie, od dziadów pradziadów żadna z tutejszych niewiast, w dniach pomiędzy Narodzeniem Pańskiem a świętem Trzech Króli, za nic w świecie nie pokręciłaby wrzecionem, bo przez toby na wiosnę wszelkie ptactwo domowe z zawrotu głów pozdychało; żadna w dzień Podwyższenia Krzyża Świętego nie chodziła do lasu po grzyby i jagody, bo przez toby wszelkie robactwo i gady las zamieszkujące na chatę swą nawiodła; żadna przy żęciu zboża nie spuszczała z pilnej uwagi tego, aby przypadkiem nie ściąć sierpem kłosów w pewien sposób związanych lub załamanych, bo związuje je zwykle i załamuje tak ręka nieżyczliwa na nieszczęście tej, która je zeżnie. I wiele, wiele podobnych wskazówek i wiadomości od dziadów pradziadów posiadała ludność Suchej Doliny, ale Aksena i jej wnuczka posiadały ich bez porównania więcej.

A to teraźniejsze bogactwo kowala i jego żony? Chata ledwie nie jak domek w jakim takim szlacheckim dworze, wóz jakoby bryczka okuty, klaczka do zaprzęgu tęga, krowy, owce, wszystkiego pełno. A w chacie samowar i łyżki błyszczące, i jeden, i drugi biały talerz. Małaż to rzecz bogactwa takie? Skąd oni je mają? Oddawna już Rozalka Stepanowa, a za nią i wiele innych kobiet na cały głos dziwi się i wykrzykuje, że kowalicha, jak pani jaka, herbatę w domu pije, suknie z kupnych perkalów nosi, do kościoła czasem półjedwabną chustkę na głowę zawiązuje, a on sam w spencerach chodzi, surdutach, butach pięknych, czapeczkach zgrabnych, a siermięgi i chłopskiej baraniej czapki to już na nim ani zobaczyć.

Rozalka aż wścieka się, a rozlazła Parska aż płacze, gdy zapytają się samych siebie i sąsiadek: skąd u kowala i kowalichy tyle bogactwa być może? Sąsiadki, szczególniej młoda Łabudowa, która Pietrusię bardzo lubi, wspominają coś o tem, że Michałek podobno trochę pieniędzy z sobą przywiózł, a zarobił je swojem rzemiosłem, że i teraz pracowity jest bardzo, i ludzie z robotami jak na odpust do niego przyjeżdżają; że kawał ziemi ma urodzajny, że Pietrusia dobrą jest gospodynią i t. d. Ale Rozalka i Paraska, a z niemi i inne kobiety, wzgardliwie głowami kiwają, a proszącemi oczyma spoglądają na Jakóba Szyszkę, który

najczęściej rozmowom tym obecny bywa i, uroczyście prostując się, mówi:

— Czort wiedźmie przez komin hrosze nosi. Ot, skąd u nich to bogactwo!

Teraz stary Szyszko triumfował.

— A co? — mówi — kto przyszedł na ogień? Kto krowom mleko odebrał?

Wieś była duża i nie cała zajmowała się tą sprawą Ale w kilkunastu chatach wrzało wieczora tego jak w garnku. Mężczyźni dziwowali się i oburzali zarazem, ramionami wzruszali i pięści ściskali, ale, jak zwykle bywa, gdy im wódka ust nie rozwiązuje, mówili mało. Babskie języki zato latały jak młyńskie skrzydła.

Rozalka ze swemi żywemi ruchami wiewiórki, a syczącemi ustami żmijki, uwijała się między ludźmi po różnych izbach i dziedzińcach wtedy jeszcze, gdy już na godzinę przed północą koguty zapiały.

Stepan z dzieckiem na ręku do pustej chaty wszedł, ogień rozniecił, łuczywo zapalił i w szczelinę chaty wetknął, a potem zmarszczoną i srogą twarz swą pochylił nad dzieckiem, które w objęciu jego spało. Czy naprawdę do żyjącego dziecka należała ta niekształtna głowa, lnianemi włosami zrzadka okryta. z twarzą nabrzmiałą i zamkniętemi powiekami, których żółte rzęsy leżały na woskowej żółtości policzkach? Przy świetle łuczywa Stepan przypatrywał się tej twarzy. Dlaczego syn jego był mizeractwem takiem, kiedy on sam należał do rzędu najsilniejszych i najroślejszych chłopów we wsi i całej okolicy? Wiecznie zgryzotą jakąś ściągnięte usta Stepana nad samą twarzą dziecka zaszemrały:

— Oj, biedulku ty, biedulku! kiedy ty był w żywocie matki, baćko twój bił żonkę, bo nawidzić jej nie mógł... a kiedy ty ledwie od ziemi odrastał, paskudna matka łopatą cię po głowie uderzyła...

Srogość jego twarzy topniała w okrywającym ją wyrazie bólu. Pocałował w czoło uśpione dziecko... zbudziło się i rączynami u szyi mu zawisło:

— Tatku, jeść!

Jednem ramieniem przytrzymując je u piersi, drugą sięgnął w przepaścistą głębię pieca i wyciągnął z niej garnek z jakąś ledwie ciepłą resztą krupniku. Wziął drewnianą łyżkę i wlewał nią krupnik w usta dziecka. Część krupniku wylewała się z łyżki i ust dziecka na brzeg pieca, dziecko krztusiło się i śmiało

zarazem; Stepan także śród niezliczonych zmarszczek swej twarzy uśmiechać się zaczął. Wkrótce jednak srogo znowu brwi zsunął i z ust wyrzucił ciche przekleństwo.

Dlaczego w dostatniej chacie jego panuje niedostatek taki, że oto dziecko swe karmić musi zimną resztką krupniku, a sam, głodnym będąc, jeść czego nie ma? Komora przecież pełna. Tak, ale chata pusta. Dziecko w niej to jedno tylko, a żonka po świecie lata z językiem wywieszonym jak u suki.

— Suka! — zamruczał i znowu zaklął.

Potem jeszcze do dziecka rzekł:

— Oj, żeby tamta twoją matką była, nie takby ty wyglądał...

Po chwili, ojcowskiemi rękoma na sienniku ułożone, mizerne dziecko znowu zasnęło, a Stepan, przyniesioną z komory kromkę chleba z kawałkiem słoniny zjadłszy, siedział przy ścianie na ławie i drzemał. Orał dziś przez dzień cały, tak więc znużony był, że aż całą swą postacią kołysał się od senności, to wtył, to naprzód. Jednak do snu się nie układał. Na żonę czekał.

Był-że to objaw czułości małżeńskiej? Doświadczyć tego miała Rozalka, gdy na godzinę przed północą do chaty wracała, wracała zaś w humorze wybornym. Uszczęśliwiało ją to, że Pietrusię złapano dziś na gorącym uczynku szkodzenia ludziom, i że odtąd nietylko cała wieś, ale i Stepan w obrzydzenie ją weźmie najpewniej.

Ta ostatnia nadzieja rozpływała się po jej wnętrzu namiętną rozkoszą. Ona przecież nie z przymusu i nie z chciwości, ale z lubienia za Stepana poszła. Ostrzegali ją ludzie, że on wielki złośnik.

— Już ja temu dam rady — mawiała. — Na złość jest złość, i niewiadomo jeszcze, kto kogo przezwycięży. Niechaj bije, byle lubił.

Aż przekonała się, że on jej nie lubił, a pojął ją tylko dlatego, że, kiedy matka umarła, «gospodyni w chacie konieczną już się stała». Tamtą, to lubił, i jak jeszcze lubił! O, gdyby nie bała się kryminału i sądu, byłaby już tamtą sto razy zabiła! Ale teraz zabita już ona i tak. Wiedźma, ludzi krzywdząca i z nieczystym będąca w zmowie. Teraz to i Stepan plunie na nią tylko, gdy ją zobaczy.

Nadzieja ta uczyniła ją szczęśliwą i bardzo dla męża czułą. Wsunęła się do chaty zcicha i, ujrzawszy Stepana siedzącego jeszcze na ławie, jak wiewiórka przyskoczyła, usiadła przy nim

i za szyję go ramieniem objęła. Oczy jej wyglądały jak dwa czarne płomyki, wąskie usta ukazywały w uśmiechu rząd śnieżnych zębów.

Na szyję męża ramię zarzuciwszy, chciała przycisnąć się do jego boku, gdy nagle on pięść podniósł i uderzył ją w plecy tak silnie, że aż z ławy na ziemię kolanami upadła. Zarazem krzyczeć zaczął, zapytując ją, gdzie tak długo siedziała, czemu wieczerzy nie zgotowała, czemu do dziecka nie przyszła? Wtedy ona znowu złością wybuchnęła i, zerwawszy się z klęczek, a ręce na biodrach oparłszy, zaczęła skakać mu w oczy, zjadliwie śmiejąc się i wołając:

— Wiedźma twoja Pietrusia! Wiedźma twoja miła! wiedźma twoja lubka najmilsza! wiedźma! wiedźma!

Stepan zerwał się z ławy i, za włosy ją porwawszy, znowu na ziemię rzucił. W tejże chwili krzyk i łoskot obudził małego chłopczynę, który, ujrzawszy rodziców bijących się na środku izby, szybko wysunął się z pod radna i cicho, z przestraszonemi ruchami wlazł pod tapczan. Z doświadczenia wiedział o tem, że po każdej bitwie z mężem matka porywała go za włosy lub koszulę i jak szczenię na środek izby z pościeli wyrzucała. Ojciec go wtedy najczęściej na ręce brał i po izbie w ramionach nosił, tuląc i całując, ale czasem, kiedy już był bardzo rozzłoszczony, także go nogą kopnął...

Pietrusia tymczasem, zaszedłszy do kuźni i chwilkę z mężem pogadawszy, do domu wróciła. Przez ten dzień napracowała się w ogrodzie około pielenia buraków i kapusty, a na godzinę przed zachodem słońca wybiegła w pole, aby trochę ulubionych ziół swoich narwać. Wiedziała, że w porę jeszcze przyjdzie, aby wieczerzę zgotować.

Dokoła Akseny tymczasem, która, przez wnuczkę do ogrodu wyprowadzona, cały dzień na trawie przesiedziała, a teraz już zwykle swe miejsce na piecu zajęła, skupiło się troje starszych dzieci; najmłodsze spało w kołysce.

W zmroku letnim, który napełniał izbę, gwiazdami do niej przez szyby okien zaglądając, grupa, złożona z czterech istot ludzkich różnej wielkości, ciemniała i poruszała się w zarysach mętnych, pod samym prawie sufitem izby, nakształt grubych cieniów.

W ciszy, którą przerywały tylko oddalone stukania kowalskiego młota, chrypiał i seplenił głos ślepej baby, i jak srebrne dzwonki rozlegały się cienkie głosiki dziecięce. Ona im coś, to z powagą wielką, to ze swym suchym, klekotliwym śmiechem,

opowiadała; one jej mnóstwem wykrzyków i zapytań mowę przerywały. Najczęściej i najśmielej odzywał się sześcioletni Stasiuk, najmilszy pierworodny syn ojca, potrosze już pomocnik matki w pielęgnowaniu najmłodszego dziecka, potrosze też już opiekun ślepej babki, którą czasem na piecu karmił, a po dziedzińcu i ogrodzie za rękę wodził.

Teraz był on czegoś niezmiernie rozciekawiony i, głosem rozpieszczonego dziecka, nieustającemi zapytaniami prababkę napastował.

— Gdzie on był, babulko? gdzie Jadamek był, nim do naszej chaty przyszedł? Gdzie on pierwej był?

Szło mu właściwie o to, skąd przyszedł najmłodszy braciszek, który przed miesięcem zjawił się w chacie, co robił przedtem, zanim tu przyszedł? Stara śmiała się długo, a potem rzekła:

— W lesie Adamek był, w lesie był twój braciszek mileńki, nim tu przyszedł.

— A co on tam robił? — zabrzmiało znowu pytanie.

— Zajączki w lesie pasł — odpowiedziała mu babka.

— A ja gdzie był pierwej, nim tu przyszedł?

Stara bez namysłu już odpowiedziała:

— Ty na wysokiem, wysokiem drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

— A ja, a ja, babulko, a ja?

— Ty, Kryśka, na dnie sinieńkiej wody siedziała i rybki pasła...

— Helenka? babulko, a Helenka?

— A ja, babulko, a ja gdzie była?

Widać prababka trzyletnią Helenkę pocałowała, bo po izbie rozległo się głośne cmoknięcie. Potem ze śmiechem, w którego starym klekocie czuć było rozkosz, odrzekła:

— Helenka w gęstej trawie siedziała i robaczki pasła...

Wtem drzwi stuknęły, i po izbie rozszedł się mocny zapach ziół polnych.

— Czy to ty, Pietrusia? — zapytał w zmroku głos chrapliwy i sepleniący.

— Mama! — zadzwonił dziecięcy chór.

— Wszyscy wy tutaj? — zapytała wchodząca.

— A wszyscy.

— Adamek śpi?

— A śpi.

— To i chwała Bogu. Ot, zaraz ogień rozniecę i kartofli zgotuję, com ich dziś w ogrodzie nakopała.

— Oj, dobre kartofle... młode... — z wyraźną rozkoszą zasepleniła babka.

— Dobre... oj, dobre... — powtórzył dziecinny chór.

Szeroki ogień zapłonął w piecu i oświetlił izbę, w której przez upłynione lat kilka zaszły niejakie zmiany — zmiany na dobre: więcej dostatku i więcej wymysłów. Pomiędzy oknami stała komódka, a na niej dwa mosiężne lichtarze i lampka ze szklanym kominkiem. U okien firanki z kwiecistego perkalu i pachnące geranjum całe w czerwonym kwiecie; za szybami szafki białe talerze, a na jednej ścianie kilka obrazków w błyszczących ramkach. Wszystko to Michałek poprzynosił do domu. Gdy tylko gdziekolwiek za interesem jakim pojedzie, zawsze coś ładnego przywiezie do domu, a potem sam z tych przybytków cieszy się jak dziecko i żonce cieszyć się każe. Gdyby i nie kazał zresztą, ona cieszyłaby się sama. Oczy jej kochają się w jaskrawych barwach perkalowych firanek i złotawych połyskach mosiężnych lichtarzy, a jeżeli stąd doświadcza jakiego zmartwienia, to tego chyba, że ślepa babka tych wszystkich piękności i wygód, w jakie ona teraz opływa, widzieć nie może. Opowiada jej o nich zato długo i szeroko i każdą rzecz nową do pomacania jej daje...

Zresztą, wszystkie stare rzeczy pozostały w tej izbie, tak jak i były. Ławy, stoły, statki gospodarskie, trzy krzesła z drewnianemi poręczami, krośna tkackie Pietrusi, w kącie jednym wielki stos różnego żelastwa i nad nim na ścianie kilka nowych, tylko co w kuźni zrobionych siekier, pił, kruków i szczypiec. Na krośnach tkackich Pietrusia radno rozesłała i na nie wysypała z fartucha rozsypane zioła. Potem zakrzątnęła się około wieczerzy; dzieci, niby ptaki z pieca zleciawszy, biegały koło niej bosemi stopy i szczebiotały te dziwy, które im babula o zmroku opowiadała.

— Mamo! ja na dnie sinieńkiej wody siedziała i rybki pasła...

— A ja w gęstej trawie siedziała i robaczki pasła...

— A ja na wysokiem, wysokiem drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

— A Jadamek w lesie siedział i zajączki pasł...

Sypiąc kartofle do garnka, Pietrusia żartobliwie przekomarzała się z dziećmi, na piecu stara aż zanosiła się od śmie

chu, że te dureńki tak zupełnie we wszystko, co mówiła, uwierzyły.

W pół godziny potem wrócił do domu kowal. Dzieci ku niemu się rzuciły.

— Tatku, ja w sinieńkiej wodzie...

— A ja, tatku, na wysokiem drzewie...

— A ja w gęstej trawie...

— A Jadamek w lesie...

Michałek jedno po drugiem na ręce je brał, jak piórka wysoko nad głowę swą podnosił i, pocałowawszy, na ziemi znowu stawiał. Szeroko przytem i z przyjemnością widoczną rozpytywał się dzieci, co tam w tej wodzie, w tej trawie i na tem drzewie robiły, i kiedy to było? Teraz stał się on mężczyzną zupełnie już dojrzałym, z ramiony, od kowalskiej pracy szeroko rozrosłemi, z twarzą od opalenia prawie bronzową i z wielkim, czarnym wąsem nad łagodnemi usty. Znać w nim było siłę pracownika i powagę człowieka, który tylko od własnej swej pracy zależał. Z czarnych oczu jego, gdy dzieci całował i po pełnej dostatków izbie się rozejrzał, patrzało szczęście. Siadając na ławie, zawołał:

— Zuzulu! zmachałem się przy robocie, mało ręce nie poodpadają! Jeść chcę.

Nigdy prawie inaczej żony nie nazywał jak zuzulą, imieniem tego miłego ptaka, który wesołem kukaniem oznajmia rozkwitłą wiosnę.

— W mig będzie wieczerza! — wesoło odparła kobieta i postawiła na stole lampkę z długim kominkiem.

Michałek zwykł był już zawsze wieczerzać przy świetle lampy; łuczywo palili tylko w zimowe wieczory, ażeby w chacie jaśniej i weselej było. W mgnieniu oka dwie małe dziewczynki znalazły się na kolanach ojca, Stasiuk na stole siedział i wszystko troje razem gadało, lecz nikt ich nie słuchał. Pietrusia na stole postawiła misę dymiących się kartofli, bochen chleba i nóż mężowi podała, a potem z sieni przyniosła jeszcze hładysz z kwaśnem mlekiem.

Wkrótce po wieczerzy dzieci zasnęły: Stasiuk pod kraciastym kilimkiem na tapczanie, Kryśka i Helenka na piecu obok babki.

Ślepa baba, przez prawnuka nakarmiona mlekiem i kartoflami, nacałowawszy się prawnuczek i naśmiawszy się z ich szczebiotu i swawoli, zabierała się także do rozciągnięcia na piecu

starych swych kości, kiedy Pietrusia, myjąc miski i łyżki, odezwała się nagle:

— Aha! jaż wam nie opowiedziała jeszcze, co mnie się dziś przytrafiło...

Przez cały wieczór, zajęta mężem, dziećmi i wieczerzą, zapomniała o wszystkiem, co nie było najbliższem i najmilszem jej otoczeniem. Zresztą do dzisiejszego swego wypadku małą przywiązywała wagę i opowiadała o nim babce i mężowi ze śmiechem, zwyczajnie jak młoda kobieta, która ma głowę nabitą swojem kochaniem i swemi pomyślnościami tak, że nic z tego, co się jej zdarza, na złe sobie tłumaczyć nie umie...

Kowal grubym swym i serdecznym śmiechem śmiał się także i z chłopów, którzy ogień na przyciąganie wiedźm rozniecają, i ze zdarzenia, które na ten ogień żonę jego przywiodło. Ale stara Aksena widocznie zmarkotniała. Wprzódy już kłoniła się była ku swemu posłaniu; teraz siedziała wyprostowana, nieruchoma, a kościste jej szczęki poruszać się zaczęły tak, jak gdyby coś z trudem przeżuwała. Był to u niej znak niemylny zgryzoty lub troski. Kiedy Pietrusia opowiadać przestała, a wymyte miski i łyżki umieszczała na przybitej do ściany desce, stara głosem, objawiającym głębokie zamyślenie, ozwała się z pieca:

— To niedobrze, oj, to niedobrze, że ty, Pietrusia, pierwsza na ten ogień przyszła!...

— Głupstwo! — zaśmiał się kowal i ręką machnął, ale Pietrusia żywo ku babce twarz zwróciła:

— Czemu? — zapytała.

Po chwilowym jeszcze namyśle, baba mówić zaczęła:

— Bo najpierwej wiadomo, że na taki ogień zausiudy (zawsze) wiedźma przychodzi. To już wiadomo, to już tak musi być, tak już Pan Bóg Najwyższy siłę nieczystą ludzkim oczom objawia. To czemuż ty, Pietrusia, dzisiaka (dziś) na ten ogień przyszła?

Ręce młodej kobiety opadły nagle i splotły się na spódnicy.

Wytrzeszczyła oczy i na babkę patrzała.

— Czy ja wiem, czemu? — wymówiła zcicha z wyrazem zdumienia, przez które przebłyskiwała trwoga.

— Ot! — lekceważąco ozwał się kowal — szła to i przyszła. Szkoda gęby na to marnować.

Ale Aksena nie zważała na sceptyczne odezwanie się Michałka, a Pietrusia nawet go nie słyszała. Z otwartemi wciąż

usty, rozszerzonemi oczyma patrzała na babkę, która dalej mówiła:

— A druga rzecz jest, że teraz już złe ludzie spokojności tobie nie dadzą. Teraz to już pewno za wiedźmę cię ogłoszą i...

Szczękami gwałtownie poruszać zaczęła i po chwili dopiero dokończyła:

— I niech ciebie już Pan Bóg od wszelkiego nieszczęścia broni.

Tu, ręką jakby z żółtej kości wyrzeźbioną, uczyniła w powietrzu kilka znaków krzyża; ślepe jej oczy może od wyprężonego wzniesienia powiek rażącą białością odbijały śród żółtej twarzy. Pietrusia tam, gdzie stała, osunęła się i na ziemi usiadła, z rękoma wciąż splecionemi i otwartemi usty. Michałek mniej niż wprzódy lekceważącym głosem burknął:

— Już to i ja od wszelakiego nieszczęścia bronić jej będę... ale jakie tam z tego może być nieszczęście? Nie daj, Boże, nieszczęścia!

Widać było, że, jakkolwiek do rzeczy podobnych daleko mniejszą niż inni wagę przywiązywał, jednak gadanie ślepej baby sprawiło na nim wrażenie niejakie. Baba, po chwilowem milczeniu, znowu mówić zaczęła:

— Dawno już ja, oj, dawno na tym świecie żyję, wiele świata schodziłam, wiele ludzi słyszałam i takich słyszałam, co żywemi oczyma patrzali jeszcze na stare czasy, takie stare czasy, że o nich już teraz i pamięć pomiędzy ludźmi przepadła. Ot, kiedy ja z maleńką Pietrusią na ręku w cudzy świat poszła, to zaszła raz do jednej wioski, w której żył jeden taki stareńki człowiek, że mu już na twarzy zielony mech wyrósł, a ludzie mówili, że jemu może więcej jak sto lat było. Zamłodu on sołdatem podobno był i we dworach służył, i dużo świata schodził to jak zacznie, bywało, gadać a rozpowiadać, wszyscy gębę otwierają i słuchają; wszyscy... htaby nie był... panny nawet i bardzo uczone ludzie przychodzą, bywało, i proszą jego, aby im różne rzeczy gadał... I ja, bywało, proszę i słucham... Oj, stary Zachar, stary Zachar! już teraz i kosteczki jego rozsypały się w mogiłce, i dusza przed Panem Bogiem stanęła, a to, co on gadał i rozpowiadał, taki po świecie chodzi, jak żywe... Ot, ja ślepa, a jak żywe stoi przed oczyma memi to, co on o tej wiedźmie rozpowiedział, a słyszał to on sam od swego ojca, który ją już na swoje żywe oczy widział. A mnie teraz to wszystko jakby żywe przed ślepemi oczyma stanęło...

Znowu na chwilę mówić przestała. Wspomnienia, które przed ślepemi jej oczyma stały i poruszały się jakby żywe, wyrwały ją z nieruchomości uprzedniej. Kołysała cienką kościaną swą postać to wtył, to naprzód i nim znowu mówić zaczęła, parę razy westchnęła głośno. Białe jej oczy nie świeciły już wśród żółtej twarzy, jak przed chwilą, bo przestał padać na nią blask ognia, który, powoli przygasając w piecu, rzucał na izbę smugi bladawo kołyszącej się w zmroku światłości. W jednej ze smug takich siedziała na ziemi Pietrusia z zamkniętemi już usty, ale splecionemi dokoła kolan rękoma i niepokojem zmąconą twarzą.

Pod drugą ścianą potężna postać kowala rozpierała się na ławie i stole. Przez oszczędność zapewne zagasił on lampkę, głowę na dłoni oparł i z uwagą słuchał gadania starej. Słuchał zawsze bajek jej i opowieści z uwagą i przyjemnością pewną, płacąc jej wzajemnemi opowiadaniami o wędrówkach swych po świecie i różnych widzianych i słyszanych rzeczach. Tak im przechodziły dość często niedzielne popołudnia i spore kawały zimowych wieczorów.

Teraz, choć spać mu się trochę chciało, słuchał jednak, a ślepa baba, w zmroku zalegającym wierzchołek pieca, chrypiącym swym i sepleniącym lecz silnym jeszcze głosem, tak prawić zaczęła:

— Była, żyła w siole ludnem i bogatem dziewczyna, do czerwonej maliny podobna, słuszna jak ta topólka i taka piękna, że dziwowali się jej wszyscy ludzie. Parobki młode to wprost już szaleli za nią, a i panicze do niej przychodzili i mówili, bywało: — Choć spójrz ty na mnie, Marcysia! choć razik ruczkę mnie swoju podaj! — Ale Marcysia nikogo nie chciała, ani chłopa, ani pana. Pójdzie, bywało, do studni, jak królewna jaka w spódnicy, stużkami (wstążkami) naszywanej, w kolorach i bursztynach na szyi, kwiatów sobie pełno we włosy nakładzie i śmieje się tylko ze wszystkich, białe zęby pokazując. I już zaczęli ludzie gniewać się na nią i różnie ją przezywać, i bardzo jej przypatrywać się, co ona takiego robi, że wszyscy do niej lgną jak te muchy do miodu, a ona sama do nikogo nie chce. Aż tu patrzą, patrzą i widzą, że Marcysia nie zawsze śmieje się i z parobkami albo paniczami baraszkuje, ale czasem też bardzo pochmurna chodzi, na ludzi zezem patrzy, do lasu idzie i siedzi w lesie dzień, dwa, trzy dni, a jak wróci, potajemnie zioła jakieś warzy, szepcząc nad niemi i dziwne znaki robiąc, a potem już ludziom różnym te zioła do picia daje, od bólów, i od ko-

lek, i od nudności, i od zgryzoty, i od wszelkiego ucisku, jaki tylko jest. Byli tacy ludzie, co od niej te napoje kupowali i potem dziękowali jej i chwalili ją przed wszystkiemi, mówiąc, że ona bardzo ciekawa i dlatego wiele rzeczy poznała, a za ciekawością swoją to już i lubienia żadnego znać nie chce. Milsze jej było ziółko w lesie, niż chłop na dobrej roli, albo nawet i panicz we dworze. I byłaby sobie Marcysia spokojnie żyła i swoje robiła, bo nie miała nikogo, coby ją do czegokolwiek przymuszał, a w siole wszyscy już przyzwyczaili się do tego, że inną sobie była, niż wszystkie dziewki. Bywało, mówią o niej: — Z innem sercem i z innemi myślami się urodziła. — I dawali jej święty spokój. Ale oto, na nieszczęście Marcysi, polubił ją jeden dworski człowiek, guberner, czy pisar, czy co takiego. A ona z niego żartowała sobie tak, jak i ze wszystkich. Stanie, bywało, przed kościołem, tam gdzie i on stoi, jak królewna jaka, w spódnicy stużkami naszywanej, w cienkiej koszuli, w koralach i bursztynach na szyi i śmieje się z gubernera, białe zęby mu pokazując. On długo cierpiał i wszystko ją prosił, żeby go polubiła, aż kiedy zobaczył, że nic z tego nie będzie, w straszną złość wpadł, do miasta pojechał, przed księdzami i wielkimi urzędnikami skarżył się, że ot, tak a tak, Marcysia jest wiedźmą. Wtenczas w siole zrobiło się jak w piekle. Pozjeżdżali się księdzy i urzędniki wielkie i zaczęli nad Marcysią robić śledztwo. Zebrali z sioła ludzi i pytali się: a co ona robi? a czego ona do lasu chodzi? a co ona szepcze, kiedy zioła warzy? a jakie to zioła? a czy do niej czart w gościnę chodzi? a skąd u niej tyle stużek, i koralów, i bursztynów, i wszelakich ubiorów jest? Wypytawszy się o wszystko, Marcysi ręce i nogi związali, na wozie ją położyli i do miasta powieźli. A w mieście na rynku pokazali ją wszystkim ludziom i powiedzieli, że to jest wiedźma. Tak i tak, mówili, tak i tak. Nieczystemu duszę swoją chrześcijańską zaprzedała, mówili, z nieczystym w lesie rozmawiała, mówili; nieczysty jej przez komin stużki, bursztyny i wszelakie bogactwa nosił, mówili. A potem na środku rynku nałożyli dużo drzewa, a potem kat w czerwonej sukni Marcysię za włosy schwycił i w ogień wrzucił. Ogień buchnął taki wielki, że prawie nieba dostawał, a Marcysia paliła się w nim jak ta trzaska, tak okropnie jęcząc, że jęczenie jej na cały świat rozchodziło się i prawie nieba dostawało, a od jej ciała, co paliło się w wielkim ogniu, smród rozchodził się po całem mieście, a księdzy na chwałę Panu Bogu święte pieśni głośno wyśpiewywali, i sam król, na tronie siedzący, cieszył się i wszystkim ludziom cieszyć

się przykazywał, że tak oto ukaraną jest wiedźma, co duszę swą chrześcijańską nieczystemu zaprzedała...

Umilkła Aksena, i głębokie milczenie w izbie zapanowało. Kowalowi przy słuchaniu opowieści o wiedźmie wszelka ochota do spania przeszła. Czy wierzył on, albo nie wierzył, w istnienie djabłów i wiedźm? Sam dobrze nie wiedział. Poprostu, wesoły temperament i przewaga praktycznych instynktów skłaniała go do lekceważenia podobnych zagadnień i nawet do wesołych nad niemi żartów. Jednak opowiadania takie, jak to, które w tej chwili usłyszał, czyniły na nim wrażenie, wstrząsały silnie jego wiarę, budziły w nim żywą ciekawość: tak było i teraz z Michałkiem.

Co do Pietrusi, ta, z wytrzeszczonemi oczyma i zbladłą od przerażenia twarzą, słuchała opowiadania babki; gdy była w niem mowa o ogniu, który aż prawie nieba dostawał, wydała z piersi stłumiony okrzyk zgrozy, a gdy usłyszała o smrodzie, który z piekącego się ciała Marcysi rozchodził się po całem mieście, dreszcze wstrząsnęły silnie jej ciałem od stóp do głowy. W parę minut dopiero po umilknięciu babki ozwała się głosem tak cienkim i jękliwym, jakim nie mówiła nigdy:

— Babulo! czy ona naprawdę wiedźmą była? czy tylko tak... złe ludzie na nią wymyślili?...

— To już nie wiadomo — z namysłem i powoli odparła Aksena — tego już i stareńki Zachar nie wiedział. Może była, może nie była. Jeżeli była, to u niej na plecach czerwony znak od czortowskiego kopyta musiał być. Tego znaku ja nigdy nie widziała, i Zachar nie widział, ale mówił, że dzid ojcu jego rozpowiadał, że widział, i że tak musi być!...

Po chwilowem milczeniu zakołysała się znowu na mrocznym wierzchołku pieca kościana postać ślepej baby, i chrypiący głos zamruczał:

— Oj, stary Zachar, stary Zachar! kosteczki twoje rozsypały się już w mogiłce, i dusza twoja przed Panem Bogiem stoi a to, co ty gadał i rozpowiadał, taki po świecie chodzi jak żywe...

Kowal wstał z ławy.

— At! — zawołał — głupstwo! Ja też dużo świata schodził i niemało widział i słyszał, a nigdy nie widział i nie słyszał, żeby gdzie wiedźmę palili. Teraz już tego robić nie wolno. Teraz już tego niema. Chodź spać, zuzulo!

Wstała powoli, ciężko jakoś, a w wymownych jej oczach malował się niepokój. Policzki jej zbladły nieco i wydawały się

mniej okrągłemi; natężenie myśli twarz jej wydłużyło. Po kilku minutach zupełna cisza napełniła izbę. Przerwało ją wkrótce głośne chrapanie kowala, a prawie jednocześnie ozwał się szelest kroków, i ktoś wyraźnie wdrapał się na piec. W ciemności, na wierzchołku pieca, zaszemrał szept:

— Babulo, czy ty śpisz, babulo?

Spała, ale stary sen jej był bardzo lekkim i do przerwania łatwym. Przywykła zresztą do tego, że śród nocy budziły ją sypiające przy niej prawnuczki. Tym razem jednak obudziła ją nie mała prawnuczka, ale kobieta, która, położywszy się przy niej, gorącem ramieniem suche jej ciało objęła.

— To ty, Pietrusia?

— Ja, cichoż tylko, babulo, żeby Michałka i dziecka nie zbudzić...

— A czego ty tu przyszła? Czy cię kolki tak jak przeszłego roku sparły? Czy Adamek spać ci nie daje?

Przez długą minutę odpowiedzi nie było; potem jeszcze cichsze niż szept uprzedni zaszemrało pytanie:

— Babulo, czy, kiedy ja urodziłam się, ojciec i matka nosili mię do kościoła do chrztu świętego?

— Nu, a jakże? — odpowiedział sepleniący szept starej — jakżeby ty bez chrztu świętego żyła? Wiadomo, że nosili.

— Babulo, a kiedy ja mała byłam, żegnała ty mnie na noc krzyżem świętym?

— Nu, a jakże? żegnała, każdego wieczora żegnała...

— Dlatego, żeby nieczysty dostępu do mnie nie miał?

— Dlatego, żeby nieczysty dostępu do ciebie nie miał, i żeby Pan Bóg najświętszy opiekował się tobą, biedną sierotą...

— Babulo! mnie zdaje się, że ja przed Panem Bogiem niczem wielkiem nie zgrzeszyła...

Po chwilowem milczeniu stary szept odpowiedział:

— Mnie zdaje się, że ty przed Panem Bogiem taka czysta, jak ta biała leleja, co w kościele przed ołtarzem stoi...

Po tej odpowiedzi dało się słyszeć przeciągłe westchnienie ulgi. Potem młode usta zaczęły znowu cichutką rozmowę:

— Babulo! to i czemuż ja dziś na ten ogień przyszła?

Odpowiedzi długo nie było. Zapytanie mieściło w sobie zagadkę, niezmiernie do rozwiązania trudną. Po długiej chwili dopiero Aksena szepnęła:

— Bo może to i nie wiedźma to mleko krowom odebrała?

— A któż? kiedy nie wiedźma?

— Może ropucha...

— Aha!

Ostatni wykrzyk brzmiał triumfem.

— Pewno ropucha. Ropuchy, kiedy rozgniewają się na ludzi, tak samo mleko krowom odbierają.

— A-le!

— Tak, to pewno ropucha.

— A ropucha, bo żeby nie ropucha, toby wiedźma na ogień przyszła... nie ty!...

— A-le. Śpijże z Bogiem, babulo.

— Śpij spokojnie, zuzulo ty moja, śpij...

Nazajutrz była niedziela, a wiadomo, że w niedzielę chłopu i chłopce wszystko na świecie jaśniej i piękniej wygląda, bo choć i dnia tego jakiej takiej roboty dokonać muszą, lecz po jej dokonaniu nie schylają już twarzy nad zagonem lub tokiem stodoły, nad balją, albo nićmi rozpiętemi na krośnach. Przez połowę dnia najmniej patrzeć sobie mogą na słońce, niebiosa i wszystko, co z ziemi wysoko wyrasta, chodzić, siedzieć, śmiać się, gadać i śpiewać — co kto chce.

Tej niedzieli pogoda była piękna. Pietrusia wody ze studni przyniosła i ogień w piecu roznieciła w tej jeszcze chwili poranku, gdy nad brzozowym gajem jutrzenka rozwinęła różową szarfę, a pierwsze promienie słońca, zdołu wgórę strzelając, złote podszewki dawały liściom ogrodu. Potem nad staw pobiegła i, przyniósłszy stamtąd pęk pachnącego ajeru, rozrzuciła go po podłodze izby, wprzódy już czysto wymiecionej i białym piaskiem posypanej.

Kiedy kowal obudził się, stara babka na pościeli swej usiadła, i dzieci gwarzyć zaczęły, w chacie od ajeru pachniało jak na łące, przez dwa otwarte okna lały się strugi słonecznych świateł, a Pietrusia w białej koszuli, spiętej u szyi błyszczącym guzikiem, w kwiecistej perkalowej spódnicy i czerwonej chustce na włosach przed ogniem stojąc, kartofle oskrobywała z łupin, które starannie do cebrzyka zrzucała, aby nie szpeciły niedzielnej podłogi.

Kowal, oczy ze snu otworzywszy, spojrzeniem powiódł dokoła, na żonę popatrzał i, wyciągając nad radnem potężne swe ramiona, a szeroko jeszcze poziewając, zawołał:

— Oj, zuzula ty moja, zuzula!

Ona za całą odpowiedź zaśmiała się głośno i garść łupin kartoflanych tak zręcznie nań rzuciła, że zasypały mu one twarz i piersi. Do samego prawie południa krzątała się po chacie. Po-

żywieniem obdzieliła całą rodzinę, babkę i starsze dzieci myła, czesała i w czystą odzież ubierała, malutkiego Adamka piersią swą nakarmiła i w ramionach kołysała, męża do miasteczka na dzień cały wyprawiając, zaopatrywała go w zapas żywności i o tem, co miał tam nabywać i sprzedawać, rozważnie i po przyjacielsku z nim rozmawiała.

Po południu dopiero Stasiuk, w czystej i kolorowym paskiem przewiązanej koszuli, prababkę do ogrodu poprowadził. Malutką swą ręką trzymając jej żółtą, kościstą rękę, spełniał on czynność przewodnika z powagą i uwagą wielką, z wydętemi wargami, w milczeniu. Stara szła za nim, kijem wciąż ziemi przed sobą dotykając, w samodziałowej, sinej kapocie, w płytkiem obuwiu i świątecznym czepcu, którego błyszczący galonik świecił na słońcu dokoła białych jej włosów. Pod dziką jabłonią na trawie usiadła, w zwykłej postawie swej wyprostowanej i tak sztywnej, że czyniła ją ona podobną do figury, wyrzeźbionej z drzewa czy kości. Nie widziała nic, ale czuła ciepłe wietrzyki, muskające jej twarz i głowę, słyszała szczebiot ptactwa i głosy prawnuków, czuła pod ręką świeżą miękkość trawy. Szeroki więc uśmiech rozchylał jej wąskie i bezbarwne wargi, a białe oczy zdawały się z natężeniem i rozkoszą wpatrywać w ten piękny świat.

Pietrusia wyniosła przed chatę radno, na które wczoraj uzbierane zioła zsypała i, usiadłszy na niskim kamieniu, tuż przy progu chaty, poczęła dobierać je i gatunkować. W kupki osobne układała czomber, brunelkę, dziewannę, krwawnik, macierzankę i inne jakieś różne trawki i listki. Tą robotą zajęta, niekiedy przyśpiewywała sobie półgłosem; czasem na zioła patrzeć przestawała i wzrok puszczała po pustem polu, na którem już zboża nie było. Ciche i drzemiące leżało dziś ono pod złotą płachtą słońca, jakoby na wzór ludzi w niedzielę odpoczywając.

Od wsi zato przylatywały gwary, złożone z głosów zwierzęcych i ludzkich; przed karczmą, którą zdala od innych domostw rozróżnić było można, rój ludzi poruszał się i huczał. Pietrusia, w stronę wsi patrząc, zmarkotniała trochę. Wąska, kręta ścieżka, która pomiędzy stodołami a opłotkami ogrodów od wsi do chaty kowala wiodła, pusta dziś była. Tylko usychające w ogrodach konopie wychylały z za opłotków swe rozczochrane głowy, albo wyjrzał przez nie żółty kwiatek piżma, albo kura głośno zagdakała, i kogut załopotał skrzydłami i zapiał. Ale ludzkiej duszy nie było dziś na ścieżce ani jednej. Prze-

cież każdej prawie niedzieli kobiety z Suchej Doliny licznie Pietrusię odwiedzały; jedne po radę przychodziły, inne tak sobie na pogadankę i z lubienia. Przychodziła tu zwykle w niedzielę młoda Łabudowa i chłopców swych z sobą do Stasiuka przywodziła; przychodziła córka Maksyma Bodruka, którą Pietrusia kiedyś dziewięcioranką swą w ciężkiej słabości ratowała, i inne. Dziś żadna nie przyszła, i żonie kowala markotno zrobiło się koło serca.

Niedługi dzień sierpniowy miał się już ku końcowi, słońce bliskiem było zachodu. Teraz ścieżką, wijącą się pod opłotkami, powinny przechodzić dziewczęta, bo zwykle w dni świąteczne przychodziły do Pietrusi na śpiewanie. Nikt w całej wiosce nie śpiewał takim silnym i czystym głosem, jak ona; nikt tylu pieśni nie umiał.

Bywała zwykle przewodniczką chórów, tych chórów, które każdej prawie letniej niedzieli o zmroku przed chatą kowala na kamieniach i trawie zasiadały i aż do późnego wieczora napełniały powietrze rozgłośnem śpiewaniem. Dziś żadna nie przyszła.

Słońce już zachodziło, kiedy Pietrusia zobaczyła na ścieżce jedną postać kobiecą, ku chacie jej zmierzającą. Zdala poznała Frankę, wnuczkę Jakóba Szyszki. Odświętnie niby, ale ubogo ubrana, krępa trochę dziewka, z nieładną lecz hożą twarzą i błyszczącemi, błękitnemi oczyma, jękliwym jakimś głosem Pietrusię pozdrowiła i, zaproszenia nie czekając, tuż przy niej na przyźbie usiadła.

Dwie kobiety znały się z sobą od lat najmłodszych i często żęły na jednym zagonie, grabiły na jednej łące, razem śpiewały i w karcznie lub na odbywającem się pod gołem niebem ihryszczu tańczyły i dokazywały. Wczoraj, gdy kowalowa pierwsza na ogień przyszła, Franka zadumała się o czemś tak głęboko, że nawet na chwilę o bliskiej obecności Klemensa zapomniała. Z twarzy jej można było wtedy wyczytać, że coś sobie obmyśliwała, jakieś zamiary i nadzieje w głowie swej snuła. Teraz z temi zamiarami i nadziejami do kowalowej przyszła i, chwilę pomilczawszy, jękliwym głosem zaczęła:

— Oj, biedna ty, Pietrusia, biedna! Wielmi już ludzie na ciebie nastają. Wykrzykują, taj wymyślają...

Kowalowa żywo zwróciła się ku dziewczynie i pytaniami ją zasypała:

— Co mówią? Kto mówi? Czy i Piotr Dziurdzia także rozgniewany, i Piotrowa, i Łabudowie, i Bodruki?

Franka wszystko, co we wsi o Pietrusi gadano, powtórzyła, a potem ramię swe zarzuciła jej na szyję. Przymilając się, oczy mrużąc, dłonią po twarzy kowalowej gładząc, zaczęła:

— Ja do ciebie, Pietrusia, z wielką prośbą... Kiedy ty taką znachorką jesteś, że możesz ludziom robić i dobrze, i źle, to ty mnie poratuj w mojej wielkiej biedzie i zgryzocie...

Pietrusia cofnęła się żywo i niechętnie odwróciła twarz rozognioną od gniewu i żalu.

— Jaka ja znachorka! — krzyknęła prawie. - Idź ty sobie ode mnie... nie dokuczaj...

Ale Franka przysunęła się ku niej jeszcze bliżej i znowu ją za szyję objęła.

— Nie gniewaj się, Pietrusia, nie gniewaj się ty na mnie... ja nie ze złego serca... oj, żeby ty wiedziała, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszej chyba na świecie niema... Wiadomo, sierota i uboga, i tak jak w cudzej chacie zostająca. Dziadowska chata nie ojcowska... Poniewierają się nade mną dziadźki (stryjowie), i poniewierają się ich żonki... Pracuję, haruję, jak ten wół w jarzmie, a dobrego słowa od nikogo nie posłyszę... Jak pobiją się z sobą, to i mnie biją — a ciągle ten chleb co u nich jem, wymawiają... Już mnie i życie zbrzydło, i za zgryzotą a płakaniem Bożego świata nie dojrzę...

Obu czerwonemi i wistocie spracowanemi rękoma twarz sobie zakrywszy, rozpłakała się rzewnie.

Wtedy już Pietrusia sama przysunęła się do niej i zasmuconym głosem rzekła:

— Wiem ja, wiem, że tobie w dziadowskiej chacie życie nie słodkie... Dziadźki twoje złośniki i pijaki, a ich żonki paskudne... I nie bogato u was. Ale cóż ja tobie na te twoje biedy zaradzić mogę?

— Oj, możesz, możesz, kab tylko chaciela! — ręce od twarzy odejmując, zaczęła Franka i, oba już ramiona na szyję powiernicy swej zarzuciwszy, całować ją zaczęła tak zapalczywie, że pocałunkami i łzami swemi policzki jej zwilżyła. Potem, całem swem krępem ciałem na ramieniu jej zwieszona, przez parę minut cichutko jej coś do ucha szeptała.

Pietrusia uczyniła znów żywe poruszenie oporu i niechęci.

— Nie chaczu! — zawołała — nikomu już nic doradzać nie będę, żeby tam nie wiem kto był, nikomu! Dalibóg, nie będę!

Franka szyi jej z uścisku swego nie puszczała i znowu

jej do ucha nawpół z płaczem, nawpół ze śmiechem coś szeptać zaczęła.

Pietrusia powtarzała ciągle:

— Nie chcę! nie dam! nie poradzę! pobożyłam się, że nie poradzę!

Ale widocznie żal jej robiło się Franki, i ogarniać ją za częła ciekawość niewieścia. Odpowiedzi przeczące dawała, jednak szeptu Franki słuchała ze współczuciem i ciekawością.

— A lubiż on ciebie choć trochę? — zapytała.

Dziewczyna mokry od łez policzek na grubej dłoni wsparła i, smutne oczy wlepiając w powiernicę swą, odpowiedziała:

— Bóg że to jeden wiedzieć może, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. Dwa roki już od tego czasu minęło, jak pierwszy raz mnie zaczepił. Młodzieńka ja była wtedy i na żadnego parobka jeszcze ani patrzałam. Aż tu raz pod studnią, jak da mnie ktoś w kark, to aż w krzyżach trzasło. Patrzę, Klemens. Ja mu wody z wiadra wprost w oczy, a on mnie wpół schwycił i po plecach glaszcze. — Ty, Franka — mówi — nie do tej studni przychodź po wodę, ale do tamtej, co bliżej naszej chaty. — I potem już tak ciągle. Niech tylko gdzie zobaczy, to zaraz zaczepi. Zimową porą gnilki za pazuchą przynosił i garściami mnie w fartuch sypał, a ot, dwie niedziele temu, z nikim w karczmie nie tańczył tylko ze mną...

— To i dobrze — zauważyła Pietrusia — to znaczy, że lubi...

Dziewczyna, wstydliwie oczy ręką zakrywając, cicho odpowiedziała:

— Kiedyż bo innym razem, to miesiąc i dwa i trzy ani na mnie spojrzy, i tak samo inne dziewczęta zaczepia... A tu mnie w chacie taka bieda, że niech mnie Pan Bóg święty broni. Dziad łaje, i dziadźki łają, i dziadźkowe żynki z chaty wygnać chcą. — Idzi w służbu — mówią — kto ciebie durną weźmie? — mówią — Klemens nie weźmie — mówią — ot, już dwa roki — mówią — jak zwodzi ciebie i oszukuje, a ty wierzysz...

Ręce załamała i znowu płakać zaczęła.

— Ja wierzę i nie wierzę — wśród płaczu mówiła — czyby mnie Pan Bóg takie wielkie szczęście dał, żeby mnie wziął za żonkę syn gospodarski... Oj, szczęście to, takie szczęście, że większego już chyba na świecie niema...

Pietrusię zwierzenia te widocznie wzruszały.

Każdej żywej istocie życzliwą ona była, a biadania i pra-

gnienia tej przypominały jej przeszłość własną. Franka w obie ręce całować ją zaczęła.

— Ratuj, Pietrusia, ratuj, dopomóż... — jęczała — ja tobie przez całe życie wdzięczną będę.

— Kiedyż bo — wahającym już się głosem zaczęła kowalowa — kiedyż bo, żeby i to... baćko jemu z tobą żenić się nie pozwoli... syn gospodarski... bogaty i taki urodziwy... Słyszę, Pietruk tej zimy do Budrakówny dla niego swaty ma słać...

— Oj! — zajęczała Franka — kab tylko on chacieł, kab tylko on sam chacieł, z baćkiem już łatwy interes. On u baćki swego prawe oko w głowie, baćko świata za nim nie widzi...

— To jest prawda — potwierdziła Pietrusia — on u rodziców tak jak jeden, bo z durnego Jasiuka mała pociecha...

— Kab tylko chacieł! Kab naprawdę polubił... — wzdychała Franka i znowu ręce kowalowej ucałowała a policzki jej pocałunkami i łzami swemi moczyła.

Pietrusia namyślała się jeszcze z wielkiego kłopotu, aż chustkę na głowie przekrzywiła: bardzo nie w porę przyszła jej ta żarliwa prośba przyjaciółki. Lecz serce nie kamień. Istotnie, gdyby Franka za Klemensa wyszła, byłoby to dla niej takiem samem szczęściem, jak dla niej było wyjście za Michałka. Istotnie, Piotr był dobrym człowiekiem, syna lubił i możeby bardzo nie sprzeciwiał się jego woli, gdyby on naprawdę miał tę wolę.

— Nu — rzekła — dobrze... babula mnie kiedyś rozpowiadała o takiem ziółku... Nigdy ja go jeszcze nikomu nie dawałam... ale tobie, cóż już robić? Może i dam. Jeżeli znajdę, to dam, ale nie wiem, czy znajdę. Przyjdź dowiedzieć się jutro...

Franka aż na ziemię osunęła się z radości i, kolana znachorki objąwszy, całować je zaczęła. Potem z ziemi poskoczyła i, wyprostowana, obie ręce na kłębach oparła. Była to postawa triumfująca. Radość i triumf biły z czerwonej, pucołowatej jej twarzy i błękitnych, błyszczących oczu. Zdawać się mogło, że nawet mały, u czoła wklęsły nos jej stał się więcej zadartym. Nogą tupnęła i splasnęła rękoma.

— Ot, ja im wtedy dam, ot, ja im wtedy pokażę, i dziadźkom i dziadźkowym żonkom. Na próg do swej chaty nie puszczę... kupną spódnicę włożę i przed oczyma ich chodzić w niej będę... jak zobaczę, że która chleb je, jedną ręką kiełbasę, a drugą figę jej pokażę...

Pietrusia aż zanosiła się od śmiechu z triumfującej miny i zawziętych pogróżek Franki. Widocznem było, że dziewczyna da-

leko mniej pożądała lubienia Klemensa, niż świetnego losu, któryby dla niej z małżeństwa tego wypadł. Ale i te także uczucia kowalowa nieco rozumiała i dzieliła. Jej także, upośledzonej niegdyś sierocie, przyjemnie było teraz w kupnej spódnicy po wsi chodzić i dawnych chlebodawców swych w dostatniej swej chacie przyjmować.

— Dobrze, — powtórzyła — co robić? Jak tu ludzi nie ratować... kiedy można? przyjdź jutro...

Franka pędem strzały puściła się ku wiosce. Pilno jej było do karczmy, gdzie skrzypce grać już zaczęły, i Klemens był pewno.

Nazajutrz całkiem już o zmroku znowu od kowalowej wracała. Szła tym razem powoli, zamyślona, może trochę rozmarzona i co moment przyciskała ręką coś, co u piersi za koszulą miała. Wtem, u końca ścieżki, pomiędzy gęstemi krzakami ostów, zarastających brzeg pola, a rosnącą za płotem ogrodu jabłonią, ktoś ją za spódnicę przytrzymał. Zlękła się tak, że aż krzyknęła i żegnać się zaczęła, gdy nagle w przechylonej nad płotem postaci poznała Rozalkę. Żwinnie przez niski płot przeskoczywszy Stepanowa świszczącym szeptem pytać zaczęła:

— A skąd ty, Franka? Od kowalichy? ty i wczoraj tam chodziła. Nie bójś! ja wszystko widzę. A co u kowalichy słychać? Ziola warzy, ropuchy hoduje, czy z czortem rozmawia? ha?

Franka zrazu odpowiadać nie chciała i spróbowała iść dalej, lecz Rozalka znowu za spódnicę ją przytrzymała.

— Czego uciekasz? — mówiła — pilno tobie do dziadźkowych kułaków i dziadowego łajania? Na, masz, siadaj tu i jedz. Pogadamo.

W rękę wcisnęła jej ogórek, chłodny, duży, zielony ogórek, i taki sam drugi z za koszuli wyjąwszy, na spadzistości pola pomiędzy ostami usiadła.

Ofiarowany przysmak zjednał Frankę dla kobiety, względem której zresztą żadnych przyczyn do niechęci lub gniewu nie miała. Owszem. Rozalka okazywała jej nawet niejaką życzliwość, i gdy jej w chacie bardzo dokuczano, ujmując się za nią, ze stryjenkami jej srodze się raz pobiła. Było to zresztą rzeczą dość prostą. Nie miała nic do zazdroszczenia Francе a litowała się trochę nad jej sieroctwem.

Obie tedy usiadły pod krzaczastemi ostami i, gryząc ogórki, w zmroku szeptać zaczęły. Ogród, przy którym znajdowały się, był pusty, na ścieżce żywej duszy nie było. Rozalka

dopytywała się dziewczyny, czego do kowalichy chodziła, a Franka wnet rozrzewniła się znowu nad swoją dolą i jęczeć zaczęła:

— Oj, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszej chyba na świecie niema. Wiadomo, sierota i uboga, tak prawie jak w cudzej chacie zostająca. — I wszystko to samo i tak samo wyjęczała, jak godzinę temu przed Pietrusią.

Rozalka głową ze współczuciem kiwała, a potem zapytała:

— A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka swoje dalej prawiła:

— Bóg-że to wiedzieć może, czy on lubi, czy nie lubi, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. Już dwa roki temu pod studnią, jak dał mnie ktościś w kark, to aż w krzyżach trzasło. Patrzę... Klemens. Ja mu wodę z wiadra wprost w oczy...

I tak dalej, do końca. Wszystko to samo i tak samo, jak przed Pietrusią. Rozalka nie sprzeciwiała się i nie przerywała, po chwili jednak zapytała znowu:

— A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka nie wygadała jeszcze wszystkiego, co, jak codzienny pacierz, w głowie jej siedziało.

— A innym razem — jęczała — to miesiąc i dwa i trzy ani spojrzy i tak samo inne dziewczęta zaczepia...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

— Ja wierzę i nie wierzę, żeby mnie Bóg wszechmogący takie szczęście dał...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

Pomimo całej dyplomacji, jakiej w tym razie użyć zamierzyła, Rozalka już była bliską wybuchu. Franka, nie wiedząc skąd i dlaczego, w rękę ją pocałowała i, palcami z oczu łzy ocierając, zaczęła:

— Ratuj, ciotko, dopomóż — ja tobie przez całe życie wdzięczną będę...

— Aha! — przeciągle wymówiła Stepanowa, i oczy jej w zmroku błysnęły jak dwa płomyki.

— To ty do kowalichy o poradę prosić chodziła...

— Ale!

— Dała jaką?

— A dała... niech jej Pan Bóg wszystko dobre daje...

Rozalka całem swem giętkiem ciałem zwiesiła się na szyi dziewczyny i do ucha jej prawie szeptać zaczęła śpieszne, naglące namiętne pytania. Franka broniła się przez chwilę, wstydliwie i z bojaźnią twarz odwracając. Wstydziła się i lękała tajemnicy

swojej. Ale Rozalka, obejmując ją jedną ręką, drugą pchała jej w usta kawałek swego niedojedzonego ogórka, a z wielkiej serdeczności przyginała ją ku ziemi tak, że obie omal położyły się na trawie. Przytem osypywała ją pieszczotliwemi nazwami gołąbki, zuzuli, robaczka, rybki.

Do czułości takich Franka w twardej, sierocej swej doli przyzwyczajoną nie była. Pochlebiało jej, że w ten sposób obchodzi się z nią kobieta starsza i gospodyni chaty zamożnej. W rękę Rozalkę pocałowała, ciotką ją nazwała i znowu skarżyć się i lamentować zaczęła.

Rozalka ją pocieszała, pocieszenie wciąż zapytaniami przeplatając, a gdy po upływie godziny powstały obie z ziemi, czarne oczy Stepanowej pomimo zmroku świeciły radością i triumfem. Wydobyła już z dziewczyny wszystko, o czem wiedzieć chciała, i nagle, pozostawiając ją śród ostów stojącą, pędem strzały ku wiosce pobiegła.

Bez tchu prawie biegła przez uciszoną już ulicę wiejską, aż u wrót chaty Piotrowej stanęła. Miała zrazu widoczny zamiar wpadnięcia tam nakształt burzy i wygadania wszystkiego, o czem się dowiedziała. Nagle przecież w głowie jej powstał plan inny. Teraz o niczem jeszcze nikomu nie powie, a wtedy dopiero, gdy w rodzinie Piotra stanie się bieda, gdy Klemens z Franką koniecznie żenić się zażąda, a ojciec temu sprzeciwiać się będzie, gdy pomiędzy ojcem a synem wybuchnie kłótnia i niezgoda, ona przyjdzie do nich i powie, kto temu wszystkiemu jest winien. Ciekawa to rzecz, co uczyni wtedy Piotr, który za nic nie zgodzi się na to, aby syn jego żenił się z dziewczyną byle jaką i w dodatku ze złodziejskiej chaty pochodzącą. Sam nie kradł nigdy i wnuczki złodzieja za synową mieć nie chce. Oj, będzież tu, będzież w tej chacie kłótni i zgryzoty wszelakiej! oj, będzież za to będzie kowalisze od Piotra i wszystkich porządnych ludzi! Dadzą już wtedy, o! dadzą tej, która jej życie zatruła, przez którą ona mężowskiego lubienia nie zaznała, a na całem ciele tyle ma sińców, ile jest gwiazd na niebie. Niechby bił, ale lubił. I nie lubi, i bardzo bije, a wszystko przez tę...

W zmroku, przed chatą Piotrową stojąc, zapłakała, fartuchem oczy otarła i powoli dalej iść poczęła. Czegóż pośpieszać miała? Wszak wiedziała zgóry, co ją w domu czeka. Zrana dziecko zachorowało, a wiadomo, kiedy dziecko zachoruje, Stepan swą żałość w srogą złość przemienia i na niej ją wywiera. Jakby ona temu winna była, że dziecko urodziło się takie ni-

jakie. Wprawdzie, kiedy dwa lata miało, grzmotnęła je raz łopatą w głowę tak, że od rozumu odeszło i na kilka niedziel zaniemówiło. Ale czyż ono od tego słabe jest i nierozgarnięte? Gdzie tam! Taka już jej we wszystkiem dola pohana — i tyle!

V.

Do chaty Piotra istotnie zajrzało nieszczęście, nie zaraz jednak i nie takie, jakie przewidywała Rozalka.

Obszerną izbę w słoneczny dzień październikowy napełniali ludzie, którzy tam z radami i pocieszeniami przychodzili. Jakkolwiek Piotr od lat już paru przestał być starostą, jednak powaga obejścia się, rozważność mowy, nadewszystko zaś może zamożność jego, jednały mu szczególne poważanie i przychylność wśród mieszkańców Suchej Doliny. Gdy tylko więc wieść o nieszczęściu, które go dotknęło, rozeszła się po wsi, ten i ów z gospodarzy przychodził, aby rozpytać się o szczegóły zdarzenia i ze zmartwionym sąsiadem pogadać, powzdychać, głową pokiwać.

Zdarzało się to tem częściej, że roboty letnie i jesienne były już prawie skończone, a od cepa i toku stodoły łatwiej oderwać się na godzinkę, niżeli od pługa i zagona. Piotr młodszemu synowi rozkazał żyto w stodole młócić, a sam zamierzał zrana udać się za pługiem, na pole, dla wyorywania kartofli. Ale południe już było bliskiem, a on nie mógł jeszcze wydalić się z chaty. Myślał wciąż o kartoflach, kilka razy już drzwi otwierał, aby iść konie do pługa zaprzęgać, lecz za każdym razem wracał i znowu na ławie, pod ścianą izby siadał. Nie wyrzekał głośno i nawet nie wzdychał, tylko widocznie ręce mu bezwładnie na kolana opadały, ochota do niczego nie brała, i czoło zmarszczyło się w głębokie fałdy.

Na pozdrowienia wchodzących sąsiadów odpowiadał krótkiem:

— Na wieki wieków! — i znowu zapadał w milczenie.

Czasem rękę do czoła podnosił i ustami poruszać zaczynał tak, jakby żegnał się i pacierze mówił. Sąsiedzi stawali przed nim, albo rozsiadali się na ławie i, zadawszy kilka zapytań, podziwiwszy się trochę, głowami pokiwawszy, milczeli także, wzdychali i odchodzili, a na ich miejsce przychodzili inni. Tak było z mężczyznami. Ale z kobietami działo się wcale inaczej. Tłum nie otaczały one tapczan, na którym leżał chory, gadały, dora-

dzały, nad Agatą, która, na ziemi u tapczana siedząc, cicho płakała, głośne lamenty zawodziły.

Chorym był Klemens.

Urodziwego parobka sroga jakaś gorączka, niby kosa trawę, podcięła. Pod kraciastym kilimkiem leżał on nieruchomy, nakształt kłody drzewa, z twarzą ziejącą ogniem, wciąż jękliwym głosem matkę ku sobie przywołując. Piotrowa podnosiła się z ziemi, stojący obok dzbanek z wodą brała i, klęcząc, brzeg jego do ust synowskich podawała. On pił chciwie, jej łzy ciekły po zżółkłej od zgryzoty twarzy. Nie krzyczała jednak, rąk nie łamała i rzadko nawet odzywała się do sąsiadek. Zawsze była ona najcichszą prawie z całej wsi niewiastą, taką już przy swoim poważnym mężu i w swojej spokojnej chacie być przywykła. Inne zato kobiety, tapczan ściśle otaczając i choremu przypatrując się, gwarzyły jak na targu, lub zawodziły jak na pogrzebie. Łabudowa, gospodyni, tak jak i Agata zamożna i poważna, prawiła:

— Nie wytrzyma, już ja wiem, że nie wytrzyma. Już ja może dziesięciu ludzi w takiej chorobie widziała, i żaden nie wytrzymał.

Piotrowa rzewniej jeszcze płakać zaczęła i z twarzą w dłoniach aż zakołysała się cała z żałości, ale żona Maksyma, Bohdanka, tęga i zamaszysta baba, złowróżbną sąsiadkę od tapczana odepchnęła.

— Czemu nie wytrzyma? czy to zmiłowania boskiego nad grzesznymi ludźmi niema? Pan Bóg najwyższy zmiłuje się i uzdrowi. Agata! hładysz mi dajcie, prędko! Słyszycie, Agata? jemu trzeba hładysz do żywota przystawić!

Paraska Szymonowa z małem dzieckiem na ręku i dwoma starszemi, które czepiały się jej spódnicy, skora do płaczu, bo zawsze prawie głodna i skłopotana, palcami rozmazywała sobie łzy po chudych policzkach i zawodziła:

— Oj, bogate takie i szczęśliwe ludzie, a taki spadła na nich zgryzota! Oj, Klemens, Klemens, żebyś ty był lepiej na tę łąkę nie pojechał, na tym deszczu nie przemókł i nie wyspał się na tej zgniłej kopicy! Oj, z tej zgniłej kopicy choroba ta wylazła i w twoje ciało wlazła... oj, biednaż twoja młoda główka, biedna!

Młody parobek istotnie przed kilku dniami jeździł na dość oddaloną łąkę, dla zebrania z niej wprzódy już skoszonej trawy, w drodze zmókł na ulewnym, jesiennym deszczu i noc przespał na stożku zgniłej od wilgoci trawy. Nazajutrz, do domu wróciw-

szy, kożuch włożył, bo go dreszcze trzęsły, lecz że dnia następnego chłopcy wiejscy mieli w stawie niewodem ryby łowić, poszedł wraz z nimi, zdjął na brzegu odzienie, po ramiona prawie wlazł w wodę i przez parę godzin pomagał niewód ciągnąć. Po tej już wyprawie był na tapczanie i od dwóch dni zeń nie wstawał. Przytomnym był zupełnie, tylko czasem na różne bóle wyrzekał, a teraz tak jęczał, że stara Łabudowa ręce jak do pacierza splotła i, z nogi na nogę przestępując, Agatę zapytała:

— A gromnica jest u was? Już jemu, biedakowi, gromnicęby w rączki włożyć.

Budrakowa ze swej strony wołała o hładysz, aby go do żywota choremu przystawić, inne kobiety szeptały o księdzu i przenajświętszych sakramentach; młodziuchna, wysmukła dziewczyna, w cienkiej koszuli z żółtym kwiatkiem za uchem, która przy oknie stała i na chorego Klemensa jak w tęczę patrzała, zajęczała głośno:

— Oj! Bożeż, mój Boże!

Była to córka Maksyma Budraka, najłagodniejsza i najbogatsza dziewczyna we wsi, która tu niby po matkę, ale wistocie z niespokojności o ładnego parobka, przyszła i wstydliwie w milczeniu przy oknie stanęła.

Piotrowa, zanosząc się od płaczu, dźwignęła się z ziemi i poszła do komory po hładysz i po gromnicę, a flegmatyczna Paraska, krok w krok za nią wraz z trojgiem dzieci swych chodząc, z uporem ogłupiałych i rozlazłych istot, wciąż swoje powtarzała:

— Oj, żeby on był nigdy na tę łąkę nie jechał, na tym deszczu nie zmókł i nie przespał się na tej zgniłej kopicy!

Wtem, pomiędzy gwarzącemi kobietami i tuż za Piotrową, która, hładysz Budrakowej podawszy, z kawałkiem woskowej świecy w ręku, znowu na ziemi u nóg syna usiadła, zabrzmiał najdonośniejszy ze wszystkich, ostry i syczący głos niewieści:

— Ale, albo to od łąki i od deszczu i od kopicy ta choroba na niego przyszła? Od czego innego ona na niego przyszła, i nie boska w tem wola jest, ale czyja inna!

Słowa te wymówiła Rozalka, która dnia tego już kilka razy wpadała do Piotrowej chaty i, popatrzywszy chwilę na chorego, wybiegała z niej, aby po kwadransie lub godzinie powrócić znowu. Z ruchliwej i ognistej jej twarzy poznaćby można, że czuła się czemś mocno zdziwioną i zaklopotaną. Spodziewała się wcale czego innego, niż to, co się stało. Za wrotami Piotrowej chaty stawała i, z palcem do ust przyłożonym, dumała głęboko. Potem

biegła do domu, aby strawę gotować i lnu choć trochę natrzeć, była to bowiem pora tarcia lnu, a Rozalka za lnem przepadała i pomimo wszystko zupełnie o nim zapomnieć nie mogła Przytem Stepan, który żyto młócił, parę razy już przez drzwi stodoły na nią zawołał, aby z chaty nie odchodziła, bo zaraz pójdzie za nim na pole kartofle zbierać. Była więc dnia tego na wszystkie strony rozrywana. Tu len trzeć chciała, tam mąż ją wołał, owdzie znowu, w chacie Piotra ważną sprawę załatwić musiała. Ze wszystkiego jednak, co się koło niej działo, ta sprawa najbardziej na sercu jej ciężyła: więc raz jeszcze wpadła do chaty Piotra i, usłyszawszy dowodzenia Paraski o przyczynach choroby Klemensa, zawołała:

— Ale nie od łąki, i nie od deszczu, i nie od zgniłej kopicy ta choroba na niego przyszła! Nie boska w tem wola, ale czyja inna.

A gdy wszystkie prawie obecne kobiety, nie wyłączając Budrakowej, która już z hładyszem w ręku nad chorym stała, oczy na nią zwróciły, splotła na fartuchu ciemne swe, małe, ruchliwe ręce i wymówiła:

— To jest zrobione!

— Co? — zapytał chór niewieścich głosów.

— A taż choroba. Ją ktościś jemu zrobił.

Teraz kilku mężczyzn, którzy w milczeniu naprzeciw Piotra siedzieli, i sam Piotr, przysłuchiwać się zaczęli babskiej rozmowie. Chory nawet zwrócił ku mówiącej przyćmione cierpieniem, ale przytomne i pytające oczy.

— Aaaa! — zadziwiło się parę kobiecych głosów — a któż to taki zrobił?

Z nogi na nogę przestępując i oczyma błyskając, Rozalka zaczęła:

— Ja wiem kto. Ta, co jemu ziele na lubienie dawała. Musić nie takie ono było, jak trzeba, to i zamiast lubienia chorobę zrobiło.

Mężczyźni lekceważąco kręcili głowami, a Klemens na Rozalkę popatrzał i, wstydliwie brodę pod kilimek wsuwając, pomimo bólów swych, parsknął śmiechem. Wiadomość o tem, że ktoś mu ziółko na lubienie dawał, zawstydziła go nieco, lecz więcej jeszcze ucieszyła. Zajęczał zaraz, bo go w krzyżach srodze zabolało, niemniej przecież przyćmiony wzrok swój na ładną Budrakównę zwrócił, jakby chciał jej powiedzieć:

— A co? widzisz, jaki to ja!

Ale hoża dziewczyna aż zbladła od przestrachu i wylękłe

swe oczy w Rozalkę wlepiła; inne kobiety pootwierały zrazu usta, potem zwiastunkę dziwnej wieści pytaniami osypywać zaczęły. Ona ze zwykłą swoją żywością do Piotra się zwróciła.

— Chadzi, Pietruk — zawołała — tobie skażu. Nikomu nie skażu, ale tobie skażu. Ty ojciec i pomstowanie za krzywdę syna do ciebie należy.

Piotr wstał za kobietą, która go za rękę chwyciła, do sieni wyszedł. Tam w półzmroku z kwadrans ze sobą rozmawiali.

W izbie tymczasem zapanowała cisza. Budrakowa hładysz do żołądka chorego, niby olbrzymią bańkę, przystawiała.

Na dworze dał się słyszeć głos męski, niecierpliwie wołający Rozalki.

Ona mu z sieni krzykliwie odpowiadała:

— Zaraz! zaraz!

Stepan z pługiem, zaprzężonym parą koni, zatrzymał się przed chatą stryjecznego brata i żony doczekać się nie mogąc, klął ją straszliwie.

Po kwandransie dopiero Piotr wrócił do izby, widocznie wzruszony i rozgniewany. Czoło jego sfałdowało się więcej jeszcze, niż przedtem, a zwykle łagodne oczy rzucały ostre błyski z pod ściągniętych i zjeżonych brwi. Zrazu jednak nic nie rzekł, tylko ze zgiętym grzbietem i pochyloną głową na ławie usiadłszy, splunął i zamruczał:

— Zhiń, przepadnij, nieczystaja siła!

Potem na syna badawczy wzrok zwrócił i zapytał:

— Klemens! pił ty niedawno miód z Franką, Jakóbową wnuczką? ha? pił, czy nie? Odpowiadajże!

Parobkowi trudno było na to pytanie odpowiedzieć. Wstydził się, brodę wraz już z ustami pod kilimek wsuwał.

— Nie dokuczajcie, baćku, wielmi w kościach boli! — zajęczał.

— Ja nie dla dokuczania pytam się, tylko dla wiadomości — odparł Piotr i proszącym prawie głosem dodał: — Po ojcowsku ja pytam się ciebie: czy pił ty w karczmie miód z Franką, Jakóbową wnuczką?

Ładna Budrakówna w płomieniach cała stanęła. Ona wiedziała o tem, że Klemens brzydką i biedną Frankę zaczepia, i chciała nieraz gniewać się za to na niego srodze, ale nigdy nie mogła. W naturze już jej gniewu nie było. Odwróciła się więc tylko znowu do okna i głośno nos w palce utarła. Poczem pilnie słuchała, co będzie dalej.

— Nu — badał dalej Piotr syna — pił, czy nie pił?

— Pił — jękliwie odpowiedział Klemens. — Taj cóż takiego, że pił?

Piotr rozpaczliwym ruchem głową rzucił.

— Nu — rzekł — to ty z tym miodem i chorobę tę wypił. Dziewka ci do niego paskudnego ziela nasypała. Na śmierć, nie na życie, na pohybel, nie na lubienie, ziele to wiedźma ludziom daje..

Kilka kobiet splasnęło w dłonie. Piotrowej oczy zmęczone, splakane, z wyrazem obłąkania prawie na mówiącego patrzały.

— Wiedźma! — rozległ się chóralny okrzyk.

— Kowalicha! — przez zaciśnięte zęby dokończył Piotr, przyczem z ławy wstał i do komory poszedł.

Po chwili wrócił, niosąc Ewangelję ową, z której pomocą Pietrusia niegdyś złodzieja odgadywała. Przystąpił do chorego syna i, uczyniwszy w powietrzu znak krzyża, starą książkę nad samą głową, na poduszce mu położył.

Czyniąc to, szepnął:

— Może jeszcze Pan Bóg zlituje się nad nami nieszczęśliwymi. Może boska siła przezwycięży czortouskuju siłu. Może ty, synku, wyzdrowiejesz i sam na tej nieprzyjaciółce ludzkiego rodu krzywdę swą pomścisz! Może ja jeszcze na wiosnę orać z tobą razem pójdę; może ja jeszcze na twoje wesele patrzeć będę...

Kreślił w powietrzu nad synem nieskończoną ilość krzyżów, świętą księgę do głowy mu przyciskał, a kilka grubych łez stoczyło się z jego oczu po ściąglych, bladawych policzkach. Klemens udzieloną mu wiadomością i słowami ojca przeraził się i wzruszył bardzo; głowa silniej mu zapłonęła, oczy nabrały rażącego blasku, zaczynał tracić przytomność; okropnie jęczał i klął.

Kobiety ze swej strony uderzyły w krzyk i płacz, wołały, że już po wszystkiem, że po księdza posyłać trzeba, że nawet księdza chory nie doczeka; Łabudowa gromnicę zapaliła i w ręce chorego wetknęła; Budrakówna przed oknem na klęczki upadła i z głośnym płaczem krzyczeć zaczęła:

— Wieczneż odpoczywanie duszyczce jego daj, Panie!

Piotr, głowę tracąc, szedł już, aby konie zaprzęgać i po księdza jechać, a idąc, trząsł się cały z żalu i ze złości, od czasu do czasu z za zaciśniętych zębów wyrzucając straszne przekleństwa.

— Kab jej nogi połamało! Kab ona świata za płaczem nie

widziała, wiedźma ta przeklęta, nieprzyjaciółka Boża, dusza chrześcijańska czortouskiej sile zaprzedana!

Piotrowa, zapaloną gromnicę w rękach syna ujrzawszy po raz pierwszy, przeraźliwie krzyknęła, zarazem z błyskawiczną szybkością chustkę na rozczochraną głowę narzuciła i z chaty wybiegła.

Biegła naprzód ulicą wiejską, potem skręciła na wąską ścieżkę, która pomiędzy ścianami stodół, a opłotkami ogrodów, ku domostwu kowala wiodła.

Były to jasne dni babiego lata. Nad ziemią wisiały błękity nieba, blade, lecz tak czyste, że niepodobnaby na nich dopatrzeć najlżejszej chmurki. Z pobladłej i jakby zmalałej tarczy słonecznej płachta niezmąconego światła spadała na ciemne pola, których nagości nie przysłaniały szczupłe cienie drzew, nawpół ogołoconych z liści.

Gaje rozrzucone po wzgórzach stały w złocie i w przeróżnych odcieniach purpury, a powietrze, przeniknięte rzeźwym i suchym chłodem, było tak ciche i czyste, że najlżejsze drgnienie nie poruszało srebrnych pajęczyn, wieszających się po gałęziach drzew, krzewach polnych i badylach ogrodów, że widnokrąg wyglądał jak okrągła tarcza, wypukłemi rzeźbami napełniona i kloszem z najprzezroczystszego kryształu okryta. W cichym krysztale powietrza i łagodnem świetle słońca, pomiędzy szmatą zoranej roli, a ogrodem, pełnym uschłych badyli, domostwo kowala przedstawiało obraz głębokiego pokoju, ożywionego migoczącemi w słońcu szybami małych okien.

Cisza zalegała pole i ogród, bielejącą za ogrodem ławicę piasku i srebrnie za piaskiem połyskującą szybę stawu; przerywały ją tylko dwa odgłosy pracy ludzkiej: miarowe, twarde, silne uderzenia kowalskiego młota i miarowe także lecz daleko szybsze i mniej głośne stukanie trącej len cierlicy. To ostatnie zdawało się wtórzyć pierwszemu, a z ciężkich uderzeń młota i szybkiego tętentu cierlicy, z dymu, wijącego się nad kominem domu, i płomienia, błyskającego za otwartemi drzwiami kuźni, z rozlegających się w ogrodzie głosów dziecinnych i głuszącego je czasem piania kogutów, w łagodną harmonję i ciche ukojenie otaczającej natury, tryskał zdrój czystego, zdrowego, pracowitego życia.

Michał naprawiał w kuźni pługi, nadwerężone orką jesienną. Aksena pod złotawą jabłonią ogrodu, na uschłej trawie siedząc, w ostatniem cieple słonecznem rozgrzewała swe stare kości, a przy niej mały Stasiuk, ku zachwyceniu dwóch mniej-

szych jeszcze dziewczynek, dmuchał w drewnianą gwizdawkę, wydającą z siebie piszczące i przeraźliwe tony.

W izbie chaty, przyciemnionej niskim sufitem, firankami, z kwiecistego perkalu i kilku doniczkami z geranjum, mirtem i piżmem, oprócz śpiącego w kołysce dziecka, nikogo nie było. Na ziemi, ławach, stołkach, nawet na trzech paradnych krzesłach, piętrzyły się ciemne snopy wymoczonego i wysuszonego lnu, jeden zaś kąt sporej sieni napełniały wysoko białawe głowy kapusty. Niedarmo te ostatnie dni pogody i słońca noszą nazwę babiego lata. W nichto na pracownice wiejskie spada istotny grad robót różnych.

Pietrusia dziś od świtu ścinała kapustę i znosiła ją do domu, a teraz pod ścianą chaty ustawiwszy narzędzie długie i wklęsłe, lnu w nie nakładła i, uderzając go deską opatrzoną w nagłówek, miękkie włókna rośliny ogałacała z ich suchej i twardej powłoki. W podniesionej nieco spódnicy i grubej koszuli, bosa i w okrągłym czepku z czerwonej bawełnicy, z pod którego ciemne i gęste włosy wymykały się na szyję jej i czoło, prędko, coraz prędzej uderzała deskę cierlicy, a sucha kostrzyca wzbijała się w powietrze, osypywała jej odzież i owijała ją całą złotawą w słońcu kurzawą.

Robota była ciężka; pracownica krztusiła się suchym pyłem, oddychała szybko i głośno, grube krople potu wystąpiły na czoło jej i policzki; jedna z jej rąk zakrwawiła się w paru miejscach. Ani na chwilę jednak roboty tej nie przerywała i była w niej tak pogrążona, że nie usłyszała otwierania się wrót małego dziedzińca, ani śpiesznych stąpań zbliżających się ku niej kobiety, i wtedy dopiero głowę podniosła, gdy o kilka kroków od niej głos kobiecy, od płaczu i gniewu ochrypły, wymówił:

— Niech czort pomaga! Bodajby ty ze lnu tego sobie i swoim dzieciom śmiertelne koszule utkała!

Podniosła głowę, i oczy jej spotkały się z błyszczącemi oczyma Agaty. Wyprostowała się, ręce jej wzdłuż spódnicy opadły. Słowa Piotrowej przeraziły ją widocznie. Wczoraj już Franka przybiegała do niej z wieścią o chorobie Klemensa. Byłaby zaraz do dawnych gospodarzy swoich pobiegła, aby dowiedzieć się, co tam słychać, pocieszyć, może dopomóc, ale wiedziała, że źle tam o niej gadają i że odwiedzin jej nie żądają wcale.

Piotrowa sama przyszła i od przekleństwa zaczęła. Nie przywykła do łajań i krzyków, zrozpaczona matka, z twarzą

zżółkłą i zmalałą, stała i teraz w swych płytkich trzewikach i dużej chuście na głowie, nie miotając się, jakby czyniły inne, owszem, bez ruchu prawie i tylko srogim wzrokiem na nią patrząca. Na Pietrusię nieruchomość ta, ten wzrok w nią utkwiony i te wyrzucone przekleństwa wywarły wrażenie takie, że aż jęknęła i niby przed widmem cofnęła się o parę kroków.

— Czego chcecie, ciotko? — wyjąkała.

Teraz Piotrowa głową kiwała i po razy kilka, jakby jej oddechu do dłuższego mówienia brakło, powtórzyła:

— Oj, ty! oj, ty! oj, ty!

— Oj, ty niegodziwa! — wybuchnęła nakoniec — toż ty przez tyle lat chleb nasz jadła, toż my ciebie jak co dobrego lubili i hołubili... Za co ty nam teraz syna otruła?... ha?

Pietrusia rękoma splasnęła.

— Ja wam syna otruła? ja!

Agata postąpiła naprzód i zbliżyła się do niej tak, że rozdzielała je tylko wąska cierlica. Szyję wyciągnęła i w twarz młodej kobiety wpiła jadowite, błyszczące spojrzenie. Z przeciągłem syczeniem słowa z jej ust wychodziły.

— Co ty jemu zrobiła? Skaży, co zrobiła? jakie ziele tej dziewce dała, żeby go ona niem napoiła? Nie dawała może? ha? Skaży, że nie dawała? Żełżyj, co tobie szkodzi, ty już i tak zgubiona, czortu zaprzedana, Boga obrazić nie boisz się! Skaży, że nie dawała?

Do zarumienionej od pracy twarzy Pietrusi buchnęły ogniste rumieńce, załamała ręce i krzyknęła:

— Aha!

Zrozumiała teraz, czemu w Piotrowej chacie jej przypisywano chorobę Klemensa, i nagły strach zatrząsł jej sercem, które gwałtownie bić zaczęło.

A może to i od tego ziela, może naprawdę i od tego ziela on zachorował? Łzy nabiegły do wylęknionych jej oczu, do Agaty zwróciła się profilem i stała nieruchoma, jak słup, oniemiała.

— Aha! — krzyknęła już teraz Piotrowa — nie pobożysz się ty, że nie dała! bo i dała! już ja i z twarzy twojej widzę, że dała, i że to prawdą jest, co Rozalka mówiła! No, kiedy tak, to odróbże teraz, co zrobiła! czujesz? Daj co takiego, żeby jemu truciznę z ciała wypędziło. Kiedy ty wiedźma, to ty wszystko znasz... Kiedy ty źle możesz robić, to i dobrze możesz... Odrób, co zrobiłaś! czujesz? odrób...

Wyciągając obie ręce nad cierlicą, kobietę, w niemy słup zamienioną, za koszulę i ramiona targała, a we wzroku jej obok gniewu i nienawiści zjawiać się zaczął wyraz trwogi i prośby. Z nienawiścią, to z prośbą w głosie powtarzała:

— Znasz, możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Pietrusia targnęła się, z rąk jej koszulę swą wyrwała i, załamując ręce, jęknęła:

— Co ja zrobię?... odczepcie wy się ode mnie...

Wtedy Piotrowa, choć słaba ze zgryzoty i płaczu, jak łania skoczyła i, osunąwszy się przed nią na ziemię, kolana jej objęła.

— Pietrusia, mileńka, zuzula! ratuj ty jego! daj jemu co takiego, żeby ta trucizna z ciała mu wyszła... tyś sama ją dawała... jak zrobiła, tak i odrób... ja tobie za to wszystko dam... co tylko zechcesz... lnu dam, i wełny, i jajek, i płótna, i hroszy, kiedy zechcesz; oboje z Pietrukiem nie pożałujem... tylko odrób. co zrobiła... niechaj on przy życiu zostanie, nasz gołąbek mileńki, nasza podpora na stare lata... Ty wiesz... Jasiuk jest tak, jak do niczego... A ten prawa ręka nasza... pracownik nasz najlepszy... Ratuj ty jego... znasz możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Ściskała kolana jej, brzeg jej spódnicy całować zaczęła. Pietrusię ten żal matczyny i to rozpaczne błaganie widocznie na torturach rozciągały. Sama przecież matką była, a z tą kobietą tyle lat niegdyś życzliwie i zgodnie przeżyła. Podniosła ręce do głowy i zawiodła:

— Oj, Bożeż mój, Boże! co ja pocznę! nie robiła ja i odrabiać nie mogę...

Agata porwała się z klęczek i syczącym głosem zapytała:

— Nie zrobiła? może pobożysz się, że nie zrobiła?

Pietrusia znowu profilem zwróciła się ku niej i oniemiała. W głowie jej zrobiło się ciemno, jak w noc jesienną, i wichrem tylko tłukły się po niej słowa:

— I zrobiła, i nie zrobiła... Może to i nie od tego, a może i od tego...

Męczarni tej długo znieść nie mogła, od grożącej jej znów kobiety odskoczyła i napół z żałością, a napół z gniewem krzyknęła:

— Odczepcie się, ciotko... czego wy ode mnie chcecie? idźcie o radę dla syna znachorki jakiej prosić, nie mnie!

Teraz Piotrowa wybuchnęła i po nieskończoną ilość razy wiedźmą ją nazwała. Nie przeklinała bardzo, bo już przyzwyczajenia tego i umiejętności tej nie miała; wzywała tylko boskiego

gniewu na głowę jej i jej dzieci, a potem pomstą Piotra i wszystkich poczciwych ludzi groziła. Potrząsając pięścią, przez zaciśnięte zęby mówiła:

— Poczekaj! poczekaj! będzie tobie kiedyś od ludzi za wszystkie nasze krzywdy, i czort, twój przyjaciel, nie wyratuje ciebie, kiedy na twoją głowę pomstowanie ludzkie przyjdzie...

Wtem przypomniała sobie, że gdy ona tu kłóci się z wiedźmą, syn jej może tam już i nieżywy leży, obu rękoma schwyciła się za głowę, z dziedzińca wypadła i z powrotem ku wsi pobiegła.

Pietrusia zaś tam, gdzie stała, osunęła się na ziemię i, twarz rękoma zakrywszy, rozpłakała się głośno i rzewnie. Płakała jednak niedługo. W izbie dało się słyszeć skwierczenie obudzonego dziecka; skoczyła i do chaty wbiegła. Musiała tam dziecko karmić i bawić je przez czas jakiś, bo słychać było, jak pieszczotliwie doń przemawiała, kilka piosnek śpiewać zaczynała i przerywała je sobie krótkim śmiechem i głośnemi pocałunkami. Dziecko widocznie bąkaniem swem i ruchami małych rączek rozśmieszało ją i usta jej ku sobie ciągnęło. Potem słychać było miarowe stukanie biegunów kołyski, a potem w izbie zapanowała cisza. Adamek usnął znowu, a Pietrusia z pękiem upranej bielizny na ramionach na dziedziniec wyszła. Dzień był piękny, trzeba było przed wieczorem bieliznę w stawie wypłókać.

Paręset kroków zaledwie dzieliło ten staw niewielki od ostatnich domostw Suchej Doliny. Z jednej jego strony słała się owa ławica piasku, na której z porady starej Akseny bawił się niegdyś całemi dniami chory syn Piotra Dziurdzi, dalej już obejmował go w półkole wąski pas łąki, za którym ciemniały i na pobliskie wzgórza pięły się uprawne role. Z łąki tej oddawna już uczyniono pastwiska dla bydła. W lecie brzeg stawu był z tej strony miejscem, pełnem zielonych gąszczy, szczebiotu ptactwa, skrzeczenia żab, kwiatów błękitnych i żółtych, czerwonych jagód kaliny, rozłożystych gałęzi wierzbowych, w których cieniu błyskała biała kora wysmukłych brzóz. Teraz pod brzozami, które na błękitnem tle nieba rysowały się, jak delikatnie ze złota rzeźbione kolumny, pod zróżowionemi, o wiecznie drżących liściach, osinami, pod wierzbami, które maczały w wodzie swe osiwiałe gałęzie, na trawie uschłej, pod nogami trzeszczącej, a usianej zwiędłemi liśćmi i siwym puchem ostów — kilkanaście kobiet pochylało się nad cichą i gładką wodą. Prały

one albo płókały wypraną w domu bieliznę, a odgłosy ich rozmów i suche, rytmiczne uderzenia pralników rozchodziły się daleko po pustem polu.

Na polu, jak okiem sięgnąć, widać było tylko dwoje pracujących ludzi: chłopa, który prowadził pług, i chłopkę, która, w pewnej odległości za nim postępując, wyorywane kartofle do fartucha zbierała, a napełniwszy go, zsypywała do umieszczonych w rozorze worków.

Zagony, na których pracowali ci ludzie, dotykały wąskiego pasu pastwiska. Chłopem pług prowadzącym był Stepan Dziurdzia, kobietą zbierającą kartofle — Stepanowa żona, Rozalka. Składali oni parę ponurą. On, zaledwie trochę nad pługiem pochylony, szedł w milczeniu silny i chmurny, kiedy niekiedy tylko basowym głosem na konie swe przeciągle wołając:

— Hoo! hoo! hoo!

Ona, z grzbietem tak zgiętym, że śniada twarz jej prawie ziemi dotykała, na klęczkach czasem pełzała po zagonie, rękoma w ciemnym piasku grzebiąc i ze szczupłem swem, giętkiem ciałem mając chwilami pozór wijącego się po glebie robaka.

Jednak ta wspólna praca z mężem, choć ciężka, niemiłą snadź jej nie była, bo, nie ustając w niej ani na chwilę, czasem do idącego przed nim mężczyzny uprzejmym głosem zagadywała.

— Ot, chwała Bogu! bulba w tym roku jak ta rzepa wielka! — mówiła.

A potem znowu:

— Ciekawość, jak ten Klemens ma się? czy umarł już, czy jeszcze przy życiu?

Albo jeszcze:

— Stepan! w przyszłą niedzielę do kościoła pojechać warto, taj Kaziuka wziąć z sobą i Panu Bogu go polecić, ażeby zdrowszy był...

Mężczyzna nie odpowiadał, ot tak, jakby nie słyszał tego, co mówiła. A jednak w jej głosie, najczęściej syczącym i zapalczywym, brzmiały teraz tony serdeczne. Zaczepiała go, do rozmowy wyzywała, raz nawet zaśmiała się i, na zagonie ukląkłszy, kartofel mu w same plecy cisnęła. On obejrzał się tylko, coś zamruczał i, dalej pług popychając, ponuro na konie zawołał:

— Nuuu!

Nie rozgniewał się wprawdzie, ale i twarzy nie rozchmurzył, słowa dobrego nie rzekł.

Kobieta znowu nad zagonem grzbiet pochyliła i jak zgnębiony robak w milczeniu, smutnie po ciemnej glebie pełzać zaczęła. Nagle podniosła głowę. Stepan, który teraz twarzą ku stawowi był zwrócony, konie zatrzymał i, niby coś około pługa robiąc, patrzał w tę stronę, z której brzegiem stawu nadchodziła kobieta z ramionami, owieszonemi mokrą bielizną. Patrzał na nadchodzącą z wytężeniem takiem, że aż rozciągnęły się i wygładziły muskuły jego twarzy, i zarazem okryła się ona głupowato wyglądającym lecz w rzeczywistości błogim uśmiechem. Rozalki oczy także nad staw pobiegły. W nadchodzącej kobiecie poznała Pietrusię i syknęła tak, jakby pod dotknięciem rozpalonego żelaza.

— Czegoż stanął, jak ten słup! — na męża krzyknęła i, głos coraz podnosząc, nalegała, aby szedł dalej.

Ból całego jej życia, srogi ból kłóć ją znowu zaczął i budzić w niej furję złości.

Pietrusia, zbliżając się do kobiet nad wodą pochylonych, uprzejmie je pozdrowiła. Jeden tylko głos i to zcicha jakoś odpowiedział jej wzajemnem pozdrowieniem. Była to młoda Łabudowa, która, jako synowa jednego z najbogatszych gospodarzy we wsi, przez męża i całą rodzinę lubiona, ośmieliła się, choć nieco trwożnie, przychylność swą jej okazać. Inne kobiety albo milcząc opuszczały pralniki swe na pogrążoną w wodzie bieliznę, albo też głowy z nad roboty podniósłszy, rzucały na nią wejrzenia, w których ciekawość i lękliwość mieszały się z gniewem i obrzydzeniem.

Rozumiała to dobrze, co wszystko to znaczyło, i stanęła na uboczu, pod rozłożystą wierzbą, u której stóp spuszczało się ku wodzie, sznurem do pnia wierzby przywiązane, czółno. Było to czółno, którem chłopcy wiejscy po stawie pływali, wędami łowiąc płotki i karasie, na którem też często kobiety z tej strony stawu, dla ukrócenia sobie drogi, na tamtą jego stronę do wsi przepływały.

Obok czółna stanęła, przyniesioną odzież w wodzie zanurzyła i tak jak inne wybijać ją pralnikiem i płókać zaczęła. Nie przeszkadzało to jej jednak słyszeć rozmowy, toczącej się pomiędzy jej sąsiadkami.

Zrazu zcicha one pomiędzy sobą szeptały, ale długo to trwać nie mogło, bo gdzieżby im długo powściągać uczucia czy głosy! Zaczęły więc mówić głośno, a mówiły o tem, czem dziś zajmowała się wieś cała: o chorobie Klemensa Dziurdzi i o jej przyczynach. Opowiadały, że Piotr po księdza pojechał, że choremu

dwa razy już zapaloną gromnicę do rąk dawali, że matka tylko co nie umiera z żałości, że jeśli Klemens umrze, gospodarstwo Piotrowe zginie, gdyż on sam zestarzeje się rychło, a młodszy syn jest, jak wiadomo, niedołęga i głupiec.

Parę głosów zajęczało:

— Oj, biedne, biedne, nieszczęśliwe ludzie!

A jedna z kobiet głośniej jeszcze, niż inne, mazgajowatym, przewlekłym głosem zawiodła:

— Kab temu, co heto zrobił, dobrego życia nie było! Kab on za krzywdę ludzką zmarnował się i na pogrzebach dzieci swoich płakał!

Była to Paraska, która, mówiąc to, na Pietrusię z pod oka patrzała.

— Patrzajcie — dodała po chwili — czemu tu kowalicha dziś kupnej spódnicy i materjalnej chustki na siebie nie włożyła?

Oj, ta kupna spódnica i półjedwabna chustka, w które kowalowa czasem się przystrajała, dawno już, dawno dolegały Parasce, maczającej teraz w wodzie liche, stare łachmany swoje i swej rodziny.

Wtem na polu rozległy się grube i piskliwe krzyki. Kobiety śmiać się zaczęły. Stepan Dziurdzia znowu kłócił się z żoną. Kłócili się oni z sobą tak już często, że dla jednych byli przedmiotem surowej przygany, w innych wzbudzali śmiech. Teraz ze słów tu dolatujących wnieść było można, że szło im o jakiś worek na kartofle, po który Stepan żonkę do chaty posyłał. Czy naprawdę worek był przyczyną kłótni? A może on w tej chwili zażądał, aby żona z oczu mu zeszła, ona zaś w tej chwili właśnie za nic go tu samego zostawić nie chciała. Boże! jakże czuła się nieszczęśliwą! Poczucie tego nieszczęścia zdawało się podnosić ją nad ziemię, tak szybko, z rękoma u głowy ku stawowi biegła. Biegła wprost na Pietrusię i, pochyloną ku wodzie, tak całem ciałem potrąciła, że zatoczyła się ona i, aby nie upaść, rękoma gałąź wierzby pochwycić musiała.

Przytem, zazdrością i bólem oszalała, Rozalka łajać poczęła tę, którą za rywalkę swą poczytywała, mnóstwem grubych wyrazów, wśród których najczęściej powtarzał się wyraz wiedźma. Kowalowa uczyniła zrazu ruch taki, jakby pierwszym jej popędem było rzucić się na napastująca ją kobietę i obelgi, które ona rzucała na nią, odwzajemnić. Widać było jednak, że bardzo prędko ogarnął ją wstyd przed bójką, a gniew jej przemienił się w żal i przestrach, od których rumieńce z policzków jej znik-

nęły. Schyliła się znowu nad wodą i stukiem pralnika zagłuszyć usiłowała krzyki Rozalki, która, miotając się nad nią, wygrażała jej pięściami i osypywała ją gradem przekleństw i łajań.

Niektóre z kobiet, piorących bieliznę, śmiały się i żartowały głośno tak z napastującej, jak z napastowanej, inne wzruszały ramionami, spluwały i, wskazując na Rozalkę, nazywały ją chwiksatką (warjatką), gadziną, jędzą. Były jednak i takie, które ujęły się za Pietrusią. Młoda Łabudowa krzyknęła do Rozalki, że niesprawiedliwie przyczepiła się do kowalowej, która na jej męża i patrzeć nie chce, nietylko co! Jedna z Budrakowych, synowa starosty, targała nawet wściekłą kobietę za koszulę i spódnicę; poważnie ją za jej złość i szaleństwa gromiąc. Wszystko to przecież nic nie pomogło, dopóki Rozalka nie zobaczyła męża swego, biegnącego ku niej z tym samym biczem w ręku, którym konie poganiał. Wtedy, jak ptak zraniony, krzycząc i ramionami w powietrzu miotając, zerwała się do biegu i ku wsi, jakby na skrzydłach, poleciała.

Długo jeszcze słychać było jej piskliwe i rozpaczliwe krzyki, przeplatane łajaniem i pogróżkami na Pietrusię miotanemi.

Co tam już dalej działo się nad stawem, Pietrusia nie wiedziała i wiedzieć nie chciała. Nie podnosiła głowy, ani oczu, bo przed spojrzeniami ludzkiemi doznawała i wstydu i strachu. Wolała nie patrzeć na te kobiety, które, podziwiwszy się, pogadawszy jeszcze, bieliznę swą z brzegu zbierały i gromadkami lub kolejno ku wsi odchodziły.

Niebawem, po ciszy, która zapanowała nad stawem, odgadła, że już poszły sobie wszystkie. Wtedy wyprostowała się i, oczy podniósłszy, zobaczyła Stepana, który, o kilka kroków od niej, pod różową osiną na pniu ściętego drzewa siedząc, z łokciami na kolanach i brodą w dłoniach, wzrok swój w nią wlepiał. Żona kowala twarz od niego odwróciła i w milczeniu skręconą bieliznę do czółna wkładać zaczęła.

On odezwał się zaraz:

— Dawno już, Pietrusia, ja ciebie nie widział i z tobą nie rozmawiał. Ot, z rok już będzie, jak ty mnie z chaty swojej wypchnęłaś i drzwi za mną zaryglowałaś. Od tego czasu już ja nie przychodził do was i nigdzie ciebie nie zaczepiał...

— Bo i nie trzeba! — nad czółnem schylając się, gniewnie mruknęła kobieta.

Chłop mówił dalej:

— Trzeba, czy nie trzeba, a tak już musi być... tak ty mnie już zrobiła, że gdzie ty, tam moje chęci i całe moje myślenie... Kiedy nie chciałaś, żeby tak było, to na cóż robiłaś... czy na wieczne moje nieszczęście robiłaś? ha?

Tym razem odwróciła ku niemu twarz z wylękłemi i razem rozgniewanemi oczyma.

— Żebym ja wiedziała jaki sposób, tobym co takiego zrobiła, żeby ciebie, Stepanie, nigdy na oczy nie widzieć, nigdy, aż do końca mojego życia. Ot, cobym ja zrobiła, żebym wiedziała, jak robić, ale choć wy wszyscy wiedźmą mnie przezywacie — nie wiem, na moje wieczne nieszczęście, nie wiem!

Znowu bieliznę do czółna składać zaczęła; ponsowe wargi jej wydęły się, jak u rozgniewanego dziecka, do oczu nabiegły łzy.

Stepan poprawił się na swem twardem siedzeniu i, oczu z niej nie spuszczając, mówić zaczął:

— Wiedźma ty, czy nie wiedźma, lepszej od ciebie i łaskawszej (łagodniejszej) i pracowitszej w całej wsi niema, gdzie tam! w całej okolicy, a może i na całym świecie niema! Może ty mnie kiedy i dała napić się tego ziela, którego za twoją przyczyną napił się od Franki Klemens, a może nie dawała, czy ja wiem? Może to ziele, co mnie w żywot weszło, to twoja taka łaskawość (łagodność) i wesołość, że kiedy jeszcze dziewczyną byłaś, to jak na ciebie, bywało, popatrzę, a twego śpiewania i śmiechu posłucham, to i sam zrobię się inny, ot, takijże łaskawy, cicheńki i wesoły, jak ty...

Po chwili milczenia mówił dalej:

— Ja bardzo lubię cicheńkich i wesołych ludzi... Ot, ja z Piotrem i Agatą dobrze żyję dlatego, że pomiędzy niemi zawsze święta spokojność i obchodzenie się ładne, i Klemensa lubię za to, że on posłuszny starszym i wesoły. A sam ja złośnik, to prawda, i niespokojny, jak ten wicher, i pochmurny, jak to niebo na deszczu... Tak już ja widać urodził się, z taką chorobą w duszy urodził się, a nie wyleczyła mnie z niej matka, jędza taka, że za jej łajaniem a biciem ja dziecinnych lat swoich nie pamiętam, i nie wyleczył brat, co ze mną o ten mój kawał ziemi po sądach ciągał się... i nie wyleczyła żonka, hadzina... i nie wyleczyła wódka, którą w gardło leję... Nikt nie leczył, i nic nie wyleczyło...

Mówił powoli, smutnie, z wlepionemi w ziemię oczyma. Po chwili podniósł znowu wzrok na Pietrusię.

— Tyby mnie z tej choroby wyleczyła, ale nie chciała — dodał.

Kobieta, uspokojona łagodnością jego głosu, a smutkiem jego może wzruszona, roboty swej nie przerywając, spokojnie odpowiedziała:

— Przeznaczenia już takiego widać nie było. Ale jakie tobie nieszczęście? Daremnie narzekasz i Pana Boga obrażasz. Czego tobie braknie? Chatę i gospodarstwo porządne masz... żonkę i dziecko masz... ot, Boguby dziękował i kontent byłby... żeby tylko chciał.

— To prawda — odparł Stepan — żonka taka dobra i taki zdrowy, silny syn! Będzie z niego kiedyś robotnik tęgi i podpora moja! oj!

W głosie jego brzmiała gruba, ale bolesna ironja; zaśmiał się i zaklął zcicha, aby nie spłoszyć tej kobiety, która po raz pierwszy, oddawna, rozmawiać z nim chciała.

— Ot, prawdę ja tobie powiem, Pietrusia, że mnie już i gospodarstwo obrzydło. Dla kogo człowiekowi starać się i pracować? Czy u mnie chata pełna dzieci? jedno tylko, a i to takie, że tylko tchu w nim słuchaj, czy jeszcze żyje. I więcej już nie będzie. Żonka mnie nie żonka. Ja na nią i patrzeć nie chcę, nietylko co. Przyjdę do chaty z pola, taj położę się jak pies, do nikogo słowa nie przemówiwszy. Dobrze jeszcze, jeżeli ta milczy, ale jak przyczepi się do mnie ze swoją złością, albo ze swojem lubieniem, to zaraz wyjemy oboje, jak te dwa wilki, gdy je razem zamkną. Ot, jakie moje nieszczęście! Ludzie ze mnie naśmiewają się, jak gdybym już ja był ostatni, i gospodarstwo prędko czort weźmie... bo człowiek do niczego ochoty nie ma, tylkoby świat przeklinał — taj hodzi!

— Wstyd — zawołała Pietrusia wstyd bo tobie, Stepan, tak robić i tak gadać! Pilnowałby gospodarstwa, a żonką żył jak Pan Bóg przykazał, zgodnie, w spokojności... Ot, jak ja z moim żyję, że u nas nigdy jednej minutki gniewu, ani nienawiści jeszcze nie było...

— Tylko ty mnie o swoim nie wspominaj... — z błyskającemi oczyma rzucił Stepan.

Ona, nie patrząc na niego, wzbierających w nim namiętności nie dostrzegła.

— Żeby ty dla żonki swojej taki był jak mój dla mnie, to i ona byłaby lepsza — zauważyła.

— Kab oni potopili się oboje! Kab im oczy prędzej na ten świat pozamykały się — ponuro mruknął Stepan.

— Phi! jaki zły i niegodny człowiek, ludzkiej śmierci żąda! — ze zmarszczonem czołem i rozgniewanemi oczyma splunęła kobieta, a podnosząc z ziemi resztę skręconej bielizny, którą do czółna wrzuciła, dodała:

— Był u mnie rozum, kiedy ja za ciebie iść nie chciałam... dobregobym męża miała!

Widząc, że bliską jest wejścia do czółna i odpłynięcia, zerwał się z siedzenia i tuż przy niej stanął.

— Poczekaj, Pietrusia, poczekaj troszeczkę — zaszeptał — jeszcze minutkę porozmawiamy... co tobie szkodzi? jeszcze jedną minutkę! Ja dla ciebie byłby inny, niż dla tej... jabym z tobą łaskawy zrobił się i cicheńki, jak ten pies, co pana swego poznał... tyby mnie dzieci inaczej hodowała, niż ta... tyby mnie w chacie śmiała się i śpiewała, jak ta makolągwa w gnieździe... a jaby tobie ręce i nogi przez całe życie całował, jabym, z tobą pracując, ręce sobie od pracy pokrwawił... Oj, Pietrusia, ty moja milenka, ty moja... nie uciekaj choć teraz ode mnie... niech ja choć minutkę pocieszę się tobą...

Z płonącemi oczyma, z uśmiechem namiętności miłosnej na twarzy, następował na nią, pchał ją pod rozłożyste gałęzie wierzby, palącym oddechem oblewał szyję jej i plecy, żelaznem jakby ramieniem stan jej otaczał.

Ona krzyknęła z przerażenia i gniewu, skokiem łani do czółna wskoczyła i, wiosło schwyciwszy, w mgnieniu oka odbiła je od brzegu.

Minuta zaledwie upłynęła, a czółno znajdowało się już w pewnej od brzegu odległości. Po gładkiej błękitnej wodzie mknęło prędko, równo, nie kołysząc się prawie i unosząc ku przeciwległemu brzegowi kobietę wysoką i zgrabną, zaledwie trochę przechylającą się ruchem rytmicznym nad wiosłem roztrącającem wodę. Z pod czerwonej chustki opadające włosy zaledwie dostrzec dawały ognistą rumianość jej twarzy, nagie aż prawie do kolan jej nogi i wiosłem poruszające ramiona różowiło i ozłacało zachodzące słońce.

Pozostały pod wierzbą chłop błyskał za nią oczyma, jak dwoma snopami płomieni. Uśmiech miłosnej namiętności ustąpił na jego twarzy przed zmarszczkami zgryzoty i gniewu, coś okrutnego, zawziętego przewinęło się mu po ustach.

— Kiedy tak — za odpływającą kobietą krzyknął — to ty doprawdy wiedźma jesteś! Czartowską siłą ciągniesz do siebie ludzi, a potem ich na zgubienie wieczne oddajesz. Poczekaj ty!

będzie tobie! Już ja na ciebie pomstę za swoją krzywdę znajdę, ty wiedźmo, przeklęta dusza twoja!

Odległość była taką, że krzyki jego słyszeć musiała. Nie odpowiedziała jednak nic, tylko czółno zakołysało się pod nią, jakby drżeniem jej nóg wstrząśnięte. Potem jednak popłynęło znowu równo, szybko, a nienawistny, okrutny uśmiech przewijał się po bronzowej twarzy mężczyzny, stojącego w cieniu gałęzi wierzbowych. Z cienia, w którym stał, kobieta, w ogniach słonecznych po błękicie stawu płynąca, wydała mu się może strasznem, złowrogiem i zarazem świetlistem, ponętnem zjawiskiem.

— Wiedźma! dalibóg wiedźma! — zaszeptał, a gdy ona u przeciwnego brzegu do białych piasków już przybiła i ku domostwu swemu śpiesznie szła, z zaciśniętemi pięściami ku pługowi swemu wracając, dodał:

— Taki ona nie powinna po Bożym świecie chodzić... taki nie powinna!

Męża swego Pietrusia w domu nie zastała. Stasiuk, który na jej spotkanie aż ku brzegowi stawu wybiegł, brnąc w białym piasku i czepiając się jej odzieży, w drodze już wyszczebiotał, że tatko poszedł do karczmy, aby z arendarzem pomówić. Wiedziała o tem, że arendarz stręczy mu dużą i zyskowną robotę w jednym z sąsiednich dworów; nie dziwiła się też, ani była niespokojną, że Michałek w porze zwykłej do domu nie wracał. Interes był ważny, i dużo o nim z Żydem do mówienia było. Gotując wieczerzę, gdy dzieci w kącie izby bawiły się drewnianą piszczałką i chrupały wysuszone ziarna słoneczników, przyciszonym głosem opowiedziała babce wszystko, co ją dziś od Piotrowej i nad stawem spotkało.

Przy opowiadaniu tem Aksena przędła zrazu coraz prędzej, ale wkrótce u kądzieli nitka rwać się zaczęła, i wrzeciono wysunęło się z jej palców. Na kolanach złożywszy ręce, siedziała wyprostowana jak struna i, choć Pietrusia dawno już mówić przestała, nie przemówiła ani słowa jednego, tylko żółte jej szczęki prędszym niż kiedykolwiek ruchem przeżuwały uczutą zgryzotę, a białe oczy z większem niż kiedykolwiek wytężeniem zdawały się wpatrywać w przestrzeń izby, oświetloną chwiejnem półświatłem płomienia.

Wieczerza była już zgotowana, ale kobiety czekały z nią na gospodarza chaty, który lada chwila nadejść musiał. Płomień w piecu przygasał, dzieci uciszyły się i, drzemiące pod stojącemi

u ściany snopami lnu, utworzyły grupę zmieszanych z sobą bosych stópek i małych rumianych twarzy.

Pietrusia z podwórza do sieni wniosła cierlicę, chwilę jeszcze krzątała się po izbie, aż, westchnąwszy głośno, usiadła także na ziemi i, plecy o len opierając, zadumanym wzrokiem przed siebie patrzała. W ciszy, która zapanowała w izbie, ozwał się po chwili ochrypły i czegoś się dziś bardzo trzęsący głos ślepej baby.

— Pietrusia! — zawołała.

— A co, babulo?

— Spal zioła, te zioła, co z pola w tym roku nanosiła, i te, co z przeszłego lata zostały, i wszystkie, co w chacie są.

— Czemu tak, babulo?

— Spal! — krzyknęła prawie stara i ciszej lecz gniewnie zamruczała jeszcze:

— Głupia! pyta się jeszcze, czemu?

Pietrusia podniosła się z ziemi, chwilę jeszcze pomyślała, głowę ze zdumieniem zakołysała i do komory poszła. Z komory, ze strychu, z sieni, w fartuchu lub radnach znosiła mnóstwo uschłych i kruchych, lub tylko zwiędłych i jeszcze pachnących kwiatów i traw polnych, wszystkie je u stóp wielkiego pieca na ziemię zsypywała, a potem, ogień podnieciwszy, garściami w płomień rzucać zaczęła; wszystko to czyniła w milczeniu zupełnem, z rozpalonemi oczyma i trochę zaciśniętemi usty. Z twarzy jej widać było, że uczuwała ból i trwogę. Rośliny te, w których barwach i woni od niemowlęctwa prawie kochały się jej zmysły, te czombry liljowe, żółte dziewanny, girlandy czepiających się wzajem traw i lodyg, obejmowały teraz ogniste języki płomienia i owijały sine zwoje dymu, który, słupem wzbijając się w komin, ział na izbę upajające wonie.

Gdy kilkanaście garści uschłego ziela zgorzało już w płomieniu, podniosła głowę ku wierzchołkowi pieca i zapytała znowu:

— Czemu tak, babulo?

Stara nie odpowiedziała. W takiem zamyśleniu pogrążona była, że nie słyszała może nawet zapytania wnuczki. Po chwili dopiero u wierzchołka pieca głos chrapliwy i trochę drżący zagadał:

— Wiele ja na tym świecie dziwnych dziwów widziała i słyszała, wiem ja, co z czego wyniknąć może... Stara Prokopicha mnie teraz przed ślepemi oczyma jak żywa stanęła i jak

żywe stanęły te łzy, co po jej stareńkiej twarzy jak ciekły, tak ciekły...

Im dłużej ślepa baba mówiła, tem więcej głos jej stawał się monotonnym i zarazem do śpiewnego, żałobnego recytatiwa podobnym.

— Była żyła w siele ludnem, ale bardzo niebogatem, Prokopicha, soldatka, najemnica uboga, chaty swej ani krewnych żadnych nie mająca. Męża jej na dalekim świecie, na wielkiej wojnie zabili, a został przy niej jeden tylko synaczek nieboraczek, który nazywał się Prokopek, imieniem, znaczy, ojcowskiem. Biedneńki był ten Prokopek, od wszystkich, prócz rodzonej matki, opuszczony. Ani u niego ojca i braťów, ani chatynki i pola nie było, przyszedł na świat goły jak Jadam, a jak wyrósł, do cudzych ludzi pracować poszedł. U cudzych ludzi w poniewierce i biedzie wielkiej pracował, na cudze dobro zezem patrzał i pochmurny stał się, jak noc jesienna. Choćby wszyscy nie wiem jak weselili się, on sam jeden, jak wilk, bywało, chodzi i w ziemię patrzy, jakby już sobie mogiłkę chciał kopać, a wszystko o czemściś myśli i myśli. Nie lubili jego ludzie za pochmurność i niechętność i nie szanowali go, zwyczajnie jak sierotę jedynokiego, za którym ująć się komu nie było. Aż tu jednego roku zaczął ktoś gospodarzom konie kraść. Jednemu gospodarzowi koń zginął, drugiemu zginął, trzeciemu zginął. Po całem siole poszło krzyczenie taj płakanie, bo ludzie byli tam nie bogate i strasznie żywiołów tych żałowali, bez których w gospodarstwie ciężko. Szukali złodzieja, rozpytywali się, pilnowali — niema. Niema i niema, rozstąp się, ziemio! A konie jak giną, tak giną! Jednego razu ktościś podpatrzył, że Prokopek czasem przepada z sioła. Przejdzie, bywało, dzień, dwa, trzy, przejdzie i niedziela (tydzień) cała, a jego w siole niema, gdzieśćiś mandruje. Z Żydami niedowiarkami w lesie rozmawiającym go widzieli i w miasteczku go widzieli, jak pił w karczmie i stużki dla jakiejś dziewki kupował, niewiadomo, skąd hrosze biorąc. Wtedy już wszystkim przyszło do głowy, że to Prokopek, parobek, konie kradnie. Wzięli i do sądu jego zaciągnęli. Sąd słuchał, słuchał i powiedział, żeby sobie Prokopek do sioła powracał, bo, mówi, niewiadomo jest, czy to on konie kradł; pewności, mówi, niema; dowody, mówi, lepsze na niego dajcie... Prokopek do sioła powrócił, a konie jak ginęły, tak ginęły. Wtenczas już ludzi wielki gniew za ich dobro ogarnął. Zaczaili się raz pod lasem, i jak Prokopek z lasu furę drzewa gospodarzowi swemu wiózł, złapali go, taj zaczęli w niego walić kijami...

— Jezu! — rozległ się po izbie krzyk Pietrusi, która z fartuchem pełnym ziół i ręką zatopioną w uschłe rośliny przed piecem stojąc, oczy szeroko otworzyła i zatrzęsła się całem ciałem.

— Kijami! — jęknęła jeszcze i, opamiętawszy się nieco, znowu zioła w ogień rzucać zaczęła.

Płomień buchnął żywiej, na izbę wionęła silna i pachnąca mgła, z wierzchołka pieca głos starej powtórzył:

— Kijami. Żebra jemu połamali, ręce, nogi połamali, ludzką twarz krwią oblali i nieżywego porzucili na szerokiem polu, na pustem polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukom i kawkom na strawę.

W izbie zapanowała chwilowa cisza, poczem ślepa baba opowieść swą kończyła:

— A Prokopicha soldatka z żalu po swoim nieboraczku synaczku wzięła i schwiksowała. Z litości ją ludzie karmili i odziewali, a ona, bywało, w ciemny kąt zalezie i ciągle o swoim parobku Prokopku opowiada i opowiada, a po zmarszczonej, stareńkiej jej twarzy, jakby kto grochem sypał, łzy cieką a cieką... I ja tam była, gadania jej słuchała, na łzy jej patrzała, a teraz to wszystko pod ślepemi oczyma memi jak żywe stanęło...

Kiedy chrapliwy i klekocący a zarazem śpiewny głos starej umilkł, Pietrusia zcicha przemówiła:

— Babulo!

— A co?

— Czy ten Prokopek doprawdy konie kradł?

Stara z namysłem odpowiedziała:

— Może kradł, a może nie kradł. To już niewiadomo. Pewności nie było... ale ludzkie posądzenie było, i straszny gniew ludzki był...

— Straszny — jak echo powtórzyła kobieta, przed ogniem stojąca i śpiesznie, śpiesznie resztę ziół uschłych w płomienie rzucać zaczęła.

Po chwili stara zagadała znowu:

— Pietrusia!

— A co, babulo?

— Żeby ty od tego czasu nie ważyła się doradzać...

— Nie będę — odparła młoda kobieta.

— Nikomu, pamiętaj. Żeby tam nie wiem jak ciebie prosili. Czujesz?

— Nie będę, babulo...

—Cicheńka taka bądź, jak ta rybka na dnie wody, żeby ludzie zapomnieli o tobie.

— Dobrze, babulo.

Drzwi izby otworzyły się, i wszedł kowal, na którego gdy tylko Pietrusia spojrzała, zaraz krzyknęła:

— Oj, Bożeż mój! a tobie co takiego przytrafiło się, Michałku?

Musiało mu istotnie przytrafić się coś złego. Twarz miał rozognioną, jedno oko zapuchłe i kilka sińców na policzkach i czole. Czapkę z rozczochranych włosów zdjął i, na stół ją rzuciwszy, dzieci, które obudziły się i do niego przybiegły, z gniewem od siebie odpędził. Potem na ławie siadł i, do żony zwracając się, ochrypłym trochę głosem mówić zaczął:

— Przytrafiło się mnie to, czego jeszcze nigdy w życiu ze mną nie bywało. Sołdatem byłem i sześć lat włóczyłem się po świecie, a nigdy nie biłem się z nikim; tutaj już siedem lat żyję i panuję, a ludzie szanowali mnie zawsze, bo sam siebie szanowałem. A ot, dziś pobiłem się przed karczmą z chłopami. Z twojej przyczyny, Pietrusia, hawantura tam mnie spotkała. Pfe, wstyd tylko, zgryzota, taj hodzi!

Splunął i, głowę od żony odwracając, skaleczone oko dłonią sobie zakrył. Ona milczała i, stojąc przed ogniem, patrzała na niego szeroko rozwartemi oczyma, z rękoma wzdłuż ciała opadłemi.

Po chwili ozwał się znowu:

— Rozmawiam ja sobie z arendarzem o jenteresie, aż słyszę, przed karczmą chłopi na ciebie wykrzykują, że ty Klemensu Dziurdzi chorobę zadała. Szymon Dziurdzia wykrzykiwał, Jakób Szyszko, złodziej ten wiadomy, i Stepan potem przyszedł i takoż gadać zaczął, i baby, co od zbierania kartofli tamtędy wracały, stanęły takoż i jak wrony krakać zaczęły: taka ona, owaka ona, krowom mleko odebrała, a teraz Klemensa struła. Słuchał ja słuchał, aż nie wytrzymał, z karczmy wyleciał, kłócić się o ciebie zaczął. Od słowa do słowa, do bitwy przyszło. Bił ja, bili mnie... pfe! wstyd! Człowiek pracuje, jak ten ostatni parobek, prowadzi się porządnie, ludzi i samego siebie szanuje, aż tu niewiadomo skąd, przyjdzie na niego hańba taka... co to? miło to słyszeć, że żonkę od wiedźm i czartowskich kochanek przezywają, a potem na twarzy nosić ślady pijackich i złodziejskich kułaków! Oj, Bożeż mój, Boże, za co na mnie taka hańba i ta zgryzota przyszła!

Przez rozżalenie i zawstydzenie jego przebijała się uraza do żony uczuwana.

Ona wciąż milczała, przestraszona tak, że aż jej ręce, któremi garnek ze strawą z pieca wyciągała, drżały widocznie. Ze spuszczonemi powiekami zapaliła lampkę i wieczerzę na stole stawiała.

Kiedy wedle zwyczaju bochen chleba i nóż mężowi podawała, on, przysłaniając wciąż dłonią spuchnięte oko, drugiem bacznie na nią popatrzał.

— Pietrusia! — rzekł — co ty takiego ludziom zrobiła, że oni na ciebie, jak te kruki na ścierwo, napadli...

Zwolna wzruszyła ramionami.

— Czy ja wiem? — szepnęła.

— Już nie może być bez przyczyny? ha? — zapytał jeszcze.

Zapytywana w ten sposób kobieta sama pogrążyła się w coraz głębsze zamyślenie.

— Czy ja wiem? — powtórzyła.

Widocznie sama zagadki losu swego zrozumieć nie mogła i czy w istocie przyczyna tego w niej samej nie spoczywała, pewną nie była. Pomimo tej niepewności, inna roztopiłaby się cała w zaprzeczeniach, przysięgach, uniewinnianiu siebie, a złorzeczeniu ludziom. Ona tego nie uczyniła. Nigdy jeszcze przed mężem nie skłamała. Żyli oni z sobą, jedno drugiemu duszą w duszę patrząc, jak dwa przejrzyste, obok płynące potoki. A teraz, kłamałaby, gdyby mu powiadała, że jest czegokolwiek pewną, gdy wnętrze jej nurtowała trwoga, nietyle przed ludźmi, ile przed czemś nieokreślonem, tajemniczem, groźnem, uczuwana.

— Czy ja wiem? — powtórzyła i z czołem, zmarszczonem w dwie głębokie faldy, od męża twarz odwróciła.

On patrzał na nią i, dziwiąc się jakby czemuś, lub nad czemś smutnie rozmyślając, parę razy głową zakołysał. Potem dzieci ku sobie przywołał, a do niej już nic nie mówił i ani razu tego wieczora zuzulą jej nie nazwał. Markotny i milczący spać się położył, ciemność i cisza zaległy izbę, aż w połowie nocy, w ciemności i ciszy rozległ się odgłos ludzkich kroków, i ktoś wdrapał się na wierzchołek pieca.

— Babulo! babulo! czy ty śpisz?

Na wierzchołku pieca zaszemrał szept, wyraźnem przerażeniem przejęty.

— Nie splu, ditia, nie splu! Wsieńko o tobie myślę — od-

powiedziała Aksena, której od czasu pewnego starość przywodzić już zaczęła bezsenne noce.

— Babulo! — zajęczał głos drugi — cośćiś mnie dziś okrutnie dusiło... na żywocie i piersi cośćiś położyło się i tak dusiło, że tylko co już Panu Bogu duszyczki nie oddałam...

— Szto heto? — zadziwiła się stara.

A po chwili zapytała:

— Może ty w świętą niedzielę robiła co takiego, co pozwolone nie jest?

— Nie robiła, babulo, nic w świętą niedzielę, nigdy nie robiła...

— Przypomnij sobie tylko... może robiła! Bo jeżeli robiła, znaczy niedziela do ciebie przyszła i dusi za to, że ty ją obraziła... Takie rzeczy na świecie bywają... ja sama takiego człowieka znałam, co w niedzielę zawsze wszystko robił. Aż tu razu jednego niedziela do niego przyszła, taka wielka, jak to słońce złote, położyła się na nim i zadusiła... na śmierć zadusiła. Przypomnij tylko sobie, czy czego, broń Boże, w niedzielę nie robiła...

— Nie robiłam, babulo, pobożę się, że nigdy w niedzielę nic nie robiłam...

— No, to sztoż heto, co ciebie dziś dusiło?

Długie potem zapanowało milczenie, aż w ciemności szept młody i przerażony cichutko zaszemrał:

— Babulo, ja słyszałam, że kiedy czort do kogo przyczepi się, to tak samo dusi...

U wierzchołka pieca gwałtownie coś zaszeleściało, może ślepa baba wyprostowała się na swym sienniku.

— Przeżegnaj się, d i t i a, przeżegnaj się ty krzyżem świętym...

— W Imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego. Amen.

Znowu chwilowa zapanowała cisza, potem stara Aksena zaszepleniła jeszcze:

— Zhryzota to ciężka dusiła ciebie. Pietrusia ty moja, zhryzota i żałość.

— Ale! — twierdząco odszepnął głos drugi.

— Cośćiś Michałek markotny był dzisiaj i hniewny...

VI.

Zima nadeszła wczesna i ostra.

W ostatnich dniach listopada mróz ściął już ziemię w twarde brózdy, i śnieg przysypał ją białym puchem. Wieczorne niebo usiane było mnóstwem gwiazd, kiedy drogą, wiodącą z najbliższego miasteczka do Suchej Doliny, szli ku wiosce dwaj chłopi. Obaj byli niewysokiego wzrostu, ale jeden szczególniej mógł się nazwać zupełnie niskim; w kożuchach baranich, czapkach i skrzypiących butach, szli oni to powolnym i trochę chwiejnym, to znowu prędkim i zamaszystym krokiem, bardzo głośno ze sobą rozmawiając i zawzięcie wymachując rękoma. Nie byli zupełnie trzeźwi. Grube ich głosy rozchodziły się daleko, a wtórował im głośny także i nierówny tętent ich stąpań. Ze słów, które wyraźnie i donośnie brzmiały w cichej i mroźnej przestrzeni, wnieść było można, że wracali z miasteczka, gdzie obadwaj stawali przed sądem pokoju.

— Mirowy każe (Sędzia pokoju mówi), sztraf za heto zapłacisz... — mówił jeden, a drugi, nie słuchając towarzysza, jednocześnie prawił:

— Dług święta rzecz, każe, zapłacić nużno.

— Drzewo, każe, ściął w pańskim lesie, sześć sztuk ściął, każe, za każdą sztukę po rublu sztrafu zapłacisz...

— A kiedy długu nie zapłacisz, każe, ziemię opiszą, ta sprzedadzą... Nie sprzedadzą, mówię, bo jeszcze nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona...

Teraz drugi zaczynał:

— A ja do mirowego zjazdu... do Chackiela poszedł i kazał jemu prośbę do mirowego zjazdu pisać... Pisz, mówię, hapelacju, żebym ja tego sztrafu nie zapłacił...

Pierwszy swoje żale prawił:

— Ja do starszyny!... A co z tego będzie?... u Żyda zadłużył się i u innych ludzi zadłużył się, i teraz oni na mnie do sądu podają, a sąd płacić każe, a ziemia nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona, i sprzedać jej nie można... Żyd niedowiarek, podła jego dusza, pyta się zaraz: a wiele za napisanie dasz? Złotouku dam, mówię, piszy! A on mnie w oczy patrząc, śmieje się... Rubla dasz! mówi. Nie dam, mówię, dalibóg, nie dam... dwa złote dam... A on: rubla dasz... I obiecał, dalibóg obiecał rubla... Kab jego czorci!...

Ten zaś, któremu o zaciągnięte długi szło, zataczając się nieco, prawił:

— Dowiedział się ja u starszyny, oj, dowiedział się... Kab jego... Ziemi nie opiszę mówi, bo nie wolno, bo jeszcze nie wykupiona, ale gospodarstwo za dług opiszę, taj sprzedam publiczno, znaczy, sprzedam, w jednych koszulach zostaniecie... na co było długi robić?

Nagle stanęli obaj i twarzą w twarz patrzeć na siebie zaczęli.

— Jakób! — rzekł jeden.

— Szymon! — odpowiedział drugi.

I obadwaj wydali z gardła pytające tony:

— Ha?

— Żeby to człowiek był bogaty!

— Ale!

— Toby długów nie robił!

— Ale!

— Dziewięć dusz w chacie...

— U mnie trzynaście... taj jeszcze i dwoje w kołyskach...

— Ziemia taka kiepska, że choć płacz...

— A świronek (śpichrzyk) to już ze wszystkiem zawalił się... myślę ja sobie, skąd tu drzewa wziąć... ot, i pojechał nocką do lasu... to i co? Nie dla jednego Pan Bóg las zasiał, dla wszystkich zasiał...

— Ziemię przyjdzie Żydu w arendę za dług puścić... choć potajemno, a samemu w parobki do jakiego dworu nająć się... Oj, horkaja dola przyszła mnie i ditkom moim...

— Oj, horkaja dola przyszła mnie na stare lata moje...

Obaj rękawami kożuchów po oczach sobie powiedli i, głośno westchnąwszy, dalej obok siebie iść zaczęli. Znajdowali się w tej chwili blisko krzyża, wznoszącego się nad rozstajnemi drogami. Naprzeciw nich żółto błyszczały dwa oświetlone okna karczmy, dalej ciemniały ściany stodół i obór, a w pewnej od nich odległości samotne w polu i pośród suchych szkieletów drzew szarzało domostwo kowala.

Przy świetle gwiazd można było rozpoznać zamkniętą dziś i milczącą kuźnię, śniegiem ubieloną strzechę chaty i dwa złotawe, blade, bo przez zamarznięte szyby przedzierające się odblaski palącego się w niej ognia.

Jeden z chłopów, przechodzących pod krzyżem, w kierunku do tego domostwa rękę wyciągnął.

— Szymon! — rzekł.

— Nu?

— Ot, tam to hroszy dużo!

— Gdzie to?

— A u kowalichy.

— Aha! — potwierdził Szymon — musić bohaty ludzie, bo po pańsku sobie żyją...

— Czemu im nie żyć, koli czort wiedźmie pomaga...

— Pomaga, czy nie pomaga, a taki im dobrze, kiedy hrosze mają — zauważył Szymon.

A po chwili milczenia machnął ręką i zamruczał:

— To i co z tego? Pies kudłaty, jemu ciepło; chłop bogaty, jemu dobrze... kowalu i żonce jego dobrze, a mnie od tego nie lżej...

— Jeszcze i ciężej na cudze dobro patrzeć, kiedy człowiekowi samemu na świecie gorzko...

— Ale!

Wtem Jakób Szyszko stanął, jak w ziemię wryty, i z ręką wyciągniętą ku domostwu kowala przyciszonym, zdławionym prawie głosem wymówił:

— Baczył? Szymon, baczył? (widziałeś?)

Szymon stanął także i, nic wymówić nie mogąc, usta tylko szeroko roztworzył.

Zjawiskiem, które obu chłopów tak bardzo uderzyło, była spadająca gwiazda. Oderwała się ona niby od ciemnego sklepienia i, złoty wężyk zakreśliwszy w powietrzu, nad samą chatą kowala zniknęła. Na tle przejrzystej nocy błysk ten strzelił chwilową lecz świetną światłością.

Jakób powtórzył pytanie:

— Baczył ty?

— Czemu nie baczył? Baczył — zaszeptał Szymon — o nich my mówili, i na ichże chatę gwiazda spadła...

Jakób głową wstrząsnął, i głośny, szyderski śmiech wychodził z wąskiej, starej jego piersi.

— Oj, dureń ty, dureń! — mówił — to ty myślisz, że to gwiazda spadła...

— Ale!

— A to ot, czort był, co przez komin wiedźmie hrosze niósł!

— Nie może być? — krzyknął prawie Szymon i, rękę do czoła niosąc, żegnać się zaczął.

— A czy ty tego nigdy nie słyszał?

— Słyszał to, słyszał, że tak na świecie bywa, ale widzieć, nie widział...

— No, to teraz zobaczył... W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego...

— Amen — jednogłośnie dokończyli obaj, a Szymon raz jeszcze wydał z gardła przeciągły dźwięk zadziwienia. Potem szedł już przed siebie pewniejszym, równiejszym krokiem, jakby mu dym wódki, którą w miasteczku wypił, z głowy uleciał. Głęboko nad czemś rozmyślał, potem ozwał się:

— Jakób!

— Ha?

— Wiesz ty co? Jużbym ja i czortouskiemi hroszami nie pogardził, żeby tylko z biedy wyleźć. Żeby gospodarstwa nie opisywali i nie sprzedawali...

— Jak wiedajesz... jak znajesz... — obojętnie odparł Jakób.

— Możeby kowalicha i pożyczyła... — wahającym się głosem zaczął znowu Szymon.

— Jak wiedajesz... jak znajesz... ale kiepsko będzie...

— Czemu kiepsko?...

— Ot, tak! chrześcijańskiej duszy zaprzedać nie godzi się...

— I to prawda...

— Ty tego nie rób — palec do góry wznosząc, nauczał Jakób - nie godzi się... Księdzu na spowiedzi powiedzieć trzeba, że takie pokuszenie miał...

Szymon rozmyślał znowu, ale po chwili z nagłą determinacją głowę podniósł.

— A szedł ty do pańskiego lasu drzewo kraść, kiedy świronek budować zapotrzebował, ha?

— Oj, ty, durniu! — krzyknął Jakób — jak ty takie rzeczy porównywać możesz? Las boski jest, i Pan Bóg go dla wszystkich posiał, a wiedźmy hrosze czartowskie, i ona sama jest nieprzyjaciółka boska i ludzka...

— To co! — opierał się Szymon — taki tobie mirowy sztraf zapłacić kazał, a ty mnie od durniów nie wyzywaj... Słyszysz? Prawa nie masz! Sam dureń, a jeszcze do tego i złodziej!

Zaczynali już kłócić się, ale wtem oblała ich światłość, wychodząca z okien karczmy, przed którą przechodzili. Z wnętrza karczmy dolatywał gwar rozmów i rzępolenie skrzypiec. Stanęli obaj jak w ziemię wryci.

— Zajdziem — rzekł Szymon.

— Zajdziem — zgodził się Jakób.

— Na minutkę.

— Na minutkę poweselić się...

Karczemną izbę, dość obszerną, niską, z podłogą glinianą i aż czarnym od brudu pułapem, jaskrawo oświetlały trzaski smolne, wetknięte w szczeliny pieca, od góry do dołu zawieszonego wysychającą po praniu odzieżą arendarza i jego rodziny. Na długim i wąskim stole paliła się krzywo w wydrążonej brukwi tkwiąca łojówka, i stało kilka cynowych czarek, jakiemi zazwyczaj chłopi w karczmie wódkę pijają. Pili z nich przed chwilą ci gospodarze poważni i stateczni, którzy, z obu stron stołu na ławach siedząc, toczyli pomiędzy sobą gwarliwą ale poważną, stateczną rozmowę. Dostatnie kożuchy ich zaopatrzone w szerokie kołnierze, z czarnych lub siwych baranów, ciężkie lecz całe i aż do kolan wysokie obuwie, wyrazy ich twarzy, spokojne lub uśmiechami rozjaśnione, objawiały, że byli to najdostatniejsi i najlepiej prowadzący się mieszkańcy Suchej Doliny. Przyszli tu oni nie dla hulania ani z hultajstwa, ale dlatego naprzód, aby w długi zimowy wieczór rozweselić się trochę w kompanji, a potem i dlatego, aby o rzeczach, tyczących się interesów wsi, trochę naradzić się i porozmawiać. Kazali sobie zrazu podać wódki, pili ją z cynowych czarek, uprzejmie do sąsiadów przemawiając:

— Na zdrowie! na szczęście!

Poczem czarki na środek stołu odsunęli i więcej już ich nie dotykali. Po kruczku wypili i dosyć! Gdyby to była jakaś wesoła okazja: chrzciny, wesele, dobicie jakiegoś targu lub coś podobnego, piliby pewnie daleko więcej. Ale bez okazji nie zwykli byli upijać się, szanowali w sobie dostojność gospodarzy zamożnych i prowadzących się uczciwie, ojców rodzin i byłych lub teraźniejszych urzędników gminy.

W samym środku grona tego zasiadł Piotr Dziurdzia, obok niego, z łokciami daleko na stół wysuniętemi, rozpierał się Maksym Budrak, dalej obsiadali ławę: stary Labuda i dwaj dojrzali, dawno już ożenieni synowie jego, a za kilku jeszcze innymi, w samym kącie izby, tam gdzie najmniej dochodziło światła, siedział Stepan.

Zawsze miał on pociąg do przestawania z najpoważniejszymi i najuczciwszymi mieszkańcami wsi, do współudziału w rozprawach o rzeczach publicznych, do odegrywania we wsi roli czynnej i wpływowej. Ambitny i śmiały, pragnął coś znaczyć, czemś przewodzić, a choć mu już lat czterdzieści wkrótce

minąć miało, nie mógł nigdy pożądanego celu tego doścignąć. Ponurość i popędliwość jego odstraszały odeń ludzi, ujmowały mu publicznego szacunku niepospolicie już złe pożycie z żoną i brak liczniejszej rodziny. Miał wprawdzie jedno dziecię, ale takie, że za bezdzietnego uchodził, a bezdzietność chłopa, to naprzód niebłogosławieństwo boskie, a potem bliska i nieunikniona jego ruina.

Inaczej wcale spoglądają ludzie na taką chatę, w której rosną i dorastają silni parobcy i pracowite dziewki, niżeli na taką, w której dwoje samotnych ludzi, jak ta para ponurych kretów, ziemię kopie, bez radości na teraz, bez widoków na przyszłość. W takiej chacie ani chrzcin, ani wesel, ani głośnego igrania chłopców, ani dźwięcznego śpiewania dziewcząt, ludzie do niej nie zachodzą nigdy i nigdy w niej do zastawionych bożemi dary stołów nie zasiadają. Żeby tam nie wiedzieć jaki dostatek był, to wprost okazji żadnej nigdy niema, więc i szacunek ludzki i przyjaźń ludzka nie mają tam kiedy przybyć, objawić się, wzrosnąć. A jeżeli jeszcze w chacie takiej wieczne pomiędzy małżeństwem kłótnie, krzyki i bijatyki, Panu Bogu na obrazę, ludziom na zgorszenie i śmiech? Wtedy już, chłopie bezdzietny i beznadziejny, na ruinę gospodarstwa i pośmiewisko ludzkie wystawiony, siedź chmurny i milczący, pomiędzy weselącymi się i rozprawiającymi ludźmi tak, jak w ciemnym kącie siedzi Stepan Dziurdzia, złość i zgryzotę swoją przeżuwając. Ile razy odezwał się, tyle razy spostrzegał wyraźnie, że nikt go słuchać nie chciał.

Rozprawiano wszakże o rzeczy, na której on znał się lepiej, niż ktokolwiek inny: o gruntach i łąkach, do których wieś cała pretensję rościła i o które dotychczasowemu ich posiadaczowi proces wytoczyć zamierzała. Proces miał być kosztownym, koszta rozkładały się na wszystkich mieszkańców wsi, w stosunku do części, przez każdego posiadanej w procesie; arytmetyczne takie ćwiczenia najbieglej Stepan dokonywać umiał, najlepiej zresztą znał owe grunta i łąki, ale obywano się bez jego pomocy i rady, słowa jego głuszono, kiedy innych przekrzyczeć usiłował, łokciami go trącano na znak, aby umilkł.

Młody Łabuda, kłótni wszczynać nie lubiący, lękając się, aby go do niej złość Stepana nie wyzwała, odsunął się odeń o łokieć, to samo uczynił Antoni Budrak, brat Maksyma, obecny starosta wsi.

Osamotnionym ujrzał się i sponiewieranym. Zaklął zcicha, usunął się pod samą ścianę, na arendarza krzyknął, aby mu całą

kwartę wódki podał, i pił ją, milcząc, i roziskrzonemi oczyma w cieniu jak wilk połyskiwał.

Inaczej wcale działo się z Piotrem Dziurdzią. Ten przez lat sześć urząd starosty sprawował, wiedział więc dobrze, co chłop który posiadał i w jakiej mierze do wspólnych kosztów przyczyniać się był powinien. Antoni Budrak, który świeżo starostą został, radził się go o to i owo, inni, słuchając, potakująco głową kiwali.

Z rękoma splecionemi na kolanach, z długiemi włosy, których płowe i siwiejące kosmyki opadły na czarny, barani kołnierz kożucha, z bladawą swą i ciemną twarzą, ożywioną teraz czarką mocnego napoju i wprowadzoną rozmową, Piotr rozpowiadał szeroko i długo, a słowa jego ciekły mu z ust rozważne i przewlekłe, niby leniwy i zcicha toczący się potok. Przypominał, kiedy i jak owe grunta i łąki od Suchej Doliny odpadły, i co o tem opowiadali ojcowie, rozważał, jakie korzyści zwrót ich przyniósłby wiosce i, wyliczając je, aż wzdychał, tak mu się one ponętnemi wydawały. Pomimo jednak tego, dosyć żywego pożądania rzeczy ziemskich, o niebieskich nie zapominał.

Podnosił czasem w górę wskazujący palec i zdanie swe kończył słowami:

— Wsieńko to w mocy Bożej. Kiedy Pan Bóg zechce, to nam tę łaskę swoją da, a kiedy nie zechce, to nie da, i cierp, człowiecze, bo taka już wola pańska...

Innym razem mówił:

— Boskiej siły, jak toj kazau, nie przemożesz. Czartouskuju siłu krzyżem świętym przemożesz, a boskiej niczem nie przemożesz... Jak Pan Bóg najwyższy zechce, tak będzie.

Słowa te wywoływały zawsze westchnienie słuchaczy, co nie przeszkadzało im jednak z żywem i nawet namiętnem zajęciem dalej o interesach ziemskich rozprawiać. Piotr wzdychał także, ale szare, głęboko pod gęstemi brwiami osadzone oczy jego błyskały czasem rozweseleniem takiem, jakie ukazywało się w nich bardzo rzadko. Rozweselały się one w ten sposób zawsze, ilekroć wypadkiem czy umyślnie spojrzał w tę stronę karczemnej izby, w której bawiła się i weseliła nieliczna garstka młodzieży.

Było tam kilku dorosłych chłopców i z pięć dziewczyn, którzy otaczali siedzącego w kącie muzykanta, wołając nań o muzykę, a gdy grać już zaczął, tańce rozpoczynali i nagle je przerywali dla swawoli jakiej lub gonitwy, od których z podłogi wznosił się tuman kurzawy, i rozlatywały się na wsze

strony ciemne dymy, kłębami buchające z rozpłomienionych smolniaków.

Było tam w tej zabawie pełno grubych wykrzyków męskich i piskliwych jęków niewieścich, rubasznych śmiechów, żartobliwych kłótni, tupotu nóg, brzęczenia i piszczenia skrzypiec. Białe koszule i sine spódnice dziewcząt migotały w kurzawie i dymie, wśród szarych i błękitnych ubiorów męskich. W gromadce tej nielicznej, ale bawiącej się wybornie, rej głośny i wesoły wiódł Klemens.

Przed sześciu tygodniami wstał on z ciężkiej choroby, której już i znaku na nim nie było. W czasie chorowania swego nieskończoną ilość razy trzymał był w rękach zapaloną gromnicę, wypił nieskończoną ilość ziół, które mu z całej wioski przynosiły baby, odbył przedśmiertną spowiedź i utracił kwartę krwi, którą wytoczył zeń z miasteczka przez Piotra przywieziony felczer. Stara Ewangelja przez cały ten czas nad samą głową jego na poduszce leżała; ojciec w kościele trzy msze na jego intencję zakupił. Nakoniec wyzdrowiał, wstał i po tygodniach paru wyglądał już tak, jakby mu nigdy nic nie było.

Odtąd Piotr o chorobie i wyzdrowieniu syna lubił szeroko i długo rozprawiać. Opowiadał, że sprawiła ją djabelska siła, którą przezwyciężyła siła boska. O pierwszej mówiąc, pięści ściskał i z obrzydzeniem spluwał, a błysk gniewu i nienawiści przemykał mu w źrenicach. Dla drugiej gorącą wdzięczność i cześć widać uczuwał, bo, gdy ją wspominał, głowę skłaniał, a oczy mimowoli prawie w górę wznosił.

Teraz Klemens w zabawie i swawoli rej wodził, a w którąkolwiek stronę izby okiem rzuciwszy, wszędzie zobaczyć go było można w parze z ładną Nastką Budrakówną, córką Maksyma. To stojąc przed muzykantem i o muzykę wołając, do tańca wpół ją obejmował, to w gonitwie jakiejś na ławę ją z takim rozmachem obalał, że aż krzyczała z bólu, niby rozgniewana w kąt odchodziła i plecami zwracała się do izby, a on, stojąc za nią, przepraszał ją i do drugiej gonitwy wyzywał, pociesznie twarz, jakby w płaczu przekrzywiając, a grubym śmiechem na całą izbę chichocząc...

Piotr na tą zabawę syna, poprzez głowy siedzących naprzeciw niego sąsiadów, z przyjemnością spoglądał i robiły mu one nawet wyraźne w rozmowie roztargnienie. Usta wtedy roztwierał i śmiał się cichym piersiowym śmiechem. Lubował się widokiem pary, którą składali Klemens z Budrakówną. Dziewczyna miała z zamożnej ojcowskiej chaty wnieść z sobą w chatę

męża zwiększenie wszelkiego dostatku, a prócz tego łagodną była, pracowitą, prowadzącą się przystojnie i przez Agatę bardzo lubioną; jeżeli więc Klemens z nią się ożeni, oprócz wszystkiego innego, zgoda świekry z synową zapewniona będzie. Piotrowi oddawna związek ten kleił się w głowie, aż tu, ni z tego, ni z owego, wykryły się te jakieś umizgi Klemensa z Franką, z tą krępą, niepozorną, ubogą wnuczką jednego z najpośledniejszych mieszkańców wsi, w dodatku złodzieja. Gdy tylko Klemens dźwignął się z choroby, Piotr go zapytał:

— Czy ty z tą Franką z myślami jakiemi zaczynał, czy tak sobie?

Chłopiec zawstydził się bardzo, twarz od ojca ręką zasłonił i odpowiedział:

— Tak sobie!

— A żenić się z nią nie myślałeś?

— Niechaj czort żeni się z nią, nie ja — brzmiała już chmurna odpowiedź.

— Nu, a Nastki Budrakówny chcesz? — indagację swą dalej prowadził ojciec.

Chłopiec dłonią usta zakrył i parsknął śmiechem.

— Czemu nie, baćku? — zawołał.

Aż mu oczy zaświeciły z radości. Nastka była ładną dziewczyną, ale o posagu i dostatniej wyprawie jej także pomyślał. Swatów do chaty Budraka wnet po przejściu adwentu wysłać umyślili.

Teraz, po środku izby, młodzież, wziąwszy się za ręce, utworzyła koło, w które na żarty i ku rozśmieszeniu wszystkich wkręciła się jakaś stara przysadzista baba, z pochwyconą u arendarza małą poduszeczką w rękach. Przy piskliwej, lecz skocznej muzyce skrzypiec, koło tancerzy, z wielkim tupotem nóg, okręcało się dokoła tej baby, która, jedną rękę na kłębie opierając, a w drugiej poduszeczkę wysoko podnosząc, a w kółko też skacząc, z pociesznemi minami śpiewała:

Paduszeczki, paduszeczki, a wsie puchawyje;
Mołodzieńki, mołodzieńki, sawsiem mołodyje...

Tu wybuchnęły ogromne śmiechy, tak słowa piosnki źle stosowały się do przysadzistej, pomarszczonej, choć silnej jeszcze i uciesznej baby.

Ona śpiewała dalej:

Koho lublu, koho lublu,
Toho pacełuju;
Paduszeczku puchawuju
Tomu podaruju.

Wraz z ostatnim wyrazem śpiewki poduszeczkę na Jasiuka Dziurdzię rzuciła i, wpół go objąwszy, chciała się z nim, wedle prawideł tańca tego, kilka razy okręcić. Ale on za wstyd to sobie poczytał, że go tak niepowabna tancerka faworami swemi obdarzała, pięścią babę odepchnął i z gapiowatą miną, a rozgniewanemi oczyma, jak słup na środku izby pozostał. Kilka poważnych gospodyń, na ławie pod ścianą gwarzących, aż kładło się ze śmiechu; gospodarze nawet rozmowę o interesach przerwali i z uśmiechami na twarzach szumnej zabawie młodzieży przypatrywać się zaczęli.

Koło taneczne utworzyło się znowu, tylko że w jego środku stanęła tym razem, gwałtem przez inne dziewki tam popchnięta Nastka Budrakówna.

Skrzypce wciąż przygrywały, a wysmukła dziewczyna, z grubą kosą na plecach i piersią zawieszoną szklanemi paciorkami, poduszkę do góry wzniosła i, nie skacząc tak, jak tanecznica uprzednia, lecz okręcając się powoli i z wdziękiem, śród tętentu stóp, donośnym głosem zaśpiewała:

Paduszeczki, paduszeczki,
A wsie puchawyje;
Mołodzieńki, mołodzieńki,
Sawsiem mołodyje...

Tu całe taneczne koło piosnkę podjęło i wzbijającemu się nad inne głosowi dziewczyny chórem wtórzyć zaczęło:

Koho lublu, koho lublu,
Toho paciełuju;
Paduszeczku puchawuju
Tomu podaruju...

Rzucona ręką dziewczyny poduszeczka w kraciastej nawleczce z taką siłą Klemensa Dziurdzię w twarz uderzyła, że aż sponsowiał cały, a złotawe i gęste włosy rozwiały mu się nad głową. Zarazem obu rękoma Nastka zwiesiła mu się na ramionach, on wpół ją objął, i kręcili się potem w kółko tak długo, że

już i prawidła tańca takiego długiego kręcenia się nie wymagały. Ale parobkowi rozognionemu zabawą i u piersi jego dyszącą piersią Nastki i tego było za mało. Krzyknął na muzykanta, aby do kruciela przygrywać zaczął, co gdy on uczynił, puścił się z dziewczyną swoją w ten taniec szybki i zawrotny, prawie na jednem miejscu odbywany, a przerywany przechadzką we dwoje dokoła izby.

Złote włosy parobka rozwiewały się nad jego głową, kosa dziewczyny z czerwoną wstążeczką u końca latała w powietrzu, na szyi jej brzęczały szklane paciorki i przeświecające z za nich pozłacane krzyżyki i medaliki.

A gdy, umęczeni zawrotnem okręcaniem się na jednem miejscu, obchodzili dokoła izbę, on podnosił wysoko twarz rozpaloną i z błękitnych oczu rzucał snopy wesołych blasków; ona, ramię mu za plecami trzymając, w jednej ręce ściskała siną jego kapotę, drugą fartuszkiem pot z twarzy ocierała. W ten sposób dwa, trzy lub więcej razy, okrążali izbę powoli, miarowym krokiem, od czasu do czasu nogami przytupując, on do młodego dębu, ona do białokorej brzozy podobna.

Wszyscy gospodarze zwrócili się już teraz twarzami ku izbie i na tańczącą parę spoglądali. Piotr Dziurdzia, pół czarki wódki jeszcze do ust niosąc, śmiał się swym cichym, piersiowym, poważnym śmiechem; Maksym Budrak, niedbale niby na córkę patrząc, radośnie oczyma błyskał. Mimowoli prawie dwaj sąsiedzi na siebie spojrzeli, porozumieli się wzrokiem i kiwnęli do siebie głowami.

— Kab tylko wola boska była... — wymówił Piotr.

— Czemu niema być woli boskiej? — odpowiedział Budrak.

Budrakowa, która pomiędzy gospodyniami pod ścianą siedziała i wprzódy już wychyliła była czarkę wódki, łzawiła się i z rozczuleniem do sąsiadek mówiła:

— Już ja tego Klemensa, jak Boga kocham, na równi z synami rodzonieńkiemi lubię...

W tej właśnie chwili weszli do karczmy Jakób Szyszko i Szymon Dziurdzia.

Nikt na nich uwagi żadnej nie zwrócił. Już z samej odzieży, którą na sobie mieli, poznać było można, że w gromadce ludzkiej, śród której żyli, najpośledniejsze zajmowali miejsce. Kożuchy ich były stare, bez kołnierzów, aż lśniące od brudu i zniszczenia, obuwie podarte i od wielu snadź już lat do zimowych tylko wycieczek w mrozy i śniegi używane, czapki nawet spłaszczone i z podartem w strzępy baraniem oszyciem.

A cóż dopiero postawy ich i twarze! Stary Jakób trzymał się wprawdzie prosto i zawsze uroczystą jakby przybierał postawę, ale niski był, chudy, a małemi błyszczącemi oczyma patrzący na świat z pod brwi jakoś, przebiegle i razem nieufnie, z chytrym, nieszczerym uśmiechem na starych, zwiędłych ustach. Co do Szymona, tego krok ociężały był i jakby nieśmiały, cera wyżółkła, oczy zaczerwienione i wiecznie mokre, na całej zaś twarzy miał wyraz zbiedzenia, gdy był trzeźwym, a zuchwałej przekory, gdy tylko wódka zaszumiała mu w głowie.

Teraz trochę tylko był podpiłym, więc, nikogo nie zaczepiając, chyłkiem prawie i nieśmiało przeszedł karczemną izbę i wraz z Jakóbem wszedł przez wąskie drzwiczki do drugiej, daleko mniejszej izby, będącej mieszkaniem arendarza i jego rodziny.

Tam słychać było, jak głośno i zapalczywie rozmawiali obaj z Żydem, wzajem sobie przerywając, popychając się łokciami i co chwila zrywając się do kłótni z gospodarzem miejsca tego, który głośno i zapalczywie także u obudwóch, szczególniej jednak u Szymona, dopominał się o pieniężne swe należności. Nie przeszkodziło mu to dać im po parę czarek wódki. Szymon, swoje wychyliwszy, płakać zaczął i na gorzką dolę swoją i swoich dziatek wyrzekać, potem jeszcze o jedną czarkę na arendarza zawołał, a gdy ten dać jej na kredyt już nie chciał, głośno i okropnie przeklinając go, nad plecami i przed twarzą ściśniętemi pięściami mu groził. Żyd ustąpił i dał mu jeszcze wódki, pilnie czarkę każdą kredą na drzwiach zapisując.

Szymon wypił; mokre jego oczy rozweselily się i błysnęły, czapkę aż po oczy na głowę nasunął i zamaszystym, choć razem i niepewnym krokiem z karczmy wyszedł. Przed karczmą, pod gwiaździstem niebem stanął i, coś do siebie mrucząc, namyślać się zdawał.

Z wielkiem wytężeniem oczu patrzał w stronę, w której zdaleka szarzało samotne w polu domostwo kowala, i nagle puścił się ścieżką, pod ścianami stodół ku niemu wiodącą. Szedł, to prędko i raźnie, to znowu powoli i ze spuszczoną głową, ciągle do siebie coś niezrozumialego mrucząc. Parę razy zatoczył się i rękoma opierał o płoty ogrodów, przed kuźnią stanął i namyślał się znowu.

Zdjęła go trwoga jakaś, bo rękę do czoła i piersi podniósł. Przeżegnał się i jeszcze kilkanaście kroków postąpił. Gdyby był trzeźwym, z połowy drogi wróciłby niezawodnie, albo by i całkiem w tamtą stronę nie szedł, ale wódka dodawała mu odwagi,

a ujmowała rozmysłu. Rękę na klamce drzwi położył i, raz jeszcze przeżegnawszy się, do chaty kowala wszedł.

Kowala w domu nie było; Aksena, w ten długi wieczór zimowy, cieplem pieca rozgrzana, usnęła na swym sienniku. Nad siwą jej głową sterczała prząśnica ze złotawą kądzielą, tylko co opuszczone wrzeciono na szorstkiej nitce zwisało z pieca, pod ramionami jej, nakształt skrzydeł rozwartemi, skurczone, jak zziębłe ptaszyny, spały dwie małe, rumiane prawnuczki.

Izba napełniona była półzmrokiem i ciszą, palący się w piecu ogień krzesał błędne światełka w szybach okien, na których mróz wyrzeźbił sploty kryształowych i lśniących liści. Przed ogniem, na stołku siedząc, Pietrusia doglądała gotującej się strawy i zarazem odzież rodziny naprawiała. U stóp jej leżało kilka dziecięcych koszulek; na kolanach trzymała sukienny spencer męża, zszywając i przymocowując zdobiące go taśmy zielone.

Kilka ubiegłych miesięcy zmieniło nieco wyraz jej twarzy, wąskiemu czołu odebrało jego dawną jasną pogodę, a w zarys ust wlało cichy lecz rzewny smutek. Świeża jednak była jak wprzódy, i jak przódy z rumieńców jej twarzy i kształtów kibici biły młodość i siła.

W twardem suknie grubą igłę zatapiając i wysoko podnosząc rękę z długą nitką, półgłosem, na przewlekłą nutę śpiewała chłopską, posępną balladę:

Matka syna zcicha nauczaje:
«Czemu ty, synku, żonki nie karajesz...»
«Oj, maju, maju nahajku małuju
I budu karaci żonku maładuju».

Z wieczora kamora krykom zazwiniała,
A z połnoczy pościel hromko hawaryła,
A świtajuczy, Hanulka nie żyła...
. . . . . .

Tu śpiewaczka umilkła na chwilę, igłę nawlekła, w ogień szaremi oczyma popatrzała i, znowu nad szyciem schylona, dalej przewlekłą nutę zawiodła:

«Oj, maci, maci, padnica u chacie,
Poradzi ciepier, hdzie żonku chawaci?»

«Zawiezi Hanulu u czystoje pole,
Skażut ludzie, szto Hanula pszenicu pole,
A sam skaczi na torh do Janowa...»
W Janowie braty Hanuli pochadzajuć
I u szwagra siestry swajej pytajuć:
«Hdzie Hanulu, siestru naszu, podzieu?»
Pryjechau do domu.
«Sługi najmilejsze,
Padajcie konie mnie najworoniejsze,
Pajedu ja do Hanuli w pole,
Padajcie mnie skrypku hromku,
Zahraju ja swaju dolu horku...
Badaj ty, matko...
. . . . . .

Z przeciągłem skrzypnięciem otworzyły się drzwi izby. Pietrusia śpiew swój przerwała i, głowę odwróciwszy, zobaczyła wchodzącego Szymona. Znała go dobrze i nie zdziwiła się, że tu przyszedł. Może z interesem do męża jej przyszedł. Uprzejmie skinęła głową.

— Dobry wieczór, Szymonie. Jak się macie?

Nie odpowiedział nic, tylko, uczyniwszy kilka chwiejnych kroków, wprost przed nią stanął i z otwartemi ustami wpatrywać się w nią zaczął.

W bladych jego oczach tak mieszały się z sobą wyrazy ciekawości i trwogi, dzikiego pożądania i pijanego rozczulenia, że wyglądał z tem trochę strasznie i trochę też śmiesznie. Z otwartych ust jego w samą twarz kobiety zionęła woń wódki.

Ręce w rękawy kożucha wsunął i z pomieszaniem trwożliwości i zuchwalstwa zaczął:

— Pietrusia, ja do ciebie z prośbą...

— A czego chcecie? — zapytała.

— Kab ty mnie hroszy pożyczyła... Do mirowego dziś na sądy chodził... Długi, każe, zapłacić trzeba... Ziemię sprzedadzą, każe... Nie sprzedadzą mówię, bo nie wykupiona, od rządu, znaczy, nie wykupiona. A on, długi popłacić, każe... ja do starszyny...

Tak prawił przez długie minut kilka, po wiele razy jedno i to samo powtarzając.

Ona słuchała go cierpliwie, szyciem swem zajęta, nakoniec podniosła głowę i zapytała:

— To i cóż ja tobie, Szymonku, poradzić mogę?

— Hroszy pożycz — przystępując bliżej, powtórzył chłop.

— Niema, dalibóg niema, a skąd u mnie hrosze mogłyby być? Wszyscy wiedzą, że do mężowskiej chaty w jednej spódnicy, taj w podartym kaftanie przyszłam... i on nie ma, pobożę się, że nie ma. Dostatek w chacie, chwała Bogu, jest, ale hroszy niema... My jeszcze młode oboje... kiedyż nam było hrosze zbierać?

— Kłamiesz! — zawołał chłop — hroszy ty majesz poddostatkiem, tyle majesz, ile ich twoja dusza zażąda.

I burkliwy ton na proszący zmieniając, dodał:

— Pożycz, Pietrusia, zlituj się, pożycz... co tobie szkodzi? jak ty pryjacielu swemu powiesz, żeby tobie więcej przyniósł, to zaraz i przyniesie...

Oczy kobiety ze zdumieniem utkwiły w twarzy chłopa, którą wódka i wzruszenie zabarwiać zaczęły ceglastym rumieńcem.

— Czy ty schwiksowałsia? (zwarjował) — przemówiła. — Jakiż to mój przyjaciel taki, coby mnie hrosze według żądania nosił?

Szymon do czoła rękę podniósł, jakby przeżegnać się zamierzał, zarazem głosem zniżonym od trwogi, z głupowatą miną wymówił:

— A czortże? ha? albo to on tobie hroszy nie nosi? ha?

Na te słowa, kobieta jak oparzona ze stolka się zerwała, oczy jej otworzyły się szeroko, ręce gestem obronnym przed siebie wyciągnęła.

— Co ty wygadujesz? — krzyknęła — człowieku, upamiętaj się i Boga w sercu miej...

— A taki nosi... — przystępując bliżej jeszcze i oczu z niej nie spuszczając, nalegał chłop.

Ona śpiesznie i bardzo głośno mówiła:

— Ja w kościele chrzczona! Mnie codzień na noc krzyżem świętym żegnali! ja grzechem śmiertelnym nijakim duszy swojej nie zgubiła.

— A taki nosi! — tuż przed nią już stojąc, powtórzył chłop — ja sam dziś widział, jak on, ognisty taki, przez komin do twojej chaty wlatywał...

Tym razem w szeroko otwartych oczach kobiety błysnęło przerażenie...

— Kłamiesz! — krzyknęła, i czuć było, że pragnęła namięt-

nie, aby zaprzeczył zaraz temu, co powiedział. - Kłamiesz! powiedz, że skłamał!

— Dalibóg, widział...

Pięścią uderzył się w piersi i znowu zaczął:

— Pożycz, Pietrusia, zmiłuj się, pożycz... Już ja na czortowskie hrosze zgadzam się, byle z tej gorzkiej biedy wyleźć... daj choć czortowskich...

Następował na nią, popychał ją sobą ku ścianie, ziejącą wonią wódki twarz swą do samej twarzy jej przysuwał.

— Ja do ciebie, jak do matki... Pietrusia, choć ty wiedźma, ale ja do ciebie, jak do matki... ratuj... niech już i na mnie ten wielki grzech spadnie... podzielim się z tobą i hroszami, i grzechem... Ja do ciebie, jak do matki i opiekunki... choć ty wiedźma, ale ja do ciebie, jak do swej opiekunki...

Gniew, przestrach, wstręt do pijanego tego człowieka, który nałogiem swym żonę i dzieci w nędzy pogrążał, a nad jej dachem latających djabłów spostrzegał, ogarnęły Pietrusię i obudziły w niej całą niepospolitą jej siłę.

Z iskrzącemi się oczyma, nogą w podłogę uderzyła i krzyknęła:

— Won! — zarazem chłopa za kożuch pochwyciła i, drzwi otworzywszy, do ciemnej sieni go wypchnęła.

Nie było to rzeczą zbyt trudną. Chłop bardzo słabo trzymał się na nogach.

W ciemnej sieni zatoczył się aż do drzwi podwórzowych i stamtąd jeszcze zawołał:

— Nie dasz? taki nie dasz hroszy?

Ale żona kowala na żelazną zasuwkę drzwi sieni zamknęła. Chłop pod zamarzle okno podszedł i tam to wykrzykiwał, to mruczał:

— Ja do ciebie... wiedźmo ty... jak do matki... daj hroszy... zlitujsia... choć i czortowskich daj... Nie dasz? taki nie dasz? Pietrusia! słyszysz? Mirowy każe, długi popłacić trzeba... ja do starszyny... Starszyna każe, ziemi nie sprzedam, ale gospodarstwo sprzedam... w jednych koszulach zostaniecie... oj, horkaja dola moja i dziatek moich. Pietrusia! słyszysz? daj hroszy... co tobie szkodzi? Przyjaciel twój nanosi tobie znów, wiele żądasz... Nie dasz? taki nie dasz? No, to poczekajże, dam ja tobie, zgubiona dusza twoja... niewierna... nieprzyjacielu boskiemu zaprzedana... popamiętasz!

Poszedł ścieżką ku karczmie i wsi, a idąc zwolna i chwiej-

nie, pięści ściskał, w powietrzu niemi miotał i wciąż z wykrzykami gniewnemi, to z posępnem mruczeniem do siebie mówił:

— Nie dała! taki nie dała! zgubiona dusza jej... Panu Bogu niewierna... nieprzyjacielu boskiemu zaprzedana... dam ja jej... popamięta...

Od paru już miesięcy Pietrusia do wsi nie chodziła. Strach ją przejmował, gdy myślała o spotkaniu się z ludźmi, i babka parę razy powtórzyła jej zlecenie, aby cicheńka była, jak rybka na dnie wody. Jednak, w tydzień przeszło po owych szczególnych odwiedzinach Szymona, wypadła jej potrzeba konieczna do Łabudów pójść. Szło o talki, które dla Łabudowej uprzędła Aksena, a które koniecznie odnieść wypadało, aby dłuższem ich zatrzymywaniem wyrzutów, lub i posądzeń nie ściągnąć.

O zmroku, gdy kowal pracował w kuźni, Pietrusia do babki rzekła:

— Pójdę, babulo, dziś już koniecznie do Łabudów, pójdę.

Stara przemilczała chwilę, jakby jej to postanowienie wnuczki do smaku nie przypadało, potem jednak odrzekła:

— Idź, kiedy już trzeba... tylko tam ludziom nie nasuwaj się na oczy... za gumnami przejdź.

— Za gumnami przejdę — powtórzyła Pietrusia.

Siermiężkę i trzewiki włożyła, chustkę na głowę zawiązała i poszła.

Aksena z dziećmi na piecu pozostawszy, w zupełnej prawie ciemności bajkę o smoku opowiadać zaczęła. Była to bajka długa i straszna, po której nastąpiła inna, tak śmieszna, że dwoje starszych aż zanosiło się od śmiechu i najmniejsza, Helenka, śmiała się także, choć jeszcze dobrze zrozumieć jej nie mogła. Malutki Adamek zaskwierczał w kołysce. Aksena Stasiukowi rozkazała, aby z pieca zlazł i brata kołysał. Dziecko zsunęło się z pieca, wgramoliło się na tapczan, przy którym stała kołyska, i wkrótce po ciemnej izbie miarowy tętent biegunów zawtórował chrapliwemu głosowi baby, opowiadającej trzecią już bajkę.

Wtem pod oknami i w sieniach dał się słyszeć tętent szybko biegnących stóp, drzwi otworzyły się z trzaskiem i otwartemi snadź pozostały, bo do izby wionął strumień mroźnego powietrza, zarazem, śród ciemności rozległ się krzyk głuchy, rozpaczą czy trwogą zdławiony:

— Jezu! ratujcie! ja nieszczęśliwa! biją już! kijami biją! Boże mój miłosierny!

Był to głos Pietrusi, która widać całem ciałem osunęła się na podłogę, bo pośrodku izby coś mocno stuknęło. Jednocześnie

Aksena, która na kilka sekund oniemiała, trzęsącym się głosem przemówiła:

— A tobież co, Pietrusia? a tobież co? Niech Pan Bóg zmiłuje się nad nami! co tobie?

Krzykiem i stukiem przestraszona, trzyletnia Helena wrzasnęła płaczem, ciszej nieco zawtórował jej Adamek. Przez wrzaskliwy płacz dzieci przebił się głos ślepej baby, donośny, nakazujący:

— Nie chwiksujsia. Pietrusia, światło zapal. Dzieci po ciemku płaczą.

Ciężko, ze zdławionemi jękami, kobieta podniosła się z ziemi, a gdy światło rozniecała i palące się łuczywo w szczelinę pieca wsuwała, ręce jej trzęsły się jak w febrze. Przy drżącym blasku powstającego ognia, twarz jej z wyrazistością rzeźb wystąpiła na szare tło izby, blada jak płótno, z czołem ściągniętem w kilka fałd grubych, z oczyma buchającemi płomieniem. Chustka spadła jej z głowy, splątane włosy okryły szyję i jeżyły się nad czołem, dwie tylko łzy świeciły na jej rzęsach, ale głębokie łkania wstrząsały ustami i piersią. Światło zapaliwszy, obu rękoma schwyciła się za głowę i jak nieprzytomna po izbie biegać zaczęła. To z szeroko otwartemi oczyma i rękoma nad głową, pośrodku izby stawała, to twarzą rzucała się na stół albo ławę, to do pieca przypadała i ku babce błagalnym jakby gestem obie ręce wyciągała wysoko. Przytem mówiła ciągle, tak jak się mówi w gorączce, prędko, bezładnie, z nagłemi krzykami, to znowu ze zniżeniem głosu aż do szeptu.

W ten sposób opowiadała rzecz, której słuchając, Aksena na swym sienniku prostowała się jak struna, żółtemi szczękami coraz prędzej poruszała, a kościanemi rękoma bezwiednie może szukała głów małych wnuczek, które milczące już, przelękłe, same się pod te ręce i do jej piersi przysunęły.

Opowiadała, że do Łabudów zaszła szczęśliwie, talki oddała, wszystkim pokłoniła się pięknie, ale w rozmowę się nie wdając, zaraz nazad tą samą drogą poszła. Na tej drodze czatowali na nią ludzie, którzy snadź już wiedzieli, że ona tamtędy, od Łabudów wracając, iść będzie. Czatowali na nią za płotem ogrodu, za niskim płotem, przy którym, gdy przechodziła, ktoś ją kijem w plecy uderzył raz i drugi, a tak mocno, że aż na ziemię upadła. Ten, kto uderzył, był Szymon Dziurdzia, bo go dobrze, choć w zmroku poznała, ale za Szymonowemi plecami rozległ się śmiech Stepana, a Paraska, Szymonowa żonka, coś ciś o pieniądzach i kupnej spódnicy zagadała, i Rozalka prze-

klinała i wiedźmą ją nazywała, i jeszcze ze dwoje ludzi śmiało się i gadało, ale ona już nie wie, kim byli, bo zerwała się z ziemi i co sił dalej pobiegła. A oni przez płot na ścieżkę przeleźli i ku karczmie sobie poszli, nie uciekając, pomału, jakby nigdy nic.

Bili, kijami już bić zaczęli! co ona pocznie? Za co to na nią przyszło?

Płakała teraz rzewnemi łzami, ręce łamała, widać było, że trwoga straszna mąciła jej rozum i odbierała wolę.

Na piecu zaszemrał szept starej:

— Parobku, Prokopku... oj, parobku, Prokopku... czemu ja sobie teraz gadanie i łzy matki twojej, Prokopichy, znów przypomniała?

Białe oczy pośród żółtawej twarzy szerzej rozwarła i tym samym, co wprzódy, nakazującym głosem przemówiła:

— Klęknij i pacierz głośno mów...

Rozkazywała tak jakgdyby wnuczka jej malutką jeszcze dziewczynką była, a ona słuchała też jej jak dziecko. Wnet uklękła.

— Nie tak — przemówiła stara — nie tak. Helenkę z pieca zsadź, Adamka na ręce weź, starszych do siebie zawołaj... ogarnij dzieci rękoma i Najwyższemu Bogu je pokazuj... Pacierz mów i dzieci Bogu pokazuj... Ty matka... niech Bóg najwyższy lituje się nad dziećmi...

Z sennem niemowlęciem na jednem ramieniu, a drugiem ogarniając małego chłopca i dwie mniejsze odeń dziewczynki, młoda kobieta klęczała pośrodku izby, a słowa modlitwy ze zmąconej pamięci jej uciekały i na drżące usta nie przychodziły.

Ślepa baba chrapliwym swym i trzęsącym się głosem zaczęła:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, świaćsia imię Twoje, pryjdź królestwo Twoje, budź wola Twoja...

Wtórował jej słaby zrazu, potem coraz wyraźniejszy głos młodej kobiety.

Jednogłośnie, żarliwie wymówiły:

— Amen! — poczem stara wyrzekła:

— Nu, wstań! może Pan Bóg Najwyższy posłyszał...

Ciszej dodała:

— I dzieci zobaczył...

Chwilowa cisza zapanowała w izbie. Pietrusia niemowlę do kołyski kładła, starsze dzieci skupiły się w kącie izby, tak

szczelnie jedno do drugiego przytulone, jak przestraszona trzódka owiec.

— Gdzie Michałek? — zapytała Aksena.

— W kuźni.

— Nie wie, co tobie przytrafiło się...

— A nie wie...

Parę miesięcy temu, z żalem swym i strachem, tak jak z radością i weselem, bieglaby wprost do męża, przedewszystkiem i bez namysłu bieglaby do niego. Ale teraz! o! z innem on już sercem dla niej, niż dawniej... Nie można już jej ze wszystkiem do niego biec. Wiara jej w jego lubienie przepadła, codzień więcej przepadała, a tam, gdzie była jej słodycz, robiło się tak gorzko, jakby ją, naprzykład, przysypał ktoś garścią piekącej gorczycy.

— Chodź do mnie, ditia, pogadamy...

Od kołyski odeszła, na tapczanik wskoczyła, a stamtąd łatwo już jej było na brzegu pieca usiąść. Siedziały naprzeciw siebie; białe oczy ślepej baby zdawały się z wytężeniem wpatrywać we wzburzoną i spłakaną twarz młodej kobiety. Po dość długim namyśle Aksena zaczęła:

— Pietrusia! toż to jutro wielkie święto.

— Ale, babulo.

— Toż to Niepokalane poczęcie Przenajświętszej Marji Panny, wielkie święto w kościele i wielki targ w miasteczku.

— Ale, babulo.

— W kościele odpust święty, a na targu będzie narodu chmara. I z Suchej Doliny gospodarze pojadą do kościoła i na targ...

Znowu dość długo milczała, myśli swe i plany jakieś zdając się żółtemi szczękami przeżuwać.

— Posłuchaj — rzekła — już tobie niema innego ratunku, tylko do Pana Boga udać się i u Niego o świadectwo przed ludźmi poprosić. Niechaj o tobie Pan Bóg zaświadczy, żeś nijakim grzechem śmiertelnym duszy nie zgubiła. Do kościoła idź, przed Panem Jezusem krzyżem leż, spowiadaj się i komunję przenajświętszą przyjm... Słyszysz?

— Słyszę, babulo, dobrze, babulo, zrobię, jak doradzacie.

— Ale. Jak wyspowiadasz się, a od księdza komunję przenajświętszą przyjmiesz i sama pocieszysz się i ludziom wszystkim pokażesz, że nieprzyjaciółką boską nie jesteś. Niechaj zobaczą, że do Pana Boga, krzyżem leżąc, modlisz się, i że tobie ksiądz komunji przenajświętszej nie odmówił. Kiedy to zobaczą.

poznają, że ty nie taka, jak oni wymyślili, i że śmiertelnego grzechu, ani żadnego ważnego przestępstwa na tobie przed Panem Bogiem niema. Pan Bóg najwyższy sam tobie dobre świadectwo wyda...

— Dobrze, babulo, dobrze — znacznie uspokojona powtórzyła Pietrusia i, zmęczoną głowę na kolana babki pochylając, kościaną rękę jej pocałowała. Ona tą ręką zaczęła ją po włosach gładzić.

Milczały obie.

Potem młoda kobieta ozwała się znowu:

— Franki poproszę, aby chaty i dzieci dopilnowała i strawę zwarzyła, a sama o świtaniu do miasteczka pójdę.

— Może i Michałek pójdzie?

— Pewno nie pójdzie. Do dworu tego pójść jemu trzeba, z którego tę dużą robotę ma wziąć.

— Dobrze byłoby, żeby poszedł. Razemby pomodlili się i wyspowiadali, żeby dawniejsze dobro wróciło...

Znowu milczały, w myślach pogrążone. Dzieci w kącie szeptać pomiędzy sobą zaczęły i z głośnem chrupaniem jeść surową brukiew, którą Stasiuk gdzieś w sieni porzuconą znalazł. I nikt nie zwrócił uwagi na męskie kroki, które ozwały się za drzwiami.

Kowal do izby wszedł, a Pietrusia wtedy dopiero głowę z nad kolan babki podniosła. Na twarzy Michałka nie malowała się już uprzednia wesołość bez troski, ni cienia. Niezadowolenie i niepokój przyćmiewały blask jego czarnych oczu, wargi pod czarnym wąsem nieco wydęte objawiały skłonność do wyrzutów i gniewu. Dzieci, które rzuciły się ku niemu, po głowach pogłaskał i, obejrzawszy się po izbie, zdziwionym głosem zawołał:

— A cóż to? toż to wieczerzy jeszcze i zawodu (zaczątku) niema!

Istotnie, smolniak tylko rzucał na izbę skąpe i chwiejne światło, w czarnym, głębokim otworze pieca, ognia nie było.

— O, Jezu! — z pieca zeskakując, krzyknęła Pietrusia — toż to ja dziś o wieczerzy zapomniałam, na śmierć zapomniałam!

I z takim pośpiechem, że aż ręce jej drżały, poczęła ogień rozniecać i w garnki nalewać wodę. Pierwszy to raz w życiu zdarzyło się jej o domowych zajęciach zapomnieć, a przyczyny zapomnienia tego mężowi powiedzieć nie mogła. On też o nią nie zapytywał. Usiadł na ławie i rzekł tylko:

— Już chwała Bogu o jedzeniu dla męża zapominasz, a dzieci surową brukiew z twojej łaski gryzą... jakby im żebrak jaki był ojcem.

Wziął na kolana Stasiuka, brukiew mu z rąk odebrał i w kąt izby ją cisnął. Wymówka, którą uczynił żonie, ostrą nie była, ale kobieta wolałaby może, aby się rozgniewał, a potem znowu przyjaźnie do niej zagadał. Ale on już do niej nie przemówił więcej i tylko do dzieci odzywał się czasem. Śpieszyła z wieczerzą, krupy do garnka sypała, jaj trochę przyniosła i urządzać zaczęła jajecznicę ze słoniną, aby móc jak najprędzej cokolwiek mężowi podać.

Aksena do męża wnuczki kilka razy zagadywała: a co dziś w kuźni robił? a kogo widział? a czy jutro na odpust pojedzie?

On zbywał ją zawsze paru słowami, w których ani niegrzeczności, ani też życzliwości nie było. Jeżeli co mówił, to ot, tak, byle zbyć, z roztargnieniem i mrukliwie.

Pietrusia, zapalając lampkę, urządzając, a potem i podając wieczerzę, ruszała się żwawo, pośpiesznie, a jednak wyglądała jak nieżywa. Z ust ani pary nie wypuszczała; chód jej był cichy i lękliwy; przed mężem stając, powieki spuszczała. Widać było, że gdy on na nią patrzał, drętwiała cała z bojaźni. Wiedziała przecież dobrze, że bić jej ani nawet łajać nie będzie. Czegoż więc lękała się? Może spojrzenia jego, które, gdy na nią patrzał, stawało się dziwnie przenikliwem, czasem rozgniewanem, a czasem tak smutnem, że, dostrzegłszy je, płacz powstrzymywać musiała. Coś pomiędzy niemi murem stanęło. Ona dobrze wiedziała, co to było.

Jako rzemieślnik bardzo przez ludzi używany, Michałek ciągle z ludźmi się widywał i bywał wszędzie, gdzie oni bywali, i słyszał wszystko, co oni mówili. Ciekawy i rozmowny, tyle zawsze o wszystkiem wiadomości posiadał, że niektórzy, śmiejąc się, mówili o nim, iż słyszy, jak trawa rośnie. Słyszał więc tem bardziej to, co tyczyło się jego żony i domu. Raz w bójkę, a kilka razy w srogą kłótnię wprowadziły go te gadaniny ludzkie o Pietrusi. Potem już kłócić się przestał i głuchego udawał, ale co się działo w jego sercu, to zdradzały wyraziste rysy jego twarzy i wypowiadały wyraziste także, skrytości nie nauczone oczy. Miał wiele ambicji; przez nią to głównie tak gorliwie pracował, chatę swą przyozdabiał i wszelkim dostatkiem napełniał, o oddaniu kiedyś Stasiuka do szkoły marzył. A tu spotkał go wielki

wstyd! Przytem, kto wie, jakie tam jeszcze przypomnienia po myśli jego błądziły?

Wierzyć — nie wierzył w prawdę tego, co ludzie o żonie jego gadali; przecież patrzał na nią tak, jakby ją wzrokiem nawskróś przeniknąć pragnął, a zbliżenia z nią, jakby instynktem jakimś od niej odpychany, unikał. Czasem przecież tkliwość jakaś podnosiła się mu z serca do gardła i oczu, a wtedy stawał się takim smutnym, jakby z ojcowskiego pogrzebu powracał. Nigdy jednak okazać tego nie chcąc, stosownie do pory, w której się to zdarzało, albo z domu wychodził, albo co najprędzej spać się kładł.

Teraz Pietrusia, jajecznicę na stole postawiwszy, stanęła naprzeciw niego i ze spuszczonemi powiekami czekała, aby jej sobie na talerz nabrał, resztę chcąc dzieciom i babce rozdać.

On, cynową łyżkę w misce napełnionej jajecznicą pogrążając, utkwił w niej wzrok przenikliwy i razem trochę żałosny.

— Oj, Pietrusia! Pietrusia! — kiwając głową, zaczął — co tobie stało się? do czego ty teraz podobna? Włosy masz takie rozczochrane, jak gdybyś z kim biła się, a oczy spuchnięte od płaczu. Czego płakałaś? ha?

Nic nie odpowiadając, odwróciła się prędko i stanęła przy ogniu, plecami do niego zwrócona. To milczenie, którem odpowiadała na serdeczniejsze pytania jego, obraziło go widocznie, bo gdy mu chleba pod ręką zabrakło, podniesionym i grubym głosem krzyknął:

— Chleba daj! słyszysz? Czego tam stoisz z opuszczonemi rękoma, jak pani jaka!

A gdy oddała mu żądaną usługę, krzyknął znowu:

— Dzieciom daj jeść! nie żebraki one, żeby, przez czort wie jaką matkę, do północy głodne być musiały.

Była to już obelga i najboleśniejsza, bo macierzyńskiemu sercu jej zadana, a ona i na to nie odpowiadała nic. Jedzenie babce i dzieciom rozdała, naczynia od wieczerzy wymyła i na półce poustawiała, stół starła, smolniak i lampę zgasiła i, na tapczaniku usiadłszy, nad kołyską schylona, Adamka, który obudził się, piersią swą nakarmiła.

Ogień w piecu palił się jeszcze trochę i w izbie panowało ruchome półświatło. Aksena na swym sienniku nieruchomo u wierzchołka pieca leżała. Spała, czy nie spała, ale milcząca i nieruchoma leżała. Dzieci natychmiast po wieczerzy usnęły.

Michałek spać nie szedł. Przy wieczerzy jadł dużo, potem, na stole rozparty, papierosy jeden po drugim palił, parę razy nawet zagwizdał coś sobie pod wąsem. Napozór więc nie dolegało mu nic. Jednak do snu zabierać się ani myślał. Papierosy wciąż palił i z czołem na dłoni opartem dumał.

Pietrusia kołyskę poruszać i niemowlęciu do snu nucić zaczęła. Nie śpiewała, ale nuciła półgłosem, na nutę monotonną, przewlekłą, która, w głębokiej ciszy i chwiejnem półświetle, płynęła i kołysała się jak smutna, nieśmiała fala. Niemowlę usnęło, kobieta wstała z tapczana i bosemi nogami cicho do męża podeszła.

Cicho też przemówiła:

— Michałek!

— Ha? — głowę z nad dłoni podnosząc i na nią patrząc, zapytał.

— Ja chcę jutro o świcie do miasteczka iść...

— Czego?

— Do kościoła na odpust. Frankę poproszę, aby chaty i dzieci popilnowała.

Patrzał na nią ciągle, ale wyrazu oczu jego w zmroku widzieć nie mogła.

— Czemuż to tobie tak do kościoła zachciało się? — zapytał.

Po chwilowem milczeniu odpowiedziała:

— Wyspowiadam się i komunję przenajświętszą przyjmę. Niech mnie sam Pan Bóg Najwyższy przed ludźmi dobre świadectwo wyda...

Łkania powstrzymywała i łzy, które gradem stoczyły się na policzki, fartuchem otarła.

— Znów płaczesz — zauważył Michałek — ot, płaksiwa ty teraz zrobiła się... ze wszystkiem nie taka, jak była...

— Nie taka — powtórzyła kobieta.

A po chwili nieśmiało dodała:

— I ty nie taki, jak był...

— A nie taki — potwierdził mąż.

W krótkich tych słowach, któremi wspólnie zeznawali przed sobą zepsucie się szczęścia dawnego, brzmiała głęboka żałość.

On wciąż przyglądał się jej bacznie.

— Taki doprawdy wyspowiadasz się jutro i komunję przenajświętszą przyjmiesz?

— A jakże — odpowiedziała i zrobiła ruch do odejścia. Ale on na nią zawołał:

— Pietrusia!

— A co?

— Siadaj przy mnie, pogadamy.

Zdziwiona i nieśmiała usiadła przy nim na brzegu ławy. On mówić zaczął:

— Posłuchaj, Pietrusia. Czy to my już zawsze tak z sobą będziemy żyć, jak te nieme stworzenia?... Tego tylko braknie, żebyśmy zaczęli takie zgorszenie i taki śmiech ludziom robić, jak, nie przymierzając, Stepan Dziurdzia i jego żonka... Tak nie można, Pietrusia. Tak nie trzeba. Ty matka dzieciom, i ja ciebie szanować muszę...

Słuchała go tak chciwie, jakby każde słowo jego wyrokiem dla niej być miało, a gdy umilkł, ręce na fartuchu rozłożyła i szepnęła:

— To i cóż ja zrobię, kiedy ty, Michałku, lubić mnie przestał...

Wymówiwszy to, widocznie na odpowiedź z przyśpieszonym oddechem czekała. Ale kowal nie odpowiedział nic. Sapnął głośno, westchnął, kawał niedopalonego papierosa na środek izby rzucił i, znowu głowę ręką podparłszy, milczał. Wtedy ona, nie doczekawszy się zaprzeczenia słów, które wymówiła, ze stłumionym jękiem osunęła się na ziemię i namiętnym szeptem mówić zaczęła:

— Michałku, lubku, już ja dawno widzę, że ty mnie lubić przestał, że ja tobie zrobiłam się niemiła, że ja tobie jestem ot, tak, jak ten ciężki wór na plecach, albo ten kamień, żeby go do nogi przywiązać... Niema twojej wesołości! niema twego gadania! niema twego śmiechu! Żałosny ty czasem taki, że kiedy na ciebie patrzę, wolałabym już pod ziemią leżeć... Żałuję ja ciebie więcej niż życia własnego i nie chcę, żebyś ty przeze mnie marnie przepadał... kiedy ty mnie nie lubisz, to pójdę ja sobie z chaty, od ciebie, w szeroki świat pójdę, dokąd oczy poniosą... Babuli tylko do śmierci dopatrzysz... nie dużo już jej na tym świecie przebywać zostało, i jedno dziecko wziąć mnie pozwolisz... na pamiątkę, oj, na pamiątkę jedyną! Jak babula ze mną kiedyś po świecie chodziła, taj na nas dwie pracowała, tak i ja z dzieciątkiem swojem chodzić będę, taj na oboje nas zapracuję... A jak zajdę gdzie daleko, het daleko, aż za skraj świata, to i wieść o mnie na zawsze przepadnie, ludzie pomyślą, że już między żywemi mnie niema, a tobie wolno będzie wziąć sobie żonkę inną

i gospodynią inną i wszystko sobie według woli robić... Lubku, Michałku, pójdę ja sobie od ciebie, na świata koniec pójdę z jednem dzieciątkiem swojem... kiedy ty mnie już nie chcesz... oj, pójdę...

Mówiąc to, kolana jego obejmowała i, czoło ku nim schylając, usta do nich pocałunkami przykładała. Ale gdy czasem głowę podniosła, to na jej twarzy, pomimo nieznurtowanego żalu, tyle malowało się szczerości i siły, że zdawać się mogło, że ot, zaraz, zaraz zerwie się z ziemi, dziecko którekolwiek w ramiona pochwyci i z chaty wybiegnie... Nie zerwała się jednak z ziemi sama, lecz podniosły ją i na ławie posadziły dwa męskie ramiona.

Ramię jej, jak w kleszczach, w ogromnych rękach swych ściskając i widocznie zmuszając się do śmiechu, kowal mówić zaczął:

— Co ty pleciesz? co ty wygadujesz? Ej, jaka durna! czysta warjatka! Z chaty ona pójdzie! na skraj świata pójdzie! Albo to ja puściłbym ciebie z chaty? Oj, prędzej rozstałbym się z tem życiem...

W mgnieniu oka u szyi jego zawisła.

— To ja tobie widać nie bardzo niemiła...

— Ty mnie tak samo miła, jak wprzódy...

Przy padającej na nich smudze bladego światła w twarze sobie zbliska popatrzali. Ona zobaczyła, że to, co powiedział, prawdą było, i oczy jej oschły z łez, zaświeciły, stały się znowu takiemi wesołemi, szczeremi i wymownemi, jak dawniej.

— Oj, ty, ty, pleciucho! czy ty myślisz, że ja łotr jaki albo rozbójnik, żeby tak już odrazu wszystkiego zapomniał i serce odmienił? Czy ty, u cudzych ludzi harując i ludzkie pośmiewisko znosząc sześć lat, na mnie nie czekała i dla mnie bogatym gospodarzem nie wzgardziła?

— Ale — szepnęła kobieta.

— Czy ja ciebie zbrudzoną wziął albo jakkolwiek upośledzoną? Czysta ty była i bez plamy nijakiej, jak ta szklanka w krynicznej wodzie wymyta, hoża ty była i wesoleńka, jak ten ptak, pod niebem latający...

— Ale...

— Siedem latek ja z tobą żył i aż póki na nas nieszczęśliwe czasy nie przyszły, jednego smutnego dnia nie przeżył, złości na twojej twarzy nie widział, złego słowa od ciebie nie słyszał...

— Ale...

— Dziatek ty mnie czworo urodziła i z pilnością hodowała, gospodarstwa strzegła i rąk nie zakładała, dostatku wszelkiego przymnażając...

— Ale...

— Nu, to widzisz! dlaczegożbym ja ciebie lubić przestał. Oj, ty głupia! z chaty ode mnie iść chciała... a jaby za tobą poszedł, dogonił i wtedyby już wybił... dalibóg, wtedy, wtedy to już byłby tobie szabasz! wybiłbym, nazad zawrócił i w chacie posadził. Siedź, babo, kiedy ci dobrze! Ot!

Wraz z ostatnim wyrazem rozległ się po izbie głośny pocałunek. W same usta ją pocałował, wpół objął i zapytał:

— Nu, teraz mów, czego dziś tak płakała, że aż oczy zapuchły? Czy znowu ci kto co przykrego zrobił? ha?

Upewniona, że lubi on ją tak jak i dawniej, z oczyma błyszczącemi od szczęścia, chwilę jeszcze wzbraniała się ze zwierzeniem. Ale stare przyzwyczajenie mówienia mu wszystkiego przemogło: ręką twarz ze wstydu zakrywając, ale już nie płacząc, opowiedziała mu swoją straszną, dzisiejszą krzywdę.

Michał z ławy się zerwał i pięścią w stół grzmotnął.

— Zabiję! — krzyknął — na śmierć łajdaków tych zabiję! Czego oni do ciebie przyczepili się, łotry te, chamy...

Chamami chłopów nazywał, jakby sam nie był chłopem... Istotnie, miał siebie za coś już nieco wyższego nad sferę, do której z urodzenia należał. Pietrusia przyczepiła mu się do ramion, błagając, aby nikogo nie bił i nawet nie zaczepiał. Z żyłą na czole nabrzmiałą i błyskawicami w oczach siadł na ławie, sapał, papierosa z porywczemi gestami rąk zapalał. Potem kłęby dymu z ust wypuszczając, mruczał jeszcze:

— Durne chamy! żeby w takie głupstwa wierzyć! ja nie wierzę, dalibóg, nie wierzę, żeby na świecie jakie wiedźmy były... Czasem i mnie przechodziło przez głowę, że to może być prawda... zwyczajnie... pomiędzy głupimi i najmędrszy człowiek czasem zgłupieje... Ale taki wiem dobrze i rozumiem, że to wszystko bajki. Ciemny naród i koniec! To swoją drogą, a bieda swoją drogą! I wstyd, wstyd mnie jak pijakowi, albo oberwańcowi jakiemu bić się z chłopami po karczmach i drogach, a i nic to nie pomoże... Durniom głupoty ich z głów nie powybijasz, żebyś nie wiem, jak bił... Co tu robić?

— Jutro przed wszystkimi wyspowiadam się i komunję przenajświętszą przyjmę — szepnęła Pietrusia.

Michał ręką machnął.

— Co to pomoże? jeden zobaczy, a drugi na odpuście

w ścisku i nie zobaczy. Kto był ze złą wolą dla ciebie i z zawiścią, ten tak i pozostanie. Zmarnujesz się w dokuczaniu ludzkiem, a jeszcze kiedykolwiek znów cię tak skrzywdzą, jak ot dziś... Niech Pan Bóg broni...

Ręką sobie mocno twarz całą przetarł, a potem nad głową włosy rozrzucać zaczął.

— Chyba zabrać się, chatę i gospodarstwo rzucić i w świat iść... — zamruczał.

— Chatę i gospodarstwo rzucić! — krzyknęła Pietrusia.

— To cóż! cóż to ważnego? — odpowiedział.

Jednak oczyma, które wilgocią zaszły, dokoła izby wodził. Miłą mu była ta chata jego, ciepła, dostatnia, wystrojona we wszystko, co do niej przez tyle czasu, jak ptak do gniazda, przynosił. Miłym też był ten poojcowski ziemi kawał, na którym po długiej żołnierskiej tułaczce z radością w duszy osiadł! Po długiej chwili milczenia szyję żony objął i zaczął:

— Żeby mnie tutaj źle było żyć, poszłaby ty za mną gdzie indziej?

— A jakże! — krzyknęła Pietrusia.

— No, to kiedy tobie tutaj źle, ja z tobą pójdę gdzie indziej. Ziemię w arendę oddam, tak jak wtedy, kiedy do wojska szedłem; a z rzemiosłem mojem cały świat choćby obejdę, a chleba ani nam, ani dziatkom naszym nie zabraknie... W miasteczku gdzie osiądę i kuć będę, a ciebie krzywdzić nie dam i jeszcze, broń Boże, bić...

Kobieta pochyliła się i ręce jego całować zaczęła.

— Jaki ty dobry, oj, jaki ty dobry... lepszego już chyba na całym świecie niema... Ja w twojej twarzy zobaczyłam i w twojej mowie posłyszałam i w całym tobie rozpoznałam, że ty taki dobry... Dlategoż ja ciebie tak i polubiła, na zawsze, aż do śmierci, że mnie już nigdy żaden człowiek inny miłym nie był, i że bez twego lubienia mnie, tak jak bez tego słońca grzejącego i bez tej wody pojącej...

Wyprostował pochyloną jej kibić i objął ją ramionami.

— Idź jutro do miasteczka, mszy świętej wysłuchaj, spowiadaj się, a po nabożeństwie do mojej siostry Hanuli, co tam za mężem, za felczerem jest, zajdź i rozpytaj się u niej, czy dobrzeby mnie było w miasteczku osiąść... Znaczy, z rzemiosłem mojem osiąść... czy tam kowala potrzebują, a jeżeli tam nie potrzebują, to ja sobie może zgodzę się w tym dworze, do którego jutro o robotę umawiać się pójdę. Wielki dwór i wielki mają tek... zawsze kowal tam był, a teraz niema, może mnie zechcą.

Chciałbym ja z tobą na odpust pojechać, ale do tego dworu trzeba... To idź ty już sobie w swoją drogę, a ja pójdę w swoją, a potem, nie bawiąc, babulę i dzieci na wóz zabierzem i hajda, w drogę! Ot, tobie i droga zamierzana. Pójdziesz ty w świat, lepszego szczęścia u ludzi szukać, tylko nie sama jedna, ale ze mną, z babulą i ze wszystkiemi dziećmi, i z moją pracą także, z której wszędzie dobry kawałek chleba wyniknie...

— Dziękuję, Michałku, oj, dziękuję tobie za wszystką twoją dobroć.. Żebym tak mogła, to zdaje się, całabym przemieniła się w dziękowanie...

VII.

W miasteczku, o sześć wiorst od Suchej Doliny odległem, przez cały ranek świąteczny nad wielkim gwarem targowego rynku biły rozgłośne dzwony kościelne. Na rynku ludzi było jak mrowia i wszelkich zwierząt mnóstwo. Sprzedawano tam i kupowano: konie, krowy, woły, cielęta, zboże, płótna, jaja i mnóstwo innych produktów małej własności. Sanie stały tam przy saniach, dotykając się szczelnie, albo nawet płozami na płozy wjeżdżając, zwierzęta i ludzie stłaczali się w ruchome kłęby, krzyk rozmów, kłótni, przekleństw, targów, rżenia koni, ryczenia bydła był ogromny, i wielka pstrocizna ubiorów i twarzy męskich i kobiecych, chłopskich, żydowskich i mało-szlacheckich.

Czterej Dziurdziowie przybyli też na targ, każdy ze swojem. Piotr i Klemens przywiedli na sprzedaż konia i krowę, Stepan dwuletniego wolika, a Szymon przywiózł parę ośmin żyta i grochu. Wszystko jedno: opiszą i sprzedadzą, lepiej mu więc było chwytać i na swoją korzyść sprzedawać, co się dało. Mnóstwo ludzi, po zmówieniu kilku pacierzy, odprawiało baby do kościoła i zostawało przy swoich saniach i towarach.

Piotr dobro swoje powierzył pieczy syna, a sam skierował się ku białemu kościołowi, z którego szczytów leciała muzyka dzwonów, a z wnętrza dochodziły chóralne śpiewy, towarzyszące procesji.

W nieobszernej kruchcie ścisk był taki, że powolny i uroczyście nastrojony chłop zaledwie zdołał przebić się do kościelnego progu i parę kroków jeszcze dalej postąpić. Tu szerokie plecy w kożuchach stanęły już nieprzepartym murem, lecz poprzez kudłate czupryny męskie i nad kobiecemi, odświętnie ustro-

jonemi głowami mignęło mu złoto niesionej pod baldachimem monstrancji, zaponsowiały pelerynki służby kościelnej, błysnęły płomyki świec, górą frunęły chorągwie. Organy grały, i kilkaset głosów chórem śpiewało.

Piotr chciał uklęknąć, ale z powodu ścisku uczynić tego nie mogąc, głowę pochylił i pięścią ściśniętą potężnie bił się w piersi.

— Ojcze niebieski, królu ziemski, odpuść nam ciężkie grzechy nasze...

Modlitewkę tę wymyślił sobie sam w porze owej, gdy go skrucha wielka za krzywdę matce wyrządzoną ogarniała, i odtąd powtarzał ją zawsze, ilekroć był już bardzo nabożnie usposobionym.

Rozpoczęła się suma. Piotr, ze schylonym nieco grzbietem, wzniósł oczy w górę i wpatrzył się w widziane ponad głowami tłumu rzeźby wielkiego ołtarza. Były to jakieś gipsowe wieńce i arabeski, nad któremi stało kilka drewnianych posągów z krzyżami, z wielkiemi księgami, z rękoma powyciąganemi groźnie, błogosławiąco lub modlitewnie. Oczy chłopa napełniły się miękkiem zamyśleniem, usta jego poruszać się przestały. Przypomniało mu się może wszystko, co kiedykolwiek, na ten sam ołtarz patrząc, przecierpiał i uprosił, skruchy i trwogi swego sumienia, choroby synów, zgryzoty wszelkie, pociechy i uspokojenia. Może też nad ołtarzem i wieńczącemi go posągami świętych, pod samem sklepieniem świątyni, szukał wzrokiem blasków tych i świetności, w jakich mętnie przedstawiało się wyobraźni jego królestwo niebieskie.

Długo tak wzrokiem po wysokościach błądził i wzdychał raz po raz.

— Ojcze niebieski, królu ziemski, opiekunie ludzi...

W bladawej twarzy jego, wzniesionych oczach i głośnym, wzdychającym szepcie wiele było tęsknoty, wdzięczności i pokory.

Wtem organy grać przestały, i w uciszonym kościele zabrzmiało donośne:

— W imię Ojca i Syna...

Rozpoczęło się kazanie.

Piotr z miejsca swego widział dokładnie na wysokiej mównicy stojącego księdza, śnieżną jego komżę i czerwoną u piersi wstęgę; chciwie słuchał słów, rozchodzących się po kościele, ale nie wszystkie czyniły na nim wrażenie jednakowe. Były takie, które w nim nie budziły żadnych uczuć ni pojęć, i takie, które

wzruszały do głębi. W długim wstępie kapłan opowiadał ludowi o dobroci Boga i złości szatana. Przy wspomnieniu o pierwszej, twarz chłopa tak wyglądała, jakby spływał na nią promień ideału. Miękła, wypogadzała się, pokrywał ją wyraz błogości i rozczulenia. Lecz gdy w powietrzu zabrzmiała nazwa szatana, gęste brwi jego zbiegały się nad oczyma, usta drgały trwożnie czy gniewnie, i poruszał się cały, tak zupełnie, jakby go ogarniała żądza splunięcia. Powściągał się przecież przez wzgląd na świętość miejsca.

Ogromny rumor kolan ludzkich, padających na cegły posadzki. Organy grają znowu. Przy ołtarzu wznosi się śpiew melodyjny i błagalny, szepty i westchnienia falami szmeru płyną. Piotr gwałtownemi ruchami łokci miejsce swe rozszerzył, na klęczki upadł, do posadzki kościelnej ustami przylgnął i głośno zaszeptał:

— Niechaj siła boska przezwycięży siłę szatana...

Wtem ktoś go mocno w łokieć trącił. Obejrzał się i zobaczył schylonego nad sobą Klemensa. Parobek szeptał mu w same ucho:

— Tatku! starszyna konia chce kupić... nie wiem sam, co zrobić...

Odtrącił syna ramieniem i znowu pochylił się nad ziemią, ale Klemens za kożuch go pociągnął.

— Chadzi, tatku, a to targ stracim...

— Skaży starszynie, żeby sam do kościoła szedł i ludziom Panu Bogu modlić się nie przeszkadzał...

Powiedział to takim tonem, że Klemens nie nalegał dłużej, przyklęknął, przeżegnał się, dwa razy ziemię pocałował i z kościoła wyszedł. Ale Piotr nie odzyskał już uprzedniego nastroju ducha. Coś go kortć i niepokoić zaczęło. Ramionami wzruszał, oglądał się, nakoniec z klęczek powstał i kilka razy jeszcze uderzywszy się w piersi, kościół opuszczał.

W kruchcie spotkał się ze Stepanem, który palce w wodzie święconej zatapiał.

— A co tam z moim koniem słychać? — z widocznym niepokojem zapytał.

— Starszyna go u Klemensa zatargował. Idzi chutko, a to targ stracisz...

Stepan także niedługo zabawił w kościele, bo jeszcze wolika swego nie był sprzedał; Szymon pomodlił się tylko przed kościelnemi drzwiami i co prędzej z pieniędzmi za żyto i groch otrzymanemi do karczmy pociągnął. Żaden z nich nie dotarł do

środka kościoła, ani tem bardziej do wielkiego ołtarza, gdzie mnóstwo ludzi spowiadało się przy konfesjonałach, a potem przed balustradą w oczekiwaniu komunji klękało.

Na godzinę przed zapadnięciem zmroku rynek targowy opróżniać się zaczął; natomiast coraz więcej sań i koni gromadziło się u wrót obszernej murowanej karczmy. Dla ludzi, którzy przez dzień cały modlili się i ziębli w kościele, ziębli także, sprzedając i kupując na rynku, koniecznością prawie było, przed puszczeniem się w drogę do domów, wejść na chwilę w ciepłe jakie ściany, ogrzać się i głód zaspokoić. Przed karczmą tedy, której brama, owalnie wykrojona i cały budynek wszerz przerzynająca, miała pozór czarnej otchłani, na placyku twardym od mrozu, śniegiem usłanym, słomą zasypanym i zamarzłemi kałużami lśniącym, stało mnóstwo sań i koni, których głowy i szyje niknęły całkiem w przywiązanych do nich worach z obrokiem.

Izba karczemna znacznie tu była większa, niż w Suchej Dolinie. W miasteczku na znaczniejszą ilość gości rachować musiano, niż w wiosce. Szczególniej w takie dni, jak dzisiejszy, zgromadzało się ich mnóstwo.

Na rozłożystym kominie palił się wielki ogień. Ludzie tu wchodzący stawali przed nim, rozgrzewali zziębłe ręce, dla rozgrzania nóg uderzali stopami o podłogę, a potem ku stołom, ściany otaczającym, idąc, zdejmowali z pleców płócienne, na sznurach zawieszone, worki. Wszyscy prawie worki takie posiadali. Znajdowała się w nich żywność, na dzień cały z domu przywieziona. Gatunek jej i ilość zależały od stopnia zamożności każdego z popasających. Jedni z woreczków swych wyjmowali tylko kawały czarnego chleba, szczypty soli i odłamy twardego sera; inni, oprócz sera i soli, mieli jeszcze słoninę, kiełbasy, jaja ugotowane na twardo. Byli tacy, którzy do jedzenia szeroko rozsiadali się na ławach, i tacy, którzy jedli, chodząc lub stojąc.

Tłum wzrastał, gwar stawał się ogłuszającym, zewsząd słychać było wołanie o wódkę, miód i piwo. Żydzi różnego wieku, rodzinę karczmarza składający, nieustannie przewijali się śród tłumu z blaszanemi półgarncówkami, kwartami, czarkami, ze szklankami z zielonego szkła, z glinianemi miskami, pełnemi kwaszonych ogórków i śledzi, któremi chłopi przekąsywali wódkę.

Znajdowali się tu mieszkańcy wielu oddzielnych wsi, ale prawie wszyscy do jednej gminy należący. Prawie wszyscy też

znali się pomiędzy sobą zbliska, albo zdaleka i zaczepiali się wzajem rozmowami o dzisiejszym targu, o poniesionych stratach lub zyskach, o różnych okolicznościach gospodarstw swych i rodzin.

W głębi izby starszyna, najwyższy urzędnik gminy, chłop niemłody, z długą rudą brodą i w czarnej baraniej czapce, po same oczy na czoło wsuniętej, dość liczną kompanję miodem częstował. W poczęstunku tym, oprócz ludzi innych, udział brało kilku mieszkańców Suchej Doliny, a pomiędzy nimi najważniejszą rolę odgrywał Piotr Dziurdzia, albowiem okazji do poczęstunku dostarczył koń przez niego starszynie sprzedany. Rozmowa też toczyła się o różnych zaletach tego konia, zaprowadziła do żywych rozpraw o koniach w ogólności i wzmagała się czasem w sprzeczki, które jednak starszyna przerywał zawsze, miodu do szklanek z blaszanego garnca dolewając i z uprzejmą powagą do biesiadników przemawiając:

— Pijcie, panowie gromada, pijcie! — na zdrowie wam! na szczęście!

Wyraz: panowie gromada, powtarzał się w jego ustach niezmiernie często. Czuł się on głową i naczelnikiem gminy, czyli gromady, i lękał się stracić najmniejszą sposobność przypomnienia o tem wszystkim. Chłopi głowami mu na podziękowanie skłaniali i zielonawe szklanki do ust nieśli.

Klemens tylko nie pił i w rozmowie udziału dotąd nie brał. Młodym był, nieżonatym jeszcze, gospodarstwa swego nie miał, z ojcem tu przybył i przez niego tylko coś znaczył. Obecność starszyny i zgromadzenie starych, poważnych gospodarzy onieśmielały go i wstrzymywały od samodzielnego przystąpienia do poczęstunku. Stanął tedy za ojcem i, z nad ramienia jego wychylając twarz swą rumianą i błękitnooką, trochę chciwie, a trochę nieśmiało, na półgarncówkę i szklanki spoglądał. Filuterne, żywe, a teraz miodem rozweselone oczy starszyny spotkały się z jego wstydliwem spojrzeniem.

— Aaaa! — zdziwił się ze śmiechem i palcem na parobka wskazał — aaa! panowie gromada! czy heto parobek jest, czy dziewczyna!

Głowę na obie strony, niby dla lepszego widzenia, przechylał.

— Patrzę, patrzę i rozpoznać nie mogę! zdaje się, że parobek, ale za plecy backa schował się jak dziewczyna i wstydzi się bardzo... Nu, pokażyś... do stołu podejdzij, a to doprawdy po myśle, że z mużczyny przemienił się w dziewczynę!...

Dowcipkowaniu temu towarzyszył chór grubych śmiechów; Piotr zaśmiał się także i syna ku stołowi popchnął.

— Nu, idzi, kiedy pan starszyna woła...

Nie tak już bardzo wstydliwym był Klemens, za jakiego poczytywał go starszyna. Usta wprawdzie dłonią zakrył, ale wesołemi oczyma wprost na dostojnika gminy patrzał.

Ten nalał pełną szklankę miodu i młodemu parobkowi ją podał.

— Pij — zawołał — kaby prędzej wąsy pod nosem wyrosły.

I, wszystkim znowu do szklanek dolewając, powtarzał:

— Pijcie, panowie gromada, pijcie!

Pili i śmieli się z Klemensa, gdy ten, na wspomnienie o wąsach, palcami powiódł po złotym puszku, który mu górną wargę osypywał, a potem głową skinął i raźnie zawołał:

— Na zdrowie, panie starszyno!

— Na zdrowie tobie! — odpowiedział starszyna, a do Piotra rzekł:

— W sołdaty nie poszedł? ha?

Piotr z jaśniejącą twarzą odpowiedział:

— A nie poszedł; kiedy na niego pora na losowanie przyszła, Jasiuk jeszcze małoletni był, a mnie już, chwała Bogu Najwyższemu, pięćdziesiąty siódmy roczek życia mego szedł. Brat mały... ojciec stary... znaczy jemu lgotę dali, i został się w chacie; niech za to Pan Bóg będzie pochwalony...

— Ot, i wykręcił się — zauważył ktoś zboku.

— Nu, szczęśliwy! — dorzucił ktoś inny.

— A szczęśliwy — powtórzył Piotr — kab tylko Pan Bóg we wszystkiem tak błogosławił...

Starszyna znowu szklankę miodu szczęśliwemu parobkowi podawał.

— Pij! — wołał — pij i pamiętaj, kto to taki ten, co ciebie trachtuje!

Chłopak zawahał się, na ojca spojrzał, ale Piotr, którego zaszczyty wszelkie zawsze przyjemnie głaskały, rad zresztą ze skromnego dotąd zachowania się syna, szturchnął go w łokieć i zachęcił.

— Pij, kiedy pan starszyna każe...

Zupełnie już ośmielony i bardzo rozweselony, Klemens nie poniósł tym razem szklanki wprost do ust, ale podniósł ją w górę z takim gestem, że aż część miodu wylała się z niej na stół, przytem sam podskoczył.

— Kaby tak koń brykał! — zawołał i dopiero szklanicę do dna wychylił.

Koncept ten podobał się otaczającym, którzy także szklanki swe nad głowy podnosząc, jedni po drugich powtarzali:

— Kaby tak koń brykał, panie starszyno, kaby tak koń brykał!

Stosowało się to do konia tego, którego dziś od Piotra kupił starszyna.

Wesoły z natury, a może i interes w tem swój mający, Anton Budrak, starosta Suchej Doliny, krzyknął na arendarza jeszcze o garniec miodu. Teraz on starszynę i całą kompanję wzajemnie poczęstuje.

Kilka głosów ozwało się:

— Nie chcemo bolsz miodu; kiedy trachtujesz, to wódki dawaj!

Budrak krzyknął o wódkę, a starszynie, który miód wolał, trunek ten do szklanki lejąc, zaczął:

— Jenteres jest taki, panie starszyno. Chcemo proces o te grunta i łąki zacząć... Kaby dawność nie zaszła... co wiecie o tem, to gadajcie... może cokolwiek nam poradzicie... Jenteres jest taki...

I choć już wiele miodu, a trochę wódki wypił, dość przytomnie jeszcze ważną dla całej wsi sprawę opowiadać zaczął. Ale Piotr przerwał mu mowę i głos przed starszyną zabrał. Maksym Budrak i trzej Łabudowie jednemu i drugiemu przerywali, z czego zrobił się wielki chaos głosów i słów. Starszyna do publicznych rozpraw był już nieco zaprawiony.

— Pokolei, panowie gromada — zawołał — pokolei hawarycie. Wprzód jeden, potem drugi, a ja będę słuchać. Ja między wami wszystkimi najwyższejszy, i wszyscy wy do mnie jak do ojca...

— Jak do ojca! — chórem wszyscy potwierdzili, a w tym momencie pijany Szymon przytoczył się ku starszynie i, w łokcie go całując, zaczął:

— Ja do was, panie starszyno, jak do ojca... gospodarstwa nie sprzedawajcie... horkaja bieda mnie i dziatkom moim...

Parę pięści wyciągnęło się i odepchnęło pijaka, który też krokiem chwiejnym polazł ku arendarzowi, mrucząc:

— Chackielku, wódki daj... kiedy Boga boisz się, jeszcze ze dwa kruczki daj... jeszcze z parę złotych mam... zapłacę.. Horkaja bieda...

Klemens, ujrzawszy, że pomiędzy starszyną i gospodarzami

zanosi się na poważną rozmowę o interesie, wysunął się z tego grona i poszedł do innego, które przed kominem składało kilkanaście kobiet. Jadły one także to, co z domów przywiozły, o targu dzisiejszym rozmawiały, sprzeczały się, lub różne swe troski wzajemnie sobie opowiadały.

Przy zbliżeniu się Klemensa, w gromadce tej wnet rozległy się piskliwe krzyki i chichoty.

Dwiema szklankami miodu rozweselony i uzuchwalony parobek znajomą jakąś mołodycę z Suchej Doliny w ramię uszczypnął, a drugiej coś takiego do ucha powiedział, że zaczerwieniła się jak piwonja i twarz ręką od niego zasłoniła. Inne, starsze, niby gniewając się, niby żartując, pięściami go odpychały i krzyczały, aby sobie do mężczyzn poszedł. Wkrótce jednak ucichły wszystkie i, wspinając się na palce nóg, jedne przez drugie patrzeć zaczęły na przedmiot, który parobek z za siermięgi wyjął i im pokazywał.

Przedmiotem tym był spory obrazek, przedstawiający jakąś świętą i oprawiony w ramki, pokryte złoconym papierem. Święta miała czerwoną szatę, złotą koronę nad głową, a w ręku trzymała błękitną palmę. Grubo nakładane jaskrawe farby obrazka i lśniąca przed ogniem pozłota ramek, wprawiły grono kobiet w pełen zdumienia zachwyt. Szeroko otwierały oczy i usta, patrzały, lubowały się i dopytywać się zaczęły, czy Klemens dla siebie śliczną i świętą rzecz kupił, czy dla kogo innego?

On wiedział dobrze dla kogo obrazek ten kupił, ale nikomu o tem nie powiedział i, zanośliwie śmiejąc się z ciekawości i chciwości, które malowały się na twarzach bab, znowu go za siermięgę schował.

Wtem z gromady gwarzącej i pijącej u okna zawołał go mały, ruchliwy, z zadartym nosem człowieczek, wpół z chłopska, a wpół już ze szlachecka ubrany, leśnik z pobliskiego dworu, który dziś u ojca jego krowę kupił.

— Klemens! — wołał — hej, Klemens! wypijno z nami. Żeby krowie zdrowo było!

Wychylił podaną mu czarkę i, w szał wesołości wpadając, ku stojącej w kącie beczce poskoczył, przechylił ją i znajdującą się w niej wodę na podłogę wylał.

— Kaby krowa tyle mleka dawała! — krzyknął.

Grzmot śmiechu zatrząsł izbą, kobiety piszczały, spódnice podnosiły i do przeciwległych kątów uciekały. Szeroki strumień wody od ściany do ściany płynął, niosąc po spadzistościach nie-

równej podłogi rzucone wprzódy na ziemię skorupki jaj, łupiny ogórków, głowy i ogony śledzi.

Klemens zniknął w wirze kilkunastu chłopów, którzy go z czarkami w rękach otoczyli; był pomiędzy nimi także i Szymon, pociągający go wciąż za rękaw i z czarką w ręku mruczący:

— Pożycz hroszy, Klemens, zmiłujsia, pożycz... choć złotówkę... wszystkie swoje już przepił... Horkaja dola mnie i dziatkom moim...

Zmrok zapadł zupełny.

Posługacze karczemni postawili na stołach, w różnych miejscach izby, trzy cienkie łojówki w mosiężnych i otłuszczonych lichtarzach.

Stepan Dziurdzia głośno do tej pory przewodził w niewielkiej jakiejś gromadce, widocznie uszczęśliwiony tem, że choć raz gdziekolwiek i komukolwiek mógł przewodzić.

Kiedy błysnęły światełka łojówek, spostrzegł on starszynę, otoczonego mieszkańcami Suchej Doliny i poważnie coś do nich prawiącego. Na bronzową, pomarszczoną twarz Stepana wybijały się rumieńce, pochodzące od żywych rozpraw, w których rej wiódł, i od wódki, którą wypił. Zaciekawiło go jednak: o czem też sąsiedzi ze starszyną rozprawiają? — i, przysunąwszy się ku grupie, którą składali, słuchać zaczął.

— Tak już trzeba, panowie gromada — prawił starszyna — inaczej nie można, bez tego już nic. Planipotentów sobie wybierzcie, żeby od was wszystkich do miasta poszli i hadwokata najęli. Pierwsza rzecz planipotentów wybrać, a druga hadwokata nająć. Całą gromadą nie będziecie do hadwokata i do sądu chodzić... Planipotenty wasze będą chodzić... którego tam dnia do starosty zejdziecie się wszyscy i naradę zróbcie: kogo wybrać, kto u was najmądrzejszy i na największe uważanie zasługuje!

Dziurdziowie, Budrakowie, Łabudowie i kilku innych przed siedzącym starszyną stali, uważnie słów jego słuchając. Gdy skończył, parę głosów ozwało się:

— Na co nam na później odkładać? My i teraz wybór zrobić możem... niechaj pan starszyna świadkiem będzie.

— Ale — potwierdzili inni — możem, czemubyśmy nie mogli.

— Nie wszyscy my tu — ktoś zaprotestował.

— Nic nie szkodzi. Co my tut postanowim, na to zgodzą się wszyscy — twierdził starosta Suchej Doliny, Antoni Budrak.

— A ile tych planipotentów trzeba? — zapytał Piotr Dziurdzia.

— Trzech — odpowiedział starszyna — więcej nie trzeba, ale trzech, to już koniecznie trzeba.

Stepan w tej chwili pociągnął Piotra za rękaw i szepnął:

— Skaży, Pietruk, żeby mnie na planipotenta wybrali...

Ale kilkanaście głosów szept jego zagłuszyło.

— Najpierwej to już starostę prosim...

Okrągła, pulchna, z konopiastym wąsem i zadartym nosem twarz Antona zajaśniała nakształt księżyca w pełni.

— Dobrze — odpowiedział — będę, czemu nie? A więcej kogo?...

Stepan już pięścią całą w bok Piotra uderzył.

— Nu, odezwij się... skaży, żeby mnie wybrali...

Oczy mu aż gorzały żądzą odznaczenia, a może i przywiązanej doń ruchliwej czynności. Ale chłopi planipotentem drugim obwoływali starego Łabudę, który, drapiąc się w łysinę, prosił, aby go od chłopotów tych uwolnili, a obciążali nimi lepiej którego z jego synów.

Najstarszy, Pilip, oświadczył sam, że nie odmówi, choć mu ciężko będzie gospodarstwo opuszczać i do miasta jeździć, ale nie odmówi.

— Niechaj budzie Pilip — zgodzili się chłopi.

— Nu, a trzeci? — zapytał starszyna.

— Trzecim niechaj będzie Pietruk Dziurdzia...

Piotr wyprostował się tak, jak niegdyś, gdy go na starostę wybierano, i z rozjaśnioną twarzą za uważanie podziękował.

Stepan znowu go pięścią w bok uderzył.

— Skaży, Pietruk, żeby na czwartego mnie obrali...

Piotr, rękę do włosów z zakłopotaniem niosąc, odezwał się jednak:

— Możeby na czwartego Stepanka wybrać?

— Nie trzeba czwartego — zakrzyczano go ze stron wszystkich — pan starszyna powiedział, że trzech trzeba, więcej nie trzeba...

— To może na moje miejsce Stepana obierzecie — zaproponował Pilip Łabuda. — I owszem — dodał — mnie ciężko będzie i nie chce się...

— Nie chcemo Stepana! — krzyknęli wszyscy — na co nam on? z drugimi planipotentami tylko kłócić się będzie... o pierwszeństwo i o wszystko...

— Jeszcze hadwokata wybije — ozwał się ktoś ze śmiechem.

Stepanowi krwiste rumieńce buchnęły do twarzy, w sam środek gromady wparł się i hałasować począł. Dowodził, że wybory nie były prawne, bo wszyscy gospodarze Suchej Doliny nie byli tu obecni, że jego na planipotenta wybrać muszą, a jeżeli nie, to on do sądu pójdzie...

Wszczęła się kłótnia, i przyszłoby pewnie do pięści, ale starszyna podniósł się z ławy i na Stepana krzyczeć zaczął, grubych wyrazów i przezwisk nie żałując. Czuł się on osobiście obrażonym.

— Co to nieprawne? — krzyczał — kiedy ja tu jestem, to wszystko prawne! a ja tu najwyższejszy i wszystko stanowić mogę... jeżeli chcę, ułaskawię, a jeżeli zechcę, do katorgi ześlę...

Stepan zmieszał się na chwilę, ale wnet potem z zawadjacką miną na arendarza o garniec wódki krzyknął i, wraz z kilku przyjaźniejszymi sobie ludźmi, opodal nieco od starszyny, zawzięcie pić zaczął.

Piotr tymczasem, trunkiem rozmarzony, spadłym nań zaszczytem rozweselony, zkolei częstował starszynę i sąsiadów.

— Dziakuju! panie starszyno! dziakuju, panowie gromada! — nieustannie powtarzał, a potem, stanąwszy przed Antonem Budrakiem, z czarką w ręku i przymrużonemi oczyma, mówił:

— Ty planipotent i ja planipotent, ty starosta i ja starosta... tak i pocałujmy sia...

Całowali się tak głośno, jakby korki z butelek wyskakiwały...

Ogólna zresztą pijatyka dosięgła w tej chwili stopnia wysokiego, ale odznaczała ją szczególność pewna. Ludzi, którzyby, tak jak Szymon Dziurdzia, upijali się na swoją rękę i bez przyczyny żadnej, było bardzo niewielu.

Ogromna większość piła nazabój, ale z powodu traktamentów i okazji, a okazją było tu wszystko: koń sprzedany, krowa kupiona, spotkanie się znajomych, pogodzenie się skłóconych, wspomnienie o ojcu, który rok temu umarł, projekt ożenienia syna, lub wydania zamąż córki. Wesołe czy smutne zdarzenie, zysk czy strata, przyjaźń czy kłótnia, nadzieja czy żałość, wszystko wywoływało traktament, po wiele razy zkolei odwzajemniany.

W izbie panował niesłychany chaos głosów, na przeróżne

tony nastrojonych i poruszeń, przeróżne stopnie i natury pijaństwa objawiających.

W jednem miejscu izby toczyła się bójka, zakończona wypchnięciem za drzwi zwyciężonych; w innem przyciskano do ściany żyda-arendarza, który krzyczał ze strachu, to znów łajał chłopów, przeraźliwie mu wymyślających; gdzie indziej dwaj parobcy, ująwszy się pod boki, do dwóch rozsierdzonych kogutów podobni, przyskakiwali do siebie, monotonnym głosem, wymawiając wciąż jedne i te same słowa.

Kilku mieszkańców Suchej Doliny, z czarkami w rękach, lazło całować starszynę, który, także mocno podpiły, rozparł się na ławie i tak już wielką swą czapkę głęboko na twarz nasunął, że samą prawie rudą brodę z pod niej widać było. Chłopi jednak dostawali się mu do policzków i, cmokając w nie, powtarzali:

— Ty z nas najwyższejszy, ty nad nami wszystkimi, jak ojciec...

Szymon, przeciwnie, podszedł teraz do niego z miną zawadjacką:

— Ty mnie gospodarstwa opisywać nie śmiej! — krzyczał — bo jak opiszesz, zabiję... dalibóg zabiję... choć ty starszyna, a taki zabiję... i budzie tobie szabasz!

Piotr Dziurdzia stał naprzeciw Maksyma Budraka.

— U ciebie córka — prawił — a u mnie syn... niech będzie pochwalony Pan Bóg najwyższejszy.

A Budrak jednocześnie mówił:

— U ciebie syn, a u mnie córka... Czemu niema być woli boskiej... będzie... tylko swatów przysyłaj...

— Przysyłaj! — twierdząco powtórzył Piotr.

I, podnosząc w górę wskazujący palec, z namaszczeniem zaczął znowu:

— U ciebie córka, u mnie syn... niechaj, jak toj kazau, boska siła przezwycięży czartowską siłę...

Wtem Klemens ojca za rękaw kożucha pociągnął:

— Jedziom do chaty, tatku — cienkim, proszącym tonem zapiszczał.

Był także pijany, ale jeszcze dość przytomny. Zachciało mu się wracać do domu, aby co prędzej Nastce obrazek oddać.

Piotr spojrzał na syna zdziwionemi jakby oczyma i z gniewem krzyknął:

— A ty chory był! tylko co nie umarł! Czartowskaja siła chorobę tę tobie robiła...

Klemens splunął.

— Kab ona świata nie widziała, ta, co mnie tej biedy narobiła! Jedziom do chaty, tatku!

I za rękaw od kożucha ciągnął ku drzwiom ojca, który, dając się powodować synowi, na Maksyma oglądał się i krzyczał:

— Pamiętaj, Maksym! u ciebie córka, u mnie syn... Niechaj przed królestwem niebieskiem przepadnie czartowskie królestwo...

Przy samym progu ojciec i syn natknęli się na Szymona.

— A ty czego tu jeszcze łajdaczysz! — krzyknął na krewnego Piotr — do chaty tobie... a to ostatnią kopiejkę przepijesz...

— Już i przepił... — wnet prawić zaczął Szymon — już to, co za żyto i groch wziął, do ostatniej kopiejki przepił... już i szabasz mnie i dziatkom moim...

Wychodząc, Piotr i Klemens wypchnęli sobą Szymona naprzód do sieni, a potem na placyk, zapełniony jeszcze chłopskiemi saniami i końmi, choć część pewna biesiadujących rozjechała się już przedtem.

Tu zobaczyli Stepana, który z szyi konia swego worek zdejmował i zabierał się do odjazdu.

— Hej, dziadźku! — krzyknął Klemens — poczekaj, razem pojedziem...

Stepan miał pijaństwo ponure i złośliwe; za całą odpowiedź zaklął przez zęby, a potem do Piotra krzyknął:

— Taki, szelmo ty, ja planipotentem będę... słyszysz?

— A ty nie łaj się... bo niema za co... niechaj będzie pochwalony Pan Bóg najwyższejszy, na wieki wiekou... — odpowiedział Piotr.

Szymon lazł także do sań swoich, mrucząc:

— Nie dała... szelma wiedźma hroszy nie dała... kab ona tego świata nie oglądała... a teraz tobie i dziatkom twoim szabasz!

Troje sań Dziurdziów, z których pierwsze zajmowali Piotr z Klemensem, jednocześnie od karczmy odjechało i, drobnym truchtem chłopskich koni przesunąwszy się przez miasteczko, znalazło się wkrótce pośród śniegiem usłanych pól.

Zimno! Mróz nie duży, dziesięć stopni może, nie więcej ale wiatr silny dmie i z ziemi podnosi tumany śniegu. Zgóry

też śnieg pada, drobniutki jak pył, twardy i gęsty. Księżyc świeci, ale nie widać go za białemi chmurami, które ociągnęły całe sklepienie nieba, i choć noc ciemną nie jest, mało co widzieć można przez tę mgłę śnieżną, która pada z góry i podnosi się z nad ziemi. Wiatr ją skręca w kłęby, lub wielkiemi płachtami rozpościera w powietrzu, a światło księżyca z za białych obłoków przenika ruchome jej wnętrze białą światłością, która nie oświeca nic.

Sześć wiorst tylko dzieliło miasteczko od Suchej Doliny, i cała prawie prowadząca doń droga wysadzona była drzewami. W śnieżnej mgle drzewa te szarzały nakształt błądzących po polu widm, ale Dziurdziowie rozpoznawali je kiedy niekiedy i, zacinając konie, coraz więcej przestrzeni za sobą pozostawiali. Żaden z nich nie spał.

Piotr czasem z akcentem nabożeństwa wzdychał, lub coś szeptał; Klemens kilka razy gwizdać zaczynał; Stepan konia swego głosem ponurym do pośpiechu zachęcał; Szymon, na saniach swych leżąc prawie, stał się dziwnie rozmownym i krzykliwym.

Szumiący i gwiżdżący wiatr słowa jego zagłuszał, on jednak nie dbając o to, czy jest przez kogo słuchany, wykrzykiwał, komuś odgrażał się, na coś żalił się i kogoś przeklinał.

Nagle Klemens zawołał:

— Ot, i Prohorki!

Taką nazwę nosiło wzgórze, obrosłe dębowym i brzozowym lasem, a o półtory wiorsty może oddalone od wysokiego krzyża, od którego już krótki tylko i prosty kawałek drogi do Suchej Doliny wiódł.

Stąd już przestrzeń dwóch zaledwie wiorst rozdzielała ich ode wsi, ale tu także znikały drzewa przydrożne, a otwierała się gładka równina, wzdęta tylko przed samym już krzyżem kilku niskiemi pagórkami, których w śnieżnej zamieci zupełnie widać nie było.

Minęli Prohorki i nic już przed sobą nie widzieli. Biało i biało: na niebie, ziemi i w powietrzu.

Śnieg i śnieg wszędzie, ani drzewa, ani wiorstowego słupa, ani żadnego wzgórza.

Klemens skręcił lejcami na lewo. Sanie zaryły się zrazu w śniegu.

— Gdzie ty pojechał? — zaszemrał Piotr.

— Dobrze, tatku, tak trzeba — odparł parobek i raźnie zagwizdał.

W gruncie rzeczy, gdyby go kto zapytał, dlaczego zawrócił na lewo, kiedy od Prohorek do Suchej Doliny droga wyciągała się prosto jak struna, nie umiałby odpowiedzieć. Był pewnym, że wcale nie zawracał i w potrzebie uroczyścieby to zaprzysiągł.

Tamci dwaj nie kierowali wcale końmi swemi. Obaj nawznak na saniach leżeli: Stepan, ponuro milcząc i jakby wsłuchując się w szmery wiatru, Szymon — wciąż gadając i wykrzykując.

Jechali. Konie czasem tonęły w śniegu i wydostawały się zeń z trudnością; czasem na gładszej przestrzeni biegły sobie truchcikiem; czasem też pod płozami sań czuć było zagony, które wiatr gołocił. Nie drogą jechali, ale polem, i nie zwracali na to żadnej uwagi, dopóki znowu nie zamajaczały przed ich oczyma wzgórze i las Prohorek.

— A toż co? — zawołał Klemens — znów Prohorki?

— Aaa! po jakiemu ty jedziesz? — zadziwił się Piotr.

Wyrwał lejce z rąk syna i, chcąc uczynić całkiem przeciwnie temu, jak uczynił tamten, konia na prawo skręcił.

— Nie tak! — z sań swoich krzyknął Stepan.

— Tak! nibójś, tak — odkrzyknął mu Piotr i jechał znowu dopóty, dopóki koń Piotra nie zagłębił się po kolana w jakimś rowie.

— Aaa! — zdziwił się chłop — taki znów nie tak pojechali!

I z niewielką trudnością, wołaniem i ściąganiem lejców wyrwawszy z rowu tęgiego konika, zawrócił nazad. Dwoje sań innych zawróciło także, ale w ten sposób, że Szymon teraz znalazł się na przedzie.

Jechali i jechali, aż znowu Stepan z sań swoich do Piotra krzyknął:

— Znów Prohorki!

— Pfu! zgiń, przepadnij, nieczysta siło! — splunął Piotr i na Szymona zawołał:

— Skręć nazad!

— Naszto mnie nazad, kiedy tak dobrze! — odpowiedział nowy przewodnik.

— Może i dobrze! czy ja wiem — mruknął Potr.

Klemens trząść się zaczął i dzwonić zębami.

— Tatku — odezwał się — mnie zdaje się, że znów ta choroba mnie bierze!

Choroba go nie brała, ale nieprzyzwyczajonego jeszcze do trunków głowa od upicia się boleć zaczęła, a wicher przeniknął kożuch i chłodem wdzierał się aż do szpiku kości.

Piotr splunął znowu i szeptać zaczął:

— Panie niebieski, królu ziemski, zlituj się nad nami grzesznymi!...

— Zawracaj! — krzyczał teraz na Szymona Stepan — zawracaj, Szymon! Nie widzisz, że nad staw pojechali?

Rozpoznał śród śnieżycy cienie drzew, rosnących nad brzegiem stawu. Potężny głos jego przebił się przez szum wiatru i dosięgnął uszu Piotra, który wnet konia zawrócił. Za nim zawrócili się dwaj inni.

Godzina przeszło upłynęła, odkąd wpół tylko przytomni i śnieżną zamiecią oślepiani, krążyli tak po równinie, zwracając się w różne strony i nie mogąc trafić na drogę, którą po razy wiele w różnych już punktach wszerz przejechali.

— Czort tuman w oczy puszcza! — odezwał się Piotr.

— Ale — potwierdził Klemens, coraz więcej trzęsąc się od zimna.

Stepan do siebie zamruczał:

— Przyjdzie się człowiekowi jak psu zmarznąć.

A po chwili dodał:

— Jakby mnie nie stało, to ta niehodna ze wszystkiemby już Kaziuka zamęczyła...

I westchnął.

A Szymon na swoich saniach lamentował:

— Oj, horkaja, horkaja dola mnie i dziatkom moim!

Wtem Klemens podniósł się trochę na saniach i tonem wielkiego przestrachu krzyknął:

— Znów Pryhorki!...

Piotr podniósł się także i wzrok wytężył.

— A jakże! Pryhorki — potwierdził. — Czort wodzi, taki już nie inaczej... Czort uwziął się dziś na nas, tuman w oczy rzuca i wodzi...

— Po jednem miejscu wodzi... — zauważył Klemens.

— Ale, po jednem miejscu. Czort, nie inaczej... złaź z sań!...

Wysiadł z sań i syna wołał:

— Budziem drogi szukać...

Wysiedli obaj, a nadjeżdżające sanie Stepana z temi, które

się zatrzymały, zetknęły się tak blisko, że płozami zaczepiły się o ich płozy.

— Chadziom drogi szukać!... — krzyknął Piotr do Stepana i Szymona.

Wszyscy czterej brnąc w śniegu postąpili kroków kilka, wtem Klemens zawołał:

— Baczysz, tatku, baczysz?

Rękę wyciągnął do szarzejącego, ruchomego cienia, który teraz właśnie wychylił się z za lasu Prohorek i dość zbliska, powoli, przesuwał się w śnieżnej mgle.

— W Imię Ojca i Syna... — przeżegnał się Piotr — zgiń, przepadnij, nieczysta siło...

Stepan, najodważniejszy, parę kroków jeszcze naprzód postąpił.

— Czort, czy baba? — wahającym się głosem wymówił.

— Baba... — zaczął Szymon — szelma baba, hroszy nie dała, wiedźma ta... ja jej tak jak matki prosił... Oho! poczekaj!

I puścił się naprzód. Po paru sekundach całą siłą swych pijanych nóg ku zarytym w śniegu saniom powracał. Przypadł do swoich sań i, sapiąc, klnąc, wyciągać z nich zaczął jeden z poprzecznych drągów, skadających siedzenie i przykrytych słomą.

— Ona sama — bełkotał — wiedźma ta... czortowa przyjaciółka... kowalicha proklataja... hroszy nie dała, a po nocy ludzi na zmarznięcie wodzi...

— Ona! znów ona! — krzyknął Piotr i także poprzeczny drąg z sań wyciągać zaczął.

— Niechaj czartowska przepadnie przed boską siłą... niechaj boska siła przezwycięży czartowską siłę... Pohana dusza jej... synka mnie zgubić chciała, a teraz znów na polu zamrozić... niedoczekanie jej...

— Czego ona do naszej familji przyczepiła się i prześladuje! — krzyknął Klemens. — Czy to już moja młodzieńka głowa przepadać ma przez nią?...

Stepan tchu z ust nie wypuszczał, ale także poprzecznicę z wozu wyciągnął...

W napełniających świat białych ciemnościach twarze ich niewidzialne były, ale z groźnych sapań ich piersi, z ponurych mruczeń i pijanych wykrzyków bił wzbierający wulkan namiętności najsroższych: trwogi i zemsty.

Minuta upłynęła, a w mgle śniegowej o kilkanaście kroków od trojga skupionych z sobą sań zaciemniała szamocząca się

gromadka ludzi, i wzniosły się krzyki i jęki straszne, które jednak wicher zagłuszył swym szumem i wraz z pogwizdami swemi niósł na szerokie, zawieją huczące pola...

Pięć minut upłynęło, a wielka fala wiatru, rozsuwając na chwilę mgłę śnieżną, ukazała drogę, jak struna prosto wyciągającą się w przestrzeni, na tej zaś drodze troje sań, na których siedzieli czterej chłopi.

Czartowską moc zniszczyli i drogę znaleźli. Konie zacięli, przeciągłemi głosy na nie zawołali, szybko posunęli się gładkim szlakiem drogi i w gęstych znowu zamieciach śnieżnych zniknęli.

Za nimi Pietrusia, żona Michała kowala, nieruchomą plamą ciemniała na białej ziemi. Kijami połamali jej piersi i żebra młodą twarz okrwawili i ofiarę swą zostawili na pustem polu, na szerokiem polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukom na strawę.

ZAKOŃCZENIE.

W sali sądowej gorąco od ścisku i świateł. Od długich rozpraw i późnej godziny nocnej ciężkie znużenie napełnia powietrze.

Drzwi szczelnie zamknięte i pilnie strzeżone otwierają się nakoniec. Z głuchym szmerem powstaje z miejsc swych publiczność; obwinieni podnoszą się także w swej ławie. Długim szeregiem sędziowie przysięgli opuszczają miejsce swych obrad; jeden z nich, w postawie pełnej powagi, donośnym głosem odczytuje cztery pytania, z których każde stosuje się do jednego z obwinionych, a zakończone być ma odpowiedzią bardzo krótką; winien, nie winien.

Cztery razy w głębokiej ciszy po rzęsiście oświetlonej i tłumem ludzi napełnionej sali donośnie rozbrzmiewa wyraz:

— Winien, winien, winien, winien.

Po krótkiej przerwie głos inny donośnie ogłasza wyrok:

— Piotr, Stepan, Szymon i Klemens Dziurdzia skazani na pozbawienie wszelkich praw stanu, dziesięć lat ciężkich robót w kopalniach i dośmiertne pozostanie w Syberji.

Skazańcy słuchali, słuchali. Głos ogłaszającego wyrok umilkł... Stało się. Po bladej jak chusta twarzy Piotra jedna za drugą ciekły łzy, ciche, ciężkie, a ręce jego podnosiły się zwolna i splatały u piersi.

— Panie niebieski, królu ziemski, niech budzie wola twoja jak w niebiesiech, tak i na ziemi — wymówił głośno, wyraźnie i zapatrzył się w górę.

Stepan ani drgnął, tylko na zmiętą w tysiąc zmarszczek twarz jego spadł krwisty rumieniec, a z czarnych oczu strzeliła rozpaczliwa i zarazem groźna błyskawica.

Szymon pozostał jak był: z obwisłemi rękoma, twardemi usty i mokrym, osłupiałym wzrokiem. Zdawać się mogło, że wszystko na świecie było już mu obojętnem, albo, że nawet nie rozumiał wcale, czem odtąd miała mu być przyszłość.

Ale za tym pijakiem i głupcem podniosły się w górę dwa silne, młodzieńcze ramiona i dwie dłonie, które nie miały jeszcze czasu stwardnieć i sczernieć w pracy, i konwulsyjnym ruchem wpiły się w gęstwinę płowych jak len włosów. Włosy swe w obie garście Klemens pochwycił i głośnym płaczem ryknął...

Potem wszyscy czterej po jednemu ławę swoją opuszczać zaczęli i powoli, ciężko stąpając, zkolei wchodzili w niskie drzwi, które otworzyły się przed nimi, a za któremi widać było boczną sień budynku, ciemnością swą odbijającą czarno od rzęsistego oświetlenia sali.

Z powodzi świateł jeden po drugim wstępowali oni w tę czarną ciemność; za ostatnim z nich zniknęli dwaj zamykający pochód zbrojni żołnierze. Niskie drzwi zamknęły się zwolna, bez szelestu...

CHAM

I.

Miał lat przeszło czterdzieści, i widać to było z kilku zmarszczek, które cienkiemi linjami przerzynały mu czoło wysokie, a wydające się jeszcze wyższem od przerzedzonych na niem włosów ciemnych i na skroni trochę siwiejących. Pomimo jednak tych zmarszczek i tej rozpoczynającej się siwizny, wyglądał czerstwo, silnie i razem poważnie.

Rybakiem był — dni całe, a czasem i część nocy spędzał na wodzie: więc słońce, wiatry i wilgotne oddechy rzeki ciemnawą i zdrową śniadością okryły mu twarz, nieco za długą i chudą, lecz rozświeconą dwojgiem oczu z bardzo błękitną i czystą źrenicą, z trochę nieruchomem, poważnem wejrzeniem. Powagę też i zamyślenie czuć było w ruchach jego wysokiej, kształtnej, silnej postaci.

Kiedy miał lat ośmnaście, ojciec ożenił go z dziewką ze wsi sąsiedniej dlatego, że gospodyni brakło w chacie. Z tą żoną swoją, łagodną i pracowitą, lecz głupowatą i brzydką, żył spokojnie i zgodnie, ale krótko, bo po latach kilku umarła, dzieci mu nie pozostawiając. Wkrótce też odumarł go stary ojciec, a kiedy jeszcze jedyną siostrę, o dwanaście lat od siebie młodszą, zamąż wydał, sam zupełnie pozostał w chacie, w końcu wsi niedużej, na wysokim brzegu Niemna, pod borkiem sosnowym stojącej.

Wołów ani koni nie posiadał i pomocników do gospodarskiej pracy nie potrzebował, bo ziemi prawie nie miał. Ojciec jego od dawnego dziedzica wsi otrzymał tę chatę ze sporym kawałkiem warzywnego ogrodu, a przeważnie żył z tkactwa, które przez czas jakiś w tej wsi kwitnęło i przynosiło niejakie zyski. Ale on z tkackiemi krosnami, z niskim sufitem i ciemnemi ścianami chaty zżyć się nie mógł. Coś go ciągnęło ku okiem niedo-

ścignionemu szlakowi rzeki, ku błękitnej ciszy jej w pogodę i śpiewnym szumom w czas burzliwy, ku powstającym nad nią co rano różowym wschodom słońca i odbijającym się w niej co wieczór bogactwom zachodu.

Lubił powietrze nieskażone, choćby upalne lub mroźne — niebo otwarte, choćby pochmurne i smutne; w dzieciństwie już czółna strugał, wędy wiązał i, gdy tylko dorósł, rybakiem został. Dawniej, wracając z rzeki, znajdował w chacie ojca żonę, siostrę, czasem sąsiadów i kumów; czasem też i do karczmy zachodził, choć w wódce nie mógł zasmakować nigdy, a w tańcach i gawędach niewielki brał udział. Teraz, od lat już kilku, chata jego była zupełnie pustą; wróciwszy do niej, sam doił krowę, którą wspólny wiejski pastuch do obórki z pastwiska mu przypędzał, sam sobie strawę warzył i, samotnie ją spożywszy, do snu się układał, aby nazajutrz w większem lub mniejszem czółnie płynąć naprzeciw wschodzącej jutrzence lub ku zachodowi pomykającym mgłom i mrokom nocnym.

Do karczmy nie chodził już nigdy i z ludźmi przestawał rzadko, oprócz siostry i szwagra, u których w zimie, gdy rzeka znajdowała się pod lodem, milcząc najczęściej, pod ścianą przesiadywał.

Nie można było powiedzieć, aby ludzi nie lubił, bo nietylko nikomu szkodzić nie chciał i kłótni z nikim nie wszczynał, ale owszem, temu i owemu przysługę jakąś nieraz oddał, w gospodarskiej pracy dopomógł, lub w dzbanku drobnych rybek przyniósł, a każdemu, kto go zaczepił, odpowiadał życzliwie i chętnie. Tylko nie szukał ludzi, nawet unikał ich nieco, jakby mu pierś i usta w długich po rzece wędrówkach przyzwyczaiły się do milczenia; ilekroć zaś mówił, głos jego był przyciszony, i słowa powoli ciekły z warg łagodnych, ale uśmiechających się bardzo rzadko. Jednak nie można go też było nazwać smutnym; przeciwnie, wydawał się spokojnym i zupełnie ze wszystkiego zadowolonym. Tylko układ ust, wejrzenie, ruchy jego posiadały wyraz zamyślenia, co mu nadawało piętno powagi i powolności. O czem myślał? Nie opowiadał nikomu, ale z błyskawiczną szybkością mknąc po zwierciedle spokojnej wody, czy zwolna pomiędzy dwiema utkwionemi w dno rzeki tykami kołysząc się na jej fali, na jutrzenki, chmury, burze, tęcze, staczające się za pas boru tarcze słoneczne patrząc, myślał.

Krąg tego myślenia był zapewne ciasny, lecz może głęboki, skoro zdawać się mogło, że człowiek ten w niem utonął, i że mu tam najlepiej.

We wsi uważano go za odmiennego od innych, ale też uczciwego i spokojnego człowieka. Gdy młodo owdowiał, powtórne małżeństwo mu doradzono, tę i ową swatano; ale on, raz i drugi na wskazywaną dziewkę spojrzawszy, głową przecząco trząsł, ręką machał i co prędzej ku rzece z wysokiego brzegu zstępował.

Przez kumę Awdocię, która i jego, i swatowstwo bardzo lubiła, pytaniami, dlaczego żenić się nie chce, oblężony, ze wzruszeniem ramion odpowiedział:

— Ot, co tam! Niebo mnie chatą, a rzeka żoną. Każdy po swojemu żyje, a jak grzechu niema, to każde życie dobre.

Z żartobliwym uśmiechem dokończył:

— A może kumie kilka kiełbików na wieczerzę przynieść?...

I popłynął.

Żadne namowy i pokusy ani do licznych kompanij go zwabić, ani do ożenienia się nakłonić nie mogły. Nie poddawał się lada jakim wpływom; miał widać wolę.

Właśnie czterdzieści dwa lata na ŚŚ. Piotra i Pawła ukończył, a w parę miesięcy potem wczesnym rankiem ku miejscu rzeki, w które wczoraj sznur z przynętą na rybę pogrążył, płynął, gdy z brzegu doszedł go przeraźliwy krzyk kobiecy:

— Jezus, Marja! ratujcie!

Ranek był wczesny; za czółnem, które mknęło po rzece, nad ciemnym borem stał jaskrawy szlak jutrzenki, już złotem wschodzącego słońca obrębiony i na powierzchnię wody, porannym wiatrem wzruszoną, rzucający rumiane smugi.

Rybak, krzyk usłyszawszy, prędko twarz ku brzegowi obrócił i najprzód ujrzał błękitną rzecz jakąś, która, przez wodę unoszona, w jednej linji z czółnem jego płynęła, a potem kobietę, która, w pobliżu brzegu powyżej kostek w wodzie stojąc, oba ramiona ku tej rzeczy płynącej, czy też ku niemu wyciągała.

Na tle zielonej góry, u której szczytu w gęstwinie drzew stała zgrabna i biała willa, w różowych światłach poranku postać jej, szczupła, zgrabna, wpół naga, z żałośnie wyciągniętemi ramionami, posiadała wydatność doskonale wypukłej rzeźby. Była ona wpół nagą, bo wysoko podniesiona spódnica nie zakrywała jej kolan, a ciemny kaftan, z zawiniętemi rękawami i szeroko otwarty, odkrywał całe prawie ramiona, szyję i część piersi, którym blaski wschodu nadawały barwę złotawą. Bardzo czarne

włosy podnosiły się bezładnie nad zgrabną jej głową i obfitemi, krótkiemi, krętemi strugami padały na plecy. Zdala widać było że z czarnych jej oczu, śród śniadej twarzy zapadłych, sypały się płomienie i płynęły łzy.

Spostrzegłszy, że rybak w stronę jej twarz obrócił, wołać zaczęła:

— Zmiłujcie się, człowieku, złapcie tę szmatę i mnie podajcie... Jeżeli Boga kochacie, złapcie... zmiłujcie się nade mną... człowieku, ratujcie!

Rzadko u niego zjawiający się uśmiech pod ciemnym wąsem rozszerzył mu usta i już z nich nie znikał. Może widok tej kobiety, która, jak żywy, gorąco wymalowany i namiętnie nakreślony punkt, zjawiła się śród porannego krajobrazu, przyjemność mu sprawił; może rozśmieszał go gwałt tak wielki, dla rzeczy tak małej podniesiony.

Płynący po fali przedmiot był istotnie małą sukienką dziecinną, która nakształt błękitnego ptaka muskała powierzchnię wody, a wiatr, niby ptasiemi skrzydłami, krótkiemi jej rękawami poruszał.

Rybak parę razy tylko silniej wiosłem o wodę uderzyć i rękę wyciągnąć potrzebował, aby lekki ten przedmiot pochwycić. Czyniąc to przecież, z czółna ku wodzie nisko pochylić się musiał, a ruchu tego dokonał gibko i zgrabnie. Ciało jego, nieskażonem powietrzem żywione i w trudach wiosła ćwiczone, zachowało smukłość i sprężystość pierwszej młodości. Zdala, w swojej szarej, krótkiej siermiędze, wysokich butach i kapeluszu z szerokiemi skrzydłami, wyglądał zupełnie młodo.

Z nieruchomym wciąż uśmiechem na ustach, trochę przyjaznym, a trochę drwiącym, do kobiety w wodzie stojącej podpłynął i mokrą błękitną szmatkę ku niej wyciągnął. Ona, z ramionami już opuszczonemi, w głośnym śmiechu białe zęby ukazując, czarne, zapadłe, palające oczy w twarzy jego utopiła. Teraz dostrzegł, że tuż za jej pogrążonemi w przezroczystej wodzie, złotawemi stopami, leżał stos lekkich, mokrych gałganków. Z niejakiem też zadziwieniem na nią patrzał. Jak mogła tak prędko z płaczu przejść w tak wesoły, aż zanoszący się śmiech? Przytem, niewiadomo dlaczego, i brała mu z ręki swoją błękitną szmatę, i nie brała, niby to dosięgnąć jej nie mogąc, to znowu z ciemnych, cienkich, giętkich palców wypuszczając. A wciąż mu w twarz patrzała i teraz nawet wejrzenie swoich palających oczy w same źrenice mu zatopiła. Spotkawszy się z tem wejrzeniem, rybak wstydliwie spojrzał w inną stronę. Rzecz była

osobliwa: dziewczyna z zalotnością śmiałą i ciekawą patrzała na mężczyznę, a mężczyzna wstydliwie wzrok od niej odwracał — jednak uśmiech z ust mu nie znikał.

Nie na nią, ale na coraz błękitniejsze fale rzeki patrząc, przemówił:

— No, bierzcie już swoją szmatę; mnie płynąć trzeba. Było czego tak lamentować! Myślałby kto, że Bóg wie, jakie nieszczęście wam się zdarzyło!

— Aha! czego było lamentować — ze szczególnem połączeniem nadąsania i filuterności zawołała ona — byłaby mnie bieda, gdyby ten gałganek, broń Boże, zginął. Już trzy dni, jak mnie pani spokojności nie daje z tem praniem dziecięcych rzeczy... Wczoraj w wieczór wyprałam, a dziś dlatego wstałam tak raniutko, aby je w rzece wypłókać. Aż tu masz! jeden wziął i popłynął!

W czółnie, na wąskiej ławce siedząc, słuchał jej mowy szybkiej, żywej, w której wyrazy zdawały się ścigać i tłoczyć ze sobą.

Powiedział, że dalej płynąć musi, jednak nie odpływał. Nie patrzał na nią, ale widać było, że słuchał pilnie jej cienkiego i trochę ostrego głosu.

— A kto wy taka? — zapytał.

— Ja?

Ku szczytowi góry i bielejącej nad nim willi ręką wskazała.

— U tych państwa, którzy tu na lato przyjechali, w obowiązku jestem, pokojówką... Wzięli mnie zimą, i do końca lata jeszcze wybędę u nich... a jak jesienią do miasta wrócę, odprawię się... dłużej, jak do jesieni nie chcę...

— A czemuż to? czy bardzo łają? — z uśmiechem przerwał.

Wyprostowała się, rumieńcem nagle oblana i z rozbłysłemi oczyma.

— Oho! niechby tylko spróbowali! Na łajanie jest odłajanie! Ja nie taka, abym sobie ubliżać pozwalała! Ojciec mój w kancelarji służył, z dobrej familji pochodzę, niechby mię kto złem słowem skrzywdził, takbym jemu parsknęła, że i dziesięć latby pamiętał. A choćby i do sądu... bywałam ja i w sądach! Nie zlęknę się!

Teraz ze zdziwieniem i prawie przerażeniem na nią patrzał, ale wnet znowu wzrok odwrócił, bo z rumieńców tej kobiety i błysków jej oczu żar na niego padał.

— To i czegoż odprawiać się? — zapytał.

— Czego? Ot, tak sobie! Już ja nigdzie długo wybyć nie mogę. Żeby nie wiem jaka dobra służba była, na jednem miejscu znudzę się zawsze i adie! Na Berdyczów drobnemi literami do mnie pisujcie! Taka już moja natura! Ale ja bardzo wiedziećbym chciała, kto wy taki?

— Kto ja taki? Ot, ciekawość! Robak...

Z zamyśleniem uśmiechał się; ona głośno zachichotała.

— Niema czego śmiać się — mówił zwolna — człowiek a robak — mała różnica! robaka ryba je, a człowieka ziemia. Czy pan, czy chłop, czy król, czy parobek, każdego ziemia zjeść musi, jak ryba robaka. Ot, co!

Słuchała ciekawie z trochę otwartemi usty, a gdy umilkł, zauważyła:

—Rozumnie gadacie, ale smutno. Co tam o śmierci myśleć, kiedy i żyć czasem dobrze... nie zawsze, ale czasem... dobrze! A czemże zajmujecie się?

— Ryby łapię.

— A gdzież mieszkacie?

Wymienił nazwę wsi, w której mieszkał.

— Włościanin? — z niejakiem wahaniem w głosie zapytała.

Potwierdzająco głową skinął.

— Patrzajcie, moi państwo! Jak żyję, tak długo z żadnym włościaninem nie rozmawiałam! A czemuż gadacie nie po chłopsku?

— A czemuż mnie nie gadać tak samo, jak wy... kiedy umiem?

— Patrzajcie, moi państwo! Włościanin, a taki grzeczny, rozumny! A wiecie, że zbliska wyglądacie daleko starzej, niż zdaleka? Kiedyście na środku rzeki byli, myślałam, że to jakiś młody chłopiec płynie, a teraz widzę, że wam już pewno i ze czterdzieści lat będzie.

Dziwiła się, chichotała, rękoma poruszała, to jedną, to drugą zkolei stopą wyrzucała małe fontanny wody; jak iskra drgająca, mieniła się przed nim złotawością swego ciała, kruczą czarnością włosów, płomiennością oczu, białością zębów.

— To nic — dodała — choć i czterdzieści lat macie, przystojny z was mężczyzna.

A mówiąc to, głosu nie zniżyła ani powiek nie opuściła; owszem, ciemną, giętką, wilgotną rękę o dziób czółna jego oparła, jakby zbliżyć się do niego, lub go przy sobie zatrzymać

pragnęła. Ale on i przestał już wstydliwie wzrok od niej odwracać. Z otwartemi trochę usty zapatrzył się w nią, jak w tęczę.

Ona także zbliska mniej młodo wyglądała, niż zdaleka. Twarz jej ze szczupłemi i ładnie zakreślonemi rysami przywiędła była i zmięta, cera niezdrowa, wielkie oczy głęboko zapadłe pod czołem, na którem nici kruczych włosów krzyżowały się z kilku cienkiemi też, jak włosy, rysami zmarszczek. Miała najpewniej lat trzydzieści parę, które też, znać było, ani po różach jej nie przechodziły, ani kąpały się w kryształach. Tylko była w niej żywość, gibkość, ognistość płomyka i w oczach, ruchach, uśmiechach, w zmiętej nawet cerze coś takiego, co wzrok przykuwało i ku niej ciągnęło.

Było też w niej szczególne, ale uderzające połączenie cech, napozór zupełnie sprzecznych: wezbranej siły ciała i jego niezdrowia, rozhasanej prawie swawoli i dręczącego cierpienia. Gdy zaciskała czasem drobne wargi, a oczy jej ponury przybierały wyraz, możnaby myśleć, że wnętrzem jej wstrząsa spazm bólu czy złości.

— I nie nudno wam ciągle pływać i ryby łapać? — rękę o dziób czółna opierając, zapytała.

— Gdzie tam nudno! dobrze! — odpowiedział.

— Weźcie mnie kiedy z sobą na rzekę... ot, tak, na godzinkę, na dwie... nigdy nie zdarzyło się tak długo pływać, a zawsze jakaś straszna bierze mnie ciekawość tego, co jeszcze nigdy nie zdarzyło się... Żebyście wiedzieli, jak mnie tu nudno... nudno... nudno!...

— A czegoż tak nudno? Robotę pewno macie...

— Żeby nie! Robotą tylko tu i żyj! Ja u państwa jedna, a kucharka druga, więcej nikogo niema; ani furmana, ani lokaja nie trzymają. Pan stary, ciągle książki czyta; pani ze złości, że pan stary, czepia się tylko do wszystkiego i jak sroka skrzeczy: wszystko jej źle, niezgrabnie, to za prędko, to za pomału, to za zimno, to za gorąco... Dziecisków aż troje, i nieznośne takie, że niech Pan Bóg broni! Goście prawie nie bywają. Ot, tylko jak ten koń w dreptaku, od rana do wieczora kręć się i kręć się, a ciągle to samo... dobrego słowa nawet nie posłyszysz, ludzkiej twarzy nie zobaczysz... żeby tę wieś djabli wzięli! w mieście lepiej!

Słuchał uważnie, potem poważną i powolną swoją mową odpowiedział:

— E! niema czego wsi przeklinać! Dobremu wszędzie dobrze, a złemu źle...

Zapłonęła właściwym sobie, krwistym i szybko znikającym rumieńcem.

— Znaczy, że ja zła?

Aż zatrzęsła się cała i, w wodę spluwając, do siebie wyrzekła:

— Ot, cham!

Nie słyszał, albo też słowa jej wcale go nie obeszły; ręką powoli skinął:

— Ej, nie! A skąd mnie wiedzieć, czy wy zła, czy dobra? Tak sobie powiedziałem!... A kiedy chcecie, żebym po was przypłynął?

W zaciśniętych jej wargach i ponurem wejrzeniu dostrzegł ów kurcz bólu czy złości, który ją okrywał niedającym się w słowa ująć wyrazem cierpienia; żal mu się jej zrobiło. Oprócz powagi i zamyślenia, w przezroczystych jego oczach bywała też czasem i głębia litości.

— Wszyscy na świecie jedni drugich jedzą, niedziwno, że i was licho jakieś je... czy ja wiem, jakie? Jeżeli chcecie, powożę was trochę dla wesołości po rzece. Czemu nie? Czółna mi od tego nie ubędzie! Którego dnia po was przypłynąć?

— W niedzielę, oj, bądźcie łaskawi, w niedzielę przypłyńcie!... Państwo z dziećmi do miasta pojadą, a ja samiutka w domu, tylko z kucharką zostanę... Oj, jaki z was dobry człowiek! Niech wam Pan Bóg nagrodzi! Toż będę bawić się! No! nie spodziewałam się, że na tej pustyni dziś taką miłą znajomość zrobię!

Pochwały jej pochlebiały mu widocznie i może dla innej jeszcze przyczyny przyjemność mu sprawiały, bo uśmiechał się coraz szerzej i cały przeradzać się zdawał w jej szybko po smutku i gniewie odrodzonej, gadatliwej, śmiejącej się wesołości.

— W niedzielę przypłyńcie... dziś co? środa! Aj! Cztery dni jeszcze! No, cóż robić? Na co dobrego i poczekać dobrze. Otóż sobie na Niemnie pohulamy! A teraz bywajcie zdrowi, do widzenia, bo w nogi już strasznie zimno!

— Ej, woda ciepła! nie kapryście! — zażartował.

— Ej, nie! nogi skostniały, i do domu lecieć trzeba samowar nastawić, bo jak obudzą się, a samowara na stole nie będzie, krechtać, jak sroki, zaczną. Do widzenia. Dziękuję.

Stopy jej, jak ryby, plusnęły w wodzie, dwa skoki uczy-

niła i, na piaszczystem wybrzeżu schylona, stos lekkich gałganków z wody wyjmowała.

On wiosłem zlekka wodę zagarniał i bardzo powoli odpływał. Znacznie już jednak od brzegu odpłynął, kiedy za sobą usłyszał wołanie:

— Poczekajcie, człowieku, hej! poczekajcie!

Obejrzał się: czółno stanęło na fali. Cała w blasku słońca, którego tarcza w pełni już na krawędzi nieba jaśniała, stała ona z więcej jeszcze, niż wprzódy, rozrzuconemi włosami, ze zwojem mokrych gałganków w rękach i ku niemu wołała:

— A jak nazywacie się? jak nazywacie się?

— Paweł Kobycki! — odkrzyknął.

— A ja Franciszka Chomcówna! — zawołała jeszcze i pędem po zroszonej trawie puściła się ku szczytowi góry.

Pośrodku góry stanęła, za pomykającym już wdali czółnem spojrzenie rzuciła, z za warg jej bladawych, przywiędłych, błysnęły białe zęby.

— Przystojny cham! choć nie tak już młody; ale przystojny i jakiś taki miły... miły!...

Głowę pochyliła, palcami mokre gałganki skubała, zamyśliła się.

W niedzielę ani na chwilę nie opuszczała okna kuchni, z którego Niemen widzieć było można. Przez ubiegłe dni cztery bardziej jeszcze zmizerniała, i powieki jej pociemniały. Obuta w cienkie i zgrabne trzewiki, w wykrochmalonej sukni z jasnego perkalu, w jedwabnej żółtawej chusteczce, na gładko dziś uczesanych, lecz tak jak i wówczas rozpuszczonych, niedługich włosach, siedziała u okna, nieruchoma, w rzekę zapatrzona, z zaciśniętemi wargami, oniemiała.

W willi było pusto i cicho. Stara kucharka daremnie dziś, krzątając się po kuchni, towarzyszkę do rozmowy wzywała; więc, objad zjadłszy i twarz chustką od much osłoniwszy, usnęła.

Franka nie jadła nic; wypiła zrana szklankę herbaty, a gdy do obiadu przyszło, parę razy łyżkę do ust podniósłszy, z brzękiem na talerz ją rzuciła i znowu przy oknie usiadła. Widać było, że jadło dziś jej przez gardło przejść nie mogło. Im więcej upływało godzin, tem większe ogarniało ją zniecierpliwienie.

Stopą o ziemię uderzała; śród ponurej jej twarzy białe zęby błysnęły parę razy w szyderskim, wzgardliwym uśmiechu.

— Nie przyjedzie, może i nie przyjedzie! głupiec! chamisko!

Nagle zatrzęsła się od stóp do głowy, ze stołka się porwała i, krzyknąwszy:

— Jedzie! dalibóg jedzie! — jak szalona z willi wypadła, jak ptak z zielonej góry zleciała i na piaszczystem wybrzeżu krwista, zarumieniona, rękoma ku nadpływającemu czółnu trzepocząc, wołała:

— Dobry wieczór! dobry wieczór! A czemu tak późno? Myślałam, że pan Paweł obietnicy nie dotrzyma i wcale już nie przyjedzie. Czy to pięknie, żebym ja na pana tak długo czekała? Czemu tak późno?

Widać było po niej, że za rozrywką i zabawą, za wrażeniem, wywieranem na nią przez człowieka, który się jej podobał, na koniec świata polecieć byłaby zdolna, że brak ich o chwilowe przynajmniej szaleństwo mógł ją przyprawiać.

Popłynęli.

Z początku lękała się wody, z którą oswojona nie była, i za każdem zakołysaniem się czółna wydawała piskliwe krzyki, chwytała towarzysza za ramiona i odzież. Jego to rozśmieszało. Nie pomyślał o tem nigdy, aby ktokolwiek mógł na wodzie doświadczać jakiejkolwiek trwogi. Przytem, gdy ze strachu krzyczała, wyginała się w obie strony, ręce wyciągała, stawała się podobną trochę do elastycznej i miaucżącej kotki, a trochę do przelękłego dziecka. Więc, poważnemi upewnieniami o braku niebezpieczeństwa uspokoić ją usiłując, zaśmiał się też tak głośno i serdecznie, jak mu się to może kilka razy w życiu zaledwie zdarzyło. Ale i ona, widząc, że czółno, pomimo kołysania się, wcale nie wywraca, uspokoiła się wkrótce i wybornie bawić się zaczęła.

Woda była cicha, błękitna, od staczającego się ku zachodowi słońca blado pozłocona, okryta niezliczonem mnóstwem drobnych zmarszczek, które płynęły wciąż jedna za drugą, jednostajnie, bez szelestu, czasem tylko perląc się białemi kroplami lub drobnemi ognikami pobłyskując.

Nad brzegiem czółna schylona, Franka swawolnie w ciemną, małą rękę łowiła te ukazujące się na wodzie perły i ogniki, a potem ciekawie i z przyjemnością przypatrywała się wyciekającym z jej palców strugom roztopionego kryształu.

— Aj-ej! — zawołała — żeby to znizać i zrobić z tego paciorki na szyję i kolczyki! Jedna moja pani miała takie paciorki i kolczyki... mówili, że z kryształu i że drogie, a mnie one tak

w guście były, że wytrzymać nie mogłam i, jak tylko pani z domu wychodziła, a mnie do jakiej kompanji zaproszono, zawsze je na siebie kładłam...

— To źle robiliście — zauważył Paweł.

— Ot, nie ukradłam ich przecież, a nawet nie ugryzłam... Przyjdę, bywało, do domu, zdejmę, na miejscu położę, i znaku niema, że brałam.

— To co? zawsze ruszaliście cudzą własność, a Pan Bóg tego robić zabronił. Jabym i wstydził się cokolwiek cudzego poruszyć.

Filuternie na niego patrząc, pełną garść wody nabrała, w twarz mu ją rzuciła i śmiechem parsknęła.

— Oj, oj, jaki srogi!

Nie mógł wcale przy tej dziewczynie powagi swej utrzymać. Twarz rękawem siermiężnego surduta ocierając, zaśmiał się znowu.

— Czyste dziecko! Oj, żeby was! aż mnie dziw bierze, że taka, jak wy, jest na świecie!

Ona zadziwiła się w tej chwili nad ogromną kępą rozłożonych na wodzie liści, nad któremi strzelały żółte i białe kielichy lilij wodnych, i zawrotnie latało nieprzeliczone mnóstwo małych jaskółek. Każdą z tych lotnych postaci podwajało odzwierciedlenie jej w wodzie.

— Oj, co ich jest! co ich tu jest, tych ptaków!

Więcej jeszcze wychyliwszy się z czółna, zerwała żółtą lilję i mokrą jej łodygę do stanika przymocowała.

— Pachnie! — z przyjemnością zauważyła i wnet, palcem jakiś punkt rzeki wskazując, zawołała:

— A to co?

Był to zapewne wielki szczupak, może sum, który, gwałtownie rzuciwszy się nad wodę, wnet ukrył się pod nią, na powierzchni jej pozostawiając szerokie, wzburzone kręgi.

— Aha! ty tu! — na wzburzony punkt wody patrząc, uśmiechnął się Paweł - niedługie panowanie twoje. Jutro cię złapię.

Pokazywał jej potem zkolei skrzynię, do połowy stojącą w wodzie, w której przechowywał drobne, na przynętę złowione ryby, a do której wnętrza przez podziurawione boki napływała woda, rybie do życia potrzebna. Drugą taką skrzynię, tylko daleko większa, do zachowywania w świeżości połowów, na sprzedaż przeznaczonych, posiadał w bliskości chaty swojej.

Z wielkiem zajęciem wypytywać go zaczęła, gdzie towar

swój sprzedaje i ile ma zarobku; a gdy chętnie i ze zwyczajnym spokojem wszystko, o czem wiedzieć chciała, powiedział, wargi zacisnęła i głową ponuro zatrzęsła.

— Dobrze wam — westchnęła — chatę swoją macie i zarobek niezły... jak pan żyć sobie możecie. To wcale co innego niż całe życie włóczyć się ze służby na służbę, cudze kąty wycierać, od ludzkich kaprysów zależeć i ludzkie złości znosić... Bywa czasem, że człowiek zabawi się i przyjemności jakiej doświadczy, ale zawsze niech takie życie djabli wezmą... podłe!

— Wołoczaszcze życie! liche życie! — patrząc na nią i głową kiwając, przemówił Paweł.

Znowu żal mu się jej zrobiło.

— Może chcecie wysiąść trochę i po tej wyspie pochodzić? — zapytał.

Zatrzepotała cała z radości.

— Oj, dobrze, dobrze! Popłyńcie do tej wyspy. Jaka śliczna wyspa! jak tu pachnie! Od czego tu tak ślicznie pachnie? Tak pachnie, że aż w głowie zawraca...

Po samym środku szerokiej rzeki, pomiędzy wysepki gliniastą ścianą z jednej strony, a ciemnym borem z drugiej, na pozłoconym błękicie wody, leżał owalny szmat piaszczystej ziemi, olbrzymią dziewanną i białemi goździkami cały porosły. Olbrzymie dziewanny na sztywnych łodygach, kosmatemi liśćmi okrytych, podnosiły wysoko ogromne, żółte kity, a spodem rosło takie mnóstwo goździków, że zdala wyspa zdawała się śniegiem okrytą.

Bił też z niej i daleko po rzece rozlewał się zapach słodki, mocny, leśny, z którym jeszcze mieszały się wonie ziół, liljowym i różowym szlakiem ścielących się u stóp przeciwległego boru.

Franka, jak oszalała, jak pijana, po wyspie biegała, zrywała goździki, wąchała je, kładła we włosy, z których dawno już zsunęła się była i na kark opadła żółtawa chustka, i pełnemi garściami z głośnym śmiechem rzucała je na Pawła.

On, powoli nachylając się i prostując, porządnie i pilnie układał z nich bukiet. Nieraz z tej wyspy przynosił on takie białe bukiety i stawiał je w małym dzbanku na oknie swojej chaty, albo siostrze oddawał, aby niemi święty obraz przystrajała. Nabawiwszy się goździkami, Franka formalnie przepadła w lesie dziewanny. Rosło jej w jednem miejscu tak wiele, że tylko jasna suknia dziewczyny w tej zielono-żółtej gęstwinie pobłyskiwała.

Paweł przestał rwać goździki, ręce opuścił i zamyślił się.

Franka, jak ptak, szeleszcząc w gęstwinie, co chwila głowę z niej ukazywała, a głos jej cienki, ostry rozlegał się bezustanku:

— Ależ ziele! no, ziele! od człowieka wyższe! jak las! Co to za ziele takie?

— Niedźwiedzie ucho — objaśnił Paweł.

Powoli, powoli, na ogorzałe policzki jej wybijał się rumieniec, jakby odblask krwistego obłoku, który po tarczy słonecznej, za bór już zapadłej, na niebie pozostał.

Swawolnie, chyłkiem, Franka wybiegła z gęstwiny łodyg, których parę zakołysało się w powierzu żółtemi kitami. Z twarzą w ogniu, z włosami pełnymi białych goździków, z żółtawą chustką na kark zsuniętą, przy jednej z nich stanęła i, wielki liść jej w palce ujmując, znowu gadała:

— A! to prawda! zupełnie, jak ucho jakiego zwierzątka. Taki kosmaty, mięcieńki, miłeńki, jak aksamit. U jednej mojej pani był piesek, co miał takie same mięcieńkie, aksamitne uszka.

Lubowała się miękką, puszystą powierzchnią liścia, głaskała go i pieściła dłonią, tak zupełnie, jakby on był naprawdę miłem jakiemś zwierzątkiem. Nagle zwróciła się ku Pawłowi, wprost ku niemu skoczyła i, obu rękoma na ramionach jego zawisłszy, zapadłe swe oczy, w wilgotnej mgle rozmiękłe i przygaszone, wzniosła.

— Jak tu dobrze, ładnie, wesoło! — wołała — jaki z was dobry człowiek, że biednej dziewczynie i nieznajomej zrobiliście taką przyjemność! Ja, widzicie, mam taką naturę, że bardzo wdzięczna jestem, kiedy mnie kto co dobrego zrobi.

Ale w tej chwili, z tym powolnym, poważnym człowiekiem zrobiło się coś dziwnego. Rumieniec, który wprzódy okrył mu policzki, rozpostarł się aż na czoło, tak błękitne i spokojne zwykle oczy ściemniały i strzelily prawie ponurym błyskiem. W silne ramię kibić wątłą jej pochwycił, do piersi swej przycisnął i już, nad głową jej schylony, usta do ust przybliżał, kiedy, dziwnie zwinna wysunęła się mu z objęcia i, odskoczywszy, znowu pod dziewannami stanęła.

Ręką oczy przysłoniła i trochę z gniewem, trochę ze śmiechem zawołała:

— Ot, taki! Zdaje się dobry, grzeczny, a taki sam, jak wszyscy. Za to, że na spacer powiózł, zaraz zapłaty żąda.

Słowa te ukłuły go snadź dotkliwie, bo ochłonął, głowy ręką dotknął i po chłopsku zaszeptał:

— Ot, tobie na! oś szczo wymyśliła.

Łagodnie za rękę ją wziął.

— Głupstwo! — ze zmieszaniem zaczął — albo ja co takiego myślał? Niech mnie Pan Bóg od takiego grzechu zachowa, żebym ja was z taką myślą na spacer wiózł! Ot, tak, fiksacja jakaś do głowy przyszła. Nie gniewajcie się i bądźcie spokojni. Siądźcie sobie i odpocznijcie, a ja tymczasem czółno tu przyprowadzę i zaraz do domu was odwiozę...

Na goździkach usiadła i z całej siły obu rękoma połę surduta jego schwyciła.

— Ja nie chcę do domu! — wołała. — Jaki to dom? Piekło nie dom! I nie odchodźcie ode mnie! Zlitujcie się, nie odchodźcie! Jabym z wami ani na minutkę nie rozstawała się; jabym za wami do wody skoczyła! Siądźcie przy mnie, siądźcie!

Z ustami trochę od zdziwienia i zmieszania otwartemi, ujęty jednak jej słowy, obok niej usiadł.

— Bliżej — prosiła — bliżej przysuńcie się... ot, tak, bliziusieńko.

Ciągnęła go ku sobie dopóty, dopóki ramię jego nie dotknęło jej ramienia, poczem ucichła i oczy wlepiła w rzekę, która tuż pod ich stopami u piaszczystego skraju wyspy toczyła stalowe wody. Nie była ona już błękitna, bo zmrok nadchodził, niebo zbladło, i tylko płynące po niem jasne obłoki w stalowych jej głębiach przebłyskiwały srebrem.

— Jak ta woda płynie... płynie... płynie... — zaszemrała Franka, i upojone prawie rozmarzenie czuć było w osłabłym jej głosie.

— Powiedzcie mnie... — z zamyśleniem zaczął Paweł i, wnet umilkłszy, palcami w gęstwinie goździków grzebał.

— Powiedzcie mnie, kto wy taka, i jakie wasze życie od urodzenia było? Czy to wy... nu... co to wy takiego o tej zapłacie...

Wyrwał nagle z piasku całą garść kwiatów i z niespodzianą u niego gwałtownością zaszeptał:

— Kab ciebie! kołem język w gębie stanął, taki wstyd!

Franka wyprostowała się i prędko, żywo przemówiła:

— Jeżeli chcecie, to wszystko wam powiem: kto ja i jaka. Kiedy dobry człowiek pyta się, dlaczego nie powiedzieć? Jednego już nie zawstydzę się pewno, to swojej familji. U dziadunia dwa domy własne były; ojciec w kancelarji służył; cioteczne go brata mam bogatego, bogatego! W jednem dużem mieście adwokatem jest, nazywa się Kluczkiewicz, żonkę także z pań-

skiego domu wziął i jak pan żyje. Ot, z jakiej ja familji! Sroce z pod ogona nie wyskoczyłam, a że w służbę poszłam, to już taka dola moja nieszczęśliwa... Rodziców szelmów Pan Bóg mi dał...

— A o rodzicach grzech tak gadać! — prawie z przestrachem upomniał Paweł.

— Ot — sarknęła — u was wszystko grzech! a u mnie co prawda, to prawda. Ja nigdy nie lgę. Posłuchajcież sami, czy nie prawda.

Poprawiła się na swojem kwiecistem siedzeniu, wyciągnęła nogi tak, że stopy jej, w prunelowe trzewiki obute, sterczały tuż nad wodą. Jak ta woda, tak i jej mowa, żywa, tłumna, z chichotami i westchnieniami zmieszana, płynęła nieustannie, nieustannie.

Dziad jej, ongrodzki mieszczanin, posiadał dwa własne domy — zapewne domki, bo taką wymieniła ulicę, przy której same drewniane klitki stoją — i za życia jeszcze syna do kancelarji oddał.

Kancelaryjny urząd jej ojca musiał być najpodrzędniejszym, bo brał on pensyjkę malutką i często w podartych butach chodził. Tem więcej w podartych butach chodzić musiał, że był pijakiem. Zamłodu jeszcze, w złych kompanjach podobno, pić polubił, a potem coraz mniejszą w tem lubieniu miarę zachowywał.

Matka była z dobrego domu, Kluczkiewiczówna; na fortepjanie nawet grać umiała i, kiedy jeszcze miała fortepjan, to, jak zacznie, bywało, grać jaką polkę czy mazura, to aż na dwóch ulicach wszyscy słyszą. Przystojna sobie była, stroje bardzo lubiła i — kawalerów. Czasem też bywało u nich bardzo wesoło. Jak ojca w domu niema, schodzą się, grają, śpiewają, tańcują, a potem ojciec przychodzi i, pijany albo nawet i niepijany, gości rozpędza, a matkę laje albo bije. Z początku tylko łajał, a potem i bił.

Sześć lat Franka miała, kiedy po raz pierwszy zobaczyła matkę, całującą się z kawalerem, a ośm, kiedy matka do familji swojej od męża uciekła. Wtedy ona i dwaj starsi jej bracia żyć zaczęli, jak te wróble, co tyle zjedzą, ile gdzie ziarna skubną, i tyle ogrzeją się, ile im pod strych jaki uda się wlecieć. Litowali się ludzie nad nimi, to ten, to ów nakarmił i na czas jakiś przytulił.

Chłopcom lepiej było: jeden, podrósłszy trochę, do wojska wstąpił, a drugi do mularki poszedł, choć ta mularka i prze-

ciwna jego urodzeniu była, ale co robić? z nędzy! Niedługo też w poniżeniu tem pożył. Bladzieńki był i szczupleńki, jak robaczek; raz mu widać głowa zakręciła się na rusztowaniu, spadł na bruk, skaleczył się okropnie i, choć narazie go wyleczyli, niedługo potem zmarł. Starszy, żołnierz, na koniec świata powędrował, i żadnego już słychu o nim nie było.

Chłopcy tedy, jak chłopcy — zawsze im lepiej na świecie; ale ona prawdziwe piekło znosiła i z ojcem, i z głodem, i z chłodem, i z tymi głupcami, którzy, kiedy jeszcze dwanaście lat miała, dawali jej ciastka i orzechy za to, aby pozwoliła im siebie całować. Mówili, że jest ładna, i jej się to podobało; ale oni wcale się jej podówczas nie podobali. Bała się ich bardzo i, wyrzekając się nawet orzechów i ciastek, chowała się od nich, jak mogła; zupełnie jednak schować się nie mogła, bo często na ulicy bywała, to z dziećmi różnemi bawiąc się, to do dobrych ludzi z prośbą o kawałek chleba, albo o parę drewek na opał, chodząc.

Domy ojciec dawno już sprzedał i pieniądze razem z matką jeszcze stracił. A matka, kilka lat u familji swojej zabawiwszy, do męża powróciła. Bo to wujaszek, Kluczkiewicz, wtenczas umarł; a dzieci jego porozjeżdżały się po świecie (jeden syn w dużem mieście adwokatem teraz jest i bogaty, bogaty!). Nie było już gdzie siedzieć: do męża powróciła.

Ale już ojciec wtedy w kancelarji miejsce stracił, do reszty rozpił się i na tę warjację, co to od wódki pochodzi, pół roku pochorowawszy, w szpitalu zmarł.

Matka jeszcze ze trzy lata żyła, okropnie biedna i mizerna. Robótki różne robiła i po domach roznosiła; czasem i bieliznę do szycia brała. O kawalerach już wtedy nie myślała wcale, po całych nocach kaszlała i płakała, ją też przy sobie trzymała, czytać i szyć uczyła, a przed samą już śmiercią wystarała się dla niej o służbę u jednej pani i, do tej pani ją przyprowadziwszy u nóg jej pełzała, o opiekę dla niej prosząc.

— Ot, nieszczęśliwa! — zauważył Paweł.

— Aha! — z zaciętą i nienawistną zapamiętałością krzyknęła Franka — a pieniądze te, co za domy wzięli, razem z ojcem na stroje i kawalerów traciła, a nas troje jak te szczenięta porzuciwszy, sama do familji na wygody i rozkosze uciekła. To co, że upamiętała się później i przed śmiercią trzęsła się nade mną, jak kura nad kurczęciem? Ja jej nigdy już tego nie darowałam, co ona wprzódy na zgubienie moje robiła. Wielka rzecz, że upamiętała się wtenczas, kiedy już z niej tylko skóra i kości

zostały, a nikt i spojrzeć w jej stronę nie chciał. I wtedy, żeby kto choć palcem na nią kiwnął, poleciałaby i o mnieby znów zapomniała... aj-aj, jakby poleciała! już ja wiem! już ja ją znałam! Tylko, że Pan Bóg i ludzie opuścili, to ona do mnie przykleiła się... a wprzódy co? Żeby takich matek świat nie widział!

— To prawda! Kab hetakich matek świat nie widział! — z przekonaniem mruknął Paweł.

Pani ta, do której na pierwszą służbę poszła, dobra była, obchodziła się z nią łagodnie, szydełkowych robót i prania koronek ją nauczyła; ale pan, ot, przyczepił się do niej, i choć wykręcała się z początku, lękając się i wstydząc, nie wykręciła się jednak. Podobał się jej bardzo, był to pierwszy mężczyzna, w którym się jak warjatka zakochała. Był też to pierwszy jej kochanek, bo tamci ciastka i orzechy za całowanie jej dawali. Ten, kiedy ją pani, dowiedziawszy się o wszystkiem, odprawiła, dał jej pięćdziesiąt rubli, które ona w miesiąc przeżyła, nic nie robiąc, tylko po nim płacząc i dla pociechy w wesołych kompanjach hulając.

Potem w drugim domu służbę znalazła i — poszło! Gdyby nie wiedzieć jak długo liczyła, nie potrafiłaby przypomnieć sobie i zliczyć wszystkich służb, które od czasu tego zmieniła; najdłużej, jeżeli gdzie rok wybędzie, i to się jej zdarzyło tylko dwa razy. A zwykle za pierwsze złe słowo usłyszane odprawia się; i kiedy roboty ma za wiele, albo czasu na zabawę za mało, odprawia się; i jak ją jedne twarze, na które codzień patrzy, znudzą, odprawia się także. I ją też często państwo sami odprawiają; za dwie rzeczy tylko odprawiają: za kawalerów i za złość.

U niektórych taka srogość, że nie lubią, aby pokojówka w przyjaźni z kim była i, jak tylko co takiego spostrzegą, zaraz odprawią. Inni znów prędkiego charakteru znieść nie mogą, a ona prędka, ubliżać sobie nie pozwala, na jedno słowo dziesięć odpowie, a czasem to tak parsknie, że państwu z samego zdziwienia i wstydu pozamykają się gęby. Parę razy jednak za takie parsknięcie proces jej wytoczyli, i przed sądem stawała. Za pierwszym razem bardzo lękała się sądu, ale za drugim była tam już jak u siebie i, choć karę pieniężną zapłaciła, tak zato oskarżycieli swych obmalowała, że do śmierci już pewnie żadnej służącej procesu nie wytoczą.

Raz gorzej z nią było: przez trzy dni w policyjnym areszcie siedziała, i to najniewinniej.

U jednej jej pani drogi pierścionek zginął, a ta, dobrze go nawet nie poszukawszy, zaraz do niej:

— Ty ukradłaś! ty, ty!

Co naprzysięgała się wtedy, co wypłakała! nic nie pomogło; policjantów zawołali, do aresztu wzięli. I cóż, pierścionek znalazł się, pani sama za komodę go zrzuciła. Co ona wtedy wypłakała! co wypłakała! Potem ta pani za niewinne oskarżenie pieniądze jej dawała, ale ona, z rąk jej asygnatkę wyrwawszy, podarła ją, podarła, podarła, nogami zdeptała i, panią wylajawszy, poszła sobie.

Nigdy jej nikt tak nie skrzywdził, jak ta pani. Bo, co prawda, to prawda, a co nieprawda, to nieprawda. Czasem, rzadko nawet, zdarzało się, że jakąś rzecz, do pani należącą, na siebie kładła, ale zawsze ją odnosiła i nietylko nic przywłaszczała sobie, lecz nawet nigdy nie zepsuła. Co jak co, ale trzech rzeczy nie robi nigdy: nie pije, nie kradnie i nie kłamie. Taka już jej natura, że tych trzech rzeczy robić jej się nie chce. Gdyby bardzo jej się chciało, pewnieby robiła, ale pokusy żadnej do tego nie czuje. Owszem, wódki nie cierpi; piękne ubrania choć i lubi, ale nie tak znów bardzo, aby dla nich na kompromitację się narażać; a kłamać, toby, poprostu, nie potrafiła, bo gdy raz zacznie gadać, wszystko wygadać musi, wszystko, co tylko ślina do gęby przyniesie, i gdyby nawet chciała język powstrzymać, nie może — ale nie powstrzymuje, bo co jej tam! Ona o nikogo i o nic nie dba.

I teraz także mówiła, mówiła. Powiedziała, że w życiu swojem kochanków miała wielu, a z tych jeden chciał się z nią ożenić, ale ona odmówiła, bo był mazgaj i sprzykrzył się jej prędko, Za dwu innych wyszłaby była chętnie, bo i kochała się w nich, jak szalona, i byli to ludzie delikatni, z dobrych familij pochodzący; ale oni znowu o żenieniu się z nią nie myśleli i porzucali ją właśnie wtedy, kiedy do nich najwięcej przywiązania uczuwała.

Z początku po każdym takim nie przez nią zerwanym związku desperowała, włosy sobie z głowy wyrywała, wszystkie łzy z oczu wypłakiwała. Ale zczasem przywykła do tego, że u ludzi żadnej stałości ani poczciwości znaleźć nie można, i teraz już o nic i o nikogo nie dba. Nie będzie tego, to będzie drugi — mówi sobie, i nie zawodzi się nigdy. Nie widziała jeszcze, żeby do jakiej kobiety mężczyźni czepiali się tak, jak do niej. Mówią, że tańcuje ładnie, strasznie też tańczyć lubi i nigdy żadnej takiej kompanji, w którejby potańczyć i pohulać sobie

mogła, nie opuszcza, choć ją czasem za to nazajutrz po wesołej zabawie ze służby odprawiają. Ale ona dba o służbę, jak pies o piątą nogę. Wie dobrze, że zaraz drugą znajdzie, a zupełnie jej wszystko jedno, gdzie i u kogo służy. Wszędzie ściany cudze i ludzie cudzy, wszędzie jest sierotą, której nikt prawdziwie nie polubi i nie przygarnie.

Teraz płakać zaczęła i z płaczem mówić, że jest sama na świecie; że żadna dusza ludzka nie dba i nie troszczy się o nią; że gdy raz w życiu na gorączkę jakąś zachorowała, była zmuszona pójść do szpitala; że tak samo, jak ojciec, w szpitalu też pewnie umrze, albo i gorzej jeszcze — pod jakimś cudzym płotem śmierć ją zaskoczy, a kiedy umrze, to i pies po niej nie zapłacze, bo komu ona na świecie potrzebna, i kto ją prawdziwie lubi?

Opowiadała także o wszystkich krzywdach, jakich od ludzi doświadczyła kiedykolwiek, o ciężkich pracach, które spełniała, o kaprysach, które znosiła.

— Każdy ma kogoś takiego, do kogo w smutku przygarniać się może, kto w biedzie pocieszy i poratuje: matkę, czy siostrę, czy brata, czy męża... Ja nie. Sierotą mnie Pan Bóg zrobił i tułać się po tym świecie kazał, a za każdą kropelkę przyjemności cały dzbanek trucizny wypijać...

Łzy, które po twarzy jej ciekły, końcami jedwabnej chustki, na kark zsuniętej, ocierała; chwilami aż zanosiła się od płaczu, a mówić jednak nie przestawała, i zdawać się mogło, że nie przestanie nigdy.

We wszystkiem, co mówiła, czuć było nie cynizm sumienia, ale prawie zupełny jego niebyt, a zarazem popędliwą, szorstką, hardą szczerość. Czuć w niej było także przez długie lata dokonywające się nagromadzenie swawoli instynktów i gorzkiej, złej, zniecierpliwionej urazy do świata i ludzi. W łkaniach jej odzywały się histeryczne szlochy i jęki; pochwyciła się nagle za głowę i krzyknęła, że w skroniach zabolało ją strasznie. Był to może wpływ odurzającego zapachu goździków, albo też tajemniczego procesu choroby, która mózg jej nurtować zaczynała. Nie od dziś zaczynała. Poskarżyła się jeszcze, że już od lat kilku takie bóle głowy chwytać ją zaczęły i chwytając coraz częściej, najczęściej wtedy, kiedy zmartwi się, albo rozgniewa, albo też po jakiej bardzo już wesołej zabawie.

Powiedziawszy to, umilkła nakoniec, skurczyła się trochę i, z łokciami o kolana opartemi, a głową ściśniętą w dłoniach, wśród zmroku, pod ścianą wysokiej dziewanny, nad wodą, coraz

ciemniejszą i nieustannie, nieustannie płynącą, zwolna w obie strony kołysała swą wątłą, zgrabną, niespokojną postać.

Słuchając długiej tej mowy, co myślał i czuł ten obok niej siedzący, poważny, spokojny człowiek, którego najdłuższą podróżą bywały wycieczki do pobliskich miasteczek, gdzie sprzedawał swoje połowy — człowiek, którego ciało i dusza zżyły się z wolnemi przestworami rzeki i nieba, z niepokalanie czystem powietrzem, z głęboką ciszą samotnych dni i nocy, a źrenice, pomimo lat dość długich, zachowały niewinność i przezroczystość dziecięcia? Czy, obyczajem chłopskim na bok splunąwszy, grubiańsko popchnie on ją ku czółnu i niechętnie, w pogardliwem milczeniu tam, skąd wziął, odwiezie? Czy, dowiedziawszy się jej historji, zechce wnet zostać jednym z tych wielu, o których mówiła, i do okrywających ją plam błotnistych przyłączyć jedną więcej? A może zabobonnie za opętaną i przeklętą ją poczyta i, przeżegnawszy się wielkim krzyżem, od tego szatana w kobiecej postaci co rychlej ucieknie?

Kiedy mówiła, w oczach jego malowało się nieraz przerażenie; nieraz też wstydliwie twarz odwracał i palcami w gęstwinie goździków grzebać zaczynał. Chwilami wpatrywał się w coraz ciemniejszą wodę i z podziwem, ze zgrozą głową kołysał. Najpewniej widział wtedy, zamiast wody, przepaść czarną, a w niej ogniste deszcze gorejącej smoły.

Kiedy umilkła, chwilkę tylko pomilczał, a potem mówić zaczął.

— Biedna ty — zaczął — oj, taka biedna! ze wszystkich już, zdaje się, ludzi na świecie najbiedniejsza! Słyszałem ja, że gdzieścić tam po miastach ludzie tak żyją, ale nie wierzyłem. Teraz widzę, że to prawda. Wołoczaszcze twoje życie, sieroce życie i takie złe, takie grzeszne, że niech Pan Bóg broni! Porzuć, upamiętaj się, popraw się... bo i na tym świecie dobra tobie żadnego nie będzie, i duszę zgubisz.

W głosie tym, tuż nad jej głową wśród zmroku szemrzącym, nic, nic więcej nie było, prócz wielkiej litości. Ją ten brak pogardy i lekceważenia uderzył i zadziwił. Zazwyczaj podobne jej wyznania wprawiały mężczyzn w gniew zazdrosny i grubiański, albo w nich budziły śmiech lekceważący, z zuchwałem obejściem się połączony.

Gdy jednak o poprawie wspomniał, zadziwiła się jeszcze więcej.

— Głupstwo! — zawołała — ciekawa jestem, z czego mam się poprawiać?

Znowu była szczerą; najlżejszego poczucia ani pojęcia jakiejkolwiek winy swojej nie miała.

On na słowa jej uwagi nie zwrócił, w myślach własnych zatopiony.

— I na tym świecie dobra żadnego nie zaznasz i duszę zgubisz — powtórzył. — Czemu poczciwą nie być? poczciwym być dobrze. Kiedy człowiek żadnego grzechu na duszy nie czuje, to taki robi się lekki, jak ten ptak, co pod same niebo lata. I śmierci wtedy niestraszno. Choćby i dziś umrzeć, wszystko jedno, kiedy dusza czysta...

— Co tam dusza! — sarknęła — głupstwo! Jak człowiek umrze, to go w ziemi robaki zjedzą i koniec.

— Nieprawda! — odpowiedział — jest i niebo, i piekło, i wieczne zbawienie, i wieczne potępienie. Ale, żeby już niczego na tym świecie nie było, to zawsze w człowieku jest cośćiś takiego, co w grzechu kąpać się nie chce, tak samo, naprzykład, jak ciało w kałuży. Żeby tobie kazali do kałuży wleźć i po uszy tam siedzieć, miło byłoby, a? A toż dusza twoja w kałuży siedzi. Oj, szkoda mnie ciebie, szkoda mnie twojej duszy i na tym, i na tamtym świecie. Wiesz co? Porzuć ty swoje wołoczaszcze życie. Jaka tobie ochota coraz to inne kąty wycierać, jak ta ścierka? Aaa! Mnie dziw bierze, bo zdaje się, że człowiekowi najlepiej, kiedy długo na jednem miejscu siedzi. Siedź i ty na jednem miejscu, wszystko już lepiej znoś, cierp, a na jednem miejscu siedź. Przyzwyczaisz się i polubisz, i do ciebie przyzwyczają się, polubią. I na tych, co ciebie do grzechu prowadzą, pluń! Dobrych ludzi widać między nimi niema, bo, żeby który był dobry, toby z dziewczyną, co dla niego o poczciwości zapomniała, ożenił się. Zlitowania oni żadnego w sercu nie mają, czy co? Pluń ty na nich! I na te wesołe kompanje, co do takich rzeczy prowadzą, pluń! Ustatkuj się, popraw; a i duszę wyratujesz, i zaraz tobie lepiej na świecie stanie.

Umilkł, a ona wzamian zaszeptała:

— Jak żyję, pierwszy raz takiego człowieka widzę. Czy ty jaki przebrany ksiądz albo pustelnik? No, dziwy!

Parsknęła śmiechem i ruchem zwinnej kotki na równe nogi się porwała.

— No, dość tego gadania! — zawołała — dobrze mnie z wami, ale do domu trzeba. Już wieczór. Z miasta prędko powrócą, a jak do kolacji wpierw nie nakryję i samowara nie nastawię, krakać i gdakać zaczną. Płyńmy!

Wyspę, która, nakształt rzuconej na rzekę płachty śniegu,

w zmroku bielała, i z której biły mocne goździkowe wonie, opuścili, i pod niebem gwiaździstem po ciemnej wodzie, mnóstwo gwiazd w sobie odbijającej, długo w zupełnem milczeniu płynęli. Rzecz nawet była dziwna, że Franka tak długo milczała. Można było przypuszczać, że zasnęła, tak skurczona i nieruchoma siedziała na dnie czółna, prawie u stóp siedzącego na wąskiej ławce Pawła; ale błyszczące jej oczy z nieruchomością upartą i osłupiałą tkwiły w rysach jego, zaledwie wśród zmroku widzialnych.

On, milcząc, z nisko pochyloną głową, powoli wiosłem zagarniał wodę, w której odbicia gwiazd, przez wiosło roztrącane, rojami złotych wężyków i iskier otaczały pomykające czółno. Otaczał też je szmer ciągły, srebrny, łagodny, niby śpiew ciemnej fali, zranione ciała i skołatane dusze do spokojnego snu albo czystych marzeń kołyszący.

Kiedy na wysokiej nadbrzeżnej górze ukazały się smukłe i nieruchome drzewa willi, głowa Franki nagle na kolana Pawła opadła. Z włosów jej wypadły białe goździki, a z ust posypały się ciche słowa:

— Oj, jaki ty dobry i jaki ty miły... miły... miły! Takiego dobrego i miłego, zdaje się, że, jak żyję, nie widziałam! Taki przystojny, dobry, miły! Żeby ty przyjacielem moim został, jużbym niczego na świecie nie chciała; nie odstałabym od ciebie nigdy, choćby pomiędzy nami pioruny biły! Choćby pomiędzy nami sto światów stanęło, przez góry i lasy bieglabym do ciebie. Choćby między nami wielkie morze było, przez morze płynęłabym do ciebie! A za to najwięcej, że ty taki dobry i tak litujesz się nade mną. Nikt nigdy nade mną litości nie miał, i wszyscy mną poniewierali, choć czasem i lubili, a najwięcej ci poniewierali, co niby to lubili. A ty mnie nie poniewierał, niczego ode mnie nie żądał i jak ojciec do mnie przemówił — jak przyjaciel najlepszy! Oj, niech tobie Bóg wynagrodzi za wszystko, mój ty mileńki, złoty, brylantowy!

Rękę jego porwała i do ust swoich przycisnęła. Jemu się wydało, że na rękę spadł mu gorący żużel. Nachylił się, w obie szerokie dłonie głowę jej ujął i usta w gęstwinie jej włosów zatopił.

Pod tym pocałunkiem, jak wpół żywe ptaszę, zmartwiała zrazu, a potem cała drżeć zaczęła. Ale on zaraz usta od włosów jej oderwał i zaszeptał:

— Uspokój się, dziecino! Oj, biedna ty, dziecino! uspokój się, ucisz się. Spojrzyj, jak na niebie gwiazdy ślicznie świecą.

Posłuchaj, jak woda śpiewa. Ja całe życie na te gwiazdy patrzę i tego śpiewania słucham. Popatrz i posłuchaj ty. Może lepiej zrobi się tobie. Może twoja dusza, tak jak moja, to wysokie niebo i tę czystą wodę polubi. Uspokój się, ucisz się! cicho, cicho, cicho!

Głowy jej z dłoni swych nie wypuszczał, a gdy, drżeć nie przestając, wzdychała i coraz mocniej tuliła się mu do kolan, kilka razy jeszcze powtórzył:

— Cicho, cicho, dziecino! uspokój się, ucisz się, cicho już, cicho!

Potem wziął wiosło i ku brzegowi skierował. Gdy czółno o brzeg uderzyło, Franka zerwała się na nogi.

— A kiedy zobaczym się? Mileńki mój, kiedyż znów się zobaczym? — zaszeptała.

Chustką, którą zupełnie już z szyi zdjęła, mokrą od łez twarz ocierała; zarazem białe jej zęby w przelotnych, zalotnych uśmiechach błyskały.

On namyślał się chwilę, nakoniec rzekł:

— Ot, choćby jutro o takiej samej porze w to samo miejsce przypłynę. Przyjdź na brzeg, to pogadamy. Dużo ja z tobą do gadania mam, bo szkoda mnie ciebie, strach, jaka szkoda!

Przypływał tam o zmroku ze trzy razy, lecz nie na długo. Raz ona czasu nie miała, bo w willi goście byli, i jej potrzebowano więcej, niż zwykle. Z grubem przekleństwem powiedziała o tem Pawłowi, a ten, za przeklinanie ludzi, u których chleb jadła surowo ją upomniał, aby co prędzej do domu wracała, znaglił i, ani na prośby jej, ani na gniewne tupanie nogami nie zważając, odpłynął.

Drugiego wieczora ona miała czasu wiele, dłużej więc nieco z sobą rozmawiali, ale wśród tej rozmowy on znowu stawał się takim niespokojnym, jakim nie bywał nigdy; ciągle poruszał się w czółnie, wzdychał parę razy, jakby go coś zabolało, syknął i, nie pożegnawszy się z nią wcale, zanim spostrzec i opamiętać się mogła, na środku rzeki się znalazł.

Za trzecim razem, kiedy dziewczyna, więcej niż kiedykolwiek rozteskniona i rozswawolona, ręce mu na szyję zarzuciła i ten sam żużel, który już raz czuł na ręku, do twarzy jego przykleiła, odepchnął ją tak silnie, że aż zachwiała się i za dziób czółna pochwycić musiała, aby nie upaść.

— Słuchaj, Franko, — posępniej i surowiej, niż zwykle, zaczął — ty do mnie tak nie czepiaj się, bo jak będziesz, to nie

przyjadę nigdy, i oczy twoje mnie nie zobaczą. Ja do dobrego chcę ciebie doprowadzić, nie do złego... Ja duszę twoją wyratować chcę, a nie gorzej jeszcze zgubić. Od tego czasu, kiedy ty mnie na wyspie wszystko powiedziała, dzień i noc tylko o tem myślę, jak tu tobie doradzić, jak pomóc i co takiego zrobić, żebyś ty swoje przeklęte życie porzuciła... A ty jeszcze i mnie do grzechu kusisz... Pfe! jaka brzydka! czysta pijaczka... choć i wódki nie pije.

W wodę splunął i do dziewczyny, która oniemiała ze zdziwienia, rzekł jeszcze:

— Jutro przypłynę i, kiedy będziesz dobra, to i długo z tobą pogadam, a kiedy taka, jak dziś, to bywaj zdrowa: giń i przepadaj! Widać, że dla ciebie, tak jak dla tego ostatniego pijaka, żadnej już rady i żadnego ratunku nie będzie.

Ale nazajutrz nie popłynął już w to miejsce, na którem poznał ją i dotąd widywał, bo właśnie po całodziennem łowieniu ryb na chwilę do chaty swej zajrzawszy, od wsi zstępował ku rzece, kiedy spostrzegł Frankę, od rzeki ku wsi dążącą. Zmrok już zapadał, lecz on ją poznał po jasnej sukni i po ruchach.

Zdala już widać było, że wątlej i do gładkich chodników miejskich przyzwyczajonej, tchu do wstępowania na wysoką i stromą górę brakło. Zdziwiony, kilku szerokiemi krokami obok niej się znalazł.

— A ty tu czego przyszła? — zapytał surowo, nawet szorstko, ale w głosie jego każdyby uczuł dławioną radość.

Ona, chwytając go za rękę, wnet zawiodła:

— Oj, mileńki! bieda na mnie spadła, taka bieda, że już nie wiem, czy wytrzymam... Jak tylko dowiedziałam się o swojem nieszczęściu, zaraz do ciebie pobiegłam. Brzegiem biegłam i człowieka jednego spytałam się, gdzie ta wieś i ta chata, w której Paweł Kobycki mieszka. Chyba już ty mnie wyratujesz, chyba już ty mnie poradzisz... bo, jeżeli nie, zginę, jak Boga kocham, niech ziemia zaraz rozstąpi się pode mną, jeżeli nie zginę...

Mówiła zcicha i głosem od płaczu przerywanym.

— Aaaa! — zadziwił się Paweł — jakaż to bieda? Gadajże...

Obejrzał się. U szczytu góry tu i owdzie ukazało się kilka kobiet z wiadrami i dzbankami.

Za rękę ją wziął i krętą ścieżką prowadzić zaczął ku ciemniejącym za wsią sosnom.

— Tędy po wodę chodzą, ciebie zobaczą i Bóg wie, co gadać zaczną...

Kiedy pomiędzy sosny weszli, Franka drgnęła i wtył się rzuciła.

— Aj, aj! cmentarz! — krzyknęła.

Był to niewielki borek sosnowy, wśród którego istotnie sterczały większe i mniejsze krzyże grobowe.

— To co, że cmentarz? — uśmiechnął się Paweł — czego lękać się? Grzechu lękaj się, nie cmentarza. Żywych lękaj się, nie umarłych... No, gadaj teraz, jaka tam bieda na ciebie spadła?

U skraju borku stanęła tuż pod wysokim krzyżem, którego ramiona rozpierały gałęzie dwóch wysmukłych sosen.

Wieczór był pochmurny i trochę wietrzny, więc pomiędzy sosnami w grubym zmroku rozlegały się cicho szmery, do westchnień i szeptów podobne. Na szarem tle świata Niemen tylko nisko u stóp góry stalowemi smugami pobłyskiwał, i w wiosce po chatach zapalały się tu i owdzie żółte światełka.

Franka, z całej siły do ramienia towarzysza swego uczepiona, drżąc ze strachu i płaczu, prędko opowiedziała, że ojciec jej pani w mieście zachorował, i dlatego państwo nie za miesiąc, jak zamierzali wprzódy, ale za dni trzy willę opuszczają. Kiedy dowiedziała się o tem, myślała, że zaraz martwa na ziemię padnie, taki żal jej serce ścisnął.

Ona teraz za nic, za nic stąd jechać nie chce! Zginie, a nie pojedzie; jak pies na brzegu rzeki położy się i z głodu zdechnie, a nie pojedzie! Niech tam oni sobie choć do samego piekła jadą, jeszczeby im konie zaprzęgać pomogła; ale dla niej teraz dopiero tu niebo otworzyło się, jak w jakim śnie ukazało się szczęście, i ona go nie porzuci... nie porzuci!...

— Nie rozstanę ja się z tobą, gołąbku mój, przyjacielu ty mój najmilszy, ojczulku! nie rozstanę się z tobą!... Odpychaj ty mnie od siebie, bij, zabijaj, a nie rozstanę się... nie pojadę!...

Ręce mu pocałunkami i łzami okrywała, głowę do piersi jego tuliła.

On z początku słuchał w milczeniu z głową zwieszoną, widocznie też usłyszaną wiadomością zgnębiony. Potem namiętnym wykrzykom jej i łkaniom wtórował szeptem:

— To prawda, że bieda! Ja i sam nie spodziewał się tej biedy i nigdy o niej nie pomyślał.

A potem gwałtownie, ponuro, tak jak nie mówił nigdy, po chłopsku mówić zaczął:

— Nie chaczu! nie puszczu! daliboh nie puszczu! Znów na niedolę i poniewierkę pójdziesz. Nie puszczę! I ciała, i duszy twojej na zginienie nie dam!

Słowa te usłyszawszy, z dzikim prawie krzykiem radości u szyi mu zawisła i całem swem wątłem, gibkiem ciałem, jak wężowemi skrętami, silną jego postać owinęła. Wtedy i on ją podniósł, jak dziecko, w ramionach zakołysał i z jakimś zachwyconym, bezpamiętnym śmiechem twarz jej pocałunkami okrywał. Wkrótce jednak opanował się znowu i, zlekka usunąwszy ją od siebie, cicho rzekł:

— To i pobierzmy się chyba? a co? przyjacielem tobie będę do śmierci i nigdy nie skrzywdzę. Chatę własną będziesz miała, kawałek chleba i życie poczciwe. Nu, Franka, a co?

Czuć było, że mówił to z trwogą. Czy lękał się jej odmowy? czy strachem przejmowały go własne słowa?

Dziewczyna oniemiała zrazu, zmartwiała i, po minucie zaledwie rękoma plasnąwszy, ze spazmatycznym śmiechem do niego przypadła. O własnym dachu i zapewnionym kawałku chleba przez parę sekund może pomyślała, ale, co pewna, to, że życie z tym człowiekiem, ciągle i jawne, rajem wydało się jej w tej chwili.

On silnie, lecz spokojnie ramieniem ją objąwszy, mówił:

— Bo to, widzisz, innej rady i innego ratunku, ani dla ciebie, ani już dla mnie niema. Widać tak Pan Bóg chciał, żebyśmy spotkali się, żebym ja ciebie od ostatniej zguby wyratował i sam na tym świecie jeszcze troszkę radości miał. Nigdy mnie do żadnej kobiety tak nie ciągnęło, jak do ciebie. Żonę ja miałem poczciwą, ale lubienia żadnego pomiędzy nami nie było, i żyła ona niedługo. A potem już, co swatali, co dziewcząt pokazywali, do żadnej ochota nie brała... Każda, zdaje się, nietaka i nietaka, a jakiej ja chciał, to i samby powiedzieć nie umiał... Pierwsza ty... jak zorza, pierwsze światło dzienne... Widać już tak Pan Bóg chciał, takie przeznaczenie nasze... A do tego taki mnie żal, taki żal, takie zlitowanie nad tobą bierze! Odrazu, tam na wyspie, do głowy mi wlazło, aby wyratować ciebie; a jakże ja ciebie wyratuję, kiedy ty pojedziesz i znowu swoje nieszczęśliwe i grzeszne życie zaczniesz... To już niech będzie tak! Pobierzem się i żyć będziem, jak Pan Bóg przykazał.

Chciała go znowu obejmować i całować, ale on ją powstrzymał, znowu nieco od siebie usunął.

— Słuchaj, Franka — zaczął — a upamiętasz się ty? po-

prawisz się? będziesz poczciwa? będziesz żyć, jak Pan Bóg przykazał?

— Będę! będę! — pośpiesznie zaszeptała.

— Przysięgnij! złóż palce na krzyż i przed tym krzyżem przysięgnij, że grzech porzucisz, poczciwą będziesz, djabłu do siebie przystępku nie dasz.

Kiedy to mówił, wysoka jego postać poważnie wyprostowała się w cieniu; głos także nabrał brzmień poważnych i głębokich.

Franka, z twarzą zwróconą ku krzyżowi, który wyniosłą linją odrzynał się od tła zmroku, z palcami skrzyżowanemi, przy towarzyszeniu przelotnych szeptów Łoru, jak zwykle, porywczo, śpiesznie, z uganiającemi się i tłoczącemi w ustach jej wyrazami, wymówiła:

— Tak mnie, Boże, dopomóż, żebym ja tak po śmierci oblicze Boga oglądała, żeby tak djabeł duszy mojej nie chciał, jak będę ciebie wiecznie i aż do śmierci kochać i szanować, mój ty gołąbku mileńki, złoty, brylantowy!

Przysięgi tej wysłuchawszy, Paweł uspokoił się zupełnie. W szczerość jej bezwarunkowo wierzył; nigdy mu przypuszczenie nawet do głowy nie przyszło, aby ktokolwiek na świecie przysięgać mógł fałszywie. Zresztą Franka istotnie fałszywie nie przysięgała; czuć to było w jej głosie i widać w postawie. Wydało mu się więc, że od tej chwili już zaślubionym jest z tą kobietą i opuszczać jej nie powinien. Zapewne też i ciężko mu było choć na chwilę ją opuścić. Dlatego wahającym się głosem zapytał:

— A jakże będzie... gdzież ty podziejesz się, nim ślub nasz nastąpi?

— Jakto gdzie? — zawołała — polecę zaraz, za służbę podziękuję, rzeczy zabiorę i za minutkę nazad przylecę...

— Ale! przylecisz! a gdzież podziejesz się?

— A u ciebie! a w twojejże chacie!

Uśmiechnął się.

— Dziecina, oj, biedna ty dziecina! Co ty wiesz? Widzę ja, że wiele ty nawet nie wiesz. Jakby w lesie urodziła się, jakby pomiędzy ludźmi nie żyła. Jakże ty w mojej chacie żyć możesz, kiedy my jeszcze przed ludźmi nie jesteśmy mąż i żona? Oczyby tobie w tej samej wiosce ludzie wyjedli, i sprawiedliwie, bo takich rzeczy robić nie trzeba.

Po kilku minutach myślenia powiedział jej, że, gdy państwo wyjadą, on ją do siostry swojej zaprowadzi, gdzie też dwa

albo trzy tygodnie, nim zapowiedzi w kościele przeczytają, przebędzie.

O tem, że ma on siostrę zamężną, Franka wiedziała już wprzódy. Prosić zaczęła, aby dziś zaraz do niej ją zaprowadził. Jutro poleci za służbę podziękować i po rzeczy, a dziś już w wiosce nocować będzie, blisko niego. Ale on na układ taki nie przystał. Państwo przed wyjazdem pewnie więcej niż zawsze sługi potrzebują. On pańskie zwyczaje zna dobrze, bo zamłodu z ojcem tkaczem kilka lat we dworze mieszkał, a i teraz zdarza mu się często po dworach ryby sprzedawać. Otóż wie on, że gdy pano wie wybierają się w drogę, wiele tam jest u nich zachodu i latanіny, a ona, co państwu swemu przyrzekła, to i spełnić powinna; potem zaś, no, skoro zamąż wychodzi, to i oni sami zrozumieją, że odprawić się musi.

— No, idź już, idź! Wszystko im tam, jak należy, zrób, a we czwartek rano ja tam przypłynę, czajką przypłynę, aby i ciebie, i twoje rzeczy zabrać.

Musiała mu być posłuszną, choć zrazu zatrzęsła się cała od zniecierpliwienia i przykrości. To tylko uprosiła, że przed czwartkiem, jutro, koniecznie jutro, zobaczą się z sobą.

— Jakbym ja te trzy dni przeżyła bez ciebie?

O to długo prosić nie potrzebowała. Sam pragnął widzieć ją jak najprędzej.

Nazajutrz, przy końcu dnia, na zwykłe miejsce przypłynął i z czółnem u samego brzegu stanął. Jej jeszcze na brzegu nie było. Przybiegła niebawem, w krwistych rumieńcach, cała od gniewu tym razem wzburzona.

— Żeby jej dobra na świecie nie było! Żeby ją kolki sparły! Żeby ją djabli porwali!

Przeklinała tak swoją panią za to, że przy układaniu rzeczy do drogi, jak konia na deptaku, jak wołu w jarzmie, dziś ją pędzała, ani na minutkę od roboty nie puszczając. I teraz także kazała jej książki pana do kufra składać, ale ona już nie posłuchała, myśląc, że on może czeka na nią, wszystko porzuciła i pobiegła.

Paweł, jak zwykle, z niezadowoleniem słuchał jej sk rg i przekleństw, jednak, nie upominając jej tym razem, ręką tylko machnął.

— No, już to ostatnia twoja służba była, już więcej nikomu służyć nie będziesz, to i złość w tobie ustanie. Wiadomo, kiedy wiatr dmie, woda podnosi się i szumi, a kiedy dąć przestanie, opada i cichnie. Uciszysz się i ty we własnej chacie, na

jednem miejscu siedząc, uciszysz się... A powiedziałaś państwu, że zamąż idziesz?

Powiedziała i słyszała potem, jak pani panu, śmiejąc się, mówiła, że Franka mezalijans robi.

— A co to znaczy? — zapytał Paweł.

Wytłumaczyła, że panowie zawsze tak mówią, jeżeli człowiek wyższego urodzenia żeni się z niższą i naodwrót. Pani wyraźnie panu mówiła:

— Franka głupia, że za chłopa idzie. Taka delikatna dziewczyna, do miasta i do wygód przyzwyczajona...

A pan z nad książki nos podniósł i odpowiedział:

— To prawda, szkoda jej, nieszpetna.

Opowiadała to Pawłowi z triumfującym zrazu chichotem i filuternemi spojrzeniami, a potem nadąsała się czegoś. Usta wydęła i, brodę w palce ujmując, dodała:

— I mnie już to samej na myśl przychodziło. Chłopów ja nigdy nie znałam i z chłopami nie żyłam. Familja, jak dowie się, wyrzecze mnie się zupełnie, a żeby matka w grobie zobaczyła, jaki ja sobie los obrałam, przewróciłaby się w trumnie... pewno!

Wszystkiego tego Paweł słuchał zdziwiony, niewiele rozumiejący, ale po chwili ręką znowu machnął, zaśmiał się.

— Głupstwo! panowie głupstwa gadają, a ty powtarzasz. Jaka tam twoja wyższość i jaka tam moja niższość! Z chłopami ty nie żyła, a z kim ty żyła? Z łajdakami. Albo to lepiej żyć z łajdakami, niż z chłopami? Dziecina ty. Z inszem życiem tobie i inszy rozum przybędzie. Zobaczysz.

Mówić zaczął o tem, że siostrze i szwagrowi już przybycie jej zapowiedział, że oni chętnie na ten krótki czas do swojej chaty ją przyjmą, że po papiery do miasta pojechać trzeba będzie, bo bez papierów ksiądz ślubu nie da, że dziś na ryby nie jeździł, bo przez dzień cały chatę swoją mył i bielił.

Słuchając go, patrząc na niego, prędko nadąsaną minę utraciła i, gdy odpływać miał, z taką samą, jak wczoraj, namiętną radością u szyi mu zawisła, dziękowała, że ją za żonę brał, najśliczniejszym, najmilszym, złotym, brylantowym go nazywała.

Paweł, odmłodzony i rozpromieniony, choć i w rozpromienieniu tym nawet cichy i poważny, odpłynął.

To jego odmłodzenie i rozpromienienie zauważyli w nim szwagier i siostra odrazu, gdy wczoraj w wieczór do chaty ich wszedł.

Była to chata niezbyt dostatnia, ale też i nie uboga, prze-

dewszystkiem zaś w porządku utrzymywana. Stała ona na samym skraju wsi, piaszczystą drogą tylko od borku i cmentarza oddzielona, a dziedzińcem do ogrodu Pawła przytykająca. Dlatego to może Filip Koźluk, wysoki, przystojny, czarnowłosy chłop, tak skwapliwie, gdy tylko szesnaście lat miała, pochwycił siostrę Pawła, że tak blisko siebie mieszkali.

Roli miał niewiele i młodszego brata, ale po niedawnej śmierci ojca gospodarzem w chacie został i przewożeniem podróżnych przez Niemen na własnym promie trochę pieniędzy zarabiał. Prom ten przed ożenieniem się jeszcze zrobił sam z mocnych desek, do dwóch wielkich łodzi przytwierdzonych. Pomieścić się na nim mogło cztery konie z wozami albo z bryczkami, a Filip był tak silny, że z pomocą tylko piętnastoletniego brata długiemi drągami, noszącemi nazwę szosty, po rzece go przeprowadzał. Dawniej nigdy tu promu nie było, ale pomysł zbudowania go był widać trafny, bo sporo ludzi teraz z niego korzystało. Zdobycie się na ten pomysł dowodziło w młodym Koźluku roztropności i przemyślności, które łączył on z zupełną trzeźwością, i dlatego, pomimo małej ilości należącego do tej chaty gruntu, nie była ona wcale ubogą. Owszem, w wewnętrznem jej urządzeniu znać już było dążenie ku niejakiemu pięknu i budzenie się potrzeb, nad zupełnie pierwotne liczniejszych. Na czystych ścianach wisiały tam jaskrawe obrazy świętych, na stole stała naftowa lampka, u okna czarny krzyżyk, owinięty wiankiem z nieśmiertelników; śmiecia pod progiem i wieprzaka pod ławami charkającego nie było. Na służących za łóżka tapczanach leżały poduszki, nie sianem, lecz pierzem wypchane; blaszany samowarek połyskiwał w kącie na czerwonej szafce; kury tylko nocowały zawsze pod piecem, w którym pieczono chleb i gotowano strawę; u drzwi stały wiadra z wodą; jedynemi sprzętami, oprócz tapczanów, były grube zydle i stoły.

Kiedy Paweł, zaraz po rozmowie z Franką na cmentarzu, do tej chaty wszedł, siostra jego, Ulana, o kilkanaście lat od niego młodsza, więc niespełna trzydziestoletnia, hoża kobieta, z niemowlęciem na ręku przed ogniem stała; Filip, tylko co z promu wróciwszy, plecami na zydlu leżał i obu rękoma trzymał stojącego mu na piersi trzyletniego malca; brat jego piętnastoletni, Daniłko, do rybołówstwa ogromny pociąg mający, przy lampie sieć wiązał.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków! — odpowiedziały trzy głosy.

Ulana podeszła i, od zdrowej młodości swej, zarówno jak od ognia, gorąco rumiana, brata w rękę pocałowała.

Filip podniósł się na zydlu, usiadł prosto i z rąk wypuścił malca, który izbę z wielkim krzykiem przebiegł, matczynej spódnicy uczepił się i ucichł.

Wtedy Paweł, na zwyklem swem miejscu pod ścianą usiadłszy, z dłońmi na kolanach i z oczyma ku ziemi zwróconemi, powoli mówić zaczął:

— Przyszedłem ja dziś do was, moje dziatki, z jenteresem i proszę was bardzo, abyście zrobili tak, jak ja powiem.

Ulana, z dziećmi na środku izby stojąc, słuchała; Danilko głowę z nad siatki podniósł; Filip odezwał się uprzejmie:

— A czegoż to chcecie?

— Niechaj ja wprzód wszystko, jak potrzeba, wyłuszczę — ciągnął Paweł i na Ulanę wzrok podniósł.

— Czy ja tobie Ulanko, kiedy nasze baćki pomarli i ciebie maleńką na moich rękach zostawili, złym bratem był?

— O, Jezu! a któż to mówi? — krzyknęła młoda kobieta.

— Nikt nie mówi, a ja tylko sam chcę przypomnieć i sobie, i wam, moje dziatki, że wszystko, co mogłem dla was zrobić, zrobiłem. Nie krzywdziłem ja ciebie nigdy, moja gołąbko, nie opuszczałem, złego nie nauczałem, przeciwnie, lubiłem, głaskałem i dobra, rozumu uczyłem. Kiedy zamąż wychodziłaś, trzy części ogrodu swego wam oddałem, dwie krowy i dziesięć owieczek kupiłem i kilka groszy dałem... Czy prawdę ja mówię?

Ulanka znowu, tym razem już z dwojgiem dzieci, podeszła i w rękę go pocałowała, a Filip odpowiedział:

— Prawda! a któż to mówi, że nieprawda? Ale i my, zdaje się, źli dla was nie byli i, zdaje się, nigdy nie będziem.

— A któż to mówi, że wy źli? — powtórzył Paweł. — Dlategożto, że wy mnie zawsze dobre serce i życzliwość okazywali, ja teraz do was z tym jenteresem przyszedł.

I powoli, z rozwagą, bez najlżejszego wahania się, to, z czem przyszedł do nich, wypowiedział.

Kiedy umilkł, przez dobre dwie minuty panowało w izbie milczenie, skwierczeniem niemowlęcia tylko przerywane. Ulana tem, co słyszała, była tak zdziwiona, że nawet na upominające się o pokarm dziecko uwagi nie zwracała. Czarne oczy Filipa pod gęstemi brwiami słupem stanęły; Danilko aż krzyknął i zaraz twarz swawolną i roześmianą w swojej sieci schował.

Jakkolwiek Paweł miał tylko czterdzieści dwa lata, z po-

wodu powagi i odludności jego wszyscy przywykli poczytywać go prawie za starca, i nikomu zrazu w głowie pomieścić się nie mogło, aby mógł się on jeszcze ożenić.

Po ochłonięciu przecież ze zdziwienia, Ulana pierwsza zawołała:

— Przyjmiem! czemu nie przyjmiem? oj-ej! albo to chata ciasna? Wielka rzecz, że sobie ze trzy tygodnie posiedzi. Jeszcze i weselej będzie.

Filip słowa żony potwierdził:

— My dla was i nie to, ale choćby i co więcej zrobić gotowi... Czemu nie? Mało to my dobra od was mieli? Tylko...

Zawahał się, z zydla wstał, do szwagra podszedł i, jedną rękę na biodrze opierając, a drugą ku głowie podnosząc, z wahaniem przemówił:

— Dziewier! Czy wy tylko dobrze robicie, że z taką żenicie się? Z miasta pochodząca, nieznajoma, niewiadoma... Kto wie, jaka? Żebyście tylko, broń Boże! nie nabrali sobie jakiej biedy!

— Otóż to — blisko do brata i męża przysuwając się, powtórzyła Ulana — otóż to, żebyście czasem, Pauluczku, jakiej biedy nie nabrali.

Paweł wstał, przyjaźnie na dwoje młodych popatrzał i stanowczo rzekł:

— Nie lękajcie się. Biedy nijakiej nie będzie. Przysięgła mnie jednego szanować i lubić aż do śmierci. Przysięgła. A co do tego, jaka była, to nic. Ja ją i lubię, i wyratować żądam. Ot, co; już inaczej nie będzie. A za dobroć waszą dziękuję wam, dziatki, i da Bóg, może czem jeszcze odsłużę. We czwartek ją przyprowadzę. Dobranoc.

Kiedy do drzwi szedł, głowę trzymał wyżej, niż zwykle, ani jednej zmarszczki na czole nie miał i tak jakoś młodo i gibko wyglądał, jakby mu dziesięć lat wieku ubyło.

Ulana i Filip w milczeniu naprzód na siebie spojrzeli. Filip końcem palca czoła swego dotknął.

— Sfiksował Pauluk, czy co? — zcicha wymówił.

Kobieta z niezadowoleniem oczy odwróciła.

— Jego wola — szepnęła.

— A czyjaż? Jego, ale żeby tylko jemu z tej woli ciężka niewola nie wyniknęła? Wywłokę jakąś z miasta za żonę brać, i to na starość! Tfu!

Splunął.

Ulana ku ogniowi znowu odeszła. Szanowała i lubiła brata,

Słowa męża o nim trwożyły ją i trochę gniewały. Jednak po kilku minutach odezwała się pierwsza:

— Pilip!

— A co?

— A Pauluk jakiś inny, niż zawsze... zdaje się, młodszy zrobił się i weselszy...

— Ale! — piskliwym głosem i parskając śmiechem, zawołał Danilko — jak z chaty wychodził, zdaje się, że aż głową do sufitu dostawał.

Dziwili się długo. Nie wiedzieli, że we krwi tego człowieka, z pozoru jak Niemen w pogodę spokojnej, zawrzała pierwsza w życiu namiętność, że w sercu jego, jak Niemen głębokiem i cichem, rozlała się litość niezmierna, że przed wzrokiem jego, przywykłym do ścigania nieścignionego szlaku Niemna i do wpatrywania się w widnokręgi wysokie, dalekie — powstało zadanie ludzkie, dobre, święte i blask swój rzucało mu na oblicze.

II.

Wydatnie i prawie jaskrawo postać Franki uwypukliła się na tle wiejskiej ludności kobiecej. Kiedy po raz pierwszy do chaty Koźluków przybywała, Ulana, z jednem dzieckiem na ręku a drugiem do spódnicy jej uczepionem, oczekiwała na nią wśród zielonego i przez światło słońca zalanego podwórka. Obok tej młodej matki, w bogatem rozwinięciu kształtów i siły nieco ciężkiej, a krasą rumieńców i spokojnym blaskiem oczu jaśniejącej, zmalała ona i przygasła, jak drobny, przywiędły goździk obok pysznie rozkwitłej piwonji. I potem zawsze, na ulicy, w izbach, na stoku góry, z której po wodę schodzono, miała wśród wiejskich niewiast i dziewcząt pozór szczuplej, zwinnej, ruchliwej pliszki, wypadkiem pomiędzy kokosze ciężkie i nieśmiałe gołębice wmieszanej. Najwątlejsza z mieszkanek wsi, młodziutka żona Aleksego Mikuły, była jeszcze w ramionach i w pasie dwa razy szerszą i grubszą od niej; sześćdziesięcioletnia Adwocia, z pomarszczoną, lecz jak jesienne jabłko rumianą twarzą i czarnemi błyszczącemi oczkami, wyglądała przy niej, jak upostaciowanie zdrowia i siły; nawet bardzo już stara kątnica, Marcela, o kiju po żebraninie chodząca, przedstawiała uwiędłość i słabość natury wcale innej, bo w kwadratowych kształtach jej ciężkiego ciała i grubem brzmieniu ochrypłego

głosu widać było niegdyś wielką i tylko przez długie lata i trudy zniszczoną siłę.

Ze swą cienką i gibką kibicią, z elastycznemi ruchami, ze zniszczoną, niezdrową cerą, wśród której ogniem uczuć i pożądań, oddawna w stan nieustannego podniecenia wprawionych, gorzały zapadłe oczy, w miejskiej sukience, cienkiej i lichemi ozdóbkami okrytej, Franka na tle nowego otoczenia swego wyglądała, jak dziecię całkiem innego świata i rodu.

Ubranie zresztą wkrótce zmienić musiała na takie, jakie we wsi noszono.

Wraz z nią, Paweł na łódź zabrał i do chaty siostrzynej przywiózł skrzynkę niedużą, z której Ulana, ciekawie rzeczy miejskiej dziewczyny rozpatrująca, wyjęła małą poduszkę, podartą kołdrę, dwie suknie i trzy koszule. Było to wszystko, co posiadała Franka.

Przez sześnaście lat służby taki tylko zgromadziła sobie majątek; reszta poszła na częstowanie przyjaciół i przyjaciółek i na to jeszcze, co napełniało na dnie skrzynki znajdującą się szkatułkę. Napełniały ją świecące szpilki, kolczyki, grzebyczki, różnokolorowe wstążki i chusteczki, zbrudzone rękawiczki, pachnące mydełka; a wszystko to było połamane, zgniecione, podarte i przy pierwszem dotknięciu grubych rąk Ulany z niezamkniętej szkatułki wysypało się na jej kolana.

Wśród powszechnego zachwycenia, Franka znaczną część tych skarbów obecnym rozdawała i, ponsową chustkę zawiązawszy na głowie Ulany, starej Awdoci nawet wstążką szyję przyozdobiła. Dzieciom, których zgromadziło się wiele, rzuciła garść paciorków i połamanych szpilek; do Filipa uczepiła się, aby sobie koszulę błyszczącem szkiełkiem zapiął. Wszystko to uczyniła, chichocząc i szczebiocząc, Ulanę, Awdocię i dzieci całując. Wspiąwszy się na palce, Filipa nawet w policzek pocałowała i, ku Pawłowi poskoczywszy, z ramieniem dokoła szyi jego zarzuconem, na kolanach mu usiadła. On przy tylu świadkach przedślubnej tej poufałości zawstydził się, wzrok odwrócił i przy sobie na ławie ją posadził.

Wszyscy patrzyli na nią z ciekawością i zdziwieniem. Nikt tu, jak żył, nie widział kobiety, tak ruchliwej, głośnej i hojnej. W hojności tej czuć było naprzód, że przywykła o nic nie dbać, nic nie zgromadzać i o jutrze nie myśleć, a potem, że czuła się niezmiernie szczęśliwą. Uszczęśliwienie to wybuchało nazewnątrz śmiechem, skokami i gwałtownem rozczuleniem się dla ludzi, pośród których się znalazła. Zdawać się mogło, że gdyby teraz

ktokolwiek z otaczających był bardzo głodnym, samą siebie do zjedzeniaby mu oddała.

Ulana, bardzo z darów otrzymanych zadowolona, skrzynki przetrząsać jednak nie przestawała i, coś białego rozwijając, od zdziwienia aż krzyknęła. Zadziwiły ją koszule Franki, cienkie, ale bardzo podarte. Pełną szkatułkę kosztownych szkiełek i wstążek miała, a koszuli całej nie miała. Suknie też jej z mnóstwem falban i kokardek poplamione były i u dołu obłocone.

— Aaaa! — zadziwiła się Ulana — jakże wy w tem chodzić będziecie? To już innego odzienia nie macie?

Franka sięgnęła do kieszeni i z rogu chustki, w węzełek związanego, kilkorublową asygnatę wyjęła. Była to zapłata, którą za ostatni miesiąc służby otrzymała i której na wsi stracić nie mogła.

Prosić zaczęła Ulanę, aby jej za te pieniądze takich samodziałowych spódnic, fartuchów, grubych, lecz całych koszul, jak te, które na sobie miała, kupiła.

— Moja, mileńka, złocieńka, brylantowa, kupcie! — prosiła.

Ulana zawahała się i na męża spojrzała, a widząc, że potakująco powiekami mrugnął, uprzejmie rzekła:

— Na co kupować? u mnie, chwała Bogu, wszystkiego dosyć jest. Ja wam i tak bez nijakiej zapłaty parę spódnic i płótna na koszulę dam.

I, śmiejąc się, dodała:

— A potem, kiedy zechcecie, tkać was nauczę, to i sami natczecie sobie wszystkiego, co potrzeba.

Paweł malutkiego siostrzeńca z ziemi podniósł i na kolanach huśtać zaczął.

Obecni ledwie uszom swoim wierzyć mogli, słysząc, że wesoło zagwizdał, tak to ze zwykłem jego zachowaniem się sprzeczne było.

— Dobre, Ulanka! — przyjaźnie na siostrę patrząc, przemówił — daj jej tymczasem, co trzeba, a później policzym się. Jak nie krzywdziłem ja ciebie do tego czasu, tak i teraz krzywdzić nie będę. A tkać i co tam więcej w stanie naszym potrzebne, ją naucz. Ona biedną sierotą od urodzenia swego była, i nikt jej nigdy dobra, rozumu nie uczył. Uczyć teraz będę ja. Ucz i ty. Pan Bóg tobie wynagrodzi!

Ulana, Filip, Awdocia, nawet swawolny Daniłko, głowami po kilka razy kiwnęli. Wyraz sierota do serc im trafił.

Ubranie, od Ulany otrzymane, za które Paweł z miasteczka dla siostry ładne rude cielę przyprowadził, włożyła jednak nie

prędzej, jak w parę tygodni po ślubie. Dotąd z przebraniem się tem ciągle zwlekała, często po grudzie lub błocie ulicy wiejskiej paradując w prunelowych bucikach i falbanach miejskiej sukni. Ale teraz nie było już rady: buciki podarły się, koszule prawie spadały z ciała, sukni do reszty zniszczyć nie chciała. Wszak już, jak dawniej, pensji, za którą galganki sobie kupowała, otrzymywać nie będzie; to zaś, ały Paweł je dla niej kupował, wprost na myśl jej nie przyszło, tak bardzo nieprzyzwyczajoną była, aby w potrzebach życia ktokolwiek jej dopomagał, i aby do stosunków swych z ludźmi jakąkolwiek rachubę przywiązywać. Przeciwnie, sama, w formie poczęstunków lub pożyczek, oddawała zwykle ludziom, którzy się jej podobali, wszystko, co miała. I teraz także, choć wiedziała o tem, że Paweł zarabia sporo, a stara Marcela dawno już wyszeptała przed nią, że podobno w jego chacie pod piecem znajduje się, przez ojca tkacza jeszcze zakopany, garnek ze srebrnemi rublami, wcale o tych dostatkach męża nie myślała i, miejską sukienkę starannie w skrzynce złożywszy, aby w niej choć do kościoła móc jeździć, ubrała się nakoniec po chłopsku.

Kiedy już płytkie trzewiki skórzane i samodzialową spódnicę w różnokolorowe paski na siebie włożyła, a na grubą koszulę narzuciła perkalową, kwiecistą chustkę, płasnęła rękoma, po ubraniu tem wzrokiem rzuciła i żałośnie zawiodła: . . . . .

— Otóż i chłopianka ze mnie! Otóż i przemieniłam się w chłopiankę! Jużby mnie teraz rodzony ojciec nie poznał a matka, żeby z grobu na mnie spojrzała, na drugi bok przewróciłaby się w trumnie! Ot, już i po mnie! Pochowana ja i zakopana na wieki, i nie będzie już dla mnie innego życia na świecie, jak to chłopskie, którego ja nigdy nie znała i znać nie chciała!

Twarz rękoma zakryła i rozpłakała się na całą chatę. Tym wybuchem rozpaczy, który po bardzo wesołym ranku nastąpił, Paweł zrazu był tak zdumiony, że z otwartemi ustami przez chwilę na ławie siedział. Ale potem uśmiechnął się i ręką machnął.

— Czysta dziecina! — rzekł — niewiadomo czasem, czego śmieje się, i niewiadomo, czego płacze. Ot, głupstw tobie w głowę nakładli, a ty wierzysz i powtarzasz. Rozumu nikt nie uczył, a głupstw ponauczali. Niech im Pan Bóg tego nie pamięta. A ty, jak pochodzisz troszkę w tem odzieniu, to i przywykniesz, i poznasz, że między panami, czy między chłopami, lepsza koszula cała, niż dziurawa.

Wstał, kilka kroków uczyniwszy, obok niej usiadł i, objąwszy ją, do piersi swej przygarnął.

— Cichoż, Franka, — mówił — no, cichoż już, cicho, uspokój się, ucisz się... niema czego lamentować.

Płakać przestała, całem swem ciałem gibkiem i drgającem przykleiła się do niego i, na szyję ramiona mu zarzuciwszy, okryła go pieszczotami.

On schwycił ją na ręce i, jak piórko, aż pod niski sufit podniósł. Błękitne jego oczy, tak dawniej przezroczyste i spokojne, gorzały; ona zanoszącym się śmiechem i odgłosami pocałunków napełniła izbę. W godzinę potem razem szli ku rzece, do czółna wsiedli i popłynęli, a niebawem widać było, jak na przeciwnym brzegu rzeki oboje wędy na wodę rzucili.

We wsi zauważono, że Paweł po ożenieniu się nie tak ciągle na rzece przebywa, jak przedtem, i daleko mniej często do miasteczek i dworów ryby na sprzedaż wozi. Nikt się jednak temu bardzo nie dziwił, bo wszyscy się domyślali, że w samotnem i skromnem życiu, przy niezłym zarobku, trochę grosza mógł on uzbierać; ale i ten ojcowski garnek, pod piecem zakopany, dla nikogo tajemnicą nie był. Dlaczego Paweł dotąd go nie odkopał? Ot, potrzeby widać nie było. Siostrę i bez tego po ludzku i po ojcowsku z chaty wyprawił, a później, jak wilk samotnie żyjąc, byle czem się obchodził. Garnek ten może na czarną godzinę, czy na zbudowanie kiedykolwiek nowej chaty schował, albo po śmierci na kościół oddać umyślił. Dość, że biednym nie był, zapas posiadał: czemuby więc, przez całe życie pracując i harując, a pod starość młodą żonkę wziąwszy, odpocząć trochę nie miał? Słuchający rozmów tych parobcy z młodości Franki śmieli się trochę.

— E! — mówili — jaka ona tam młoda? Już nawet on młodszym od niej wygląda.

Istotnie znać było po Pawle, że ze stanu biernego spokoju przeszedł w stan nieustannej, gorącej radości. W ruchach i sposobie mówienia powagi nie utracił, ale z ludźmi chętniej i dłużej rozmawiał, a w oczach i uśmiechu miał cichą, lecz ciągłą wesołość. Sprawiało to, że wyglądał młodziej, niż wprzódy. Można go było teraz wziąć za człowieka, któremu niedawno trzydziestka minęła.

Raz stara Awdocia, spotkawszy go samego u brzegu rzeki, z której wodę do wiader czerpał, brodę na ręku podparłszy, zagadała:

— A co, kumku, dobrze tobie teraz? Kontent, że ożenił się? a?

Rumianą, choć starą Awdocię, o czarnych błyszczących oczkach, wszyscy we wsi lubili i poważali. Była ona ciekawą, gadatliwą, w cudze sprawy wtrącać się lubiącą, ale wesołą, usłużną, doświadczoną i w wielu wypadkach użyteczną. Nie potrzebowała przytem niczyjej łaski, mieszkając przy synu, porządnym i statecznym gospodarzu. Pawlowi sprzyjała zawsze i kiedyś swatostwami swemi mu dokuczała, ale on ją lubił i kilka razy u sąsiadów dzieci z nią do chrztu trzymał.

Wyprostował się też zaraz z nad wiader i z uśmiechem odpowiedział:

— A dobrze, oj-ej, jak dobrze! Czego chciałem, to i dostałem, czemuż nie ma być dobrze?

— To ty dlatego nie żenił się, że chciał takiej, jak ta? — zapytała Awdocia.

— Ale, widać dlatego...

— To czemuż nie gadał... możeby prędzej znalazła się — zachichotała baba.

— Albo ja wiedział?... ja sam nie wiedział i czego ja chcę, i jakiej ja chcę... a teraz jak znalazł, to i dowiedział się...

— Nu, dobre, daj Boże, żeby zawsze tak było — życzliwie mówiła kobieta.

Ale teraz on jej przerwał. Dawniej nigdy nie zdarzało mu się, aby komu mowę przerywał, bo słowa miał leniwe i niechętne; teraz z pełnego widać serca wyrywały się mu one na usta:

— Bo to widzicie, kumo, wszystko dobrze... mieć do kogo w chacie zagadać i z kim powesełić się... dobrze... i przyjaciela do śmierci mieć dobrze... ale za co już ja najwięcej Panu Bogu Najwyższemu dziękuję, to, że duszą ludzką wyratowałem...

Tak jak i Awdocia brodę na ręku oparłszy, z zamyśleniem kończył:

— Duszę ludzką od męki na tym świecie i od potępienia na tamtym wyratować... czy to mała rzecz!... O, Jezu, jaka wielka!

— A toż — potwierdziła Awdocia, ale widać było po niej, że, o co właściwie chodziło, nie rozumiała.

— Dobre, dobre! Kab tylko Pan Bóg dał, żeby zawsze tak było! — winszowała, ale tej sprawy z duszą nic a nic nie rozumiała. Jedno tylko swemi żywemi, okrąglemi oczyma dostrzegła:

że na twarzy Pawła jakby łuna od księżycowego światła zajaśniała.

— Nu, nu! — dziwiła się — jakby ciebie, Pawluku, matka drugi raz na ten świat narodziła!

I, chichocząc, przez cały wieczór roznosiła po wsi, jaki ten Pawluk szczęśliwy, jak z żonki kontent, jak odmłodniał.

Zresztą wszyscy mieszkańcy wsi, zjawieniem się śród nich obcej i całkiem odmiennej kobiety zrazu bardzo zaciekawieni, przekonali się wkrótce, że w chacie Pawła nie dzieje się nic niezwykłego. Cicho tam było, jak i dawniej, a tylko na podwórku Koźluków, albo w ogrodzie, dwie chaty rozdzielającym, rozlegał się często cienki głos i donośny śmiech Franki, rozmawiającej z Ulaną, lub głośne swawole wyprawiającej z Danilkiem. Na ulicy wiejskiej widywano ją rzadko, do sąsiadów nie chodziła wcale, wiele czasu z mężem na rzece spędzała.

Już teraz najmniejszego nie doświadczała strachu, znajdując się na wodzie; owszem, pływanie i łowienie ryb z właściwą sobie popędliwością gustów i chęci polubiła. Ilekroć Paweł z udaniem się na rzekę ociągał się nieco, chwytała go za rękę i wyciągała z chaty, poczem żądała, aby z nią na wyścigi biegł ku rzece, i zawsze, zdyszana strasznie, ale prędzej od niego u brzegu stawała. On był silny i krok miał szeroki, ale ona, jak piórko lekka, tak szybko biegała, że zdawało się, iż, ziemi nie dotykając, powietrzem leci. Ramiona przytem, jak skrzydła, rozpościerała i wydawała ostre, piskliwe, prawdziwe ptasie krzyki. Wiosłem robić nauczyła się prędko, ale długo nie mogła, bo sił jej nie starczyło; jednak często dwoma czółenkami, przywiązanemi do nich siecią złączonemi, na rzekę wypływali. Czółna, jak bliźnięta, ku sobie przybliżone i nierozłączone, równo i niezbyt prędko po szlaku pogodnej wody mknęły; sieć, pomiędzy niemi w wodę opuszczona, ciężarem wpadających w nią ryb nabrzmiewała, a Franka, powoli wiosłem wodę zagarniając i wzrokiem ciekawym po wodzie i brzegach wodząc, widziała, że to zajęcie, które zniedawna dopiero z posiadanym człowiekiem dzieliła, daleko lżejszem jest i przyjemniejszem od dmuchania w samowary, sprzątania pokojów i prasowania cudzych sukni, w ciasnych i dusznych kuchniach. Że zaś wszystko, co czuła, czemkolwiek było, prawie bez woli i jej wiedzy wylewało się z niej nazewnątrz, o doznawanych przeto miłych wrażeniach nieustannie prawie Pawłowi mówiła.

— Ot, odpoczywam sobie, — mówiła — ot, jak królowa, panuję i o nic głowa mię nie zaboli. Jakby mnie matka drugi

raz na świat ten narodziła. Jakby mnie Pan Bóg na jakimściś drugim świecie posadził.

Był to dla niej istotnie świat zupełnie nowy. Parę razy w życiu zaledwie opuszczała miasto i za każdym razem przez kilka tygodni kręciła się tylko dokoła letnich mieszkań swoich państwa, nic prócz ich dziedzińców i drzew najbliższych nie widząc.

Teraz, gdy przed jej oczyma otworzyły się widnokręgi swobodne i krajobrazy, pełne szczegółów, nigdy dotąd nie widzianych, wszystko, na co spojrzała, budziło ciekawość jej i zdziwienie.

Ciekawość i zdziwienie, nie zachwycenie.

Piekący głód wrażeń, który ze wszystkich nędz i rozkoszy przeszłości swej wyniosła, czynił ją namiętnie ciekawą każdej nowości, bez względu, czy był nią świeżo poznany a ponętny człowiek, czy po raz pierwszy widziana fala, chmura, barwa, błyskotka.

Była zaś tak ciemną, tak początku i natury żadnej rzeczy nie znającą, że wszystkiemu, co wzrok jej pociągało i ciekawość obudziło, dziwiła się głośno, namiętnie, bez granic, jak człowiek dziki, jak dziecko. Istotą dziką każdemu wydaćby się mogła ta kobieta, wśród wiejskiego spokoju ruchliwa i krzykliwa, ta wychowanica wysokich murów miejskich, nie znająca nic z tego, co powstawało, kwitło, świeciło, śpiewało pod niebem od krańca do krańca otwartem. Ale dzieckiem, wesołość budzącem, ciągle i coraz bardziej wydawała się towarzyszowi swemu, który w rzeczach, dla niej nieznanych i dziwnych, tak był biegłym, że na parę dni z góry przepowiadać mógł stany, w jakich znajdować się miały powietrze, niebo i woda.

Czasem, rano z chaty wyszedłszy, po niebie wzrokiem wodził, na słońce z pod dłoni spoglądał, w nozdrza powiewy wiatru wciągał, a potem ludziom spotkanym — swoim poważnym, przyciszonym głosem mówił, aby ze zbieraniem zboża, siana czy warzywa pośpieszali, bo już tylko dni dwa, trzy pogoda potrwa, poczem rozpoczną się deszcze.

W porze dżdżystej, kiedy jeszcze ciężkie obłoki rozpościerały się u góry, a u dołu przez wiatry chłostany Niemen toczył ciemne i spienione fale, do chaty z podwórza wracając, Frankę na ławie skurczoną i poziewającą pocieszał wieścią, że za dni dwa, trzy rozpogodzi się i pociepleje. A gdy zawsze stawało się tak, jak przepowiedział, Franka z trwożnem prawie spojrzeniem pytała:

— Czy ty prorok, czy co, że wszystko zawsze wyprorokujesz?

On śmiał się z zadowoleniem.

— Ja nie prorok, — odpowiadał — ale rybak. A jakiżto rybak byłby ze mnie, żebym nie wiedział, kiedy trzeba na rzekę wypływać, a kiedy nie trzeba; kiedy przeszkody w robocie będą, a kiedy ich nie będzie.

Wiedział wybornie, z jakiej chmury deszcz spadnie, a z jakiej pioruny bić będą, jaka niewinnie nad ziemią przepłynie, a jaka nad nią wichrem potężnym powieje, lub gradem niszczącym sypnie!

Wiedział, w których miejscach woda na rzece głęboką bywa lub płytką, w których dno jej kamieniami jest usiane, białym i pomarszczonym piaskiem usłane, lub gęstwiną długich, śliskich, splątanych wiklin porosłe. Wiedział, gdzie najłatwiej poławiają się kiełbie i płotki, lub w największej obfitości mieszkają szczupaki, u jakich brzegów raki najgęściej obsiadają podwodne mchy i kamienie, w jakiej porze dnia i roku jakie gatunki ryb na jakie biorą się przynęty. Po doniosłości pluśnięcia i szerokości kół, roztoczonych na wodzie, poznawał, jaka ryba wyskoczyła na jej powierzchnię, a z kierunku wysokości i szybkości fal odgadywał, czy połów będzie szczęśliwy.

O wszystkiem tem mówił France, a gdy się wszystko, cokolwiek powiedział, sprawdzało, znać było po niej, że przejmowała ją trwoga przesądna.

— Czy ty jasnowidzący, czy co? — pytała.

On, znowu śmiejąc się, odpowiadał:

— Ja nie jasnowidzący, ale ta rzeka przez całe życie żonką moją była. Innej ja nie miał i nie chciał, aż póki ciebie nie zobaczył.

Wybornie więc Franka bawiła się, pływając z mężem po rzece, wcale też nieźle, gdy czasem bez niego w domu zostawała. Przychodziła wtedy do niej żebraczka, Marcela, w tym roku u Koźluków na kącie siedząca, i prawiła rzeczy, dla niej przyjemne i zajmujące.

Kiedy pierwszy raz niewiele przed południem, bosa, ciężka od łachmanów, które ją okrywały, garbata, weszła do izby, Franka wyciągała się jeszcze na pościeli, poziewając i przecierając oczy. Marcelę widziała już nieraz, więc na powitanie jej życzliwem skinieniem głowy odpowiedziała.

Baba miała twarz wielką, prawie kredowo białą, w grube zmarszczki pofałdowaną, kosmykami siwych włosów z pod brud-

nego łachmana, którym głowę obwiązywała, zarzuconą. Zapewne z jakie już siedmdziesiąt lat miała i żyła w nędzy, jednak żywości i bystrości nie utraciła. Poruszała się tylko powoli i ciężko, ale mówiła wiele i małe jej oczki z pod nabrzmiałych powiek rzucały połyskliwe, bystre, ciekawe spojrzenia. U progu stojąc, na kiju wsparta, głosem ochrypłym, w którym jakby zgrzytanie piły słychać było, zaczęła:

— Aaaa! to wy jeszcze nie wstali! Mojeż wy mileńkie, a toż ludzie dawno już odpoludniowali i znów do roboty poszli. A ogień rozpalony, i strawa gotuje się, i w izbie sprzątnięto. A któż to wam wody przyniósł i garnki do ognia przystawił, kiedy wy do tego czasu spali?...

— Mąż — na pościeli jeszcze siedząc i leniwie nogi swe oglądając, odpowiedziała Franka. — Do miasteczka dziś z rybą pojechał, a przed wyjazdem wody przyniósł, ogień rozpalił i obiad nastawił...

— Aaaa! otóż dobry z niego człowiek! — zadziwiła się żebraczka i bliżej przystąpiła ku gospodyni, która, w płaskie trzewiki stopy już wsunąwszy, niedbale, poziewając, samodziałową spódnicę zawiązywała.

Ręce, których skóra do kory drzewnej podobną była, na kiju składając, z wlepionemi we Frankę oczyma, żebraczka dziwiła się dalej:

— Ależ ty, moja mileńka, śliczna, to śliczna! Nie dziwno, że twój za tobą świata nie widzi. Boże mój, Boże! nóżki u ciebie bielsze, niż twarz u drugich, a oczka, jak paciorecki błyszczące, a w pasie cienka taka, jak jaka panienka, kiedy gorsetem ściśnięta.

— A tyś widziała kiedy gorset? — zaśmiała się Franka, drżąc trochę, jak zwykle z nią bywało, gdy z pościeli wstawała.

W izbie ciepło było, ale to drżenie już od lat kilku zrana szczególniej ją napadało. Cera jej wtedy żółkła, i wargi bladły. Przed ogniem przysiadła, chustką otuliła się, poziewała, a żebraczkę poprosiła, aby sobie na ławie usiadła. Pochwały, przed chwilą usłyszane, życzliwie ją dla ochrypłej baby usposobiły.

Marcela pod ścianą naprzeciw ognia siadła, ręce znowu na kiju oparła i, w szerokim uśmiechu bezzębne dziąsła ukazując, zawiodła:

— Czy ja gorset widziałam? Oj, Bożeż, mój Boże! czego ja na świecie nie widziałam? Różne piękności i bogactwa widziałam... wszystko widziałam, wszystko słyszałam i wszystko wiem. Jaż całusieńką młodość swoją w dworach pańskich prze-

służyłam, a teraz już może i piętnaście lat będzie, jak o kiju ciągam się po szerokim świecie...

Franka żywo odwróciła się i, plecami do ognia z twarzą ku niej zwrócona, z błyskiem oczu zawołała:

— We dworach służyłaś!... A ja myślałam, że ty taka sama prosta chłopka, jak tutaj wszystkie...

— Chłopka, to ja chłopka — trzęsąc głową, prawiła baba — ale małą dziewczyną do dworu mnie wzięli, i tam młode moje lata przebyłam. A kiedy w tym dworze wybyć już nie można było, do innych w służbę poszłam, aż ot, lat będzie może piętnaście, jak do żebraczej torby przyszłam... Temużto ja odrazu i poznałam, kto ty taka... Inni nie poznali, a ja poznałam...

— A któż ja taka? — z wybuchem śmiechu zawołała Franka.

— Panienka!... oj, panienka ty, delikatna, śliczna, jak ta królewna... Jak tylko on ciebie do Koźlukowej chaty przyprowadził, ja zaraz pomyślałam sobie: ot, Boże mój, Boże! chłop, taki prosty, a zachciało się jemu królewny. Mnie nawet dziw bierze, że ty za takiego prostego chłopa poszła...

Z rozpromienionej twarz Franki nagle stała się posępną.

— Czy ja wiem, jak to się stało? Widać, już takie przeznaczenie moje było. Sama nigdy nie spodziewałam się za chłopa wyjść i żyć pomiędzy chłopami. Z pięknej familji pochodzę... Dziadunio dwa domy własne miał, ojciec w kancelarji służył... a cioteczny brat adwokatem jest w wielkiem mieście i bogaty, bogaty!

Przy żebraczce usiadła i o wysokiej edukacji matki, o bogactwie ciotecznego brata, o tem, jak w mieście bawiła się i jakich kawalerów miała, opowiadać zaczęła.

Baba z wyrazem uwielbienia głową trzęsła i wykrzyki, pełne zdziwienia, wydawała. Po kwadransie Franka poskoczyła z ławki.

— Wiesz co, Marcelko? nastaw ty samowarek: herbatki sobie wypijem.

U Pawła, jak u Filipa, jak w kilku zresztą najporządniejszych chatach tej wioski, był blaszany samowarek i zawsze jakaś szczypta herbaty i trochę cukru w zapasie. Paweł nawet na prośbę żony zapas ten powiększył. Franka o jedzenie wogóle mało dbała. Jadła byle co i bardzo niewiele; zdarzało się nawet, że przez dzień cały, szczególniej gdy była czemś zajęta albo wzruszona, nic w usta nie brała. Ale bez herbaty żyć nie mogła i za cukierkami tęskniła, które w mieście, jak opowiadała Pawłowi,

kupowała sobie zawsze, albo od kawalerów otrzymywała. Innych podarunków nikt jej nie przynosił, ale cukierki przynosili, a ona je przyjmowała, bo panie nawet od panów zawsze cukierki przyjmują. Dziś właśnie, kiedy Paweł do miasteczka wyjeżdżał, zarzuciła mu ręce na szyję i poprosiła:

— Przywieź cukierków! Mój mileńki, złoty, brylantowy, przywieź!

O suknie albo pożywienie inne, niż to, które powszechnie we wsi jadano, nie prosiła go nigdy; o herbatę i cukierki poprosiła.

Tymczasem Marcela, z pod opuchłych powiek radośnie oczyma błysnąwszy, żwawo, bez pomocy nawet kija, po izbie chodząc, rozkaz jej spełniła.

Na dworze deszcz padał; dwie kobiety, jedna w łachmanach, druga w grubej chustce na plecach, przy małem oknie herbatę z zielonawych szklanek popijały, trzaskami ją mieszając. Żebraczka przytem pochłaniała dużo razowego chleba, i znać było po niej, że cieszyła się czegoś bardzo. Może odwiedziny te powiodły się jej lepiej, niż spodziewać się mogła, i pomyślność jakąś na przyszłość zapowiadały. Wzamian w rozmowie z nią Franka stawała się posępną. Z dnia przeszłości, o której rozpowiadała, podnosiły się jakieś męty i z siłą upajającego trunku uderzały jej do głowy; krwiste rumieńce wybiły się na jej policzki, oczy nabiegły łzami.

— Ot, do czego przyszłam! chamką zrobiłam się i żyjącą do grobu wstąpiłam! Już niema dla mnie innego świata, jak ta wioska, i innego życia, jak chamskie!

Ręce załamała i ocierała niemi mokre od łez oczy.

— Nu, chodzi! nie płacz! co tam! — pocieszała stara. — Kiedy mąż dobry i miły, to nie zginiesz... A czy miły?

I, pochyliwszy się do jej ucha, z brzydkim uśmiechem o coś jej zapytała.

Franka zaśmiała się, oczy odwracając.

— Oj, oj! — szepnęła — oj, oj, zdaje się, że mu od urodzenia dwudziestu lat jeszcze niema!

Wzajemnie do samego ucha szepcząc coś babce, śmiała się zcicha i zębami białemi błyskała.

Tegoż wieczora Paweł, z miasteczka wróciwszy, wyjął z kieszeni trochę owiniętych w papier, wpół roztopionych karmelków. Rok już może przeleżały one na straganie Żydówki i kilkanaście groszy kosztowały. Ale Franka, na gatunek przysmaku nie zważając, z rąk go mężowi wyrwała i z namiętną

chciwością głośno gryźć zaczęła. Gdy nasyciła się, kilka pozostałych karmelków do chaty Koźluków zaniosła, gdzie jeden z nich przemocą w otwarte usta Danilka wepchnęła, a inne oddała dzieciom.

Koźlukowie znajdowali się względem niej obojętnie; zadziwiała ona ich nieraz, lecz ani nieprzyjaźni, ani szczególnej przyjaźni w nich nie budziła. Szkody im nie sprawiała żadnej, korzyści także, a Filip w polu i na promie, Ulana przy gospodarstwie i dzieciach tyle mieli roboty, że śledzenie jej, badanie, zastanawianie się nad nią, wprost do głowy im nie przychodziło. Brata była wola wziąć ją za żonę; jeżeli dobrą się okaże, jego będzie szczęście, jeżeli złą, jego bieda. Im co do tego? Jednak od czasu do czasu życzliwość jej okazywali, rozmowy z nią zaczynając, do chaty swojej zapraszając.

W początku jesieni Filip ze szwagrowego świrna wyniósł krosna, po pierwszej żonie Pawła pozostałe, i w izbie je ustawił, a że były stare i zepsute, przez całą godzinę piłką i ćwieczkami je naprawiał.

Ulana w niedzielę do miasteczka jeździła, za pieniądze brata kupiła lnu i farbowanych nici, a zaraz nazajutrz kądziel na kołowrotku przyrządziła i krosna zasnuła nićmi. Aż zanosiła się od śmiechu, aż rękawem koszuli oczy, z których śmiech łzy wyciskał, ocierać sobie musiała, patrząc na niezgrabne i nieumiejętne ruchy, z jakiemi Franka brała się do przędzenia i tkania. Jak żyła, nie widziała, aby kobieta nie umiała prząść i tkać; nigdy nawet na myśl jej nie przyszło, aby taka kobieta istnieć mogła.

Pokładała się tedy od śmiechu, niemniej przecież pilnie i cierpliwie robót tych nauczała Frankę, która zrazu z zapałem rzuciła się ku nim, prząść nauczyła się prędko, ale kiedy do tkania przyszło, zniechęciła się i sposępniała.

— Ciężko! — sarknęła.

— Przywykniesz! — perswadowała Ulana.

Nieustanne przytłaczanie nici przednią częścią krosien i przydeptywanie stopami ich podnóży, męczyło ją istotnie; po kwadransie tego zajęcia krople potu występowały jej na czoło. Najpewniej, tak jak przepowiadała Ulana, przywykłaby z czasem i coraz mniej doświadczałaby trudności, ale o przywyknieniu do tego, co przykrość jej sprawiało, ani myślała. Jeżeli robota podobała się jej, to dobrze; jeżeli nie, to niech ją djabli wezmą!

Po kilku próbach, przy których Ulana śmiać się już prze-

stała, a ze znudzoną twarzą i zmarszczonem czołem patrzała na nią, Franka zerwała się od krosien i, ramionami trzepocąc, krzyknęła:

— Nie chcę! nie będę! ręce bolą i nogi pomdlały! Na jakie licho tkanie to mi potrzebne? Dość już napracowałam się i naharowałam z ciężkiego musu, a teraz, kiedy musu niema, niech sobie djabeł nad temi krosnami siły nadwereża! Ja nie będę!

— Jak sobie chcecie — obojętnie rzekła Ulana i, głową na pożegnanie jej kiwnąwszy, z izby wyszła.

Dnia tego pod wieczór, po wodę idąc, Ulana brata na stoku góry spotkała i, z wiadrami na ramionach zatrzymując się przed nim, przemówiła:

— A Franka tkać nie chce.

— To niech sobie nie t c z e — obojętnie odpowiedział Paweł.

Ale Awdocia, która, pomimo sześćdziesięciu swych lat, wyręczając synowę, także spuszczała się z góry po wodę, krótkiej rozmowy brata i siostry wysłuchała tak ciekawie, że aż na bok przechyliła głowę, a potem wiadra na ziemi postawiła i, Pawła po imieniu zawoławszy, gdy odwrócił się, z tajemniczą miną palcem kiwnęła, aby ku niej podszedł. Aż jej czarne oczy wśród rumianej twarzy błyszczały, tak zadowoloną była, że w czyjąś sprawę wtrącić się może.

— Pawluk! — z palcem, do zwiędłej wargi przyłożonym, zaczęła — ej, Pawluk, cośćś ty żonce za wiele panować pozwalasz. Patrzaj, aby z tego panowania biedy jakiej nie było.

Już i wprzódy to i owo o sposobie życia Franki od Marceli słyszała i długiem jej spaniem, herbatą, cukierkami bez granic zdziwiona i zgorszona była.

Paweł poważnie odpowiedział:

— Nie biadajcie, kumo; już ja wiem, co robię. Z męki ja ją wyrwał i nie na to wyrwał, żeby znów w mękę pogrążać, ale na to, żeby jej dobrze na tym świecie było. Jak człowiekowi na tym świecie źle, to i on sam zły, a jak dobrze, to i on dobry. Czemu dobrym nie być, kiedy do żadnego gniewu ani grzechu przyczyny niema? Ot, co!

Tak był pewnym tego, co mówił, jak tego, że słońce świeci, a woda płynie; ale Awdocia filozofji jego nie zrozumiała wcale, — swoją zato miała.

— Ej, Pawluk, — zeszeptała — patrzaj, żeby z tego panowania biedy jakiej nie było. Skąd ty ją wziął? Czy od baćków

(rodziców) wziął? Czy z chaty rodzonej? Jaka ona była, nim ty ją wziął? Nie bój się, ja wszystko wiem. Spojrzawszy się tylko na nią, jaką ona była, poznałam. Może kto nie poznał, ale ja poznałam.

Wpół z triumfem, wpół z politowaniem, mądremi oczkami swemi mrugała i, wspiąwszy się prawie do ucha Pawła, tajemniczo zaszeptała:

— Patrzaj, żeby z tego panowania, co ty jej dajesz, znów jakie licho nie przyczepiło się do niej.

Na Pawle ostrzeżenie to, którego sens wybornie zrozumiał, żadnego wrażenia nie uczyniło.

Uśmiechnął się, ręką machnął i z zupełnym spokojem odpowiedział:

— Tego, to już pewno nie będzie. Przysięgła!

Widać było, że zupełnej, nieograniczonej ufności, przez ostatni wyraz w nim obudzonej, nic na świecie zachwiać nie mogło. Widać było, że w mniemaniu jego, ktokolwiek przysiągł, uczynić musiał tak, jak przysiągł, i że, aby inaczej być mogło, nigdy nie pomyślał.

Awdocia ramionami wzruszyła, wiadra podniosła i z niejaką trudnością, dość jednak rzeźko z chropowatej góry znowu nadół schodzić zaczęła. Kilkanaście kroków uszedłszy, za Pawłem, prędko na górę wchodzącym, obejrzała się i głową pokręciła.

— Durnyj! oj, durnyj! — szeptała.

U Koźluków częściej, niż wprzódy, o France mówić zaczęto, bez żadnej nieprzyjaźni wprawdzie, ale tak, jak ludzie o wszelkiej osobliwości mówić zwykli.

Swawolny Daniłko, który w jesieni i zimie mało roboty miał i wszystko, co się działo we wsi, wypatrywał i podsłuchiwał, z chichotem opowiadał, jak Paweł, żonkę mając, sam ogień w piecu rozpala, strawę gotuje i krowy doi, a ona, albo wyciągnąwszy się na pościeli leży, albo na ławce pół dnia z nim obejmuje się i całuje, albo różne skoki i śmiechy wyprawia.

Filip za boki brał się od śmiechu, ale Ulanie przy opowiadaniach tych robiło się trochę markotno.

— Jemu z tego dobra nie będzie — do męża rzekła.

— Komu? — zapytał.

— A Pawlukowi.

I, na dziedziniec wyszedłszy, kury do chaty zwoływać zaczęła, a Franka stała wtedy przy płocie, ogród na dwie połowy rozdzielającym, i gruszki jadła. Pochodziły one z jedynego drzewa,

które w ogrodzie przy samej chacie Pawła rosło. Dawniej Paweł sprzedawał je w miasteczku, albo siostrze oddawał, teraz zostawił w chacie, bo Franka je lubiła. Może widok gruszek, które lat zeszłych stanowiły drogocenny przysmak dla jej dzieci, wzmógł niezadowolenie Ulany.

O parę kroków przed płotem stanęła i do bratowej przemówiła:

— Czy tobie nie wstyd, że twój sam krowy doi? toż nie mużycka, ale kobiecka robota.

Jakkolwiek mówiła to głosem umiarkowanym i więcej żartobliwie, niż gniewnie, na twarz Franki wytrysnął zwykły jej, krwisty i szybko przemijający rumieniec.

— A tobie co do tego? — krzyknęła. — Nie wtykaj nosa tam, gdzie ciebie o to nie proszą. Ja wszystkich chamskich robót nigdy nie robiłam i robić nie będę! Adie!

Od płotu odskoczyła, ale Ulana, zaczerwieniona również, kilka słów także za nią rzuciła:

— A ty od chamów nie łaj! Jakie ty masz prawo chamstwem ludziom oczy wypiekać, kiedy sama od chamki byłaś gorsza?...

Znaczenie słów ostatnich Ulana czerpała z domysłów Awdoci i długich szeptów, które Marcela, po każdej u Franki bytności, w ucho jej kładła.

Było to pomiędzy dwiema kobietami poróżnienie pierwsze, prędko zaś minęło, bo Ulana z bratem różnić się nie chciała, oprócz lubienia i to na względzie mając, że zawsze tam od niego jakieś kropelki dobra padać na nią mogły: jeżeli już nie coś więcej, to choć obwarzanków dla dzieci z miasteczka przywiózł, jeden zagonik w swojej połowie ogrodu kartoflami lub konopiami zasiać pozwolił, na zapłacenie podatku, albo inną pilną potrzebę kilka groszy pożyczył. Filip zaś nietylko o tych drobnych przysługach, ale i o ojcowskim garnku, w chacie Pawłowej pod piecem zakopanym, może pamiętał, bo, dowiedziawszy się o kłótni żony z bratową, żonę wykrzyczał tak, jak mu się to nigdy jeszcze nie zdarzyło, i z Franką pogodzić się jej rozkazał. Ulanie łatwiej to przyszło, niźli spodziewać się mogła, bo Franka, bez cienia zawziętości, na pierwszą jej zaczepkę, wesoło odpowiedziała i, wieczorem do chaty Koźluków wpadłszy, a kilku sąsiadów i sąsiadek tam znalazłszy, takich im rzeczy naopowiadała, że od zdziwienia oczy wytrzeszczali i do samej północy gadaniu jej przysłuchiwali się, jak cudownym bajkom.

Przez całą zimę potem dość często zbierające się u Koźlu-

ków gromadki Franka w podobny sposób zabawiała. Widok to był ciekawy.

Izbę, oświetloną płonącym w ogromnem piecowisku ogniem i na stole palącą się lampką naftową, napełniali mężczyźni w siermięgach lub kożuchach i kobiety w granatowych sukiennych kaftanach. Pierwsi sieci wiązali, kołki do płotów lub zęby do bron strugali, beczułki i wiadra naprawiali, albo, nic wcale nie robiąc, fajki i papierosy palili. Kobiety na kołowrotkach przędły, albo niemowlęta u piersi trzymały, czy w rękach huśtały. Wszyscy siedzieli na żydlach i stołkach pod ścianami lub przed ogniem.

France niewygodnie było na twardym i wąskim żydlu siedzieć, więc, z nogami na stołku wyprostowanemi, a plecami o ścianę oparta, miała postawę osoby, niedbale na szezlongu wyciągniętej. Pończoch codzień nie nosiła, więc z pod samodziałowej spódnicy nagie jej nogi sterczały nad stołkiem z obutemi w płytkie trzewiki stopami; kibić jej ściskał, tak jak u innych, granatowy kaftan, a na głowie, tak jak inne, miała perkalową chustkę kwiecistą, za uszyma związaną. Jednak ubranie to miało na niej pozór przebrania. Możnaby myśleć, że wybierała się pójść w niem na maskaradę lub inną jaką kostjumową zabawę. Krucze, kędzierzawe jej włosy ze wszech stron wymykały się z pod kwiecistej chustki, opadając na szyję, czoło i pierś, ubraną w rzędy paciorków takich, jakich tu nikt nie nosił; przy uszach także połyskiwały świecące blaszki; ręce drobne i wobec wszystkich tu innych prawie białe, a zawsze bezczynne, poruszały się nieustannemi i niespokojnemi gestami; na twarzy przywiędłej i szczupłej miała zawsze albo żółtawą bladość, albo rumieńce, ogniem buchające, jakie tu widywano tylko u ludzi, którzy w gorączce leżeli.

Gorączkowemu też snami wydawały się otaczającym jej opowiadania, tak przecież dla nich ciekawe, że z wieczornic, odbywających się w Koźlukowej chacie, wygnały zimy owej zapełniające je zwykle śpiewy i bajki. Cóż bowiem bajki, w większej części wszystkim tu od dzieciństwa znane, znaczyć mogły wobec opowiadań o teatralnych przedstawieniach, którym z najwyższego piętra, w ścisku, upale, potokach światła, Franka często przypatrywała się niegdyś; o maskaradach, pełnych przebrań i śmiesznych albo potwornych maszkar, w których też nieraz udział brała; o świetnych tanecznych wieczorach, które w domach swoich dawnych państwa widywała; o tłumnych hulankach, w zamiejskich ogrodach, z huśtawkami, karuzelami, dja-

belskiemi młynami, przez mnóstwo razem kawalerów i panien odbywanych; o różnych głośnych zbrodniach, samobójstwach, romansach, kłótniach, śmiesznych lub przerażających wypadkach, kiedykolwiek i gdziekolwiek wydarzonych, a przez nią w niezmiernej obfitości znanych i zapamiętanych, bo ich, jak wszelkich innych drażniących i podniecających wrażeń, od lat najwcześniejszych chciwą być zaczęła.

Pośród słuchaczy jej znajdowali się tacy — kobiety szczególnie — którzy, oprócz rodzinnej i kilku zupełnie do niej podobnych wsi, żadnych innych miejsc pod słońcem nie widzieli; inni do miasta, z którego pochodziła ona, nierzadko nawet jeździli, ale oprócz rynków i kościołów nic wcale w niem nie znali. Niektórzy, jak naprzykład przystojny, śmiały i trochę już surdutowo siermięgę swą przykrawający, Aleksy Mikuła, do znajomości świata niejaką pretensję roszcząc, opowiadaniom Franki potwierdzającem wstrząśnieniem głowy wtórzyli, lecz w gruncie, tak samo jak inni, bawili się niemi, gorszyli lub zdumiewali.

W izbie niskiej i dusznej, ze stłoczonych i prawie tuż przy sobie oddychających piersi, z ust, w gapiowatem zdziwieniu rozwartych lub okrążonych szyderczemi czy zadumanemi uśmiechy, wyrywały się okrzyki zdziwienia, zgorszenia, przerażenia, rozweselenia.

Boże mój, Boże! toż bogactw wszelakich na świecie, jak tego śmiecia w izbie, kiedy przez cały tydzień jej nie zamieść. Toż tam ludzie dokazują, weselą się i grzeszą! Chyba oni nigdy nic nie robią, że im to wszystko do głowy przychodzi. Chyba oni Pana Boga nie lękają się i wstydu w oczach nie mają, kiedy takie rzeczy robić mogą. Człowiek i sto lat przeżyć mógłby, a w pracy i biedzie do głowyby mu nie przyszło, że są na świecie takie bogactwa, piękności, dziwy i grzechy.

Oj, grzechy! Te szczególniej ludzi tych w oczy kłóły i w głowach im zamęt sprawiały. Nie dlatego, aby człowiek sam nigdy już Pana Boga nie obrażał i, szczególniej upiwszy się, siakim takim grzechem duszy nie obarczył. Ale zawszeż takie marnowanie darów boskich, rozpusty, kłótnie, zabijanie siebie i innych, o jakiem ta opowiada, to już piekło, czyste piekło!

Czasem ręce niewiast z wrzecionami, a mężczyzn z toporkami, iglicami i heblami, wdół opadały; z kątów izby w donośny i piskliwy głosik opowiadającej Franki, niby podmuchy wiatru, wpadały basowe westchnienia.

Awdocia, mądre swe czarne oczki, wśród twarzy, do jesien-

nego jabłka podobnej, szeroko wytrzeszczając, pomarszczoną choć jeszcze rzeźwą rękę ku czołu podniosła, szepcząc:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego...

A szept jej głośny, od rozbudzonych uczuć i myśli szeplenięcy i syczący, zdawał się być szelestem uschłych liści, na glinianą podłogę izby sypanych.

Sama tylko żebraczka Marcela, u stołka, na którym Franka nogi swe wyciągała, na ziemi siedząc, ani dziwiła się, ani gorszyła, tylko bawiła się wybornie. W czerwonawej smudze światła, z ogniska na nią spływającej, ze swą czworokątną, ciężką postacią, wyglądała jak kupa łachmanów, z której ku opowiadającej wychylała się głowa, łachmanem owinięta, z szerokim uśmiechem ust bezzębnych. Wśród zoranej zmarszczkami twarzy, w oczach jej spłowiałych i przebiegłych zapalały się migotliwe światełka, nabrzmiałe powieki potakująco mrugały, głos ochrypły, do przesuwania piły po drzewie podobny, od czasu do czasu wymawiał:

— Ale! a toż! prawda! wszystko prawda!

Ona tylko to wszystko, o czem mówiła tamta, widziała, słyszała, doświadczała. One dwie były istotami innego rodu i świata, rzuconemi w ten ród gruby, ciężki, w ten świat, niczego nieświadomy, naiwny. Tylko gdy starsza, prawie zgrzybiała i łaski ludzkiej potrzebująca, wiedzę swą roztaczać leniła się i często nie śmiała — młodsza, harda i wiecznie niespokojnem życiem wrząca, czyniła to z uczuciem nieskończonej swej nad otaczającymi wyższości. Gdyby umiała, byłaby ją nazwała wyższością umysłową. Wyrażenia tego przecież w głowie nie posiadając, pełną była pojęcia, przez niego przedstawianego. Pochlebiało jej to niezmiernie i zwiększało w niej wzgardę, którą dla tych ludzi uczuwała. Bawiła się też wybornie. Z wieczornicy wracając, śmiechem głośnym i zanoszącym się chatę napełniała.

— Ot, głupie chamy! ot, bydło! O takich zwykłych rzeczach im gadam, a oni gęby pootwierają i dziwią się, tak jakbym im Pana Boga albo djabła pokazywała! Jak królowa między pastuchami, tak ja między niemi wyglądam. Ale to nic. Wesoło. Czasem mnie zdaje się, że na komedji jestem albo sama komedję odgrywam. No, ciemny lud! No, bydło! Przed każdym z miasta, choćby i najgłupszym, świnie im tylko paść.

I opowiadań jej w siostrzynej chacie, i wesołych drwin z chamskiej ciemnoty i głupoty Paweł słuchał w chmurnem milczeniu.

Ze słyszenia wiedział o tem, że gdzieściś na świecie są wielkie bogactwa i rozkosze; ale, jako rzecz niedościgła i niepożądana, nie obchodziły go one wcale. Nędzy nie zaznał i zbytków nie pokosztował nigdy: więc ani przeciw razowemu chlebowi goryczy, ani na słodkie przysmaki chciwości nie doświadczał. O tych ostatnich, poprostu, nie myślał nigdy, a kiedy teraz żona mu je pod postacią wspominanych mieszkań wspaniałych, obiadów smacznych, strojów drogocennych, świateł olśniewających na myśl nasuwała, z wyobraźnią na te nieznane rozkosze całkiem tępą, z duszą zupełnie im obcą, ręką machał i z zamyślonym na ustach uśmiechem powtarzał chłopskie przysłowie:

— Ot, zwyczajnie! Boh z ludźmi robić ihrysko, odnoho wysoko, druhoho nisko.

Co innego wcale, gdy mowa była o hulankach, romansach, kłótniach, zbrodniach, o tem wszystkiem, słowem, co on ogarniał jedną nazwą: grzech. To wszystko w ustach Franki sprawiało mu taką przykrość, że albo kręcił się na zydlu, jak w bólach stękając, albo, łokcie o kolana wsparłszy, a twarz w dłoniach zanurzywszy, w głębokiej medytacji kołysał się w strony obie.

Przez zaciśnięte zęby zcicha wymawiał:

— Pohane życie! Przeklęte życie! Żeby takiego życia ludzie nie znali! żeby ono wskróś ziemi poszło!

Czasem, gdy tak medytował, dziwnych doświadczał wrażeń i złud wyobraźni. Słuchając opowiadania o tem, jak wesoło ludzie bawią się na zamiejskich karuzelach, huśtawkach, całonocnych tańcach, i jakie na tych zabawach powstają pijatyki, bójki, choroby, romanse, nagle pod zamkniętemi swemi powiekami spostrzegał wodę błękitną, czystą, cichą, taką, jaką Niemen toczy w nieskazitelną pogodę, a nad nią albo różany pas jutrzenki, albo wełniste obłoki, do stada białych owiec podobne, albo chóry jaskółek, wkółko, wkółko zwijających się nad wodnemi liljami. Czasem ni stąd ni zowąd gołębie nad uchem mu zagruchały, lub jednostajnym, łagodnym szmerem zaśpiewały fale. Wtedy z nad dłoni podniósł twarz zmartwioną, zbróżdżoną i, gdy Franka z nim razem do chaty wróciwszy, nad głupotą chamską od śmiechu się kładła, nie sprzeczał się, wyrzutów jej nie czynił, tylko do umilknięcia skłonić ją usiłował.

— Cichoż już, cicho! — mówił — wolałbym ja, żebyś ty nie pamiętała, że na świecie żyłaś, nim do tej chaty weszł ś. Oj, rozumu nikt nie nauczył, a głupstw tak powyuczali, że i za-

pomnieć ich nie możesz. Może Pan Bóg Najwyższy da, że kiedykolwiek zapomnisz!

I ze spazmatycznie rozchichotaną tak samo postępował, jak gdy ją nagłe płacze porywały.

Przy sobie ją sadzał, ramieniem obejmował i łagodnie, ojcowsko upominał:

— Cichoż już, cicho! cicho! Hodzi, dzieciatko, hodzi!

Nie sprzeczał się, nie gniewał, nic jej nie wyrzucał, ale częstych wieczornic, wśród których ona królowała, znosić nie mógł, tem więcej, że wydało mu się, iż ona do Aleksego Mikuły zalecać się zaczęła.

Był to najprzystojniejszy i najrezolutniejszy mężczyzna we wsi, a choć parę już lat żonaty i z żoną dobrze żyjący, czasem jeszcze na żart i dla popisu z dziewkami i młodemi mężatkami poigrać lubił. Z Franką wprawdzie żadnych zaczepek nie szukał, owszem, żartował z niej sobie, w oczy jej mówiąc, że jest już starą i że wcale nie potrzebuje popisywać się przed nim ze swoją miastową mądrością, bo on jeszcze więcej o wszystkiem wie, niż ona. Ale jej wydawał się on najpodobniejszym jakoś do dawnych znajomych i przyjaciół; przytem, jak zwykle, wypowiadając wszystko, co jej na myśl przychodziło, głośno i bez wahania się trajkotała, że się jej jego butna postawa i szafirowe oczy bardzo podobają.

Razu pewnego, gdy się z nią przekomarzał, garść suszonych wiśni w twarz mu rzuciła, a innym razem ze swego zaimprowizowanego szezlongu nagle zerwawszy się, tuż przy nim usiadła i, białemi zębami błyskając, a czarne kędziory całym lasem z pod chustki wywijając, w samą twarz mu zajrzała.

Tego wieczora Paweł, z chaty Koźluków wychodząc, tak silnie rękę jej schwycił, że aż krzyknęła z bólu i prosić zaczęła, aby ją puścił.

Lecz on mocniej jeszcze dłoń zacisnął i, na piskliwe jej skargi, ani na giętkie u boku jego zwijanie się nie zważając, do chaty ją wprowadził, drzwi zamknął, lampkę zapalił i obie już jej ręce, tak samo jak wprzódy, ścisnąwszy, tonem zapytania przemówił:

— Przysięgłaś?

Nigdy nie przypuszczała, aby oczy jego tak płomiennie pałać mogły, a stłumiony głos brzmieć tak groźnie.

Pomimo bólu, w ściskanej ręce uczuwanego, zapatrzyła się w niego, jak w tęczę.

— Przysięgłaś? — zapytał po raz drugi.

— No, to i co? — spróbowała zuchwale się postawić.

— Odpowiadaj... chuczej, chuczej, odpowiadaj! Przysięgłaś?

Teraz dwie sine żyły przerznęły mu pogodne zwykle czoło, a oczy stały się czarnemi i czemś czarnem z głębi patrzały. Ale ona, zamiast bojaźni, uczuła nagle odżycie swoich dla niego zapałów, które przedtem już w niej zwolna ostygać zaczynały. Podobał się jej, okropnie podobał się znowu w tej zupełnie innej, niż zwykle postaci. Było to dla niej coś nowego i zaciekawiającego: jakaś siła, która ją podbijała, i namiętność, która warem po żyłach jej przebiegła.

Z okrzykiem miłości, z tłoczącemi się na ustach wyrazami pieszczoty na pierś mu opadła i do ust jego ustami się przykleiła.

On, tak samo jak wtedy, gdy w ciemnym borku, przed mogilnym krzyżem, po raz pierwszy w ramiona ją pochwycił, jak pijak do brzegu czary, do niej przylgnął. Po długiej dopiero chwili zapytał:

— A o grzechu nie pomyślałaś? Aleksego nie polubiłaś? ha?

— Niech tego chama djabli wezmą! tak mnie on w głowie, jak przeszłoroczna zima! Ciebie, Pawełku, lubię! ty mój miłeńki, drogieńki, złoty, srebrny, brylantowy!

Uspokoił się zupełnie; wiedział, że nie kłamała nigdy i nawet nic z tego, co myślała lub czuła, utaić nie była zdolną.

Istotnie też i tym razem nie skłamała. Do przystojnego i od innych nieco światowszego mężczyzny czepiać się zaczynała z przyzwyczajenia, z chęci triumfowania, z odrobiny pociągu, który wnet zagasł przy odnowionym zapale do Pawła. Na wieczornice przez czas jakiś wcale nawet nie chodziła i kilka razy sama zamiotła izbę i zgotowała obiad. Po wodę tylko chodzić i krów doić za nic nie chciała; Paweł też jej do zajęć tych nie znaglał i na odmowne jej odpowiedzi z pobłażliwym gestem mówił:

— Nu, nu, głupstwo! Niech sobie będzie po twojemu, byle tobie dobrze było, i byle ty sama dobra była.

Zresztą zaniósł raz do niej dość dziwną prośbę.

Było to w niedzielę po powrocie Franki z kościoła. Do kościoła, znajdującego się w pobliskiem miasteczku, jeździła ona najczęściej, jak tylko mogła, to z mężem, to z Filipem i Ułaną, to z którymkolwiek sąsiadem, na którego wóz wpraszała się z umizgami i grzecznemi słowy. Choć malutkie, było to zawsze

miasteczko, które ciągnęło ją ku sobie. W czasie nabożeństwa przypatrywać się mogła zebranym w kościele różnym ludziom, a potem na sklepiki z towarami popatrzeć, z czegoś pośmiać się, coś zabawnego, albo osobliwego usłyszeć.

Jadąc tam, ubierała się w swoje miejskie odzienie, a do rąk brała książkę do nabożeństwa, wydętą od włożonych w nią świętych obrazków i biletów z powinszowaniami, które niegdyś na imieniny swe otrzymała.

Miejskie odzienie w nikim tu zachwycenia nie budziło, lecz na trzymaną w ręku książkę wielu spoglądało z ciekawością i podziwem. Na książkę tę spoglądając, Ulana więcej uprzejmą, niż zwykle, stawała się dla bratowej, obok niej na wozie siedzącej; wzrok Filipa, zatrzymując się też czasem na czarnych okładkach i złoconych brzeżkach książki, stawał się zamyślonym i poważnym; Awdocia, po raz pierwszy ją ujrzawszy, w pomarszczone ręce klasnęła i zawołała:

— Ot, szczęśliwa, ot, laskę swoją Pan Bóg Najwyższy tobie okazał, że i z książki chwalić Jego możesz!

Aleksy nawet, gdy raz Frankę razem z żoną swą wieźć miał do kościoła, na widok książki spokornieł trochę, żartować z Franki przestał i, na znak uszanowania, więcej nieco siana w to miejsce, które ona na wozie zająć miała, zgarnął. W nikim przecież ta książka takiego zajęcia i pociągu nie budziła, jak w Pawle. Ilekroć brał ją w ręce, zawsze wprzód ze schyloną twarzą dmuchnął na nią ze stron obu, końcami palców starł z niej resztki niespędzonego przez dmuchnięcie pyłu, a potem, na ławie usiadłszy, powoli, ostrożnie w różnych miejscach ją roztwierał, po drukowanych kartkach wzrokiem wodząc i czasem błogo uśmiechając się, a czasem z milczącą żałością głową trzęsąc.

Kwadranse niekiedy upływały mu na tej kontemplacji, którą zazwyczaj kończył głębokiem westchnieniem i pełnem uszanowania złożeniem książki na miejscu w chacie najparadniejszem, to jest na olchowej, czerwonej szafie, pomiędzy lampką z wysokim kominkiem i samowarkiem z połyskującej blachy.

Raz, kiedy Franka po powrocie z kościoła, jak zwykle, książkę swoją niedbale na stół porzuciwszy, ze szczebiotem i śmiechem kręciła się po chacie, Paweł, od książki wzroku nie odrywając, przemówił:

— Franka! Wiesz co, Franka? Ja ciebie dawno już o jedną rzecz chciał prosić.

W wybornym dnia tego była humorze, bo dziś w miasteczku,

kiedy kręciła się po rynku, jakiś pan w zgrabnem futerku — podobno pisarz z sąsiedniego dworu — wskazując ją drugiemu, powiedział:

— Ot, szelma przystojna!

A drugi, starszy, podobno ekonom, głową kiwnął:

— A niczego sobie fryga!

Krótka ta rozmowa, którą usłyszała, sprawiła jej wielką przyjemność.

W dodatku za dwanaście groszy, które jej od kupienia krup i soli zostały, kupiła sobie ze straganu karmelków, które teraz, na ławie jak kotka zwinięta, jak wiewiórka w zębach chrustała.

Usłyszawszy więc słowa męża, uprzejmością i czułością wybuchnęła:

— Ja dla ciebie, Pawełku, wszyściutko na świecie zrobić gotowa!

— Nu, kiedy już ty taka dobra, to bądź łaskawa, naucz mnie czytać.

Osłupiała zrazu ze zdziwienia, ale potem uczuła się bardzo dumną. Co to znaczy z dobrej familji pochodzić! Gdyby ze złej pochodziła, czytaćby nie umiała. Dobrze! Czemuż nie? Wyuczy Pawła czytać. Oj-oj! wielkie rzeczy! W domach swoich dawnych państwa ona takie guwernantki widywała, co w głowie mniej rozumu miały, niż ona w małym palcu, a jednak uczyły. Tylko że do tego elementarza trzeba.

O elementarz Paweł jednego znajomego sobie człowieka poprosić miał, a teraz z rozczerwienioną twarzą nalegał na nią, aby mu tymczasem na książce do nabożeństwa litery pokazała.

— Pokaż, Franka! bój się Boga, choć na książce tymczasem pokaż. Jaż tak długo tego szczęścia żądał!

Znowu zdziwiła się niezmiernie. Cóż to za takie szczęście: umieć czytać?

Ale Paweł tłumaczyć jej zaczął, że niczego ludziom nie zazdrości, tylko tego, jeżeli który umie na książce w kościele Pana Boga pochwalić, a w chacie, kiedy jest czas, różne ciekawe historje poczytać. Po świecie nigdy tułać się nie lubił, to też i nic prawie nie wie, co dzieje się tam za górami, za lasami, a wiedzieć chciałby. W książkach to wszystko napisane stoi, wie o tem, bo, gdy z nieboszczykiem ojcem jeszcze po dworach przebywał, dużo książek widział i ludzi, na nich czytających, słyszał. Ekonom tam czasem żonce swojej na głos czytywał i ochmistrzyni, kiedy w dobrym humorze była, w niedzielę, czy święto jakie,

ojca jego do swego pokoju wołała i głośno z książeczek różnych czytała. Słyszał też czytające głośno panienki, i pod ganek, na którym one siedziały, zakradłszy się, słuchał. Często rozmyślał, jakby to nauczyć się? ale nie było jak i od kogo. W tej wsi dwaj ludzie są tacy, co czytać umieją, ale do nauczania kogoś ani czasu, ani ochoty nie mają. Teraz przecież on razem z żonką i to szczęście do swej chaty wziął. Ona go nauczy i Boga lepiej chwalić, i z ciemności na światło wychodzić, i może lepszym zrobić się, niż do tego czasu był, bo, słyszę, w książkach różne sposoby takie podają, przez które ludzka dusza, jak ta gołąbka bielutką stać się może.

— Głupstwo dusza i głupstwo gołąbka! — zeskakując z ławy, zawołała Franka — ale, że w książkach ciekawe historje opisują, to ciekawe!

Ona sama lubiła czasem poczytać sobie, a u niektórych jej pań dużo książek było: więc je brała i czytywała, albo nocami, w pościeli leżąc, albo w świąteczne dni z kimkolwiek ze swoich gości w garderobie lub kuchni.

Jedną z tych przeczytanych historyj teraz Pawłowi opowiadać zaczęła. Czytała ją, jakgdyby to wczoraj było, tak pamięta, z jednym lokajem, w którym kochała się podówczas. Był to romans jakiś, pełen zdumiewających i okropnych przygód i wrażeń. Figurowali w nim zbójcy, trucicielе, zgubione kobiety, podrzutki, niezmiernie cnotliwe księżne i do najwyższego stopnia szlachetni hrabiowie. Franka opowiadała go dokładnie z ognistą gestykulacją i mimiką, najszerzej i z największą lubością rozwodząc się nad romansami i zbrodniami; aż jej oczy pałały i drgały muskuły twarzy. Tyle ze swojej umiejętności czytania skorzystała.

Paweł, choć w części tej ślicznej, jak ją Franka nazywała, historji, nie zrozumiał, a w części jej się przeląkł, wcale się do przedsięwzięcia swego nie zniechęcił.

Zima była tęga; na rzece, grubą warstwą lodu opancerzonej, mało co robić było można; czasu więc miał wiele i odtąd codziennie to w południowych, to w wieczornych godzinach od Franki żądał, aby mu czytać «pokazywała».

Ona zrazu chętnie tę prośbę spełniała. Przy sosnowym stole, starannie przez Pawła wytartym, przed małem oknem, za którem na ogrodzie wzdymały się puchy śniegowe, i stała szronem okryta grusza, w surowem, bo niczem nie przyćmionem świetle białej zimy, nad otwartą książką lub elementarzem oboje zasiadali.

W chwilach tych, ten wysoki, silny, przeszło czterdziestoletni człowiek w dziecko pokorne i lękliwe przemieniać się zdawał. Z zydla, nad stołem tak pochylony, że na dwoje jakby złamany, w litery, które mu Franka końcem palca pokazywała, z takiem wytężeniem oczy wlepiał, iż zdawać się mogło, że z pod szeroko rozwartych powiek wyskoczą. W twarzy jego, bibuły prawie dotykającej, dziwne zachodziły zmiany: brwi podnosiły się wysoko, czoło w dwie grube zbiegało się zmarszczki, wykrzywiały się policzki i wydymały wargi.

Kiedy już pierwsze głoski alfabetu rozpoznawać się nauczył i monotonnie, powoli wymawiał: a, b, c... oderwane dźwięki jego głosu podobnemi były do stękań, z trudnością z piersi dobywanych. Z trudnością wielką rozróżniać mu przychodziło te drobne, czarne, kręte linje, wzrokowi jego dotąd zupełnie nieznane; z powolnością niezmierną mózg jego rozpoczynał czynność, dotąd zupełnie mu obcą.

— D... e... f... — stękał i wzdychał, nie czując i nie wiedząc sam, że ręce, pod stołem na kolanach złożone, tak silnie łamał, iż stawy palców na całą izbę trzeszczały.

— G... h...

Nad następną literą siadywał długo w milczeniu, kurcząc się coraz bardziej, z wielkiemi kroplami potu na zmarszczonym czole. Trudno mu było odróżnić ją od jednej z następujących. Nakoniec zcicha, lękliwie wyszeptał:

— L...

Franka, która przy każdem utknięciu męża nad którą z liter niecierpliwie kręciła się na stołku, z krzykiem teraz zerwała się z siedzenia:

— Ot, dureń! L... l... l... jakież to l, kiedy kropka na wierzchu stoi! Ot, chamska głowa! Taki ty do czytania zdatny, jak wół do karety!

Na obelżywe jej wyrazy wcale uwagi nie zwracając, jedną palącą chęcią ogarnięty, pokorne spojrzenie ku niej wznosił.

— Nu, Franka, nie gniewaj się! cichoż już, cicho! już ja sobie przypomniał, że to i... z kropką na wierzchu... nu, siądź i jeszcze troszkę pokaż... cicho! cicho!

Za rękę ją ku stołowi przyciągał i rozkrzyczaną pokornie uspokajał:

— Widzisz, Franka, ja do tego nie przyzwyczajony... ale ty poczekaj troszkę... poczekaj... moja mileńka... niechaj trochę przywyknę...

Siadała znowu, ale już nadąsana, niechętna i za każdą omyłkę coraz srożej go gromiła.

On i to znosił cierpliwie.

— Poczekaj, mileńka — powtarzał — poczekaj troszkę... niechaj przywyknę.

Przywykał istotnie dość prędko i, cały alfabet wybornie już umiejąc, raz wieczorem przy świetle naftowej lampki dość biegle już bąkał: b, a, ba, b, e, be, — kiedy Franka, jak sprężyną podrzucona, ze stołka się zerwała i krzyknęła:

— Nie chcę! nie będę! Dość już tego! niech to czytanie djabli wezmą! Czy ja u ciebie za guwernantkę najęła się? Nuda mnie taka źre, że chyba jak pies wyć zaraz zacznę!

Na pościel jak długa upadła i, z twarzą do sufitu obróconą, z rękoma nad głową wyprężonemi, poziewać zaczęła. Poziewanie to, przeciągłe i głośne, istotnie do wycia podobnem było.

Paweł, zmartwioną twarz z nad elementarza podniósłszy, milcząc, na nią popatrzał, głową kiwnął, ręką lekceważący gest uczynił.

— Ot, jeszcze do ciebie czasem złe przystępuje. Musi spać chcesz, kiedy tak drzesz gębę. Nu, i dobrze, kiedy spać, to i spać.

Lampkę zgasił i po kilku minutach głęboko już usypiał.

Ale jej wcale do snu nie było.

W długie zimowe noce napadały ją trwogi i przerażenia, zarówno przez grobową ciszę, jak przez napełniające ją niekiedy głosy obudzane. Gdyby choć jeden turkot kół, choć jedno gwizdnięcie nocnego stróża, choć jedno zatętnienie śpieszących się stóp ludzkich po zmarzłym chodniku ulicy, choć najbledszy odblysk ulicznej latarni, choć najsłabsze echo muzyczki, zabawie nocnej kędyś przygrywającej!

Gdzie tam! Nie było tu nic, nic z tego, co ją niegdyś uspokajało i rozweselało, ilekroć rozmarzona, wzburzona lub chora, usnąć nie mogła.

Tu w mroźne, spokojne noce panowały takie ogromne, rozległe cisze, z taką bezdenną, zda się, ciemnością czasem połączone, że jej się wydawało, jakby głęboko pod ziemią leżała. Niekiedy w tę ciszę i ciemność wpadało silne stuknięcie, do wystrzału z pistoletu albo do uderzenia kamieniem o ścianę chaty podobne. Franka wyprostowana i z natężonym słuchem na pościeli siadała, a gdy stuknięcie powtarzało się, ramię śpiącego męża targać zaczynała. Z trudnością rozbudzonemu Pawłowi

przerażonym szeptem mówiła, że do chaty ich dobierają się rozbójniki. On w to nie wierzył, bo, odkąd żył na świecie, w tej wiosce żadnych rozbójników nie bywało; w ciszę i ciemność wsłuchiwał się przecież, a gdy stuknięcie powtórzyło się jeszcze, ze śmiechem żonie oznajmiał, że to z takim hukiem ściany chaty od mrozu pękają. Przekonała się zczasem, że tak było istotnie, ale nigdy z temi nocnemi głosami oswoić się nie mogła.

Mróz, jak lodowy olbrzym, gniewnie i smutnie tułał się po wsi. To w jedną ścianę chaty, to w drugą, to daleko, to blisko uderzał; pękaniem i cichym trzaskiem odzywał się dokoła małych okien; za oknami po płotkach ogrodu chodził, i z oddalenia jeszcze słychać było, jak dokoła chaty Koźlukowej błądził. Wprawdzie to tułanie się po wsi i wśród czarnych nocy lodowatego olbrzyma zdarzało się nieczęsto, lecz i odwilże niememi nie były.

Mróz stukał, pękał, trzeszczał, one zaś wzdychały, szeptały, szlochały. Wiatr wzdychał, u okapu chaty roztapiające się sople lodu cichym pluskiem płakały, u ściany stara grusza szeleściła, i zaledwie dosłyszalne szepty rozbiegały się nad topniejącym śniegiem po suchych badylach ogrodu. France zdawało się wtedy, że słyszy dokoła chaty ciche zmowy zaczajonych złoczyńców, albo westchnienia błędnych i udręczonych duchów. Przypominała sobie cmentarz pobliski i wszystkie historje o duchach i strachach, których znała mnóstwo. W ciemnej izbie rozlegał się szept głośny i przerażony:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego... Jezus, Marja i wszyscy Święci Pańscy, ratujcie!

Przy świetle dziennem, w humorze dobrym, gotowa zawsze ze śmiechem zawołać: — Głupstwo Pan Bóg! głupstwo dusza! — w nocnych ciemnościach wierzyła w powracające z tamtego świata dusze i przyzywała na pomoc nietylko Boga, ale i świętych, których imiona poznała ze znajdujących się w jej książce do nabożeństwa litanij.

Najgorzej jednak bywało, gdy nad uśpioną wioską rozhulały się wielkie zimowe wichry. Z pól szerokich, z głębokiej kotliny Niemna, z pod utopionego w ciemnościach nieba przylatywały one, powstawały, spadały i nad szeregiem niskich, pod śniegowemi kołdrami śpiących dachów, dokoła ciemnych, śniegowemi wałami otoczonych ścian, odbywały się szalone orgje. Powietrze napełniało się wtedy kotłowaniem i wrzaskiem wszyst-

kich głosów świata. Były to uganiające się z sobą olbrzymie kule czy kłęby, które w szalonym rozpędzie uderzały o siebie z trzaskiem piorunów lub hukiem armatnich wystrzałów: grzmoty, z nieustannym turkotem od końca do końca ziemi pędzące, przeraźliwe wycia smaganych psiarni, krzyki mordowanych, płacze zrozpaczonych, przeciągłe błagania topiących się w groźnych szumach, łopoty mnóstwa skrzydeł, połączone z trzaskiem walących się gmachów.

Wszystko to piekielnym hałasem i szałem napełniało ciemne przestworza, lecz ludzi usypiających pod niskim szeregiem dachów, w śniegowe kołdry otulonych, nie budziło wcale. Pod wszystkiemi tymi dachami, spokojnie i bezpiecznie w srogich, lecz dobrze znanych ramionach natury usypiającemi, jedna tylko istota siedziała na pościeli, wyprostowana, ze wzrokiem w ciemność utkwionym, z wyprężonym słuchem, z oddechem zamierającym w piersi i z potem na czole. Teraz była pewną, że zaraz, zaraz roztworzą się naoścież trzeszczące i skrzypiące drzwi i okna chaty, a przez nie wleci cały tłum wściekłych szatanów, lub, że wnet, wnet, te szalejące wichry chatę wywrócą i dach jej i ściany na nią zwalą.

Znowu męża za ramiona targała:

— Chata zawali się! Paweł! Paweł! uciekajmy gdziekolwiek, chata zawali się!

Sennym i zdziwionym głosem zapytywał:

— Czemu?

— Posłuchaj! — odpowiadała.

Słuchał chwilę, a potem, na drugi bok przewracając się, mówił:

— Głupstwo! nie zawali się! czy to pierwszyzna?

— Pawełku, — prosiła wtedy — zapal lampkę... mój drogieńki, złoty, brylantowy, zapal!

Ale długo go prosić nie potrzebowała. Wstając i zapalając lampkę, zapytywał:

— Czemuż sama nie zapaliłaś?

— Aha! ja i oddychać bałam się, nietylko co!

— Głupstwo! — powtarzał — przeżegnaj się i śpij.

Zaledwie to wymówił, usnął znowu, a ona, przez zapalone światło trochę uspokojona, nie kładła się jednak; na pościeli siedząc, ze wzburzonemi włosami i nieoschłym jeszcze potem na czole, śpiącemu obok niej człowiekowi przypatrywać się zaczynała.

Paweł sen miał, z łatwością przychodzący, twardy, a kiedy

nieruchomy i z zamkniętemi powiekami leżał, wydawał się znacznie starszym, niż wtedy, gdy poruszał się i patrzał. Gibkość ruchów i przezroczysty błękit oczu nadawały mu czasem pozór prawie młodzieńczy. Teraz zmarszczki, które miał na czole, stawały się wydatniejszemi, a poważny układ warg całą twarz czynił surową.

Franka, z wlepionemi w niego oczyma, przez zaciśnięte zęby wymawiała:

— Bałwan! znów zasnął!

Przytem, jaki on teraz brzydki! Wcale inaczej wyglądał, kiedy go po raz pierwszy w czółnie na Niemnie ujrzała. Taki jej wtedy wydał się zgrabny i tak na nią ładnie patrzał. A teraz...

Znowu przez zaciśnięte zęby wymówiła:

— Stary!

Dokoła chaty wiatr hulał, świstał, grzmiał, wył i turkotał, złe błyski przelatywały po czarnych źrenicach kobiety, która, ze wzburzonemi włosami na pościeli siedząc, przypatrywała się uśpionemu obok niej mężczyźnie.

Jednak kiedy o świcie budził się i, zaledwie zaczynającą usypiać, ku sobie ją przyciągnął, jak rozpieszczona kotka poddawała się jego uściskom, pocałunkami go zjadała, miłosnemi szeptami upajała, a w kilka godzin potem, ze śmiechem i szczebiotem z pościeli zeskoczywszy, ochoczo zwijała się około rozpalonego ognia i przyrządzania strawy.

Ale zdarzyło się, i coraz częściej zdarzać się zaczynało, że, niedawno uśpionej nie budząc wcale, Paweł wychodził z chaty, aby do przerębli, w której wczoraj sieć był zapuścił, zajrzeć, albo, gdy lód pękać już zaczął, na kry płynące popatrzeć, a z nich możność i kierunek najbliższy polowów wymiarkować. Zmysłowość podstawowym czynnikiem natury jego nie była i, choć podniosła się w nim gwałtownie, tem gwałtowniej, że późno i po raz pierwszy, ustępowała teraz pod ociężałym nieco spokojem ciała i ducha, przed skłonnością i przyzwyczajeniem do długich, milczących zamyślań się i kontemplacyj.

Kiedy po pęknięciu lodów po raz pierwszy na brzegu rzeki stanął, całą może godzinę, z brodą na dłoni opartą, nieruchomie przestał, oczyma tylko po roztaczającym się przed nim widoku wodząc. Niebo miało już wtedy ciepły błękit nadchodzącej wiosny, a na niem wzbijało się z nad boru samotne, bladawe, lecz już ciepłe słońce.

Za rzeką płachty i wzgórza roztapiającego się śniegu bie-

lały wśród ciemnej zieleni sosen, po których wierzchołkach z urywanem, radosnem krakaniem skakały z podlatywaniem wrony.

Rzeka wyglądała, jak nieścigniony szlak płynącego srebra, okryty żeglującemi po nim taflami, pagórkami, domkami z kryształu. Gdzie niegdzie słychać było kipienie i warczenie wody, jeszcze pod grubą szybą lodu uwięzionej; lecz środkiem szerokim, to tłumnie i szybko, to samotnie i poważnie, płynęły te kryształowe twory, lśniące, przezroczyste, tu i owdzie przez promień słońca pozłocone, albo barwami tęczy nalane i opasane. Było ich tak wiele, że wydawać się mogły fantastycznym i nieprzeliczonym ludem, w pośpiechu i milczeniu z jakichś nieznanych i niesłychanych stron uciekającym. Zaledwie przepłynęły jedne, napływały inne i, gdy tamte u jednego widzialnego słońca rzeki zdawały się stłaczać w gród, wieżami i dachami nastrzępiony, u drugiego końca takiż gród rozdrabniał się na cząstki i niemi szlak płynącego srebra okrywał. Wszystko to odbywało się w wielkiej ciszy powietrza, którego chłody podszywało słabe i chwiejne ciepło, a napełniała słaba także, lecz stała woń już odmarzłej i pod śniegowemi roztopami zaczynającej swobodnie oddychać ziemi.

Co rok Paweł widok ten miewał przed sobą i co rok witał go przyjaznym uśmiechem i radosnym błyskiem oczu. Nie tyle było w tem zachwycenia, przez piękność natury obudzonego, ile przyjemności, że spotkania się z czemś dobrze i dawno znanem płynącej.

Możnaby mniemać, że dla przyrody uczuwał on to potężne przywiązanie, z którem niemowlę, imienia matki wymówić nie umiejące, rękoma i usty czepia się jej piersi — które może ślimak do swego wapiennego domku i robak do swojej rodzinnej grudki uczuwa. Jednak, oprócz tej serdecznej przyjaźni z naturą, doświadczać on musiał na widok jej zjawisk rozkoszy i zachwytu, bo kiedy, z góry zstępując, po raz pierwszy tej wiosny płynące kry zobaczył, jak wryty stanął i taki okrzyk z rozwartych ust wydał, jakby je zobaczył po raz pierwszy w życiu. Potem przypatrywał się im z brzegu całą godzinę tak pilnie i baczne, jakby je liczył.

Za temi, które miały osobliwe kształty, dłużej niż za innemi wzrokiem wiódł; na widok jednej, do kapliczki ze szkła podobnej i tęczowemi błyskami u szczytu połyskującej, głową pokiwał i językiem mlasnął.

— Ot, śliczna!

Stukiem siekiery z tej kontemplacji obudzony, obejrzał się i zobaczył Filipa, który prom swój naprawiać i do puszczenia go na rzekę przysposabiać zaczął.

W robocie tej trudność snadź jakąś spotkał, bo do szwagra zawołał:

— Pomaży, dziewier! zmiłujsia, pomaży!

Paweł drugą siekierę, dla Daniłka przygotowaną, z ziemi podniósł i pilnie, choć z powolnemi ruchami, ogromne gwoździe w grube deski wbijać zaczął.

Tak obadwaj w cichem, porannem powietrzu siekierami gorliwie stukali, aż i Ulana z dwoma wiadrami po wodę zeszła, i inne kobiety z wiadrami też albo dzbankami ukazały się na brzegu, a kilku mężczyzn tu i owdzie poczęło ściągać z góry łodzie i czółna, które już wkrótce potrzebnemi być miały, i albo siekierami rozluźnione ich deski zbijać, albo poczynione w nich otwory smołą zalewać.

Brzeg zawrzał życiem, robotą, zamaszystemi ruchami ramion, głośnemi rozmowami. Przed rozpoczęciem zajęcia wszyscy choć przez chwilę na płynące kry patrzali, głowami kiwali, palcami sobie wzajem największe i najdziwniejsze z nich ukazywali.

Kobiety, z głośnym piskiem w ledwie odmarzłą wodę bose stopy pogrążając, odważnie przecież i pośpiesznie napełniały nią wiadra i dzbany.

Kilku chłopców, pod przewodnictwem swawolnego Daniłka, na krę najbliżej brzegu płynącą dostawszy się, z krzykiem triumfu i trwogi naprzemian po ruchomej tafli lodu ślizgać się próbowało; Filip, podniósłszy się z nad roboty, donośnie młodszego brata za swawolę i próżniactwo gromił, a Paweł, także na chwilę robotę przerywając, kilku najbliżej znajdującym się ludziom przepowiadał, że wiosna w tym roku rychłą i ciepłą będzie; już on to według zapachu ziemi i pory, w której kry płynąć zaczęły, miarkuje. Temu gwarowi, na jednym brzegu powstałemu, odpowiadał na drugim gwar wron, które rozkrakały się, jak opętane, i czarnemi stadami nad borem latały, a na szczycie góry od końca do końca wsi płynąć zaczęły, stłumione ścianami obór, ryk krów i beczenie owiec. Koguty też tam piały, i psy szczekały w zawody ze stukającemi u dołu siekierami, budząc w dalekich głębiach boru przewlekłe echa.

Franka w tej porze, skrzypnięciem otwierających się drzwi obudzona, rozczochraną głowę od poduszki odrywała i zaspanym wzrokiem spostrzegła naprzód kij sękaty, o podłogę izby ze stu-

kiem uderzający, a potem u samego progu przysiadającą na ziemi kupę łachmanów.

— Niech będzie pochwalony... — ozwał się głos, do pociągnięcia piły po drzewie podobny.

Franka, leniwie wyciągając się na pościeli, mówiła:

— Zmiłuj się, Marcelka, ogień rozpal, niech ja sobie jeszcze troszkę poleżę.

Z żebraczki tej, za misę strawy, niekiedy szklankę herbaty albo kawał słoniny i garść mąki, sługę sobie uczyniła. Była też ona jej powiernicą i ze wszystkich mieszkanek wsi jedyną, której towarzystwo lubiła i której nigdy nie nazywała chamką. Wzajemnie zwierzały się przed sobą. U progu na ziemi siedząc, albo na ławie z zielonawej szklanki mętną herbatę popijając, Marcela oddawna już życie swoje France opowiedziała. Wypadkiem, wśród wiejskich kobiet zupełnie wyjątkowym, nigdy zamężną nie była, przez całą młodość po dworach przetulała się, to ciężko harując, to hulając sobie i panując, jak zdarzyło się, jak dola zrządziła.

Był bowiem taki czas, w którym i ona panowała i szczęśliwą była, w pięknych sukniach chodziła, tyle tylko pracowała, ile sama chciała. Pan był młody i jak swoją duszę ją lubił. Nie żenił się z nią, bo chłopką była, ale lubił i byłby może nigdy lubić nie przestał, byłby może kiedykolwiek i ożenił się, gdyby majątku nie stracił i w dalekie strony do wielkiego miasta nie wyjechał. Gdzież mu już było, kiedy i sam był biedny, ją z sobą do wielkiego miasta brać? Pojechał i zapomniał. Ona także zapomniała, i różne potem szczęścia i nieszczęścia ją spotykały; ale, kiedy już całkowicie postarzała i na żebractwo zeszła, coraz częściej sobie to pierwsze swoje szczęście przypomina, jaką była wtedy, i jaki on był, i co w te dawne, dawne lata widziała i doświadczała.

Oj, cudności i dziwy wszelakie ona wtedy widziała i rozkoszy wszelakich doświadczyła; o nich też, o zabawach i przysmakach pańskich, o pokojach pięknych, o muzykach wesołych, naprzemian wzdychając, to chichocząc, głową żałośnie trzęsąc, to w same ucho słuchaczki coś szepcząc, France rozpowiadała. Franka zaś rozwartemi usty, z za których białe zęby błyskały, i rozbłysłemi od współczucia i ciekawości oczyma zdawała się pić i pochłaniać te zwierzenia, które w jej własnej pamięci rój wspomnień budziły. Zkolei więc przypominała sobie i swoją szybką, gorączkową mową przed Marcelą malowała lata swej pierwszej młodości i napełniające ją miłosne wrażenia,

Smutnie, gorzko zamyślały się potem obie, Franka głośno wyrzekać zaczynała:

— Oj, czemu mnie całe życie tak samo nie przeszło, jak wtedy przechodziło! Czemu ja teraz taka nieszczęśliwa, że i nadziei tej mieć nie mogę, aby ono kiedykolwiek jeszcze do mnie powróciło!

A stara żebraczka, która imię nadziei oddawna już wymawiać zapomniała, z rękoma na kiju splecionemi, w ziemię patrząc, wzdychała:

— Oj, chciałabym ja przynajmniej wiedzieć, czy ten mój gołąbek mileńki po świecie jeszcze nóżkami swemi chodzi? Czy główka jego spokojna i szczęśliwa? Czy robaki pod ziemią oczek mu nie wyjedli?

Czasem, gdy tak wzdychała i zawodziła, łzy wypływały z pod jej opuchłych powiek i po kredowych, pomarszczonych policzkach, jak mętne krople ciekły.

Raz w chwili takiego rozczulenia powiedziała France, że dwoje dzieci miała: syna, który, zaledwie dorósłszy, umarł, i córkę, która żyje, ale głupowata, niezdarna, po najpodlejszych służbach chodzi i jej w niczem pomocą być nie może.

Powiedziała to bez wahania, bez zawstydzenia, ot, tak, jako rzecz zupełnie prostą, i która w tej chwili na pamięć jej przyszła. Ale wnet przypomniała sobie także, ile biedy, pracy, kłopotów z dziećmi temi miała, jak jej dla wyżywienia ich i przyodziania ręce od pracy mdlały, jak musiała i za nich i za siebie wysługiwać się ludziom, i jak za to wszystko na starość nic jej, oprócz żebractwa, nie pozostało.

Brwi siwe nasępiła, źrenice jej z za powiek opuchłych i czerwonych srogie błyski ciskały.

— Kab im dobra na tym i na tamtym świecie nie było! Kab ich paralusz naruszył! Kab im kości pokruciło!

Po chłopsku złorzeczyła dachom, pod któremi kochała, weseliła się, pracowała, cierpiała i z pod których w ostatecznym wyniku nic nie wyniosła, oprócz samotnej, żebraczej, okrutnej starości.

Frankę też porywały gorzkie urazy i gniewy. Zrywając się ze stołka, z żywemi gestami szczupłych ramion, przekleństwom i skargom żebraczki wtórzyć zaczynała.

— A jaż co zyskała u nich! Figa, rożek i pierożek zostawały mi zawsze z każdej tej miłości i z każdej tej służby. Kiedy najwięcej lubiłam, lubić przestawali. Kiedy chorowałam, do szpi-

tala mnie rzucali. Kiedy zamąż szłam, trzy dziurawe koszule miałam. Oj, świat! oj, ludzie! Żeby taki świat pioruny spaliły! Żeby tacy ludzie wskróś ziemi przewalili się!

Na sferę świata, w której spędziły młodość i z której uniosły nagie ciała i puste dusze, z serc i ust wyrzucały namiętne przekleństwa, ale za kwadrans, za godzinę, najdalej nazajutrz, znowu o powabach jej, uciechach i zaznanych wśród niej wzruszeniach i rozkoszach wspominały z zachwytem, tęsknotą i żalem.

Raz, o szarej godzinie, Marcela, u progu izby na ziemi siedząc, po zjedzeniu kawałka chleba i sera, w długie wpadła milczenie. Tylko co powiedziała France, że do miasta jutro pójdzie, aby przez nadchodzący wielkanocny tydzień trochę groszy od dobrych ludzi nazbierać, jest to bowiem pora, w której ludzie najwięcej żebrakom dają. Franka aż zatrzepotała cała, o wycieczce Marceli do miasta usłyszawszy. Onaby także tam poleciała, na skrzydłachby poleciała, aby domy i ulice, przyjaciół i przyjaciółki zobaczyć, choć raz po dawnemu poweselić się i pohulać. Ale gdzie jej tam teraz o takiem szczęściu myśleć. Już za nią klamka zapadła, już ona sama siebie w grobie zagrzebała. Siedzieć jej teraz tylko w tej chacie, wiatrów wiejących słuchać i na chamów patrzeć. Ot, co ona z sobą zrobiła...

Długo mówiła w ten sposób, ale, od Marceli odpowiedzi żadnej nie otrzymując, w kącie izby na ławie skurczona w ponure milczenie zapadła.

Cisza i zmrok napełniały izbę. Ze wsi dochodziły odgłosy do monotonnego szmeru podobne; na przeciwnym brzegu rzeki głos męski i donośny, każdą zgłoskę przewlekle jakby śpiewając, wołał:

— Po-rom! po-rom!

A wnet potem dało się słyszeć szybkie zbieganie z góry Filipa i Daniłka. Na świecie wiosna roztapiała resztki chłodu, pachniała odżywiającemi iglami sosen, zieleniała młodą trawą. Na dworze bawiące się dzieci Koźluków u bliskiego płotu wybuchały czasem płaczem lub śmiechem.

Dwie kobiety, w mrocznej izbie zdala od siebie siedząc, milczały, i po długiej dopiero chwili z szarzejącej u drzwi kupy łachmanów wydobyło się coś nakształt śpiewu:

Powiej, wietre, powiej, wietre, z zielonoho haju,
Powiernisia nasz panoczek z dalokoho kraju!

Jak ja maju powiewaci, koli haj wysoki,
Jak ja maju powiernućsia, koli kraj daloki!

Dziwny to był śpiew: basowy, ochrypły, dygoczący, do wywodzenia tonów sił nie mający, jednak pełen żałości i skargi. Wnet też, po prześpiewaniu jednej strofy pieśni, Marcela wzdychać zaczęła tak głośno, że to wzdychanie, jak przedtem śpiew, całą, coraz ciemniejszą, izbę napełniło.

— Och, och, och! Och, och, och!

Ale wkrótce wzdychanie to zastąpił świszczący szept:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...

W szepcie tym słychać było skruchę, pokorę, szczere i błagalne wznoszenie się sierocej i znękanej duszy ku Niebieskiemu Ojcu.

Odmówiła cały pacierz, przeżegnała się znowu i wnet potem innym już zupełnie tonem przemówiła:

— Aaa! a jaż tobie nowinę powiedzieć zapomniałam!

Głośno i przeciągle poziewając, Franka zapytała:

— Jakaż to nowina?

— Już jakieś państwo z miasta pałac na lato najęli.

Franka wiedziała, że chłopi tę willę, w której zeszłego lata parę miesięcy spędziła, i z której wziął ją Paweł, pałacem nazywają.

Z ławy poskoczyła, w ręce klasnęła.

— Już najęli! a, mojaż ty mileńka, czemuż ty mnie pierwej tego nie mówiła? Ot, ciekawość, kto to taki ci państwo? Może znajomi? Może kogo znajomego z sobą przywiozą? Jak tylko przyjadą, polecę dowiedzieć się i popatrzeć! Nie wiesz czasem, Marcelko, czy bogaci, czy młodzi, czy dużo służby trzymają?

III.

Dzień jesienny zbliżał się do końca, powietrze chłodne i nieruchome napełniał zmrok przedwczesny, zaprawiony sinawą barwą, od ciężkich, ciemnych, niskich kłębów chmur spływającą. Kłęby te, ogromne i mniejsze, jakby roztopionym ołowiem nalane, ciężko, leniwie, bardzo powoli przewalały się po gdzie niegdzie bardziej widzialnej białości obłoków, a u zachodniej strony widnokręgu stawały jedną grubą, wysoką ścianą, po któ-

rej mętnych, sinawych szarzyznach płynęły fale i plamy brudnego granatu i smołowej prawie czarności.

W tym przedwczesnym, smutnym, sinawym zmroku, w powierzu chłodnem, nieruchomem, jakby zamarłem, bo dźwięków, woni, nawet oddechów wiatru pozbawionem, szereg niskich domostw, u szczytu nadrzecznej góry wyciągnięty, stał cicho, nieruchomie, jakby sennie.

Kędyś tam na szerokich polach, gnijącem ścierniskiem usłanych i uschłemi łodygami roślin nastrzępionych, ostatni w roku i dniu oracze zatapiali jeszcze lemiesze w pociemniałej od deszczów ziemi i przewlekłemi wołaniami zachęcali zmęczone zwierzęta do przeciągnięcia pługów po ostatniej, jeszcze nie zoranej, bróździe. Ale na ulicy i podwórkach wsi ludzi widać nie było.

Wszystkie nazewnątrz chat roboty pokończone zostały, ogrody stały pustką, żadna gałąź nie poruszała się na żadnem z drzew, ogołoconych z liści i na granatowoczarnem tle nieba rysujących ciemne, koronkowe wzory. Tu i owdzie nisko nad ziemią okna zapalały się, jak złotawe lub czerwonawe ogniki, a wyżej z kominów wypływały dymy, lecz zamiast wstęgami rozwijać się ku górze — smutno i ciężko takiemiż kłębami, jak te, które wisiały pod niebem, staczały się ku ziemi.

Wśród tego zmroku i tej nieruchomości rzeczy i ludzi Paweł stał tak przede drzwiami swojej chaty w postawie słupa, wkopanego w ziemię. W ręku trzymał krótką fajkę i bezwiednie podnosił ją czasem do ust, ale za każdym razem ręka jego ciężko wdół opadała, a z fajki nie wydobywało się ani trochę dymu, bo oddawna już ona zagasła.

Z pod daszka czapki, nisko na czoło zsuniętej, wyrazu i kierunku jego spojrzenia dostrzec nie było można, ale po ustach i dolnej części ściągłych policzków przebiegały wciąż krótkie drgania, jakby od wewnętrznych lkań czy bólów pochodzące. Czasem drgania te wykrzywiały mu usta tak, jak to bywa u dzieci, które wzbierający w nich płacz powstrzymują, lub wyrywają z nich ciche, przeciągłe okrzyki bezgranicznego zdziwienia.

Osłupiały, jak w ziemię wkopany, wszelkiego ruchu pozbawiony, Paweł wymawiał czasem:

— Aaaaa!

I znowu milcząc, z pod daszka czapki kędyś daleko na pola, za ostatniemi płotami wsi leżące, czy na wijącą się wśród nich i daleko uciekającą drogę spoglądał.

Za Niemnem ozwało się i w głębokiej ciszy przeciągle, posępnie popłynęło wołanie:

— Proooom! Proooom!

Drzwi Koźlukowej chaty ze stukiem otworzyły się i zamknęły, dwóch ludzi przebiegło wąskie podwórko, i dwie pary męskich stóp zatętniły na stoku góry.

Za Niemnem parę razy ozwało się jeszcze wołanie:

— Proom! Proom!

I umilkło, bo pokład z desek, do dwóch dużych łodzi przytwierdzony, szybko już mknąć zaczynał ku piaszczystemu brzegowi, na którym mętnie ciemniały zarysy parokonnej bryczki. Pod ciemnemi, niskiemi chmurami, na ciemnej wodzie, toczącej się zwolna i ciężko, prom i prowadzący go ludzie wyglądali jak widma.

Rytmicznie, cicho — bez najlżejszego plusku i szelestu, Filip i Daniłko odginali wtył wysokie swe postacie i znowu je prostowali. Rysy i odzież ich zmrok zacierał tak, że wydawali się czarnemi, z czarnym promem zrośniętemi linjami, a długie szosty od rąk ich ku wodzie rysowały suche, czarne, ukośne linje. Wtedy dopiero, kiedy prom całą szerokość rzeki przepłynął, na przeciwległym brzegu ozwały się niewyraźne, bo przestrzenią zgłuszone, rozmowy.

Wtedy też Paweł, przede drzwiami swojej chaty stojący, przeciągle i cicho przemówił:

— Jezuż mój! Jezu! Jezu!

Niewiadomo było, czy wołanie o prom słyszał, lub czy dźwięk jakikolwiek mógłby mu w tej chwili przedrzeć się do świadomości i na świat zewnętrzny wydobyć duszę, pogrążoną w jakiejś głębokiej topieli.

Tylko powolnym ruchem ręki wyżej nieco na czole czapkę podniósł, i wtedy dopiero dojrzeć było można, że patrzał na drogę, po polu wijącą się i aż pod daleki ciemny skłon chmur uciekającą.

Od rzeki na górę powoli i z przytłumionym przez wilgoć turkotem wjeżdżała parokonna bryczka; w tej samej chwili z za węgła Koźlukowej chaty wyszedł Filip. Dla pośpiechu widać naokoło płotka, rozdzielającego ogród, nie obszedł, lecz, przestąpiwszy go z łatwością, puste zagony kilku szerokiemi krokami przebył i przed Pawłem stanął.

— Dziewier! — przemówił — nie gniewaj się na nas, bądź łaskaw, ale my teraz uradnika przez rzekę przewozili i wszystko jemu powiedzieli.

Z trudnością widoczną głos z piersi dobywając, Paweł zapytał:

— A cóż wy takiego jemu powiedzieli?

Filip głowę trochę pochylił i rękę do włosów podniósł.

— A że Franka gdzieściś podziała się, i już tydzień, jak jej w chacie niema... — zcicha powiedział.

Paweł głowę podniósł, i z pod daszka czapki oczy mu błysnęły ostro, popędliwie.

— Czort was za język ciągnął! — ze śpiesznym oddechem przemówił.

— Jaby to może i nie gadał... co mnie do tego? — usprawiedliwiał się Filip — ale Daniłko zaczął: tak i tak, panie uradniku, tak i tak... jak ten mówił... uciekła!

Teraz parokonna bryczka z za Koźlukowej chaty wyjechała i przed zamkniętemi wrotami podwórka stanęła.

Na bryczce siedzący człowiek, w płaszczu, z mętnie połyskującemi guzikami, gł sem, w którym czuć było drwiący uśmiech, zawołał:

— A co, Kobycki? żonka tobie, słyszę, przepadła... Uciekła, czy co? A może ją rozbójniki gdzie zabili? albo utopiła się? ha? Czemuż policji znać nie dał? Możeby, dobrze poszukawszy, i znaleźli. Czy tobie jej nie szkoda? ha? taka ładna kobietka przepadła, a on nic. Wstydziłby się... cha, cha, cha!

Śmiał się, a trzy osoby, przed chatą stojące, z widocznem wytężeniem ciekawości odpowiedzi Pawła oczekiwały. Może spodziewały się, że przekleństwem na tą zginioną on wybuchnie, albo policjanta błagać zacznie, aby wyszukano ją, choćby z pod ziemi wykopano, a do niego na karę i pomstę przyprowadzono.

Ale Paweł, u bryczki stojąc, milczał dopóty, dopóki uradnik śmiać się nie przestał; potem zaś poważnie, spokojnie przemówił:

— Ona nie uciekła, nie utopiła się, i nijakie rozbójniki jej nie zabili. Do familji swojej poszła...

— Ehe! — cienkim i przekornym głosem zagadał we wrotach Daniłko — do familji poszła... niewiadomo tylko, kiedy powróci!

Filip syknął na brata, aby milczał, Paweł zaś, na policjanta patrząc, mówił dalej:

— Policji ja nie oznajmiał i oznajmiać nie będę, bo tu nijakiej policji nie potrzeba... ja dla niej policja...

Podniósł trochę głowę, w głosie jego zabrzmiał gniew,

— Ot, jaki hardy! pchi! — drwiąco syknął urzędnik i z niezadowoleniem zapytał:

— To ty jej, znaczy, pozwolenie dał? ha?

— Dałem! — bez chwili wahania odrzekł Paweł.

Daniłko w obie garście śmiechem parsknął.

— No, kiedy tak, to i ja tu nie mam nic do roboty! Wio! ruszaj!

Bryczka potoczyła się i po ulicy wsi głucho dudniała; Paweł ku trojgu ludziom, za nim stojącym, zwrócił się; oczy mu z pod czapki jak świece gorzały.

— A wy języki mocno w gębach trzymajcie! — z gwałtownym ruchem ramienia zawołał — bo i ja, choć spokojny, gniew swój pokazać mogę... Co wam do tego, że ona poszła, i co was obchodzi, kiedy powróci: prędko czy nie prędko? Jeżeli ona co złego zrobiła, to mnie zrobiła, nie wam. Ot! Ale ona nic złego nie zrobiła... Do familji poszła, z mojem pozwoleniem poszła! Ot, wam wiadomość. Stulcie gęby, i żeby ja nigdy waszego gadania o niej nie słyszał...

— Oj, Pauluczku! — żałośnie zajęczała Ulana — musi ty już nas ze wszystkiem nie lubisz, kiedy nami tak poniewierasz... a wszystko — ciszej dodała — przez tę szelmę, łajdaczkę...

Żałosny głos siostry, którą na rękach swych wyhodował i jak ojciec z rodzonej chaty wyprawił, trochę go ułagodził.

— Nie poniewieram ja wami — spokojnie odpowiedział — a tylko proszę i każę, abyście nie robili tego, co mnie niemiłe... Ja wam nigdy tego nie robił, nie róbcież i mnie... A ona do familji poszła, z mojem pozwoleniem poszła, i czy prędko wróci, czy nieprędko, to już mnie bardzo dobrze wiadomo. Ot, wam wiadomość, pamiętajcież!

Odszedł, płot w najbliższem miejscu przestąpił i znowu przed swoją chatą stanął, plecami o ścianę oparł się i ciężko, śpiesznie, jak człowiek bardzo zmęczony, dyszał. Czapkę aż do połowy czoła podniósł i na drogę, zaledwie już dostrzegalnym białawym szlakiem ciemne pola przerzynającą, patrzał.

Koźlukowie zniknęli we wnętrzu swojej chaty, której dwa małe okna pozłacał blask płomienia.

Chata Pawła stała za jego plecami, ciemna, zamknięta, milcząca; milczenie razem ze zwiększającym się coraz zmrokiem zapanowało znowu od nieba do ziemi, a przerwał je dopiero powiew wiatru, który przed samem zapadnięciem nocnej ciemności nie wiedzieć skąd się zerwał, po badylach ogrodu zaszeleścił i w bo-

lek sosnowy, krzyżami i mogiłami napełniony, poleciał. Sosny zatrzęsły gałęźmi i przeciągle zaszumiały; drobna, deszczowa mgła spuściła się od chmur, które, coraz bardziej ciemniejąc, zlewały się w jedną czarną, nisko wiszącą oponę.

Dla mieszkańców wsi zaczęła się noc jesienna, ciemna, długa, nierozweselona jeszcze wieczornicami, które w późniejszej dopiero porze roku rozpocząć się miały. To też oprócz psów, których drobne postacie pod ścianami i płotkami czasem przebiegały, żywa dusza nie ukazywała się nazewnątrz chat, wewnątrz przecież blaskami ognisk i rodzinnym gwarem napełnionych.

W borku nad mogiłkami zakwiliła sowa, i jednocześnie wrota podwórka zcicha skrzypnęły: jakaś niewielka, w grubym zmroku ciemna postać szybko podwórko przeszła i przed Pawłem stanęła.

— Pauluk! — zaszeptała.

— A czego? Kto to taki? — głosem budzącego się ze snu człowieka zapytał Paweł.

Ale kobieta bezpośredniej odpowiedzi mu nie dała. Niskiego wzrostu była, więc, aby mu w twarz móc patrzeć, wysoko głowę podnosić musiała.

Z podniesioną głową zaszeptała znowu:

— Czego ty, Pauluk, sterczysz przed chatą, jak ten wartownik? Czego ty tu, jak ten słup, stanął i po nocy na pole oczy wytrzeszczasz? Toż to nic. Idzi do chaty! czujesz? (słyszysz). Nu, idziże, a to ludzie pomyślą, że sfiksował, albo złe jakie do ciebie przystąpiło.

Niewiedzieć dlaczego mówiła to wszystko szeptem, bo słowa jej nic tajemniczego w sobie nie zawierały, i dokoła nikogo nie było, ktoby je mógł usłyszeć. Ale był to szept taki, jakim zazwyczaj przemawiają ludzie, krzątający się około ciężko chorych albo umarłych — czuć w nim było gderliwą troskliwość i trochę przerażonego lęku, przez tajemnicze i groźne zjawisko choroby lub śmierci obudzonego.

— Czujesz, Pauluk? — coraz więcej naglącym szeptem powtarzała. — Idzi do chaty! Co ty tu wystoisz? Ot, i deszcz padać już zaczął. Nu, idziże, idzi, idzi!

Obydwiema rękoma i całem swojem szczupłem ciałem ku drzwiom chaty popychać go zaczęła. Ale jego natarczywość ta oburzyła.

— Czego ty ode mnie chcesz, Awdocia? Czego ty do mnie przyczepiła się, jak ta smoła? — gwałtownie zaszeptał. — No, od-

czep się! kiedy zechcę, to i całą noc tak przestoję, a tobie nic do tego!

— Otóż i nie przestoisz! Otóż ja ciebie na marne zginienie nie dam! Co to? Mało ja chorych widziała i od śmierci ratowała? I ciebie wyratuję.

Widocznie stan, w jakim znajdował się teraz Paweł, jednoznacznym był dla niej z chorobą.

Już zrana dnia tego, spotkawszy się z nim na brzegu rzeki i bystre swe oczki w niego wlepiwszy, pokiwała głową i zcicha przemówiła:

— Cościś ty, Pauluk, kiepsko wyglądasz. Tak wyglądasz, jakby tobie tydzień do śmierci było.

I, wiadro, pełne wody, rzeźwo na górę dla synowej niosąc, postanowiła wtedy, że wieczorem pójdzie do niego dowiedzieć się...

Teraz znów szeptała:

— Chadzi do chaty, to cościś o France powiem. Maksym z miasta dziś przyjechał i ją w mieście widział. Kiedy pójdziesz do chaty, to powiem, a kiedy nie pójdziesz, to tak i zostawaj, jak bydlę nieme i rozumu nijakiego nie mające... albo jak ta dziecina głupia, ratunku swego nie rozumiejąca...

Niedarmo dziecina w tej chwili na myśl jej przyszła. Wiele, wiele razy, gdy syn jej, Maksym, i dwaj inni jej synowie i córki, i potem młodziutka synowa w gorączce i różnych bólach na tapczanie leżeli, stała ona nad nimi, z garnkiem gorzkiego stanouniku albo poruszeniku w jednej ręce, a w drugiej z trochą miodu na drewnianej łyżce, i mówiła:

— Kiedy napijesz się ziela, to miodu dam, a kiedy nie napijesz się, to tak i zostawaj, jak to bydlę nieme i rozumu nijakiego nie mające...

Teraz mówiła do Pawła:

— Kiedy pójdziesz do chaty cościś o France powiem, a kiedy nie pójdziesz, to tak i zostawaj... Czy ja z tobą całą noc tu przestoję? Czy ja dla ciebie, jak ten pies, na deszczu moknąć będę?

Paweł czapkę na czoło nasunął.

— Mnie nijakiej wiadomości o niej nie potrzeba... — sarknął — ja sam o niej wszystko wiem... do swojej familji poszła...

Jak wprzódy do uradnika, siostry i szwagra, tak teraz do Awdoci przemawiał w sposób dawniej u niego niebywały: szorstki i zniecierpliwiony. Jednak zwrócił się ku drzwiom

chaty i z głośnem stuknięciem je otworzył; zanim jednak do ciemnej sionki wszedł, raz jeszcze ku czarnym polom, ku całkiem już w ciemnościach utopionej i niewidzialnej drodze twarz obrócił.

W ciemnej izbie, głośniej niż przedtem, choć zawsze stłumionym głosem, Awdocia przemówiła:

— Aaaa! toż u ciebie zimno w izbie! hm! Musi dni ze trzy w piecu nie palono. Czy ty dziś jadł co, czy nie jadł? Musi nie jadł, bo w piecu ognia nie było. Nu, daj siarczyki (zapałki)! ogień rozniecę i wieczerzę tobie zgotuję! Oj, ty stary, a durny! Dawaj siarczyki, gdzie siarczyki?

— Albo ja wiem? poszukajcie sami, bądźcie łaskawi!

Słowa te wymówił ochrypłym głosem i na ławie pod oknem usiadł.

Kobieta, jak cicha mysz, zwijała się w ciemnej izbie, dłonie po piecu, piecyku, stole i ławach przesuwając. Przytem szeptała:

— Kab ich paralusz kinuł! Kab oni skrucilisia! Kab ich chwaroba!

Tak złorzeczyła zapałkom, których znaleźć nie mogła. Nakoniec znalazła, i zaraz w ręku jej błysnął drobny, siny ognik, a potem długim, płomiennym językiem zapaliła się sucha drzazga, którą Awdocia także omackiem znalazła, z ziemi podniosła i zapaloną w podniesionej nieco ręce trzymała, czekając, aż cała ogniem się zajmie.

Przed głębokim, pustym, wystygłym otworem pieca, w świetle płonącej nakształt pochodni drzazgi ukazała się i uwypukliła głowa jej czerwoną chustką owinięta, i twarz w ramach czerwonej chustki, na czole, policzkach, dokoła ust i oczu w mnóstwo drobnych zmarszczek pomarszczona, ale okrągła, pełna, rumiana, jak zdrowe i tylko nieco przymarzłe jabłko jesienne.

W czarnych, żywych, bystrych oczach, oprawą mnóstwa zmarszczek otoczonych, blask ognia zapalał złote świeczki. Rozweseliła się też i rozgadała:

— Ot, zaraz tobie i ogień będzie, i wieczerza, i ciepło zrobi się w chacie. A jest u ciebie słonina? Zacierki ze słoniną zgotuję, czy co? bo jak bulbę obierać zacznę, to i do północka głodny zostaniesz. A z zacierką krótka robota. Potem posiedzim sobie, pogadamy, a kiedy chcesz, to i przenocuję sobie tutaj... Zawszeż nie taki sam będziesz, jak ten wilk... choć dawniej i przyzwyczajony był do tego, ale już odwykł... Oho! czy ja takich rzeczy

nie wiem i nie znam? Ja wszystko wiem i znam. Kiedy mój umarł, to takie mnie bóle pod sercem zdejmowały, że gdybym na minutkę sama została, to tak ot, zdaje się, że już skonam, że już i po mnie będzie. Ale nie było kiedy samej zostawać... dzieci skonać nie dały... dzieci pilnowałam i podhrudnik piłam. Ja i tobie podhrudniku przyniosę, bo w zgryzocie, wiadomo, okrutne bóle pod serce przystępują, a jak tego ziela napijesz się, zaraz opadną, i lżej stanie... Jutro jak świt, znów tobie ogień rozniecę i duchem do swoich polecę... Oho! jeszcze ja, chwała Bogu, dwom chatom i dwom gospodarstwom dam rady. Siła je i ochota je... Czemu nie? Dobremu człowiekowi w zgryzocie pomocą stanąć — czy to mała rzecz? Pan Bóg za to grzechy odpuści, a ty, Pauluczku, kiedy odwdzięczyć się zechcesz, to czasem troszkę ryb nam przyniesiesz... Tadeusz i Hanula za rybką przepadają, strach, jak szelmeczki maleńkie za nią przepadają, więcej jeszcze, niż za cukrem, albo obarzankami; a jeżeli nie zechcesz przynosić, to z Bogiem i nie przynoś sobie... Wszystko jedno... byleby m ja ciebie od tej paskudnej choroby wyleczyła! Ej, wyleczę! czemu nie wyleczę? Nie takie ja choroby widziała i leczyła...

Widocznie pomiędzy zgryzotą a chorobą wyraźnej granicy nie dostrzegała, i pierwsza lżejszą się jej wydawała od drugiej, bo nietylko coraz głośniej i coraz prędzej mówić zaczęła, ale przy wspomnieniu o maleńkich szelmeczkach, Tadeuszu i Hanulce, wesoło sobie zachichotała.

Przytem do płonącej trzaski przytknąwszy drugą, trzecią i czwartą, cały pęk płomiennych języków w pusty otwór pieca rzucić już miała, gdy nagle uczuła się silnie za rękę pochwyconą.

— Nie zapalajcie ognia! Jeżeli Boga kochacie, nie zapalajcie! — nad głową jej przemówił głos, tak dojmującem cierpieniem zdjęty, jaki nieraz, nieraz w długiem swem życiu słyszała u tych, którzy zaraz umierać mieli.

Strach ją zdjął, obejrzała się szybko.

— Czemu? — zapytała i z otwartemi usty, z pękiem palących się trzasek w ręku, w pochyloną nad nią twarz Pawła oczy wlepiła.

— Aaaa! — zadziwiła się. — Schfichsował! dalibóg, schfichsował! do czego ty teraz podobny? Żeby sam siebie zobaczył, toby przeląkł się!

Cała rzecz w tem jednak była, że czoło Pawła zbiegło się w dwie grube fałdy, usta jego były wykrzywione, a pod wznie-

sionemi brwiami oczy bez blasku i bez ruchu spoglądały gdzieś daleko za te ściany w daleki świat.

— Nie zapalajcie ognia, — powtórzył — zmiłujcie się, nie zapalajcie!...

Wpół z przestrachem, wpół z gniewem zapytała znowu:

— Czemu?

— Już nie pytajcie się, bądźcie łaskawi, tylko nie zapalajcie...

A potem z ciężkim nad sobą samym przymusem dodał:

— Mnież wydało się, że to ona przed piecem stoi i ogień roznieca.

Zapalone trzaski z rąk Awdoci wyrwał, na glinianą podłogę rzucił, stopami zagasił.

Ciemność znowu izbę zalegla, a wśród niej przez długą chwilę rysowała się ciemniejsza od niej postać stojącej przed piecem Awdoci. Długo, milcząc i nieruchomie, zapewne z palcami do policzków przyłożonemi, stała. Zawsze palce do policzków przykładała, gdy namyślała się lub dziwiła. Widać choroba Pawła cięższą była, niż przypuszczała wtedy, gdy głośno sobie, jakgdyby nic ważnego nie stało się, gadać i nawet chichotać zaczęła. Widać, że jemu stało się coś ważnego. Widać, że to jemu zrobione, i trzeba będzie jutro kopytniku mu zgotować, bo kopytnik od zrobionego najlepszy.

Ale tymczasem żal nad kumem i ciekawość, jak też to wszystko stało się, i co on teraz w głowie ma, tak ją paliły, że ledwie język utrzymać w sobie mogła, tyle na nim i zapytań, i pocieszenia, i wszelkiego innego gadania miała. Do siedzącego na ławie podeszła.

Cicho, powoli podeszła, i cicho też, tak jak przy chorym, zaszeptała:

— A Maksym o niej wiadomość z miasta przywiózł.

Pawła, pod ścianą siedzącego, wcale w ciemności widać nie było.

Z ciemności tej, niewidzialny, tonem niezłomnego oporu odpowiedział:

— Mnie nijakiej wiadomości o niej nie trzeba. Do swojej familji poszła, z mojem pozwoleniem poszła...

Wtedy Awdocia usiadła na drugiej ławie, naprzeciw okna stojącej, i powoli, tym razem rozważnie, szeptać zaczęła:

— Czy ty, Pauluk, sam siebie durzysz, czy ludzi okpiwać chcesz? Na co takie gadanie przydało się, kiedy wszyscy wiedzą, że ona do nijakiej familji nie poszła, ale od ciebie w świat

uciekła? Z lokajem tych panów, co latem w pałacu mieszkali, uciekła. Jaż sama nie raz i nie dwa razy widziała, jak ona do pałacu biegała, a kiedy pobiec nie mogła, to tę szelmę Marcelę z różnem gadaniem posyłała. Ja i tego lokaja nie raz, nie dwa widziałam, kiedy sobie nad rzeką chodził, a tego wypatrywał, żeby ona z góry zbiegła! Z bliskości nawet jego widziałam. W czarnym surducie, z kręconemi włosami chodził, i czemściś takiem od niego śmierdziało, że ni to jelkie sadło, ni to bahun w lesie rosnący, ni to bloszczytnik, wszędzie plugastwo trujący — zanic nie poznasz — ale cościś bardzo śmierdziało. Marcela gadała, że to parfumy i pamady... czort jeho znaje!... A ta, ot, i zaczęła przepadać za nim. Paniczem go przed Marcelą nazywała. Dość już, mówi, ja na chamów napatrzyła się; panicza chcę. Nadto jej, słyszę, te parfumy podobały się.

Raz w pałacu, wiadomo, w kuchni, tańce sobie zrobili, i ona na te tańce poleciała. A ty wtedy cały tydzień na rzece był, ryby łapał i do miasta woził. Z tych tańców, jak schfichsowana przyleciała i jeszcze sama jedna po chacie tańczyła. — Oj, Marcelka — mówi — jaki on śliczny, jak on ślicznie tańczy, i jakie u niego słodkie mówienie! — A potem, kiedy te panowie nazad do miasta wybierali się, cościś pierwej posmutniała, a potem znów powesełała i Marceli powiedziała, że on ją namawia, żeby do miasta wróciła się i znów tam w służbę poszła, a on będzie do niej codzień przychodził i, jak tylko można, to na spacer i na tańce ją poprowadzi. — Polecę — mówi — dalibóg, polecę! Czy to ja w niewolę zaprzedała się? Czy za życia w mogiłkę mnie pogrzebali? Czy mnie świat niemiły? Polecę! — I poleciała! Kab jej dobra nie było, łajdaczce takiej! a ty familję wymyślił! Do familji i do familji poszła! Myślisz, że ludzi zdurzysz, a sam durny! Tut i dziecko wszelakie wie, jaka to familja...

Umilkła i zapewne z chciwością oczekiwała, co też on teraz jej powie, kiedy już przekonał się, że ona o wszystkiem wie, i wszyscy wiedzą.

Pewnie Frankę przeklinać zacznie i na swoją własną głupotę narzekać, że z taką ożenił się, a byleby tylko przeklinać i narzekać zaczął, to i zgryzota prędzej z niego wyjdzie.

Czekała jednak długo; Paweł nie odpowiadał i po kilku dopiero minutach w grubej ciemności głos przyciszony, ochrypły, wymówił:

— A przysięgała!

W dwóch tych wyrazach zabrzmiało niezmierne, bezdenne zdziwienie,

Awdocia z równym prawie zdziwieniem aż krzyknęła:

— Czyż ty, doprawdy, teraz ode mnie dowiedział się?

Daremnie jednak tym razem na odpowiedź czekała; Paweł milczał.

Więc znowu mówić zaczęła.

Opowiedziała, że wczoraj syn jej, Maksym, na targ niedzielny szesnastkę owsa i pół kopy jaj woził, a pod wieczór, z rynku zjechawszy, na ulicy Frankę spotkał. Z kawalerem jakimś, pewnie z tym samym lokajem, pod rękę szła, a czerwone stużki aż biły od niej, tyle ich na siebie nakładła. Maksyma zobaczyła i głową jemu na powitanie kiwnęła.

— Jak się masz, Maksymku? — mówi — kłaniaj się tam wszystkim ode mnie i powiedz, żeby do mnie na Berdyczów drobnemi literami pisali — mówi.

Zęby wyszczerzyła i, podskakując, poszła sobie ze swoim kawalerem razem. Maksym, obejrzawszy się za nią, tylko plunął.

— Oj, mameczko — mówi — taka mnie ochota brała batem po plecach ją ściągnąć, że ledwie garść przy sobie utrzymałem... ale bałem się — mówi — boby do policji zaprowadzili...

Znowu przestała mówić, do najwyższego stopnia ciekawa, jakie wrażenie sprawi na Pawle wiadomość Maksyma. Teraz, to już pewnie przeklinać i ostatniemi słowami łajać ją zacznie. Ale Paweł milczał długo, aż znowu głosem człowieka, z bezdennej topieli zdziwienia odzywającego się, przemówił:

— A przysięgała!

— Baba swoje, a czort swoje! — wykrzyknęła. — Co chcesz jemu gadaj, człowieku, a on tylko dziwuje się i dziwuje. Czegoż ciebie taki dziw bierze?

Na zapytanie to odpowiedzi nie doczekawszy się, dalej prawiła:

— Ty, Pauluk, wielkim krzyżem przeżegnaj się, na tę szelmę pluń i po dawnemu sobie cicheńko, spokojnieńko żyć zaczynaj. Czego tobie braknie? Chatę swoją masz, rzemiosło, i dobre, w ręku masz, grosz siaki taki, i przyjaźń ludzką, i łaskę a miłosierdzie Pana Boga wszechmogącego nad sobą masz... Czego tobie smucić się i w zgryzocie żyć? Oj, oj! żeby tak wszystkim dobrym ludziom na świecie było, jak tobie dobrze być może, jeśli głupim nie będziesz. Pana Boga słuchaj, z dobrymi ludźmi żyj, jedz, pij i na tę biedę, co cię spotkała, pluj!

— Żaden człowiek — mówiła — bez biedy na świecie nie przeżyje, ale bywają daleko od tej gorsze; ot, naprzykład, Karasiowi dwie krowy na wiosnę zdechły, a teraz wszystkie świnie

chorować zaczęły i pewno też wyzdychają... Albo u Szymona Mikuły... to już bieda! syn jego Jasiuk, rozbójnikiem zrobił się, i już go raz na Sybir byli wysłali, a teraz drugi raz za to, że stamtąd uciekł, na Sybir i na pletnie sądzić będą. Ot, prawdziwa bieda! Gdyby ona, broń Boże, syna rozbójnika miała, to już chyba nie wytrzymałaby i, Pana Boga przeprosiwszy, powiesiłaby się, albo do Niemnaby się rzuciła, i z żalu nad dzieckiem rodzonem, i z samego wstydu...

— A twojaż jaka bieda? Nieznajomą, niewiadomą z łuży (kałuży) wyciągnąłeś i, kab dobra była, chciałeś! Głupi ty! Ja odrazu wiedziała, co z tego będzie. Czortouska córka, do swego baćka czorta powróciła. Wiadomo, czort swoje dzieci lubi i nigdy ich zupełnie od siebie nie puszcza. Choć i puści kiedy, to na krótko, a potem znów pazurami za duszę zaczepi i do siebie ciągnie, aż póki ze wszystkiem do piekła nie zaciągnie. Tak już musi być; tak już widać Pan Bóg najwyższy chce, żeby jedne ludzie Jemu, a drugie czortu służyli. Ty, Pauluk, Bogu służ, a o czortouską córkę nie dbaj. Cudza ona tobie była i cudza znów zrobiła się. Niechaj sobie marnie ginie i przepada...

I sama już nie wiedziała, co dalej mówić i czem więcej go pocieszać. Całą już swoją filozofję wyczerpała, wszystkich sposobów wyzwania go na gadanie i wyrzekanie użyła.

— Nu — po krótkiem milczeniu rzekła — jakżeż heto było? jakżeż heto stałosia? Każy! Jak opowiesz, lżej stanie.

Nie wiedziała Awdocia o tem, że są na świecie natury ludzkie, od wszelkiej studni głębsze, w które, gdy raz kwiat ukochania wpadnie, już go żadne fale precz nie wyrzucą, i żadne żale głośno wymówioną skargą nie splamią. Serce nóż zatopiony w sobie czuć może, ale usta nie otworzą się dla wydania słowa oskarżenia, bo nad wszystkie bóle większy żal zdejmuje nad tym, na kogo paść ma to słowo. Choćby im od tego oskarżenia włos nie spadł z głowy, oni go nie wymówią; choćby im ono wysunęło z tego serca połowę tego noża, który w niem zatopiony, oni go nie wymówią i jeszcze wszelkiemi sposoby, choćby kłamstwem, z ust innych wyjmować je będą. Jakto! tę pierś oskarżać, u której głowa nasza prześniła swój złoty sen życia? Tej duszy złorzeczyć, dla której z ognia, z wody, przez drogi kamieniste, przez czyściec gorejący pragnęlibyśmy dostać i przynieść wszystkie błogosławieństwa! Na te dni i godziny wyrzekać, w których nam drzewa śpiewały, ptaki gadały, ze wszystkich zdrojów życia wody słodkie i gorące biły! Wszystko to mogło być snem, złudzeniem, marą rozwiewną, lotną błyskawicą, po któ-

rej same ciemności zostały, ale winy w tem niczyjej niema, a jeśli jest czyja, to nasza raczej, stokroć raczej nasza, lecz nie tej istoty, której oskarżyć za żadną cenę przed nikim w świecie usta nasze nie chcą i nie mogą.

Są na świecie takie natury ludzkie, ale Awdocia, pomimo wielkiego doświadczenia, nie wiedziała o nich wcale. Nie wiedział o nich i Paweł, nie myślał o tem, jaką wogóle posiada naturę, a tem mniej, że właśnie taką posiada; czuł tylko, że, gdyby go na krzyżu rozpinano, gdyby sami święci pańscy zstąpili z nieba i do mówienia go skłaniali, nic złego nie powiedziałby o France, o żadnąby winę jej nie oskarżył i o żadną pomstę nad nią nie prosił.

— A wiecie, kumo — po długiem milczeniu z grubych ciemności ozwał się Paweł — że to wszystko, co stało się, moja wina! niczyja, tylko moja... Pierwsze: że za mało ja od niej przez modlitwę i napomnienia czorta odpędzał; a drugie: że kiedy już jej pustotę zobaczył i tego lokaja domyślał się, z chaty wychodzić nie przestał. Trzeba było więcej ją upominać i lepiej pilnować... z oczu nie spuszczać... toby i nie przepadła, a tak przeze mnie ona przepadła... i siebie ja zgubił, i ją... ona jeszcze narzekać na mnie może, nie to, żebym ja na nią narzekał...

Awdocia, gdy tylko Paweł odezwał się, chciwie słuchać zaczęła, ale im więcej mówił, tem większe zdziwienie ją ogarniało, aż oddech w niej zaparło i na chwilę mowę odjęło. Oslupiałym też głosem wymówiła tylko:

— Zdurzeł! ze wszystkiem taki zdurzeł!

Z ławki wstała i wpół ze śmiechem, wpół z gniewem zagadała:

— Nu, już ja dziś z tobą do nijakiego ładu nie dojdę, już z tobą dziś i gadania szkoda. Kładnij się spać. Może jak prześpisz się, Pan Bóg wszechmogący rozum tobie przywróci. A ja tu przenocuję, bo choć ty zdurniał, zawsze mnie ciebie szkoda. Jeszcze, żeby sam został, toby, nie daj Boże, co złego z sobą zrobił... do reszty schfichsowawszy.

Przeżegnała się, krótki pacierz półgłosem wymruczała i, watowy kaftan pod głowę wsunąwszy, a trzewiki zdjąwszy, jak była, w spódnicy i ciepłej chuście, na ławie pod ścianą zasnęła.

Do izby, nieprzeniknioną czarnością i ciszą bezdenną napełnionej, wyraźnie dochodziły kwilenia i szlochania sów i puszczyków. Kwiliły one i szlochały w sosnach nad mogiłami, a tuż za małem oknem deszcz po pustym ogrodzie z płuskiem

i szeptem chodził; tak zupełnie wydawało się, jakby chodził, bo to bliżej, to dalej odzywały się jego pluskania, to pod samą ścianą, to kędyś około płotków z suchym chrzęstem gałęzie i badyle uginał i łamał.

W te słabe, lecz ciągłe odgłosy wmieszał się jeszcze jeden:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...

Był to szept, wychodzący z pod ściany, ale tak głośny, taką namiętną żarliwością zdjęty, że od końca do końca i od góry do dołu całą otaczającą czarność napełnił. Trwał niedługo, bo tyle tylko czasu, ile go trzeba na odmówienie jednego pacierza, ale wkońcu wzmógł się jeszcze w żarliwość, w błaganie, i towarzyszyć mu zaczęły odgłosy pięści, w twardą i silną pierś uderzającej.

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże, bądź miłościw jej grzesznej!

Zazwyczaj codzienny pacierz swój Paweł kończył trzykrotnem uderzeniem się w pierś i wyrazami:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

Teraz mówił:

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej!

I powtórzył to wiele razy coraz głośniejszym, żarliwym szeptem i coraz silniej pięścią o pierś uderzając.

Potem umilkł i tak ucichł, jakby go wcale w chacie nie było.

Nazajutrz o świcie, Awdocia, obudziwszy się, zobaczyła przez drzwi otwarte Pawła, zajętego w sieni pilną jakąś robotą. Ku glinianej podłodze nachylony, z silnem poruszeniem ramion coś lepił, czy miesił.

Zerwawszy się z ławki, pobiegła i zobaczyła, że istotnie mieszał on mokrą glinę z mnóstwem nałowionych w lesie nadrzecznych motylków, jacicą zwanych, i lepił z niej wielkie żółte kule. Wiedziała dobrze, do czego kule te służyć mają. Rzucone w wodę rozsypują po niej roje motylich trupów, ku którym zbiegają się gromady ryb.

Wiedząc o tem, zadziwiła się jednak:

— Na ryby pójdziesz? — zapytała.

— A jakże! woda dziś dobra — odpowiedział.

Poszła ogień w piecu rozpalać. Paweł tym razem nie przeszkadzał jej wcale. Ulepiwszy kilka glinianych kul, na ławie

w izbie usiadł i z leżącego na stole bochna spory kawał chleba ukroił.

Wyglądał prawie tak samo, jak zawsze, trochę tylko policzki mu zapadły, ale kobieta wcale się temu nie dziwiła, wiedząc, że od kilku dni ciepłej strawy nie jadł i w zgryzocie żył. Teraz zjadł misę krupniku, który mu śpiesznie zgotowała, powstał i, wór z glinianemi kulami na plecy zarzuciwszy, pęk długich wędzideł o ramię oparł.

Dotąd nic wcale do Awdoci nie mówił, zdawać się nawet mogło, że wcale jej paplaniny, to z ubolewaniami, to z chichotami zmieszanej, nie słyszał. Teraz dopiero, czapkę na głowę włożywszy, z worem na plecach a wędami na ramieniu, zbliżył się ku niej.

— Dziękuję, kumo, za przyjaźń i za wszystko, dziękuję. Niech Pan Bóg nagrodzi!

Mówił to powoli i przyciszonym głosem, ale przyjaźnie głową kiwnął i rękę, od gliny żółtą, do starej kobiety wyciągnął.

Ją to rozczuliło; do rozczulenia się, tak jak do gadania i chichotania, jednokowo skłonną była. Czarne, okrągłe oczy jej zwilgotniały, powieki zamrugały.

— Niema za co, niema za co! ot — i chwała Bogu, że tobie, Pauluk, rozum do głowy powrócił...

Kiedy wyszedł, wybiegła także z chaty i chwilkę patrzała, jak z góry ku rzece schodził. Bose jej stopy prawie do kostek pogrążone były w błocie, a ręka, prawie jak to błoto ciemna, pomarszczona, z palcami od pracy pokrzywionemi, szybko za odchodzącym kreśliła w powietrzu znaki krzyża. O dwadzieścia lat od niego starsza, malutkiem dzieckiem na ręku go nieraz nosiła, potem dobrym i rozumnym człowiekiem zawsze nazywała, kilkoro dzieci do chrztu z nim trzymała. Uczuć swoich nigdy nie roztrząsając, nie dając im nazwy, ani myślała, ani wiedziała, że dla człowieka tego ma przyjaźń serdeczną, ale przyjaźń tę czuła; tak samo Paweł ani rozbierał, czem są rany zdeptanej miłości i wiary, ani po imieniu ich nie nazywał, ale je czuł. Takie uczucia, nierozbierane, nienazywane, okrywają rozległe niziny ludzkości, lecz dlatego, że kwitną nisko i są bezimienne, mieszkańcy gór mniemają, że ich wcale niema.

Jednak, cokolwiek czuł, żył dalej jak zwykle i tak prawie jak zwykle wyglądał. Policzki mu tylko schudły i zapadły, co twarz, i bez tego już nieco długą, więcej jeszcze wydłużyło, a od skroni do skroni otoczył ją wąski, szorstki, siwiejący zarost. To

rozpromienienie, które przez czas jakiś wygładzało mu czoło i cichą wesołością napełniało oczy, zniknęło; przestał wyglądać o dziesięć lat młodszym, niż był; nawet zdawać się mogło, że, gdy innym miesiące tylko, jemu lata przybywały. Ociężał jakoś i zupełnie już ucichł; chodził powolniej, niż wprzódy, i nigdy prawie z nikim nie rozmawiał. Ale postawa jego była, tak samo jak i dawniej, prostą, silną, wśród pracy gibką i do wszystkich trudnych poruszeń ciała wybornie wyćwiczoną. Pracował też tak samo, jak dawniej, nawet więcej, niż dawniej, bo i na rzece i — gdy rzeka znajdowała się w niepomyślnym dla rybołówstwa stanie — w polu i około chaty.

Własnego pola nie miał, ale pierwszego zaraz dnia, gdy silny wicher i gwałtowne na Niemnie fale wszelką nadzieję jakiegokolwiek połowu odbierały, do szwagra poszedł i zapytał: czy wszystko półko jego już zorane?

Filip właśnie zakłopotany był tem, że dotąd jeszcze, choć pora spóźniona była, parę morgów pod zasiew wiosenny zaorać nie zdołał.

Wiele w tych czasach roboty miał przy promie, a Daniłko do pługa niezupełnie jeszcze był zdatny. Paweł, milcząc, konia szwagra do pługa zaprzągł i w pole z nim poszedł. Orać umiał, ale, na wodzie życie pędząc, zajęć około roli nie lubił. Teraz przecież wolał takie mieć, niż nie mieć żadnego. Młócić też zboże i płoty naprawiać szwagrowi pomagał; Ulana mu wzamian szmaty prała, odzież naprawiała, chleb piekła. Ale i na wodzie płynącej, i na polach szerokich, przyroda w wiecznej obojętności zakreśla wieczne swe koła zjawisk, a prace ludzkie spotykają się ze wznoszonemi przez nią nieprzezwyciężonemi zaporami.

Bywały pory, w których rzeka odpychała od siebie rybaków, a pola rolników nie potrzebowały. Wtedy Paweł wychodził na tę drogę, z której przez kilka dni po zniknięciu Franki oczu prawie nie spuszczał, i szedł nią długo, daleko. Idąc, często głowę podnosił i z pod daszka czapki wytężone spojrzenia po łocznych drożynach i aż pod skraj widnokręgu rzucał. Po szerokiej równinie, pod rosnącemi wśród niej gdzie niegdzie laskami, na niewyraźnych szlaczkach drożyn i miedz czegoś wzrokiem szukał. Czasem stawał, wyżej jeszcze twarz podnosił i więcej wzrok wytężał.

Pod laskiem, na tle ogólnej szarzawy świata czerniejącym, albo u skraju jednej z drożyn, spostrzegał drobny punkt ruchomy, wlepiał w niego zaniepokojone oczy i po najbliższej

między krokiem szerokim na spotkanie jego iść zaczynał. Niebawem spostrzegał, że był to jednokonny wózek, którym jeden z sąsiadów jego wracał z miasteczka, albo włokący się o kiju żebrak, albo kobieta, z głową od chłodu w grubą płachtę owiniętą, i pod ciężarem wora, kartoflami czy otrębami napełnionego, przygarbiona.

Wtedy na pustem i mokrem polu, w powietrzu, od mgły jesiennej szarem i chłodnego wiatru szumiącem, brzmiało krótkie pozdrowienie:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków — spokojnie odpowiadał Paweł i, ku spotkanej istocie ludzkiej życzliwie głową skinąwszy, szedł dalej długo jeszcze, aż do zupełnego zmierzchu.

Raz, gdy o zupełnym już zmierzchu do wsi powracał, z ciężkich chmur listopadowych spuścił się deszcz rzęsisty, a wiatr, gniewnie szumiąc, skręcał go w zimne i ostre bicze, które z głuchym hukiem uderzały o ziemię, a twarz i plecy idącego siekły.

Do chaty wszedłszy, Paweł lampkę zapalił i z gorącego jeszcze pieca wyjął garnek ze strawą, którą sobie na dzień cały był zgotował. Siermięga jego była zmoczona i ściekającą po niej woda świeciła. Nie zdejmował jej jednak. Na ławie usiadłszy, drewnianą łyżkę w garnku zatapiał i do ust podnosił, powoli, głęboko o czemś myśląc i wciąż na okno, czarną płachtą grubej ciemności zawieszone, patrząc. Możnaby myśleć, że po raz pierwszy w życiu ciemność taką widział, tak się w nią wpatrywał. Ilekroć zaś wiatr przeciągłej zaszumiał, i deszcz głośniej o ziemię zasiekł, ręka jego, z drewnianą, krupnikiem napełnioną łyżką, zatrzymywała się w powietrzu. Można było przypuszczać, że te ponure odgłosy natury, przy których jednak przez całe życie zwykł był bezpiecznie pracować albo spokojnie usypiać, teraz go przestraszały.

Garnek i resztki chleba ze stołu na piec przeniósłszy, z brodą ujętą w palce stanął i znowu w zamyśleniu głębokiem na czarność, okno zalegającą, patrzał i odgłosów, napełniających ją, słuchał.

— Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się! — zaszeptał i jednocześnie, lampkę ze stołu zdjąwszy, na małem oknie ją postawił.

Czyżby dlatego ją tuż przy drobnych szybach chaty swej umieszczał, aby kierowniczym punktem była dla kogoś, do tej chaty może dążącego? Czyżby tak żarliwym, gorącym szeptem

zmiłowania Bożego wzywał dla jakiejś istoty ludzkiej, o której wyobrażał sobie, że może czarność listopadowej nocy, fale wiatru i bicze deszczu wątlą swą postacią, dążąc tu, przerzyna.

Na ławie usiadłszy, zaczął pod światłem lampki naprawiać w niewodzie szkody, przez ostatni połów zrządzone.

Stalowa iglica szybko połyskiwała mu w ręku, gdy pilnie i wprawnie porwane oka sieci nowemi zastępował. Zadzierzgiwał je, ściągał, sznur z leżącego mu u stóp wielkiego kłęba wywijał, i zdawać się mogło, że ciałem i duszą pogrążał się w tej robocie. Ale dusze ludzkie miewają czasem szepty nieustanne, które ani podczas jedzenia, ani podczas pracy, ani w ciszy, ani w gwarze zupełnie nie milkną. Nie przeszkadzają one życiu toczyć się torem najzwyklejszym i wszystkim narzędziom ciała i myśli spełniać właściwe im czynności, ale są same jakby drugiem, spodem płynącem życiem i jednem więcej, tajemnie działającem narzędziem istnienia.

Paweł także, jakkolwiek wieczerzę spokojnie spożył, a potem tak pilnie pogrążył się w robocie, że aż głośne jego sapanie napełniało ciszę izby, nagle głowę podniósł i przybrał postawę człowieka, z wytężeniem czegoś słuchającego.

To tylko żółty, kudłaty Kurta na Koźlukowem podwórku zaszczekał. Ale na kogo w tej spóźnionej porze mógł on szczekać? Czy razem ze szczekaniem jego nie ozwą się u płotu kroki ludzkiej istoty, nieśmiałej, zmęczonej, zziębłej? Nie, starym swoim, ochrypłym głosem Kurta szczeknął kilka razy i umilkł, a żadne kroki słyszeć się nie dały.

W ręku Pawła znowu błyskać zaczęła iglica. Tuż za nim w kącie izby zalopotały myszy. Obejrzał się i zobaczył małe, zwinne zwierzątko, z błyskawiczną szybkością pod ścianą przebiegające.

Widok ten sprawił mu snadź przyjemność, bo uśmiechnął się i głową pokiwał.

— Ot, głupie stworzenie! czego ona boi się? Przyszłaby do mnie, tobym jeszcze i chleba jej troszkę nakruszył.

Wtem drzwi od podwórza w sieni skrzypnęły, wyraźnie skrzypnęły.

Paweł znowu przybrał postawę człowieka, z wytężeniem wsłuchanego w ciszę.

Może tam ktoś wszedł, u progu stanął i, do izby wejść śmiałości nie mając, stoi w ciemności, drżąc od zmokłego odzienia i strachu?

Sieć i iglicę na ławie położył, wstał i z lampką w ręce do

sieni wyszedł. Lampka, jakkolwiek mała, całą sień oświetliła. Drabina o ścianę oparta w niej stała, dziurawa skrzynia na przechowywanie ryb w wodzie, wiadro z wodą, beczułka z ukwaszoną przez Ulanę kapustą; ludzkiej istoty żadnej nie było.

Paweł do drzwi wpółotwartych podszedł. Wchodząc do chaty, nie zamknął ich dobrze; zapewne też wiatr je z przeciągłem skrzypnięciem otworzył. A może nie wiatr? Może to ktoś do chaty wejść chciał, ale z nieśmiałości, z niepewności, jak w niej przyjętym będzie, cofnął się z progu i teraz u ściany, pod deszczem, z okapu ciekącym, pokornie, żałośnie stoi?

Lampkę na ziemi postawił, przed chatę wyszedł i krokiem powolnym, ze wzrokiem w ciemność wytężonym, dokoła ją obszedł. Przeszedł nawet wzdłuż płotków ogrodu i dziedzińca, z nad niskich wrót na nieprzeniknione czarności, pole i drogi w sobie kryjące, popatrzył.

Nigdzie nikogo nie było; tylko stary Kurta, w ciemności nawet go poznawszy, płotek przeskoczył i o rękę jego zimnym językiem uderzył. Ręką po kudłatej głowie psa powiódł i razem z nim do izby powrócił. Lampkę, w sieni z ziemi podniesioną, znowu na oknie postawił i do roboty swojej się zabierał, gdy znowu coś zimnego i kudłatego otarło się mu o rękę. Kurta, głowę podniósłszy, patrzał na niego rozumnem, smutnem, proszącem okiem głodnego, zziębłego zwierzęcia.

— Biedny ty!

Wziął z pieca kromkę chleba, psu ją dał i z widoczną przyjemnością na jedzące zwierzę spoglądał, a gdy jeść przestało, drzwi otworzył i łagodnie, ale stanowczo wyjść mu z chaty rozkazał.

Biedne zwierzę! Zimno mu na wietrze i deszczu, ale cóż robić? Na podwórzu nocować musi, aby chaty, stajni, świrna od złodzieja strzec.

— Wszelkie stworzenie swój żal i swoją biedę ma. Czemu to tak? Chto jeho znaje?

Nad tem pytaniem — z brodą w palce ujętą — myślał długo. W samej rzeczy myślał on nad przepaścistą, niezgłębioną, czarną zagadką powszechnego cierpienia świata, tylko, że ani jej po imieniu nie nazywał, ani rozbiorowi poddawał.

Przez wszystkie jesienne noce, na oknie Pawła lampka paliła się dopóźna tuż przy szybach, zwilżonych od mgły lub deszczu. Z drogi i dróżek, przerzynających mokre i ciemnością pokryte pola, wyglądać ona musiała, jak zapłakane, drobne świa-

telko. Zbliska dostrzegali je parobcy i dziewczęta, do Koźluków na wieczornice idący, ale uwagi na nie wcale nie zwracali.

Losy Pawła przestały zajmować wszystkich, odkąd stał się znowu spokojnym i żył jak zwykle. Nawet Ulana i Filip rzadko do niego zaglądali. Zajęci byli swojem, a gdy nie pracowali, spali lub z sąsiadami gwarzyli. Jednak dziewczęta, które z kołowrotkami swemi najkrótszą drogą około chaty Pawła do Koźluków przechodziły, i parobcy, w celu straszenia dziewcząt za węgłami ścian lub zalamami płotków przysiadający, słyszeli nieraz z za tego okna, zapłakanem światełkiem połyskującego, wychodzące dziwne odgłosy. Był to raczej odgłos jeden, monotonny, do głośnego mruczenia lub nieustannego wybąkiwania zgłosek i wyrazów podobny.

Daniłko, najśmielszy i najciekawszy, zakradł się raz pod okno, spojrzał przez nie do wnętrza izby, a potem wszystkim w chacie Koźluków zgromadzonym oznajmił, że dziadźko siedzi i czyta.

— Dalibóg czyta — uderzając się w piersi, z wytrzeszczonemi oczyma przysięgał — z książki czyta!

Mało kto temu się dziwił, bo dawniej już we wsi wiedziano, że Pawła żonka czytać nauczyła.

— Oj, żonka! kab hetakich na świecie nie bywało! — spluwając i ogniście czerwieniąc się, mówiła Ulana.

— Cała to jego i korzyść z ożenienia się, że czytać teraz umie — z głośnym śmiechem dodał Aleksy, ale z błysku jego szafirowych oczu widać było, że myśl o umiejętności czytania obudzała w nim trochę żalu i podziwu.

Tożby był dumny, tożby prawdziwy rej we wsi wodził, gdyby ją posiadał!

Istotnie Paweł w długie zimowe wieczory czytał. Co? jak? Oprócz niego samego, oprócz myszy, które coraz śmielej a częściej pod ścianami przebiegały, i starego Kurty, który niekiedy, w żółty i błotnisty kłąb zwinięty, u stóp jego parę nocnych godzin w cieple przesypiał — nie wiedział nikt.

Było to tak. Przy schyłku dnia grudniowego do chaty wszedł zziębły i zmęczony, bo razem z Daniłkiem cały dzień na zamarzłej rzece przepędził, przeręble w lodzie żelaznemi łomami rąbiąc i sieć w nie zapuszczając, co rzeczą łatwą nie jest. Kilka toni w ten sposób robili, lecz żadna nie była zupełnie pomyślną. Mały wynik wielkich wysileń; nie będzie nawet miał z czem jutro do miasteczka pojechać, do tego kupca, który zazwyczaj towar jego hurtownie kupuje i sam go już do więk-

szego miasta wysyła. Niepowodzenie to przecież nie martwiło go bardzo.

— Mniejsza o to. Nie dał Bóg dziś, da jutro.

Ręką machnął, na ławie siadł.

Głodnym nie był, bo Ulana jemu i Daniłkowi tam na łód jedzenie przynosiła, ale kożucha z siebie nie zdejmował. Mróz silny i wiatr ostry do szpiku kości go przeniknęły. Buty też miał na sobie do kolan wysokie, a na nich jeszcze bezkształtne wory z wojłoku, dla większej ciepłości sianem wypchane. W tem ubraniu na ławie odpoczywając, powolnem spojrzeniem wodził po izbie, którą ostatki dziennego światła, z blaskiem śniegu zmieszane, napełniały białą, mdlejącą jasnością.

Przygasłem i powolnem spojrzeniem zmęczonego i niewesołego człowieka Paweł obejrzał ściany, które, po raz ostatni przed ożenieniem się jego pobielane, dobrze już od pyłu i dymu sczerniały; na jeden kąt, w którym za miotłą i dwoma koszami łoziny najbardziej dokazywały myszy, i na drugi, w którym stała pusta skrzynka Franki, popatrzał, aż wzrok jego przesunął się po zapełniającej kąt trzeci czerwonej szafce i w leżącym na niej przedmiocie utkwił.

Przedmiotem tym była książka w zrudziałej i spłowiałemi pozłoceniami przyozdobionej oprawie. Leżała ona pomiędzy lampką a samowarkiem w tem samem miejscu, na którem ją był położył wtedy, gdy Franka po raz ostatni z kościoła do chaty jego powróciła.

Więcej niż trzy miesiące upłynęło od dnia, w którym, z rzeki do domu wróciwszy, Franki tam nie znalazł; do późnej nocy na nią oczekiwał, aż, skrzynkę jej otwartą i zupełnie próżną zobaczywszy, domyślił się, że w świat poszła. W świat idąc, jego własności nie poruszyła, palcem nawet nie dotknęła, choć dobrze wiedziała, gdzie żywność i odzież, i pieniądze znaleźć mogła; ale wszystko, co do niej należało, miejskie łachmanki swoje i błyskotki zabrała. Jedynej tylko swojej rzeczy nie zabrała: tej książki.

Jakim sposobem mógł on dotąd jej nie spostrzec? Codziennie lampkę, a kilka razy i samowarek z szafki zdejmował, a książki nie spostrzegł. Choć całą przeszłą zimę nad elementarzem często przesiadywał i pod srogą dyrekcją Franki, albo, gdy ona rozkaprysiła się, samodzielnie cały już elementarz przesylabizował, nie przywykł jednak do tej rzeczy trudnej, dziwnej, z cudem prawie graniczącej, jaką było czytanie, tak dobrze, aby mu ona codzienną i konieczną była.

Jednak przy mdlejąco białym skłonie dnia zimowego, w ciszy, której nawet nie przerywały tym razem mysie szelesty, po pracy, która mu przyniosła daleko więcej zmęczenia, niż korzyści, na książkę wypadkiem spojrzawszy, wstał i ku szafce podszedł.

Gdy przez izbę szedł, pomimo pięknego swego wzrostu, w kożuchu i wojłokowych workach na nogach bardzo podobny był do grubego, ciężkiego niedźwiedzia. Kawałki lodu, w gęsty i krótki jego zarost wplątane, w ciepłej izbie roztapiały się i kroplami ściekały na wełnisty kołnierz kożucha.

Książkę z szafki zdjął, ku oknu przyniósł, na okładkę jej kilka razy dmuchnął, końcami czerwonych palców z poszanowaniem ostrożnie resztę pyłu z niej starł. Potem, na ławie usiadłszy, okładkę podniósł i na pierwszej zaraz karcie w grube, duże litery tytułu wzrok wlepił. Zrazu znaki te, jakkolwiek bardzo wyraźne, w nierozwikłane skręty mąciły się mu przed oczyma. Od trzech miesięcy ich nie widywał, odwykł... Już był przyzwyczaił się, zrozumiał, zapamiętał, a teraz znowu odwykł.

Jednak po kilku minutach pierwszą literę rozpoznał wyraźnie:

— S... — bąknął.

I potem, to z dłuższemi, to z krótszemi, zawsze przecież dość długiemi przestankami, każdą z liter wybąkując, sylabizować począł:

— S-ł-u-ż — służ, b-a — ba, służba...

Aż poruszył się na ławie z ukontentowania i bąkał dalej:

— B-o — Bo, ż-a — ża, Boża.

A potem, każdą sylabę oddzielnie i dobitnie wymawiając, powtórzył:

— Służ-ba Bo-ża.

Upłynął najmniej kwadrans, zanim te dziesięć liter w dwa te wyrazy złożył, ale podobały się mu one bardzo. Więc zaczął dalej:

— C-z-y — czy, l-i — li, czyli...

W taki sposób cały napis, pierwszą stronicę okrywający, przeczytał, aż do umieszczonego na samym jej dole roku wydania książki, którego nie przeczytał, bo na cyfrach drukowanych wcale się nie znał.

Na pamięć liczył biegle; ale żadnej cyfry wyczytać, ani tem mniej nakreślić nie umiał.

Te więc cztery znaczki, zupełnie dla siebie niezrozumiałe,

opuścił i, kartkę przewróciwszy, począł na następnej kalendarzowe wiadomości sylabizować:

— R-o-k — rok, m-a — ma... rok ma...

Z niezmierną trudnością, w niektóre z liter po całej minucie oczy wlepiając, ręce pod stołem zaciskając i łamiąc tak, że aż stawy palców trzeszczały, przeczytał:

— Rok ma dwanaście miesięcy, tygodni pięćdziesiąt dwa...

Oddawna i bardzo dobrze wiedział, że rok ma dwanaście miesięcy i pięćdziesiąt dwa tygodnie; niemniej ucieszyło go niezmiernie, że to wyczytał w książce. Podniósł głowę i uczuł, że zrobiło się mu bardzo gorąco. Uczuł się też spracowanym niezmiernie, daleko więcej, niż przy robieniu kilku toni na zamarzłej rzece. Pot mu na czole świecił. Zdjął kożuch i usłyszał z chaty Koźluków naprzód, potem z coraz dalszych chat, coraz słabiej dochodzące, pianie kogutów: więc północ była już bliską.

Przyczytanie tytułu książki i uwagi, że rok ma dwanaście miesięcy i pięćdziesiąt dwa tygodnie, zajęło mu cały wieczór zimowy. Pamiętał, że przy ostatnich światłach dziennych książkę otworzył, lecz wcale nie pamiętał, jak i kiedy lampkę zapalił. Uczynić to musiał całkiem bezwiednie, utopiony w myśleniu o tem, jak złożyć znajdującą się w tytule, a nadewszystko trudną do złożenia sylabę, złożoną z liter:

C-h-r-z-e-ś...

Cały kwadrans potem, już przy świetle lampki, męczył się nad zlaniem w dźwięk jeden tylu pojedyńczych dźwięków, aż nagle, z gwałtownem poruszeniem na ławie całego ciała wykrzyknął:

— Chrześć...

A po kilku jeszcze minutach przeczytał cały wyraz:

— Chrześcijanie.

Napełniło go to takiem zadowoleniem, że ze spoconego czoła poznikały mu wszystkie zmarszczki, a oczy, od książki na chwilę oderwane, świeciły znowu bystrym, pogodnym, jak u dziecka, niewinnym błękitem.

W ten sposób spędzał potem prawie wszystkie zimowe wieczory. Przeczytał już, co to adwent, co suche dni, kiedy Kościół zakazuje ślubów i wesel małżeńskich, przeczytał o powinnościach względem Boga, bliźnich, samego siebie i zaczynał właśnie rozdział, traktujący o Sakramentach Świętych, kiedy do izby wsunęła się Awdocia.

Było to już przy końcu stycznia; Paweł, przez sześć ty-

godni ośm stronic przesylabizowawszy, zaczynał już czytać po wierzchu.

Pamiętał dobrze, jak nieraz znudzona i zniecierpliwiona Franka nad głową mu krzyczała:

— Po wierzchu czytaj! no, czytajże już, durniu, po wierzchu!

A kiedy on w żaden sposób rozkazu tego spełnić nie mógł, książkę mu z rąk wyrywała i z wielkiem poczuciem własnej wyższości, które w niej nieco znudzenie i zniecierpliwienie tłumiło, jak to się po wierzchu czyta, pokazywała.

Teraz próbować zaczynał sam po wierzchu czytać i przy tej stokroć zwiększonej pracy znalazła go Awdocia. Wnuki jej chorowały, dwoje wyzdrowiało, jeden umarł; przyszła kuma odwiedzić. Trochę z nią o zmarłym wnuczku i najmłodszym synu, którego świeżo do wojska wzięto, porozmawiawszy, i gruszkami, których jeszcze trochę w chacie miał, ją poczęstowawszy, Paweł do książki wrócił.

Awdocia, z głową, tak od mrozu płócienną płachtą owiniętą, że tylko nos zadarty ukazywał się z za niej, i czarne oczka połyskiwały, nietylko nic wcale przeciw czytaniu Pawła w swojej obecności nie miała, ale z niezmierną ciekawością przysłuchiwać mu się zaczęła. Stopniowo ciekawość ta zmieniała się w skupienie i wytężenie uwagi i słuchu. Siedząc na stołku, formalnie skamieniała. Ogryzek gruszki z ręki jej wypadł. W długiej siermiędze i szarej płachcie, która jej głowę i całą prawie twarz grubemi fałdami okrywała, miała pozór wyrzeźbionej z kamienia figurki.

Paweł, to sylabizując, to krótsze i łatwiejsze wyrazy po wierzchu wybąkując, czytał:

— «Czyny ludzkie, żeby mogły podobać się Bogu, muszą być nietylko dobremi, lecz nadto jeszcze nadprzyrodzonemi, czyli pochodzić z nadprzyrodzonej łaski Bożej...»

Kamienna figurka, na stołku nieruchomie siedząca, nic a nic nie rozumiała. Gdyby kto ją bił i zabijał, co znaczyły «czyny ludzkie nadprzyrodzone», w najmniejszem przybliżeniu wytłumaczyćby nie potrafiła. Niemniej ogarniać ją zaczynały żałość i skrucha, tak zupełnie, jak gdy w kościele ksiądz z kazalnicy mówił, a ona, górnej jego mowy nic a nic nie rozumiejąc, do wzdychania i płaczu jednak ochotę uczuwała. Może dźwięki, w codziennem życiu nigdy nie słyszane, i wyrazy, piętnem świętości namaszczone — tak jak to u istot innego niż ona rzędu czyni

muzyka — na dnie jej duszy budziły i wzmagały utajone uczucia i zaczątki uczuć.

Kiedy Paweł czytał następnie o dwojakiej łasce Boskiej, poświęcającej i przechodniej, Awdocia głośno westchnęła i coraz częściej, głośniej, przeciągłej wzdychała, aż gdy niezmiernie powoli przeczytał:

— «Zwy-czaj-ne-mi i naj-ob-fit-...s-z-e, m-i mi, — najobfitszemi ka-na-ła-mi łask Boskich są Ś-w-i-ę — Świę, t-e — te, — Święte Sa-kra-men-ta».

Głośnym płaczem i lamentem wybuchnęła.

We dwoje zgięta, połą siermięgi twarz zakrywając, lamentowała:

— Oj, zabrał Pan Bóg Najwyższy, do chwały swojej zabrał robaczka mego maleńkiego. Tadeuszka mego miłeńkiego! Zmarniała dziecina, jak ten kwiatek pod śniegiem, stoczyła się ze świata, jak ta jagoda...

Tak przez czas jakiś hołosiła, połą siermięgi nos ucierając i deszczem łez płacząc.

To, co mówiła, z łaską Boską dwojaką i najobfitszemi jej kanałami w najmniejszym związku nie zostawało, ale dźwięki dziwne a święte były tą okruchą, która, na rozżaloną duszę jej spadając, z równowagi ją wytrąciła. Tak we wspaniałej i rzęsiście oświetlonej sali, przy dźwiękach strun, mistrzowskim smyczkiem poruszanych, po bladych policzkach modnie ubranej damy płynąć zaczynają ciche, grzeczne, bo z duszy gorsetem ściśniętej dobywające się łzy.

Awdocia zaś hołosiła, a Paweł, książkę zamknąwszy, pocieszał ją powolną, łagodną swą mową.

Mówił o woli Boskiej, o tem, że człowiek a robak to wszystko jedno, bo robak przez rybę, a człowiek przez ziemię pochłonięty być musi, i że po śmierci Tadeuszka jeszcze jej dwoje wnuków zostało; kobieta zaś w siermiędze i szarej płachcie, w grube fałdy dokoła głowy zawiązanej, stopniowo cichła, nieruchomiała i znowu do kamiennej figurki stawała się podobną.

Nakoniec, po raz ostatni nos połą siermięgi utarła, spojrzała na Pawła i tajemniczym szeptem zapytała:

— Nu, a o tej... nic nie słychać?

W oczach jej, z łez jeszcze nie oschłych, świeciła już ciekawość.

Przez kilka tygodni Pawła nie widywała: może więc w tym czasie w stosunku jego do Franki coś nowego zaszło.

Paweł dość długo milczał, a potem powolnym, monotonnym głosem mówił zaczął:

— Nic ja o niej nie słyszał, nic ja o niej nie wiem, i Bóg tylko Święty wie, co tam z nią dzieje się... gdzie ona...

Po chwilowej przerwie mówił dalej:

— Ot, biedna, nieszczęśliwa! Znów na wołoczaszcze życie, na poniewierkę i na wszelakie złości swoje i ludzkie poszła... Znów dusza jej zgubiona i bez ratunku nijakiego w piekło lecąca... a ja myślał, że ją wyratował... od męki na tym, a od potępienia na tamtym świecie wyratował. Nie chciała. Nie wytrzymała. Czysta pijaczka, choć i wódki nie pijąca. Oj, biedna ona, biedna!

Ręką machnął; nie na kobietę, z którą rozmawiał, ale kędyś w bok pod ścianę patrzał.

— Nijakiego gniewu i nijakiej pretensji ja do niej nie mam. Do siebie pretensję mam, nie do niej. Inaczej widać trzeba mnie było z nią postępować...

— A toż! inaczej, pewnie, że inaczej... — z zapałem zaszeptała Awdocia. — Panowanie jej dałeś... do pracy nie zaganiałeś... w pościeli, jak ta świnia w barłogu, wylegiwała się... cukierki, jak ta pani, smochtała i herbatę piła...

— Żeby powróciła — po długiem milczeniu przemówił Paweł — jużbym ja teraz z nią inaczej...

— Czego jej powracać? Nie powróci... Marcela, z miasta przyszedłszy, mówiła, że już jej tam niema: pewno ze swoim lokajem gdzieściś dalej powlokła się...

Pawłowi oczy zaświeciły, ale prędko powieki spuścił i już ani słowa do Awdoci nie przemówił.

Ona też niebawem wstała, głową kiwnęła.

— Bywajcie zdrowi!

A potem:

— Niech będzie pochwalony! — powiedziała i wyszła.

Po dniu mroźnym i wietrznym noc zrobiła się burzliwa. Naokoło chaty wichry dęły, dmuchały, huczały, jęczały.

Paweł lampkę zgasił. Czarna ciemność zaległa izbę, w tej ciemności i wśród słabnących, to wzdymających się głosów wichru nie zasnął Paweł tak, jak dawniej bywało: odrazu i twardo.

Długo z cichemi łopotami i szelestami dokazujących wśród koszów i mioteł myszy słychać było obracanie się na łóżku ciężkiego ciała i głośne, przewlekłe westchnienia; aż zastąpił je żar-

liwy, błagalny szept, który po wiele razy z odgłosami pięści, pierś uderzającej, powtórzył:

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże, bądź miłościw jej grzesznej!

IV.

Gdy od zniknięcia Franki trzecia już zima upływała, powszechnem i oddawna utrwalonem zdaniem było, że Paweł o niej zupełnie zapomniał. W ostatnich czasach nawet poweselał; nie w tem znaczeniu poweselał, aby w hulankach udział brał, albo kiedykolwiek głośnym śmiechem wybuchnął, ale ludzi nie unikał, z każdym, kto go zaczepił, chętnie i grzecznie rozmawiał, w zimowe wieczory znowu czasem, choć nie często, do chaty Koźluków przychodził, dzieci ich na kolana brał, całował je i z figlów ich, albo nierozumnego gadania, śmiał się.

Wprawdzie postarzał widocznie: łysina powiększała się mu nad czołem, wąski zarost, policzki otaczający, bielał coraz więcej, plecy, tak dawniej proste i gładkie, w okolicach karku trochę się przygarbiły, co najbardziej było widocznem, kiedy szedł, stopy od ziemi powoli odrywając. Nie dziwiło to przecież nikogo; wszak lat mu przybywało i pracował wiele, daleko więcej nawet, niż przed ożenieniem się, a z taką samą rzeźkością i siłą, jak wówczas.

Jednego z pierwszych dni marcowych od rana do wieczora zajęty był przygotowywaniem narzędzi, do wiosennego rybołówstwa potrzebnych.

Lody w tym roku puściły, i śniegi stajały wcześnie; szeroko rozlana rzeka podmywała pnie sosen u przeciwległego boru i o stok góry, na której stała wioska, biła wysokiemi, pienistemi, szumnemi falami. Środkiem szare i wzdęte fale bystro unosiły wielkie kępy białej piany i czasem jeszcze drobne odłamy lodu, które, gdy słońce świeciło, usiewały rzekę okruchami złota i tęcz.

Niekiedy piasek i żwir z nadbrzeżnej ściany osypywał się z głośnym i długim szelestem nawałnicy, albo ze stoku góry, przez wodę poderwany, z wielkim hukiem i pluskiem staczał się i do rzeki wpadał ciężki kamień.

W powietrzu unosił się już zapach odmarzłej ziemi, i odzywały się gwary odżywającego ptactwa; lecz natura była jeszcze

szara, zimna, wilgocią przesiąknięta, burzliwemi ruchami wiatrów i wody wydobywająca się z kajdan zimy.

W chacie Pawła żelazne łomy, na długi czas już niepotrzebne, stały w kącie przy ścianie. Na ścianach wisiały naprawione sieci różnych rozmiarów. Stół i ławę okrywały świeżo ukręcone sznury różnej grubości i różnej wielkości, z drutu wyrobione haki i haczyki.

Danilko, teraz już wysmukły, ośmnastoletni, ładny chłopak, przez cały prawie dzień pomagał Pawłowi sznury kręcić i haczyki robić. Zajmował się tem z wielką ochotą, bo, tak jak i Paweł, do rybołówstwa uczuwał od dziecięctwa pociąg, z namiętnością graniczący.

Przed południem z dzieckiem na ręku przyszła Ulana. Było to czwarte już jej dziecko, którego chrzciny odbyły się tej zimy, a Paweł był na nich, ze zgromadzonemi sąsiadami ochotnie rozmawiał i matce nowonarodzonego wiele przyjaźni okazywał.

Na tychto chrzcinach najmocniej utrwaliło się przekonanie, że o niegodziwej żonce zupełnie już zapomniał i nad jej utratą smucić się ani myśli. I owszem: pewnie cieszy się, że go porzuciła, i że to głupstwo, które zrobił, większego nieszczęścia mu nie sprawiło.

Filip nawet, na chrzcinach syna podpiwszy sobie, wesoło szwagra chłopskiem przysłowiem zaczepił:

— A co, dziewier? jak toj kazau... baba z kałos, kałosom lehczej!

Teraz Ulana, niemowlę, w ciepłą chustkę owinięte, na pościeli brata złożywszy, ogień rozniecila i zgotowała strawę, którą potem Paweł i Danilko razem jedli. Przed ogniem stojąc, ta silna, zdrowa, hoża kobieta mówiła ciągle: to o nowych deskach, które Filip do wyreparowania promu swego potrzebuje, to o tem, że im pewnie trochę zboża do nowego zabraknie, to, że najstarszy jej syn, Szymonek, gwałtem butów napierać się już zaczął...

O potrzebie nowych desek i małym zapasie zboża mówiąc, z ukosa zerkała na brata, i błękitne jej oczy połyskiwały przytem trochę chciwemi błyskawicami. Spodziewała się widocznie i bardzo pragnęła, aby on jej w tych dość ważnych kłopotach z pomocą przyszedł. Opowiadając zaś o małym Szymonku i jego zachciankach, śmiała się tak, że wszystkie śnieżne zęby z za pełnych, koralowych warg pokazywała.

Paweł uważnie słuchał, głową potakująco trząsł, do zrozu-

mienia tem dając, że kłopoty siostry rozumie i że do zaradzenia im dopomoże. Żółtego Kurtę, który poufale wił się mu u nóg, chlebem i kartoflami karmił, poczem niemowlę z pościeli wziąwszy, trochę je w rękach pohuśtał i gwizdaniem zabawił.

Z dziedzińca Koźlukowej chaty dał się słyszeć donośny głos Filipa, żonę przywołującego. Ulana dziecko z rąk brata wzięła i śpiesznie wybiegła.

Wkrótce potem na przeciwnym brzegu rzeki ozwało się przeciągle, po kilka razy powtarzające się wołanie:

— Prooom! Prooom! Prooom!

Daniłko sznur, do połowy ukręcony, porzucił i z chaty wypadł. Musiał Filipowi na pomoc biec. Teraz po szeroko rozlanej, burzliwej rzece prom na łodziach szostami przeprowadzać nie było rzeczą łatwą. Kto wie, czy we dwóch podołają?

To też po upływie minuty, tuż za oknem Pawła Filip zawołał:

— D z i e w i e r ! chodźcie, pomóżcie! zmiłujcie się, pomóżcie!

— A trzeci s z o s t jest? — donośnie zapytał Paweł.

— Jest! jest! — odkrzyknął Filip.

Paweł czapkę na głowę włożył i, tak jak był, w krótkiej siermiędze i wysokich butach, poszedł szwagrowi na promie pomagać.

Gdy z promu wrócił, w izbie było już prawie zupełnie ciemno.

Ulana garnek ze strawą na wieczerzę pozostawioną w piecu umieściła i otwór pieca drewnianą deską zasunęła. Ognia więc nie było, w jednym kącie tylko mętnie pobłyskiwał samowarek, a w drugim czerniały nagromadzone tam łomy, wiosła, miotły i kosze. Na ścianach wiszące sieci wyglądały jak błędne, bezkształtne cienie.

Za oknem wiatr szumiał, i gęsty deszcz marcowy padał; z drugiej strony dochodził, przez oddalenie osłabiony, monotonny i głuchy szum rzeki.

Paweł lampkę zapalił i, okrywające stół haki i sznur nieco odgarnąwszy, pod światłem jej książkę rozłożył. Była to ta sama, co i przed trzema laty, «Służba Boża», przez Frankę tu przywieziona i pozostawiona. Przez pierwszą zimę Paweł, nic nie opuszczając, przeczytał stronic sześćdziesiąt, przez drugą dwa razy tyle, a przez trzecią daleko już więcej. Jednak całej przeczytać jeszcze nie zdołał. Modlitwy, które mu najwięcej się podobały, świętemi obrazkami zakładał. Tych obrazków w książce

było dość dużo, pomiędzy niemi zaś znajdowały się bilety z powinszowaniem Nowego Roku lub imienin, od miejskich znajomych i przyjaciół przez nią otrzymywane. Składały się one z wielkich jaskrawych róż, girland, bukietów, na twardym papierze malowanych lub naklejanych. Były też tam czerwone serca, złotemi strzałami poprzebijane, i żółte kupidyny ze świecącemi skrzydłami.

U spodu lub dokoła tych wyobrażeń znajdowały się grube napisy, wyrażające imiona i nazwiska kawalerów, od których dary te pochodziły, oraz datę ofiarowania ich France; ale Paweł napisów tych wyczytać nie umiał i bilety te za święte także obrazki poczytywał; kupidyny, poprostu, brał za aniołków.

«Służbę Bożą» otworzywszy, bilet z czerwonem sercem, przez kupidyny trzymanem, pobożnie ku ustom podniósł, pocałował i ostrożnie, delikatnie napowrót go do książki włożywszy, jak zwykle, półgłosem powoli bąkać zaczął:

— Przygotuj ozdobny przybytek twój. S-y — sy, o — o, syo, n-i-e — nie, Sy-o-nie.

Umilkł i z oczyma, wlepionemi w książkę, zamyślił się. Zamyślił się nad tem, kto to być może ten Syon? Musi król jaki, a może i pan bardzo bogaty, kiedy jemu święta książka ozdobny przybytek przygotowywać nakazuje. Co znaczy: ozdobny przybytek rozumiał, i wyrazy te przed wyobraźnią mu stawały wielką i wszelkich ozdób pełną salę, którą w jednym ze znajomych dworów przez otwierające się drzwi przedpokoju czasem widywał.

Ale kto ten Syon?

— I przyjmij Kró-la Chry-stu-sa...

Przed wrotami coś, jakby koła po mokrej ziemi toczące się, zaturkotało i ucichło; Kurta na przyległem podwórku zaszczekał; wrota skrzypnęły. Paweł twarz podniósł i słuchał. Nic; cicho.

Za oknem, jakby kto całun zawiesił, tak ciemno, i wiatr z deszczem coraz głośniej szumi.

Paweł do książki powrócił.

— Rozmiłuj się w Ma... w Ma-rji...

Pomyślał chwilę.

— Aha! to jemu Syonu, królu jakiemuś, czy bogatemu panu, święta książka w Marji rozmiłować się nakazuje!...

I czytał dalej:

— Ona bo... bo-w-i-e-m, — bowiem jest bramą niebieską...

Westchnął.

— Oj, żeby to człowiek po śmierci tej bramy niebiesk'ej dostąpił...

Teraz wyraźnie usłyszał, że w sieni drzwi od podwórza skrzypnęły.

— Pewno Awdocia... — półgłosem wymówił, ale zarazem wyprostował się, jak struna.

W sieni słychać było stąpanie, lecz nie stąpanie Awdoci, ociężałe i grubemi butami głośno stukające. Ktoś tam szedł cicho, nieśmiało, na podobieństwo skradającej się myszy. Paweł, wciąż, jak struna wyprostowany, bezwiednie palcami mnąc żółtą kartkę książki, oczy w zamknięte drzwi wlepiał. Ale ciche, nieśmiałe kroki umilkły, a drzwi się nie otwierały. Coś jednak znowu za niemi zaszeleściło i umilkło, a Pawłowi zdawało się, że słyszy szmer ciężkiego i z całej siły tłumionego oddechu. Z podniesionemi brwiami i z twarzą wzburzoną poszedł ku drzwiom i popędliwym ruchem naoścież je otworzył.

— Kto tu?! — zawołał.

Z ciemności zalegających sień, z pod samej ściany wyszedł nieśmiały szept:

— To ja.

— Kto? — powtórzy i cały naprzód się podał.

— Ja... Franka!

On wysoki próg przeskoczył, omackiem przy ścianie znalazł ramię, w twardym, od deszczu przemokłym rękawie i, z całej siły je schwyciwszy, do izby wciągnął niewysoką, szczupłą, ciemną postać, w paltocie, po którego twardej i poplamionej powierzchni ściekała woda, z głową i twarzą całkiem prawie zawiniętą w grubą, podartą chustę. Kiedy już blade światło palącej się na stole lampki na nią spłynęło, ona, niema i zopuszczonemi rękoma, zatrzymała się u drzwi; on ramię jej puścił i, z wlepionym w nią wzrokiem, głosem takim, jakby czkawka go porywała, zawołał:

— Ty... ty... ty!...

Wśród fałd mokrej chusty czarne, wielkie, zapadłe oczy jak żużle świeciły, a wąskie blade usta jeszcze ciszej, jeszcze nieśmielej, niż wprzódy wyszeptały:

— Ja... nie gniewaj się...

Ale on tego, co mówiła, nawet nie słyszał.

— Taki powróciła!... a ja już i nie spodziewał się... wprzódy spodziewał się... a potem i przestał...

Zachłysnął się, dłońmi plasnął, głośno i ciągle połykał ślinę i łzy, które mu w oczach świeciły.

Ciemna, przemokła, nieruchomie u drzwi stojąca postać głośniej nieco, choć bardzo nieśmiało, przemówiła:

— Kiedy można mnie tu zostać, to dobrze, a kiedy nie, to zaraz pójdę sobie...

— Ot, durna! — zaśmiał się teraz na całe gardło. — Rozdziewajsia chuczej, chuczej rozdziewajsia, a to jeszcze zachwarajesz od tej mokrości.

Jak zwykle, gdy był wzruszonym, po chłopsku mówił, chustkę jej z głowy odwiązując, prawie zrywając. Ona, czy z zimna, czy z innej przyczyny, drżała tak, że aż zęby jej dzwoniły. Zcicha powiedziała, że paltota nie zdejmie, bo deszcz go po wierzchu tylko zmoczył, a bez niego będzie jej bardzo zimno i, nic już nie mówiąc, na tapczanie, okrytym pościelą Pawła, ze zwieszoną głową i rękoma na kolana opuszczonemi, usiadła. Włosy roztargane i rozplecione opuszczały się jej na czoło i plecy, a z pośród wilgotnej ich czarności wyglądała twarz drobna, żółta, zmartwiona, sterana, z cieniem długich spuszczonych rzęs na drgających i chudych policzkach. Paweł ze zwieszonemi ramionami i silnie splecionemi rękoma stał przed nią i, jak w tęczę, w nią patrzał.

— Taki powróciła... — mówił — taki znów z czartouskich pazurów wyrwała się... taki poznała, gdzie jej dobro i wybawienie... Oj, mojaż ty biedna, mojaż ty nieszczęśliwa!...

Nagle odwrócił się i do pieca poszedł.

— Ogień zaraz rozpalę. Krupniku gorącego dam, albo i herbaty zgotuję... Zaraz i rozgrzejesz się, i lepiej tobie stanie...

Piec znajdował się blisko drzwi i, gdy Paweł ku niemu postąpił, Franka przestraszonym wzrokiem za nim rzuciła i zcicha krzyknęła:

— Oj!

Niespokojnie obejrzał się na nią.

— A co? Pewno chora? Pewno we środku boli? Niemało widać wszelakiej biedy zniosła i w takie zimno przyjechała. Poczekaj! minutkę poczekaj! Zaraz ogień będzie, i wszystko będzie...

Rękę do włosów z zakłopotaniem podniósł.

— Trzasek niema... Kab ich... w sieniach zostawił... poczekaj, minutkę poczekaj!

Ręką drzwi dotykał, gdy Franka daleko głośniej, niż wprzódy, prawie przeraźliwie krzyknęła:

— Oj! nie idź tam... nie idź...

Z przestrachem na nią spojrzał.

— Czemu? — zapytał.

Ona, nie ruszając się z miejsca, trzęsła się teraz, jak w febrze i, ręce łamiąc, nieprzytomnie mówiła:

— Oj, co ja zrobię? co ja zrobię? co z tego będzie? Kiedy pociemku pójdziesz, to nastąpisz i zadusisz, a kiedy ze światłem pójdziesz... to zobaczysz i mnie zaraz wypędzisz... Co mnie tu nieszczęśliwej robić? Co z tego będzie? O, Jezu! O, Panno Marjo Przenajświętsza, ratujcie mnie nieszczęśliwą!

Przerażony, z ręką na klamce drzwi, pytać zaczął:

— Z czego co będzie? Na kogo ja tam nastąpię? Kto tam taki w sieniach?

Obu rękoma twarz zakryła i ze spazmatycznym płaczem wyrzuciła głośno wyraz:

— Dziecko!

Przez parę minut, jak skamieniały, jak do miejsca przykuty, z pochyloną twarzą i grubemi fałdami na czole, przy drzwiach stał, aż zwolna ku stołowi postąpił, lampkę wziął i również powoli do sieni z nią wyszedł.

Po chwili z czemś, w grube i wilgotne łachmany owiniętem, o żadnej wyraźnej formy nie mającem, wrócił i, milcząc, zawinięcie to na pościeli obok Franki położył.

Ona każdy ruch jego ścigała przestraszonym, nieprzytomnym wzrokiem swoich czarnych, palących się oczu; on, nie patrząc na nią, zniżonym głosem zapytał:

— Czemuż odrazu do izby nie wniosła, a jak to szczenię w zimnie na ziemi porzuciła?

Kurczowo ręce ściskając, odszepnęła:

— Bałam się...

Do pieca odszedł i ogień rozniecać zaczął. Czynił to bez uprzedniego pośpiechu, bez tej łuny gwałtownej radości, która przedtem twarz mu oblewała. Owszem, czoło w dwie grube fałdy ściągnięte i usta silnie zwarte nadawały mu pozór posępny i surowy.

Garnek z krupnikiem do ognia przystawił, w małym imbryku herbatę zgotował i bochen chleba razem z dużym nożem na stole położył.

— Chodź jeść!

Od kwadransa było to pierwsze słowo, które wymówił, a wymawiał je, nie patrząc na Frankę.

Ona, jak odrętwiała, jak skamieniała, żadnego poruszenia

nic zrobiła. Z leżącego na pościeli zwoju grubych płacht ozwało się głośne jękliwe wołanie:

— Ma-mo! Ma-mo! — i w chlipiący płacz już przechodziło.

Franka nie poruszała się jeszcze i zdawała się nie widzieć i nie słyszeć nic. Paweł nagłym ruchem zwrócił się ku niej. Faldy jego czoła pogłębiły się jeszcze, a zniżony głos gniewnie zabrzmiał:

— Czemuż dziecka ze szmat nie rozwiniesz? Możeby chciała, żeby zadusiło się, ha? Łajdaczka!

Jak sprężyną podjęta, wstała, długo drżącemi rękoma rozwiązywała chusty, aż wydobyło się z nich i na pościeli usiadło stworzenie drobne, chude, wpół-bose i wpół-okryte suknią jaskrawoczerwoną, lecz tak podartą, że na ramionach i piersi szeroko ukazywała żółte i drobnemi kośćmi sterczące ciało. Jasne, gęste i długie włosy, jak roztargana kądziel, wznosiły się mu nad głową, a świecące pod niemi czarne, jak węgiel, oczy z chciwością wpiły się w leżący na stole bochen chleba.

— Daj... daj... daj!... — na całą izbę zadzwonił cienki, płaczem nabrzmiały głosik, i z czerwonego, podartego łachmanka dwa drobne, cienkie, prawie jak wosk żółte ramiona wyciągnęły się w kierunku stołu i chleba.

— Czegoż stoisz, jak słup? — tym samym, co wprzódy, szorstkim głosem, ozwał się Paweł. — Przynieś jego tu i nakarm. Słyszysz? nu!

Jak automat posłuszna, wzięła dziecię na ręce i ku stołowi je niosła. Kilkanaście miesięcy przynajmniej mieć musiało, skoro już mówiło i przedmioty rozpoznawać mogło, jednak było tak drobne i lekkie, że nawet ta wątła, wychudła, zmęczona kobieta jak piórko je niosła. Przy stole z nim usiadła i kawał chleba włożyła w małe ręce, które go zaraz z chciwością do ust poniosły.

Paweł postawił przed nią talerz dymiącego się krupniku.

— Jedz i dziecku daj — mówił, a sam o parę kroków pod ścianą w cieniu usiadł.

Widocznie usiłowała jeść, ale nie mogła; żywność nie przechodziła jej przez gardło, i oczy co chwila nabrzmiewały łzami. Dmuchaniem na drewnianą łyżkę krupnik studziła i dziecku potrosze do ust wlewała.

W izbie panowało milczenie, przerywane tylko głośnem wciąganiem płynu przez usta dziecięce i ciężkim oddechem Pawła. Z cienia, w którym siedział, nie można było dostrzec,

czy na Frankę patrzał; jednak po chwili krótko i ostro przemówił:

— Czemu nie jesz?

— Nie chcę — ledwie dosłyszalnym głosem odpowiedziała.

Wstał, chwilę przed piecem coś robił, a potem zielonawą szklankę herbaty przed nią postawiwszy, znowu na uprzedniem miejscu zdala od stołu usiadł.

Dziecko, zjedzeniem trochę gorącego krupniku rozgrzane i nasycone, jak ptak zatrzepotało i, z małym palcem ku szklance wyciągniętym, wykrzyknęło:

— Batka! Bat-ka! Batka!

A w tejże chwili, ujrzawszy parę kawałków cukru, które Paweł przy szklance położył, jeszcze głośniej wołać zaczęło:

— Aj, aj! Ciu-kiel! Ciu-kiel! aj! aj! aj! Ciukiel!

I kilka razy jeszcze potem w milczącej izbie, naprzeciw okna, zawieszonego z zewnątrz czarnym całunem, cienki, donośny, radosny głosik dziecięcy — jeden ten wyraz, na dwie sylaby rozdzielany, powtórzył. Podobne to było trochę do srebrnego dźwięku jednostajnie poruszanego dzwonka, a trochę do słodkiego gruchania synogarlicy.

Franka ku tym małym, gruchającym ustom przechylała szklankę z wystudzoną herbatą, gdy ręka jej drgnęła, bo w cieniu, pod ścianą, niski, lecz mniej niż wprzódy szorstki głos męski wymówił:

— Chrzczone?

— A jakże! — odszepnęła.

— Jakżeż ono nazywa się?

— Oktawjan.

— Chtawjan — powtórzył i umilkł, a po kilku zaledwie minutach zapytał znowu:

— Wiele jemu będzie?

— Rok i ośm miesięcy — odpowiedziała.

Dziecko kilka razy tylko przełknęło trochę herbaty, resztę z widoczną pożądliwością wypiła Franka, zjadając przytem parę kęsów chleba.

— Chcesz więcej? — zapytał Paweł.

Zcicha i drżącemi usty odpowiedziała, że herbaty więcej nie chce, i że dziecko senne.

Sennem istotnie było: podróż je zmęczyła i rozmarzało ciepło ognia. Głowę schylając na ramię matki i powieki mrużąc, raz jeszcze jednak cichutko zaszczebiotało:

— Ciu-klu! daj... daj... daj!...

I długie, tak jak u Franki, rzęsy opadły mu na chude policzki, usta zaś, do bladego listka róży podobne, zamknęły się z cichym uśmiechem. Franka nie wstawała jednak; oczy jej, ciągle łzami nabrzmiałe, z ponurym smutkiem tkwiły w chropowatej powierzchni stołu.

Paweł też milczał długo; potem wstał.

— Nu, idzi spać! — przemówił.

Na tapczan z pościelą wskazał.

— Kładnij się i dziecko przy sobie połóż... ja na zydlu przenocuję...

Wstała i, z dzieckiem na ręku parę kroków zrobiwszy, nieruchomie przed nim stanęła.

— Czego chcesz? — szorstko zapytał.

Milcząc, wzięła jego rękę i do ust ją podniosła. On rękę z dłoni jej wysunął, twarz ku ścianie zwrócił.

— Nu, idź spać... idź spać... Bóg z tobą... — przemówił i prędkim, mimowolnym jakby ruchem dłonią po włosach jej powiódł.

Ale wnet odwrócił się i naprzód lampkę, a potem resztki ognia w piecu zagasił. Gruba ciemność zalegała izbę, w której przez parę minut słychać jeszcze było szelest rozbierania się Franki, a potem już tylko szemrały w niej ciche oddechy dwóch głęboko uśpionych istot: kobiety i dziecka. Lecz u przeciwległej ściany długo w noc i co chwila ciężkie ciało z szelestem i stukiem przewracało się na twardej ławie, odzywały się długie westchnienia, i głośny szept, to z żałością i rozpaczą, to z trwogą i skruchą Boskie imiona wymawiał. Była tam widocznie dusza ludzka, burzą sprzecznych uczuć dręczona i miotana. Dlaczego? Wszak to małe stworzenie, które, jak ptaszę nie mające gniazda, niespodzianie do jego chaty spadło, nie uwiadomiło go o niczem, o czemby on i przedtem dobrze nie wiedział. Tak; ale świadomość tę ono w żywe kształty przyoblekło, w niezbity dowód zaopatrzyło: było ostrzem, które ugrzęzło w ranie jego serca, nie pozwalając mu już ani na chwilę o niej zapomnieć i ognistą literą wyraźnie wypisując przed nim to, co on za grzech poczytywał i czem się brzydził.

W tą noc długą, czarną, był pewnym, że aniołowie i czarty szarpią go i rozdzierają, wzajem sobie duszę jego wyrywając. Litość i radość, to wściekłość i rozpacz, zkolei go zdejmowały.

Dłonie i palce tak silnie splatał, że w grubej ciemności

wraz z westchnieniami: «O, Jezu, Jezu!» słychać było suche trzeszczenie stawów.

Co tu robić?

Czy, gdy dzień zaświta, pieniędzy jej dać, choćby wszystko, co w chacie jest, oddać i powiedzieć jej, aby razem ze swoim bękartem szła sobie precz w świat na zatracenie? Na zatracenie! A przysięgał przed Bogiem i samym sobą, że od zatracenia ją wyratuje... Ona przecież po ten ratunek do niego przyszła, i może to teraz taka u niej minuta nastała, że czarta wyrzecze się, a dobrą i poczciwą zostanie?

Gdzie tam! Nadzieja mała! Kiedy to było, żeby pijak wódki się wyrzekł? ona zaś, choć wódki nie pije — pijaczka! A w dodatku bękarta tego na zawsze już do chaty wziąć i jej grzechem a swoim wstydem popisywać się przed ludźmi! Toż będą w całej wsi ludzie rohotać, że on lokajskie dziecko hoduje! Wstyd! Oj, i żałość taka, że serce zdaje się całe krwią oblane...

— Nie chaczu, — gwałtownie zaszeptał — za niszto nie chaczu!

Ale, jeżeli teraz z chaty ją wyprawi, ona już nie powróci nigdy, i on nigdy jej nie zobaczy, na te jej oczy świecące nie popatrzy, tych jej włosów, jak krucze skrzydła czarnych, nie pogładzi, tego jej śmiechu głośnego, długiego, który nad życie lubił, nie posłyszy...

Z głuchem łkaniem tym razem połączony, w ciemności rozległ się szept:

— Nie mahu, aj! Bożeż mój, Boże, za niszto nie mahu!

I jeszcze:

— Co mnie tu robić? Bożeż mój wszechmogący, co mnie tu począć, co robić?

Jednak, gdy dość późny jeszcze świt marcowy siwawem światłem rozpraszać począł ciemności izby, Paweł spał. Niezupełnie rozebrany, bez butów tylko i siermięgi, którą pod głowę sobie był podłożył, leżał na wąskiej ławie w całej długości wyciągnięty, w białej płóciennej odzieży, więcej niż kiedykolwiek barczysty i ogromny.

Jakkolwiek niedawno był zasnął, obudził się o zwykłej porze i, odrazu zapewne wszystko, co stało się wczoraj, przypomniawszy, na łokciu podniesiony, z głową, na ręku opartą, na łóżko, naprzeciw stojące, nieruchomie się zapatrzył.

Franka, niezupełnie także rozebrana, bez palłota i trzewików tylko, spała głęboko i twardo. Widać, że przed zaśnięciem, z twarzą wtuloną w poduszkę, płakała jeszcze, bo i teraz część

policzków i czoła w poduszce tonęła, resztę zaś przezroczystą zasłoną okrywały i na plecy także spadające, czarne jej, gęste, falujące włosy. Przez cienki poplamiony kaftan ukazywała się, widocznie kośćmi łopatek sterczącą, chudość jej pleców, a z pod obłoconego brzegu jej spódnicy wydobywały się stopy w podziurawionych i brudnych pończochach. Jakiś rozczochrany nieład i uliczna błotnistość, ale też jakaś niezgłębiona nędza, biły od tej uśpionej, skurczonej postaci, o rozpuszczonych ślicznych włosach i przeglądającej z za nich żółtej skórze twarzy.

Paweł z dwiema grubemi fałdami na czole wlepiał w nią wilgotne, a zarazem ponure wejrzenie. Nagle po omglonym i posępnemi cieniami nalanym błękicie jego źrenic przemknął nieledwie wesoły promień, a na zwarte, surowe usta spadł słaby zrazu uśmiech.

Jaskrawoczerwony punkcik, dotąd nieruchomie i bez wyraźnych kształtów obok ciemnego kaftana Franki leżący, wzdął się, poruszył i wydobył z siebie naprzód parę bosych, drobnych stópek, potem małą głowę z tak prawie żółtą, jak wosk, twarzą i wznoszącą się nad nią roztarganą kądzielą lnianą, nakoniec parę drobniejszych jeszcze, niż stopy, rączyn, które, ze strzępi podartych rękawów wydobyte, wzniosły się ku kądzieli i w niej utonęły. Nowością miejsca, w którem się znalazło, tułacze to dziecię bynajmniej nie przerażone, ze stopkami trochę za pościel wystającemi, z rękoma zatopionemi we włosach, poczęło owszem powoli, z głębokiem jakby zamyśleniem, wlepiać swe czarne, wielkie oczy w różne zkolei punkty izby. Czy widok leżącego na stole chleba je ucieszył, czy zaciekawił mętny w sinym świcie błysk opartego o ścianę łomu — dość, że wyprostowało się ono, szerzej oczy otworzyło i z zadziwionem wzruszeniem ramion, z cichym chichotem zaszczebiotało:

— Chli-chli-chli-li-li-li!

Zupełnie niewiadomo, z jakiego języka dźwięki te pochodziły i co oznaczały, lecz na ustach Pawła rozszerzył się uśmiech, a oczy jego wciąż kierunek dziecięcych oczu ścigały, aż spotkały się z ich zadziwionem i trochę już przestraszonem spojrzeniem.

Widok nieznajomego człowieka przestraszył nieco dziecko. Znieruchomiało i, ręce od włosów odrywając, jedną ze swych małych stóp, niby odporny oręż, niemi pochwyciło. U przeciwległej ściany rozległ się szept:

— Chadzi tu...

Jednocześnie ruchem głowy i palca Paweł dziecko ku so-

bie przyzywał; ale ono, bosą stopkę coraz wyżej ku piersiom podnosząc, już, już do wybuchnięcia płaczem blade usta wykrzywiać zaczęło, gdy na ławie leżący i na łokciu wsparty człowiek powtórzył:

— Chadzi, cukru dam...

W mgnieniu oka bosa stopka ze ściskających ją z całej siły rączyn wypadła i wraz z drugą swą towarzyszką ku ziemi opuszczać się zaczęła.

Zarazem po izbie, szarem światłem napełnionej, ni to dzwonienie monotonne i srebrne, ni to gruchanie synogarlicy, rozległy się dźwięki:

— Ciuk-lu! Ciuk-lu! Ciuk-lu!

Paweł wstał z ławy i ku czerwonej szafce szedł, a za nim po glinianej podłodze bose, dziecięce stopki tętniały prędko, prędko... Gdy z kawałkiem cukru w palcach odwrócił się od szafki, u samych stóp jego stało malutkie, czerwone stworzonko, ze wzniesionemi ku niemu czarnemi oczyma i cienkiemi, chudemi ramiony.

Na całą izbę dzwonił cienki głosik:

— Daj... daj... daj!...

Czerwona sukienka dziecięca, czarnemi centkami usiana, przywiodła mu na pamięć owad malutki, śliczny, nieszkodliwy, kołyszący się w lecie na zielonych trawach.

Pochylił się, dziecko, które już cukier cmokało, w ramiona wziął.

— Oj, ty, Boża krówko maleniecka! — zaszeptał — Boskie stworzenie, niczemu nie winne.

Na kolanach je trzymając, u okna na ławie usiadł. Teraz już z drugiej strony chaty kędyś za Niemnem słońce wschodziło i w siną szarość świtu rzucało smugi bladoróżowej i złotej światłości.

Na podwórzu Kożluków, przez okno Pawła z za przezroczystego płotu widzialnem, od zamkniętych jeszcze drzwi chaty ku śmietnisku, a stamtąd ku wrotom, węsząc coś, czegoś szukając, biegł żółty Kurta.

Dziecko, w jednej ręce spory kawał chleba, a w drugiej cukier trzymając, przez małe szyby chciwym wzrokiem ruchy psa ścigało, aż zaszczebiotało:

— Ciu-cia! Ciu-cia!

— Ciucia... sobaczka! — odpowiedział Paweł.

Dźwiękiem jego głosu zdziwione, czy zaciekawione, dziecko

całą twarzą zwróciło się ku niemu i z namysłem jakby zapytało:

— A ti... ti... kto?

Kiedy zaś nie odpowiadał i z dwiema znowu grubemi faldami na czole w milczeniu na nie spoglądał, drobną ręką targać go za rękaw koszuli zaczęło.

— Kto ti? Kto ti? Kto ti? — brzmiało znowu po izbie ni to srebrne dzwonienie, ni to szczebiot wróbla.

A gdy Pawel nie odpowiadał jeszcze — o pytaniu swem zapominając, wykrzyknęło:

— Kicia!

Za oknem, pod płotem chyłkiem przebiegającego kota zobaczyło.

Kiedy Franka obudziła się i powieki podniosła, w oczach jej odmalowało się zdumienie, z przerażeniem graniczące. Paweł siedział u okna, profilem do izby zwrócony, i w szerokich swych dłoniach trzymał dziecko, które, na kolanach jego stojąc, drobne palce zatapiało mu w krótkim i siwiejącym zaroście. Szybko zsunęła się z pościeli, nie wkładając trzewików, cicho ku oknu podeszła i taki ruch uczyniła, jakby chciała dziecko z kolan jego wziąć.

Obejrzał się, wzrokiem spotkał jej przestraszone spojrzenie i, bliżej ku sobie przygarniając dziecko, krótko rzekł:

— Nie trzeba!

— Dokuczy — zauważyła zcicha.

Nie odpowiedział nic. Widocznie chora, drżała na całem ciele, choć w chacie wcale zimno nie było, i otulała się swoim podartym kaftanem.

— Może ogień rozpalić? — zapytała.

— Rozpal.

Zaczęła krzątać się około pieca; mimowolne stękania wyrywały się jej z piersi, i obu dłońmi chwytała się czasem za głowę. Jednak ogień rozniecila prędko; dziecko, z kolan Pawła zeskoczywszy, dreptało za nią, przypatrując się jej robocie, a na widok ognia, który wesołym płomieniem buchnął w piecu, z radości krzyknęło.

Do ognia twarzą zwrócona, zapytała znowu:

— Może kartofli obrać i zgotować?

— Zgotuj — odpowiedział i, z ławy wstawszy, siermięgę i buty w milczeniu włożył.

Potem, kawał chleba z bochna ukroiwszy, do kieszeni go schował i ku drzwiom z czapką w ręku szedł. Przede drzwiami

zatrzymał się, na kobietę, przed ogniem stojącą, spojrzał, a spotkawszy się z jej niespokojnym wzrokiem, powieki spuścił.

— Wszystko w chacie na tem samem miejscu, gdzie dawniej było — zniżonym głosem zaczął — bierz, gotuj, jedz i dziecku dawaj. Rób, co chcesz. Ty tu znów taka sama gospodyni, jak i wprzódy była.

Cała naprzód podana, z trwogą w oczach wsłuchiwała się w jego słowa, a przy ostatnich uczyniła ruch taki, jakby rzucić się ku niemu chciała. Ale on prędko zwrócił się ku drzwiom i z progu, nie oglądając się, rzekł jeszcze:

— Przed wieczorem powrócę... jeżeli boisz się sama zostawać, drzwi na zasuwkę zamknij.

Mocne postanowienie już był powziął, ale było w nim jeszcze coś, co go ku wolnemu powietrzu, ku bystrej, burzliwej wodzie ciągnęło: może jakiś wstyd niepokonany, ból, nożem w sercu tkwiący.

Dwa wiosła w sieni stojące wziął i, o ramiona je oparłszy, szerokiemi krokami z góry zstąpił. Wkrótce wśród szerokiego szlaku rozlanej rzeki czółno jego, jak czarny punkcik, na ciemnych falach wznosząc się i opadając, z szybkością ptasią w dal pomykało, a przed nim, za nim, wkoło niego, rozlegał się szumiący i nieprzerwany śpiew bystrej, burzliwej wody. Szumnie i nieprzerwanie śpiewała mu ona teraz o ranach zdradzonej miłości i żądlach zazdrości i o słodyczach nadziei, zmieszanych z trucizną wspomnień, przedewszystkiem zaś może, przedewszystkiem o tem zadaniu ludzkiem, dobrem, świętem — ratowania i zbawiania, które już było zniknęło mu z oczu, a teraz znowu przed nim powstawało i blask, podobny do księżycowego światła, rzucało na postarzałe, siwiejącemi włosy okolone jego oblicze.

Na godzinę przed zmrokiem wszedł do chaty i zobaczył Frankę, na łóżku leżącą. Nie spała i, ujrzawszy wchodzącego, szybko na pościeli usiadła, z głowy wilgotną chustkę zrywając.

Stawiając u ściany wiosła, zapytał:

— Głowa boli?

Odpowiedziała, że teraz jest jej daleko już lepiej: odpoczęła...

— To i dobrze, że odpoczęła...

A po krótkiej chwili zapytał:

— Chtawjan śpi?

— Zasnął. Cały dzień dokazywał tak, że niech Pan Bóg

broni, wszystko w izbie ruszał, pytając się: co to? co to? a ona bała się bardzo, aby czego nie zepsuł i szkody jakiej, broń Boże, nie zrobił. Ale teraz już, chwała Bogu, zasnął...

Wszystko to mówiła trochę już śmielej i głośniej, ale z siedzenia nie wstawała, a w mówieniu i postawie czuć jeszcze było trwogę i niepewność.

Po chwili rzekła:

— Kaszy gryczanej zgotowałam... w piecu stoi i pewno gorąca.

Paweł wyjął z pieca garnek i kawał chleba ukroił. Jadł powoli, dość długo, nie przy stole jednak, ale przed piecem stojąc, potem na ławie siadł i do kobiety, nieruchomie na łóżku siedzącej, przemówił:

— Chodźże tu, pogadamy!

Głos jego brzmiał łagodnie. Kiedy Franka zsuwała się z pościeli i przez izbę przechodziła, ruchy jej miały już w sobie coś z dawnej żywości i gibkiej, kociej gracji. Jednak nie otoczyła, jak dawniej, ramieniem szyi człowieka, obok którego usiadła, i nie zwinęła się nakształt rozpieszczonej kotki u jego piersi.

Z rękoma na kolana opuszczonemi siedziała, milcząc i czekając. Choć łagodniej już do niej przemawiał, choć powiedział, że ona tu gospodynią jest tak, jak i wprzódy, wcale jeszcze pewną nie była, co jej teraz powie i jak z nią postąpi.

— Nu — przemówił — dużo biedy i poniewierki nacierpiałaś się? Kontenta teraz, że ode mnie w świat poszła i znów drogi do piekła spróbowała? Miła musi ta droga, kiedy przyszłaś nazad, jak ta szczapa wychudła, chora i tak jak goła? ha! czemu szłaś i czemu powróciłaś?... gadajże!

O, tylko tego i tak wymówionego wezwania trzeba było, aby otworzyły się wszystkie, długo zamknięte upusty jej obfitej i burzliwej mowy, aby niepowstrzymanym strumieniem wylewać się z niej zaczął, przez te nowe lata włóczęgi nakipiały w jej piersi, war goryczy, zażaleń, gniewu! Jak błyskawica przemknęło jej przez głowę wspomnienie dalekiej chwili, w której na wyspie, wśród śnieżnych goździków powiedziała temu człowiekowi wszystko, wszystko, a on wtedy obszedł się z nią, jak ojciec z dzieckiem, jak spowiednik z pokutnicą, i nawet odtąd lubić ją zaczął.

Wspomnienie to ośmieliło ją do reszty i nowy bodziec dało chęci wywnętrzenia się, i bez tego już ją palącej. Ze zwykłą więc sobie, żadnemi względami nie powściąganą, ognistą i hardą

szczerością, opowiadała mu naprzód, że w tym lokaju zakochała się jak szalona; sama nawet nie wie, jak i kiedy się to stało, ale ot, wprost przepadała za nim, żyć bez niego nie mogła. A on jej znów przysięgał, że wiecznie ją kochać będzie i że jej nigdy nie opuści. A tak słodko mówił, taki był delikatny i zawsze ładnie ubrany, jak pan. Bo też i z dobrej familji pochodził. Ojciec jego nawet szlachcicem był, a dzieci z biedy tylko w służbę poszły. Ona, gdy tylko go zobaczyła, poznała, że on z dobrej familji pochodzi, i to ją do niego odrazu pociągnęło. Z początku było jej w mieście bardzo dobrze i wesoło. Służbę znalazła w takim domu, gdzie sług było dużo i roboty niewiele. Karol prawie codzień do niej przychodził; w niedziele i święta na spacery i do teatru ją prowadził. Było tak miesięcy kilka, aż tu, buch! wziął i wyjechał; z panem tym, u którego służył, do dalekiego wielkiego miasta wyjechał.

Żegnając się z nią, jak bóbr płakał, ale mówił, że takiej służby, jak u tego pana, i takich korzyści, jak te, które z niej ma, na całym świecie nie znajdzie, więc warjatem byłby, gdyby się jej wyrzekał.

Co wypłakała, co nabłagała się, aby ją z sobą wziął, a on, tak samo płacząc, nie zgadzał się i nie zgadzał.

— Co ja tam z tobą będę robić? Na co ty mnie tam potrzebna?

I pojechał, a ona za nim, cośćiś we dwa tygodnie po jego wyjeździe, pojechała. Myślała, że do tego miasta, w którem on był, dojedzie i że on jej w tem wielkiem nieszczęściu, które nadchodziło, z pomocą stanie. Ale już tylko niewiele drogi ujechała, i w inszem zupełnie mieście nieszczęście ją zaskoczyło...

Urodziło się dziecko. Dała mu na chrzcie imię Oktawjan, bo to bardzo piękne imię i między prostymi ludźmi nie używane.

Do Karola nawet pisać nie mogła, bo nie wiedziała ani ulicy, ani domu, w którym ze swoim panem mieszkał. On, albo nie wiedział sam o tem, kiedy się z nią żegnał, albo powiedzieć nie chciał.

Zniosłaż ona wtedy nędzę taką, jakiej nigdy jeszcze nie znosiła! Wszystkie pieniądze, które miała, wydała na najęcie kąta w izbie jakiejś praczki, a na jedzenie sprzedawała potem suknie i drobiazgi, jakie sobie w czasie ostatniej swej służby była kupiła.

W nieznajomem mieście nie łatwo było o służbę. Przez kilka miesięcy najmowała się po domach do prania bielizny i na-

wet do mycia podłóg, a że dziecko przytem karmiła i niewygody różne znosiła, sił jej często brakło i albo nic, albo bardzo mało zarobić mogła. Potem jednak służbę znalazła, dziecko u tej praczki za zapłatę zostawiła, i przez czas jakiś nieźleby jej było, gdyby zgryzota i żałość, i złość na tego niegodziwca, co ją stąd wyciągnął, a potem w najnieszczęśliwszem położeniu porzucił, nie piekły i nie męczyły tak, że suknię na sobie czasem w drobne kawałki darła, a w głowie jakby turkot dziesięciu wozów i szumienie dziesięciu samowarów czuła.

Bywała też czasem złą, wtedy szczególniej, kiedy o Pawle, o jego dobroci, o tej chacie cicheńkiej i mileńkiej, z której dobrowolnie uciekła, pomyślała; bywała tak złą, że, zdaje się, zabiłaby każdego, ktoby jej w oczy wlazł. Wlazła jej raz w oczy kucharka, także złośnica wielka; pokłóciły się, i ona tej kucharce garnek z gorącą wodą na głowę rzuciła. Gwałt w domu podniósł się wielki, przed sądem ją oskarżyli, sąd ją na trzy miesiące więzienia skazał. Więc do więzienia poszła.

Ot, napatrzyła się tam różnych różności! Ot, nasłuchała się! jedna z tych kobiet, z któremi razem w więzieniu siedziała, męża swego otruła; druga dziecko zadusiła, kilka było takich, co domy podpalały, albo całe życie kradły. Wstyd jej było z takiemi zbrodniarkami siedzieć, a do tego, że i proste to były kobiety, same prawie chamki i po chamsku mówiące. Coraz też większy turkot, szum i ból w głowie czuła, aż gdy ją z więzienia wypuścili, tyle tylko, że do dziecka zawlokła się, wycałowała je, nad ciężką dolą jego zapłakała i do szpitala poszła.

Tam przebyła miesięcy kilka, na dziwną jakąś słabość chorując. Gorączki prawie nie miała, a jednak często bywała nieprzytomna i śmiechów jakichś albo płaczów dostawała takich, że ledwie, ledwie wśród nich ducha nie wyziewała. Kiedy ją to napadło, kołdry szpitalne na kawałki darła i szklanki, w których jej lekarstwo dawano, tłukła. Nakoniec ją jednak od nieprzytomności i od tych śmiechów i płaczów doktorowie wyleczyli, a nawet to zrobili, że turkot w głowie ustał, i silniejszą niż przed chorobą się uczuła.

Ze szpitala wyszła, i taka ją chęć wrócenia do Pawła zdjęła, jakby temu, kto pić chce, trzy dni wody nie dawali.

— Pójdę i pójdę — myślała sobie.

Znowu do prania bielizny i mycia podłóg najmować się zaczęła, ale nie bardzo kto chciał ją do domu przyjmować, bo wszyscy wiedzieli, że z więzienia tylko co wyszła. A tu ta praczka ani jej, ani dziecka dłużej już u siebie trzymać nie chciała. Co

tu począć? gdzie tu podziać się — i jeszcze z dzieckiem! Uczuła, że znowu siły traci, i szumieć jej w głowie zaczyna... Sprzedała tedy wszystko, co jeszcze miała, nawet jedną z dwóch koszul; praczka też ta, dość litościwa, u jakichś znajomych państwa kilka rubli dla niej uprosiła, zabrała więc dziecko i pojechała. Wprzódy koleją jechała, a od najbliższego miasta jednokonną furmanką chłop jakiś za złotówkę ją tu przywiózł, bo mu po drodze było, i zaraz też, jak tylko przed wrotami Pawła z wozu wysiadła, dalej sobie pojechał...

Ot, i wszystko!

Nie było to mało. Z oczu opowiadającej łzy ciekły cicho, ciągle ciekły po jej zapadłych policzkach i gęstym deszczem na ręce chude i na plamy kaftana spadały.

Paweł z głową zwieszoną słuchał i milczał; dopiero gdy mówić przestała, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, zcicha wymówił:

— Piekło! piekło! gorące piekło!

I wyglądał przytem tak, jakby go znowu i odwaga, i spokój, i wszelkie powzięte postanowienia opuszczały.

Ona pierwszych słów jego teraz, gdy już o wszystkiem wiedział, jak wyroku śmierci lub życia oczekiwała, oddech nawet w sobie tłumiąc, u ściany skurczona i drżąca. Po prędkiej, czasem ostrej i gniewnej, a czasem płaczliwej jej mowie, zapanowało w izbie głuche milczenie, przerywane tylko ciężkim oddechem Pawła i zdala dochodzącym głuchym szmerem rzeki. Trwało tak dość długo, gdy u przeciwległej ściany dało się słyszeć naprzód ciche i niewyraźne skwierczenie, a potem cienki, żałosny głosik zawołał:

— Ma-mo! ma-mo!

Ona, niepewnością tego, co spotkać ją miało, zdjęta, żadnego poruszenia nie uczyniła; Paweł zaś podniósł zwieszoną dotąd głowę.

— Chtawjan obudził się; idź zobacz go...

Poszła i dziecko na ręce wziąć chciała, ale ono, kapryśnym ruchem objęć jej uniknąwszy, zsunęło się z pościeli i do Pawła, który teraz u okna stał, pobiegło. Od kąta do kąta izby zadzwonił cienki głosik:

— Chli-chli, chli- chlip-ka!

Paweł tą przybiegającą mu do stóp czerwoną «Bożą krówkę» w ramionach z ziemi podniósł.

— Chlebka chcesz? ha? chlebka chcesz? — zapytał i w mizerną, niewinną twarz dziecka długo patrzał.

Możnaby mniemać, że oczy, od jakiegoś jaskrawego, ohyd-

nego widoku rozbolale, widokiem tej dziecięcej nędzy i niewinności poił i goił.

— Chlebka chcesz? — powtórzył.

Ale Chtawjan o chlebku nie myślał wcale, syty był i czarne oczy, szeroko rozwarte, utkwił w szybie, przez którą znowu widać było poważnie tym razem siedzącego, u wrót Kurtę. Mały palec ku szybie wyciągnął i zaszczebiotał:

— Ciu-cia! ciu-cia!

— Sobaczka! — rzekł Paweł.

— Sio-bać-ka! — powtórzył Chtawjan.

I zaraz potem, ku człowiekowi, który na rękach swych go trzymał, zwracając się, poważnie zapytał:

— A ti kto?

I kilka jeszcze razy zrana już zadawane przez się pytanie, ze śmiechem, z natarczywością, z rękoma, w zarost Pawła zatopionemi, powtórzył:

— Kto ti? Kto ti? Kto ti?

Paweł, nie spuszczając z niego oczu, uśmiechał się coraz wyraźniej i weselej.

— Tato! — odpowiedział.

— Ta-to? — jakby ze zdziwieniem, przechylając na bok główkę, zapytało dziecko.

— A tato!

Ale w tejże chwili uczuł, że cienkie i gibkie ramiona kolana mu obejmują.

Franka, klęcząc, do kolan jego głowę tuliła i dziękowała mu, dziękowała, bo teraz dopiero uwierzyła, że jej z chaty swej nie wypędzi i dla dziecka jej ojcem będzie. Jak wzburzony wrzątek wylewały się z niej słowa wdzięczności, radości, podziwienia dla jego dobroci. Potem zaczęła przysięgać, że teraz już zawsze, zawsze poczciwą i posłuszną będzie, a jego kochać i szanować nie przestanie do śmierci; gdyby zaś kiedy przestała, sama sobie pętlę na szyi zawiąże lub otruje się, aby ziemia takiego potwora już nie nosiła, jakimby ona była wtedy.

Paweł dziecko na ziemi postawił, a rozpłakaną, u kolan jego po ziemi pełzającą kobietę na ławie posadził, a kiedy szlochać, dziękować, przysięgać nie przestawała, sam przy niej usiadł i zcicha, łagodnie przemówił:

— Cicho! no, cichoż już, moja ty biedna! Moja ty nieszczęśliwa! cicho! cicho!

W ręce go całowała, ale przybliżyć się do niego, objąć go nie śmiała jeszcze. Prędkim, gorączkowym szeptem mówiła;

— Od śmierci ty mnie, Pawełku, oj, drogieńki ty mój, złoty, brylantowy, od śmierci ty mnie wyratował, bo już ja takie postanowienie miałam, że jeżeli ty mnie nie przyjmiesz, wypędzisz — to dziecko pod jakim progiem zostawię, a sama otruję się...

Do kieszeni sukni sięgnęła i, wyjęty z niej papierek rozwinąwszy, ukazała w nim trochę białego proszku.

— Widzisz? — trucizna...

— W imię Ojca, i Syna... — przeżegnał się Paweł. — I do tego jeszcze czort ciebie kusił? Skądże ty wzięła tę truciznę?

Oho! ona, kiedy czego bardzo chce, zawsze na swojem postawić musi. Ta kobieta, która razem z nią w więzieniu za otrucie męża siedziała, rozpowiedziała jej, gdzie i jak trucizny dostać można. A ona, jadąc tu, myślała sobie: jeżeli Paweł mnie wypędzi, to albo powieszę się, albo otruję. Ale wieszać się brzydko. Tylko prości ludzie wieszają się. Dostała więc sobie trucizny, ale teraz już jej nie potrzebuje, bo Pawełek jej wszystko darował, i ona znowu będzie jego kochać, szanować i w tej mileńkiej chateczce spokojnie sobie i szczęśliwie, jak u Pana Boga za piecem, siedzieć...

Przy ostatnich słowach papierek z białym proszkiem napowrót do kieszeni wsunęła i, z ławy zerwawszy się, w dłonie klaszcząc, chichocząc, parę razy jak wiewiórka podskoczyła. Ale Pawła jakby strach nagły ogarnął.

— Aaaa! jak tu ciemno zrobiło się — zauważył i, prędko izbę przeszedłszy, lampkę zapalił.

Chtawjan, u stóp wielkiego pieca na ziemi siedząc, węgle w garnku przesypywał i padaniu ich w głąb garnka głośnemi wykrzykami wtórzył:

— Ba-ba-ba-bach!

Franka do dziecka przyskoczyła i tak gwałtownie całować je zaczęła, że aż krzyknęło z bólu.

— Oddaj węgle, — mówiła — oddaj, samowarek nastawię i herbatka będzie... herbatka... batka!

A gdy dziecko upierało się przy zostawieniu mu garnka, po plecach je dłonią uderzyła.

Chtawjan głośno zapłakał.

Paweł surowo ozwał się:

— Za co bijesz? Daj jego tu!

Po sposobie, w jaki zawijała się około nastawiania samowaru i przyrządzania herbaty, widać było, że teraz dopiero, ale

już zupełnie uczuła się tu taką samą, jak dawniej, gospodynią. We troje potem herbatę z chlebem razowym pili; dziecko było wesołe; Franka gadatliwie i zupełnie już śmiało o znajomych we wsi wypytywała się; Paweł coraz łagodniejszym się stawał.

Kiedy nakoniec Chtawjan, na pościeli złożony, usnął, a Franka przycichła i poziewać zaczęła, Paweł wstał z ławy i rzekł:

— Nu, Franka, chodź, razem pacierze odmówim...

Ze zdziwieniem na niego patrzała, on zaś rzekł jeszcze:

— A toż! Bez Boga ty do tego czasu żyła, a i czort przystęp do ciebie miał. I ja kiepsko postąpił, że odrazu do Pana Boga i do świętej modlitwy ciebie nie namawiał. Teraz ty znów z drogi do piekła uciekła i może już nie powrócisz, może upamiętasz się, i wszystko dobrze będzie... W świętej książce pisze, żeby Syon rozmiłował się w Przenajświętszej Pannie Marji... może i ty rozmiłujesz się, i Ona ciebie od złego obroni. Klękaj i głośno powtarzaj za mną...

Ukląkł i obejrzał się, a widząc, że ona także uklękła, zaczął:

— W imię Ojca, i Syna...

Głośno i powoli odmówił Ojcze nasz, Zdrowaś Marja i Wierzę w Boga, a ciągle przysłuchiwał się, czy ona każde słowo za nim wymawia, gdy zaś którego nie wymówiła, oglądał się na nią i mówił:

— Powtarzaj...

Po skończeniu Wierzę w Boga, nie wstając z klęczek, «Służbę Bożą» ze stołu wziął i otworzył ją w miejscu, w którem założona była największym biletem, dnia imienin France winszującym.

Powoli, zgłoskę od zgłoski oddzielając, czytać zaczął:

— Modlitwa o zwy-cię-stwo w-s-z-e-l wszel, k-i-e kie, wszel-kie-go na-ło-gu g-r-z-e, grze-cho-we-go.

I całą, niedługą zresztą modlitwę, jedne wyrazy z łatwością, inne z trudnością wyczytując, a niektóre sylabizując, przeczytał.

Przeczytawszy, Kupidyna, unoszącego na bilecie wieniec różany, pobożnie pocałował, w tem samem miejscu książkę nim założył i, przeżegnawszy się jeszcze głośno, z klęczek powstał. Pogodę wielką i znowu jakby łagodną jasność księżyca na twarzy miał. Wzrokiem szczęśliwym objął głowę Franki, która, znużona i poziewająca, z ciekawością na niego patrzała. Jak wprzódy widok niewinności dziecięcej przebłagał go i ukoił, tak teraz zda-

wało się, że wspólnie odmówiona z tą kobietą modlitwa zupełnie ją w oczach jego oczyściła.

Po raz pierwszy, odkąd na nowo ją zobaczył, za szyję ją objął, głowę jej ku piersiom przycisnął i twarz tak długo, gorąco całował, jak długo i chciwie człowiek spragniony pije źródlaną wodę.

— Oj, Franka! — szepnął — jak ja ciebie lubię, strach, jak ja ciebie lubię! Pan Bóg dopomoże, że ty już teraz dobra i poczciwa będziesz... już ja widzę, że ty sama tego prawdziwie żądasz... Pan Bóg dopomoże... oj! jakże ja ciebie lubię! Mojaż ty miła! mojaż ty biedna, jak ja ciebie lubię!

Nazajutrz, wkrótce po wschodzie słońca, Chtawjana podartą chustką Franki owinął, na ręce wziął i do sieni wyszedł. Nim drzwi od podwórza otworzył, stał przed niemi chwilę, w postawie człowieka wahającego się i z czemś wewnętrznie walczącego. Trudno mu widać było z dzieckiem tem na ręku pokazać się przed ludźmi. Lokajskie dziecko! z końca świata przyniesione! Wstyd! Miał jednak przyczynę, dla której wszystkim pokazać chciał, że i z żoną pogodził się, i jej dziecko za swoje przyjął. Gęby im przez to pozamyka i do wiadomości da, że ani jej, ani dziecka krzywdzić nie pozwoli. W ostatniej przecież chwili odwagi mu zabrakło, u samych drzwi zawahał się, parę minut postał, aż zaszeptał:

— Bogu Przenajświętszemu na ofiarę... za jej nawrócenie... za zbawienie duszy grzesznej...

I wyszedł, chwilę przed progiem postał, a potem, podwórko przeszedłszy, we wrotach stanął.

Dzień był od poprzedzających cieplejszy, słoneczny; z dachów padały brylantowe krople, w drzewach nazabój świergotały wróble, po szerokiem polu biegły szlaki zielonych runi. Drogą, przed wrotami ten i ów z wiosłem, siekierą, łopatą przechodził i Pawła, z dzieckiem na ręku we wrotach stojącego, ujrzawszy, głową kiwał i «niech będzie pochwalony», albo «jak się macie?» mówił.

Na dziecko z mężczyzn nikt uwagi nie zwracał. Niektórzy myśleli pewno, że jest to jedno z dzieci Ulany, a inni do pracy śpieszyli, swoje kłopoty i potrzeby mieli. Ale dwie kobiety też drogą przeszły; jedna z nich szeroko tylko oczy i usta otworzyła, na Pawła popatrzała i dalej poszła; druga zaś, również z otworzonemi ustami stanęła, patrzała, głową kiwała, aż przemówiła:

— A czyjeż to?

— Moje — uśmiechając się, odpowiedział Paweł.

Kobieta trochę wstydliwie, a trochę złośliwie zachichotała:

— A kiedyż to Pan Bóg dał?

— A kiedy dał, to dał, dość, że dał.

Chtawjana, który, wszystkiem, co otaczało go, zadziwiony, spokojnie na rękach siedział, w głowę pocałował. Kobieta żywo odeszła i, na sąsiednie podwórko zawróciwszy, w drzwiach Koźlukowej chaty zniknęła. We wnętrzu tej chaty rozległy się i aż do Pawła doszły odgłosy żywych rozmów, a po chwili Ulana, z niemowlęciem swem na ręku i trojgiem dzieci otoczona, na podwórko wyszła; wyszła, stanęła, i dzieci stanęły, z za spódnicy jej wychylając pyzate, rumiane twarze i jasnowłose głowy. Na wilgotnej trawie dziedzińca, w świetle słońca, boso, w spódnicy, kostek nie sięgającej, i grubej białej koszuli, dziećmi otoczona, wyglądała jak wcielenie zdrowia, płodności i z hożą młodością złączonej powagi. Poważnie, milcząc, choć i z ciekawością na stojącego woddali brata patrzała.

W progu ukazał się wysoki, przystojny Filip, z za którego ramienia wychyliła się bezwąsa, jasna, ściągła, filuterna twarz Daniłka.

Paweł, siostrę ujrzawszy, powoli ku niej iść zaczął, a gdy już o krok jeden znalazł się przed nią, stanął i powolnym też głosem rzekł:

— Franka powróciła...

Ulana kiwnęła głową. Od wczoraj już wiedziała o tem od Daniłka, który zawsze wszystko wiedział, — ale, że Franka i dziecko z sobą przywiozła, nie dowiedział się, więc nikomu oznajmić nie mógł. Teraz domyśliła się wszystkiego i na Chtawjana, milcząc, ale z wyraźną niechęcią i wzgardą w oczach, patrzała.

Filip nie mówił też nic, ale nagle, jakby przezwyciężyć się nie mogąc, głośno splunął. Daniłko w ramieniu brata swawolny śmiech tłumić usiłował.

Czoło Pawła zbiegło się znowu w dwie grube fałdy. Wzrok ku dziecku zwrócił i rzekł:

— Niczemu ono nie winne... Boskie stworzenie!

— Ale! — odpowiedziała Ulana.

Chtawjan zaś do przelatującego wróbla palec wyciągnął i rzekł:

— Chli-chli-chli-li-li!

Wzrok Ulany trochę złagodniał, a Paweł po chwili milczenia ozwał się znowu:

— Ot, zwyczajnie... sierota!

— A toż...

Zawahała się trochę, palcami ramienia i piersi dziecka dotknęła.

— Ależ maleńczkie to i mizernieńkie; same kosteczki, taj skóra... Wieleż jemu?

— Rok i ośm miesiąców — odpowiedział Paweł.

— Aaaa! — zadziwiła się kobieta i na jedno z dzieci swoich popatrzała. — Toż niemu rok i dwanaście niedziel, a jakie!

Zadowolenie i duma rozlały się po rumianej, pełnej jej twarzy. Ale na sierotę z litością spojrzała. Zato Filip ozwał się z progu:

— Dziewier, ej dziewier, na szto tobie hetyj benkart? Czy tobie nie wstyd będzie w oczy ludziom patrzeć?

Pawła oczy zaświeciły.

— Czego wstyd? Grzechu wstyd, a nad sierotą nieszczęśliwą zlitować się nijakiego wstydu niema. Ja Panu Bogu Najwyższemu za niego dziękuję... Przy dziecku i jej milej w chacie będzie, łatwiej grzech od duszy odpędzi i dobrą stanie...

— Oj! — pogardliwie i szydersko zaśmiał się Filip — kab złym ludziom tak dobrze na świecie było, jak ona dobrą stanie. Tego nigdy nie będzie.

W tej samej chwili przez niski płot, dwa podwórka rozdzielający, przeskoczyła Franka i ku rozmawiającym szybko, z głonym śmiechem biegła. Twarz miała bardzo chudą, żółtą, ale uczesała się dziś gładko, krucze jej włosy lśniły jak jedwab, i mieniły się ciemnym szafirem. Poplamiony swój kaftan, kolorowym paskiem, zwanym dziahą, przepasała, i w tem nawet ubraniu zgrabna, obu ramionami uwisła odrazu na szyi Ulany, w policzki, czoło i usta ją całując. Filipowi podała rękę, Danilka dłonią po plecach i twarzy uderzyła.

— Jak się macie? — mówiła — jak się macie, moje mileńkie, złocieńkie, brylantowe! Dawnoż ja was nie widziała! A tobie, Ulanko, aż dwoje dzieci przez ten czas urodziło się! Ależ Danilko wyrósł! Już teraz i mężczyzna z niego! Ot, widzicie, powróciłam, a Pawełek taki dobry, że mnie nawet złego słowa nie powiedział! Oj, jaki on dobry! takiego dobrego na całym świecie niema. Chatę wyprzątnęłam, ogień roznieciłam i do was, moje drogieńkie, przybiegłam, żeby z wami przywitać się!

Witała się; Ulanę i dzieci znów całowała, kręciła się, śmiała; zdawało się, jakby tym ludziom duszę swoją oddaćby rada, jakby ich wszystkich z całego serca kochała. I w tej chwili

kochała ich istotnie: uspokojoną się czuła, a w Pawle znów rozkochaną, szczęśliwą. Przytem ani cienia wstydu. Przed Pawłem zawstydziła się była, gdy po wszystkiem, co zaszło, do chaty jego i jeszcze z dzieckiem powróciła; ale tylko przed nim wstyd ten była czuła, i już zniknął on z niej bez śladu. Ulana ze zdziwienia w niemy słup się zmieniła; Filip wzgardliwie uśmiechał się pod wąsem, a Paweł poważnie ku niej podszedł.

— Weźmij dziecko — rzekł — i do chaty idź. Krowę wydój i obiad zgotuj, a chutko, bo mnie do miasteczka pojechać trzeba.

Posłuszna, Chtawjana na ręce wzięła i zaraz odeszła. Paweł poprosił szwagra, aby mu konia na godzin kilka pożyczył i ku stajence po niego poszedł.

Ulana, wchodząc z dziećmi do izby, w której Filip coś już młotkiem i heblem około nowych desek robił, z gniewem rzekła:

— Żeby ona była wprzódy skręciła się, nim tu powróciła! Znowu dnia spokojnego przez nią nie będzie, i jeszcze kiedykolwiek dzieciom co zrobi...

— Niechaj spróbuje! — wpół groźnie, wpół żartobliwie odezwał się Filip.

Było to przypomnienie kilku gwałtownych kłótni, które przed ucieczką swą Franka, nowemi pożądaniami swemi i niechęcią do Pawła uczuwaną rozjątrzona, z siostrą męża stoczyła i z których ostatnią zakończyła pogróżkami, że dzieciom karki poskręca i całe jej chamskie plemię wydusi. Filip śmiał się z tych pogróżek, ale w macierzyńskie serce Ulany głęboko one zapadły.

Paweł dnia tego do miasteczka po odzież dla Franki i dziecka pojechał.

W parę miesięcy potem Awdocia w niedzielę, niedaleko swej chaty na bujnej już trawie siedząc, stare kości na słońcu wygrzewając, idącego brzegiem rzeki Pawła ku sobie przywoływała:

— Kumie! a kumie! Pauluk! czujesz? chadzi tutki, Pauluk!

Wołanie jej usłyszawszy, z ochotą na górę wszedł. Idąc, trzymał się znowu prosto; ruchy jego dawną rzeźkość odzyskały. Gdy stanął już przed nią, baba głowę w czerwonej i na słońcu iskrzącej się chustce ku niemu podniosła.

— A co? — zapytała.

Bez żadnych objaśnień pytanie jej zrozumiał i z uśmiechem odpowiedział:

— A nic, dobrze. Wszystko chwała Bogu, dobrze! Żeby tak dobrze do końca życia było.

Jakby do dłuższej pogawędki, ramieniem oparł się o drzewo, pod którem siedziała Awdocia. Ona zaś, z twarzą ciągle ku niemu podniesioną, szeptała:

— A ja wczoraj w twojej chacie była, na was i na wasze życie patrzeć chciała. Ciebie nie widziałam, bo jeszcze z rzeki nie powrócił, a ją widziałam. Nie taka jak wprzódy była, troszkę insza...

— A Chtawjana widziała? — zapytał Paweł.

— Żeby nie! I na ręce wzięłam... taki leciusieńki, jak to piórko...

— Mileńki — zauważył Paweł.

— Ale biedniełki, taki chudzieńki...

— Już teraz nie taki... troszkę poprawił się.

— Ale! nad syrotoju Boh z kaletoju!

Przysłowiem tą część rozmowy swojej z Pawlem zakończyła Awdocia, ale widocznem było, że o czemś jeszcze, daleko ważniejszem, pomówić z nim chciała. Od blasku powietrza mrużącemi się oczyma na niego patrzała i z brodą, na obu dłoniach opartą, ciszej jeszcze zauważyła:

— A Franka ogród kopie?...

— Kopie! — z zadowoleniem odpowiedział Paweł — cały ogród skopała. I wszystko robi: gotuje, krowę doi, szmaty pierze... chleb piecze... już tak jej jest przykazane.

— Ty przykazujesz?

— A ja. Codzień ranieńko ją budzę, pacierze z sobą mówić każę, a potem do wszelkiej roboty gnam. Tylko po wodę do rzeki nie przykazuję, bo do tego ona już nie silna... ale do czego tylko silna, to i musi robić...

— A słuchaż ona ciebie?

Głową potwierdzająco skinął.

— Słucha. Choć czasem i zagniewa się, a posłuchać musi. Już teraz nic nie pomoże: nijakie jej gniewanie się i nijakie całowanie nie pomoże... ona swoje, a ja swoje. Pracuj — mówię — Pan Bóg każdemu człowiekowi na świecie pracować przykazał... Święta modlitwa — mówię — czortu do ciebie przystępu nie da, a przy robocie różne paskudztwa do głowy tobie przychodzić nie będą. Ot, jak ja z nią teraz postępuję.

— Dobrze, Pauluk, ot, tak to dobrze! — energicznie potwierdziła Awdocia — ja tobie i wprzódy mówiła, że tak trzeba robić, panowania jej nijakiego nie dawać...

— Mnie zdawało się wprzódy, — z rozwagą mówił Paweł — że jak ja jej, po tej niewoli, co ona przez całe życie znosiła, wolę dam, i jak jej dobrze na świecie będzie, to i ona do złego ochoty nie poczuje. Ale potem i poznałem, że ze wszystkiem inaczej trzeba mnie było robić. Teraz już ją przez świętą modlitwę do Pana Boga prowadzę, a przez napominanie i robotę od czorta odprowadzam. Już teraz ona u mnie żadnego pobłażania nie ma. Kiedy co złego zrobi, to napomnę i wykrzyczę...

Od ciekawości wielkiej powieki Awdoci nad biegającemi źrenicami zamrugały.

— A co ona takiego zrobiła? Jakie ona złe robiła? — zaszeptała śpiesznie.

Ale Paweł niedbały gest ręką uczynił; uśmiech z ust, a pogoda z czoła mu nie znikały.

— Głupstwo! — odpowiedział — kiedy ogród kopała, z Ulaną kłócić się zaczęła; a dwa dni temu, jak rano wstawać bardzo już nie chciała, nadaremnie dziecko wybiła. Taki już w niej charakter, nadto prędki. Ja ją i za kłócenie się, i za bicie niewinnego dziecka wykrzyczał... Tak płakała, że niech Pan Bóg broni, a mnie najgorzej, jak ona płacze. Zdaje się, że i życie zaraz oddałbym, żeby tylko nie płakała. Ale już i to nie pomoże... już żeby nie wiem, jak płakała, taki napomnę i wykrzyczę... Niedługoż już tego będzie... Prędko już i nie będzie za co krzyczeć...

— Czemu? — zapytała Awdocia.

— Ot, i rozumna baba, a jeszcze pyta się: czemu? — zaśmiał się Paweł. — A toż modlitwa święta, a toż napominanie, robota! Żebyś już i modlitwa święta, i napominanie, i robota złego nie przemogły, chybaby koniec świata nastąpił. Przemogą, jak Pan Bóg wszechmogący na niebie jest, tak przemogą. Może i nie zaraz, może i czasu troszkę na to trzeba, ale przemogą.

W uśmiechu jego naprzód, a potem w spokojnej, prawie uroczystej powadze, czuć było przekonanie silne i głębokie. Jak przedtem mocno i niezachwianie wierzył w opokową moc przysięgi i w to także, że człowiek, któremu dobrze jest na świecie, do zła pociągu mieć nie może, tak teraz o konieczności zbawczego działania modlitwy, upomnień i pracy przekonany był głęboko i silnie.

Awdocia tę jego nową filozofję daleko lepiej rozumiała, niż uprzednią, a nawet zgadzała się ona zupełnie z jej własnem zdaniem.

Głową też potakująco trzęsła.

— Dobre — mówiła — dobre, twoja prauda, Pauluczku! Modlitwa święta wszystko może, i rozumne napomnienie może, i robota może... Żeby nie! Pan Bóg łaskawy zrobi, że wszystko dobrze będzie! Oj! kab dobrze było i wam, i nam! A u nas bieda!

Ze swoich z kolei bied przed przyjacielem zwierzać się zaczęła.

Trzy dni temu byczek u nich zdechł, a taki był piękny, silny; Maksym go na kiermasz prowadzić miał i pewnoby z pięć rubli za niego wziął. Pięć rubli! Nie żarty, jaka to strata! a znów przeszłej niedzieli z włościańskiej poczty list od Chwedorka przywieźli... Pisze, że nijak do wojska przyzwyczaić się nie może; że ptakiemby, zdaje się, do chaty rodzonej powrócił; że choć zdrów, ale mu cośćić we środku boli; że wszystkim pięknie kłania się.

— I tobie, Pauluczku, kłania się, i Ulanie, i Pilipu, i Danilku... i wszystkim!

Już gdy o zdechłym byczku mówiła, łzy miała w oczach a teraz zachlipała i zalała się łzami.

W tejże chwili, na progu chaty ukazała się kobieta młoda, wysoka, z dość ładną, ale bladą twarzą, na której znać było przebytą chorobę, ze sporem korytem, pełnem posiekanego zielska, w obu rękach. Była to synowa Awdoci. Przed dwoma laty ciężko chorowała i nigdy już potem, pomimo dawanego jej przez teściową podhrudniku, suchotniku i różnych gatunków poruszeniku, do dawnych sił wrócić nie mogła. Pod ciężarem koryta, silne snadź niegdyś, lecz zwątlałe jej ciało boleśnie wyginało się to wtył, to naprzód.

— Mamo! — wołała — oj, mamo, zmiłujcie się, świniom jedzenie zanieście, bo mnie dziecko nakarmić trzeba, krzyczy i krzyczy!...

Z chaty dochodził istotnie przeraźliwy krzyk paromiesięcznego dziecka.

Awdocia na równe nogi skoczyła, palcami nos, a fartuchem zapłakaną twarz otarła i, z rąk synowej koryto wziąwszy, mężnie i raźnie, choć z niejaką trudnością, do bliskiego chlewka, w którym odzywało się rzężenie świń, je poniosła. Chuda i blada Maksymowa zniknęła w sieniach chaty, wzamian wybiegło z niej dwoje małych dzieci i bosemi stopkami za babką ku chlewkowi podreptało.

Najstarszy, Tadeuszek, przed dwoma laty zmarł; ale Ha-

nulka i Stepańczyk żyli, a teraz w głębi chlewka taki radosny krzyk i śmiech podnieśli, że Awdocia także śmiała się na całe gardło. Na świnie, chciwie jadło pożerające, patrząc i z wnukami swawoląc, zupełnie — choć może na chwilę tylko — zapomniała o zdechłym byczku i smutnym liście Chwedorka-sołdata.

Paweł zaś na brzeg rzeki ku czółnu powrócił. Nie było ono tym razem puste, lecz znajdowały się w niem różne narzędzia rybackie i spory worek, chlebem, serem i słoniną napełniony.

Na niedalekim punkcie rzeki Paweł spotkać się miał z rybakiem, który często spólnikiem jego w pracy i zyskach bywał, i razem z nim dopłynąć dość daleko, do takiego miejsca w którem właśnie w tej porze roku najobfitsze zdarzały się połowy. Za trzy dni dopiero, albo i później, wrócić zamierzał, ale był tak spokojny, tak szczęśliwej przyszłości i dopięcia zamierzonego celu pewny, że przed wejściem do czółna, z cichą, ale promieniejącą wesołością w oczach, rozejrzał się po błękitnem niebie i zielonej ziemi, po całej ślicznej, złotej pogodzie dnia majowego i, na wiośle oparty, wygwizdywał przez chwilę nutę chłopskiej pieśni:

Oj, u łuzi, pri dorozi,
Razćwieła kalina;
Paradziła biedna udowa
Sołdaćkoho syna...

Przestał gwizdać, ale w jednym z ogrodów wsi, od dwóch jabłoni i kilku wiśni gęstym i cienistym, kobiecy głos jakiś nutę, z pod stóp góry przybyłą, podchwycił i cienko, donośnie, na świat cały, zda się, dalej zawodzić zaczął:

Paradziła jena joho,
Da ciomnoi noczy;
Dała jomu bielo liczko,
Da czornyje oczy...

Tego samego dnia, niewiele przed wieczorem, Franka z małym Chtawjanem na kolanach na progu chaty siedziała. Ubrana była znowu po chłopsku, ale już żadnych świecideł u szyi i uszu nie miała; wszystkie w ostatniej swej wędrówce

zostawiła. Wogóle teraz więcej niż wprzódy wyglądała na chłopkę; uwiędła i znużona cera jej twarzy okryła się śniadą ogorzeliną, ręce pociemniały i zgrubiały. Chudość jej tylko nie znikła wcale; owszem, zwiększyła się jeszcze, a światło zachodzącego słońca ukazywało mnóstwo drobnych zmarszczek, nagromadzonych dokoła jej ust i oczu. Dziecko na kolanach jej podskakiwało i szczebiotało, na psa, ptaki, drzewa małemi rękoma ukazując; ona także szczebiotliwie do niego przemawiała, mocno ramieniem obejmowała, często i głośno całując w głowę i w szyję; ale oczy jej zapadłe i ciemnemi kołami podkrążone, miały przytem wyraz dojmującego smutku, a drobne usta były blade.

Za płotem, wzdłuż podwórka biegnącym, słabo na ciemnem tle zagonów zieleniał ogród, jej rękoma skopany, zasiany i zasadzony. Bardzo mizernie wyglądał on obok drugiej połowy ogrodu, do Koźluków należącej i przez Ulanę uprawionej. Tam wszystko świeże, gęste, rosło dobrze i silną woń rozlewało; tu rzadko rozsiane roślinki nikłe były i przywiędłe. Obok tych ogrodów pracując, dwie kobiety widywały się były codziennie, i Ulana od drwiących uwag nad nieumiejętną i leniwą robotą Franki powstrzymywać się nie mogła, a może i nie chciała. Nazwała ją raz «panią», na co Franka, podnosząc się z nad ziemi, zawołała:

— A pewno, że nie taka chamka, jak ty!

Wtedy Ulana ze swojej połowy ogrodu kazała iść precz Chtawjanowi, który pomiędzy zagonami z jej trzyletnią Maryśką piasek przesypywał. Poprostu, chwyciła go na ręce i przez niski płot do tej połowy ogrodu, w którym znajdowała się jego matka, przerzuciła. Oczy jej pałały więcej jeszcze wzgardą, niż gniewem, ale zęby zacisnęła i nic już nie mówiła, choć Franka, rękoma wymachując i to płacząc, to podrwiwając, rzucała jej różne obelżywe wyrazy, aż dopóki Paweł nie przyszedł i żony za rękę do chaty nie wprowadził.

Teraz podwórko Koźluków było puste i milczące. Ulana po krowę swoją na pastwisko poszła i dzieci z sobą zabrała; Filip i Daniłko najęli się dnia tego do koszenia we dworze dziedzińca i ogrodu. Wróble tylko pod dachami obu chat i w starej gruszy przeraźliwie ćwierkały, głuchy gwar ludzkich i zwierzęcych głosów toczył się po wsi, bocian kędyś daleko klekotał, i Franka, na progu chaty siedząc, swemi smutnemi oczyma w twarz dziecka patrzała i świergotała do niego blademi usty.

Wtem za węgłem chaty ozwało się chrypliwe, lecz dość

głośne mruczenie, westchnieniami i uderzeniami kija o ziemię przerywane.

— Kirje alejson, Chryste alejson, Ojcze niebieski, zmiłuj się nad nami, Synu Odkupicielu, zmiłuj się nad nami...

Franka szybko twarz podniosła i oko w oko spotkała się z wyglądającą z za węgła wielką, w grube fałdy pomiętą twarzą, wśród której kredowej prawie bladości czerwieniły się opuchłe i mrugające powieki.

— Marcelka! — z radością wykrzyknęła.

— A Pawła niema w chacie? — grubym szeptem zapytała żebraczka, głowę tylko, w brudną szmatę owiniętą, z za węgła wychylając.

— Niema! niema! trzy dni nie będzie! — śpiesznie odpowiedziała Franka i, dziecko z kolan spuściwszy, na spotkanie przybyłej pobiegła.

— A mojaż ty drogieńka, złota, brylantowa! — śmiejąc się i rękoma machając, trzepała — a jaż tak ciebie czekała, tak o ciebie wypytywała się... Wszyscy mówią: niema Marceli! jak przed Wielkanocą do miasta poszła, tak i nie powróciła. Już my myśleli, że ty może gdzie i umarła...

Kupa łachmanów, w dwie wielkie stopy, honuczami owinięte, i w dwie bezkształtne ręce kij trzymające, zaopatrzona, głową trzęsła i zwolna posuwała się ku chacie, do której też Franka ją wprowadziła i, witając, szczebiocząc, ciesząc się, na ławie posadziła. Potem do czerwonej szafki przypadła, kawał chleba, zimne kartofle w misce i trochę soli przyniosła.

— Jedz, mileńka, jedz — prosiła. — Oj, jak to dobrze, że przyszła, bo tu słowa przemówić do kogo niema!...

Żebraczka do jedzenia nie brała się; sytą widać była. Z pod czerwonych powiek przebiegłym i ciekawym wzrokiem ścigała ruchy Franki.

— Aaaa! — zadziwiła się — to ty tu taka sama gospodyni, jak i pierwej była!

— A taka sama! — triumfująco zawołała Franka. — Już i ślad tego, co było, przepadł... już tak, jakby nic i nie było!

— Nu, powiedz, kiedy Boga kochasz, powiedz, co z tobą działo się, gdzie była, co robiła, jak tutaj powróciła i z Pawłem pogodziła się? — prosiła żebraczka.

France nie trzeba było dwa razy prośby tej powtarzać. Siadła i rozpowiadać zaczęła, a gdy opowiadała o tem, jak Paweł jej wszystko darował i dziecko za swoje przyjął, łzy jej w oczach świeciły, i wargi drżały.

Marcela też spoważniała, skupiła się jakoś w sobie, od czego kwadratowa jej postać wydawała się jeszcze grubszą i cięższą.

— Ot, dobry! — zcicha i z podziwieniem przemówiła.

— Dobry! — potwierdziła Franka — już takiego dobrego pewno na całym świecie niema!

Nagle zamyśliła się, oczy jej znieruchomiały; westchnęła.

— Choć, wiesz co, Marcelko? — dodała — że jednakowoż nie taki już dobry, jak był...

— Nie może być? — wykrzyknęła żebraczka.

— Aha! Dawniej, bywało, co chciałam, robiłam; dopóki chciałam, spałam; kiedy cokolwiek w chacie zrobię, to dobrze, a kiedy nie zrobię, to tak samo żadnej wymówki od niego nie posłyszę. Jeszcze i cukierki przywoził, i na ręce jak małe dziecko brał. Pod koniec, kiedy już jego znielubiłam, kłóciłam się, krzyczałam... a on nic! Milczy jak ściana, albo obejmie i prosić zacznie: cichoż już, dzieciątko! cicho! uspokój się! Teraz, gdzie! Raniusieńko, jak ten tyran, nad pościelą staje i wstawać każe. Co wyproszę codzień, co wysprzeczam się, nic! ja swoje, a on swoje: wstawaj i wstawaj! Czasem za ręce weźmie i z pościeli ściągnie, a potem znów klękać każe i pacierze za nim głośno odmawiać... i z książki modlitwy czyta... a jakie to czytanie? Oj, Boże Święty, zwyczajnie chamskie! Nim jedną modlitwę przeczyta, mnie od klęczenia w głowie kręcić się zaczyna. Po pacierzach znów do roboty gna, a to ogień rozpal, a to krowę wydój... a to ogród kop, albo chleb piecz!... Nawet kiedy z chaty wychodzi, jeszcze przykazuje: patrzaj, Franka, żebyś zrobiła, co ja powiedział! — Jak powróci i zobaczy, że nie zrobione, kazanie zaczyna mówić, albo i wykrzyczy. Już wszystko i robię, choć przed samą sobą wstydzę się, że do takich prostych robót zaprzągnięta, choć czasem ze słabości, ot, zdaje się, że zaraz i upadnę. Ale wolę już to, jak te jego kazania o Panu Bogu, o czarcie, o wiecznem potępieniu i o różnych takich głupstwach. Przytem, niewolnica już ja teraz, z ciałem i duszą jemu zaprzedana. Zdrowie straciłam, dziecko na karku mam, i niema już dla mnie innej ucieczki i innego ratunku, jak w tej chacie i z tym człowiekiem żyć. Na taką już dolę ja skazana... w taką czarną godzinę na ten świat narodzona.

Gdy tak wyrzekała, coraz głębszy smutek napełniał i wprzódy już smutne jej oczy, aż naglym strumieniem łzy z nich pociekły i nagle też ciec przestały.

Za głowę się chwyciła.

— Aj, Marcelko — jęknęła — żebyście wiedzieli, jaką ja biedę z tą głową mam! Boli i boli! Jak tu powróciłam, cośćiś z tygodni kilka nie bolało, a teraz znów boli, i ten szum powrócił... nie taki wielki, jak był, ale powrócił...

Perkalową, kwiecistą chustkę z głowy zdjęła i, płócienkową szmatę w wiadrze wody umoczywszy, czoło i całą czaszkę nią obwiązała.

— Ot, jedyny ratunek mój! — mówiła — jak już bardzo rozboli i szumieć zacznie, zimną wodą zmoczyć...

Usiadła znowu naprzeciw żebraczki, która, rękoma na kiju splecionemi, tak pilnie za nią wzrokiem wodziła i tak zamyśliła się, skupiła się jakoś w sobie, że na chwil kilka odstąpiła ją zwyczajna gadatliwość. Potem, zwolna chrypliwym swym głosem zaczęła:

— Patrzajcie, państwo! to on taki srogi zrobił się! Aaaa! Jednakowoż, moja mileńka, szczęśliwa ty, oj, jaka szczęśliwa, że takiego człowieka dostała! Co to! tyle żonce wybaczyć i cudze dziecko, jak swoje, hodować, i jeszcze do roboty zapraszać, jak tę panią do stołu! Nie żart, mileńka, jaki on dobry!

— A dobry! — obu rękoma za głowę trzymając się, odrzuciła Franka. — Już ja i sama wiem, że za tę dobroć w niewolę jemu zaprzedałam się!

Marcela głową kiwała, w ziemię patrzała; po starej i brzydkiej jej twarzy jakieś ciemne zadumy płynęły.

Po chwili, jakby do tej ziemi, w którą wlepiła wzrok, zachrypiała i zajęczała:

— Oj, dołoż moja, dolo! czemu ty mnie w młodych moich latach takiego człowieka i takiego zbawiciela nie zesłała? Czemu ty mnie, jak tę trawkę w polu, samą na świecie zostawiła? Wiedziałabym ja, oj, wiedziałabym, jak takiego człowieka i takiego zbawiciela szanować, i tylebym trudności wszelakich z dziećmi-sierotami nie poniosła, na starość bym na taką biedę i poniewierkę nie zeszła!

Bezkształtną od owijających ją łachmanów głową kołysała, a w piersi jej, ni to płacz, ni to śpiew wzbierał, aż wezbrał dygotliwą, chrapliwą, jednak żałosną nutę:

Powij, wietre, powij, wietre,
Z zielonoho haju,
Powiernisia nasz panoczek
Z dalokoho kraju!

— Aha! — cienkim i ostrym głosem wykrzyknęła Franka — dobrze tobie, Marcelko, tak mówić, kiedy już, jak spróchniały grzyb, zestarzałaś! W młodym wieku człowiek świata, wesołości i różnych przyjemności pożąda...

Teraz Marcela oczy, mętną wilgocią z pod opuchłych powiek świecące, od ziemi oderwała i we Frankę wlepiła:

— A wieleż, moja mileńka, tobie lat będzie?

— A trzydziesty ósmy na Gromniczną zaczął się — z widocznym triumfem odpowiedziała Franka.

Marcela głową kołysała.

— Oj, to już i nie dziecina ty, i do sorokonki (czterdziestki) tobie nie daleko. Sorok liet, babskij wiek, moja ty mileńka!

— Ot, chamskie przysłowie! Albo to prawda? Aj-ej, jakby jeszcze za mną chłopcy latali, żebym tylko zdrowa była i w takiej jamie nie mieszkała!...

Czy w tej chwili wzrok Marceli na połyskujący w kącie samowarek upadł, czy spotkał się z wiszącym na ścianie workiem z mąką lub z krupami — dość śpiesznie, niby popełnioną omyłkę naprawiając, potakiwać France zaczęła:

— Ale! Pewno! Czemu nie! Szczupleńka ty taka i delikatna, jak ta panienka, co w gorsecie chodzi, a rączki twoje, jak u dziecka, maleńieczkie i oczy takie...

Wtem na podwórku Koźluków ozwały się głosy.

Franka na ławie u okna przyklękła i do mokrej szyby twarz przyłożyła. Zobaczyła Ulanę, do obórki krowę zapędzającą, czworo dzieci po trawie rozsypanych, Filipa z kosą na ramieniu, wchodzącego do chaty, i Daniłka, który, także z kosą na ramieniu, ze stojącym we wrotach równego mu wieku chłopakiem rozmawiał:

— Popatrzajcie, Marcelko — śpiesznie zaszeptała Franka — popatrzajcie, złocieńka... jaki przystojny chłopiec zrobił się z tego Daniłka...

Chłopak istotnie był ładny. W płóciennej, krótkiej kapocie, wysokich butach, z połyskującą w ostatnich światłach dnia kosą na ramieniu, wyglądał zgrabnie i wesoło. Dziewiętnasty rok zaczynał, twarz miał jak u dziewczyny gładką i złotorude włosy.

Sfałdowane policzki Marceli zatrzęsły się od cichego, filuternego śmiechu.

— Ot, dzieciuk! — wymówiła — młody, to i gładki...

— To nic, że młody — cicho trzepała Franka — ale taki cienki sobie i zgrabny, jak panicz. Patrzajcie, państwo! a ja do tego czasu i nie zauważyłam, że on taki przystojny!

Coraz wyraźniejszy i złośliwszy uśmiech trząsł fałdami policzków Marceli; zarazem przyciszonym i pochlebiającym się głosem zapytała:

— To może temu dzieciuku powiedzieć, co ty o nim mówiła? A? Ot, uraduje się! A, Jezuż mój, Najświętsza Marjo Panno, czysta pociecha! Jemu i w głowie nie powstało, żeby jego kto chwalił, że ładny!

— Powiedzcie, moja złocieńka, brylantowa, koniecznie powiedzcie! Ot, ciekawość, czy on uraduje się i co o mnie powie?

Ulana w tej chwili z obórki wyszła, a dzieci jak ptaki ku niej poleciały. Z szerokim uśmiechem coś do nich mówiąc, w mały garnuszek z dojnicy mleka zaczerpnęła i brzeg jego, schylona, pokolei do czworga wyciągających się ku niej dziecięcych ust przykładała. Troje tych małych stworzeń do niej należało; czwartem był Chtawjan. Dała napić się mleka swoim, dała i jemu, naostatku wprawdzie, może najmniej, ale dała. Potem wszystkie czworo za nią do chaty pobiegły.

Franka, choć przez szybę ciągle patrzała, drobnej sceny, na przyległem podwórku zaszłej, nie spostrzegła. Myślami swojemi zajęta była — milczała dość długo, aż w zmroku, zaczynającym już izbę napełniać, wyprostowała się, ruchem zmęczenia ramiona w górę podniosła; oczy jej zapadłe, wielkie, pod czołem, wilgotną szmatą oblepionem, napełniły się czarnym smutkiem.

— Oj, Marcełko, moja mileńka! — zcicha przewlekle przemówiła — tak mnie cośćiś we środku je... tak mnie na świecie niedobrze!

— Czemu tobie niedobrze? — zapytała żebraczka.

— A czemuż ma być dobrze? — odpowiedziała i z dłońmi, nad głową załamanemi, mówiła dalej: — On, widzisz, choć dobry, ale delikatności mojej szanować nie umie, ani gadać, tak jak lubię, nie umie i w takiem odzieniu grubem chodzi, i taki jakiś... ja i sama nie wiem, jaki...

Po chwilowym zaś namyśle dokończyła:

— Ot, zwyczajnie cham... żeby nie wiem, jaki dobry był, zawsze cham!

A ciszej jeszcze dodała:

— I taki już teraz stary... stary!

V.

Pora kośby i żniw minęła; wiele rzeczy przez ten czas ubiegły działo się i stało w dwóch sąsiadujących ze sobą chatach. Raz, w czasie koszenia łączki, którą Filip w pobliżu wsi posiadał, Paweł, zrana przed chatę wyszedłszy i po niebie okiem powiódłszy, do szwagra, słomę ku oborze niosącego, rzekł:

— A żywo, Pilipie, siano z łąki zabieraj, bo jutro, pojutrze, Pan Bóg deszcz przyśle, i cościś ja z wiatru czuję, że na długo.

W tyczące się zmian pogody przepowiednie szwagra Filip wierzył; śpiesznie więc konia do wozu zaprzęgać zaczął, a Danilkowi grabie i widły przygotować rozkazywał. Ulana w domu zostać i, jeżeliby ktokolwiek promu zażądał, sama podróżnego przez rzekę przewozić miała.

Wąską teraz ta rzeka była i bardzo powolną. Z wiosny dwom mężczyznom trudno bywało przebyć ją z promem; teraz i jedna baba podoła, a gdyby aż dwa konie, albo ciężka jaka fura do przewiezienia była, Paweł dziś niedaleko u brzegu ryby łowić będzie, przyskoczy więc prędko i siostrze pomoże. Gdy tak umawiali się, a Filip konia zaprzęgać kończył, z za pleców Pawła wypadła Franka i wołać zaczęła, że ona pojedzie na łąkę siano grabić. Już wszystko, co trzeba było, w chacie zrobiła: jedzenie na cały dzień zgotowała, krowę wydoiła i chce Filipowi do zbierania siana dopomóc. Ubrana była w białą, jak śnieg, koszulę, błękitną perkalową spódnicę i różowy fartuch; czarne włosy z pod kwiecistej chustki wypływały jej na czoło, ramiona i plecy. Ruchy miała ożywione, wesołemi oczyma i białemi zębami błyskała.

Filip drwiącym uśmiechem zrazu ofiarę jej przyjął.

— Oj, z takiego grabienia, jak twoje, czortu chyba pociecha będzie!

Ale Daniłko odezwał się:

— Niechaj jedzie. Zawsze we troje łatwiej i prędzej...

— Niechaj jedzie. Pokażecie jej raz i drugi, jak grabiami robić, to i potrafi! A zawsze choć troszkę pomoże — zadecydował Paweł.

Z Filipem na wóz siadła i pojechała; Daniłko zaś pieszo krótszą drogą poszedł, ale zaledwie wóz trochę drogi ujechał,

Franka na ziemię zeskoczyła i ku idącemu miedzą chłopcu pobiegła.

— Ej! — odbiegając od Filipa, zawołała — my tamtą drogą prędzej dojdziem, niż ty tą pojedziesz!

Po powrocie z łąki, Filip ze zdziwieniem żonie opowiadał, że ta chfichsatka Franka doprawdy nieźle siano grabiła i naprawdę troszkę do zebrania go dopomogła.

— Żeby leniwa nie była, wszystkoby potrafiła — dokończył.

— Jak tylko chce, wszystko potrafi, taka zgrabna — ustami wypchanemi chlebem zauważył Daniłko i przez okno na Frankę, po podwórku swojem zwijającą się, zerkał, a oczy mu, jak u kota, zielonawo pobłyskiwały.

I tak już potem bywało często. W żniwa z sierpem na pole Koźluków chodziła i, choć nie mogła ani wytrwale, ani tak dobrze żąć, jak Ulana, bo sił i wprawy jej brakowało, zawsze jednak właścicielom pola dopomagała.

Filip wtedy na innej części swego małego gruntu orał, albo przy domu i promie zostawał, a Daniłko z dwiema kobietami żął i snopy do stodoły woził. Franka też często razem z nim na furę zboża właziła i do domu jechała, poczem razem powracali i brali się do roboty. Choć na gorąco i bóle w krzyżach narzekała nieraz, wesołą była, ruchliwą, gadatliwą i nigdy przedtem niewidzianą u niej gorliwość w pracy okazywała. Do Ulany przymilała się, złocieńką i brylantową ją nazywała, dzieci jej wycałowywała i na ręku nosiła, do Daniłka zaś lgnęła, jak mucha do miodu. Na to lgnienie przecież długo nikt żadnej uwagi nie zwracał. Że z dzieciukiem swawoli i dokazuje, a w niedzielę gdzieśćś z nim na kilka godzin przepada, nic dziwnego. Choć opamiętała się, ochotę do roboty poczuła i ludziom w oczy, jak ta osa, rzucać się przestała; wszystkie głupstwa z głowy odrazu wylecieć jej nie mogły. Stara, a taka czasem durna, jak dziecko; że zaś i Daniłko jeszcze dzieciukiem jest, to im razem do pary. Zawsze jednak dobrze, iż opamiętała się, pracuje, ludziom pomaga, grzeczna. W sąsiedztwie takiem bliskiem jędzę mieć, nie żart jaka przykrość. Więc już niechaj sobie odmienna będzie i troszkę chfichsatka, byle jędzą nie była.

To też Ulana uprzejmie znowu obchodziła się z bratową, Chławjana coraz częściej do siebie przygarniała i, wywdzięczając się za pomoc w polu, różne przysługi w gospodarstwie France oddawać zaczęła: to chleb za nią wymiesiła i upiekła, to bieliznę

w rzece wypłókała i pralnikiem wybiła, to, po wodę poszedłszy, jedno wiadro dla siebie, a drugie dla niej przyniosła.

Tak przez długie trzy miesiące ludzie ci, wśród ciężkiej pracy kryształowy żywot wiodący, nic nie spostrzegli i żadnego podejrzenia nie powzięli. Żaden cień występku nie przesunął się pomiędzy ich oczyma a pięknem słońcem letniem, w którego blaskach nurzali się po dniach całych; żadna kropla brudu nie ciążyła ich piersiom, gdy zmęczeni zasypiali i twardo, głęboko spali przez całe noce.

Paweł przez ten czas długie wycieczki po rzece odbywał, a do domu wracając, znajdował Frankę, pracującą wesoło, w śnieżną koszulę i różowy fartuch ustrojoną. Choć często opryskliwie mu odpowiadała, a czasem i odpychała go z nieutajonym wcale wstrętem, przypisywał to resztkom pokus djabelskich, których jeszcze modlitwa i napomnienia przemóc nie zdołały.

— Niech już sobie jaką chce będzie, byle poczciwa była! — myślał. Chtawjana na ręce brał, obwarzanki mu z miasteczka przywiezione dawał, coraz więcej dziecko to lubił i pieścił. Pieszcząc je, bawiąc się z niem, na gniewne warczenie Franki i złe słowa, które mu czasem rzucała, nie zważał, tem więcej, że wkrótce ona, znowu w dobry humor wpadłszy, przyjacielsko z nim rozmawiała, izbę gadaniem swym i śmiechem, za którym on szczególniej przepadał, napełniając. Żaden więc cień przez te długie trzy miesiące nie stawał pomiędzy pogodnemi jego oczyma a światłem pięknego letniego słońca, i nic wcale nie ciążyło jego szeroko oddychającej piersi, gdy w nocy twardo, spokojnie, usypiał.

Nagle, przy końcu jednego z dni sierpniowych, w chacie Koźluków zakipiało, jak w garnku. Podniósł się tam piekielny wrzask ludzi dorosłych i dzieci. Filip brata bił.

Było to o zmroku. Niewiadomo gdzie i jakim wypadkiem dowiedział się o tem, za co teraz brata bił, ale dowiedział się w sposób tak nagły i brutalny, że ta brutalność wstrząsnęła całą istotą tego nawet silnego, prostego chłopa. Nigdy przedtem dużo młodszego od siebie brata nie krzywdził; ale teraz zdawać się mogło, że oszalał, tak rozsrożony miał wyraz twarzy i tak mocno, jedną ręką brata za odzież trzymając, drugą po plecach walił.

— Sadoma i Hamora! — bijąc, krzyczał — a toż za ciebie Boski piorun chatę spali! A toż on tobie jak rodzonym dziadźkiem był, na rękach ciebie nosił, dobra, rozumu uczył! A ty jemu

taki wdzięczny! A ty z jego żonką... A do pługa, a do cepa, a do roboty tobie, nie do łajdaczek! Karę Boską na nas i na dzieci nasze sprowadzać będziesz? Won z chaty! czujesz? żeby tutaj noga twoja nie postała! słyszysz? Na włóczęgę po świecie idź! W najmy idź! choć i na wieczne zatracenie idź! A z mojej chaty won! won! won!

Krzycząc tak, bijąc się z chłopcem, który od niego mniej wprawdzie był silnym, jednak siłę miał dużą mocując się, ku drzwiom go popychał. Ulana z głośnym lamentem ręce łamała. Dzieci krzyczały.

Danilko u samego już progu z rąk brata wyrwać się potrafił i, czerwony jak piwonja, z oczyma palającemi, z rozdartą na plecach odzieżą, hardo krzyczeć zaczął:

— A ty nijakiego prawa nie masz z chaty mnie wypędzać! Taka ona twoja, jak i moja. Jednych my baćków dzieci.

— A kto tobie baćkiem był? — rzucając się ku niemu, huknął Filip — ja tobie baćkiem był, kiedy ty mały sierota na rękach moich został! Czy na to ja ciebie hodował i karmił, i dobra, rozumu nauczał, żeby ty Sadomu i Hamoru robił! Nu, nauczęż ja ciebie! nu, popamiętasz ty! Nu, będziesz ty!...

I z gradem słów grubych, nagich, ohydnych, na plecy i głowę Danilka znowu posypał się grad razów. Szamotali się z sobą u drzwi zapamiętale.

Ulana, z twarzą łzami zalaną, krzycząc, ręce łamiąc, rozdzielić ich usiłowała. Dzieci już teraz rozkrzyczały się wniebogłosy.

Kury w podpiecku, obudzone, przeraźliwie gdakały. Nawet Kurta pod ławą zawył przeciągle, i bury kot, nadeptany czy przestraszony, nie mając kędy uciec, ze wściekłem miauczeniem po izbie się miotał.

Wtem do izby wszedł Paweł. Z rzeki wracał; u połowy góry wrzask, z chaty Koźluków wychodzący, usłyszał i, niespokojny, śpiesznie ku niej podążył.

Na widok wchodzącego, Ulana, może żalem nad nieszczęściem brata, albo obawą o utratę jego przyjaźni popchnięta, zanosząc się od płaczu, jak długa runęła mu do nóg.

Danilko, wyrwawszy się z rąk Filipa, wypadł z izby, a Filip, ze zjeżonym włosem, z twarzą od wściekłości pijaną, ku Pawłowi się zwrócił i temi samemi grubemi, nagiemi wyrazy, jakiemi chłopca, ciężko w oczach jego występnego, łajał, wszystko opowiedział.

Opowiadanie to nie trwało dłużej nad trzy minuty i, za-

ledwie Ulana, podniósłszy się z nad ziemi, na klęczkach jeszcze, do męża wołać zaczęła: — Cicho! milcz! Pilip, oj, Pilip, co ty robisz? Milcz! — Filip powiedział już wszystko, a Paweł z izby wyszedł.

Nie poszedł naokoło, aby przez własne podwórko do chaty swojej wejść, ale, niskie płotki ogrodu przestępując, po zagonach pełnych warzywa deptał.

Blady był jak płótno, z oczu wyrzucał złotawe połyski. Wszystko, co w człowieku jest gwałtem gniewu i miłosnej zazdrości, podniosło się w jego mózgu, nerwach, w tym kawałku ciała, który, na dnie piersi osadzony, nazywa się sercem, i targało niemi, rozdzierało je, prawie przytomności go pozbawiało.

Jak pijany, zataczając się, sień przeszedł i drzwi izby ze stukiem otworzył.

W izbie, przed piecem, w którego ciemnej głębi krwisto i ognisto żarzyły się rozpalone węgle, stała Franka. Stała w skurczonej, zmalałej postawie, ramiona mocno u piersi zaciskając, a w krwistem świetle żaru twarz jej świeciła wśród zmroku krwistą także czerwonością.

Wiedziała dobrze, co zaszło w chacie Koźluków; przez okno widziała, kiedy Paweł do tej chaty wchodził, kiedy i jak z niej wyszedł: była więc przestraszona, ale daleko więcej była zawstydzona. Ten wstyd, którego doświadczyła, gdy po trzyletniej prawie włóczędze tu powracała, niczem był w porównaniu z tym, który teraz spadł na nią, piekący i ciężki. Dlatego skurczyła się, zmalała i twarz miała tak prawie czerwoną, jak płonący w piecu żar, a gdy tylko Paweł w progu stanął, z wyciągniętemi rękoma do niego zawołała:

— Nie wierz ty im, Pawełku! nie wierz, to nieprawda... oni umyślnie...

Pierwszy raz w życiu kłamała, i nie ze strachu kłamała, ale wstydu; połowę życia oddałaby za to, aby on w kłamstwo jej uwierzył.

Ale Paweł dwoma szerokiemi krokami obok niej się znalazł i, nic nie mówiąc, bez oddechu nawet, w żelazną obręcz swoich palców ramię jej ujął. Krzyknęła przeraźliwie i do ziemi przypadła, pod razami opadającej na plecy jej pięści.

W ten sposób krzyknęła kilka razy, aż nagle uczuła, że ramię jej z żelaznej obręczy uwolnione zostało, i że jest w izbie samą.

Takim samym szerokim i chwiejnym krokiem, jakim

wszedł, Paweł z izby wyszedł, ze strugami potu na czole chatę okrążył i do tylnej jej ściany, na samej krawędzi góry stojącej, czoło przycisnąwszy, płaczem ryknął.

Gwałt gniewu i miłosnej zazdrości, który tam, w mrocznej izbie, nad skurczoną u ziemi kobietą, ramieniem jego miotał, opadł teraz i stajał w wielkiej, pierś mu rozrywającej żałości, żałości nad sobą, nad nią, nad tem ludzkiem, dobrem, świętem zadaniem ratowania i zbawiania, które dwa razy już ukazało mu było swe niebieskie oblicze i dwa razy w nicość zapadło.

Z złamanemi rękoma, z czołem do chropowatej ściany przyciśniętem, rycząc z płaczu, urywanemi słowami wymawiał:

— Niema już widać dla niej ratunku, ni wybawienia żadnego! niema już dla mnie szczęśliwej doli na świecie! Boże mój wszechmogący! Boże mój miłosierny! co mnie tu teraz robić?

W godzinę potem czółnem na rzekę wypłynął, jak błędny, drobny punkt czarny, po stalowej jej powierzchni pod występujące na niebo złote gwiazdy pomknął, a za czółnem jego biegła srebrna ścieżka wodna i perlistą, monotonną, wieczną pieśń swoją szemrała. Całą noc na rzece, a może i na samotnem wybrzeżu jakiem, pod jaką wierzbą starą albo drżącą osiką, przepędził.

W izbie zaś, w której po jego wyjściu Franka na ziemi leżąca została, w parę godzin później, szeptem i w ciemności toczyła się rozmowa, jękami i westchnieniami przeplatana.

— Aaaa! wybił! Patrzajcie, państwo, wybił! Musi bardzo już zazdrosny, kiedy aż wybił! Jeszcze on nigdy nikogo nie bił! taki spokojny, taki dobry... a wybił!

— Żeby jemu Pan Bóg nigdy tego nie darował, jak ja nie daruję! — wykrzyknął cienki i ostry głos kobiecy. — Nie daruję!... nie daruję!... do śmierci pamiętać będę taką hańbę... oj, hańbę! hańbę! hańbę! Oj, Bożeż mój, czego ja dożyłam, czego się doczekałam! Czy mnie na to matka rodziła, żebym chamskie kułaki na swoich plecach czuła! Z dobrej familji pochodzę, dziadunio swoje domy miał, matka edukowaną była, cioteczny brat bogaty, jak pan sobie żyje, a ot, co na mnie teraz przyszło! Żeby jego Pan Bóg za moją krzywdę skarał! Żeby on dobra na tym i na tamtym świecie nie doczekał!

Klęła, wyrzekała, czasem jak dziecko kwiliła, a czasem zrywała się jak furja i, na pościeli wyprostowana, za włosy targała się, pięścią o pięść biła.

— Dość już ja jemu za jego dobroć wywdzięczyła się,

dość plecami swemi i hańbą swoją zaplaciłam! Popamiętam ja o tej jego dobroci, kiedy taki mnie wstyd ogarnął, że, zdaje się, gdybym mogła, żywcem zagrzebałabym się pod ziemię, byle tylko jego już nie widzieć i jemu w oczy nie patrzeć! Ale teraz niczego już przed nim nie wstydzę się! niczego, niczego! Kiedy jemu wolno mnie bić, to mnie wolno wszystko robić. Żebym Danilka nie żałowała, tobym znów uciekła. Ale może i ucieknę! Ot, wezmę i ucieknę!

— A Chtawjan? — ozwał się gruby, ochrypły głos, z kupy łachmanów wychodzący.

— Niechaj i jego djabli wezmą! Niechaj wszystko djabli wezmą! — rzucała się leżąca na łóżku kobieta; jednak nagle umilkła i po chwili dopiero wahającym się głosem rzekła:

— To co? Zostawię...

U bosych nóg swych czuła ciepło uśpionego dziecięcego ciała — i zawahała się znowu.

— Otóż to! zaszeptała — ni to mnie jego tu zostawiać... ni to z sobą zabierać! Do tego i Danilka szkoda!... aj! żeby ty, Marcelko, wiedziała, jak ja jego lubię... jaki on miły! A nie widziała ty jego teraz, kiedy tu szła? a?

— Czemu nie widziała? widziała. Umyślnie zaszłam tam do nich, żeby zobaczyć, co z nim biedneńkim dzieje się, co on teraz nieszczęśliwy robi?

— A cóż? cóż? cóż? — zaszeptała Franka — może co mówił? może kazał mnie co powiedzieć?

— Nic on nie mówił i nic powiedzieć nie kazał — odpowiedziała Marcela. — Zwyczajnie dzieciuk! Brat wybił, to siedzi i płacze; co ma robić?

Franka gwałtownie westchnęła.

— Ot — zauważyła — cham także, a nie taki, jak wszystkiem chamy... młodzieńki, zgrabnieńki i jeszcze grubjaństwa nie nauczył się...

— A tyż i o Pawle tak samo mówiła, że on, choć cham, ale nie taki, jak wszyscy...

— Niechaj jemu Pan Bóg nie daruje, że on mnie tak zwiódł i oszukał! Dobrego i delikatnego udawał, a teraz pokazał, kto i jaki. Ot, żebym ja była nie zwarjowała i za niego nie wyszła, terazbym za Danilka wyszła...

Marcela przeciągły krzyk zdziwienia wydała.

— A mojaż ty mileńka, co ty wygadujesz! toż to dzieciątko w porównaniu z tobą! tożby ty jemu matką mogła być! a bodaj

ciebie! ot, wymyśliła! A Jezu mój najsłodszy! z czterdziestówką za takiego smerdusa wychodzić!

Pusty, do powstrzymania niepodobny śmiech porwał babę; wstrzymywała go jednak i w dłoniach tłumiła, z obawy obrażenia Franki.

Ta zaś, ręce nad głową wyginając, z niejaką obrazą w głosie zaczęła:

— Tak i co, że ja od niego starsza? Jedna moja pani starsza ode mnie była, a młodzieńkiego męża miała, i on przed nią skakał i wszyściutko, co tylko kazała, robił. Oj-ej! co to na świecie nie zdarza się! A może ty sobie myślisz, że onby nie chciał ożenić się? Otóż chciałby, chciałby, i jak chciałby!

— Mówił, że chciałby? — zapytała Marcela.

— Mówić nie mówił, ale ja wiem... — odpowiedziała Franka.

U łóżka siedząca kupa lachmanów trzęsła się ciągle od stłumionego śmiechu, a po chwili wyszedł z niej głos przymilający się i zawodzący:

— Oj, pewno, że chciałby, czemuby nie chciał? Jeszcze nie było na świecie takiego mężczyzny, coby takiej śliczności nie chciał. Taka ty delikatna, taka ty ładna i weseleńka, i żwawieńka, jak ta biała koza na łące, albo jak ta królewna w pałacu...

— Ot, widzisz! — ozwała się znowu Franka — ale cóż z tego, kiedy mnie ten cham, grubjanin, niedźwiedź, rozbójnik, krwiożerca, ręce i nogi związał!

Porwała się znowu, na łóżku usiadła, ręce we włosach zatopiła.

Kiedy zaczęła mówić, syk jej gwałtownej, namiętnej mowy rozchodził się po wszystkich kątach ciemnej izby.

— Nie lubiłam już ja jego i wprzódy... bo wół, niedźwiedź, nudny, stary... ale teraz, kiedy śmiał rękę na mnie podnieść, sto razy więcej nie lubię... Nie cierpię, nienawidzę, tak nienawidzę, że zdaje się, zabiłabym, zadusiła...

— Cicho! — z przerażeniem syknęła Marcela — jeszcze nadejdzie i posłyszy!

— Nie nadejdzie, nie nadejdzie! Djabli go przez całą noc po rzece nosić będą! Już ja jego zwyczaje znam! A żeby i posłyszał? Ja jemu sama to powiem! Niech wie, co to kobietę, z dobrej familji pochodzącą, krzywdzić.

Zaniosła się spazmatycznym płaczem i poprosiła Marceli, aby płachtę w zimnej wodzie umoczyła i jej podała, bo takie ją

bóle głowy chwyciły, i tak jej w uszach turkotać zaczęło, że chyba zaraz umrze.

Przez kilkanaście dni potem Franka miała już ciągle głowę mokrą chustką obwiązaną, a widać było po niej, że cierpienia, przeciw którym środka tego używała, istotnemi były i dotkliwemi.

Ciało jej coraz więcej nabierało suchości i żółtości trzaski, a na woskowo żółtych, bezkrwistych policzkach płonęły czasem czerwone rumieńce. Wstając z pościeli, drżała, jak w febrze, i chwiała się na nogach, a w napadach gniewu okazywała zadziwiającą sprężystość i siłę. Choroba, której silne już zadatki z niezdrowo spędzonego dzieciństwa, z młodości tułaczej i burzliwej, tu z sobą przyniosła, którą w czasie ostatniej włóczęgi wzmogły: nędza, poniewierka, hańba więzienia i trwoga o przyszłość — rozwinęła się teraz i szybko wzrastała.

Była to jedna z tych dziwnych, tajemniczych chorób, których nasiona przynoszą już z sobą na świat pewne ustroje ludzkie. W atmosferze spokojnej i czystej zanikać one niekiedy mogą, ale wśród burz tragicznych, albo błotnistych wyziewów życia, wydają owoc, zatruwający mózg i wolę.

Mózg i wola Franki działały świadomie, przytomnie i z energją, namiętnie wyprężoną, ale zwracały się w jednym wyłącznie kierunku. Myślała, że jest strasznie, okrutnie skrzywdzoną i poniżoną; pragnęła za tę krzywdę i poniżenie gryźć, dokuczać, szkodzić, mścić się. Daleko więcej jeszcze, niż gryzienia i mszczenia się, pragnęła zupełnej, nieograniczonej, dzikiej swobody. Przymus i zależność jątrzyły ją zawsze, były dla niej nienawistnemi, ale znosiła je z potrzeby, z musu, niecierpliwiąc się i warcząc; teraz zupełnie już znosić ich nie mogła. Dawna jej niecierpliwość, głucha i niekiedy tylko wybuchająca, zmieniła się w rozmiotany i ustawiczny niepokój, warczenie przeszło w krzyk.

Przeszkody, które spotykała w widywaniu się z Danilkiem, do szału doprowadzały jej nie znające nigdy przeszkód ani skrupułów miłosne instynkty, a wspomnienie razów, od Pawła otrzymanych, wprawiało jej dumę w obłędne prawie wyobrażenia o własnej wyższości i wielkości.

Cechy temperamentu, charakteru, procesów myślenia, rozwinięte w niej, a w części zapewne i wytworzone przez całokształt jej życia, wzmagały chorobę nerwów istotną i dotkliwą.

która znowu potęgowała je i do stanu ostatecznego natężenia doprowadzała.

To też, na ciasnej przestrzeni podwórzy i ogrodu, dwie chaty rozdzielających, działy się teraz codzień rzeczy, nigdy przedtem w tym stopniu przez mieszkańców tej wsi nie widywane; wrzało istne piekło kłótni, pogróżek i płaczów. Spokojna i odważna Ulana ze swojej strony także rozjadła się przeciw bratowej, której ani krzywdy brata, ani obelżywych wyrazów, ciągle od niej otrzymywanych, przebaczyć nie mogła. Cała istota Franki wydawała się jej garścią błota, zmieszaną z jakiemiś mętnemi przebłyskami ognia, czy krwi, które ją przerażały. Bezwzględna i bezwarunkowa w swoich pojęciach o cnocie niewieściej, z nauk baćków i z otaczających widoków zaczerpniętych, dla erotycznych szałów Franki miała dwie tylko nazwy: rozpusta i Sadoma i Hamora, które wymawiała, czerwieniąc się ze wstydu, jak dziewczyna, i spluwając z obrzydzeniem, koralowe jej usta tak wykrzywiającem, jakgdyby brzydkiego jakiego owada połknęła, albo cuchnącej wody napiła się z kałuży.

Z innej znowu strony, przez całe życie z jednym tylko gatunkiem ludzi przebywając i o żadnym innym nie mając wyobrażenia należytego, lękała się tej odmiennej, tej przybłędy, tej chfichsatki, do wszystkiego, zdaje się, choćby do podpalenia chaty, albo do skręcenia szyi niewinnemu dziecku, gotowej. Alboż o tem wszystkiem nie mówiła? Alboż — nazajutrz po owem pamiętnem zajściu — wybiegłszy na podwórko, nie wygrażała Filipowi i Ulanie, że chatę im spali za to, że ją przed mężem oskarżyli, że z ich to łaski ona, z dobrej familji pochodząca, edukowana, delikatna, przez niego, przez chama, wybitą została? Co więcej i straszniej jeszcze! raz, gdy, zdaleka idącego w pole Daniłka zobaczywszy, za nim lecieć chciała, a mała Maryśka, bawiąca się u wrót, pod nogami jej się plątała i, padając, za spódnicę ją uchwyciła, czyż nie porwała tego dziecka, jak korszun skowronka, i nie cisnęła go od siebie tak mocno i tak daleko, że Maryśka o płot się uderzyła i od uderzenia tego szerokie sińce dotąd jeszcze na plecach i czole nosi?

Wtedy już i Ulana, i Filip rzucili się byli na nią i za krzywdę dziecka wybić ją chcieli, ale do chaty swojej uciekła i drzwi z wewnątrz zasunęła. Nazajutrz zato złajali ją oboje za Maryśkę i jej sińce od słów ostatnich a ona nic nie odpowiadała, siekierę schwyciła i z góry ku rzece zbiegła.

Nie wiedzieli wcale poco siekierę brała i czego ku rzece biegła.

— Może utopi się, da Pan Bóg! — mówili.

Ale ona topić się nie myślała wcale. W wodę po kolana prawie wlazłszy, siekierą prom Filipa rąbać zaczęła. Chuda jak trzaska, żółta jak świeca woskowa, z głową, mokrą płachtą owiniętą, tak jednak w złości silna była, że, jak mężczyzna, siekierą o deski promu uderzała, aż trzaski z pod niej wyskakiwały.

Szczęściem dla Filipa, Paweł, który niedaleko stamtąd ryby łowił, dostrzegł ją, domyślił się, co robi, i, przyskoczywszy, siekierę jej z rąk wyrwał. Potem, krzyczącą i wijącą się, na górę wciągnął, do chaty wepchnął i drzwi chaty z zewnątrz zamknął. Okno nawet słomianą matą założył i drewnianym kołem podparł, aby przez nie wyskoczyć nie mogła.

Po odejściu Pawła, Filip, na prośbę żony ku oknu zcicha podszedł, róg maty odchylił i przez utworzoną w ten sposób szczelinę zobaczył Frankę, w kącie ciemnej izby na ziemi siedzącą. Siedziała i, za chorą głowę trzymając się, zanosiła się od cichego tym razem, całem jej ciałem wstrząsającego płaczu.

— Niechaj płacze! Żeby cała roztopiła się w tym płaczu, daj Boże!

Filip zaklął, do najwyższego już stopnia za prom swój rozgniewany. Ale Ulana, wysłuchawszy opowiadania męża, zamyśliła się, westchnęła i, milcząc, zwróciła się ku chacie, a spostrzegłszy małego Chtawjana, którego przed godziną, kłócąc się z jego matką, wyłajała i z podwórka swego wypędziła, w strwożonej i smutnej postawie, u wrót siedzącego, przyzywająco głową ku niemu skinęła i zawołała:

— Chadzi!

Chłopiec natychmiast do niej przybiegł, a ona, pogłaskawszy go po włosach, łagodnie powiedziała, aby do jej dzieci, które na piasku pod laskiem biegają, bawić się szedł. Pomimo wstrętu i nienawiści, które dla Franki miała, obraz kobiety, w słoneczny dzień Boży siedzącej w ciemnym kącie i, jak opowiedział Filip, trzęsącej się od płaczu, wywarł na niej wrażenie smutku.

Najpewniej niczemu z tego, co pomyślała i czuła, żadnego imienia nie dawała, ale najpewniej też doświadczyła przebłysku pojęcia, że wielkie zło bywa też dla człowieka, w którym mieszka, wielkiem nieszczęściem. Nad tą rozpustnicą, jędzą, fiksatką uczuła litość i wylała ją z siebie życzliwem obejściem się z jej dzieckiem, tak samo, jak przystępy gniewu i nienawiści względem matki wylewała nietylko na nią, ale i na jej dziecko.

Tego samego dnia nad wieczorem Paweł u brzegu rzeki rozmawiał z Awdocią. Wyglądał jak człowiek ciężko zmęczony albo chory. Kark trzymał pochylo; z pod sfałdowanego czoła zapadłe jego oczy ponurem spojrzeniem wpijały się w ziemię. Policzek na dłoni oparł i zcicha, powoli, mówił:

— Co mnie tu robić? Boże mój miłosierny! Boże wszechmogący! co mnie z nią robić?

Awdocia, niska, szczupła, bosa, nad wiadrem pełnem wody stała wyprostowana, jak świeczka, z podniesioną ku niemu rumianą, pomarszczoną twarzą, na której malowało się zmartwienie i podziwienie. Usta miała otwarte, ale nic nie mówiła; nie wiedziała, co mówić i jak radzić przeciw tej biedzie, o której, jak o cudowisku, cała wieś od końca do końca gwarzyła. I Paweł już poznał, że niema poco z tej biedy sekretu robić, bo o niej wszyscy wiedzą.

Tak stali oboje naprzeciw siebie, nieruchomi i milczący; on z wybladłym policzkiem, na dłoń opuszczonym, ona prosta, jak świeczka, z rękoma pod fartuchem splecionemi, z podniesioną ku niemu głową w czerwonej chustce i z otwartemi usty. Dokoła nich nikogo nie było; u pustego piaszczystego brzegu pozłocona od świateł zachodnich woda płynęła spokojnie, jednostajnie, nieustannie, nad przeciwległym borem słał się długi seledynowy obłok; na górze, we wsi ryczało bydło. Świat był cichy, ciepły, pogodny.

Awdocia palce jednej ręki do policzka przyłożyła i jeszcze chwilę milczała, myślała, aż nagle z wybuchem, z energją, z siłnie jakby powziętem postanowieniem, zawołała:

— Bij!

Z nogi na nogę przestępując, prędko i z błyszczącemi oczyma mówiła dalej:

— Bij ją, Pauluk! bij i duchu słuchaj! Za wszystko bij! i za rozpustę, i za złość, i za hultajstwo, bij! Nie żałuj, a bij! Łaskawość nie pomogła, i modlitwa święta nie pomogła, i gonienie do roboty nie pomogło; może jeszcze bicie pomoże. Może będzie bać się, może na nią groźby potrzeba, może, groźbę przed sobą widząc, upamięta się! Już widać innej rady dla niej niema! bij!

— Już widać rady i innego ratunku dla niej niema! — machinalnie powtórzył i nagle rękoma plasnął.

— Co mnie tu robić? — zaczął znowu — żeby mnie jednemu nieszczęście robiła, niechajby już... ale tamtych szkoda! Zaco oni od niej łajania i szkody znoszą? Może pieniędzy jej

dać, wszystko oddać i z chaty wyprawić? Jużbym, zdaje się, teraz tak i zrobił, już zdaje się i nie lubię ja jej teraz... a jednakowoż żal mnie ją na ostatnie zatracenie w świat wypędzać. I grzech na duszę wezmę, kiedy wypędzę. Przed świętym ołtarzem przysiągłem, że nie opuszczę aż do śmierci? ha? I tak źle, tak jeszcze gorzej! co mnie tu robić?

— Bij! — powtórzyła Awdocia.

— Oj, kiedy mnie to bicie...

— Dla jej własnego ratunku bij! może przelęknie się, i ze strachu upamiętanie na nią przyjdzie...

— Dla jej własnego ratunku... może jeszcze i upamięta się... — wzroku od ziemi nie odrywając, powtórzył Paweł.

W godzinę potem do chaty swojej wszedł, omackiem łampkę znalazł i zapalił, po izbie rozejrzał się.

— Franka, jeść dawaj! czujesz? chutko!

Głos jego brzmiał surowo i szorstko.

Oña z kąta izby wyskoczyła i z gwałtownym ruchem ramion krzyknęła:

— A ty do mnie swoim chamskim językiem mówić nie śmiej! I rozkazywać mnie nie śmiej! Ja nie twoja sługa! Ja, choć zwarjowawszy i wyszłam za ciebie, w porównaniu z tobą panią jestem! księżną! królową! Ty mnie służyć powinien i pył przed memi nogami zamiatać, nie żebym ja tobie służyć miała!

Długo jeszcze w ten sam sposób mówiła, tem, że ją był na kilka godzin w ciemnej izbie zamknął, do ostatka rozwścieczona.

Paweł nie odpowiadał nic; jak kamienny na ławie siedział, kiedy zaś wreszcie umilkła, powtórzył:

— Daj jeść!

— Niema u mnie dla ciebie żadnego jedzenia! — krzyknęła.

— Zgotuj, a zaraz! — podniesionym głosem zawołał.

Czy sama, przez cały dzień nic w ustach nie mając, głodną się czuła, lub też, czy, drżąc na całem ciele, przy ogniu ogrzać się zapragnęła, ale z sieni wiązkę drewek przyniosła i w milczeniu, ponurem warczeniem tylko przerywanem, ogień w piecu rozniecila. Wody potem do garnka nalawszy, kilka garści krup w nią wsypała.

Paweł przez chwilę wodził za nią błędnemi i niekiedy ostre błyski rzucającemi oczyma, aż przysunął się do stołu, leżącą na nim «Służbę Bożą» otworzył i w karty jej wzrok wlepił. Chciał

może odpędzić od siebie myśli, które kręciły się mu po głowie — półgłosem bąkać zaczął:

— Niech o-pła-ki-wam wi-ny mo-je, niech od od-od-r-z-u-rzu odrzu-cam po-ku-sy...

Przed piecem, w którym płonął już ogień, rozległ się ostry, zjadliwy śmiech.

— Ot, czytanie! Ot, śliczne czytanie! Ot, widać zaraz, że edukowany! Ot, gnój tobie wozić, ale nie książki czytać, chamisko!

— Niech po-pra-wiam złe s-k-ł-o-n skłon-n-o-ś noś, skłonnoś c-i skłonności mo-je.

Paweł, z głową w dłoniach, półgłosem czytał dalej.

— Nu, czy przestaniesz? — krzyknęła Franka — wolałabym skrzeczenia żab słuchać, niż tego chamskiego czytania. Czytać zachciało się! pan! hrabia! rabin żydowski!

Paweł czytał, a raczej bąkał:

— Niech się sta-ram o cno-ty p-r-z-y-z przyz-wo wo przyzwo...

Wtem mała, zgrabna, drżąca ręka z pod samej twarzy jego książkę porwała. Jednocześnie zerwał się i on z ławy, prosty jak struna, z rozbłysłemi oczyma.

— Oddaj książkę! — krzyknął.

— Nie twoja książka, moja! do mojej własności prawa nie masz! Kiedy zechcę, to spalę i adje! Na tamtym świecie chyba djabli ci książki do czytania dawać nie będą!

— Franka, oddaj! słyszysz? bić będę! — przez zaciśnięte zęby przemówił i widać było, że z wysileniem nadzwyczajnem tłumił w sobie gniew straszny, gniew cichego i łagodnego, w głębi zaś namiętnego człowieka.

— Bij! — krzyknęła — a ja książkę spalę!

Ramieniem zamachnęła tak, jakby «Służbę Bożą» w ogień cisnąć miała, ale powstrzymała ją ta sama twarda, żelazna obręcz, która już raz przed kilkunastu dniami objęła była jej ramię. Książkę z ręki jej wyrwał i, ramię z uścisków palców swych uwolniwszy, na ławę ciężko upadł.

Pobladł, jak płótno, ciężko i głośno oddychał, parę razy zcicha powtórzył:

— Piekło! piekło! gorące piekło!

Jeszcze pohamował się, jeszcze nie wybił jej, a nawet po kilku minutach zniżonym i przez śpieszny oddech przerywanym głosem mówić zaczął:

— Franka! upamiętaj się! Na Pana Boga wspomnij, duszy

swojej własnej pożałuj... toż ty mnie wtenczas na mogiłkach przed krzyżem świętym przysięgała... i drugi raz w kościele przysięgała... toż ja tobie nic złego nie zrobił... za co ty mnie męczysz? za co ty sama siebie gubisz?...

Ona, przed ogniem stojąc, milczała i drżącą ręką mieszała w garnku wodę i krupy. Po twarzy jej, czerwonym blaskiem ognia oblanej, błądziły jakieś wahające się wątpliwości i namysły.

Szarpiące nią furje uspokajać się zdawały; gdy Paweł wymawiał:

— Toż ja tobie nic złego nie zrobił, za co ty mnie męczysz? — policzki jej boleśnie zadrgały i powieki opadły na źrenice, mniej niż wprzódy rozgorzałe. Znowu tak wyglądała, jakgdyby wstyd przejmować ją zaczynał.

Wtem drzwi otworzyły się ze stukiem, ale wąsko, i przez ten wąski otwór ukazał się mały Chtawjan, w dwóch wielkich czerwonych rękach trzymany. Zarazem głos niewidzialnej za uchylonemi drzwiami Ulany, popędliwy, wzgardliwy, grubszy niż zwykle, zawołał:

— Masz swego bękarta... czemu jego sama nie pilnujesz! Żeby nie ja, jużby z niego tylko garść kosteczek została. Po drodze laził... z pod wozu go wyrwałam... z pod samutkiego wozu! Czemu nie pilnujesz! Kiedy urodziłaś, to i pilnuj! Ale taka ty matka, jak i żonka! Szelma, nie matka! Sadoma i Hamora nie żonka!

Ze stukiem znowu drzwi zamknęła, a Chtawjan, przez próg do izby wrzucony, ręce ku głowie podniósł i płaczem wrzasnął.

Na głos Ulany, tej nienawistnej dla niej kobiety, przez którą i przez której męża obitą została i Daniłka utraciła, Franka z zaciśniętemi pięściami i groźbą w oczach porwała się ku drzwiom.

— Zabiję! — krzyknęła — dalibóg zabiję... za gardło schwycę i jak sukę zaduszę...

Łatwo było uwierzyć, że, gdyby dopędziła teraz Ulanę, spróbowałaby przynajmniej groźbę swą uskutecznić. Ale znowu uczuła na ramieniu swem tę samą, co wprzódy, obręcz i znowu z przeraźliwym krzykiem ku ziemi przypadła.

W izbie zaś, razem z jej krzykiem i chlipaniem przelęknionego dziecka, słychać było głuchy stuk zadawanych razów i śpiesznym, urywanym, zdławionym szeptem wymawiane wyrazy:

— Nie zabijesz! Nie zabijesz! Wprzód ja ciebie... Cierp! Pokutuj! upamiętaj się! Za grzechy cierp! O zabijaniu nie myśl! Pokutuj!

Nakoniec ucichło wszystko, i mężczyzna wysoki, z nieco schylonym karkiem, z twarzą bladą i potem oblaną, z gwałtownie podnoszącą się i opadającą piersią, przed chatę wyszedł. Silnym był, a jednak nogi pod nim drżały. Na progu usiadł, głowę w obie ręce wziął i całą postacią zakołysał się w obie strony.

— Jezu mój! Jezu! Jezu najmiłosierniejszy! — głośno i rozpacznie wzdychał.

Z pół godziny kołysząc się, miłosierdzia Boskiego wzywając, z głową w dłoniach siedział, aż nagle, o czemś sobie przypomniawszy, wstał i do chaty wszedł. Co się dzieje z dzieckiem? Rozejrzał się po izbie. Franki nigdzie nie zobaczył. Tak schowała się w jakimś kącie, że wcale jej widać nie było, ale Chtawjan przed piecem na ziemi siedział, z trzasek dom budować, czy płot stawiać próbował, a mrużącemi się od senności oczyma na garnek, przed dogorywającym ogniem stojący, spoglądał.

Pawła ujrzawszy, trzaski z rąk wypuścił i żałośnie zawołał:

— Tatku! jeść!

Krupnik zgotowany nie był, więc Paweł z szafki kawał chleba wyjął, cienki płatek słoniny na nim położył i dziecku dał. Potem, schyliwszy się, wziął je na ręce i, przez izbę przeniósłszy, na łóżku posadził.

— Jak zjesz, połóż się i śpij! — nauczył.

Z najciemniejszego kąta izby, tego, w którym wśród rybackich i gospodarskich narzędzi najczęściej i najgłośniej zwykle były łomotać myszy, ozwało się gniewne, z jękami zmieszane warczenie:

— Nie rusz mego dziecka! słyszysz? to moje dziecko... Pańskie... a ty rozbójnik, krwiożerca... cham! cham podły! Słyszysz?

Paweł nie odpowiedział nic. Lampkę zgasił, z chaty znów wyszedł i przez całą noc nie powracał.

Ale niebawem, bo może w trzy dni po tym wieczorze, przyszedł dzień, dla wszystkich mieszkańców obu chat najstraszniejszy, w którym Franka całkiem już prawie od przytomności zdawała się odchodzić. Tem większem zaś przerażeniem i obrzydzeniem przejmowało to Koźluków, że o przyczynie tego

najsroższego napadu jej szaleństwa dobrze już wiedzieli. Dowiedzieli się zaś o niej od Danilka, który wczoraj o zmroku do izby wpadł z takim impetem, jakby kto go był z procy wyrzucił, i prawie z płaczem zawołał:

— To cóż ja zrobię? Potem znów cała bieda na mnie spadnie! Czepia się, jak ta smoła... I teraz do gumna przyleciała... obejmuje... kusi... prosi...

— A ty, co zrobił? — głowę z nad brony, którą naprawiał, podnosząc, srogo zapytał Filip.

— W kark dał i uciekł... — cienkim głosem odpowiedział Danilko.

— Nie łżesz?

— Jak Boga kocham, prawda! — zaprzysiągł chłopiec.

— Nu, patrzaj, bo jeżeli co... kijem skórę z pleców zedrę!

Ułana nad dzieżą, w której chleb miesiła, kilka przekleństw wymruczała i z wykrzywionemi ustami na stronę splunęła.

Danilko mówił prawdę. Myśl o widzeniu się z nim samnasam gwoździem w mózgu siedziała i warem toczyła się w żyłach Franki.

Nie tyle już instynkt miłosny ku niemu ją pociągał, ile żądza postawienia na swojem, pomimo wszystko i wszystkich, dziki bunt przeciw więzom, które nałożono na nią, i przeciw tej nienawistnej pięści, która ją karciła. Im większą nienawiść uczuwała względem Pawła i jego krewnych, tem szaleniej pragnęła jakimkolwiek kosztem swoją wolę im pokazać, z ładnym chłopcem choć na chwilę o tem, co ją wewnątrz bolało, paliło, targało, zapomnieć. Była zresztą najpewniejszą, że Danilko przepada za nią, że gotówby nawet ożenić się z nią, gdyby wolną była, że tylko ze strachu przed gniewem Filipa i Pawła jej unika.

Unikał jej istotnie. Choć zrazu, olśniony i upojony pierwszą w życiu miłosną przygodą, z łatwością dał się szeptom Marceli i Franki zalotom pociągnąć, teraz zląkł się, nietylko gniewu brata, ale także grzechu, więcej jeszcze zawstydził się, ochłonął i, ręką machnąwszy stanowczo sobie powiedział:

— I znać jej nie chcę!

To też, gdy, upatrzywszy nakoniec stosowną chwilę, do gumna za nim wbiegła i do rąk, do szyi jego, szepcząc coś, mizdrząc się, czepiać zaczęła, odepchnął ją z gniewnemi słowy:

— Odczep się! czego przylepiła się, jak ta smoła? Czego chcesz?

A gdy natarczywiej jeszcze ku niemu wróciła, pięścią nieco powyżej pleców ją uderzył i sam uciekł.

To przechodziło już wszystko, co znieść mogła.

Jakto! więc poto urodziła się, aby każde chamisko śmiało na jej plecy pięści swe opuszczać! A któż to ona jest, aby w takiej poniewierce móc zostawać? Pokaże im, poznają oni, kto ona taka! Dobrze ją popamiętają!

Wszystko to, nazajutrz po niefortunnem widzeniu się swojem z Danilkiem, wypowiadała i wykrzykiwała, pomiędzy płotkami, podwórko otaczającemi, chodząc i pięściami ku sąsiedniemu podwórzu wygrażając.

Ranek był jeszcze wczesny, ale Paweł o świcie już nad rzekę poszedł, a Filip i Ulana przed drzwiami swojej chaty stali, co mówić i poczynać już nie wiedząc. Na twarzach ich, nieco pobladłych, malowała się trwoga. Gromadka ludzi, krzykami i ciekawością tu przywiedziona, we wrotach stała, temu, co działo się na przeciwległem podwórku, przypatrując się z otwartemi ustami. Była tam i Awdocia, która ze wsi pobliskiej, od chorej kobiety powracając, tędy przechodziła i także u wrót stanęła.

— Ja wam, chamy, pokażę, kto ja taka! — krzyczała Franka — ja was nauczę wyższych szanować! Ja pani z panów! Ojciec mój w kancelarji służył, dziadunio swoje domy miał, matka na fortepjanie grała... Słyszycie? Ot, kto ja taka! Do Kluczkiewicza napiszę! A wiecie wy, kto on taki? Adwokat, wszystko jemu opiszę, a on was wszystkich za moje krzywdy na Sybir powysyła! On pan, z panią żonaty, bogaty, wszyscy panowie przed nim czapkę zdejmują, i wszystkie sądy w garści trzyma, i wszystko może! On brat, on za mną ujmie się... wszystkich was na Sybir ześle... wszystkich... wszystkich... do katorgi... na całe życie.., żeby tu i nogi waszej nie było...

Tak wykrzykiwała, przechwałki i pogróżki grubemi wyrazami łajań i przekleństw przeplatając, pięściami wygrażała, a potem przyciszała się na chwilę i z głuchem tylko warczeniem, po zżółkłej trawie podwórka, pomiędzy niskiemi płotkami chodziła wkółko, wkółko, nieustannie. I wtedy właśnie najstraszniejszy miała pozór.

W brudnej koszuli, na plecach tylko przykrytej dziurawą chustką, w różowym fartuchu, z nagiemi nogami, a stopami w płytkie trzewiki obutemi, z czołem oblepionem mokrą płachtą,

skurczona, naprzód podana, gdy tak wkółko pod płotem chodziła i głucho warczała, podobną była do dzikiego zwierzęcia, które, wściekłym gniewem i żądzą wolności opanowane, krąży dokoła prętów swojej klatki. Wyraźnie przytem rozróżnić było można wymawiane przez nią słowa:

— Kara boska! Kara boska! Kara boska na mnie spadła za to, że sama siebie szanować nie umiałam i między chamów wlazłam! Ojciec i matka przewracają się w trumnach na moją hańbę patrząc! Kara boska! Kara boska! Kara boska na mnie za to, że sama siebie szanować nie umiałam!

A potem znowu, prostując się i do płota, z podwórkiem Koźlukow graniczącego, przyskakując, ściśnięte pięści wyciągała i krzyczała:

— Chatę podpalę, dzieci poduszę, prom porąbię! Do Kluczkiewicza napiszę, do jednego mego pana napiszę, żeby na was krzywdy mojej poszukiwali, do turmy posadzili, na Sybir pozsyłali... Ja pani z panów, z panami znam się, wszystko mogę... i chatę wam z dymem puszczę... moja matka na fortepjanie grała... ja ją z grobu wyciągnę... ja na was policję i sędziów posprowadzam... ja pani z panów... Wszystkich was chamów zgubię...

Teraz znowu, gdy suchą kibić swą prostowała, ramiona swe ze ściśniętemi pięściami w górę wyprężyła, a piękne jej włosy, jak czarne, połyskujące węże, wiły się po jej plecach i piersiach, oczy zaś wielkie, zapadłe, z pod oblepiającej czoło mokrej szmaty płomienie i błyskawice ciskały, wydawać się mogła bezprzytomną i rozszalałą warjatką. Ale ludziom, którzy patrzyli na nią, wydawała się piekielnem, nadprzyrodzonem zjawiskiem. To też coraz większe osłupienie ich ogarniało, i coraz większy lęk występował na ich twarze, szczególniej na twarze Ulany i Filipa, do których bezpośrednio zwracały się groźby jej i przekleństwa. A może sprawdzi się którekolwiek? A może ten jej Kluczkiewicz doprawdy wielkim jakim adwokatem jest i biedę na nich sprowadzi? Może cokolwiek z tego, co wygaduje, w zły moment wygada? Że sama zdolną była do podpalenia chaty, albo zaduszenia dziecka, o tem Koźlukowie w najmniejszej mierze nie wątpili. Stali tedy przerażeni, ogłupieli, niemi, a w gromadce kobiet i mężczyzn, u wrót stojących, rozlegały się czasem stłumione chichoty, lecz daleko częściej zadziwione i przerażone szepty.

— Komedja!

— Wiedźma!

— Chfiksatka!

— Kab ją do miasta zawieźć i do szpitala chwarjatów posadzić!

— Czy ten Pauluk Boga nie boi się, żeby taką w chacie trzymać...

Nikt przecież i nie chciał, i nie śmiał zbliżyć się do niej z napomnieniem lub pogróżką. Nikt prócz Awdoci, która długo i prędko powiekami mrugała, głową kiwała, ciche wykrzyki zgrozy wydawała, aż szybkim ruchem przeżegnała się i, jak świeczka wyprostowana, z rękoma pod fartuchem schowanemi, drobnym kroczkiem małą przestrzeń przebyła i, na podwórko Pawła wszedłszy, drogę France zaszła.

— Franka — łagodnym i poważnym głosem zaczęła — słuchaj, Franka! Tobie ktoś coś zrobił, ty oczarowana. Już teraz ja wiem, dlaczego ty taka, i takiego ziółka ja tobie przyniosę, że, jak napijesz się, odrazu ciebie złe odstąpi. Już ja takie ziółka od zrobionoho mam i tobie dam. Pomogę, wyratuję! Tylko teraz przeżegnaj się, moja miłeńka, przeżegnaj się... raz tylko przeżegnaj... a zobaczysz, że lżej stanie... To tobie zrobiono... to na ciebie ktoś nieczystą siłę naslał... przeżegnaj się!...

Franka łagodnej i proszącej mowy starej kobiety zrazu z gorączkową ciekawością zdawała się słuchać, ale wkrótce z przyśpieszonym oddechem i ściśniętemi pięściami do niej poskoczyła.

— Ty sama wiedźma! — krzyknęła — co ty mnie czarami straszyć przyszła...

— Ja wiedźma! — odkrzyknęła Awdocia, dla której sroższej nad tę obelgi być nie mogło.

Lekarką była, ale nie wiedźmą, dobrze ludziom robić lubiła, ale robieniem złego brzydziła się, jak śmiertelnym grzechem.

Pierwszy raz w życiu wiedźmą nazwana została i, schwyciwszy się za głowę, wielkim gniewem wybuchnęła:

— Ty sama z czartowskiego plemienia!... — zakrzyczała.

— Ja pani z panów a ty czartowska sługa... Precz! czego mnie w oczy wlazła... czarownica, chamka... precz! precz!

Dwie postacie niewieście zaszamotały się teraz u płota, dwa piskliwe głosy krzyczały tak, że już słów rozróżnić nie było można.

Aleksy Mikula z gromadki u płota stojącej wyskoczył i na ratunek Awdoci pobiegł; za jego przykładem, choć nieco powolniej posunęli się i inni.

— Związać ją i do szpitala chwarjatów odwieźć! — krzyczał Aleksy.

— Związać! zbić! w chacie zamknąć! po Pauluka posłać! — rozlegały się wołania innych.

Ulana, przed chatą swoją wciąż stojąc, drżąca, jedną ręką u czoła i piersi znak krzyża czyniła, drugą przygarniała cisnące się ku niej, przerażone dzieci, pośród których znajdował się i Chtawjan.

Wtem, z za węgła chaty ukazał się Paweł. Ktoś go już nad rzeką był wynalazł i o tem, co działo się, zawiadomił. Szedł prędko, z czapką nisko na oczy zsuniętą, z policzkami, jak ogień czerwonemi.

Na spotkanie mu poskoczyła Awdocia, ręce łamiąc i głośno skargi zawodząc, że Franka ją wiedźmą nazwała i wybiła, a pewnoby i zabiła, gdyby Aleksy i inni ludzie jej nie obronili.

Paweł przyjaciółkę swoją porywczym gestem usunął, dwóch mężczyzn, którzy na drodze mu stali, odepchnął i Frankę, za ramię pochwyciwszy, ku chacie pociągnął. Wszystko to uczynił bez słowa, bez tchu prawie, z oczyma, daszkiem czapki zasłoniętemi, i czerwonemi jak ogień policzkami. Gdy razem z Franką we wnętrzu chaty zniknął, obecni w części rozeszli się, w części na Koźlukowem podwórku pozostali i, niby czegoś jeszcze oczekując, milczeli.

Wśród tego milczenia rozległ się z chaty Pawła wychodzący krzyk kobiecy i powtórzył się już nie kilka, jak przedtem, ale kilkanaście razy. Potem wszystko zupełnie ucichło, ludzie rozeszli się do reszty, Koźlukowie nawet do codziennych swych robót poszli, czworo dzieci tylko swawolą i śmiechem dzwoniło u stóp cmentarnego borku, i żółty Kurta, wygrzewając się na bladem słońcu wrześniowem, od czasu do czasu poszczekiwał.

W bladem słońcu wrześniowem chata Pawła stała cicha, jak grób, z drzwiami zewnątrz zamkniętemi, z oknem, zawieszonem słomianą matą i drewnianym drągiem podpartem. Wewnątrz, w ciemnej izbie, Franka ogień w piecu rozniecała. Przed kilku minutami Paweł, wychodząc stąd, surowym i ciężko z piersi wychodzącym głosem przemówił:

— Ogień rozpal i strawę zgotuj, żeby mnie, jak z rzeki wrócę, zgotowana była. Kiedy nie będzie, znów wybiję!

Zaraz potem ciemność otoczyła Frankę, ale skurczona, oniemiała, siedziała ona wśród niej na ziemi tylko minut kilka, potem zerwała się i prędko, śpiesznie ogień rozniecać zaczęła.

Trzęsącemi się rękoma wrzucając do pieca polana i suche trzaski, urywanym, świszczącym szeptem mówiła:

— Zgotuję ja tobie strawę, zobaczysz, jaka będzie smaczna! Wywdzięczę się ja tobie... Pokażę ja wam wszystkim... będziesz ty kontent z tej strawy, którą ja dziś zgotuję... Będzie tobie dobrze po niej! Poczekaj! poczekaj! na tamtym już świecie chyba spróbujesz swoje chamskie kułaki na takie, jak ja, spuszczać!

Można było mniemać, że po wszystkiem, co dziś zaszło, czuć się musi zmęczoną i osłabioną. Bynajmniej. Dziwnie żwawo i sprężyście krzątała się koło rozpalenia ognia, nalewania wody do garnka, wydobywania krup z worka. Nóż z szafki pochwyciła trochę kartofli z łupin okroiła i do gotującej się wody wrzuciła, z zapaloną trzaską do sieni poszła i stamtąd garnek z mlekiem przyniosła.

Jakaś myśl, jakieś uczucie rękom jej przysparzały siły, ciału giętkości, ruchom pośpiechu. Zdawać się też mogło, że opanowała ją niezmierna gorliwość i troskliwość o to, aby jadło, które sporządzała, jak najsmaczniejszem być mogło. To też sól do garnka z wodą i krupami sypiąc, kartofle wkładając, mleka wlewając, ciągle ze świstem w ustach i chrypką w gardle, szeptała:

— Ot, najesz się, ot, syty już będziesz... taki syty, że już nigdy się tobie nie zechce! Podziękujesz mnie! W godzinę śmierci poznasz, co to znaczy na taką, jak ja, rękę podnosić!

Czasem jednak po tym zjadliwym i triumfującym szepcie następował ponury i rozpasany:

— Kara boska! Kara boska! Kara boska na mnie za to, że sama siebie szanować nie umiałam i między chamów wlazłam! Ot, do czego przyszłam. Ot, co mnie teraz robić przyszło! Kara boska!

Wtedy blask ognia, na twarz jej padający, ukazywał w jej oczach przepaściasty, czarny, osłupiały smutek.

Kiedy już krupnik zupełnie był zgotowany, do skrzynki swojej, stojącej w kącie, poszła, otworzyła ją, ze spodu podartą i obłoconą spódnicę wywlokła i przez chwilę kieszeni jej ręką szukała. Kieszeń znalazłszy, rękę w niej pogrążyła i coś w papierek owiniętego z niej wyjęła. Potem niedbale spódnicę na ziemię upuściła, skrzynki nie zamknęła i, z papierkiem w ręku przed piec wróciwszy, to, co się w nim zawierało, do garnka wsypała.

Wszystkiego tego dokonała z prędkiemi, ale spokojniej-

szemi niż wprzódy, ruchami, w zupełnem milczeniu. Do zgotowanego i mlekiem zaprawionego krupniku biały proszek wsypawszy, dużą, drewnianą łyżką w garnku mieszać zaczęła. Mieszała zwolna pilnie, regularnie, sine usta jej były mocno zwarte, w oczach świeciło nieruchome płomię, na policzkach płonęły czerwone rumieńce...

Najniewątpliwiej czyniła to wszystko z zupełną świadomością swego celu, nawet z namysłem, bardzo jednak biegły chyba psychjatra udzielićby mógł wiadomości, czy jej psyche całkowicie w niej była przytomną. Co pewna, to, że w tej chwili żyła jedynie i wyłącznie tą chwilą i ani wspomnień, ani przewidywań nie miała. Nie było też w niej ani skrupułów, ani walki... Pierwszych przez całe życie swe nie doświadczała nigdy; przez całe życie ta składowa część uspołecznionej istoty ludzkiej, która budzi skrupuły i walki, była w niej nieobecną. Teraz, pod wpływem jednej, do ostatecznego natężenia doszłej myśli i namiętności, mniej niż kiedykolwiek powstać w niej ona mogła.

W plecach, ramionach, szyi, czuła ból od popychań i uderzeń tych, którzy stawali w obronie Awdoci, i od razów, które jej zadał Paweł. Myślała, że jest sponiewieraną, skrzywdzoną, spętaną, nienawidziła i nienawiścią tą w najpotężniejszy możliwy sobie sposób uderzyć w kogo pragnęła. Więcej nic. Najniewątpliwiej psyche jej całkiem nie opuściła, ale na tej wąziutkiej linijce, która przytomność z obłędem rozgranicza, chwiała się kaleka, pijana, bezpamiętna i — rozbolała.

Paweł, po zamknięciu drzwi i okna swojej chaty, szerokiemi krokami, z czapką ciągle na oczy nasuniętą, zmierzał do tej, w której mieszkała Awdocia. Zobaczył ją, wieszającą na płocie upraną bieliznę i, na dziedziniec nie wchodząc, z przeciwnej strony płotu przed nią stanął. Czapki nie podnosząc, głuchym głosem zaczął:

— Wybaczajcie, kumo, że taką nieprzyjemność przeze mnie mieliście... Wybiłem...

Spłakana Awdocia jednak wyprostowała się i, ręce pod fartuch chowając, powiekami mrugając, zaszeptała:

— Nic jej i bicie nie pomoże. Jej to zrobione i póki odrobione nie będzie, nic nie pomoże. Już ja dziś poznałam, że to nie boska wola, tylko ludzka robota... Dziś wieczorkiem kopytniku nagotuję i jej do picia przyniosę... kopytnik od zrobionego najlepszy, ale kiedy nie pomoże... co innego pomoże... bo to jest zrobione...

Paweł milczał długo, aż, ramionami wzruszając, odpowiedział:

— Czy ja wiem? może i twoja prawda... może to i zrobione... Ani przysięga i łaskawość nie pomogły, ani święta modlitwa i robota nie pomogły, ani bicie nie pomaga... Czyż to boska wola taka może być? Chyba to już czartowska wola i siła... chyba może... chyba kto jej tak zrobił...

Wahał się, nie dowierzał, jednak, nieszczęściem swem zgnębiony, zawodami, które wiarę jego, tak zawsze silną, po kolei niszczyły, do osłupiałości zadziwiony, nadprzyrodzone wpływy, na Frankę działające, przypuszczać zaczął.

Awdocia zaś szeptała:

— Wieczorkiem pod ogród podejdę i ciebie zawołam. Jak wyjdziesz, garnuszek z kopytnikiem tobie dam, a ty go jej wypić każesz... żeby nie wiem, jak nie chciała, każ... zły w niej krzyczeć będzie, ale ty nie zważaj i wypić każ... Ojcze nasz przy tem mów i żegnaj się, ciągle żegnaj się, i ją żegnaj... Wieczorkiem już ja tobie wszystko powiem, jak robić...

— Dobrze — odpowiedział Paweł — przynieście, nauczcie, poratujcie, i niech wam Pan Bóg wynagrodzi za to, że mnie w biedzie nie opuszczacie.

Prędko odwrócił się i ku rzece zszedł.

Nie do pracy mu jednak było dnia tego. Wyglądał tak, jakby sam ciężko był zbitym; cierpienie zagłębiło mu policzki i w grube fałdy ściągnęło czoło.

Na parę godzin przed wczesnym, wrześniowym zmrokiem matę u okna chaty swojej zdjął, drzwi otworzył i do izby wszedł.

Otwór pieca był drewnianą deską zasunięty; Franka, na łóżku skurczona i z głową w dłoniach ściśniętą, siedziała. Gdy tylko jasno zrobiło się w izbie, skoczyła, leżący na ławie kawał płótna z wetkniętą igłą schwyciła i, na uprzednie miejsce swe wróciwszy, szyć zaczęła.

Widok pieca i deski, za którą gospodynie zazwyczaj stawiają zgotowaną strawę, przypomniał Pawłowi, że od wczorajszego wieczora nic w ustach nie miał.

— Czy jest co jeść? — zapytał, a głos jego brzmiał już daleko spokojniej i łagodniej, niż przed kilku godzinami; był to głos człowieka, który, po wybuchu wielkiego gniewu, uczuwać zaczyna wielką litość, po burzy i kłótni, niby właściwej dla siebie atmosfery, pragnie pogody i zgody.

— Jest co jeść, Franka? — zapytał po raz drugi.

Głowy ani oczu nie podnosząc, mruknęła:

— Jest.

— Nalej na miskę i daj.

— Weź sam — odpowiedziała.

Odjął deskę, z głębi pieca wysunął garnek i, ukroiwszy kawał chleba, przed piecem, który mu za stół służył, w stojącej postawie jeść zaczął. Jadł bardzo powoli. Przed chwilą czuł się głodnym, teraz jednak strawa z trudnością przez gardło mu przechodziła. Czuł w niej smak nieco gorzkawy. Myślał, że to zgryzota goryczą mu usta i gardło zalała. Ona też to istotnie — ale nie smak gorzkawy, bardzo lekki — głód w nim tłumiła. Część więc tylko zawartości garnka zjadłszy, łyżkę w krupniku zatopioną z ręki wypuścił, siermięgę zdjął i, pod głowę sobie ją położywszy, z głośnem odetchnięciem ciężko zmordowanego człowieka na ławie się wyciągnął.

Franka, z głową nisko schyloną, ciągle i prędko szyła. Gdy Paweł jadł, wcale oczu od płótna nie odrywała; teraz rzucać zaczęła na niego spojrzenia badawcze, szybkie. Kiedy zobaczyła, że powieki zamknął i usnął, płótno odrzuciła, łokcie na kolanach oparła i twarz w dłoniach zanurzyła.

Cisza zupełna, przerywana tylko oddechem śpiącego człowieka, długo panowała w izbie. Z zewnątrz też dochodził do niej gwar, wzniecany przez bawiące się dzieci, pomiędzy któremi znajdował się i Chtawjan. Ulana go dziś nakarmić musiała, co zresztą zdarzało się dość często; z dziećmi jej na słońcu ciepłem dokazywał, do chaty nie przychodził.

W powietrzu trochę już szarzeć zaczęło; jeszcze dzień był, ale już kłonił się ku wieczorowi. Paweł we śnie poruszył się parę razy niespokojnie i zcicha zajęczał. Usta przytem skurczyły mu się, jakby od bólu. Nie obudził się jednak.

Franka głowę podniosła, na zcicha jęczącego popatrzała, z siedzenia zerwała się i z chaty wypadła. Ściany chaty okrążywszy, skrajem góry, za stodółkami, których tam kilka rzędem i blisko siebie stało, prędko iść zaczęła. Widać było po niej, że sama nie wiedziała, po co i dokąd idzie; niewiedzieć też dopóki i gdzieby szła, gdyby nie zobaczyła, na spotkanie jej także skrajem góry i za stodółkami posuwającej się kwadratowej, ciężkiej, łachmanami okrytej, kijem podpierającej się postaci.

— Marcelka! — krzyknęła takim głosem, jakim ktoś, długo wśród wrogów przebywający i przez nich dręczony, wita jedyną na świecie przyjemną mu istotę.

Dawno już starej żebraczki nie widziała; Marcela bowiem,

jak przedtem w sprawie z lokajem, Karolem, tak teraz w zajściu z Danilkiem niewinną się nie czuła, Pawła i Koźluków lękała się, jak ognia, a w oddalonej chacie na kącie teraz przesiadując, wolała wcale nie nawijać się im na oczy. Ciekawą jednak była, bardzo ciekawą, dowiedzieć się, co po dzisiejszej hawanturze, o której od ludzi słyszała, dzieje się z Pawłem i Franką; więc za stodołami ku ich chacie szła, w nadziei, że pokryjomu coś może zobaczy, posłyszy, Frankę samą gdzie spotka i u niej rozpyta się. Spotkała i kroku przyśpieszyła.

Franka ku niej nie szła, ale biegła; blisko niej znalazłszy się, ramiona wyciągnęła, na szyję żebraczki je zarzuciła i, całem swem wyschłem, giętkiem ciałem do niej przylgnąwszy, gwałtownym płaczem wybuchnęła.

Zdawało się, że radość, której doznała, przyjazną sobie istotę ujrzawszy, serce jej, stwardniałe i ciężkie jak kamień, zmiękczyła nagle i w łzy roztopiła.

Marcela przyciszonym głosem zawodziła:

— Bije! a co? bije i bije? Taki zdaje się dobry był, a teraz zrobił się taki zły! biedna ty, rybeńko moja, biedna! Nie do tego ty stworzona, nie do tego urodzona... Królować tobie i panować na tym świecie, a nie poniewierkę taką znosić... oj, Boże mój, Boże! a ja przyjść do ciebie lękałam się... jeszczeby mnie wybił... Moja ty złocieńka, może ty mnie wieczorkiem ze dwa kawałeczki cukru przyniesiesz... ja tu na ciebie czekać będę... okropnie cościś brzuch rozbolał, stanouniku sobie nagotowałam, ale nadto gorzki, osłodzić trzeba...

Franka nagle płakać przestała.

— Już on mnie nigdy bić nie będzie — zaszeptała.

— Czemu? — zapytała żebraczka.

— Już ja jemu tak zrobiła... że nie będzie...

— Mojaż ty mileńka, a cóż ty jemu takiego zrobiła?...

Zcicha, grubo, porywczo Franka rzuciła wyraz:

— Otrułam!

— W imię Ojca i Syna!... czy ty zwarjowała, Franka, żeby takie rzeczy gadać? — krzyknęła Marcela.

— Może i zwarjowałam, ale już on żyć na tym świecie nie będzie...

Stojącą przed nią kupę łachmanów porwało drżenie.

— Jezu najsłodszy!... Franka, nie łżesz?

Uderzyła się pięścią w pierś.

— Jak Boga kocham! — odpowiedziała.

— Ratujcie ludzie! Jezus, Marja, Józefie Święty!... Ojcze

nasz, któryś jest w niebie... Święty Antoni Padewski, Najświętsza Marjo Panno... W imię Ojca, i Syna, i Ducha... Kyrje... Alejson... — plączącym się w ustach językiem, drżąc, żegnając się, wtył się cofając, plotła Marcela, a siwe jej oczki, pod czerwoną, opuchłą powieką słupem stawały.

— Ach, szelmaż z ciebie! ach, djabełże ciebie skusił! Oj, głowa moja nieszczęśliwa! czegoż ja tu przyszła! na co ty mnie to powiedziała... jeszcze i na mnie bieda spadnie... ach, niegodziwa ty! czy w tobie duszy ludzkiej nie było!...

Wtem, od strony chaty Pawłowej, z podwórka, dało się słyszeć wołanie:

— Ulana! Ulana! Ulana!

Był to głos donośny, silny, ale bardzo dziwny, bólem zdjęty, na pomoc wołający.

Franka, w kierunku tego głosu cała naprzód się podała, a potem sama jak strzała pobiegła. Do bocznej ściany chaty przypadłszy, z za węgła jej na podwórko patrzeć zaczęła.

Paweł stał przed drzwiami, twarzą do podwórza Koźluków zwrócony, i coraz słabiej, ciszej Ulany wołał.

Dzieci bawiły się tuż za wrotami, ale na to wołanie uwagi żadnej nie zwracały; Ulana zaś z głębi komórki ozwała się nakoniec:

— Czego?

— Chadzi! — zawołał jeszcze Paweł — jeżeli Boga kochasz, prędzej... tutaj!...

Z dłońmi do piersi przyciśniętemi, chwiejąc się, do chaty wszedł; Ulana, słowami i brzemieniem głosu jego przelękniona, z obórki wypadła i prędko biegła. Filip ze swej chaty wychylił się i za żoną zawołał:

— A czego ty tam lecisz, Ulano?

— Chadzi chutko! — odkrzyknęła i do chaty braterskiej wbiegła.

Przez dobrą godzinę potem przytłumione jęki cierpiącego człowieka, z płaczliwem zawodzeniem kobiet zmieszane, rozlegały się w tej chacie, i panowała w niej zawierucha krzątających się około chorego osób.

Paweł, bez obuwia i siermięgi, w płóciennem odzieniu na posłaniu leżał, czasem jęcząc i wijąc się od doświadczanych wewnątrz bólów i mdłości, czasem uspokajając się na chwilę, i tylko nieustannie osłabłym głosem o wodę prosząc. Zamiast wody podawano mu ziółka, które Awdocia przed ogniem gotowała, przelewała, studziła, chlipiąc i za głowę chwytając

się, gdy Paweł więcej cierpiał i głośniej jęczał, gdy zaś ulgi doświadczał i przycichał, z zapałem rękoma rozmachując i gadając.

— Ot, co zgryzota może! Wszystko ze zgryzoty! Zamęczyła szelma ta biednieńkiego, przed czasem do mogiłki go wtrąciła! Może jeszcze Pan Bóg da, że odejdzie... Może ziółka pomogą!...

Gorący popiół z pieca wygarniała, w worki go wsypywała i Ulanę uczyła, jak ma niemi brata okładać. Ulanie gęste łzy po czerwonych policzkach ciekły, gorliwie spełniała wszystkie zlecenia lekarki i czasem tylko przed chatę wybiegała, aby na dzieci najrzeć.

Filip na ławie siedział nieruchomy, zmartwiony, nic do roboty nie mając, tylko gdy raz Awdocia do chorego, który gwałtownie zajęczał, przyskoczyła i przeraźliwie krzyknęła: «umiera, ot, już i umiera! hromnicę, ludzie, zmiłujcie się, prędzej hromnicę dawajcie!» — poskoczył i z chaty swojej kawał grubej woskowej świecy przyniósł.

Obce kobiety śpiesznie i z głośnym płaczem gromnicę tę zapaliły i w rękę chorego włożyły.

Odtąd zaczęło się ciągle gaszenie i zapalanie, podawanie choremu i odbieranie mu gromnicy. Ile razy cierpienia jego zwiększały się, zapalały ją i podawały; ile razy zdawały się zmniejszać, z rąk mu ją wyjmowały i gasiły. Wtedy też do izby wsunęła się Franka i, jak widmo cicha, przesunąwszy się pod ścianą, w kącie na ziemi usiadła. Nikt na nią żadnej uwagi nie zwrócił.

Raz tylko Ulana, wody z wiadra zaczerpnąć potrzebując, bo Awdocia nowe jakieś zioła gotować zamierzała — kobietę, przy wiadrze siedzącą, popędliwie z drogi usunęła.

Franka głębiej jeszcze w kąt zasunęła się i, łokcie na kolanach oparłszy, twarz w dłoniach zanurzyła. Nie podniosła jej ani wtedy, kiedy Paweł głośniej jęczeć zaczynał, a kobiety z wielkiem szamotaniem się i szlochaniem zapaloną gromnicę mu z bratem podawały, ani wtedy, gdy Danilko do izby wszedł i, półgłosem porozmawiawszy, zmieszany, z pochyloną twarzą wyszedł.

Była to już druga i straszniejsza od pierwszej godzina tej zawieruchy, w chacie Pawła panującej. W połowie trzeciej, chory rzadziej jęczeć zaczął, uspokajał się; ciężkie jego ciało, na posłaniu wyciągnięte, coraz większej nieruchomości nabierało; twarz, która ze zmroku, słabo oświetlonego palącą się na stole

lampką, wynurzała się, jak sino blada, kurczami bólu ściągnięta maska, do zwykłych zarysów swych powracała.

— Lżej tobie? — pochylając się nad nim, zapytała Awdocia.

— Lżej — słabym głosem odpowiedział.

Wtedy Ulana znowu sobie o dzieciach przypomniała.

— Pilip! — śpiesznie zwróciła się do męża — idź zobaczyć, czy dzieci w chacie... ogień zgaś, bo jeszcze sobie co złego zrobią... może Łukasz płacze, to przynieś go tutaj.

Filip wstał i z chaty wyszedł; wieczór był już zupełny; chłodnawy, pogodny, gwieździsty.

W zmroku, przez światło gwiazd rozświeconym, Filip, ku wrotom idący, zobaczył stojącą za niemi grubą kwadratową postać ludzką, a do uszu jego doszło półgłośne ochrypłe mruczenie:

— Jezu Nazareński! zmiłuj s i a nad nami! Jezu przedziwny, zmiłuj s i a nad nami! Jezu, ucieczko nasza, zmiłuj s i a nad nami!

Nie było to zwyczajne modlitewne mruczenie żebraczki; odzywały się w niem: przestrach, groza, gwałtowne wołanie do Boga o ratunek. Filip jednak nie zwrócił na nie uwagi, tem bardziej, że, przy zbliżaniu się jego, ciężka, mrucząca postać odstąpiła i w inną stronę poszła. Zaledwie jednak Filip, ku podwórku swemu zmierzając, zwrócił się ku niej plecami, wróciła także i kilka śpiesznych kroków za nim uczyniła. W ten sposób chodziła ona od trzech już blisko godzin, idąc, wracając, na jednem miejscu drepcząc, przysiadając na ziemi, gdy stare nogi posłuszeństwa jej odmawiały, i znowu podnosząc się, aby iść, wracać, dreptać...

Modliła się żarliwie, walczyła. I powiedzieć lękała się o tem, co wiedziała, i zamilczenie zgrozą ją przejmowało. W pierwszym wypadku lękała się podejrzeń, na nią także spaść mogących, kłopotów, sądów; w drugim przerażał ją straszny sąd Boży. Litość przytem czuła nad tym człowiekiem, którego jęki aż po podwórku rozlegały się czasem i uszu jej dochodziły, i ohyda ją zdejmowała dla tej kobiety, która chyba duszy ludzkiej w sobie nie miała, gdy to robiła...

— Pilip! — odezwała się nakoniec — a! Pilip!

Filipowi wydało się, że tuż za jego plecami piła jakaś imię jego wyzgrzytała. Już do chaty swojej miał wchodzić, obejrzał się.

— Czego? — zapytał.

Ze stojącej przed nim na dwu wielkich stopach kupy łachmanów wynurzyła się ku niemu wzniesiona, sfałdowana, wyrazem zgrozy wykrzywiona twarz Marceli.

— Wiedajesz, Pilip — zaczęła — wiedajesz szto?... on... znaczy Pauluk... twój dziewier... otruty!

— Co! — wykrzyknął Filip.

— Dalibóg! — zaszeptała znowu żebraczka — nie mów tylko nikomu, mój mileńki, nie mów, że to ja tobie mówiłam; bo jeszcze i mnie bieda będzie... Trucizny do jedzenia jemu wsypała... nie mów tylko nikomu, że ode mnie dowiedziałeś się, jeżeli Boga boisz się, nie mów...

Filipa nagle światło w oczy uderzyło. Dawno już myślał, że ona kiedykolwiek jaką okropną rzecz zrobi, że wszystko zrobić gotowa. A toż! Skądże Pawłowi ta nagła choroba przyszła? Marcela prawdę mówi, jak Bóg na niebie, prawdę!

Za głowę się schwycił.

I zgroza go przejęła, i uczucie triumfu: zgrozę w nim budziła dokonana zbrodnia, triumf uczuwał na myśl, że Paweł przekona się sam nakoniec, jaką biedę i jakie niebezpieczeństwo na siebie i na nich sprowadził. Przez głowę, jak błyskawica, przemknęły mu: turma, sąd, Sybir! Do turmy ją zabiorą, na Sybir wyślą i wszystkich ich od niej na zawsze wybawią.

Z miejsca porwał się, Marcelę odepchnął, krótszą drogą przez płoty i ogród ku chacie Pawła pędem biegł i do izby, w której zapanowała była chwilowa cisza, z krzykiem wpadł:

— Ot, co! ot, jak! Wiedajesz, Pauluk! ty otruty... żonka tobie trucizny zadała! słyszysz?

Tak dobrze usłyszał, że, jak sprężyną podjęty, całą górną połowę ciała z posłania dźwignął, wyprostowany usiadł i z ust jeden tylko, przeciągły, pytaniem nabrzmiały, dźwięk wydał:

— Ha?

— Otruła — powtarzał Filip — do jedzenia trucizny wsypała...

Awdocia i Ulana ręce załamały, a potem schwyciły się za głowy.

Pierwsza do chorego przyskoczyła:

— Jadł ty dziś co?

Paweł, jak był nagle i sztywnie podniósł się, tak nagle i sztywnie na posłanie opadł.

— Jadłem — zcicha odpowiedział.

— A co ty jadł?

— Krupnik — wyszeptał.

— A gdzie ten krupnik? — zaszamotała się po izbie Awdocia.

Ulana, głośno dysząc, z przerażeniem na twarzy garnek z utopioną w nim łyżką z ziemi podjęła.

— Ot, ja tu postawiłam, bo ogień rozpalać przeszkadzał...

Zdawało się, że kasztanowate jej włosy, dwoma pasmami ukazujące się z pod chustki, od zgrozy powstały nad czołem, tak stała się nagle rozczochraną. Filip, ze wzburzonemi także na głowie włosami, z latającą źrenicą u otwartych drzwi stał; za otwartemi drzwiami widać było w ciemnej sieni pobladłą twarz Daniłka i czworo drobnych dzieci, w ścisłą gromadkę zbitych, krzykami i niezwykłym ruchem zadziwionych...

Awdocia garnek z krupnikiem pod samą prawie twarz chorego podsuwała:

— Ten krupnik jadł?

Ale on już nie odpowiadał; osłupiałym, błędnym, strasznym wzrokiem po izbie wodził. Na skrzynkę Franki w kącie otwartą i na leżącą obok niej spódnicę spojrzał; papierek zmięty, nieduży, stopami krzątających się po izbie osób na środek jej wyciągnięty, zobaczył; coś sobie przypomniał i powieki zamknął. Pierś jego podnosiła się wysoko, ciężko, ale ze ściśniętych ust nie wydobył się dźwięk najlżejszy. Daremnie Awdocia i Ulana zapytania swe i badania w same ucho mu wykrzykiwały, daremnie go za koszulę i ręce targały; z czołem spotniałem, z zaciśniętemi usty, ze szczelnie zamkniętemi powiekami, leżał jak martwa i ciężka kłoda, zdając się nie czuć i nie słyszeć nic. Tylko szybki i ciężki oddech upewniał o tem, że żyje, ale kobietom znowu przez głowy przemknęła myśl, że już kona, a ponieważ tym razem, nie od zwykłej choroby, lecz od trucizny w mniemaniu ich konał, więc zgrozą zdjęte wyprostowały się, przeżegnały i pacierze ciche mówić zaczęły.

W tej ciszy, przerażonym szeptem kobiet i trzaskiem ognia przerywanej, zdala, z przeciwległego brzegu rzeki doszło basowe, przeciągłe, w jednostajnych odstępach czasu po wiele razy rozlegające się wołanie:

— Po-rooom! Po-o-o-rom! Po-ooo-rom!

Filip, po raz pierwszy może odkąd prom posiadał, na wołanie to żadnej uwagi nie zwracał, ale Daniłko natychmiast z sieni wyskoczył, a po minucie wrócił i, głowę do izby wsuwając, głośnym szeptem zawołał:

— Pilip! chodź prędzej! Uradnik!

Zdala znane mu dobrze konie policyjnego urzędnika, i głos woźnicy jego poznał.

Filipa jakby coś w górę podrzuciło, tak podskoczył i w mgnieniu oka z izby wypadł, a potem, szost z pod ściany chaty swojej porwawszy, bez czapki, cały naprzód podany, z góry zbiegał.

— Ot, chwała Bogu — wołał — ot, Pan Bóg miłosierny jego tu zesłał! Ot, w czas przyjechał!

Nic w tem dziwnego nie było, że teraz przyjechał, bo w tem miejscu przez Niemen przeprawiał się bardzo często, robotę urzędową po obu stronach rzeki do spełnienia mając. Ale Filip zrządzenie samego Boga w tem upatrywał i z szostem, wysoko nad głową mu sterczącym, ku rzece pędził; Daniłko z takiem samem narzędziem za nim biegł. Wkrótce też na rzece stalowej, w zmroku, od światła gwiazd przezroczystym, czarny prom z dwiema czarnemi postaciami ludzkiemi, to pochylającemi się, to prostującemi, i suche, czarne linje ukośne w wodzie zanurzającemi, cicho, szybko, widmowo wszerz rzeki pomykał.

Izba Pawła zaś na krótką chwilę opustoszała. Ulana do chaty swojej pobiegła, aby starsze dzieci do snu ułożyć, a najmłodsze choćby zobaczyć i ogień zgasić; Awdocia w przeciwną stronę, po ziółko od zadanego, najprędzej jak mogła, podreptała. Miała jedno, tak wyborne i doświadczone, że gdyby niewiedzieć co komu zadanem było, zadane z ciała wyprowadzało. Gdyby była wprzódy wiedziała, od czego Pauluk chory, byłaby je już dawno zgotowała; teraz zato po nie biegła.

Gdy w izbie zrobiło się pusto i cicho, Paweł powieki podniósł.

— Franka! — słabym głosem wymówił.

W kącie, pomiędzy wiadrem z wodą a gospodarskiemi i rybackiemi narzędziami, dał się słyszeć lekki szelest, i cicha, skurczona, przygarbiona, z głową i czołem owiniętemi płócienną szmatą, jak ponure, zgnębione widmo, wychyliła się z niego Franka. Parę kroków naprzód postąpiła i, z rękoma, kurczowo u piersi koszulę ściskającemi, z twarzą schyloną i wzrokiem utkwionym w ziemię, stanęła.

— Franka — słabym i powolnym głosem zaczął Paweł — czy to prawda?

Milczała.

— Franka — przemówił znowu — ty nigdy nie łgała... Powiedz i teraz sprawiedliwie, czy to prawda?

— Prawda — odpowiedziała.

Paweł znowu zamknął powieki.

Nie jęknął przecież, nic nie powiedział, tylko obfitszy pot czoło mu oblał, i wargi zwarły się jeszcze silniej.

Franka stała ciągle na jednem miejscu, nieruchomie w ogień zapatrzona. W wyrazie jej oczu nie było ani obawy ani żalu. Nie miały one w tej chwili żadnego pewnego wyrazu. Malowało się w nich jakby bezmyślne osłupienie, czasem tylko urągliwemi światełkami przerywane.

Wtem w sieni ozwał się chód przyśpieszony; Filip, bez czapki, zdyszany, z roztarganemi włosami i uroczystym wyrazem twarzy, do chorego przystąpił.

— Nie gniewaj się, dziewier — stanowczym głosem wymówił — zaraz uradnik tu przyjdzie szelmę tę zabierać...

Słowa te jakby z ciężkiego snu Frankę przebudziły; zatrzęsła się całem ciałem, przeraźliwie krzyknęła i rzuciła się ku drzwiom. Ale zastąpiła jej drogę Ulana, z niemowlęciem swem na ręku powracająca, a po kilku sekundach wszedł do izby ten sam człowiek, w ubraniu z połyskującemi guzikami, który przed dwoma laty, na bryczce siedząc, o zginionej podówczas France z Pawłem rozmawiał.

Przez kilka minut panowały tu gwar głosów i zawierucha stąpań ludzkich. Filip, Ulana, Awdocia, która z ziółkiem swem wróciła, razem mówili, opowiadali, świadczyli, garnek z krupnikiem pokazywali, Frankę, która na całem ciele drżąc, kilka razy jeszcze rzucała się do drzwi, zatrzymywali i w głąb izby popychali.

Policjant słuchał, dziwił się, oburzał, do Pawła podszedł i pytania zadawać mu począł. Ale Paweł, z zamkniętemi oczyma, z zaciśniętemi wargami, w całej długości swego ciężkiego ciała na pościeli wyciągnięty, jak kłoda nieruchomy był, jak grób milczał i wtedy dopiero podniósł powieki, kiedy uradnik rozkazującym głosem do Franki przemówił:

— No, odziewaj się, a prędko... na spacer pojedziem...

Potem Filipowi mówił jeszcze, że do wyższego urzędu dziś wieźć ją już zapóźno, więc ten miły ptaszek u niego przenocuje. Do miejsca, w którem mieszka, niedaleko, cztery wiorsty, a on tyle dziś miał roboty, że chce choć kilka godzin spokojnie przespać. Jutro zato raniutko dalej ją powiezie.

— Już tylko ją stąd zabierzcie! Zmiłujcie się, zaraz zabierzcie!

Paweł, najlżejszego poruszenia nie czyniąc, rozmowy dwóch

mężczyzn słuchał, a oczyma za Franką wodził. Na całem ciele drżąca, cicha, jak grób, spełniała rozkaz urzędnika i ubierała się. Czyniła to nawet z rozmysłem i niejakiem staraniem. Wcale na obecność w izbie kilku mężczyzn nie zważając, zmieniła samodziałową spódnicę na tę miejską, z obłoconemi falbanami, którą podniosła z ziemi, włożyła pończochy, nowe buciki, kaftan, watowaną algierką i, z głowy płócienną szmatę zdjąwszy, wełnianą chustkę na nią zarzuciła. Wtedy uradnik wziął ją za ramię i ku drzwiom poprowadził.

Gdy oboje przez izbę przechodzili, Paweł mógł widzieć wyraz jej spojrzenia. Szła cicho i bardzo posłusznie, na całem ciele drżała, a oczy jej, rozszerzone i nieruchome, wyrażały śmiertelny przestrach.

Filip urzędnikowi aż do bryczki towarzyszył, kobiety zbliżyły się do chorego.

— Lepiej tobie, Pauluk? — pytały.

— Już i zupełnie dobrze — odpowiedział.

Kłamał.

Za mało trucizny przełknął, aby od niej umrzeć, za wiele, aby tak rychło wyzdrowieć. Najdolegliwsze cierpienia już minęły, bo organizm jego, silny i zdrowy, z zabójczym pierwiastkiem skuteczną walkę toczył, a dopomogły mu w niej trochę i leki Awdoci. Ale wewnątrz doświadczał jeszcze bólów, które jednak mógł już utaić.

— Napij się ziółek! — prosiła Awdocia.

— Dawaj! — odpowiedział i z podanego sobie garnka wypił tyle, ile kazała.

— Dobrze? — zapytała stara lekarka.

— Dobrze, tylko bardzo spać chce się.

— To i chwała Bogu, że spać chce... to i zdrów będzie — zadecydowały kobiety, on zaś odezwał się:

— Dziękuję ja wam, moje dziatki, i za pomoc, i za ratunek, i za dobre serce... Teraz już spać idźcie, odpocznijcie... bardzo przy mnie napracowali się...

Awdocia odezwała się, że nocować przy nim będzie.

— Nie trzeba mnie, kumo, ciebie — odpowiedział — nikogo mnie nie potrzeba... Zgaście ogień i idźcie sobie... sen mnie nadto mroczy...

Zupełnie uspokojone, zgasiły w piecu ogień, na stole lampkę i wyszły.

Kiedy kroki ich i przyciszone rozmowy w oddaleniu umilkły, Paweł z głośnem stęknięciem na posłaniu się dźwignął,

nogi spuścił, usiadł i, z twarzą nisko zwieszoną, nieruchomy siedział.

Dlaczego tak uporczywie wszystkich z chaty wyprawiał? Dlaczego pragnął pozostać sam? Dlatego, aby w samotności i ciszy zastanawiać się nad tem, co mu w głowie zamajaczyło było już wtedy, gdy Franka, przez urzędnika ku drzwiom prowadzona, przechodziła tuż prawie obok posłania jego, drżąca, posłuszna, ze śmiertelnym przestrachem w oczach. Zamajaczyła mu wtedy w głowie myśl: «ot, już zgubiona ona na wieki! Do turmy, na Sybir pójdzie, i nijakiego wybawienia już dla niej, ani na tym, ani na tamtym świecie nie będzie!» A potem, jakby echo, zdala, zdala dochodzące, przypłynęły doń wyrazy, które niegdyś sam przed ołtarzem w kościele wymawiał, «a iż cię nie opuszczę aż do śmierci».

Długo w ciemnościach, napełniających izbę, panowało grobowe milczenie, aż po godzinie prawie rozległy się wśród niej półgłosem wymówione słowa:

— Nie opuszczę ciebie aż do śmierci!

Jednocześnie prawie błysnął silny płomyk roznieconej zapałki; Paweł, chwiejąc się, postąpił kilka kroków i lampkę zapalił.

W oknach Koźluków było już zupełnie ciemno, wszyscy tam w całej wsi spali. Paweł ukląkł przed łóżkiem i, aż do ziemi zgięty, zaczął z pod niego ciężki jakiś przedmiot wyciągać. Z trudnością mu to szło, kilka razy prostował się i odpoczywał, stękał. Cierpiał jeszcze dotkliwie i osłabionym czuł się, ale tak samo, jak przed kilku godzinami, działo się z Franką, jedno jakieś uczucie, jedna myśl podniecały mu nerwy, głuszyły bóle, wzmagały siły.

Po kilku minutach całkiem z pod łóżka wysunął sporą skrzynkę, żelazem okutą, na klucz zamkniętą. Kluczem, którego w kieszeni siermięgi swej wyszukał, otworzył ją i naprzód odzienie różne letnie i świąteczne wyrzucać z niej zaczął. Ruchy jego stawały się coraz niecierpliwszemi i śpieszniejszemi. Czasu do stracenia nie miał. Tej nocy, jak najprędzej, albo już nigdy.

Buty wciągnął, siermięgę włożył i śpieszył, śpieszył. Noce były już wprawdzie dość długie, ale cztery wiorsty przed świtem ujechać musiał... Czem ujechać? Czy konia Filipa pocichu ze stajenki wyprowadzi i do woza zaprzęgnie? Mógłby to uczynić, bo stajenki, niezamykanej nigdy, Kurta tylko strzegł, a Koźlukowie nie obudziliby się pewno i nie usłyszeli... Coś go jed-

nak od tego powstrzymywało; nie zdawał sobie sprawy, co mianowicie, ale do używania w tym wypadku Koźlukowego konia wstręt czuł.

— Jak Żydzi na Hamana, tak oni na nią zawzięli się — myślał — prawda, że i jest za co, ale kogo ona najwięcej skrzywdziła? Mnie? A toż mnie swoją krzywdę darować można. I co mnie takiego stało się? Nie umrę!

Czuł, że nie umrze. Pomimo nieustających jeszcze cierpień, wiedział, że nie takiemiby one były, gdyby miał umrzeć. Jednak konia Koźluków brać nie chciał. Czółnem jeszcze prędzej tę krótką przestrzeń przepłynie, a od brzegu rzeki do mieszkania uradnika ćwierć wiorsty może.

Czapką głowę okrył, lampkę zgasił, w sieniach omackiem wiosło o ścianę oparte znalazł, chatę z zewnątrz zamknął i z góry ku rzece zszedł.

Kilka godzin minęło, późny świt jesienny na niebie pogasił już gwiazdy, a nad ziemią i wodą kłębił mgły wilgotne i chłodne, kiedy czółno z dwojgiem siedzących w niem ludzi do brzegu pod wsią przybiło. Czy siły zawiodły Pawła i, wiosłując słabo, płynął on powoli, że tak nieprędko powracał? Ale też nie powracał sam jeden; powoli, choć szerokim krokiem, na górę wchodził, głowę schyloną miał i policzki wklęsłe, bardzo blade. Za nim, w znacznej od niego odległości, szła wątła, skurczona kobieta w watowanej algierce, z twarzą całkiem prawie niknącą w fałdach chustki.

Kiedy on drzwi chaty swojej otworzył i do sieni wszedł, ona stanęła i za progiem pozostała. Zwrócił się ku niej twarzą i rzekł:

— Chodź!

Próg przestąpiła, przez sień za nim przeszła, do izby weszła i u drzwi stanęła znowu, tak nieruchoma, jakby ślepą była, albo też, co począć i dokąd iść nie wiedziała.

Paweł, ciężko na ławę opadając, znowu rzekł:

— Rozbierz się!

Chustkę tylko powolnym ruchem z głowy zdjęła, odkrywając czarne, rozpuszczone, roztargane włosy i twarz woskowo żółtą, ze zsiniałemi usty i spuszczonemi powiekami. Ramiona jej wzdłuż ciała opadły; wyglądała zupełnie tak, jak winowajcy czasem, przed obliczem sądu stojący wyglądają; wszystko w niej wyrażało straszny, druzgocący ciężar wstydu.

Po chwili powieki jej drgnęły kilka razy i podniosły się, a oczy, spotkawszy się z oczyma Pawła, zaczęły nabrzmiewać

łzami. Bez słowa, cicho, z oczyma po brzegi nabrzmiałemi łzami, dwa kroki uczyniła i, również o kilka kroków od Pawła oddalona, zgięła się przed nim całem ciałem, szybko a tak nisko, że włosy jej końcami swemi ziemi dotknęły. Tak za doznane dobrodziejstwa dziękując, lub o nie prosząc, kłaniają się czasem chłopi i chłopki. Widziała to pewno nieraz, i teraz, w ten sam sposób ukłoniwszy się przed Pawłem, szybko zwróciła się ku drzwiom i do sieni wyszła.

On ręką po oczach powiódł i, mokrą dłoń od nich odjąwszy, ciężką głowę na niej wsparł. Tak kilka minut przesiedział; Franka z sieni nie powracała. Wstał, drzwi otworzył i w ciemnym kącie ujrzał ją, z czołem do ściany przyciśniętem stojącą.

— Chodź! — rzekł znowu.

Posłuszna, weszła i przed piecem, twarzą do izby zwrócona, stanęła.

Paweł, na ławie usiadłszy, powoli, słabym głosem mówić zaczął:

— Jeszcze i ten raz wyratowałem ja ciebie, choć ty wielkiego grzechu dopuściłaś się... ale żebyś tam została, tobyś już na wieki zginęła, a tutaj może jeszcze i upamiętasz się, może choć teraz złości swojej przelękniesz się i do upamiętania przyjdziesz... Pożałowałem ciebie, oj, jak pożałowałem! a do tego i przysięgałem, że do śmierci ciebie nie opuszczę. Przysięga nie żart. Kiedy przysiągłem, że nie opuszczę, to nie opuściłem... i do śmierci tak, jak przysiągłem, nie opuszczę...

Trudno mu było mówić; jednak widząc, że nieruchoma, osłupiała stoi, dodał jeszcze:

— Nu, czego tak stoisz?... ogień rozpal, bo w chacie zimno i herbaty zgotuj dla siebie samej i dla mnie... Rób, co chcesz, i co potrzeba. Taka sama ty tu gospodyni, jak i wprzódy była.

Jakiej natury siłę zawierały w sobie ostatnie słowa jego, że niby kula ognista, niby pocisk potężny, w samą zda się pierś tej kobiety ugodziły? Zachwiała się na nogach, kolana ugięły się pod nią i czerwonym rumieńcem naprzód, a potem łzami oblana, na ziemię upadła.

Nie krzyczała, nie łkała, nie jęczała; przeciwnie, z czołem do ziemi przyciśniętem, przez minut kilka leżała, jak grób cicha, i to, że żyła, zdradzały tylko rytmiczne ruchy jej pleców, wysoko podnoszących się i opadających w płaczu rzęsistym, ale tak cichym, że najlżejszego szmeru nawet z niej nie wydobywał.

Po kilku minutach zerwała się i ogień rozpalać zaczęła.

Czyniła to cicho, szybko, gorliwie. Paweł na pościeli z zamkniętemi oczyma leżał, na ławie zaś, niczem nie przykryty, w grubej koszuli, która mu pierś i nagie nogi osłaniała, spał mały Chtawjan. We wczorajszej zawierusze, snem znużony, wlazł tu, zasnął i spał dotąd, od chłodu skurczony. Przechodząc, Franka go spostrzegła i chustką, którą przedtem na głowie miała, okryła. W kwadrans potem, zielonawą szklankę z herbatą ku Pawłowi niosła, ale zanim mu ją podała, dziwnem wahaniem zdjęta, na środku izby stanęła. Myślała, że będzie lękał się pić to, co mu ona podawała. Ale on nie lękał się; rękę wyciągnął, szklankę wziął i z pożądliwością nawet, przez osłabienie i zmęczenie wywołaną, herbatę tę pić zaczął.

Franka zdala na pijącego patrzała, patrzała, aż nagłym ruchem obie dłonie do twarzy przycisnęła tak mocno, jakby pragnęła, aby do niej przyrosły i na wieki już przed nim zasłoniły.

— Napij się herbaty, poduszkę weź i zaśnij — odezwał się Paweł, i oczyma na jedną z dwu leżących na łóżku poduszek wskazywał.

— Nie trzeba, i algierkę pod głowę podłożywszy, wyśpię się — cicho odpowiedziała.

Paweł oczy zamknął. Śmiertelne znużenie malowało się na jego twarzy. Wkrótce głęboko zasnął.

Koźlukowie o powrocie Franki dowiedzieli się wtedy, gdy Ulana, zaraz po obudzeniu się, przypomniawszy sobie chorobę brata i chcąc dowiedzieć się, co się z nim dzieje, przez okno naprzód do izby jego zajrzała. Zajrzała, rękoma plasnęła i jak strzała puściła się do swojej chaty.

Na posłaniu zobaczyła głęboko uśpionego brata, a na ławie, z głową na zwiniętej algierce złożoną, z oczyma szeroko otwartemi, leżącą Frankę. Czary, czartowskie sprawy i różne inne straszne rzeczy do głowy jej przyszły. Z krzykiem śpiącego jeszcze męża obudziwszy, o widocznym cudzie mu opowiadała. Ale Filip, chwilkę tylko pomilczawszy, domyślił się wybornie, jakie w tym niespodziewanym powrocie Franki do domu męża czary i cuda działały.

— Twój brat sfichsował! — z gniewem zawołał, a gdy Ulanie domysł swój powtórzył, ona, płaczem wybuchając, powtarzała także:

— Sfichsował! ze wszystkiem taki sfichsował! Czy ja kiedy spodziewała się, żeby on takim durniem i takim chfiksatem był?

Innych nazw dla postępku Pawła nie mieli; gniewali się na niego, sarkali, jak struci chodzili; Filip nawet układał projekt jechania do miasta i oskarżenia przed wyższym urzędem tak Franki, jak uradnika, który ją z aresztu wypuścił; chodził nawet do starszych gospodarzy i rady ich w tym celu zasięgał; ale gdy to jakoś zwlekało się dni dwa, trzy, ostygał zwolna i Ulana też zastanawiać się nad tem zaczęła, że Pauluk ją, kiedy baćki zmarli, na ręku swoich wyhodował, pół ogrodu swego w posagu jej dał, to i to dla niej zawsze robił, pożyczał, pomagał, radził... Nadal też nieraz potrzebnym być mógł, oj, i jak potrzebnym przy tylu dzieciach, a ziemi kawałku niewielkim! Nad tem wszystkiem medytując, płakała i mężowi mówiła:

— A może już, Pilip, wszystkiemu pokój dać! Może niech już i po jego woli będzie! Na co nam ją prześladować? Niech już ją sam Pan Bóg karze! Chaty i dzieci pilnować będziem... a Paulukowi już lepiej nie sprzeciwiajmy się...

Filip sarkał, nie zgadzał się, codzień pojechaniem do miasta wygrażał, ale nie jechał i żadnych innych kroków nie robił; wahał się także i namyślał. Dobroć szwagra pamiętał i zgody z nim żałował. W gniewie, przeciw France, w nienawiści dla niej. Kożlukowie ostygli tem łatwiej, że nie widywali jej zupełnie. Awdocia, pomimo oburzenia, w niej przez postępek Pawła wznieconego, nie wytrzymała i poszła raz dowiedzieć się, co z nim biedniełkim dzieje się. Opowiadała, że zdrów on jest, tylko jeszcze bardzo słaby, ciągle leży i z chaty nie wychodzi. Franka przed nią tak w kącie sieni schowała się, że jej wcale widzieć nie mogła; ale Paweł zdrów i nawet wesoły. Powiedział jej, że jeszcze dni dwa, trzy odpocznie sobie, a potem na rzekę pójdzie. W okno też spoglądając, mówił, że piękna pogoda niedługo potrwa i prędko, prędko już zaczną się wielkie wiatry i deszcze. Kiedy zaś mu o France wspomniała, głową pokiwał i rzekł:

— Już ona teraz nie taka, jak była! już upamiętała się i dobra będzie... jak Bóg jest na niebie... teraz już dobra będzie!

Tak myślał istotnie, takie stopniowo powstawało w nim przekonanie, gdy, na posłaniu wyciągnięty, po wielkich jakby trudach odpoczywając, wzrokiem ścigał jej ciche teraz, nieśmiałe, prawie pokorne ruchy. Nigdy nie zbliżała się do niego, nawet ilekroć mu co podawała, aby nie zbliżyć się, ramię w całej długości wyciągała. Nigdy też pierwsza do niego nie prze-

mówila, a gdy on na rozmowę ją wyzywał, odpowiadała cicho, grzecznie, ale urywanemi słowy i ze spuszczonemi powiekami.

Pierwszego zaraz wieczora, po powrocie swym od uradnika, grube radno na ławie zasłała, algierkę swą pod głowę sobie położyła i, wpół tylko rozebrana, kawałkiem starego kilimka okryta, do snu się ułożyła. Daremnie kilka razy jej powtórzył, aby jedną z poduszek pod głowę wzięła, albo i na łóżko położyła się, a on będzie na ławie spał.

Na pierwszą propozycję krótko, ale stanowczo odpowiedziała:

— Nie chcę, nie trzeba!

Na drugą ze słabym odgłosem dawnej swej niecierpliwości sarknęła:

— Jeszcze czego!

Kiedy Chtawjan naparł się raz, aby spać przy niej, naprzód perswadowała mu, aby na łóżko wlazł i przy «tatce»» spał, a potem Pawła poprosiła, aby dziecko do siebie wziął. W prośbie tej dźwięczało wyraźnie coś nakształt przerażenia.

Zdawać się mogło, że myśl o przytuleniu się do niej dziecięcego ciałka obawę w niej budziła.

Obawa też, przestrach nawet, ze zgrozą graniczący, malowały się często na jej twarzy, bez żadnego bezpośredniego powodu, pod wpływem jakby myśli, powstających w jej głowie, czy widm, przed oczyma majaczących. Robiła wszystko, co tylko w chacie do zrobienia było: zamiatała, gotowała, o świcie albo o zmroku, dlatego pewno, aby nie spotykać się z ludźmi, po wodę z dzbankiem chodziła — z dzbankiem, bo wiadra udźwignąćby nie mogła. Raz nawet chleb upiekła; niekiedy też do szycia się brała. Wszystko to spełniała prędko, cicho, gorliwie; ale często wśród pracy ustawała nagle, jakby zniemożona, albo strasznemi myślami opanowana i przed ogniem, albo pośrodku izby, z garnkiem czy miotłą w ręku nieruchoma stawała, w przestrzeń wlepiając czasem ponure i rozżalone, częściej daleko przerażone oczy. Raz nawet wydała krzyk przestrachu.

— A co? — twarz od ściany odwracając, zapytał Paweł.

Opamiętała się, jakby oprzytomniała, i niechętnie odrzekła:

— Nic. Bardzo przelękłam się...

— Czego? — zapytał jeszcze.

Nie odpowiedziała i dalej izbę zamiatać zaczęła.

Jemu od tej pokory jej i cichości serce w piersi tajało.

Nakoniec poprawiła się! Nakoniec przezwyciężył on tego djabła, który w niej siedział! Ale tem większy zdejmował go żal nad nią.

— Franka — odezwał się raz — czego ty, jak ten zbity pies, uszy tulisz i w oczy mnie nie patrzysz? Ja nie gniewam się na ciebie i bardzo kontent, że ty już zrobiłaś się dobra. Gadaj sobie jak dawniej. śmiej się, choć i dokazuj. Wesołość nie grzech!

Ona słuchała, zrazu z niepokojem, potem ze zdziwieniem, aż odwróciwszy się prędko, wierzchnią stroną ręki oczy sobie zakryła i krótko, głęboko załkała.

Innym razem, leżąc, zawołał ją do siebie, a gdy, jak zwykle, o dwa kroki od niego stanęła, przemówił:

— Czego ty boisz się, Franka? Czego ty czasem taka przestraszona, jakby umarłego przed sobą widziała? Może ty kary boskiej za wszystko, co złego zrobiłaś, boisz się? Nie bój się! Już ja tobie mówię, nie bój się! Wyspowiadasz się! Pana Boga przeprosisz, to i daruje.

— Głupstwo Pan Bóg! — zcicha sarknęła; on zaś, sprzeciwiać się jej w tej chwili nie chcąc, mówił dalej:

— Nie stara jeszcze jesteś, dobrem życiem złe odpokutujesz i wynagrodzisz. Ot, i ja zaraz zupełnie już wyzdrowieję, Koźluków za ciebie przeproszę... będziem sobie wszyscy żyli w zdrowiu, zgodzie i dobrem powodzeniu... a potem Chtawjan podrośnie... ryby ze mną łapać zacznie.

Przy ostatnich wyrazach uśmiech rozszerzył mu usta, rozpłynął się po całej bladej i chudej twarzy i znowu oblał czoło blaskiem, do księżycowego światła podobnym.

Ona słuchała; czerwone, jak krew, rumieńce występowały na jej policzki; aż nagle, wtedy właśnie, gdy, chcąc ją do siebie przycisnąć, rękę ku niej wyciągał, ku drzwiom rzuciła się, do sieni wypadła i przez parę godzin stamtąd nie wracała.

W sieni jednak nie siedziała, z chaty się wyślizgnęła, boczną ścianę jej okrążyła i na skraju góry, pomiędzy uschłemi łodygami łopuchów i ostów usiadła. Siedziała tam od kwadransa może, kiedy usłyszała za sobą kroki, z szelestem suche łodygi i trawy łamiące.

Z za jednej ze stodółek wyszła Marcela.

— Franka! — odezwała się zdaleka i nieśmiało.

Odwróciła głowę.

— Chodź! — odpowiedziała.

Żebraczka zbliżała się powoli. Nie była pewną, czy Franka

wie o tem, że ona ją przed Filipem wydała. Trochę lękała się jej gniewu, ale bardzo też pragnęła dowiedzieć się od niej o wszystkiem, co zaszło, i stosunki swe z nią korzystne znowu zawiązać.

— Jakżeż ty, koteczko, masz się? — zaczęła — chwała Bogu, że tu siedzisz... a ludzie już Bóg wie, co gadali...

— Ludzie nic nie wiedzą — porywczo sarknęła Franka — ja jedna wszystko wiem... ludzie głupi, źli, niegodziwi... on jeden dobry...

— Kto, serdeńko, kto taki dobry? — zapytywała, do najwyższego stopnia rozciekawiona, Marcela.

— Siadaj, to wszystko opowiem.

Uszczęśliwiona zaproszeniem, kupa łachmanów wnet obok niej w ostach usiadła; Franka zaś, jakby jej to, co w sobie miała, strasznie ciężyło, jakby ten ciężar wyrzucić z siebie pragnęła, dawną swą mową, prędką, ognistą, niepowstrzymaną, mówić zaczęła.

Opowiadała o tem, jak uradnik ją, do swego mieszkania przywiózłszy, w zimnej śpiżarni zamknął, i jakie ona tam męk przechodziła, strasznie, okrutnie, niewymownie bojąc się tego, o czem wiedziała, że spotkać ją teraz musi. Do turmy ją teraz zamkną, przed sądem postawią, na Sybir, do katorgi wyślą... Męża przecież truła, a za to kara jest wielka, długa, wiedziała o tem dobrze. W śpiżarni było ciemno, ale omackiem szukała na podłodze i ścianach jakiego sznurka i gwoździa; wszystko, zdaje się, oddałaby za kawałek sznurka i gwóźdź, na którym powiesiéby się mogła i od wszystkich, od wszystkiego uciec... na tamten świat, gdzie jej już nikt dopędzić nie może, uciec. Wtem, kiedy tak męczyła się, w zimnie i ciemności tarzała się po ziemi i o ścianę głową tłukła, głos Pawła posłyszała. Uszom swoim wierzyć nie chciała, a jednak był to głos jego. Do okna uradnika stukał i prosił, aby mu drzwi otworzył. Uradnik wstał, Pawła wpuścił, świecę zapalił; ona zaś, przez szczelinę drzwi światło zobaczywszy, do tej szczeliny skoczyła i wszystko widziała, wszystko słyszała...

— Coś ty widziała, moja mileńka? co ty słyszała? gadaj! — od ciekawości, a może i od wzruszenia trzęsąc się, zapytała Marcela.

Widziała ona i słyszała, jak naprzód Paweł uradnikowi mówić i przekładać zaczął, że ona, Franka, jest niewinna, że to tylko takie plotki i ludzkie gadania na nią padły, że on przecież nie otruty, żyje i nijakiej pretensji do niej nie ma.

— Wypuśćcie ją, panie, i mnie oddajcie — prosił.

Aż uradnik, trochę może i z ukontentowania, że ktoś mu kłania się i prawie do nóg pada, nie wytrzymał dłużej i zgodził się ją wypuścić. Śmiał się przytem tak, że aż za boki brał się.

— Ot, dureń — mówił — takiego durnia jeszcze chyba na świecie nie było!

A Paweł, na śmiech jego wcale nie zważając, o nią tylko się dopominał.

— To i gdzież ona, panie? — zapytywał. — Wypuśćcie ją i mnie oddajcie.

Uradnik śpiżarnię otworzył i ze świecą musiał jej szukać, bo ona, Pawła, idącego ku drzwiom zobaczywszy, za beczkę jakąś schowała się i tego tylko pragnęła, aby pod ziemię zapaść się i zniknąć. Ale Paweł ją z ziemi podniósł, za rękę wziął i do czółna swego poprowadził. Ot, jak to było! Ot, co ona widziała i słyszała.

Umilkła nakoniec, a Marcela zrazu oniemiała, później szeptać zaczęła:

— Oj, dobryż on, dobry! Jak Pan Jezus dobry! A ty, Franka, szczęśliwa...

— Niech takie szczęście djabli wezmą! — sarknęła.

— Nie znasz ty swego szczęścia i nie rozumiesz... głupia... — zaczęła Marcela, ale Franka gwałtownie jej przerwała:

— Zabił on mnie tą swoją dobrocią, zamordował tak, że już żyć na świecie nie mogę... z samego strachu żyć nie mogę...

Wstrzęsła się całem ciałem i zaszeptała:

— Jezus Marja! Jezus Marja! Jezus Marja! Żebym mogła, to, zdaje się, zabiłabym ją, jak tę wściekłą sukę!

— Kogo? — zapytała przestraszona żebraczka.

Franka szeptała dalej:

— Stoi mnie przed oczyma i stoi... gdzie obrócę się, wszędzie ją widzę... a taka straszna!

— Któż to taki? mojaż ty mileńka! Któż to tak ciągle przed oczyma tobie stoi?

Franka spojrzała na nią zdziwionym wzrokiem.

— A jaż sama! — odpowiedziała.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha... — zaczęła Marcela.

Franka za ramię ją pociągnęła.

— Nic ty nie wiesz i nic nie rozumiesz — zaszeptała — samej siebie ja boję się... tego, co zrobiłam, boję się... od tego momentu, kiedy przez szczelinę widziałam i słyszałam, jak on za mnie uradnika prosił, cośćiś mnie takiego zrobiło się, że już żyć

nie mogę... Gryzie mnie tak we środku, spać nie daje... straszy... Siebie samej ja boję się i jego boję się... gorzej teraz jego boję się, niż wtedy, kiedy bił... oczu na niego podnieść nie mogę... wstyd taki!

— Porzuć! uspokój się! — perswadowała żebraczka — szanuj jego teraz, miłuj, jak u Pana Boga za piecem w chacie sobie siedź... i wszystko będzie dobrze.

Franka przecząco wstrząsnęła głową.

— Już ja ją znam... ona jak ta pijaczka... kiedy trzeźwa, to i dobrze, a jak kiedy upije się, to znów jemu co takiego zrobi...

— Kto? co ty wygadujesz, Franka? Kto taki?

— A jaż! — ze zdziwieniem znów odpowiedziała i po cichu, takim głosem, jakim bardzo słabi ludzie przemawiają, skarżyć się zaczęła:

— Nie dobrze mnie... oj, moja Marcelko, tak mnie nie dobrze, że już i żyć nie mogę... Jakie już moje życie na świecie! Ręce i nogi mam związane, boję się znowu licha jakiego narobić i tego życia boję się, co mnie przy nim czeka, i wszystkiego boję się... Nic mnie już niemiłe, niczego już nie chcę... Jak w grobie zakopana...

A po chwili milczenia poskarżyła się jeszcze:

— Tak mnie nie dobrze, moja Marcelko, tak mnie źle... tak mnie we środku coś je... smokcze... ssie...

Z trudnością z ziemi wstała... Wiatr chłodny od rzeki powiał, wstrząsnęła się.

— Zimno!

— Ale — potwierdziła Marcela — jesień już... a ty, moja koteczko, moje złotko, kawałek słoninki mnie daj, bo nie mam czem ciepłej strawy okrasić...

— Ludzie gadają — gdzieś daleko za rzekę patrząc, zaczęła Franka — że kiedy człowiek jaki wiesza się, wtedy zawsze wielki wiatr powstaje...

— A gadają! — potwierdziła Marcela i mówiła dalej: — może jutro Paweł na rzekę już pójdzie, to ja do ciebie, moja mileńka, przyjdę...

— Aha! jutro!

— A słoninki dasz?

— Jutro! — powtórzyła Franka i, nic już nie mówiąc, z rękoma u piersi zaciśniętemi, skurczona, przez gęstwinę uschłego zielska do chaty odeszła.

Gdy do izby weszła, Paweł przy stole na ławie siedział,

a mały Chtawjan, u kolan jego zwieszony, opowiadaniem jakiemś, z głośnym śmiechem zmieszanem, na całą izbę dzwonił.

— A gdzie byłaś? — zapytał wchodzącą Paweł.

Powiedziała, że za chatą siedziała, i że na dworze zrywa się wiatr.

— Jesień — odpowiedział — ale to nic. Jutro na rzekę pójdę... choćby i fala była duża, teraz miętusów przepaść nałowić można.

Wieczerzę przy zapalonej lampce zjedli. Franka jadła także i dziecku jeść dawała.

Gdyby biegły jaki psychjatra w tej chwili na nią patrzał i widział ten nieruchomy, przepaściśty, czarny smutek, który napełniał jej zapadłe oczy, zrozumiałby może, iż psyche jej, jak motyl z pokaleczonemi skrzydłami, trzepotała znowu nad samą wąską linją, przytomność z obłędem, rozum z szałem rozgraniczającą. Ale Paweł widział tylko, że kobieta, naprzeciw niego z dzieckiem na kolanach siedząca, spokojną była, łagodną, zawstydzoną, i myślał, że nazajutrz, przed wypłynięciem na rzekę, z Koźlukami pogodzić się i o niej pomówić musi.

Wkrótce po wieczerzy Franka nad skrzynką swoją pochyliła się, i twardą, kolorową taśmę, dziaha zwaną, z niej wyjęła. Ubrana była w samodziałową spódnicę, różowy fartuch i miejski swój podarty kaftan. Teraz go wyjętą ze skrzynki taśmą przepasała.

Paweł na to żadnej uwagi nie zwrócił. Na posłaniu siedząc, do snu rozbierać się zaczynał i właśnie buty zdejmował, kiedy Franka ze śpiącym Chtawjanem na ręku do niego się zbliżyła.

Głośno i krótko w policzek dziecko pocałowała i położyła je na łóżku, tuż przy nim.

— Bądź dla niego łaskaw, tak jak dla mnie byłeś... on niczemu nie winien! — szepnęła.

Paweł zdziwił się.

— Czy ty zdurela, Franka? Alboż ja jego nie lubię i nie żałuję?

Ale ona, o parę kroków przed nim stojąc, pochyliła się aż prawie ku ziemi, tym samym, co wówczas, gdy ją z aresztu uwolnił, szybkim, niskim, chłopskim ukłonem. Tak zupełnie kłaniał się Paweł uradnikowi, gdy go naprzód o jej wolność prosił, a potem mu za nią dziękował. Możnaby mniemać, że te jego pokłony naśladowała.

Paweł jednak nic już nie powiedział. Głowę na poduszkę kładąc, myślał:

— Wstydzi się jeszcze! Jeszcze zapomnieć o tem, co zrobiła, nie może! To i chwała Bogu! Widać, że upamiętała się już zupełnie.

Tak myśląc, usnął. Spał i nie słyszał wzmagających się na dworze szumów jesiennego wiatru. Nie usłyszał też, że wśród nocy drzwi izby lekko skrzypnęły.

Zrana, bardzo wcześnie obudził go rozlegający się w pobliżu chaty gwar ludzkich głosów, wśród którego powtarzano wciąż imiona jego i Franki. Zerwał się i w płóciennej tylko odzieży, bosy, przed chatę wybiegł. Tam, gdzie kończyła się zagroda Koźluków, piaszczystą drogą z cmentarnym borkiem rozdzielona, stała gromadka mężczyzn i kobiet, rozgadana, rozkrzyczana, przerażona, ze wskazującemi palcami, wyciągniętemi ku temu punktowi borku, w którym z pomiędzy dwu starych sosen wystrzeliwał cienki, bardzo wysoki krzyż. Paweł z głośnych rozmów i krzyków kilka wyrazów dosłyszał i ku rozgadanej, rozkrzyczanej, przerażonej gromadce ludzi jak szalony biegł. Zanim jednak do niej dobiegł, wiatr silnie powiał, a z pomiędzy sosen wyfrunął i o parę stóp nad ziemią gwałtownie zaszamotał się różowy fartuch Franki. Oprócz tego różowego łachmanka, w bladem świetle wychodzącego z za chmur słońca rozmiotanego, Paweł nie zobaczył nic, ale odgadł wszystko. Teraz już i on jej nie wyratuje. Ręką chwycił się płotu, a biegnące naprzeciw niego Awdocia i Ulana coś strasznego na twarzy jego spostrzec musiały, bo, rozłożywszy ramiona, krzyknęły obie:

— Ratujcie, ludzie! trzymajcie! ratujcie! umrze! Padnie i umrze.

* *
*

Nie umarł. Nieprawdą jest, że ludzie zdrowi, silni, z natury nie ułomni, umierają z cierpień moralnych. Silny, zdrowy, chłopski organizm Pawła Kobyckiego nie rozłożył się i nawet nie osłabł w tym kilkoletnim epizodzie życia, który ognistą błyskawicą, czy burzliwą nawałnicą przerznął jego niską, równą, cichą drogę.

Od nagłego zakończenia tego epizodu sporo lat już minęło, a dziś jeszcze widzieć można tego nadniemeńskiego rybaka, rankiem po srebrnej rzece mknącego naprzeciw różanej jutrzence,

lub wieczorami płynącego pod chmury i zmroki zachodu. Gdy pod sosnowym borem na piaszczysty brzeg z czółna wychodzi, albo przybija do wyspy, śnieżystą bielą goździków usłanej i lasem wysokiej dziewanny zarosłej, towarzyszy mu często dziecko, chłopak dziesięcioletni, o włosach, jak len jasnych, i wielkich, czarnych, długą rzęsą ocienionych oczach. Stary rybak trzyma się nieco pochylo, osiwiały jest, zamyślony, milczący; dziecko żywe, śmiałe, policzki ma rumiane i nieustannie szczebiocze; ale odrazu poznać można, że zgoda pomiędzy nimi panuje zupełna, i że im z sobą dobrze. Czasem, gdy dziecko na długo przepadnie w dziewannach, po rzece rozlega się męskie wołanie:

— Chtawjan! a! Chtawjan!

A z gęstwiny łodyg, wielkiemi, kosmatemi liśćmi zawieszonych, głos dziecinny, jak donośny dzwonek, odpowiada:

— Ku-ku, tatku! a kuku!

Wtedy po surowych ustach rybaka przesuwa się uśmiech, i woła on na dziecko, aby mu garnek, w który złowione ryby wrzuca, wodą napełniło. Chtawjan z pękiem białych goździków w rękach z gęstwiny dziewanny wybiega, u brzegu wyspy siada i na wodę do garnka napływającą patrząc, dzwoni znowu:

— Gul, gul, gul, gul!

Widocznie dziecko to jest szczęśliwem.

Co zaś czuje, co w nieskończonych swych po wodzie wędrówkach myśli opiekujący się niem człowiek? Nikt nie wie, bo przed nikim nie zwierza się on ze swych uczuć i myśli. Ludzie opowiadają, że o swojej żonce, wisielicy, od dnia jej pogrzebu ani razu przed nikim nie wspomniał, że towarzystwa ludzkiego, tak jak i dawniej, nie szuka, że, tak jak i dawniej, przez wiosnę, lato i jesień niebo mu chatą, a rzeka żonką.

Ale w zimowe wieczory przez długie godziny okno nadniemeńskiego rybaka błyszczy bladem światełkiem lampy, a parobcy i dziewczęta, którzy tamtędy na wieczornicę do Koźluków chodzą, słyszą za tem okienkiem monotonne, nieustanne, wpółgłośne bąkanie. «Służba Boża» rozłożona na stole leży, a nad nią pochylony, wysoki i silny człowiek, z pomarszczonem czołem i siwym dokoła ściągłych policzków zarostem, niektóre z wyrazów sylabizując z trudnością, powoli czyta zawarte w tej książce modlitwy. Innej książki, niż ta, Paweł Kobycki dotąd nie zna i zapewne nie pozna nigdy, bo w miasteczku, do którego uczęszcza, żadnych książek nie sprzedają, a u ludzi ich dostać, albo wiadomości o nich zasięgnąć, bardzo mu trudno. Tę zato od

pierwszej stronicy do ostatniej przeczytał już trzy razy, a teraz zaczął czytać po raz czwarty.

Zresztą, od lat dwu na czytanie «Służby Bożej» mniej już ma czasu, bo obok niej leży często rozwarty elementarz, bardzo stary, zżółkły, podarty, a nad nim na wysokim stołku siedzi Chtawjan i, z rękoma utopionemi w lnianej kądzieli włosów, bąka:

— B-a — ba, b-e — be.

Zeszłej zimy doszedł już był do kombinacji z różnemi samogłoskami litery *k*, ale że przez lato wiele z tego, czego nauczył się, zapomniał, Paweł do *B* powrócić mu kazał. Bąkanie Chtawjana trwa zwykle dość długo, potem dziecko usypia, a Paweł półgłosem «Służbę Bożą» czyta.

Potem okno rybaka zalega ciemność, i cały ten szereg chat, na skraju nadrzecznej góry rozciągnięty, pod grubemi kołdrami śniegu usypia głęboko i spokojnie. Oprócz rzadkiego poszczekiwania psów, lub stłumionego przez ściany piania kogutów, żaden głos z żyjących stworzeń nie mąci wtedy bezdennej ciszy wiejskiej, zimowej nocy; ale wzamian wyraźniej dają się słyszeć głosy natury.

Czasem lodowy olbrzym mrozu tuła się po wsi, gniewnie i z wielkim stukiem uderza to w jedną chatę, to w drugą, to daleko, to bliżej cichem łuskaniem odzywa się dokoła okien, po płotach z suchem trzeszczeniem chodzi. W inne znowu noce odwilże piersią wiatru wzdychają, roztapiającemi się u okapów soplami lodu cicho i monotonnie pluskają i płaczą, szeleszczą w drzewach i tajemniczemi szepty rozbiegają się szeroko po suchych badylach ogrodów.

Ale niekiedy bywa tam daleko huczniej i groźniej. W ciemnych przestworach zrywają się szalone orgje wichrów; powietrze nabrzmiewa kotłowaniem i wrzaskiem wszystkich głosów świata; są to uganiające się z sobą olbrzymie kule czyli kłęby, trzaski piorunów, huki armatnich wystrzałów, grzmoty, z nieustannym turkotem od krańca do krańca ziemi lecące, wycia smaganych psiarni, krzyki mordowanych, płacze zrozpaczonych, przeciągłe biadania... Wszystko to piekielnym halasem i szałem napełnia ciemne przestworza, lecz ludzi, usypiających pod niskim szeregiem dachów, śniegowemi kołdrami okrytych, nie budzi wcale.

I tylko, kiedy mróz stuka, łuska i trzeszczy, odwilże wzdychają, szlochają i szepczą, wichry zaciekle w przestworzu

szaleją, pod jednym z tych dachów jeden człowiek nie usypia długo.

Tuż przy nim, na posłaniu, szemrze oddech uśpionego i do boku jego przytulonego dziecka, a on bezsennie patrzy w nieprzeniknioną ciemność i wsłuchuje się w głosy natury. Podówczas często w nieprzeniknionej ciemności i bezdennej ciszy, głosami natury napełnionej, dają się słyszeć głośne, wielokrotnie powtarzane uderzenia pięści o pierś twardą i silną, i głośny, błagalny, żarliwy szept, wielokrotnie powtarzający:

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże, bądź miłościw jej grzesznej i nieszczęśliwej!